

**MARIO
PUZO**
OJCIEC CHRZESTNY



MARIO
PUZZO
OJCIEC CHRZESTNY

Z angielskiego przełożył

BRONISŁAW ZIELIŃSKI



Wydanie elektroniczne

O książce

Jedna z największych powieści XX wieku, sprzedana w ponad 20 milionach egzemplarzy, wslawiona obsypanym Oscarami filmem Francisza Forda Coppoli z genialną rolą tytułową Marlona Brando. Opowieść o honorze i nienawiści, szacunku i pogardzie, miłości i śmierci. Motto książki stanowi cytat z Balzaca – *Za każdą wielką fortuną kryje się zbrodnia.*

Don Vito Corleone jest Ojcem Chrzestnym jednej z sześciu nowojorskich rodzin mafijnych. Tyran i szantażysta (słynne powiedzenie „mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia”), a zarazem człowiek honoru, sprawuje rządy żelazną ręką. Jego decyzje mają charakter ostateczny. Wśród swoich wrogów wzbudza respekt i strach, wśród przyjaciół – zasłużony, choć nie całkiem bezinteresowny szacunek. Kiedy odmawia uczestnictwa w nowym, intratnym interesie, handlu narkotykami, wchodzi w ostry, krwawy konflikt z Cosą Nostrą. Honor rodziny może uratować tylko najmłodszy, ukochany syn Vita Michael, bohater wojenny. Czy okaże się godnym następcą Ojca Chrzestnego?

MARIO PUZO

(1920-1999)

Prozaik amerykański, urodzony w Nowym Jorku w biednej rodzinie włoskich imigrantów. Autor dziesięciu powieści, książki dla dzieci, opowiadań przygodowych oraz kilku scenariuszy filmowych (m.in. do filmów o Supermanie oraz sagi *Ojciec Chrzestny* Francisa Forda Coppoli). W 1955 wydał swą pierwszą powieść *Mroczna arena*. Jego najśłynniejszym dziełem jest opublikowany w 1969 *Ojciec Chrzestny* – saga o amerykańskiej rodzinie mafijnej sprzedana w USA w nakładzie ponad 20 milionów egzemplarzy i przetłumaczona na kilkadziesiąt języków. W dorobku literackim Puzo są też powieści *Dziesiąta Aleja*, *Czwarty K*, *Głupcy umierają*, *Sycylijczyk*, *Ostatni don*, *Sześć grobów do Monachium* oraz wydane pośmiertnie tytuły *Omerta* i *Rodzina Borgiów*.

www.mariopuzo.com

Tego autora

DZIESIĄTA ALEJA

MROCZNA ARENA

SZEŚĆ GROBÓW DO MONACHIUM

OSTATNI DON

CZWARTY K

GŁUPCY UMIERAJĄ

OMERTA

RODZINA BORGIOŃ

Saga rodziny Corleone

OJCIEC CHRZESTNY

SYCYLIJCZYK

RODZINA CORLEONE
Mario Puzo, Edward Falco

POWRÓT OJCA CHRZESTNEGO
Mario Puzo, Mark Winegardner

ZEMSTA OJCA CHRZESTNEGO
Mario Puzo, Mark Winegardner

Tytuł oryginału:
THE GODFATHER

Copyright © Mario Puzo 1969
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2006

Polish translation copyright © Anna Zielińska & Tomasz Zieliński 1985

Ilustracja na okładce: Colección Gasca/AISA/BE & W

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7885-170-7

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ
Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Skład wersji elektronicznej:

Virtualo Sp. z o.o.

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

[O książce](#)

[O autorze](#)

[Tego autora](#)

[Dedykacja](#)

[Księga 1](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

Księga 2

Rozdział 12

Rozdział 13

Księga 3

Rozdział 14

Księga 4

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Księga 5

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Księga 6

Rozdział 23

Rozdział 24

Księga 7

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Księga 8](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Księga 9](#)

[Rozdział 32](#)

[Przypisy](#)

Dedykuję Anthony'emu Cleri

Księga 1

*Za każdą wielką fortuną
kryje się zbrodnia*

Balzac

Rozdział 1

Amerigo Bonasera siedział w nowojorskim Sądzie Karnym numer trzy i czekał na sprawiedliwość – zemstę na ludziach, którzy tak okrutnie skrzywdzili jego córkę, którzy usiłowali ją pohańbić.

Sędzia, mężczyzna o masywnej, ciężkiej twarzy, podwinął rękawy czarnej togi, jak gdyby zamierzał fizycznie ukarać dwóch młodych ludzi stojących przed jego stołem. Twarz miał zimną, pełną majestatycznej pogardy. Jednakże w tym wszystkim było coś fałszywego, coś, co Amerigo Bonasera wyczuwał, choć czego jeszcze nie rozumiał.

– Postąpiliście jak najgorsi zwyrodnialcy – powiedział ostro sędzia.

Tak, tak – myślał Amerigo Bonasera. – Zwierzaki. Zwierzaki. Dwaj młodzi ludzie z krótko przystrzyżonymi, lśniącymi włosami, wypucowanymi, sympatycznymi twarzami, ułożonymi w wyraz pokornej skruchy, schylili potulnie głowy. Sędzia mówił dalej:

– Postąpiliście jak dzikie bestie w dżungli i macie szczęście, że nie napałowaliście seksualnie tej biednej dziewczyny, bo wsadziłbym was za kratki na dwadzieścia lat.

Sędzia przerwał, jego oczy pod imponująco krzaczastymi brwiami zerknęły przebiegle na pobladłego Ameriga Bonasere, po czym spoczęły na leżącym przed nim stosie protokołów nadzoru sądowego. Zmarszczył brwi i wzruszył ramionami, jak gdyby przekonany wbrew własnej chęci. Przemówił znowu:

– Ale przez wzgląd na wasz młody wiek, na waszą dotychczasową niekaralność, na wasze zacne rodziny oraz dlatego, że prawo w swoim majestacie nie szuka zemsty, skazuję was na trzy lata więzienia z zawieszeniem.

Jedynie dzięki czterdziestu latom zawodowego żalobnictwa przytłaczające uczucie zawodu i nienawiści nie ujawniło się na twarzy Ameriga Bonasery.

Jego piękna, młoda córka przebywała nadal w szpitalu ze zdrutowaną złamaną szczęką, a ci *animali* mieli odejść wolno? Wszystko to było farsą. Patrzył, jak uszczęśliwieni rodzice otoczyli swych synków. O, teraz wszyscy oni byli uradowani, teraz wszyscy się uśmiechali.

W krtani Bonasery wezbrała czarna żółć, kwaśna i gorzka, i przelała się przez mocno zaciśnięte zęby. Wyjął białą płócienną chusteczkę i przytknął ją do warg. Stał tak, kiedy obaj młodzi ludzie ruszyli swobodnie przejściem, ufni i chłodni, uśmiechnięci, nawet nie obdarzywszy go spojrzeniem. Pozwolił im przejść nie mówiąc ani słowa, przyciskając czyste płótno do ust.

Potem przeszli rodzice tych *animali*, dwaj mężczyźni i dwie kobiety w jego wieku, ale ubrani bardziej po amerykańsku. Zerknęli na niego z zawstydzeniem, ale w ich oczach było jakieś dziwne, triumfalne wyzwanie.

Straciwszy panowanie nad sobą, Bonasera pochylił się ku przejściu i wykrzyknął chrapliwie:

– Będziecie płakali, tak jak ja płakałem... Zapłaczecie przeze mnie, tak jak ja płacząc przez wasze dzieci! – Chustkę przytknął teraz do oczu.

Adwokaci idący z tyłu stłoczyli swych klientów w małą grupkę, otaczając obydwu młodzieńców, którzy zawrócili przejściem, jak gdyby chcąc osłonić swoich rodziców. Olbrzymi woźny podsunął się szybko, aby zagrozić rząd miejsc, w którym stał Bonasera. Ale nie było to potrzebne.

Przez wszystkie lata spędzone w Ameryce Amerigo Bonasera ufał w prawo i ład. I dzięki temu prosperował. Teraz, choć ział nienawiścią, chociaż szalone myśli o kupieniu rewolweru i zabiciu obu młodzieńców miały mu się pod czaszką, Bonasera obrócił się do swej jeszcze oszołomionej żony i wytłumaczył jej:

– Zrobili z nas głupców. – Przerwał, a potem powziął decyzję, już nie lękając się ceny. – Po sprawiedliwość musimy iść na klęczkach do dona Corleone.

W krzykliwie przyozdobionym apartamencie hotelowym w Los Angeles Johnny Fontane spił się z zazdrości jak każdy zwykły mąż. Wyciągnąwszy się na czerwonej kanapie, popijał whisky wprost z trzymanej w ręku butelki, po czym splukiwał smak, zanurzając usta w kryształowym wiaderku z kostkami lodu i wodą. Była czwarta nad ranem i snuł pijackie rojenia, że zamorduje swą włóczącą się żonę, kiedy wróci do domu. Jeżeli w ogóle wróci. Zro-

biło się za późno, żeby telefonować do pierwszej żony i pytać o dzieci, a niezręcznie mu było dzwonić do któregoś z przyjaciół teraz, kiedy jego kariera chyliła się ku upadkowi. Niegdyś byliby zachwyceni i zaszczyceni, gdyby zadzwonił do nich o czwartej rano, ale teraz ich nudził. Zdołał nawet uśmiechnąć się z lekka do siebie na myśl, że kiedy szedł w górę, kłopoty Johnny'ego Fontane fascynowały niektóre z największych gwiazd w Ameryce.

Łykając whisky z butelki, usłyszał wreszcie klucz żony w zamku, ale pił dalej, póki nie weszła do pokoju i nie stanęła przed nim. Wydawała mu się tak bardzo piękna z tą swoją anielską twarzą, marzącymi fiołkowymi oczyma, delikatnym, kruchym, lecz doskonale ukształtowanym ciałem. Na ekranie uroda jej była uwydatniona, bardziej uduchowiona. Sto milionów mężczyzn na całym świecie kochało się w twarzy Margot Ashton. I płaciło, żeby zobaczyć ją na ekranie.

– Gdzie byłaś, psiakrew? – zapytał Johnny Fontane.

– Rznęłam się.

Nie doceniała jego upicia. Przeskoczył przez stoliczek koktajlowy i chwycił ją za gardło. Ale znalazłszy się blisko tej czarodziejskiej twarzy, tych ślicznych fiołkowych oczu, utracił całą złość i znowu stał się bezradny. Popęłniła ten błąd, że uśmiechnęła się drwiąco, ujrzała jego pięść biorącą za mach. Krzyknęła:

– Johnny, nie w twarz! Kręcę film!

Śmiała się. Uderzył ją w brzuch i upadła na podłogę. Rzucił się na nią. Czuł jej pachnący oddech, kiedy chwytła ustami powietrze. Walił ją po rękach i po jędrnych, jedwabistych, opalonych udach. Bił ją tak, jak bijał zasmarkanych mniejszych chłopaków dawno temu, kiedy był rozhukanym nastolatkiem w nowojorskiej Kuchni Piekielnej¹. Bolesne cięgi, które nie zostawiały trwałego oszpececia, obruszonych zębów czy złamanego nosa.

Jednakże nie bił jej dostatecznie mocno. Nie mógł. A ona podśmiewała się z niego. Rozciągnięta na podłodze, w brokatowej sukni zadartej nad uda, nagrała się zeń między jednym chichotem a drugim:

– No, wsadź mi. Wsadź mi, Johnny, przecież tego chcesz w gruncie rzeczy.

Johnny Fontane wstał. Nienawidził leżącej na podłodze kobiety, ale jej piękność była magiczną tarczą. Margot przekręciła się na bok i jednym skokiem tancerki stanęła naprzeciw niego. Zaczęła żartobliwy, dziecinny taniec, powtarzając śpiewnie:

– Johnny nie zrobi mi krzywdy, nigdy nie zrobi mi krzywdy! – A potem, prawie smutnie, poważna i piękna, powiedziała: – Ty biedny głupcze, dajesz mi lanie jak dzieciak. Ach, Johnny, zawsze będziesz durnym, romantycznym makaroniarzem, nawet w łóżku jesteś jak dzieciak. Wciąż myślisz, że rypanie jest naprawdę takie jak w tych głupawych piosenkach, które śpiewałeś. – Potrząsnęła głową i dodała: – Biedny Johnny. Pa, Johnny. – Weszła do sypialni i usłyszała przekręcanie klucza w zamku. Johnny siadł na podłodze, ukrywając twarz w dłoniach. Ogarnęła go mdła, upokarzająca rozpacz. A potem ta prostacka twardość, która pomogła mu ostać się w dżungli Hollywoodu, sprawiła, że podniósł słuchawkę telefonu i zamówił samochód na lotnisko. Był tylko jeden człowiek, który mógł go uratować. Pojedzie do Nowego Jorku. Pojedzie do jedyne go człowieka mającego władzę i mądrość, których potrzebował, i miłość, której nadal ufał. Do swego ojca chrzestnego, dona Corleone.

Piekarz Nazorine, pulchny i rumiany jak jego wielkie włoskie bochenki, jeszcze ubielony mąką, popatrzał spode łba na swoją żonę, dorastającą córkę Katherine i pomocnika piekarskiego Enzo. Enzo przebrał się już w mundur jeniecki z opaską z zielonymi literami i był przerażony, że przez tę scenę spóźni się z zameldowaniem na Governor's Island. Będąc jednym z wielu tysięcy włoskich jeńców wojennych, codziennie zwalnianych warunkowo do pracy w gospodarce amerykańskiej, żył w ustawicznym strachu, że to zwalnianie zostanie cofnięte. I dlatego odgrywana w tej chwili mała komedia była dla niego sprawą poważną.

Nazorine pytał z zaciekleścią:

– Pohańbiłeś moją rodzinę? Obdarowałeś moją córkę tobołkiem po to, żeby cię wspominała teraz, kiedy wojna się skończyła i kiedy wiesz, że Ameryka wykopie cię z powrotem do twojej zafajdanej wioski na Sycylii?

Enzo, krępy, mocno zbudowany chłopak, przyłożył dłoń do serca i powiedział prawie ze łzami, ale roztropnie:

– *Padrone*, przysięgam na Najświętszą Pannę, że nigdy nie wykorzystałem pańskiej dobroci. Kocham pana córkę z całym uszanowaniem. Proszę o jej rękę z całym uszanowaniem. Wiem, że nie mam prawa, ale jeżeli mnie odeślą do Włoch, nie będę mógł nigdy ożenić się z Katherine.

Żona Nazorinego, Filomena, przemówiła rzeczowo:

– Daj spokój z tymi głupotami – zwróciła się do pulchnego małżonka. –

Wiesz, co masz zrobić. Zatrzymaj tu Enza, wyślij go, żeby się schował u naszych kuzynów na Long Island.

Katherine płakała. Była już tęga, pospolita i sypał jej się mały wąsik. Nigdy nie znalazłaby męża tak przystojnego jak Enzo, nigdy nie znalazłaby innego mężczyzny, który dotykałby sekretnych miejsc jej ciała z tak pełną uszanowania miłością.

– Wyjadę i zamieszkać we Włoszech! – wrzasnęła do ojca. – Ucieknę, jeżeli nie zatrzymasz tu Enza.

Nazorine zerknął na nią przenikliwie. To była „gorąca sztuka”, ta jego córka. Widział, jak ocierała się zaokrąglonymi pośladkami o przód Enza, kiedy pomocnik piekarski przeciskał się za nią, aby napełnić koszyki na kontuarze gorącymi bochenkami z pieca. Gorący bochenek tego młodego nicponia znajdzie się w jej piecu – myślał lubieżnie Nazorine – jeżeli nie poczyni się odpowiednich kroków. Enza trzeba zatrzymać w Ameryce i zrobić amerykańskim obywatelem. A był tylko jeden człowiek, który mógł załatwić taką sprawę. Ojciec Chrzestny. Don Corleone.

Wszyscy ci ludzie i wielu innych otrzymali rytowane zaproszenia na ślub panny Constanzii Corleone, który miał odbyć się w ostatnią sobotę sierpnia 1945 roku. Ojciec panny młodej, don Vito Corleone, nigdy nie zapomniał o swoich dawnych przyjaciółach i sąsiadach, choć teraz mieszkał w ogromnym domu na Long Island. Przyjęcie miało być wydane w tym domu, a zabawa miała trwać cały dzień. Nie ulegało wątpliwości, że będzie to doniosłe wydarzenie. Wojna z Japończykami właśnie się zakończyła, więc dręczący strach o synów walczących na froncie nie miał już rzucać cienia na te uroczystości. Wesele było właśnie tym, czego ludzie potrzebowali, żeby okazać swoją radość.

Tak więc owego sobotniego poranka przyjaciele dona Corleone zaczęli napływać z Nowego Jorku, aby go uczcić. Wieźli jako podarki ślubne kremowe koperty wypchane gotówką – bez żadnych czeków. Wewnątrz każdej koperty była karta określająca tożsamość ofiarodawcy oraz miarę jego szacunku dla Ojca Chrzestnego. Szacunku prawdziwie zasłużonego.

Don Vito Corleone był człowiekiem, do którego wszyscy zwracali się o pomoc i nigdy nie doznawali zawodu. Nie składał czczych obietnic ani nie wymawiał się małodusznie, że ma ręce związane przez potężniejsze od siebie

siły na świecie. Niekoniecznie musiał być czyjś przyjacielem, nie było nawet ważne, iż ktoś nie miał środków, by mu się odwzajemnić. Jedna tylko rzecz była niezbędna. Żeby ktoś sam zadeklarował swą przyjaźń. A wtedy, bez względu na to, jak ubogi czy bezsilny był suplikant, don Corleone brał sobie do serca jego kłopoty. A nagroda? Przyjaźń, pełen uszanowania tytuł „dona”, czasem zaś serdeczniejsze miano „Ojciec Chrzestny”. I może też, jedynie dla okazania szacunku, nigdy dla zysku, jakiś skromny podarek – galon domowego wina czy koszyk pieprznych *taralli*, specjalnie upieczonych, by mu umilić gwiazdkowy stół. Było przyjęte, należało po prostu do dobrych obyczajów głosić, że jest się jego dłużnikiem i że ma prawo w każdej chwili zwrócić się o spłacenie długu jakąś drobną przysługą.

Teraz, w tym wielkim dniu, dniu ślubu swojej córki, don Vito Corleone stał w progu swego domu na Long Island, witając gości; wszystkich mu znanych, wszystkich zaufanych. Wielu z nich zawdzięczało donowi pomyślność w życiu i uważało, że w to rodzinne święto wolno im zwracać się doń bezpośrednio słowami „Ojciec Chrzestny”. Nawet usługujący podczas uroczystości byli jego przyjaciółmi. Barman był starym towarzyszem, który ofiarował w darze wszystkie weselne trunki oraz własne wysokie umiejętności. Kelnerzy byli przyjaciółmi synów dona Corleone. Potrawy rozstawione na piknikowych stołach przyrządziła jego żona wraz z przyjaciółkami, a wesoło przybrany festonami, jednoakrowy ogród został udekorowany przez koleżanki panny młodej.

Don Corleone przyjmował wszystkich – bogatych i biednych, potężnych i maluczkich – z jednakimi oznakami miłości. Nikogo nie lekceważył. Taki miał charakter. A goście tak zachwycali się tym, jak świetnie wygląda w smokingu, iż nieświadomy obserwator mógłby łatwo pomyśleć, że to sam don jest szczęśliwym oblubieńcem.

W drzwiach stali przy nim dwaj z jego trzech synów. Na najstarszego, ochrzczonego Santino, ale nazywanego Sonny przez wszystkich z wyjątkiem ojca, krzywo patrzyli wszyscy starsi Włosi, z podziwem zaś młodzi. Sonny Corleone był wysoki jak na Amerykanina w pierwszym pokoleniu pochodzenia włoskiego; miał prawie sześć stóp wzrostu, a gęste kędzierzawe włosy sprawiały, że wydawał się jeszcze wyższy. Twarz jego była twarzą rubasznego kupidyna, rysy miał regularne, ale wygięte w łuk wargi były nabrzmiałe zmysłowością, a broda z dołeczkiem w jakiś osobliwy sposób lubieżna. Zbudowany był potężnie jak byk, a powszechnie wiadano, iż natura wyposaży-

ła go tak szczerze, że jego umęczona żona bała się małżeńskiego łoża tak, jak niegdyś niewierzący bali się łamania kołem. Szeptano sobie, że kiedy jako młodzieniec odwiedzał domy złej sławy, nawet najbardziej zaprawione i nieuleknione prostytutki, obejrzawszy z nabożnym szacunkiem jego masywny organ, żądały podwójnej zapłaty.

Tutaj, na przyjęciu weselnym, niektóre młode mężatki, szerokobiodre i szerokouste, taksowały Sonny'ego Corleone chłodnymi, ufnymi oczyma. Jednakże tego dnia marnowały czas na próżno. Sonny Corleone, pomimo obecności żony i trojga małych dzieci, miał plany co do druhny swej siostry, Lucy Mancini. Ta młoda dziewczyna, w pełni tego świadoma, siedziała przy ogrodowym stoliku w odświeżonej różowej sukni i diademie z kwiatów na lśniących czarnych włosach. Flirtowała z Sonnym w minionym tygodniu weselnych prób i tego rana uścisnęła mu dłoń przy ołtarzu. Druhna nie mogła uczynić nic więcej.

Nie dbała o to, że nigdy nie miał być takim wielkim człowiekiem, jakim okazał się jego ojciec. Sonny Corleone miał siłę, miał odwagę. Był wspaniałomyślny, a przyznawano, że serce ma równie wielkie jak przyrodzenie. Jednakże nie odznaczał się skromnością ojca; był popędliwy i zapalczywy, co go doprowadzało do błędów w ocenie ludzi. Aczkolwiek był wielką pomocą w interesach ojca, wielu wątpiło, czy je po nim odziedziczy.

Drugi syn, Frederico, nazywany Fredem albo Fredo, był takim dzieckiem, o jakie każdy Włoch modli się do świętych. Posłuszny, lojalny, zawsze na usługi ojca, mieszkał z rodzicami mając lat trzydzieści. Był niski i krępy, niezbyt urodziwy, ale z tą samą twarzą kupidyna, co wszyscy w rodzinie, z kędzierzawym hełmem włosów i zmysłowymi, wygiętymi w łuk wargami. U Freda te wargi były nie tyle zmysłowe co granitowe. Skłonny do posepności, był jednak dla ojca podporą, nigdy się z nim nie spierał, nigdy nie wprawiał go w zakłopotanie gorszącym postępowaniem z kobietami. Mimo tych wszystkich zalet nie miał osobistego magnetyzmu, tej fizycznej siły, tak niezbędnej przywódcy, więc również nie przewidywano, by odziedziczył rodzinne interesy.

Trzeci syn, Michael Corleone, nie stał razem z ojcem i dwoma braćmi, ale siedział przy stoliku w najbardziej ustronnym zakątku ogrodu. Jednakże nawet i tam nie mógł się wymknąć spod uwagi przyjaciół rodziny.

Michael Corleone był najmłodszym synem dona i jedynym dzieckiem, które uchyliło się od pokierowania przez tego wielkiego człowieka. Nie miał

ciężkiej, kupidynowej twarzy innych dzieci, a jego kruczoczarne włosy były proste, nie kędzierzawe. Cerę miał jasnooliwkowego koloru, który uznano by za piękny u dziewczyny. Był przystojny w jakiś delikatny sposób. W pewnym okresie don nawet niepokoił się o męskość swojego najmłodszego syna. Niepokój ten został uśmierzony, kiedy Michael Corleone skończył lat siedemnaście.

Teraz ten najmłodszy syn siedział przy stoliku w najdalszym kącie ogrodu, aby zaznaczyć swoje świadome odseparowanie się od ojca i rodziny. Obok siedziała młoda Amerykanka, o której każdy słyszał, lecz której nikt nie widział do dzisiejszego dnia. Michael okazał, ma się rozumieć, właściwy szacunek i przedstawił ją wszystkim obecnym na weselu, z członkami rodziny łącznie. Dziewczyna nie wywarła na nich wrażenia. Była chuda, zbyt jasnowłosa, miała zbyt inteligentną twarz jak na kobietę, a sposób bycia za swobodny jak na pannę. Nazwisko jej też było obce dla ich uszu; nazywała się Kay Adams. Gdyby im powiedziała, że jej rodzina osiadła w Ameryce przed dwustu laty, nazwisko zaś jest pospolite, wzruszyliby ramionami.

Wszyscy goście spostrzegli, że don nie zwraca szczególnej uwagi na swego trzeciego syna. Michael był przed wojną jego ulubieńcem i najwyraźniej wybranym spadkobiercą, który poprowadziłby interesy rodzinne, kiedy nadszedłby odpowiedni moment. Miał całą spokojną siłę i inteligencję swego wielkiego ojca, wrodzony instynkt postępowania w taki sposób, że ludzie nie mogli go nie szanować. Wszakże kiedy wybuchła druga wojna światowa, Michael Corleone zgłosił się na ochotnika do piechoty morskiej. Czyniąc to, przeciwstawił się wyraźnemu nakazowi ojca.

Don Corleone nie pragnął i nie zamierzał pozwolić, by jego najmłodszy syn poległ w służbie obcego mu mocarstwa. Doktorzy zostali przekupieni, potajemne kroki poczynione. Wydano wiele pieniędzy na odpowiednie zabezpieczenie. Jednakże Michael miał dwadzieścia jeden lat i nie można było nic poradzić na jego samowolę. Zaciągnął się i walczył na Pacyfiku. Został kapitanem i zdobył medale. W 1944 roku jego zdjęcie zamieszczono w magazynie „Life” wraz z fotograficznym reportażem o jego czynach. Któryś z przyjaciół pokazał to pismo donowi Corleone (rodzina nie śmiała tego zrobić), don prychnął wzgardliwie i powiedział: „Dokonuje tych cudów dla obcych”.

Kiedy Michael Corleone został zwolniony z wojska na początku 1945, aby wyleczył się z poważnej rany, nie miał pojęcia, że to zwolnienie załatwił jego

ojciec. Pozostawał w domu parę tygodni, po czym, nie radząc się nikogo, wstąpił do Dartmouth College w Hanover, w stanie New Hampshire, i opuścił dom ojca. Wrócił na ślub siostry, by pokazać wszystkim swą przyszłą żonę, tę wymoczkowatą mizerną Amerykankę.

Michael Corleone zabawiał Kay Adams opowiadaniem historyjek na temat co barwniejszych gości weselnych. Jego samego z kolei bawiło to, że ci ludzie wydawali jej się egzotyczni; jak zawsze był oczarowany żywym zainteresowaniem Kay wszystkim, co nowe i obce jej doświadczeniu. W końcu zwróciła uwagę na grupkę mężczyzn zgromadzonych wkoło drewnianej beczki z domowym winem. Mężczyznami tymi byli Amerigo Bonasera, piekarz Naborine, Anthony Coppola i Luca Brasi. Z właściwą sobie inteligencją skomentowała fakt, że ludzie ci nie wydawali się szczególnie radośni. Michael uśmiechnął się.

– Bo nie są – powiedział. – Czekają na rozmowę z ojcem na osobności. Mają do niego jakieś prośby.

W istocie łatwo było dostrzec, że wszyscy czterej ustawicznie wodzą za donem oczami.

Kiedy don Corleone stał, witając gości, czarna limuzyna marki Chevrolet zatrzymała się po drugiej stronie brukowanego placu. Dwaj mężczyźni na przednim siedzeniu wydobyli z marynarek notatniki i nie próbując się kryć, jęli zapisywać numery innych samochodów zaparkowanych dokoła placu. Sonny obrócił się do ojca.

– Ci faceci to muszą być gliny.

Don Corleone wzruszył ramionami.

– Ulica nie jest moją własnością. Mogą robić, co im się podoba.

Pyzata, kupidynowa twarz Sonny'ego poczerwieniała z gniewu.

– Te parszywe dranie niczego nie uszanują.

Zszedł ze stopni domu i ruszył przez plac ku miejscu, gdzie stała czarna limuzyna. Gniewnie przysunął twarz do twarzy kierowcy, który nie cofnął się, tylko otworzył swój portfel, pokazując zieloną legitymację. Sonny odstał w tył bez słowa. Splunął tak, że ślina trafiła w tylne drzwi limuzyny, i odszedł. Miał nadzieję, że kierowca wysiądzie i ruszy za nim przez plac, ale tak się nie stało. Kiedy dotarł do schodów, powiedział ojcu:

– Ci goście są z FBI. Zapisują numery wszystkich wozów. Paskudne dra-

nie.

Don Corleone orientował się, co to za jedni. Jego najbliższym i najlepszym przyjaciołom doradzono, żeby przyjechali na wesele nie swoimi samochodami. I chociaż nie pochwalał niemądrego odruchu złości syna, wybryk ten był pożyteczny. Mógł przekonać intruzów, że ich obecność jest nieprzewidywana i niepożądana. Tak więc sam don Corleone nie był rozżłoszczony. Dawno już nauczył się, że społeczeństwo mnoży zniewagi, które trzeba znosić, pocieszając się świadomością, że na tym świecie przychodzi czas, kiedy najskromniejszy z ludzi, jeżeli ma otwarte oczy, może się zemścić na najbardziej możliwych. Ta świadomość sprawiła, że don nie utracił owej pokory, którą w nim podziwiali wszyscy przyjaciele.

Tymczasem w ogrodzie za domem zaczęła właśnie grać czteroosobowa orkiestra. Wszyscy goście już przybyli. Don Corleone przestał myśleć o intruzach i poprowadził obydwu synów na zabawę weselną.

W wielkim ogrodzie zebrały się setki gości; jedni tańczyli na drewnianym podium ozdobionym kwiatami, inni siedzieli przy długich stołach, zastawionych przyprawionymi na ostro potrawami oraz wielkimi dzbanami domowego czerwonego wina. Panna młoda, Connie Corleone, siedziała w pełni splendoru przy specjalnym stole na podwyższeniu, wraz z panem młodym, pierwszą druhną, druhnami i drużbami. Była to wiejska oprawa w dawnym włoskim stylu. Nie przypadła do gustu pannie młodej, ale Connie zgodziła się na „makaroniarskie” wesele, by sprawić przyjemność ojcu, ponieważ tak bardzo mu się naraziła wyborem męża.

Pan młody, Carlo Rizzi, był półkrwi Sycylijczykiem, zrodzonym z sycylijskiego ojca i matki z północnych Włoch, po której odziedziczył blond włosy i niebieskie oczy. Rodzice jego mieszkali w Nevadzie, a Carlo opuścił ten stan wskutek drobnego zatargu z prawem. W Nowym Jorku zetknął się z Sonnym Corleone i w ten sposób poznał jego siostrę. Don Corleone, ma się rozumieć, posłał do Nevady zaufanych przyjaciół, którzy donieśli, że kłopoty Carla z policją były młodzieńczą nieoględnością w posługiwaniu się bronią, rzeczą niepoważną, którą można bez trudu wymazać z akt, by młody człowiek miał czysty rejestr. Wrócili także ze szczegółowymi informacjami o legalnym hazardzie w Nevadzie, które ogromnie zainteresowały dona i nad którymi zastanawiał się od tamtej pory. Do wielkości dona należało to, że

czerpał korzyść z każdej rzeczy.

Connie Corleone była niezbyt ładną dziewczyną, chudą, nerwową, taką, która musiała stać się jędzowata w późniejszym życiu. Jednakże dzisiaj, przeobrażona przez białą ślubną suknię, była taka promienna, że niemal piękna. Jej dłoń pod drewnianym stołem spoczywała na muskularnym udzie pana młodego. Ustami posyłała mu pocałunki.

Uważała go za niewiarygodnie przystojnego. Carlo Rizzi, kiedy był bardzo młody, pracował na pustyni, wykonując ciężką fizyczną robotę. Teraz miał potężne przedramiona, a bary rozsadzały marynarkę jego smokinga. Napawał się adorującym wzrokiem oblubienicy i dolewał jej wina. Był dla niej wymyślnie uprzejmy, tak jakby oboje grali w jakiejś sztuce. Jednakże jego oczy ciągle zerkały ku pojemnej jedwabnej torebce, którą panna młoda miała zawieszoną na prawym ramieniu i która była teraz wypchana kopertami z pieniędzmi. Ile tam tego było? Dziesięć tysięcy? Dwadzieścia tysięcy? Carlo Rizzi uśmiechnął się. To dopiero początek. Bądź co bądź, wzenił się w królewską rodzinę. Będą musieli dbać o niego.

W tłumie gości zgrabny młody człowiek z głową łasicy też przypatrywał się bacznie jedwabnej torebce. Ze zwykłego przyzwyczajenia Paulie Gatto zastanawiał się, jak by też przystąpił do zwędzenia tej opasłej sakiewki. Myśl ta bawiła go. Wiedział, że są to czcze, niewinne rojenia, podobnie jak małe dzieci roją sobie, że rozbijają czołgi z pukawek. Obserwował swojego szefa, tłustego mężczyznę w średnim wieku, Petera Clemenzę, który wirował z młodymi dziewczętami po drewnianym parkiecie w wiejskiej, rozhukanej *taran-telli*. Clemenza, człowiek olbrzymiego wzrostu, olbrzymiej tuszy, tańczył tak umiejętnie i z taką swobodą, lubieżnie ocierając się twardym brzuchem o biusty młodszych drobniejszych kobiet, że wszyscy go oklaskiwali. Starsze kobiety chwyciły go za ramię, by też z nim zatańczyć. Młodszy mężczyźni z uszanowaniem wycofywali się z parkietu i klaskali w takt rozszalałych dźwięków mandoliny. Kiedy Clemenza w końcu opadł na krzesło, Paulie Gatto przyniósł mu szklankę lodowatego czerwonego wina i otarł jedwabną chustką spoczone jowiszowe czoło. Clemenza sapał jak wieloryb, łykając wino. Jednakże zamiast podziękować Pauliemu, powiedział krótko:

– Nie baw się w sędziego od tańca, rób swoje. Przejdź się po terenie i sprawdź, czy wszystko w porządku.

Paulie wśliznął się w tłum.

Orkiestra zrobiła przerwę, by się odświeżyć. Młody człowiek nazwiskiem

Nino Valenti wziął porzuconą mandolinę, postawił lewą stopę na krześle i zaczął śpiewać rozwiązłą sycylijską piosenkę miłosną. Twarz Nina Valenti była przystojna, chociaż obrzmiała od ustawicznego picia, i był już trochę wstawiony. Wywracał oczami, gdy jego język pieścił sprośne słowa piosenki. Kobiety piszczały z uciechy, a mężczyźni wykrzykiwali wraz ze śpiewakiem ostatni wyraz każdej strofki.

Don Corleone, znany z surowości w takich sprawach, wycofał się taktownie do domu, choć jego tęga żona pokrzykiwała radośnie razem z innymi. Widząc to, Sonny Corleone przecisnął się do stołu panny młodej i usiadł obok pierwszej druhny, Lucy Mancini. Byli bezpieczni. Jego żona dokonywała w kuchni ostatnich zabiegów przed podaniem tortu weselnego. Sonny szepnął dziewczynie parę słów do ucha, ta zaś wstała. Sonny odczekał parę minut i od niechcienia ruszył za nią. Przeciskał się przez tłum, zatrzymując się tu i ówdzie, by porozmawiać z którymś z gości.

Wszystkie oczy podążały za nimi. Pierwsza druhna, całkowicie zamerykanizowana przez trzy lata college'u, była dojrzałą dziewczyną, mającą już „reputację”. Przez cały okres prób przed ceremonią ślubu flirtowała z Sonnym Corleone w sposób przekorny, żartobliwy, uważając, że jest to dozwolone, ponieważ Sonny był drużbą, a ona jego weselną partnerką. Teraz, uniósłszy różową suknię znad ziemi, Lucy Mancini weszła do domu, uśmiechając się ze sztuczną niewinnością, i wbiegła lekko po schodach do toalety. Pozostała tam kilka minut. Kiedy wyszła, Sonny Corleone był już na podeście i dał jej znak, by się udała wyżej.

Zza zamkniętego okna gabinetu dona Corleone, nieco podwyższonego narożnego pokoju, Thomas Hagen obserwował zabawę w ozdobionym festonami ogrodzie. Za sobą miał ściany zastawione książkami prawniczymi. Hagen był adwokatem i *consigliori*, czyli doradcą dona, i jako taki zajmował najważniejsze podległe stanowisko w interesach Rodziny. Obaj z donem rozwiązywali w tym pokoju wiele zawitych problemów, toteż kiedy zobaczył, że Ojciec Chrzestny wycofuje się z zabawy i wchodzi do domu, wiedział, że czy jest wesele, czy nie, będzie tego dnia trochę roboty. Don idzie z nim porozmawiać. A potem Hagen zauważył, że Sonny Corleone szepcze coś do ucha Lucy Mancini, i widział ich małą komedię, kiedy Sonny szedł za nią do domu. Hagen skrzywił się, zastanowił, czy powiadomić dona, ale zdecydował, że tego nie zrobi. Podeszedł do biurka i wziął ręcznie spisana listę osób, którym udzielono zezwolenia na prywatną rozmowę z donem Corleone. Kie-

dy don wszedł do pokoju, Hagen podał mu listę. Don Corleone skinął głową i powiedział:

– Zostaw Bonaserę na koniec.

Hagen wyszedł drzwiami balkonowymi prosto do ogrodu, gdzie petenci skupili się wkoło beczki wina. Wskazał palcem puciołowatego piekarza, Nazorine.

Don Corleone uściskał piekarza na powitanie. Bawili się razem jako dzieci we Włoszech i dorastali w przyjaźni. W każdą Wielkanoc napływały do domu dona Corleone świeżo upieczone serniki i pszenne placki, ze skórką złotą od żółtka, ogromne jak koła ciężarówek. W Boże Narodzenie, w dni urodzin suto oblane kremem ciastka świadczyły o szacunku Nazorinego. A przez wszystkie lata, tłuste czy chude, Nazorine ochoczo wpłacał składki związkowi piekarzy zorganizowanemu przez dona za jego młodzieńczych lat. Nigdy nie prosił w zamian o żadną uprzejmość, z wyjątkiem możliwości zakupienia na czarnym rynku bonów na cukier, wypuszczanych przez urząd regulacji cen w czasie wojny. Teraz nadeszła dla piekarza, jako lojalnego przyjaciel, pora upomnienia się o swoje prawa i don Corleone z wielką przyjemnością myślał o spełnieniu jego prośby.

Poczęstował piekarza cygarem Di Nobili oraz kieliszkiem złotej stregi i położył mu dłoń na ramieniu, aby go przynaglić do mówienia. To było świadectwem dobroci dona. Z gorzkiego doświadczenia wiedział, jakiej trzeba odwagi, by prosić drugiego człowieka o łaskę.

Piekarz opowiedział historię swej córki i Enza. Miły włoski chłopak z Sycylii, wzięty do niewoli przez wojska amerykańskie, odesłany do Stanów Zjednoczonych jako jeniec wojenny i zwalniany warunkowo, aby pomagać w naszym wysiłku wojennym! Czysta i uczciwa miłość zrodziła się między zacnym Enzem a wychuchaną Katherine, ale teraz, kiedy wojna się zakończyła, biedny chłopiec miałby być repatriowany do Włoch i córka Nazorinego na pewno umarłaby ze zmartwienia. Jedynie Ojciec Chrzestny Corleone mógł dopomóc tej ciężko doświadczonej parze. Był jej ostatnią nadzieją.

Don prowadził Nazorinego tam i z powrotem po pokoju, trzymając mu rękę na ramieniu, kiwając głową ze zrozumieniem, aby mu dodać odwagi. Kiedy piekarz skończył, don Corleone uśmiechnął się do niego i rzekł:

– Mój drogi przyjacielu, odsuń od siebie wszelkie zmartwienia.

Następnie wyjaśnił bardzo dokładnie, co należy zrobić. Trzeba zwrócić się z petycją do okręgowego kongresmana. Kongresman przedłoży specjalny

projekt ustawy, która pozwoliłaby Enzoowi uzyskać obywatelstwo. Projekt ten z pewnością przejdzie w Kongresie. Jest to przywilej, którego wszystkie te dranie udzielają sobie wzajemnie. Don Corleone wyjaśnił, że będzie to kosztowało; obecnie cena wynosi dwa tysiące dolarów. On, don Corleone, zagwarantuje załatwienie sprawy i przyjmie zapłatę. Czy jego przyjaciel się zgadza?

Piekarz energicznie pokiwał głową. Nie spodziewał się tak wielkiej łaski za nic. To było zrozumiałe. Specjalny akt Kongresu nie wypada tanio. Nazorine dziękował nieledwie ze łzami. Don Corleone odprowadził go do drzwi, zapewniając, że kompetentni ludzie zostaną przysłani do piekarni, aby załatwić wszelkie szczegóły, skompletować wszystkie potrzebne dokumenty. Piekarz uściskał go, zanim zniknął w ogrodzie.

Hagen uśmiechnął się do dona.

– To dobra inwestycja dla Nazorinego. Zięć i tani dożywotni pomocnik w piekarni, a wszystko razem za dwa tysiące dolarów. – Przerwał. – Komu mam dać tę robotę?

Don Corleone zmarszczył brwi w zamyśleniu.

– Nie naszemu *paisanowi*. Daj to temu Żydowi, który mieszka w sąsiedniej dzielnicy. Każ zmienić adresy domowe. Myślę, że teraz, po wojnie, może być dużo takich przypadków. Powinniśmy mieć dodatkowych ludzi w Waszyngtonie, którzy mogliby załatwiać napływ tych spraw, nie podnosząc ceny. – Hagen zanotował coś sobie na bloku. – Nie kongresman Luteco. Spróbuj Fischera.

Następny petent, którego Hagen wprowadził, miał sprawę bardzo prostą. Nazywał się Anthony Coppola i był synem człowieka, z którym don Corleone pracował za młodu w warsztatach kolejowych. Coppola potrzebował pięciuset dolarów, aby otworzyć pizzerię – na kaucję za urządzenia oraz specjalny piec. Z przyczyn, w które nie wnikano, nie mógł uzyskać kredytu. Don sięgnął do kieszeni i wyjął zwitek banknotów. Nie było całej sumy. Skrzywił się i poprosił Toma Hageną:

– Pożycz mi sto dolarów, zwrócę ci w poniedziałek, jak pójde do banku.

Petent zaczął zapewniać, że czterysta dolarów wystarczy aż nadto, ale don Corleone poklepał go po ramieniu, mówiąc tonem usprawiedliwienia:

– Przez to frymuśne wesele trochę mi zabrakło gotówki.

Wziął podane przez Hageną pieniądze i wręczył je Anthony'emu Coppoli wraz z własnym zwitkiem banknotów.

Hagen przypatrywał się temu z cichym podziwem. Don zawsze uczył, że kiedy ktoś jest szczodrobliwy, musi okazać tę szczodroblivość jako coś osobistego. Jakież to pochlebne dla Anthony'ego Coppoli, że taki człowiek jak don pożycza pieniądze, aby jemu udzielić pożyczki! Coppola oczywiście wiedział, że don jest milionerem, ale iluż milionerów pozwala, by ich spotkała choćby drobna niedogodność z winy ubogiego przyjaciela?

Don podniósł pytająco głowę. Hagen rzekł:

– Luca Brasi nie jest na liście, ale chce się z panem zobaczyć. Rozumie, że to nie może się odbyć publicznie, ale chce panu powinszować.

Po raz pierwszy don wydał się niezadowolony. Odpowiedź była wymijająca.

– Czy to konieczne? – zapytał.

Hagen wzruszył ramionami.

– Pan go rozumie lepiej niż ja. Ale jest bardzo wdzięczny, że pan go zaprosił na wesele. Nigdy się tego nie spodziewał. Myślę, że chce okazać swoją wdzięczność.

Don Corleone kiwnął głową i dał znak, żeby przyprowadzić do niego Lucę Brasi.

W ogrodzie Kay Adams zdumiała się gwałtowną furią odmalowaną na twarzy Luki Brasi. Spytała o niego. Michael przyprowadził Kay na wesele, ażeby powoli i może bez zbyt dużego wstrząsu wchłonęła prawdę o jego ojcu. Jednakże jak dotąd zdawała się uważać dona za odrobinę nieetycznego biznesmena. Michael postanowił powiedzieć jej część prawdy pośrednio. Wyjaśnił, że Luca Brasi jest jednym z ludzi budzących największy postrach w świecie podziemnym na Wschodnim Wybrzeżu. Mówiono, iż jego wielki talent polega na tym, że potrafi dokonać morderstwa sam jeden, bez współników, co automatycznie czyni wykrycie i zasądzenie prawie niepodobieństwem. Michael skrzywił się i dodał:

– Nie wiem, czy to wszystko prawda. Ale wiem, że jest przyjacielem ojca.

Po raz pierwszy Kay zaczęła rozumieć. Spytała z lekkim niedowierzaniem:

– Chyba nie dajesz do zrozumienia, że taki człowiek pracuje dla twego ojca?

Do diabła z tym – pomyślał. Powiedział prosto z mostu:

– Blisko piętnaście lat temu pewni ludzie chcieli przejąć import oliwy, który prowadził mój ojciec. Próbowali go zabić i o mało im się to nie udało. Luca Brasi zaczął ich tropić. Podobno zabił sześciu ludzi w dwa tygodnie i to

zakończyło słynną wojnę o oliwę. – Uśmiechnął się tak, jakby to był żart.

Kay wzdrygnęła się.

– To znaczy, że do twojego ojca strzelali gangsterzy?

– Piętnaście lat temu – wyjaśnił Michael. – Od tej pory jest spokój. – Złakł się, że posunął się za daleko.

– Próbujesz mnie przestraszyć – powiedziała Kay. – Po prostu nie chcesz, żebym za ciebie wyszła. – Uśmiechnęła się i dała mu kuksańca w bok. – Bardzo sprytne.

Michael odwzajemnił jej uśmiech.

– Chcę, żebyś się nad tym zastanowiła – odrzekł.

– Naprawdę zabił sześciu ludzi? – spytała.

– Tak twierdziły gazety – odparł Mike. – Nikt tego nigdy nie udowodnił. Ale jest inna historia na jego temat, której nikt nigdy nie opowiada. Podobno jest taka straszna, że nawet ojciec nie chce o tym mówić. Tom Hagen ją zna i nie chce mi jej zdradzić. Raz się z nim przekomarzałem i zapytałem: „Kiedy będę dostatecznie dorosły, żeby usłyszeć tę historię o Luce?”, a Tom powiedział: „Jak będziesz miał sto lat”. – Michael napił się wina. – To musi być nie byle jaka historia. I nie byle jaki ten Luca.

Istotnie, Luca Brasi był człowiekiem, który przestraszyłby samego diabła w piekle. Niski, przysadzisty, o masywnej czaszce, samą swą obecnością nadawał sygnały zagrożenia. Twarz jego jakby zakrzepła w maskę furii. Oczy miał piwne, ale bez ciepła właściwego tej barwie, raczej matowopłowe. Usta były nie tyle okrutne, co bez życia – wąskie, gumowate, koloru cielęciny.

Opinia o gwałtowności Brasiego budziła grozę, a jego oddanie donowi Corleone było legendarne. Sam w sobie stanowił jeden z wielkich bloków podtrzymujących strukturę władzy dona. Tacy jak on należeli do rzadkości.

Luca Brasi nie bał się policji, nie bał się społeczeństwa, nie bał się Boga, nie bał się piekła, nie bał się ani nie kochał swego bliźniego. Ale zdecydował się, postanowił sobie bać się i kochać dona Corleone. Przyrowadzony przed oblicze dona, straszliwy Brasi cały zeszywniał z respektu. Wybąkał kwieciste powinszowania i wyrazy nadziei, że pierwsze wnuczę będzie rodzaju męskiego. Następnie wręczył donowi kopertę wypchaną gotówką jako prezent dla nowożeńców.

A więc to chciał uczynić. Hagen zauważył zmianę w donie Corleone. Don przyjął Brasiego tak, jak król wita poddanego, który wyświadczył mu ogromną przysługę – bez poufałości, ale z monarszym szacunkiem. Każdym swym

gestem, każdym słowem don Corleone wyraźnie okazywał Brasiemu, że jest ceniony. Ani przez chwilę nie pokazał zdziwienia, że prezent ślubny zostaje wręczony jemu osobiście. Zrozumiał.

Pieniędzy w kopercie było bez wątpienia więcej, niż ich dał ktokolwiek inny. Brasi poświęcił wiele godzin na powzięcie decyzji co do sumy, na porównywanie jej z tym, co mogą ofiarować inni goście. Chciał być najhojniejszy, aby pokazać, że ma najwięcej szacunku, i dlatego wręczył kopertę donowi osobiście, którą to niezręczność don pominął w kwiecistych słowach podziękowania. Hagen widział, jak twarz Luki Brasi pozbywała się maski furii i nabrzmiewała dumą i satysfakcją. Brasi ucałował dłoń dona, nim wyszedł drzwiami, które otworzył mu Hagen. Hagen przezornie obdarzył Brasiego przyjaznym uśmiechem, który krępy mężczyzna pokwitował uprzejmym rozciągnięciem gumowatych warg barwy cielęciny.

Kiedy drzwi się zamknęły, don Corleone wydał ciche westchnienie ulgi. Brasi był jedynym człowiekiem na świecie, który potrafił przyprawić go o nerwowość. Był jakby siłą natury, w gruncie rzeczy niepodlegającą kontroli. Należało obchodzić się z nim ostrożnie jak z dynamitem. Don wzruszył ramionami. Nawet dynamit można detonować bez szkody, jeżeli zajdzie potrzeba. Popatrzył pytająco na Hagen.

– Czy został tylko Bonasera?

Hagen kiwnął głową. Don Corleone zmarszczył brwi w zamyśleniu, po czym rzekł:

– Zanim go wprowadzisz, powiedz Santinowi, żeby tu przyszedł. Powinien nauczyć się pewnych rzeczy.

Wyszedszy do ogrodu, Hagen zaczął pilnie rozglądać się za Sonnym Corleone. Powiedział Bonasera, żeby czekał cierpliwie, po czym podszedł do Michaela Corleone i jego dziewczyny.

– Widziałeś gdzie Sonny'ego? – zapytał.

Michael potrząsnął głową. Do diabła – pomyślał Hagen – jeżeli Sonny przez cały ten czas rżnie pierwszą druhnę, będzie z tego masa kłopotów. Jego żona, rodzina dziewczyny; może dojść do katastrofy. Niespokojnie pospieszył do wejścia, w którym prawie pół godziny temu widział znikającego Sonny'ego.

Widząc, że Hagen wchodzi do domu, Kay Adams zapytała Michaela Corleone:

– Kto to taki? Przedstawiłeś go jako brata, a przecież ma inne nazwisko

i na pewno nie wygląda na Włocha.

– Tom mieszkał z nami od dwunastego roku życia – odrzekł Michael. – Jego rodzice umarli i włóczył się po ulicach z paskudną infekcją oka. Sonny sprowadził go któregoś wieczoru do domu i Tom po prostu został. Nie miał gdzie iść. Mieszkał u nas, dopóki się nie ożenił.

Kay Adams była zachwycona.

– To naprawdę romantyczne – zawołała. – Twój ojciec musi mieć bardzo dobre serce. Tak zaadoptować kogoś, kiedy ma się tyle własnych dzieci.

Michael nie zadał sobie trudu, aby nadmienić, że włoscy imigranci uważają czworo dzieci za nieliczną rodzinę. Powiedział jedynie:

– Tom nie został zaadoptowany. Po prostu zamieszkał z nami.

– Ach, tak – rzekła Kay, po czym spytała z zaciekawieniem: – Czemu go nie adoptowaliście?

Michael roześmiał się.

– Bo ojciec stwierdził, że byłoby nieposzanowaniem, gdyby Tom zmienił nazwisko. Nieposzanowaniem wobec jego rodziców.

Spostrzegli Hagenę wprowadzającego Sonny'ego przez drzwi balkonowe do gabinetu dona, a potem kiwającego palcem na Ameriga Bonaserę.

– Dlaczego oni w takim dniu zawracają twojemu ojcu głowę interesami? – spytała Kay.

Michael roześmiał się znowu.

– Bo wiedzą, że zgodnie z tradycją żaden Sycylijczyk nie może odmówić prośbie w dniu ślubu córki. I żaden Sycylijczyk nie przepuszcza takiej okazji.

Lucy Mancini uniosła różową suknię i wbiegła na schody. Pyzata, kupidynowa twarz Sonny'ego Corleone, obleśnie zaczerwieniona od wina i żądry, budziła w niej lęk, ale Lucy prowokowała go przez ubiegły tydzień właśnie w tym celu. Podczas swych dwóch przygód miłosnych w college'u nie czuła nic, i żadna z nich nie trwała dłużej niż tydzień. Jej drugi kochanek, pokłóciwszy się z nią, bąknął coś na temat tego, że „jest za duża tam niżej”. Lucy zrozumiała i przez resztę studiów odmawiała chodzenia na randki.

W lecie, podczas przygotowań do ślubu swojej najbliższej przyjaciółki, Connie Corleone, Lucy słyszała szeptane opowieści o Sonnym. Któregoś niedzielnego popołudnia żona Sonny'ego, Sandra, plotkowała swobodnie w kuchni. Sandra była prostą, poczciwą kobietą, która urodziła się we Wło-

szech, ale została przywieziona do Ameryki jako małe dziecko. Była mocno zbudowana, miała duże piersi i urodziła już troje dzieci w ciągu pięciu lat małżeństwa. Sandra i inne kobiety przekomarzały się z Connie na temat okropności małżeńskiego łoża. „Mój Boże – chichotała Sandra – jakem pierwszy raz zobaczyła ten drąg Sonny’ego i zdałam sobie sprawę, że mi go wsadzi, zaczęłam się drzeć, jakby mnie mordowali. Po pierwszym roku miałam wszystko w środku rozklejone jak makaron po godzinie gotowania. Kiedy się dowiedziałam, że posuwa inne dziewczyny, poleciałam do kościoła i zapaliłam świeczkę”.

Wszystkie się roześmiały, ale Lucy poczuła, że drgają jej uda.

Gdy teraz wbiegała po schodach do Sonny’ego, przez jej ciało przeleciał ogromny błysk pożądania. Na podeście Sonny złapał ją za rękę i pociągnął korytarzem do pustej sypialni. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, nogi ugięły się pod Lucy. Poczowała usta Sonny’ego na swoich, jego wargi miały gorzki smak wypalonego tytoniu. Rozchyliła usta. W tej chwili uczuła jego rękę wsuwającą się pod suknię, usłyszała szelest pękającego materiału między nogami, poczuła wielką, ciepłą dłoń Sonny’ego, która rozdzierała atłasowe majteczki, aby popieścić jej srom. Objęła Sonny’ego za szyję i tak zawisała, kiedy rozpinał spodnie. Potem podłożył obie dłonie pod jej nagie pośladki i uniósł ją w górę. Podskoczyła lekko, tak że jej nogi oplotły jego biodra. Język Sonny’ego był w jej ustach i ssała go. Pchnął ją tak dziko, że uderzyła głową o drzwi. Poczowała, że coś palącego wsuwa się między jej uda. Opuściła prawą rękę z jego szyi i sięgnęła w dół, aby go naprowadzić. Jej dłoń objęła olbrzymi, nabiegły krwią drąg mięśni. Pulsował w jej ręce jak żywe stworzenie i niemal płacząc w pełnej wdzięczności ekstazie, nakierowała go w swoje wilgotne, obrzmiałe ciało. Pchnięcie jego wejścia, niewiarygodna przyjemność zaparły jej dech w piersiach; zadarła nogi niemal do szyi Sonny’ego i wtedy w jej ciało, niczym w kołczan, zaczęły przenikać szalone strzały jego błyskawicznych pchnięć, niezliczonych, dręczących; wyginała krocze coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie po raz pierwszy w życiu dosięgła wstrząsającego szczytu, poczuła załamującą się twardość, a potem strumień nasienia ociekający po udach. Powoli jej nogi rozluźniły się wokół jego ciała i osunęły w dół, aż wreszcie dotknęły podłogi. Oboje oparli się o siebie bez tchu.

Możliwe, że trwało to już od jakiegoś czasu, ale dopiero teraz usłyszeli ciche pukanie do drzwi. Sonny szybko zapiął spodnie zapiąłszy się o drzwi, aby nie można ich było otworzyć. Lucy gorączkowo obciągała różową suk-

nię, oczy jej błyszczały, ale to, co jej dało tyle przyjemności, było już ukryte pod skromnym, czarnym materiałem. A potem usłyszeli głos Toma Hagen, bardzo ściszonej:

– Sonny, jesteś tam?

Sonny odetchnął z ulgą. Mrugnął do Lucy.

– Tak, Tom, o co chodzi?

Głos Hagen, wciąż przyciszony, powiedział:

– Don chce, żebyś przyszedł do jego gabinetu. Zaraz.

Potem usłyszeli jego oddalające się kroki. Sonny odczekał kilka chwil, pocałował mocno Lucy w usta, po czym wysunął się z pokoju za Hagenem.

Lucy poczesła sobie włosy. Sprawdziła suknię i podciągnęła podwiązki. Ciało miała obolałe, wargi rozpulchnione i nadwrażliwe. Wyszła z pokoju i chociaż czuła między udami lepką wilgotność, nie zaszła do łazienki, aby się obmyć, lecz zbiegła prosto po schodach do ogrodu. Usiadła na swoim miejscu przy stole panny młodej, obok Connie, która wykrzyknęła z rozdrażnieniem:

– Lucy, gdzieś ty była? Wyglądasz na pijaną. Zostań teraz przy mnie.

Jasnowłosy pan młody nalał Lucy wina i uśmiechnął się porozumiewawczo. Lucy było to obojętne. Podniosła do spieczonych ust gronowy, ciemnoczerwony płyn i wypila. Czuła lepką wilgotność między udami i ścisnęła nogi. Ciało jej drżało. Gdy piła, oczy ponad krawędzią szklanki szukały chciwie Sonny’ego Corleone. Nie pragnęła widzieć nikogo innego. Szepnęła chytrze do ucha Connie:

– Jeszcze parę godzin i będziesz wiedziała, jak to jest.

Connie zachichotała. Lucy złożyła skromnie dłonie na stole, zdradziecko triumfująca, tak jakby skradła jakiś skarb pannie młodej.

Amerigo Bonasera wszedł za Hagenem do narożnego pokoju i zastał dona Corleone siedzącego za olbrzymim biurkiem. Przy oknie stał Sonny Corleone, wyglądając na ogród. Po raz pierwszy tego popołudnia don zachował się chłodno. Nie uściskał gościa ani nie podał mu ręki. Wybladły przedsiębiorca pogrzebowy zawdzięczał zaproszenie faktowi, że jego żona i żona dona były najbliższymi przyjaciółkami. Sam Amerigo Bonasera był w głębokiej niełasce u dona Corleone.

– Musi pan wybaczyć mojej córce, chrzestnej córce pana żony, że nie zło-

żyła waszej rodzinie uszanowania, przychodząc dzisiaj. Jeszcze jest w szpitalu.

Zerknął na Sonny'ego Corleone i Toma Hagen, by dać do zrozumienia, że nie chce mówić przy nich. Ale don był nieubłagany.

– Wszyscy wiemy o nieszczęściu twojej córki – powiedział don Corleone. – Jeżeli mogę jej w czymś pomóc, wystarczy ci powiedzieć. Bądź co bądź, moja żona jest jej matką chrzestną. Nigdy nie zapomniałem o tym zaszczycie.

Była to nagana. Przedsiębiorca pogrzebowy nigdy nie zwracał się do dona Corleone „Ojcie Chrzestny”, tak jak nakazywał zwyczaj.

Bonasera, z poszarzałą twarzą, zapytał teraz wprost.

– Czy mógłbym pomówić z panem sam na sam?

Don Corleone potrząsnął głową.

– Tym dwóm ludziom zawierzyłbym własne życie. Są moimi dwiema prawymi rękami. Nie mogę ich obrazić, kazać im odejść.

Przedsiębiorca pogrzebowy zamknął na chwilę oczy, po czym zaczął mówić. Jego głos był spokojny – ten głos, którym posługiwał się do pocieszania osieroconych.

– Wychowałem moją córkę na sposób amerykański. Wierzę w Amerykę. Ameryka dała mi majątek. Pozostawiłem córce swobodę, ale uczyłem ją nigdy nie hańbić rodziny. Znalazła sobie chłopca, nie-Włocha. Chodziła z nim do kina. Wracała późno. Ale nigdy nie przyszedł poznać jej rodziców. Przyjmowałem to wszystko bez protestu, wina jest moja. Dwa miesiące temu zabrał ją na przejażdżkę. Miał ze sobą kolegę. Zmusili ją do picia whisky, a potem próbowali ją wykorzystać. Opierała się. Zachowała swoją cześć. Pobili ją. Jak zwierzę. Kiedy poszedłem do szpitala, miała podbite oczy. Złamany nos. Pękniętą szczękę. Trzeba ją było zdrutować. Płakała z bólu. „Ojcie, ojcie dlaczego oni to zrobili? Dlaczego mi to zrobili?” I ja płakałem.

Bonasera nie mógł dalej mówić, rozplakał się, chociaż dotąd głos jego nie zdradzał wzruszenia.

Don Corleone, jak gdyby wbrew swojej woli, uczynił gest współczucia, i Bonasera jął mówić dalej, głosem pełnym ludzkiego cierpienia:

– Dlaczego płakałem? Ona była światłem mojego życia, czułą córką. Piękną dziewczyną. Ufała ludziom, a teraz już nigdy nie będzie im ufała. Już nigdy nie będzie piękna.

Drżał, a jego woskowa twarz powlekała się złą, ciemną czerwienią.

– Poszedłem na policję, jak na dobrego Amerykanina przystało. Obaj zo-

stali aresztowani. Przeprowadzono ich na rozprawę. Dowody były przytłaczające, więc się przyznali do winy. Sędzia skazał ich na trzy lata więzienia i zawiesił wyrok. Zwolnili ich tego samego dnia. Stałem w sali sądowej jak głupiec, a te dranie uśmiechały się do mnie. I wtedy powiedziałem żonie: „Musimy iść do dona Corleone”.

Don pochylił głowę, aby okazać szacunek dla bólu tego człowieka. Jednakże kiedy przemówił, słowa jego były zimne od urażonej godności:

– Dlaczego poszedłeś na policję? Dlaczego nie przyszedłeś do mnie na początku tej sprawy?

Bonasera wymamrotał niemal niedosłyszalnie:

– Czego pan chce ode mnie? Niech pan powie, czego pan sobie życzy? Ale niech pan zrobi to, o co proszę. – W jego słowach było coś prawie zuchwałego.

Don Corleone zapytał poważnie:

– A o co chodzi?

Bonasera zerknął na Hagenę i Sonny'ego Corleone i potrząsnął głową. Don, siedzący nadal przy biurku Hageny, pochylił się ku przedsiębiorcy pogrzebowemu. Bonasera zawahał się, potem nachylił i przysunął usta tak blisko do owłosionego ucha dona, że prawie go dotknął. Don Corleone słuchał jak ksiądz w konfesjonale, spoglądając w dal, nieporuszony, zamyślony. Trwali tak długą chwilę, aż wreszcie Bonasera przestał szeptać i wyprostował się na całą wysokość. Don popatrzał na niego z powagą. Bonasera, z poczerwieniałą twarzą, odwzajemnił mu nieugięte spojrzenie. W końcu don przemówił:

– Tego nie mogę zrobić. Ponosi cię.

Bonasera powiedział głośno, wyraźnie:

– Zapłacę, ile pan zechce.

Słyszając to, Hagenę drgnął, nerwowo targnął głową. Sonny Corleone skrzyżował ramiona i uśmiechnął się sardonicznie, odwracając się od okna, by po raz pierwszy popatrzeć na scenę rozgrywającą się w pokoju.

Don Corleone wstał zza biurka. Twarz miał nadal nieporuszoną, ale głos jego brzmiał lodowato.

– Znamy się od wielu lat – przemówił do przedsiębiorcy pogrzebowego – ale do dzisiejszego dnia nigdy nie przychodziłeś do mnie po radę czy pomoc. Nie przypominam sobie, kiedy ostatnio zaprosiłeś mnie do swego domu na kawę, chociaż moja żona jest matką chrzestną twojego jedyne dziecko.

Bądźmy ze sobą szczerzy. Pogardziłeś moją przyjaźnią. Bałeś się być moim dłużnikiem.

– Nie chciałem popaść w kłopoty – wymamrotał Bonasera.

Don podniósł rękę.

– Nic nie mów. Uznałeś, że Ameryka jest rajem. Interes szedł ci dobrze, zarabiałeś na dobre życie, uważałeś świat za nieszkodliwe miejsce, gdzie możesz do woli korzystać z przyjemności. Nigdy nie otoczyłeś się prawdziwymi przyjaciółmi. Bądź co bądź chroniła cię policja, istniały sądy, tobie i twoim nie mogło stać się nic złego. Nie potrzebowałeś dona Corleone. W porządku. Moje uczucia były zranione, ale nie jestem człowiekiem, który narzucałby swoją przyjaźń tym, którzy jej nie cenią... tym, którzy uważają, że niewiele się liczę. – Don przerwał i uśmiechnął się do przedsiębiorcy pogrzebowego uprzejmym, ironicznym uśmiechem. – A teraz przychodzisz do mnie i powiadasz: donie Corleone, proszę o sprawiedliwość. I nie prosisz z uszanowaniem. Nie ofiarowujesz mi swej przyjaźni. Przychodzisz do mojego domu w dzień ślubu mojej córki i prosisz mnie o dokonanie morderstwa, i mówisz – tu głos dona stał się szyderczym przedrzeźnianiem – zapłacę, ile pan zechce. Nie, nie jestem obrażony, ale co ja zrobiłem, że mnie traktujesz tak bez szacunku?

Bonasera wykrzyknął w udręce i strachu:

– Ameryka była dla mnie dobra! Chciałem być dobrym obywatelem. Chciałem, żeby moja córka była Amerykanką.

Don klasnął w dłonie z wyraźną aprobatą.

– Dobrze powiedziane. Doskonale. Więc nie masz na co się skarżyć. Sędzia zawyrokował. Ameryka zawyrokowała. Zanieś córce kwiaty i pudełko łakoci, jak pójdziesz ją odwiedzić w szpitalu. To ją pocieszy. Bądź zadowolony. Ostatecznie to nie jest poważna sprawa, chłopcy byli młodzi, rozhukani, a jeden z nich jest synem wpływowego polityka. Nie, mój drogi Amerigo, ty zawsze byłeś uczciwy. Muszę przyznać, choć pogardziłeś moją przyjaźnią, że bardziej ufałbym słowu Ameriga Bonasery niż czyjemukolwiek innemu. Dlatego daj mi słowo, że wyrzekniesz się tego szaleństwa. To nie po amerykańsku. Przebaczone. Zapomnij. Życie jest pełne nieszczęść.

Okrutna i pogardliwa ironia, z jaką to wszystko zostało powiedziane, hamowany gniew dona przemieniły biednego przedsiębiorcę pogrzebowego w dygoczącą galaretę, lecz mimo to przemówił dzielnie znowu:

– Proszę o sprawiedliwość.

Don Corleone odparł krótko:

– Sąd wymierzył ci sprawiedliwość.

Bonasera uparcie potrząsnął głową.

– Nie. Wymierzył sprawiedliwość tym młodym. Nie mnie.

Don skwitował to subtelne rozróżnienie aprobującym kiwnięciem głowy, po czym zapytał:

– Jaka jest twoja sprawiedliwość?

– Oko za oko – odrzekł Bonasera.

– Żądałeś więcej – przypomniał don. – Twoja córka żyje.

– Niech oni cierpią tak, jak ona cierpi – rzekł z wahaniem Bonasera. Don czekał, co powie dalej. Bonasera zebrał się na ostatek odwagi i zapytał: – Ile mam panu zapłacić? – Był to rozpaczliwy jęk.

Don Corleone odwrócił się do niego plecami. Oznaczało to odprawienie. Bonasera ani drgnął.

W końcu, wzdychając jak człowiek o dobrym sercu, który nie może długo się gniewać na błędzącego przyjaciela, don Corleone obrócił się na powrót do przedsiębiorcy pogrzebowego, który był teraz blady jak jeden z jego nieboszczyków. Don Corleone mówił łagodnie, cierpliwie:

– Dlaczego boisz się zachować lojalność przede wszystkim wobec mnie? – zapytał. – Zwracasz się do sądów i czekasz całe miesiące. Wydajesz pieniądze na adwokatów, którzy doskonale wiedzą, że wyjdiesz na głupca. Przyjmujesz wyrok sędziego, który jest sprzedajny jak najgorsza dziewczka z ulicy. Od lat, kiedy potrzebowałeś pieniędzy, chodziłeś do banków, płaciłeś rujnujące procenty, czekałeś z czapką w ręku jak żebrak, podczas gdy oni węszyli, wsadzali ci nos w tyłek, by się upewnić, czy zdołasz ich spłacić.

Don przerwał, jego głos stał się surowszy.

– A gdybyś przyszedł do mnie, moja kieszka byłaby twoją. Gdybyś przyszedł do mnie po sprawiedliwość, te szumowiny, które skrzywdziły twoją córkę, płakałyby dziś gorzkimi łzami. Gdyby przez jakieś nieszczęście taki porządny człowiek jak ty narobił sobie wrogów, staliby się oni moimi wrogami... – don podniósł rękę z palcem wymierzonym w Bonaserę – a wtedy, wierz mi, baliby się ciebie.

Bonasera pochylił głowę i wymamrotał zdławionym głosem:

– Niech pan mi będzie przyjacielem. Przyjmuję.

Don Corleone położył mu dłoń na ramieniu.

– Dobrze – powiedział. – Będziesz miał sprawiedliwość. Któregoś dnia,

a ten dzień może nigdy nie nadejść, zwrócę się do ciebie, żebyś mi w zamian oddał przysługę. Do tego dnia uważaj tę sprawiedliwość za podarunek od mojej żony, matki chrzestnej twojej córki.

Kiedy drzwi się zamknęły za wdzięcznym przedsiębiorcą pogrzebowym, don Corleone obrócił się do Hagena i rzekł:

– Daj tę sprawę Clemenzy i powiedz mu, żeby użył ludzi pewnych, takich, których nie poniesie zapach krwi. Bądź co bądź nie jesteśmy mordercami, bez względu na to, co ten posługacz nieboszczyków ubrał sobie w swojej głupiej głowie.

Zauważył, że jego pierworodny przygląda się przez okno zabawie w ogrodzie. To beznadziejne – pomyślał don Corleone. – Jeżeli nie chce skorzystać z pouczenia, Santino nie będzie mógł nigdy prowadzić rodzinnych interesów, nie będzie nigdy mógł zostać donem. Trzeba znaleźć kogoś innego. I to prędko. Ostatecznie on sam nie jest nieśmiertelny.

Z ogrodu doleciał radosny, gromki krzyk, zaskakując wszystkich trzech mężczyzn. Sonny Corleone przysunął się do okna. To, co zobaczył, sprawiło, że ruszył szybko do drzwi, z uśmiechem rozradowania na twarzy.

– Jest Johnny, przyjechał na wesele, a nie mówiłem?

Hagen podszedł do okna.

– To rzeczywiście pański syn chrzestny – powiedział do dona Corleone. – Przyprorowadzić go tutaj?

– Nie – odrzekł don. – Niech ludzie się nim nacieszą. Niech przyjdzie do mnie, jak będzie gotowy. – Uśmiechnął się do Hagena. – A widzisz? Jest dobrym chrzestnym synem.

Hagen poczuł ukłucie zazdrości. Powiedział sucho:

– Minęły już dwa lata. Pewnie ma znowu kłopoty i chce pańskiej pomocy.

– A do kogo ma pójść, jak nie do swego ojca chrzestnego? – zapytał don Corleone.

Pierwszą osobą, która zobaczyła Johnny'ego Fontane wchodzącego do ogrodu, była Connie Corleone. Zapomniała o swojej godności oblubienicy i wrzasnęła: „Johnny!”. Potem rzuciła mu się w ramiona. Przytulił ją mocno, pocałował w usta i obejmował ją w pół, gdy inni nadbiegli, by go powitać. Byli to wszystko jego starzy przyjaciele, ludzie, z którymi dorastał na West Side. A potem Connie pociągnęła go do męża. Johnny zauważył z rozbawie-

niem, iż jasnowłosy młody człowiek ma nieco kwaśną minę, widząc, że nie jest już gwiazdą tego dnia. Roztoczył więc cały swój urok, ściskając dłoń pana młodego, pijąc jego zdrowie szklanką wina.

Z podium dla orkiestry znajomy głos zawołał:

– A może byś nam zaśpiewał, Johnny?

Podniósł wzrok i zobaczył uśmiechającego się doń Nina Valentiego. Johnny Fontane wskoczył na podium i porwał Nina w objęcia. Niegdyś byli nierozłączni, razem śpiewali, razem chodzili na randki z dziewczynami, dopóki Johnny nie zaczął być sławny i śpiewać w radiu. Kiedy wyjechał do Hollywood, by robić filmy, telefonował parokrotnie do Nina, po prostu, żeby pogadać, i obiecał załatwić mu występy w nocnym lokalu. Jednakże nigdy tego nie zrobił. Kiedy teraz zobaczył Nina i jego radosny, kpiarski, pijacki uśmiech, całe dawne przywiązanie powróciło.

Nino zaczął brzdąkać na mandolinie. Johnny Fontane położył mu dłoń na ramieniu.

– To będzie dla panny młodej – powiedział i przytupując w takt, zaśpiewał słowa rozwiązłej miłosnej piosenki sycylijskiej. Kiedy śpiewał, Nino wykonywał ciałem sugestywne ruchy. Panna młoda zarumieniła się dumnie, tłum gości ryczał z aprobatą. Zanim piosenka się skończyła, wszyscy przytupywali i wyrzaskiwali swawolne, dwuznaczne słowa, kończące każdą zwrotkę. A potem nie przestali klaskać, dopóki Johnny nie odchrząknął, aby zaśpiewać następną piosenkę.

Wszyscy byli z niego dumni. Był jednym z nich i został sławnym piosenkarzem, gwiazdorem filmowym, który sypiał z najbardziej pożądanymi kobietami na świecie. A mimo to okazał należny szacunek swojemu ojcu chrzestnemu, przemierzając trzy tysiące mil, aby wziąć udział w tym weselu. Nadal kochał takich starych przyjaciół, jak Nino Valenti. Wielu z obecnych widywało Johnny'ego i Nina śpiewających razem, kiedy jeszcze nikomu się nie śniło, iż Johnny Fontane zajdzie tak wysoko, że będą biły dla niego serca pięćdziesięciu milionów kobiet.

Johnny Fontane pochylił się i wciągnął pannę młodą na podium, tak że Connie stanęła między nim a Ninem. Obaj przykucnęli zwróceniami twarzami do siebie, a Nino wydobył z mandoliny kilka ostrych tonów. Była to ich stara zagrywka, żartobliwa walka i zaloty, posługiwanie się głosem jak szpadą, przy czym obaj wyśpiewywali kolejno refren. Z najdelikatniejszą kurtuazją Johnny pozwolił głosowi Nina dominować nad swoim, pozwolił Ninowi zabrać

mu z objąć pannę młodą, pozwolił mu odśpiewać ostatnią zwycięską zwrotkę, podczas gdy goście wybuchali okrzykami zachwytu, a cała trójka uściskała się na zakończenie. Goście błagali o jeszcze jedną piosenkę.

Jedynie don Corleone, stojąc w narożnym wejściu do domu, wyczuwał, że czegoś tu brak. Wesoło, ze swojskim humorem, bacząc, by nie urazić gości zawołał:

– Mój chrześniak przejeżdża trzy tysiące mil, żeby nas uczyć, a nikt nie pomyśli, żeby zwilżyć mu gardło?

Od razu wyciągnięto do Johnny'ego Fontane tuzin szklanek wina. Wypił po łyku z każdej i pobiegł uściskać swojego ojca chrzestnego. Czyniąc to, szepnął mu coś do ucha. Don Corleone poprowadził go do domu.

Tom Hagen wyciągnął rękę, gdy Johnny wszedł do pokoju. Johnny uściśnął ją i powiedział:

– Jak się masz, Tom? – ale bez zwykłego czarunku, który polegał na prawdziwym cieple w stosunku do ludzi. Hagen był nieco dotknięty tym chłodem, lecz przeszedł nad nim do porządku. Była to cena, którą się płaciło za stanowisko prawej ręki dona.

Johnny Fontane rzekł do dona:

– Kiedy dostałem zawiadomienie o ślubie, powiedziałem sobie: „Mój ojciec chrzestny nie jest już na mnie zły”. Dzwoniłem do ciebie pięć razy po rozwodzie i Tom zawsze mi mówił, że cię nie ma albo że jesteś zajęty, więc wiedziałem, że się gniewasz.

Don Corleone napełnił kieliszki z żółtej butelki stregi.

– To już jest zapomniane. Teraz. Czy mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić? Nie jesteś zanadto sławny, zanadto bogaty, żebym mógł ci dopomóc?

Johnny przełknął żółty, ognisty płyn i wyciągnął kieliszek do ponownego napełnienia. Usiłował mówić beztrząskowo.

– Nie jestem bogaty, ojciec chrzestny. Zjeżdżam w dół. Miałaś rację. Nie powinienem był nigdy rzucać żony i dzieci dla tej szmaty, z którą się ożeniłem. Nie dziwię ci się, że byłeś na mnie zły.

Don wzruszył ramionami.

– Martwiłem się o ciebie, jesteś moim chrześniakiem, to wszystko.

Johnny chodził tam i z powrotem po pokoju.

– Szalałem za tą dziwką. Największa gwiazda w Hollywood. Wyglądała jak anioł. A wiesz, co ona robi po nakręceniu filmu? Jeżeli charakteryzator wykonał dobrą robotę z jej twarzą, pozwala mu się zerznąć. Jeżeli operator

postarał się, żeby wyglądała dobrze, sprowadza go do garderoby i kładzie się z nim. Z każdym. Używa swojego ciała tak jak drobnych z kieszeni na napiwki. Kurwa przeznaczona dla diabła.

Don Corleone wtrącił krótko:

– Jak twoja rodzina?

Johnny westchnął.

– Zaopiekowałem się nimi. Po rozwodzie dałem Ginny i dzieciom więcej, niż nakazał sąd. Odwiedzam ich raz na tydzień. Brak mi ich. Chwilami zdaje mi się, że dostaję fioła. – Wypił jeszcze łyk. – A moja druga żona śmieje się ze mnie. Nie może zrozumieć mojej zazdrości. Nazywa mnie staroświeckim makaroniarzem, wyśmiewa się z mojego śpiewu. Przed wyjazdem spuściłem jej porządne lanie, ale nie po twarzy, bo kręci film. Tłukłem ją, waliłem po rękach i nogach, a ona się ze mnie śmiała. – Zapalił papierosa. – Więc widzisz, ojcie chrzestny, w tej chwili wydaje się, że nie warto żyć.

Don Corleone odrzekł po prostu:

– To są kłopoty, na które nie mogę ci poradzić. – Przerwał, po czym zapytał: – A co jest z twoim głosem?

Cały ufny urok, podkpiwanie z samego siebie zniknęły z twarzy Johnny'ego Fontane. Powiedział prawie załamany:

– Ojcie chrzestny, ja już nie mogę śpiewać, coś się stało z moim gardłem, doktorzy nie wiedzą co. – Hagen i don popatrzyli na niego ze zdumieniem; Johnny był zawsze twardy. Mówił dalej: – Moje dwa filmy przyniosły masę pieniędzy. Byłem wielkim gwiazdorem. A teraz mnie wyrzucają. Kierownik wytwórni zawsze mnie nie cierpiał i teraz się na mnie odgrywa.

Don Corleone przystanął przed chrzestnym synem i spytał ponuro:

– Dlaczego ten człowiek cię nie lubi?

– Bo śpiewałem piosenki dla liberalnych organizacji, wiesz, to, co ci się u mnie nigdy nie podobało. No i Jackowi Woltzowi też się to nie podobało. Nazwał mnie komunistą, ale nie mógł mi tego przykleić na dobre. A potem poderwałem dziewczynę, którą przeznaczył dla siebie. To była robota wyłącznie na jedną noc, a ona leciała na mnie. Co mogłem zrobić, u diabła? Teraz znów wyrzuca mnie ta kurwa, moja druga żona. Ginny i dzieci nie przyjmą mnie z powrotem, chyba że się przyczolgam na kolanach, a poza tym nie mogę śpiewać. Ojcie chrzestny, co u licha mam robić?

Twarz dona Corleone stała się zimna, bez śladu współczucia. Powiedział pogardliwie:

– Możesz zacząć postępować jak mężczyzna. – Nagle gniew wykrzywił mu twarz. Krzyknął: – JAK MĘŻCZYŻNA! – wyciągnął rękę nad biurkiem i złapał Johnny’ego za włosy gestem, który był w jakiś dziki sposób czuły. – Na rany Chrystusa, czy to możliwe, że tyle czasu spędziłeś przy mnie i nie wyszedłeś na nic lepszego? Hollywoodzki *finocchio*, który płacze i błaga o litość? Który chlipie jak baba: Co mam robić? Och, co mam robić?

To naśladowanie było tak doskonałe, tak niespodziewane, że Hagen i Johnny nagle się roześmieli. Don Corleone był zadowolony. Przez chwilę pomyślał, jak bardzo kocha tego chrześniaka. Jak zareagowałiby jego trzej synowie na podobne zbesztanie? Santino dąsałby się i zachowywał niewłaściwie przez długie tygodnie. Fredo byłby zastraszonej. Michael uśmiechnąłby się zimno i wyszedł z domu, by zniknąć na całe miesiące. Natomiast Johnny – ach, jakież to fajny chłopak; już się uśmiecha, zbiera siły, już wie, co ma na prawdę na celu jego ojciec chrzestny.

Don Corleone mówił dalej:

– Zabrałeś kobietę swojemu szefowi, człowiekowi mocniejszemu od ciebie, a potem narzekasz, że nie chce ci pomóc. Cóż to za nonsens! Zostawiłeś swoją rodzinę, swoje dzieci bez ojca, żeby ożenić się z dziwką, i płaczesz, że nie przyjmują cię z otwartymi rękami. Tej kurwy nie bijesz po twarzy, bo robi film, a potem jesteś zdumiony, że się z ciebie wyśmiewa. Żyłeś jak głupiec i spotkał cię los głupca.

Don Corleone przerwał i spytał głosem pełnym cierpliwości:

– Czy chcesz tym razem posłuchać mojej rady?

Johnny Fontane wzruszył ramionami.

– Nie mogę na nowo ożenić się z Ginny na takich warunkach, jak by chciała. Muszę grać w karty, muszę pić, muszę się bawić. Uganiają się za mną ładne dziwki, a nigdy nie umiałem im się oprzeć. Poza tym zawsze czułem się jak łobuz, kiedy wracałem do Ginny. Rany boskie, nie mogę znowu przechodzić przez wszystkie te bzdury.

Don Corleone rzadko okazywał rozjątrzenie.

– Nie mówiłem ci, żebyś się znowu ożenił. Rób, co chcesz. To dobrze, że chcesz być ojcem dla swoich dzieci. Mężczyzna, który nie jest ojcem dla swoich dzieci, nie może nigdy być prawdziwym mężczyzną. Ale musisz nakłonić ich matkę, żeby cię przyjęła. Kto powiedział, że nie możesz mieszkać w tym samym domu? Kto powiedział, że nie możesz prowadzić życia dokładnie tak, jak byś chciał?

Johnny Fontane roześmiał się.

– Ojczy chrzestny, nie wszystkie kobiety są takie jak dawne włoskie żony. Ginny na to nie pójdzie.

Teraz don odezwał się drwiąco:

– Dlatego że postępowałaś jak *finocchio*. Dałaś jej więcej, niż kazał sąd. Tamtej drugiej nie uderzyłeś w twarz, bo kręciła film. Pozwoliłeś, żeby kobiety dyktowały ci, co masz robić, a one nie mają pojęcia o tym świecie, chociaż z pewnością będą świętymi, kiedy my mężczyźni będziemy smażyć się w piekle. A wreszcie obserwowałem cię przez wszystkie te lata. – Głos dona zabrzmiał poważnie. – Byłeś dobrym chrześniakiem, okazywałeś mi pełny szacunek. Ale co z innymi twoimi starymi przyjaciółmi? Jednego roku ganiasz z tym, następnego z innym. Ten młody Włoch, który był taki zabawny w filmach, miał trochę pecha i nie zobaczyłeś się z nim więcej, bo byłeś bardziej sławny. A ten twój dawny, dawny kolega, z którym chodziłeś do szkoły, który był twoim partnerem od śpiewu? Nino. Pije za dużo z rozczarowania, ale nigdy nie narzeka. Ciężko pracuje, rozwoząc żwir, a w weekendy śpiewa za parę dolarów. Nigdy nic nie mówi na ciebie. Nie mogłeś trochę mu pomóc? Dlaczego? Śpiewa dobrze.

Johnny Fontane powiedział z wyrozumiałym znużeniem:

– Ojczy chrzestny, on po prostu nie ma dostatecznego talentu. Jest dobry, ale nie pierwszorzędny.

Don Corleone opuścił powieki, nieomal przymykając oczy, wreszcie stwierdził:

– A ty, mój chrześniaku, ty także po prostu nie masz dostatecznego talentu. Mam ci załatwić pracę przy rozwożeniu żwiru z Ninem? – Gdy Johnny nie odpowiedział, don ciągnął dalej: – Przyjaźń jest wszystkim. Przyjaźń to coś więcej niż talent. Więcej niż władza. Prawie się równa rodzinie. Nigdy o tym nie zapominaj. Gdybyś zbudował sobie mur przyjaźni, nie musiałbyś mnie prosić o pomoc. A teraz mi powiedz, dlaczego nie możesz śpiewać? W ogrodzie śpiewałeś dobrze. Równie dobrze jak Nino.

Hagen i Johnny uśmiechnęli się na to delikatne ukłucie. Teraz z kolei Johnny był wyrozumiale cierpliwy.

– Mój głos jest słaby. Zaśpiewam jedną czy dwie piosenki i potem nie mogę śpiewać przez wiele godzin czy dni. Nie mogę przetrzymać prób czy powtórek. Mój głos jest słaby, to jest jakieś schorzenie.

– A więc masz kłopoty z kobietami. Masz chory głos. Teraz mi powiedz,

jakie masz trudności z tym hollywoodzkim *pezzonovante*, który nie chce dać ci pracować. – Don przechodził do rzeczy.

– On jest czymś więcej niż któryś z twoich *pezzonovante* – rzekł Johnny. – Jest właścicielem wytwórni. Doradza prezydentowi w sprawach wojennej propagandy filmowej. Nie dalej jak miesiąc temu zakupił prawa filmowe do najgłośniejszej powieści roku. Bestsellera. A jej bohater to facet kubek w kubek jak ja. W ogóle nie musiałbym grać, po prostu byłbym sobą. Nie musiałbym nawet śpiewać. Mógłbym nawet dostać Oscara. Każdy wie, że to dla mnie jak ułał, i znowu byłbym wielki. Jako aktor. Ale ten drań Jack Woltz odgrywa się na mnie, nie chce mi tego dać. Zaproponowałem, że zagram za darmo, za minimalną gażę, a on dalej mówi: nie. Rozpuścił wiadomość, że jeżeli przyjdę i pocałuję go w dupę w kantine wytwórni, może się nad tym zastanowi.

Don Corleone odrzucił te emocjonalne brednie machnięciem ręki. Między rozsądnymi ludźmi zawsze można rozwiązać problemy interesów. Poklepał chrześniaka po ramieniu.

– Jesteś rozgoryczony. Myślisz, że nikt o ciebie nie dba. I straciłeś sporo na wadze. Dużo pijesz, co? Nie sypiasz i bierzesz pigułki? – Potrząsnął głową z dezaprobatą. – Otóż chcę, żebyś się zastosował do moich rozkazów. Chcę, żebyś pozostał w moim domu przez miesiąc. Chcę, żebyś dobrze się odżywił, wypoczął i wyspał. Miłe mi jest twoje towarzystwo, a może zdołasz nauczyć się od twego ojca chrzestnego czegoś o świecie, co mogłoby ci pomóc nawet w tym wielkim Hollywood. Ale żadnego śpiewania, żadnego picia i żadnych kobiet. Po miesiącu możesz wrócić do Hollywood i ten *pezzonovante*, ten kaliber .90, da ci tę robotę, której chcesz. Załatwione?

Johnny Fontane nie całkiem mógł uwierzyć, że don ma taką władzę. Ale jego ojciec chrzestny nigdy nie rzucał słów na wiatr.

– To osobisty przyjaciel J. Edgara Hoovera – powiedział Johnny. – Nie można nawet podnieść na niego głosu.

– Jest biznesmenem – odrzekł łagodnie don. – Zrobię mu propozycję nie do odrzucenia.

– Za późno. Wszystkie kontrakty już podpisane i zaczynają kręcić za tydzień. To absolutnie niemożliwe.

Don Corleone powiedział:

– Wracaj do gości. Twoi przyjaciele czekają na ciebie. Zostaw wszystko mnie.

Wypchnął Johnny'ego Fontane z pokoju.

Hagen siedział za biurkiem i robił notatki. Don westchnął ciężko i zapytał:

– Jest jeszcze coś?

– Sollozza nie można dłużej odkładać. Będzie pan musiał zobaczyć się z nim w tym tygodniu. – Hagen trzymał pióro nad kalendarzem.

Don wzruszył ramionami.

– Teraz już po weselu, więc kiedy tylko zechcesz.

Te słowa wyjaśniły Hagenowi dwie rzeczy. Po pierwsze, że odpowiedź dla Virgila Sollozza będzie odmowna. Po drugie, ponieważ don Corleone nie chciał dać odpowiedzi przed weselem córki, spodziewał się, iż jego „nie” spowoduje kłopoty. Hagen zapytał ostrożnie:

– Czy mam powiedzieć Clemenzy, żeby kazał paru ludziom zamieszkać w tym domu?

– A po co? – odrzekł don ze zniecierpliwieniem. – Nie dałem odpowiedzi przed weselem, bo w taki ważny dzień nie powinno być żadnej chmurki, nawet w oddaleniu. Poza tym chciałem wiedzieć z góry, o czym ma zamiar mówić. Teraz już wiemy. To, co proponuje, jest *infamita*.

– Więc pan odmówi? – zapytał Hagen. A kiedy don kiwnął głową, Hagen stwierdził: – Sądzę, że wszyscy powinniśmy to przedyskutować, cała Rodzina, zanim pan da odpowiedź.

Don uśmiechnął się.

– Tak sądzisz? Dobrze, przedyskutujemy to. Jak wrócisz z Kalifornii. Chcę, żebyś tam jutro poleciał i załatwił sprawę Johnny'emu. Porozmawiaj z tym filmowym *pezzonovante*. A Sollozzowi przekaz, że zobaczą się z nim, kiedy wrócisz z Kalifornii. Jest jeszcze coś?

– Dzwonili ze szpitala – powiedział oficjalnie Hagen. – *Consiglieri* Abbandando jest umierający, nie przeżyje tej nocy. Jego rodzinie kazano przyjechać i czekać.

Hagen zajmował stanowisko *consigliori* przez ubiegły rok, odkąd rak przykuł Genca Abbandando do szpitalnego łóżka. Teraz czekał, żeby don Corleone powiedział, iż to stanowisko należy do niego na stałe. Szanse były znikome. Tak wysoką pozycję powierzano tradycyjnie tylko człowiekowi pochodzącemu od obojga włoskich rodziców. Już dotychczas były kłopoty z powodu czasowego pełnienia przezeń tych obowiązków. Poza tym miał zaledwie trzydzieści pięć lat, uważano, że jest za młody, aby mógł nabrać doświadczenia i przebiegłości niezbędnych dla dobrego *consigliori*.

Jednakże don nie udzielił mu zachęty. Spytał:

– Kiedy moja córka wyjeżdża ze swoim mężem?

Hagen popatrzył na zegarek.

– Za kilka minut pokroją tort, a potem po półgodzinie wyjadą. – To przypomniało mu coś innego. – Ten pański nowy zięć. Czy dajemy mu coś ważnego w Rodzinie?

Zaskoczyła go gwałtowność odpowiedzi dona.

– Nigdy. – Don uderzył w biurko otwartą dłonią. – Nigdy. Daj mu coś, żeby zarabiał na życie, na dobre życie. Ale nigdy nie wtajemniczaj go w interesy Rodziny. Przekaż to innym, Sonny’emu. Fredowi. Clemenzie. – Don przerwał. – Zapowiedz wszystkim moim trzem synom, że będą mi towarzyszyli do szpitala, aby zobaczyć się z biednym Genco. Chcę, żeby mu złożyli swoje ostatnie uszanowanie. Każ Freddiemu zajechać dużym wozem i spytaj Johnny’ego, czy robi mi tę specjalną uprzejmość i pojedzie z nami. – Spostrzegł, że Hagen patrzy na niego pytająco. – Chcę, żebyś dziś wieczorem poleciał do Kalifornii. Nie będziesz miał czasu odwiedzić Genca. Ale nie odjeżdżaj, dopóki nie wrócę ze szpitala i nie pomówię z tobą.

Zrozumiano?

– Zrozumiano – odrzekł Hagen. – O której Fred ma mieć gotowy wóz?

– Jak goście odjadą – powiedział don Corleone. – Genco na mnie zaczeka.

– Dzwonił senator – rzekł Hagen. – Przepraszał, że nie zjawił się osobiście, ale mówił, że pan to zrozumie. Prawdopodobnie chodziło o tych dwóch z FBI po drugiej stronie ulicy, którzy zapisywali numery samochodów. Ale przysłał prezent przez specjalnego gońca.

Don kiwnął głową. Nie uważał za konieczne wspominać, że to on sam przestrzegł senatora, by nie przyjeżdżał.

– Czy przysłał jakiś ładny prezent?

Hagen zrobił minę wyrażającą pełną uznania aprobatę, która była dziwnie włoska na jego niemiecko-irlandzkiej twarzy.

– Stare srebro, bardzo cenne. Młodzi mogą je sprzedać co najmniej za pattyka. Senator poświęcił masę czasu na znalezienie czegoś naprawdę odpowiedniego. Dla ludzi tego rodzaju to jest ważniejsze od wysokości ceny.

Don Corleone nie ukrywał satysfakcji, że taki wielki człowiek jak senator okazał mu tyle szacunku. Senator, podobnie jak Luca Brasi, był jednym z ważnych kamieni w budowlu potęgi dona, i tym podarunkiem on także odnowił swoje ślubowanie lojalności.

Kiedy Johnny Fontane zjawił się w ogrodzie, Kay Adams poznała go od razu. Była naprawdę zaskoczona.

– Nigdy nie mówiłeś, że twoja rodzina zna Johnny’ego Fontane! – zawołała. – Teraz już na pewno wyjdę za ciebie.

– Chcesz go poznać?

– Nie teraz – odparła Kay. Westchnęła. – Kochałam się w nim trzy lata. Przyjeżdżałam do Nowego Jorku, ilekroć śpiewał w Capitolu, i wrzeszczałam jak wariatka. Był taki cudowny!

– Spotkamy się z nim później – przyrzekł Michael.

Kiedy Johnny skończył śpiewać i zniknął wewnątrz domu z donem Corleone, Kay powiedziała figlarnie do Michaela:

– Tylko mi nie mów, że taki wielki gwiazdor filmowy, jak Johnny Fontane, chce prosić twojego ojca o jakąś łaskę.

– Jest jego synem chrzestnym – odrzekł Michael. – I gdyby nie ojciec, mógłby dziś nie być wielkim gwiazdorem filmowym.

Kay Adams roześmiała się z zachwytem.

– To mi wygląda na jeszcze jedną wspaniałą historię.

Michael potrząsnął głową.

– Tej nie mogę opowiedzieć.

– Zaufaj mi.

Opowiedział jej. Opowiedział jej bez dowcipkowania. Opowiedział bez dumy. Opowiedział bez żadnych wyjaśnień, z wyjątkiem tego, że przed ośmiu laty jego ojciec był bardziej popędliwy, a ponieważ rzecz dotyczyła jego syna chrzestnego, don uważał to za sprawę osobistego honoru.

Historia była krótka. Przed ośmiu laty Johnny Fontane odniósł niezwykle sukces, śpiewając z popularną orkiestrą taneczną. Stał się największą atrakcją radiową. Niestety, kierownik orkiestry, znana w przemyśle rozrywkowym osobistość nazwiskiem Les Halley, podpisał z Johnnym pięcioletni kontrakt na wyłączność jego usług. Była to zwykła praktyka w przemyśle rozrywkowym. Les Halley mógł teraz wypożyczać Johnny’ego i chować do kieszeni większą część pieniędzy.

Don Corleone osobiście włączył się do negocjacji. Zaproponował Lesowi Halleyowi dwadzieścia tysięcy dolarów za zwolnienie Johnny’ego Fontane z tego kontraktu. Halley zaproponował, że będzie brał tylko pięćdziesiąt pro-

cent zarobków Johnny'ego. Dona Corleone to rozbawiło. Obniżył swoją ofertę z dwudziestu tysięcy do dziesięciu tysięcy dolarów. Kierownik orkiestry, najwyraźniej niebędący człowiekiem światowym poza swoim umiłowanym przemysłem rozrywkowym, całkowicie przeoczył znaczenie tej niższej oferty. Odmówił.

Następnego dnia don Corleone pojechał zobaczyć się osobiście z kierownikiem orkiestry. Zabrał ze sobą dwóch swoich najbliższych przyjaciół – Genca Abbandando, który był jego *consigliori*, oraz Lucę Brasi. Bez żadnych innych świadków don Corleone przekonał Lesa Halleya, żeby podpisał dokument zrzekający się wszelkich praw do wyłączności usług Johnny'ego Fontane w zamian za poświadczony czek na sumę dziesięciu tysięcy dolarów. Don Corleone dokonał tego, przykładając kierownikowi orkiestry pistolet do czoła i zapewniając go z najwyższą powagą, że dokładnie po upływie minuty na dokumencie tym znajdzie się albo jego podpis, albo jego mózg. Halley podpisał. Don Corleone schował pistolet do kieszeni i wręczył poświadczony czek.

Reszta należała już do historii. Johnny Fontane stał się największą sensacją pieśniarską w kraju. Nakręcił w Hollywood komedie muzyczne, które przyniosły jego wytwórni fortunę. Jego płyty przynosiły miliony dolarów zysku. A potem rozszedł się z żoną – swą ukochaną z dzieciństwa – i pozostawił dwoje dzieci, by się ożenić z najbardziej fascynującą złotowłosą gwiazdą filmu. Wkrótce przekonał się, że jest ona kurwą. Pił, uprawiał hazard, uganiał się za innymi kobietami. Stracił głos. Jego płyty przestały się rozchodzić. Wytwórnia nie odnowiła z nim kontraktu.

I teraz wrócił do swego ojca chrzestnego.

Kay spytała w zamyśleniu:

– Na pewno nie jesteś zazdrosny o ojca? Wszystko, co mi o nim mówiłeś, wskazuje, że robi coś dla innych. Musi mieć dobre serce. – Uśmiechnęła się krzywo. – Oczywiście jego metody nie są ściśle konstytucyjne.

Michael westchnął.

– Chyba tak to wygląda, ale coś ci powiem. Słyszałaś o tych arktycznych eksploratorach, którzy pozostawiają zapasy żywności w kryjówkach rozrzuconych na trasie do bieguna północnego? Na wypadek, gdyby ich kiedyś potrzebowali? Takie są przysługi mojego ojca. Pewnego dnia zjawi się w domu każdego z tych ludzi, a wtedy będą musieli się odwdzięczyć.

Zmierzch prawie zapadł, zanim wniesiono tort weselny, powitano go okrzykami i zjedzono. Specjalnie upieczony przez Nazorinego, był wymyśl-

nie przyozdobiony muszelkami kremu tak smakowitego, że panna młoda wydłubywała je łąkowie z resztek tortu, zanim pomknęła w podróż poślubną ze swoim jasnowłosym panem młodym. Don uprzejmie zęgnął odjeżdżających gości, zauważywszy przy tym, że nigdzie już nie widać czarnej limuzyny z ludźmi z FBI.

W końcu na podjeździe pozostał tylko długi czarny cadillac z Freddiem przy kierownicy. Don wsiadł na przednie siedzenie, poruszając się szybko i sprawnie jak na swój wiek i tuszę. Sonny, Michael i Johnny Fontane usadowili się na tylnym siedzeniu. Don Corleone zwrócił się do swego syna, Michaela:

– Czy ta twoja dziewczyna może sama wrócić do miasta?

Michael kiwnął głową.

– Tom powiedział, że się tym zajmie.

Don Corleone pokiwał głową, zadowolony ze sprawności Hageny.

Ponieważ jeszcze obowiązywało racjonowanie benzyny, ruch na Belt Parkway do Manhattanu był niewielki. W niespełną godzinę cadillac wtoczył się na ulicę, gdzie był Szpital Francuski. Podczas jazdy don Corleone zapytał najmłodszego syna, czy mu dobrze idzie na uczelni. Michael kiwnął głową. A potem Sonny zapytał ojca z tylnego siedzenia:

– Johnny mówi, że mu załatwiasz tę sprawę w Hollywood. Chcesz, żebym tam pojechał i w czymś pomógł?

Don Corleone odrzekł krótko:

– Tom jedzie dziś wieczorem. Nie będzie potrzebował żadnej pomocy, to prosta sprawa.

Sonny Corleone roześmiał się.

– Johnny przypuszcza, że nie dasz rady tego załatwić, dlatego pomyślałem, że może chcesz, abym pojechał.

Don Corleone obrócił głowę.

– Dlaczego we mnie wątpisz? – zapytał Johnny’ego Fontane. – Czy twój ojciec chrzestny nie robił zawsze tego, co przyrzekł? Czy kiedykolwiek wystrychnięto mnie na dudka?

Johnny zaczął tłumaczyć się nerwowo.

– Ojciec chrzestny, człowiek, który tym kieruje, jest prawdziwym *pezzonovante* kaliber .90. Nie można go ruszyć z miejsca nawet pieniędzmi. Ma duże stosunki. I nienawidzi mnie. Po prostu nie wiem, jak zdołasz to rozegrać.

Don przemówił z czułym rozbawieniem:

– Powiadam ci, że dostaniesz to, czego chcesz. – Trącił łokciem Michaela.
– Nie sprawimy zawodu mojemu chrześniakowi, co, Michael?

Michael, który nigdy, ani przez chwilę nie wątpił w swego ojca, potrzęsnał głową.

Kiedy szli do bramy szpitala, don Corleone położył dłoń na ramieniu Michaela, tak że inni wysunęli się naprzód.

– Kiedy skończysz z college'em, przyjdź porozmawiać ze mną. Mam pewne plany, które ci się spodobają.

Michael nic nie odpowiedział. Don Corleone mruknął coś z irytacją:

– Wiem, jaki jesteś. Nie każę ci robić niczego takiego, czego nie pochwalasz. To jest coś specjalnego. Idź teraz swoją drogą, ostatecznie jesteś mężczyzną. Ale przyjdź do mnie tak jak syn powinien, kiedy skończysz z nauką.

Rodzina Genca Abbandando, żona i trzy córki ubrane na czarno, skupiła się jak stadko pulchnych wron na wyłożonej białymi płytkami podłodze szpitalnego korytarza. Kiedy ujrzały wychodzącego z windy dona Corleone, rzekłbyś, podfrunęły z białych płytek, instynktownie szukając jego ochrony. Matka, mimo czerni, wyglądała grubo, córki były tłuste i nieładne. Pani Abbandando dziobnęła dona Corleonea w policzek, łkając i zawodząc:

– Ach, jaki z pana święty człowiek, że pan tu przychodzi w dniu ślubu córki!

Don Corleone przerwał te podziękowania.

– Czyż nie jestem winien szacunku takiemu przyjacielowi, przyjacielowi, który był moją prawą ręką przez dwadzieścia lat?

Od razu zrozumiał, iż przyszła wdowa nie pojmuję, że mąż jej umrze tej nocy. Genco Abbandando przebywał w szpitalu prawie od pół roku, dogorywając na raka, i żona zaczęła z czasem uważać jego śmiertelną chorobę nieomal za zwyczajną część życia. Tego wieczoru przyszedł po prostu jeszcze jeden kryzys. Paplała dalej.

– Niechże pan wejdzie i zobaczy się z moim biednym mężem – mówiła. – Pytał o pana. Biedak, chciał pójść na wesele, żeby okazać szacunek, ale doktor mu nie pozwolił. A potem mówił, że pan przyjdzie do niego w tym wielkim dniu, ale ja nie wierzyłam, żeby to było możliwe. Ach, mężczyźni lepiej się rozumieją na przyjaźni niż my, kobiety. Niech pan wejdzie, będzie uszczęśliwiony.

Z separatki Genca Abbandando wyszli pielęgniarka i doktor. Doktor był młodym mężczyzną o poważnej twarzy i wejrzeniu człowieka, który urodził

się do rozkazywania, to znaczy kogoś, kto był ogromnie bogaty przez całe życie. Jedna z córek zapytała nieśmiało:

– Panie doktorze, czy teraz możemy się z nim zobaczyć?

Doktor Kennedy popatrzał z irytacją na tę liczną grupę. Czy ci ludzie nie zdają sobie sprawy, że człowiek leżący w separacie umiera, i to umiera w męczarniach? Byłoby dużo lepiej, gdyby wszyscy pozwolili mu skończyć w spokoju.

– Chyba tylko najbliższa rodzina – powiedział nieskazitelnym uprzejmym głosem. Zdziwił się, kiedy żona i córki obróciły się do krępego, masywnego mężczyzny, ubranego w źle dopasowany smoking, jak gdyby chcąc usłyszeć jego decyzję.

Masywny mężczyzna przemówił. W jego głosie był ledwie ślad włoskiego akcentu.

– Drogi doktorze – zapytał don Corleone – czy to prawda, że on jest umiarkowany?

– Tak – odrzekł doktor Kennedy.

– W takim razie nie ma pan już nic więcej do zrobienia – powiedział don Corleone. – My przejmemy ten ciężar. Poczujemy go. Zamkniemy mu oczy. Pochowamy go i będziemy płakali na jego pogrzebie, a potem zaopiekujemy się jego żoną i córkami.

Słyszając to jasne postawienie sprawy, które zmuszało ją do zrozumienia, pani Abbando rozplakała się.

Doktor Kennedy wzruszył ramionami. Niepodobieństwem było wytłumaczyć coś tym wieśniakom. Jednocześnie uznał surową słuszność słów tego człowieka. Jego własna rola była skończona. Wciąż nieskazitelnym uprzejmym głosem powiedział:

– Proszę poczekać, aż pielęgniarka państwa wpuści. Musi jeszcze zrobić parę niezbędnych rzeczy przy pacjencie. – Odszedł korytarzem, w rozwianym białym fartuchu.

Pielęgniarka zawróciła do pokoju, oni zaś czekali. W końcu wyszła znowu i przytrzymała drzwi, aby ich wpuścić. Szepnęła:

– Majaczy z bólu i gorączki, proszę się starać go nie podniecać. Mogą państwo pozostać tylko parę minut, z wyjątkiem małżonki.

Poznała Johnny'ego Fontane, gdy obok niej przechodził, i oczy rozwarły jej się szeroko. Pokwitował to nikłym uśmiechem, a ona popatrzyła na niego z jawną zachętą. Zanotował ją sobie do przyszłego wykorzystania i wszedł za

innymi do pokoju chorego.

Genco Abbandando prowadził długi wyścig ze śmiercią i teraz, pokonany, leżał wycieńczony na łóżku. Był wychudły jak szkielet, a niegdyś gęste czarne włosy przemieniły się w szpetne, rzadkie kosmyki. Don Corleone odezwał się wesoło:

– Genco, drogi przyjacielu, przyprowadziłem moich synów, żeby ci złożyli uszanowanie, i popatrz, nawet Johnny’ego, który przyjechał aż z Hollywood.

Konając z wdzięcznością podniósł na dona rozgorączkowane oczy. Pozwolił młodym mężczyznom ujmować swoją kościstą rękę w mięsiste dłonie. Żona i córki ulokowały się przy łóżku, całując jego policzek, biorąc go po kolei za drugą rękę.

Don uściskał dłoń starego przyjaciela. Powiedział pokrzepiająco:

– Wydobrzej szybko, to pojedziemy razem do Włoch, do naszej dawnej wioski. Pogramy w *boccie* przed winiarnią, tak jak niegdyś nasi ojcowie.

Umierający potrząsnął głową. Dał znak młodym mężczyznom i swojej rodzinie, by odsunęli się od łóżka, a drugą kościstą ręką pochwycił dona. Próbował przemówić. Don pochylił nisko głowę, po czym usiadł na krześle przy łóżku. Genco Abbandando mamrotał coś o ich dzieciństwie. A potem jego czarne jak węgiel oczy przybrały wyraz przebiegłości. Zaczął coś szeptać. Don pochylił się niżej. Pozostali obecni w pokoju ujrzeli ze zdumieniem łzy spływające po twarzy dona Corleone, kiedy potrząsał głową. Drżący głos zabrzmiał donośniej, wypełniając pokój. Z nadludzkim wysiłkiem Abbandando dźwignął głowę z poduszki i wyciągnął ku donowi szkieletowaty palec.

– Ojcze Chrzestny, Ojcze Chrzestny – wykrztusił nieprzytomnie – błagam cię, uratuj mnie od śmierci. Ciało mnie pali i odpada od kości i czuję, jak robaki zżerają mi mózg. Ojcze Chrzestny, ulecz mnie, masz tę moc, osusz łzy mojej biednej żony. W Corleone bawiliśmy się razem jako dzieci, więc czy teraz pozwolisz mi umrzeć, kiedy boję się piekła za moje grzechy?

Don milczał. Abbandando powiedział:

– Dziś jest dzień ślubu twojej córki, nie możesz mi odmówić.

Don począł mówić spokojnie, poważnie, by przedrzeć się przez to bluźniercze delirium.

– Stary przyjacielu. Nie mam takiej władzy. Wierz mi, gdybym ją miał, byłbym miłosierniejszy od Boga. Ale nie bój się śmierci i nie bój się piekła. Każę odprawiać mszę za twoją duszę każdego wieczoru i każdego rana. Twoja żona i dzieci będą się modlić za ciebie. Jakże Bóg mógłby cię ukarać przy

tylu błaganiach o miłosierdzie?

Szkieletowata twarz przybrała chytry wyraz, który był odrażający. Abbandando zapytał przebiegle:

– Więc to jest załatwione?

Kiedy don się odezwał, głos jego był zimny, bez nuty pocieszenia:

– Bluźnisz. Pogódź się z losem.

Abbandando opadł na poduszkę. Jego oczy utraciły szalony błysk nadziei. Pielęgniarka wróciła do pokoju i zaczęła bardzo stanowczo wypraszać ich wszystkich. Don wstał, ale Abbandando wyciągnął rękę.

– Ojcie Chrzesny – powiedział – zostań tu ze mną i pomóż mi spotkać się ze śmiercią. Może jeżeli ona zobaczy cię przy mnie, złęknie się i zostawi mnie w spokoju? Albo może powiesz jakieś słowo, pociągniesz za jakieś sznurki? – Konający mrugnął, jak gdyby podkpiwał z dona, nie był już teraz poważny. – Bądź co bądź jesteście rodzeństwem przez krew. – A potem, jak gdyby przestraszony, że don się obrazi, pochwycił jego dłoń. – Zostań ze mną, pozwól mi trzymać się za rękę. Przechytrzymy tę łajdaczkę, tak jak przechytrzyliśmy innych. Ojcie Chrzesny, nie zdradzaj mnie.

Don dał znak pozostałym, żeby wyszli z pokoju. Odeszli. Ujął wychudłą rękę Genca Abbandando w swoje szerokie dłonie. Łagodnie, uspokajająco pocieszał przyjaciela, kiedy razem czekali na śmierć. Tak jakby don naprawdę mógł wydrzeć życie Genca Abbandando tej najohydniejszej i najbardziej zbrodniczej zdrajczyni człowieka.

Dzień ślubu Connie Corleone zakończył się dla niej dobrze. Carlo Rizzi wypełnił swe obowiązki pana młodego z umiejętnością i wigorem, pobudzony przez zawartość torebki z prezentami panny młodej, wynoszącą ogółem przeszło dwadzieścia tysięcy dolarów. Jednakże panna młoda oddała swoje dziewictwo ze znacznie większą ochotą niż torebkę. Aby uzyskać tę drugą, musiał podbić jej oko.

Lucy Mancini czekała w domu na telefon od Sonny'ego Corleone, pewna, że ją poprosi o spotkanie. W końcu zadzwoniła do jego mieszkania, a kiedy usłyszała w telefonie kobiecy głos, odłożyła słuchawkę. Nie mogła wiedzieć, że prawie wszyscy obecni na weselu zauważyli nieobecność jej i Sonny'ego przez owe fatalne pół godziny i że krążyły już plotki, iż Sonny Corleone znalazł sobie nową ofiarę. Że posunął pierwszą druhną swojej własnej siostry.

Amerigo Bonasera miał straszliwy, koszmarne sen. Ujrzał dona Corleone w czapce z daszkiem, kombinezonie i grubych rękawicach, wyładowującego podziurawione kulami trupy przed jego zakładem i wołającego: „Pamiętaj, Amerigo, nikomu ani słowa i pochowaj ich szybko”. Jęczał przez sen tak głośno i długo, że żona zaczęła nim potrząsać, aż się obudził.

– Coś ty za człowiek – mruknęła – żeby mieć koszarne sny zaraz po weselu.

Paulie Gatto oraz Clemenza odwieźli Kay Adams do jej hotelu w Nowym Jorku. Samochód był duży, luksusowy, a prowadził go Gatto. Clemenza siedział na tylnym siedzeniu, Kay zaś otrzymała miejsce na przodzie, obok kierowcy. Obaj mężczyźni wydali jej się szalenie egzotyczni. Ich mowa była gwarą brooklińską, zupełnie jak z filmu, a do Kay odnosili się z przesadną kurtuazją. Podczas jazdy gawędziła swobodnie z obydwojema i była zaskoczona, że mówili o Michaelu z niewątpliwą serdecznością i szacunkiem. Wzbudził w niej przekonanie, że jest obcy w świecie swojego ojca. Teraz Clemenza zapewniał ją zasapanym gardłowym głosem, że stary uważa Mike’a za najlepszego ze swoich synów, tego, który z pewnością odziedziczy interesy rodziny.

– A co to są za interesy? – spytała Kay jak najnaturalniej.

Paulie Gatto rzucił jej szybkie spojrzenie, kręcąc kierownicą.

Siedzący z tyłu Clemenza zapytał zaskoczonym tonem:

– To Mike nic pani nie mówił? Pan Corleone jest największym w Stanach importerem włoskiej oliwy. Teraz, kiedy wojna się skończyła, ten interes może się naprawdę rozkręcić. Pan Corleone będzie potrzebował takiego sprytnego chłopaka jak Mike.

W hotelu Clemenza uparł się, żeby odprowadzić ją do recepcji. Kiedy protestowała, powiedział po prostu:

– Szef kazał dopilnować, żeby pani dojechała do domu cała i zdrowa. Muszę to zrobić.

Kiedy otrzymała klucz od swojego pokoju, odprowadził ją do windy i czekał, dopóki nie wsiadła. Pomachała mu ręką, uśmiechając się i była zaskoczona, że odwzajemnił jej się uśmiechem szczerego zadowolenia. Dobrze, że nie widziała, jak zawrócił do pracownika hotelowego i spytał:

– Pod jakim nazwiskiem się zameldowała?

Pracownik hotelowy spojrzał zimno na Clemenzę. Clemenza poturlał ku niemu małą kulkę zielonego papieru, którą trzymał w ręce, a pracownik hote-

lowy złapał ją i natychmiast powiedział:

– Pan Michael Corleone i pani Corleone.

W samochodzie Paulie Gatto rzekł:

– Fajna babka.

Clemenza chrząknął:

– Mike ją posuwa. – Chyba że się naprawdę pobrali, pomyślał. – Podjedź po mnie wcześniej rano – poleciał Pauliemu Gatto. – Hagen ma dla nas jakąś robotę, którą trzeba zaraz załatwić.

Był już późny niedzielny wieczór, kiedy Tom Hagen ucałował żonę na pożegnanie i odjechał na lotnisko. Mając specjalną przepustkę (podarek od wdzięcznego generała sztabu Pentagonu), bez trudu dostał się na samolot do Los Angeles.

Dla Toma Hageny był to pracowity, ale zadowolający dzień. Genco Abbandando zmarł o trzeciej nad ranem, a kiedy don Corleone wrócił ze szpitala, powiadomił Hageny, że teraz jest oficjalnie nowym *consigliori* Rodziny. To oznaczało, że Hagen z całą pewnością będzie bardzo bogatym człowiekiem, nie mówiąc już o władzy.

Don złamał długotrwałą tradycję. *Consigliori* był zawsze Sycylijczykiem czystej krwi, a fakt, że Hagen wychował się jako członek rodziny dona, nie mógł wpłynąć na tę tradycję. Była to kwestia krwi. Jedynie Sycylijczycy, przywykłemu do *omerta*, nakazu milczenia, można było powierzyć kluczowe stanowisko *consigliori*.

Pomiędzy głową rodziny, donem Corleone, który dyktował politykę, a operacyjnym szczeblem ludzi wykonujących w praktyce rozkazy dona, istniały trzy warstwy czy przegrody. Tym sposobem niczego nie można było wytropić do samej góry. Chyba że *consigliori* okazał się zdrajcą. Tego niedzielnego poranka don Corleone udzielił wyraźnych instrukcji, co należy zrobić dwóm młodym ludziom, którzy pobili córkę Ameriga Bonasera. Jednakże te rozkazy wydał poufnie Tomowi Hagenowi. Później tegoż dnia Hagen, równie poufnie, bez świadków, poinstruował Clemenzę. Z kolei Clemenza nakazał Pauliemu Gatto wypełnić polecenie. Paulie Gatto miał teraz zebrać niezbędną siłę roboczą i wykonać rozkaz. Paulie Gatto i jego ludzie mieli nie wiedzieć, dlaczego wykonuje się to konkretne zadanie ani kto je pierwotnie zarządził. Na to, żeby uwikłać dona, w każdym ogniwie łańcucha ktoś musiałby dopuścić się zdrady, a chociaż to jeszcze nigdy się nie zdarzyło, zawsze istniała taka możliwość. W takim przypadku tylko jedno ogniwo łańcu-

cha musiałyby zniknąć.

Consigliori był także tym, na co wskazywała jego nazwa. Był doradcą dona, jego prawą ręką, jego pomocniczym mózgiem. Był również jego najbliższym towarzyszem i najbliższym przyjacielem. Podczas ważnych wyjazdów prowadził wóz dona, podczas konferencji wychodził, by przynieść donowi napoje chłodzące, kawę i sandwicze, świeże cygara. Wiedział o wszystkim lub prawie o wszystkim, o czym wiedział don, znał wszystkie komórki władzy. Był jedynym człowiekiem na świecie, który mógł doprowadzić do upadku i zniszczenia dona. Ale za pamięci którejkolwiek z możliwych rodzin sycylijskich, osiadłych w Ameryce, żaden *consigliori* nigdy nie zdradził swojego dona. Nie było w tym żadnej korzyści. I każdy *consigliori* wiedział, że jeśli dochowa wierności, będzie bogaty, będzie miał władzę i zyska sobie szacunek. Gdyby zdarzyło się nieszczęście, jego rodzina korzystałaby z ochrony i opieki tak samo jak wówczas, gdyby żył czy był na wolności. Jeśli dochowa wierności.

W niektórych sprawach *consigliori* musiał działać dla dona w sposób bardziej jawny, a jednak nie wciągać w to swojego szefa. Hagen leciał do Kalifornii właśnie w takiej sprawie. Uświadomił sobie, że na jego karierę *consigliori* poważnie wpłynie powodzenie albo porażka tej misji. Z punktu widzenia interesów Rodziny to, czy Johnny Fontane dostanie upragnioną rolę w filmie wojennym, czy nie, było sprawą pomniejszą. Znacznie ważniejsze było spotkanie z Virgilem Sollozzo, które Hagen nazaczył na następny piątek. Jednakże Hagen wiedział, że dla dona obydwie rzeczy mają jednakową wagę, co jak dla każdego dobrego *consigliori* przesądzało sprawę.

Samolot o silniku tłokowym wstrząsnął i tak już rozdygotanymi wnętrzościami Hagen, zamówił więc u stewardesy martini, aby je uspokoić. Zarówno don, jak i Johnny poinformowali go o charakterze producenta filmowego, Jacka Woltza. Po tym wszystkim, co mówił Johnny, Hagen wiedział, że nigdy nie zdoła przekonać Woltza. Ale nie miał żadnych wątpliwości, że don dotrzyma obietnicy danej Johnny'emu. Jego własną rolą była rola negocjatora i łącznika.

Oparwszy się wygodnie w fotelu, Hagen dokonał przeglądu wszystkich informacji udzielonych mu tego dnia. Jack Woltz był jednym z trzech największych producentów w Hollywood, właścicielem wytwórni z tuzinami gwiazd na kontrakcie. Należał do wydziału kinematograficznego Biura Doradczego Prezydenta Stanów Zjednoczonych do Spraw Informacji Wojennej, co ozna-

czało po prostu, że pomagał przy realizowaniu filmów propagandowych. Był na kolacji w Białym Domu. Podejmował J. Edgara Hoovera w swojej siedzibie w Hollywood. Ale żadna z tych rzeczy nie była tak imponująca, jakby się wydawało. Były to wszystko stosunki oficjalne. Woltz nie miał żadnej osobistej pozycji politycznej, głównie dlatego, że był skrajnym reakcjonistą, a częściowo z tej racji, że był megalomanem, który uwielbiał sprawować władzę niepowściągliwie, nie oglądając się na fakt, że przez to wyrastały spod ziemi legiony jego wrogów.

Hagen westchnął. Nie będzie sposobu „rozbroić” Jacka Woltza. Otworzył teczkę i popróbowował załatwić jakąś papierkową robotę, ale był zanadto zmęczony. Zamówił następne martini i zastanowił się nad swoim życiem. Niczego nie żałował, wręcz uważał, że miał ogromne szczęście. Bez względu na przyczyny, kierunek, który sobie obrał przed dziesięciu laty, okazał się dla niego korzystny. Powiodło mu się, był tak zadowolony, jak tylko mógł być człowiek dorosły, i uważał życie za interesujące.

Tom Hagen był trzydziestopięcioletnim, wysokim mężczyzną o krótko przystrzyżonych włosach, bardzo szczupłym, wyglądającym bardzo zwyczajnie. Był adwokatem, ale nie wykonywał właściwej, konkretnej roboty prawniczej dla Rodziny Corleone, chociaż zajmował się praktyką prawną przez trzy lata po złożeniu egzaminu adwokackiego.

Mając lat jedenaście był towarzyszem zabaw również jedenastoletniego Sonny’ego Corleone. Matka Hagena zaniewidziała, a potem umarła w jedenastym roku jego życia. Ojciec, który zawsze pił dużo, stał się alkoholikiem. Był ciężko pracującym stolarzem, który nigdy w życiu nie zrobił niczego nieuczciwego. Jednakże pijaństwo zniszczyło jego rodzinę i w końcu go zabiło. Tom Hagen został sierotą, wałęsał się po ulicach i sypiał w bramach domów. Jego młodszą siostrę umieszczono w przytułku, ale w latach dwudziestych instytucje społeczne nie zajmowały się sprawami jedenastoletnich chłopców, którzy byli tak niewdzięczni, że uchylali się od ich opieki. Hagen miał poza tym infekcję oka. Sąsiedzi szeptali między sobą, że dostał ją lub odziedziczył po matce i można się od niego zarazić. Unikano go. Sonny Corleone, serdeczny i przedsiębiorczy jedenastolatek, przyprowadził kumpla do domu i zażądał, żeby go tam przyjęto. Tom Hagen dostał talerz gorącego spaghetti z tłustym, zawiesistym sosem pomidorowym, którego smaku nigdy nie zapomniał, a potem metalowe składane łóżko do spania.

W najnaturalniejszy sposób, bez zbędnych słów i dyskusji, don Corleone

pozwoił chłopcu pozostać w swoim domu. Sam zabrał go do lekarza specjalisty, który wyleczył infekcję oka. Posłał go do college'u i szkoły prawniczej. W tym wszystkim don działał nie jak ojciec, ale raczej jak opiekun. Nie okazywał czułości, ale, rzecz dość szczególna, traktował Hagen z większą uprzejmością niż własnych synów, nie narzucał mu rodzicielskiej woli. To sam chłopiec postanowił iść do szkoły prawniczej po college'u. Słyszał kiedyś, jak don Corleone powiedział: „Prawnik ze swoją teczką może nakraść się więcej niż stu ludzi z rewolwerami”. Tymczasem, ku wielkiemu niezadowoleniu ojca, Sonny i Freddie nalegali, żeby się włączyć do interesów rodzinnych po ukończeniu szkoły średniej. Jedynie Michael poszedł do college'u i zaciągnął się do piechoty morskiej nazajutrz po Pearl Harbor.

Po zdaniu egzaminu adwokackiego Hagen ożenił się, założył własną rodzinę. Panna młoda była włoską dziewczyną z New Jersey, naówczas jedną z nielicznych, które ukończyły college. Po weselu, które odbyło się oczywiście w domu dona Corleone, don zaofiarował się, że pomoże Hagenowi w każdym przedsięwzięciu, jakie sobie upatrzy, będzie przysyłał mu klientów, umebluje kancelarię, wprowadzi go w handel nieruchomościami. Tom Hagen spuścił głowę i poprosił:

– Chciałbym pracować u pana.

Don był zaskoczony, ale kontent.

– A wiesz, kim ja jestem? – zapytał.

Hagen kiwnął głową. Wówczas nie znał jeszcze naprawdę zasięgu władzy dona. Nie znał go w gruncie rzeczy i przez następne lat dziesięć, dopóki nie został zastępcą *consigliori*, gdy Genco Abbando zachorował. Jednakże kiwnął głową i popatrzył donowi w oczy.

– Pracowałbym dla pana tak jak pańscy synowie – powiedział mając na myśli całkowitą lojalność, całkowitą akceptację rodzicielskiej boskości dona. Don z tym zrozumieniem, które już wtedy przyczyniło się do legendy o jego wielkości, okazał młodemu człowiekowi pierwszy objaw ojcowskiego uczucia, odkąd ten przyszedł do jego domu. Wziął Hagen w ramiona, uściskał go krótko i odtąd traktował jak prawdziwego syna, choć czasem mawiał: „Tom, nigdy nie zapominaj o swoich rodzicach”, jakby przypominając o tym zarówno sobie samemu, jak i Hagenowi.

Nie było możliwości, żeby Hagen o nich zapomniał. Jego matka była niepełna rozumu, niechlujna i tak wyniszczona przez anemię, że ani nie mogła odczuwać miłości do swoich dzieci, ani jej udawać. Ojca Hagen nienawidził.

Ślepotą matki przed śmiercią przeraziła go, a infekcja oka była dopustem losu. Był pewien, że oślepie. Kiedy umarł ojciec, jedenastoletni umysł Toma Hagena doznał osobliwego urazu. Tom włóczył się po ulicach jak zwierzę czekające na śmierć, aż do tego brzemennego w skutki dnia, kiedy Sonny znalazł go śpiącego w głębi bramy i przyprowadził do domu. To, co stało się potem, było cudem. Jednakże przez całe lata Hagen miewał koszmary, śniło mu się, że dorósł do wieku męskiego niewidomy, chodził stukając białą laską, a za nim stukały białymi laseczkami jego niewidome dzieci, zebrałe na ulicach. Czasami, budząc się rano, widział w pierwszym przebiegu świadomości twarz dona Corleone i wtedy czuł się bezpieczny.

Don nalegał, żeby Tom odbył trzy lata ogólnej praktyki prawniczej prócz swoich obowiązków wobec interesów Rodziny. To doświadczenie okazało się później bezcenne, a także usunęło z umysłu Hagena wszelkie wątpliwości co do pracy dla dona Corleone. Następnie spędził dwa lata na praktyce w biurze znanej firmy adwokackiej od spraw karnych, w której don posiadał pewne wpływy. Dla każdego było oczywiste, że miał zdolności w tej dziedzinie prawa. Dawał sobie dobrze radę, a kiedy przeszedł wyłącznie na służbę interesów Rodziny, don Corleone nie mógł ani razu zarzucić mu czegokolwiek w ciągu następnych lat sześciu.

Kiedy został zastępcą *consigliori*, inne potężne rodziny sycylijskie nazywały pogardliwie Rodzinę Corleone „irlandzką bandą”. To bawiło Hageną. Nauczyło go także, iż nie może mieć nigdy nadziei na objęcie po donie stanowiska głowy rodzinnych interesów. Ale był zadowolony. To nigdy nie było jego celem, takie ambicje byłyby „nieposzanowaniem” w stosunku do dobroczyńcy i jego rodziny.

Było jeszcze ciemno, kiedy samolot wylądował w Los Angeles. Hagen zameldował się w hotelu, wziął prysznic, ogolił się i patrzył, jak świt nadchodzi nad miasto. Zamówił sobie do pokoju śniadanie i gazety; odpoczywał do chwili, gdy o dziesiątej rano przyszła pora spotkania z Jackiem Woltzem. Zorganizowanie tego spotkania było zaskakująco łatwe.

Poprzedniego dnia Hagen zadzwonił do najbardziej wpływowego człowieka w filmowych związkach zawodowych, który nazywał się Billy Goff. Działając w myśl instrukcji dona Corleone, Hagen poprosił Goffa, żeby nazajutrz załatwił mu spotkanie z Jackiem Woltzem i żeby dał do zrozumienia Woltzo-

wi, iż jeśli Hagen nie będzie zadowolony z wyniku rozmowy, w wytwórni filmowej może nastąpić strajk. Godzinę później Hagen otrzymał telefon od Goffa. Rozmowa miała odbyć się o dziesiątej rano. Woltz został poinformowany o możliwości strajku, ale najwyraźniej nie zrobiło to na nim większego wrażenia – powiedział Goff i dodał:

– Jeżeli naprawdę do tego dojdzie, będę musiał sam porozmawiać z donem.

– Jeżeli do tego dojdzie, on porozmawia z panem – odrzekł Hagen. Mówiąc to, unikał czynienia jakichkolwiek obietnic. Nie był zdziwiony, że Goff tak się stosuje do życzeń dona. Formalnie imperium Rodziny nie rozciągało się poza obszar Nowego Jorku, ale don Corleone stał się silny dzięki temu, że wspomagał przywódców związków zawodowych. Wielu z nich nadal miało wobec niego długi wdzięczności.

Tylko że naznaczenie tego spotkania na dziesiątą było złym znakiem. Świadczyło o tym, że Hagen będzie pierwszy w kolejce, że nie zostanie zaproszony na obiad. Oznaczało, że Woltz nisko go ceni. Goff nie zagroził mu dostatecznie zapewne dlatego, że Woltz miał go na swojej liście łapówek. Czasami umiejętność dona do pozostawiania w cieniu działała na niekorzyść interesów Rodziny o tyle, że jego nazwisko nic nie mówiło kręgom zewnętrznym.

Analiza Hageny okazała się trafna. Woltz kazał mu czekać pół godziny po oznaczonym czasie. Hagenowi to nie przeszkadzało. Pokój recepcyjny był bardzo zbytkowny, bardzo komfortowy, a na śliwkowej kanapie naprzeciw siedziało najpiękniejsze dziecko, jakie Hagen kiedykolwiek widział. Dziewczynka ta miała nie więcej niż jedenaście czy dwanaście lat, była ubrana bardzo kosztownie, ale prosto, jak dorosła kobieta. Miała niewiarygodnie złote włosy, ogromne, niebieskie jak morze oczy i świeże malinowe usta. Towarzyszyła jej kobieta będąca najwyraźniej jej matką, która starała się zmusić Hagenę wzrokiem do opuszczenia oczu, z zimną arogancją, która budziła w nim chęć trzepnięcia jej po twarzy. Anielskie dziecko i matka-smok – myślał Hagen, odwzajemniając spojrzenie matki.

W końcu ukazała się świetnie ubrana, lecz tęga kobieta w średnim wieku, która poprowadziła go przez szereg pokoi biurowych do gabinetu-apartamentu producenta filmowego. Na Hagenie zrobiła wrażenie piękność tych pokoi oraz kobiet, które w nich pracowały. Uśmiechnął się. Były to wszystko spryckiarki, które usiłowały wkręcić się do filmu, biorąc biurowe posady, a więk-

szość miała pracować w tym biurze przez resztę życia albo do chwili, gdy pogodzą się z porażką i wrócą do rodzinnych miast.

Jack Woltz był wysokim, silnie zbudowanym mężczyzną z wydatnym brzuchem, nieomal przesłoniętym przez doskonale skrojony garnitur. Hagen znał historię Woltza. W wieku dziesięciu lat turlał na East Side puste beczki po piwie i ręczne wózki. Mając lat dwadzieścia pomagał ojcu dozorować robotników odzieżowych. Mając trzydziestkę wyjechał z Nowego Jorku na Zachód, zainwestował pieniądze w pięciocentowy kinoteatr i stał się pionierem filmu. W czterdziestym ósmym roku życia był najpotężniejszym magnatem filmowym w Hollywood, nadal prostackim w mowie, zachłannym na miłostki, rozszalałym wilkiem, który szerzył spustoszenie w stadkach bezradnych młodych gwiazdeczek. W wieku lat pięćdziesięciu przeobraził się. Zaczął brać lekcje wymowy, od angielskiego lokaja nauczył się ubierać, a od angielskiego kamerdynera, jak zachowywać się w towarzystwie. Kiedy jego pierwsza żona umarła, ożenił się z piękną aktorką światowej sławy, która nie lubiła aktorstwa. Obecnie, mając lat sześćdziesiąt, zbierał obrazy starych mistrzów, był członkiem doradczego Komitetu Prezydenta i założył multimilionową fundację swego imienia dla popierania rozwoju sztuki filmowej. Jego córka wyszła za angielskiego lorda, syn ożenił się z włoską księżniczką.

Jego najnowszą pasją, jak skwapliwie donosili wszyscy komentatorzy filmowi w Ameryce, była stajnia wyścigowa, na którą w ciągu ubiegłego roku wydał dziesięć milionów dolarów. Stał się sensacją prasową, kupując słynnego angielskiego konia wyścigowego Chartuma za niewiarygodną sumę sześciuset tysięcy dolarów, a potem oznajmiając, że ten niezwykły wyścigowiec zostanie wycofany z toru i przeznaczony wyłącznie na reproduktora w stajni Woltza.

Przyjął Hagena uprzejmie; miał pięknie, równo opaloną, starannie wygoloną twarz, wykrzywioną w grymas mający być uśmiechem. Mimo wszystkich wydanych pieniędzy, mimo zabiegów najwytrawniejszych specjalistów, widać było po nim jego wiek, skóra na twarzy wyglądała tak, jakby ją pozszywano. Jednakże w jego ruchach była olbrzymia witalność i miał to samo co don Corleone wejrzenie człowieka rządzącego w sposób absolutny światem, w którym żyje.

Hagen przystąpił od razu do rzeczy. Powiedział, że jest wysłannikiem przyjaciela Johnny'ego Fontane. Że ten przyjaciel jest bardzo potężnym człowiekiem, który żywiłby dla pana Woltza wdzięczność i niewygasłą przyjaźń,

gdyby pan Woltz wyświadczył mi pewną drobną uprzejmość. Tą drobną uprzejmością byłoby obsadzenie Johnny'ego Fontane w nowym filmie wojennym, który wytwórnia zamierza rozpocząć w następnym tygodniu.

Zeszyta twarz był nieporuszona, grzeczna.

– A jakie uprzejmości może wyświadczyć mi pański przyjaciel? – zapytał Woltz. W jego głosie był ledwie ślad protekcjonalności.

Hagen ją zignorował. Wyjaśnił:

– Szykują się dla pana pewne kłopoty ze związkami zawodowymi. Mój przyjaciel może absolutnie zagwarantować, że te kłopoty znikną. Ma pan wybitnego gwiazdora, który przynosi pańskiej wytwórni masę pieniędzy, ale właśnie przerzucił się z marihuany na heroinę. Mój przyjaciel zagwarantuje, że pański gwiazdor nie będzie mógł już więcej dostać heroiny. A gdyby z biegiem lat wypłynęły jakieś inne drobiazgi, telefon do mnie może rozwiązać pańskie problemy.

Jack Woltz słuchał tego jak przechwałek dziecka. Wreszcie powiedział szorstko, rozmyślnie z akcentem z East Side'u:

– Pan chcesz ze mną na siłę?

Hagen odrzekł chłodno:

– Absolutnie nie. Przyszedłem prosić o przysługę dla przyjaciela. Staralem się wyjaśnić, że pan nic na tym nie straci.

Twarz Woltza stężała z gniewu. Usta mu się wykrzywiły, gęste, ufarbowane na czarno brwi ściągnęły się, tworząc grubą krechę nad błyszczącymi oczami. Pochylił się nad biurkiem ku Hagenowi.

– W porządku, ty wymuskany draniu, wyłożę kawę na ławę tobie i twojemu szefowi, kimkolwiek on jest. Johnny Fontane nigdy nie dostanie tej roli. Żeby nie wiem ilu makaroniarskich chojraków z mafii wylazło spod ziemi. – Odchylił się w fotelu. – I słówko porady dla pana, przyjacielu. J. Edgar Hoover, przypuszczam, żeś pan o nim słyszał – Woltz uśmiechnął się ironicznie – jest moim osobistym przyjacielem. Jeżeli dam mu znać, że mnie naciskają, nawet nie będziecie wiedzieli, co wam spadło na łeb.

Hagen słuchał cierpliwie. Spodziewał się czegoś lepszego po człowieku formatu Woltza. Czy to możliwe, żeby ktoś postępujący tak głupio mógł wznieść się na szczyt przedsiębiorstwa wartego setki milionów? Nad tym należało się zastanowić, ponieważ don rozglądał się za nowymi rzeczami, w które mógłby włożyć pieniądze, a jeśli naczelne mózgi tego przemysłu były tak tępe, film mógł być właśnie tym, czego szukał. Wymysłami Hagen

wcale się nie przejmował. Nauczył się sztuki negocjowania od samego dona. „Nigdy nie wpadaj w gniew – pouczał go. – Nigdy nie stosuj groźby. Przekonuj ludzi”. Słowo „przekonywać” brzmiało o tyle lepiej po włosku, *rajunah*, gdyż znaczyło połączyć. Sztuka ta polegała na ignorowaniu wszelkich znie wag, nadstawianiu drugiego policzka. Hagen widział dona siedzącego przy stole negocjacyjnym przez osiem godzin, połykającego znie wagi, usiłującego wyperswadować znanemu megalomańskiemu zwolennikowi silnej ręki, żeby poprawił swoje obyczaje. Po upływie tych ośmiu godzin don Corleone rozłożył ręce bezradnym gestem, powiedział do pozostałych obecnych przy stole: „Cóż, ten człowiek nie daje się przekonać”, i wymaszerował z pokoju. Zwolennik silnej ręki zbiegał ze strachu. Wyprawiono wysłanników, żeby sprowadzili dona z powrotem. Porozumienie zawarto, ale dwa miesiące później zwolennik silnej ręki został zastrzelony w swym ulubionym zakładzie fryzjerskim.

Toteż Hagen zaczął znowu, mówiąc najzwyczajniejszym głosem.

– Niech pan rzuci okiem na mój bilet wizytowy. Jestem adwokatem. Czyż nadstawiałbym karku? Czy wypowiedziałem jedno słowo groźby? Powiem jedynie, że jestem gotów przyjąć wszelkie pańskie warunki, byleby Johnny Fontane dostał tę rolę. Sądzę, że zaproponowałem już bardzo dużo za taką drobną uprzejmość. Uprzejmość, która, o ile wiem, byłaby w pańskim interesie. Johnny mówił mi, iż pan przyznaje, że byłby doskonały w tej roli. I niech mi będzie wolno dodać, że nigdy nie poproszono by pana o tę uprzejmość, gdyby tak nie było. Jeżeli pan niepokoi się o zainwestowane pieniądze, mój klient chętnie sfinansuje ten film. Ale chciałbym postawić sprawę absolutnie jasno. Rozumiemy, że pańskie „nie” oznacza „nie”. Nikt pana nie może zmusić ani tego nie próbuje. Mogę dodać, że pańska przyjaźń z panem Hooverem jest nam znana, i mój mocodawca szanuje pana za to. Szanuje tę przyjaźń bardzo.

Woltz gryzmołił coś ogromnym czerwonym piórem. Wzmianka o pieniądzech pobudziła jego zainteresowanie, więc przestał robić gryzmoły. Powiedział protekcjonalnie:

– Koszt tego filmu jest przewidziany na pięć milionów.

Hagen gwizdnał cicho, aby pokazać, że to wywarło na nim wrażenie. Po tem rzekł niedbale:

– Mój szef ma wielu przyjaciół, którzy popierają jego opinię.

Po raz pierwszy Woltz zdawał się brać całą sprawę poważnie.

Przyjrzał się biletowi wizytowemu Hagena.

– Nigdy o panu nie słyszałem. Znam większość wybitnych adwokatów w Nowym Jorku, ale kim pan jest, u diabła?

– Prowadzę poważne sprawy korporacyjne – odrzekł Hagen sucho. – Tą zająłem się wyjątkowo. – Wstał. – Nie będę zabierał panu więcej czasu. – Wyciągnął rękę, Woltz ją uściśnął. Hagen postąpił kilka kroków do drzwi i obrócił się do Woltza. – O ile mi wiadomo, musi pan mieć do czynienia z wieloma ludźmi, którzy usiłują się wydać ważniejsi niż są. W moim przypadku jest odwrotnie. Może by pan mnie sprawdził u naszego wspólnego znajomego? Jeżeli pan się namyśli, proszę zadzwonić do mojego hotelu. – Przerwał. – Może się to panu wydać świętokradcze, ale mój klient jest w stanie zrobić dla pana rzeczy, które nawet pan Hoover mógłby uznać za będące poza zasięgiem. – Zauważył, że oczy producenta się zwężają. Coś wreszcie zaczynało docierać do Woltza. – Nawiasem mówiąc, ogromnie podziwiam pańskie filmy – powiedział Hagen najprzymilniejszym tonem, na jaki mógł się zdobyć. – Mam nadzieję, że pan będzie mógł nadal robić dobrą robotę. Nasz kraj jej potrzebuje.

Późnym popołudniem Hagen otrzymał telefon od sekretarki producenta, że w ciągu godziny przyjedzie samochód, aby go zawieźć do wiejskiego domu pana Woltza na kolację. Sekretarka powiedziała, że jazda trwa około trzech godzin, ale wóz jest wyposażony w barek oraz przekąski. Hagen wiedział, że Woltz poleciał tam swoim prywatnym samolotem, i zastanowił się, dlaczego nie został zaproszony, by odbyć tę podróż drogą powietrzną. Głos sekretarki dodał uprzejmie:

– Pan Woltz proponuje, żeby pan wziął ze sobą neseser, to odwiezie pana na lotnisko jutro rano.

– Tak zrobię – zgodził się Hagen. Była to jeszcze jedna rzecz do przemyślenia. Skąd Woltz wiedział, że wraca porannym samolotem do Nowego Jorku? Zastanowił się nad tym chwilę. Najbardziej prawdopodobnym wytłumaczeniem było, że Woltz napuścił na niego prywatnych detektywów, by zebrać wszelkie możliwe informacje. W takim razie Woltz z pewnością wiedział, że reprezentuje dona, co oznaczało, że wie coś o donie, to zaś z kolei znaczyło, że jest teraz gotów podejść do całej sprawy poważnie. Więc jednak może coś da się zrobić – pomyślał Hagen. I może Woltz jest sprytniejszy, niż wydał się tego rana.

Siedziba Jacka Woltza wyglądała jak nieprawdopodobna dekoracja filmowa. Była to rezydencja w typie dworów na plantacjach Południa, z ogromnym terenem opasanym ziemną alejką do konnej jazdy, ze stajniami i pastwiskami dla stada koni. Żywopłoty, klomby i trawniki były wypielęgnowane tak starannie jak paznokcie gwiazdy filmowej.

Woltz przywitał Hagenę na oszklonej, klimatyzowanej werandzie. Producent był ubrany po domowemu, w niebieską koszulę rozpiętą pod szyją, spodnie koloru musztardowego i miękkie skórzane sandały. Jego twarda, pobrużdżona twarz okolona tymi wszystkimi barwami i kosztownymi tkaninami była zaskakująca. Wręczył Hagenowi szklankę martini i wziął sobie drugą z przygotowanej tacy. Wydawał się bardziej przyjazny niż rano. Otoczył Hagenę ramieniem i powiedział:

– Mamy niewiele czasu do kolacji, chodźmy obejrzyć moje konie. – Kiedy szli ku stajniom, rzekł: – Sprawdziłem pana, Tom. Powinien był pan wyjawić mi, że pańskim szefem jest Corleone. Myślałem, że pan jest jakimś trzeciorzędnym kombinatorem, którego nasłał Johnny, żeby mnie zastraszyć. Ale ja się nie stracham. Nie, żebym chciał robić sobie wrogów, na to nigdy nie szedłem. No, ale teraz rozerwijmy się trochę. O interesach możemy pogadać po kolacji.

Niespodziewanie Woltz okazał się prawdziwie uprzejmym gospodarzem. Wyjaśniał swoje nowe metody, innowacje, dzięki którym miał nadzieję uczynić swoją stajnię najświetniejszą w Ameryce. Wszystkie budynki stajenne były ognioodporne, zaopatrzone w najlepsze urządzenia sanitarne i strzeżone przez specjalny zespół prywatnych detektywów. Wreszcie Woltz zaprowadził Hagenę do boksu, na którego zewnętrznej ścianie była zawieszona ogromna plakietka z brązu. Na plakiecie widniał napis „Chartum”.

Koń stojący w boksie był nawet dla niedoświadczonych oczu Hageny pięknym zwierzęciem. Był czarny jak smoła, z wyjątkiem białej plamy w kształcie rombu na szerokim czole. Wielkie brązowe oczy błyszczały jak złote jabłka, a sierść na umięśnionym tułowiu lśniła jak jedwab. Woltz powiedział z dziecinną dumą:

– Najwspanialszy koń wyścigowy na świecie. Kupiłem go zeszłego roku w Anglii za sześćset kawałków. Założę się, że nawet rosyjscy carowie nie zapłacili nigdy tyle za jednego konia. Ale nie będę go puszczał na wyścigi, będzie reproduktorem. Założę najświetniejszą stajnię wyścigową, jaką ten kraj kiedykolwiek widział. – Pogłodził konia po grzywie i zawołał cicho: – Char-

tum, Chartum! – W jego głosie była prawdziwa miłość i koń zareagował. Woltz zwrócił się do Hagena: – Wie pan, jestem dobrym jeźdźcem, a pierwszy raz wsiadłem na konia, jak miałem pięćdziesiąt lat. – Roześmiał się. – Może którąś z moich babek w Rosji zgwałcił Kozak i mam w sobie jego krew. – Pogłodził Chartuma po boku i powiedział ze szczerym podziwem: – Niech pan popatrzy na jego kutasa. Powinienem mieć takiego.

Wrócili do domu na kolację. Do stołu podawali trzej lokaje pod nadzorem kamerdynera, obrus przetykany był złotymi nićmi, zastawa była ze srebra, ale potrawy Hagen uznał za przeciętne. Woltz najwidoczniej mieszkał sam i równie widocznie nie był człowiekiem dbającym o jedzenie. Hagen zaczął, aż obaj zapalili ogromne hawańskie cygara, i dopiero wtedy zapytał Woltza:

– Więc, czy Johnny to dostaje, czy nie?

– Nie mogę – odrzekł Woltz. – Nie mogę wsadzić Johnny’ego do tego filmu, choćbym chciał. Kontrakty ze wszystkimi wykonawcami są już podpisane i zaczynamy kręcić w przyszłym tygodniu. Nie mogę tego żadnym sposobem załatwić.

Hagen powiedział ze zniecierpliwieniem:

– Proszę pana, wielkim plusem pertraktowania z człowiekiem będącym na szczycie jest to, że taka wymówka nie ma znaczenia. Może pan zrobić wszystko, co pan zechce. – Pyknął z cygara. – Nie wierzy pan, że mój klient może dotrzymać obietnicy?

Woltz odparł sucho:

– Przypuszczam, że będę miał kłopoty ze związkami zawodowymi. Ten drań, Goff, dzwonił do mnie w tej sprawie i po tym, co mówił, nikt by się nie domyślił, że mu odpalam po cichu sto kawałków rocznie. I wierzę, że jesteście w stanie odciągnąć od heroiny tego supermęskiego pedała, mojego gwiazdora. Ale mnie to jest obojętne, a swój film mogę sam sfinansować. Bo nienawidzę tego drania Fontane. Niech pan przekaże swojemu szefowi, że tej jednej uprzejmości nie mogę mu zrobić, ale niech się znów do mnie zwróci w jakiejś innej sprawie. Jakiegokolwiek w ogóle.

Ty chytry łobuzie, to po co mnie tu ściągnąłeś? – pomyślał Tom. Producent miał jakieś zamiary. Hagen powiedział zimno:

– Nie sądzę, żeby pan rozumiał sytuację. Pan Corleone jest ojcem chrzestnym Johnny’ego Fontane. To są bardzo bliskie, bardzo uświęcone związki religijne. – Woltz pochylił z szacunkiem głowę na tę wzmiankę o religii. Hagen ciągnął dalej: – Włosi mają takie powiedzonko, że świat jest tak twardy, iż

człowiek musi mieć dwóch ojców, żeby się nim opiekowali, i dlatego ma ojca chrzestnego. Ponieważ ojciec Johnny'ego nie żyje, pan Corleone jeszcze bardziej poczuwa się do odpowiedzialności. A jeśli chodzi o ponowne zwrócenie się do pana, to pan Corleone jest na to o wiele za wrażliwy. Nigdy nie prosi o drugą uprzejmość, kiedy mu odmówiono pierwszej.

Woltz wzruszył ramionami.

– Bardzo żałuję. Odpowiedź brzmi nadal: nie. Ale skoro pan już tu jest, ile będzie mnie kosztowało usunięcie tych kłopotów ze związkami zawodowymi? Gotówką. Teraz.

To rozwiązywało Hagenowi jedną zagadkę. Dlaczego Woltz poświęcał mu tyle czasu, skoro już postanowił nie dawać roli Johnny'emu. I tego nie można było zmienić podczas obecnego spotkania. Woltz czuł się bezpieczny; nie bał się potęgi dona Corleone. I na pewno ze swymi rządowymi koneksjami politycznymi, swą znajomością z szefem FBI, olbrzymią osobistą fortuną i absolutną władzą w przemyśle filmowym, nie mógł się czuć zagrożony przez dona Corleone. Dla każdego inteligentnego człowieka, także i dla Hagen, Woltz najwyraźniej ocenił właściwie sytuację. Był nie do zdobycia dla dona, skoro był gotów ponieść straty wynikłe ze strajku. Tylko jedna rzecz w całym tym równaniu była błędna. Don Corleone obiecał swojemu synowi chrzestnemu, że dostanie tę rolę, a, o ile Hagenowi było wiadomo, don Corleone w takich sprawach nigdy nie złamał danego słowa. Hagen przemówił spokojnie:

– Pan mnie rozmyślnie źle rozumie. Usiłuje pan zrobić ze mnie współnika wymuszenia. Pan Corleone obiecuje wstawić się za panem w tej sprawie ze związkami po przyjacielsku, w zamian za pańskie wstawiennictwo za jego klientem. Przyjazna wymiana wpływów, nic więcej. Ale widzę, że pan mnie nie bierze poważnie. Osobiście sądzę, że to błąd.

Woltz, jakby czekał na taką chwilę, pozwolił sobie na gniew.

– Rozumiem doskonale. To styl mafii, prawda? Naoliwione, słodkie gadanie, kiedy w gruncie rzeczy grozicie. Więc postawię sprawę jasno. Johnny Fontane nigdy nie dostanie tej roli, a jest do niej stworzony. Zrobiłaby z niego wielkiego gwiazdora. Ale nigdy nim nie będzie, bo nie cierpię tego lewicującego pętaka i przepędzę go z filmu. A powiem panu dlaczego. Zmarnował jedną z moich najbardziej wartościowych protegowanych. Przez pięć lat szkoliłem tę dziewczynę, brała lekcje śpiewu, tańca, gry aktorskiej, wydałem na nią setki tysięcy dolarów. Miałem z niej zrobić gwiazdę. Będę jeszcze bardziej szczery, żeby panu pokazać, że to nie była tylko sprawa dolarów i cen-

tów. Ta dziewczyna była piękna i była najwspanialszą dupą, jaką miałem, a miałem różne po całym świecie. Umiała człowieka ssać jak pompa wodna. I przyszedł Johnny z tym swoim naoliwionym głosem i kataryniarskim urokiem, i uciekła ode mnie. Cisnęła wszystko, żeby mnie tylko ośmieszyć. Człowiek na moim stanowisku, proszę pana, nie może sobie pozwolić na ośmieszenie. Muszę Johnny'emu odpłacić.

Po raz pierwszy udało się Woltzowi zadziwić Hagen. Uważał za niepojęte, żeby dorośli, majątny człowiek pozwolił takim błahostkom wpływać na swoją ocenę w sprawie dotyczącej interesów, i to tak ważnej. W świecie Hagen, świecie Rodziny Corleone, fizyczne piękno, seksualne walory kobiet nie miały najmniejszego znaczenia w rzeczach konkretnych. Były sprawą prywatną, chyba że chodziło o życie małżeńskie czy hańbę rodziny. Hagen zdecydował się uczynić ostatnią próbę.

– Ma pan absolutną słuszość – przyznał. – Ale czy pańskie urazy są tak istotne? Odnoszę wrażenie, że pan nie zrozumiał, jak ważna jest dla mojego klienta ta drobna uprzejmość. Pan Corleone trzymał w ramionach malutkiego Johnny'ego, kiedy go chrzczono. Kiedy ojciec Johnny'ego umarł, pan Corleone przejął obowiązki rodzicielskie, w istocie jest nazywany Ojcem Chrzestnym przez wielu, wielu ludzi, którzy chcą mu okazać szacunek i wdzięczność za pomoc, jakiej im udzielił. Pan Corleone nigdy nie opuszcza swoich przyjaciół.

Woltz wstał raptownie.

– Chyba już dość się nasłuchałem. Łobuzy nie wydają mi rozkazów, to ja im je wydaję. Jeżeli podniosę słuchawkę tego telefonu, spędzisz pan noc w więzieniu. A jeśli ten mafijny kacyk spróbuje czegoś ostrego, dowie się, że nie jestem kierownikiem orkiestry. A jakże, o tej historii także słyszałem. Słuchaj pan, ten pański Corleone nawet nie będzie wiedział, co go trafiło. Choćbym miał użyć swoich wpływów w Białym Domu.

Głupi, głupi drań. Jakim cudem, u licha, doszedł do tego, żeby być *pezzonovante*? – zastanawiał się Hagen. Doradca prezydenta, szef największej wytwórni filmowej na świecie. Don bezwzględnie powinien wziąć się do interesów filmowych. I ten facet bierze jego słowa za sentymentalne bzdury bez pokrycia. Nic do niego nie dociera.

– Dziękuję panu za kolację i miły wieczór – powiedział. – Czy mógłby pan kazać odwieźć mnie na lotnisko? Chyba nie zostanę na noc. – Uśmiechnął się zimno do Woltza. – Pan Corleone jest człowiekiem, który wymaga, żeby mu

od razu przekazywano złe wiadomości.

Czekając pod oświetloną kolumnadą na samochód, Hagen zobaczył dwie kobiety wsiadające do długiej limuzyny, która już stała na podjeździe. Była to owa piękna, dwunastoletnia złotowłosa dziewczynka i jej matka, które widział rano w biurze Woltza. Teraz jednakże prześlicznie wykrojone usta dziewczynki były jakby rozmazane w olbrzymią, różową masę. Błękitne oczy miała zamglone, a kiedy schodziła po schodach do samochodu, jej długie nogi chwiały się jak nogi okulawionego źrebięcia. Matka podtrzymywała dziewczynkę, pomagała jej wsiąść, sykała jej do ucha rozkazy. Obróciła głowę, by rzucić Hagenowi krótkie, ukradkowe spojrzenie, i dostrzegł w jej oczach płonący, jastrzębi triumf. A potem i ona zniknęła we wnętrzu limuzyny.

Więc to dlatego nie zabrano mnie samolotem z Los Angeles – pomyślał Hagen. Dziewczynka i jej matka przyleciały tu razem z producentem. To dało Woltzowi dość dużo czasu, żeby odpocząć przed kolacją i posunąć tę małą. I Johnny chciał żyć w tym świecie? Powinszować Johnny’emu i powinszować Woltzowi.

Paulie Gatto nie cierpiał roboty na chybcika, zwłaszcza gdy w grę wchodziła przemoc. A coś takiego jak dzisiaj, choć było łatwizną, mogło przemienić się w poważną historię, gdyby ktoś zrobił błąd. Popijając piwo, zerknął, by sprawdzić, co te dwa młode pętaکی wyrabiają z dwiema dziwkami przy barze.

Paulie Gatto wiedział wszystko, co trzeba było wiedzieć o tych dwóch smarkaczach. Nazywali się Jerry Wagner i Kevin Moonan. Mieli mniej więcej po dwadzieścia lat, byli przystojni, ciemnowłosi, wysocy, dobrze zbudowani. Obaj mieli za dwa tygodnie wrócić do college’u, ojcowie obydwu posiadali polityczne wpływy, i to oraz fakt, że byli studentami chroniło ich do tychczas od poboru. Poza tym obydwaj dostali wyroki z zawieszeniem za napisać na córkę Ameriga Bonasery. Parszywe dranie – myślał Paulie Gatto. – Uchylają się od poboru, naruszają zawieszenie wyroku, chlając po północy w barze, uganiają się za szmatami. Gówniarze. Sam Paulie Gatto dostał odroczenie poboru, ponieważ jego lekarz przedłożył komisji poborowej zaświadczenie stwierdzające, że jego pacjent, płci męskiej, biały, lat dwadzieścia sześć, nieżonaty, był leczony za pomocą elektrowstrząsów na zaburzenia

umysłowe. Wszystko to było oczywiście kłamstwem, ale Paulie Gatto uważał, że zasłużył sobie na zwolnienie od poboru. Zostało ono załatwione przez Clemenza, kiedy Gatto „wykazał się” w interesach Rodziny.

Clemenza powiedział mu, że z tą robotą trzeba się pospieszyć, zanim chłopcy wyjadą do college’u. Dlaczego, do cholery, musi się to robić w Nowym Jorku? – zastanawiał się Gatto. Clemenza zawsze wydawał ekstrarozkazy, zamiast po prostu nadać robotę. Jeżeli teraz te dwie dziwki wyjdą razem z gówniarzami, jeszcze jeden wieczór będzie zmarnowany.

Usłyszał, jak jedna z dziewczyn roześmiała się:

– Zwariowałeś, Jerry? Nie jadę z wami żadnym samochodem. Nie chcę wylądować w szpitalu jak tamta biedaczka.

Jej głos nabrzmiał złośliwą satysfakcją. To wystarczyło Gattowi. Dokończył swoje piwo i wyszedł na ciemną ulicę. Doskonale. Było po północy. Jeszcze tylko w jednym barze paliło się światło. Sklepy były pozamykane. Policyjnym wozem patrolowym zajął się Clemenza. Mieli tędy nie przejeżdżać, dopóki nie dostaną wezwania przez radio; wtedy przyjadą.

Oparł się o czterodrzwiowego chevroleta. Na tylnym siedzeniu czekali dwaj ludzie, prawie niewidoczni, choć byli bardzo masywni. Paulie powiedział:

– Bierzcie ich, jak wyjadą.

Nadal uważał, że to wszystko zorganizowano za szybko. Clemenza dał mu odbitki zdjęć policyjnych obu smarkaczy i cynk, gdzie popijają co noc, żeby podrywać w barze dziewczyny. Paulie zwerbował dwóch „silnorekich” Rodziny i wskazał im smarkaczy. Wydał im też instrukcje. Żadnych ciosów w czubek albo w tył głowy – żeby nie było jakiegoś przypadkowego nieszczęścia. Poza tym mogli iść na całego. Udzielił im tylko jednego ostrzeżenia:

– Jeżeli ci gówniarze wyjdą ze szpitala wcześniej niż po miesiącu, wróćcie do prowadzenia ciężarówek.

Dwaj masywni mężczyźni wysiedli z samochodu. Obaj byli eksbokserami, którym nigdy nie udało się wyjść poza małe kluby i którym Sonny Corleone dał drobne zajęcia lichwiarskie, tak że mogli zarabiać na przyzwoite utrzymanie. Ma się rozumieć, pragnęli okazać swoją wdzięczność.

Kiedy Jerry Wagner i Kevin Moonan wyszli z baru, byli w nastroju doskonale ułatwiającym sprawę. Docinki dziewczyny podrażniły ich młodzieńczą próżność. Paulie Gatto, oparty o zderzak samochodu, zawołał do nich z urą-

gliwym śmiechem:

– Ty, casanova, te dziwki was nieźle spławiły!

Obaj młodzi ludzie z radością obrócili się przeciwko niemu. Paulie Gatto zdawał się być idealnym ujściem dla ich upokorzenia. Niski, drobny, z twarzą łasicy i jeszcze przemądrzały na dodatek. Rzucili się na niego ochoczo i natychmiast poczuli, że wykręcili im ręce dwaj mężczyźni, którzy złapali ich z tyłu. W tej samej chwili Paulie Gatto wsunął na prawą dłoń specjalnie zrobiony kastet, nabijany żelaznymi kolcami grubości jednej szesnastej cala. Uderzenie wyliczył dobrze, trenował w sali gimnastycznej trzy razy w tygodniu. Rąbnął chłopaka nazwiskiem Wagner prosto w nos. Człowiek trzymający Wagnera uniósł go z ziemi, Paulie zamachnął się i uderzył sierpowym w doskonale podstawioną pachwinę. Wagner zwiotczał, a masywny mężczyzna upuścił go na ziemię. Zabrało to nie więcej niż sześć sekund.

Teraz obaj skierowali uwagę na Kevina Moonana, który usiłował krzyczeć. Człowiek przytrzymujący go z tyłu unieruchamiał go z łatwością jednym olbrzymim muskularnym ramieniem. Drugie zacisnął na szyi Moonana, żeby zdławić wszelkie odgłosy.

Paulie Gatto wskoczył do samochodu i włączył silnik. Obaj ogromni mężczyźni tłukli Moonana na miazgę. Robili to przerażająco metodycznie, tak jakby mieli mnóstwo czasu. Nie zadawali ciosów bezładnie, tylko odmierzonymi, powolnymi seriami, w które wkładali cały ciężar swoich masywnych ciał. Po każdym ciosie słychać było odgłos pękającej skóry. Gatto zerknął na twarz Moonana. Była nie do poznania. Obaj mężczyźni zostawili Moonana leżącego na chodniku i zajęli się Wagnerem. Wagner usiłował się podnieść i zaczął wołać o pomoc. Ktoś wyszedł z baru i obaj mężczyźni musieli teraz pracować szybciej. Obalili Wagnera na kolana. Jeden złapał go za rękę i wykręcił ją, a drugi kopnął go w krzyż. Rozległ się trzask, a na ryk bólu Wagnera pootwierają się okna na całej ulicy. Obaj mężczyźni spieszyli się bardzo. Jeden przytrzymał Wagnera, ujmując jego głowę oburącz jak w imadło. Drugi grzmotnął olbrzymią pięścią w tak unieruchomiony cel. Z baru wybiegli ludzie, ale nikt nie próbował interweniować. Paulie Gatto zawołał:

– Chodźcie, wystarczy!

Dwaj ogromni mężczyźni wskoczyli do samochodu, a Paulie dał gazu. Ktoś mógł opisać wóz i podać numer rejestracyjny, ale to nie miało znaczenia. Była to skradziona tabliczka kalifornijska, a w Nowym Jorku było sto tysięcy czarnych limuzyn marki Chevrolet.

Rozdział 2

Tom Hagen pojechał do swojej kancelarii adwokackiej w mieście w czwartek rano. Zamierzał podgonić papierkową robotę, żeby mieć wszystko wy czyszczone przed piątkowym spotkaniem z Virgilem Sollozzo. Spotkaniem tak doniosłym, że prosił doną, aby cały wieczór poświęcił na rozmowę o propozycji, którą, jak wiedzieli, Sollozzo przedłoży kierującym interesami Rodziny. Hagen chciał pozalać wszystkie drobne sprawy, żeby móc udać się na to przygotowawcze spotkanie ze spokojną głową.

Don nie wydał się zaskoczony, kiedy Hagen wrócił z Kalifornii późnym wieczorem we wtorek i przedstawił mu wyniki negocjacji z Woltzem. Kazał Hagenowi powtórzyć wszystkie szczegóły i skrzywił się z niesmakiem, gdy Hagen opowiedział o pięknej dziewczynce i jej matce. Mruknął *infamita*, co było u niego najmocniejszym potępieniem. Zadał Hagenowi jedno końcowe pytanie:

– Czy to jest naprawdę człowiek z jajami?

Hagen zastanowił się, co dokładnie don rozumiał przez to pytanie. Z biegiem lat nauczył się, iż kryteria doną są tak odmienne od kryteriów innych ludzi, że również i te słowa mogły mieć inne znaczenie. Czy Woltz jest człowiekiem z charakterem? Czy ma silną wolę? Na pewno tak, ale don nie o to pytał. Czy producent filmowy ma tyle odwagi, żeby się nie dać zastraszyć? Czy gotów jest ponieść ciężką stratę finansową, jaką spowodowałyby zwłoka w realizacji filmu, oraz skandal, jakim byłoby ujawnienie, że jego wielki gwiazdor używa heroiny? Znowu odpowiedź brzmiała: tak. Ale don nie o to pytał. W końcu Hagen przetłumaczył sobie właściwie to pytanie. Czy Jack Woltz ma odwagę zaryzykować wszystko, narazić się na stratę wszystkiego dla samej zasady, dla honoru, dla zemsty?

Hagen uśmiechnął się. Robił to rzadko, lecz teraz nie mógł się oprzeć, by

zażartować z donem.

– Pan pyta, czy on jest Sycylijczykiem?

Don kiwnął z zadowoleniem głową, doceniając pochlebny dowcip i jego trafność.

– Nie – powiedział Hagen.

To było wszystko. Don zastanawiał się nad tym zagadnieniem do następnego dnia. W środę po południu wezwał do siebie Hagena i wydał mu instrukcje. Instrukcje te wypełniły Hagenowi resztę dnia pracy i pozostawiły go oszołomionego z podziwu. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że don rozwiązał problem i że Woltz zadzwoni tego rana z wiadomością, iż Johnny Fontane ma główną rolę w jego nowym filmie wojennym.

W tej chwili telefon rzeczywiście zadzwonił, ale odezwał się Amerigo Bonasera. Głos przedsiębiorcy pogrzebowego drżał z wdzięczności. Prosił Hagen, żeby przekazał donowi jego dozgonną przyjaźń. Wystarczy, żeby don się do niego zwrócił. On, Amerigo Bonasera, odda życie za umiłowanego Ojca Chrzestnego. Hagen zapewnił go, że powtórzy to donowi.

„Daily News” zamieściły na rozkładówce zdjęcia Jerry’go Wagnera i Kevina Moonana leżących na ulicy. Umiejętnie zrobione fotografie były przerażające, obaj wydawali się miazgą istot ludzkich. „News” donosił, że cudem pozostali przy życiu, choć będą musieli przebywać w szpitalu przez całe miesiące i poddać się operacjom plastycznym. Hagen sporządził notatkę dla Clemenzy, że należy coś uczynić dla Pauliego Gatto. Najwyraźniej znał się na robocie.

Hagen pracował szybko i sprawnie przez następne trzy godziny, zestawiając sprawozdania o przychodach z należącego do dona przedsiębiorstwa handlu nieruchomościami, z jego firmy importu oliwy i przedsiębiorstwa budowlanego. Żadne z nich nie szło zbyt dobrze, ale teraz, kiedy wojna się zakończyła, powinny być się wzbogacić. Prawie zapomniał o sprawie Johnny’ego Fontane, gdy sekretarka dała mu znać, że dzwoni Kalifornia. Poczul lekki dreszcz wyczekiwania, gdy podniósł słuchawkę i powiedział:

– Tu mówi Hagen.

Głos, który odezwał się w telefonie, był nie do poznania, zmieniony z nienawiści i pasji.

– Ty pieprzony draniu! – wrzeszczał Woltz. – Wsadzę cię do kryminału na sto lat. Wydam ostatniego centa, żeby cię dorwać. Temu Johnny’emu Fontane każę oberznąć jaja, słyszysz mnie, ty makaroniarski gnojku?

Hagen powiedział uprzejmie:

– Jestem pochodzenia irlandzko-niemieckiego.

Nastąpiła długa pauza, a potem szczęknięcie odkładanej słuchawki. Hagen uśmiechnął się. Woltz ani razu nie wypowiedział groźby przeciwko samemu donowi Corleone. Geniusz miał swoje dodatnie strony.

Jack Woltz zawsze sypiał sam. Miał łóżko dostatecznie duże na dziesięć osób, a sypialnię tak wielką, że można by nakręcić w niej bal, lecz sypiał sam od śmierci pierwszej żony przed dziesięcioma laty. To nie znaczyło, że już nie korzystał z kobiet. Fizycznie był krzepki pomimo swego wieku, ale teraz pobudzały go tylko bardzo młode dziewczyny i wiedział, że kilka godzin wieczorem to wszystko, na co może się zdobyć młodzienczość jego ciała i jego cierpliwość.

Tego czwartkowego poranka z jakiejś przyczyny obudził się wcześniej. W świetle brzasku jego olbrzymia sypialnia zdawała się zamglona jak łąka w oparach. Daleko w nogach łóżka leżał jakiś znajomy kształt i Woltz podźwignął się na łokciach, by przyjrzeć się lepiej. Miało to formę końskiej głowy. Jeszcze otumaniony Woltz wyciągnął rękę i zapalił nocną lampkę.

To, co zobaczył, było tak wstrząsające, że poczuł się fizycznie chory. Rzekłbyś, jakiś olbrzymi młot kowalski zdzielił go w piersi, serce waliło mu jak szalone i chwyciły go mdłości. Jego wymioty rozbryzgały się na grubym dywanie.

Czarna, jedwabista głowa wspaniałego Chartuma, odrąbana od tułowia, tkwiła w gęstej, krwawej mazi. Widać było białe, grube ścięgna. Pysk pokrywała piana, a oczy wielkości jabłek, niegdyś błyszczące jak złoto, miały kolor gnijącego owocu, gdyż były zasnuwane wyciekłą krwią. Woltza ogarnęło zwierzęce przerażenie i w tym przerażeniu zaczął wrzeszczeć, wzywając służbę, i w tym przerażeniu zatelefonował do Hageny, by miotać niepohamowane groźby. Jego obłąkańcze wrzaski przstraszyły lokaja, który zadzwonił po jego osobistego lekarza i po zastępcę w wytwórni.

Jednakże Woltz odzyskał zmysły, zanim przybyli.

Był do głębi wstrząśnięty. Jakież to człowiek był w stanie zabić zwierzę warte sześćset tysięcy dolarów? Bez słowa ostrzeżenia. Bez żadnych układów mogących doprowadzić do odwołania nakazanego czynu. Brak litości, absolutne lekceważenie wszelkich wartości wskazywały na człowieka, który uwa-

zał siebie za jedyne prawo, wręcz za boga. I na człowieka, co taką wolę wspierał siłą i przebiegłością, które nie liczyły się z ochroną stajni. Woltz bowiem dowiedział się tymczasem, że konia najwyraźniej obezwładniono mocnymi narkotykami, zanim ktoś bez pośpiechu odrąbał mu siekierą ogromną, trójkątną głowę. Ludzie z nocnej zmiany twierdzili, że nic nie słyszeli. Woltzowi wydawało się to nieprawdopodobieństwem. Można było ich zmusić do gadania. Zostali przekupieni i można było ich zmusić, by powiedzieli, kto ich przekupił.

Woltz nie był człowiekiem głupim, tylko po prostu bezmiernym egocentrykiem. Mylnie sądził, że władza, którą sprawował w swoim świecie, jest potężniejsza od władzy dona Corleone. Po prostu potrzeba mu było jakiegoś dowodu, że to nieprawda. Zrozumiał, co to znaczyło. Że mimo całego bogactwa, mimo kontaktów z prezydentem Stanów Zjednoczonych, mimo zapewnień o przyjaźni z dyrektorem FBI, skromny importer włoskiej oliwy może kazać go zabić! Ponieważ nie chciał dać Johnny'emu Fontane w filmie roli, której ten pragnął. To było nie do wiary. Ludzie nie mają prawa tak postępować. Świat nie może w ogóle istnieć, jeżeli tak postępują. To było obłędne. Znaczyło, że nie można robić, co się chce z własnymi pieniędzmi, z własnymi przedsiębiorstwami, z władzą wydawania rozkazów. Było to dziesięć razy gorsze od komunizmu. Należało to zmiażdżyć. Nie wolno do tego dopuścić.

Woltz pozwolił doktorowi zastosować bardzo łagodny środek uspokajający. To mu pomogło przyjść do siebie i myśleć sensownie. Najbardziej wstrząsnęła nim nonszalancja, z jaką ten Corleone nakazał zniszczenie konia światowej sławy, wartego sześćset tysięcy dolarów. Sześćset tysięcy dolarów! A to był dopiero początek. Woltz wzdrygnął się. Pomyślał o życiu, które sobie zbudował. Był bogaty. Mógł mieć najpiękniejsze kobiety świata na kiwnięcie palca i za obietnicę kontraktu. Był przyjmowany przez królów i królowe. Prowadził najwspanialsze życie, jakie mogły zapewnić pieniądze i władza. Szaleństwem było ryzykować to wszystko dla kaprysu. Może zdoła dobrać się do Corleone. Jaka jest ustawowa kara za zabicie konia wyścigowego? Roześmiał się dziko, a doktor i służący popatrzyli na niego z nerwowym niepokojem. Nasunęła mu się inna myśl. Będzie pośmiewiskiem Kalifornii po prostu dlatego, że ktoś wzgardliwie zlekceważył jego potęgę w taki zachwały sposób. To przesądziło sprawę. To oraz myśl, że może, może go nie zabiją. Że mają w rezerwie coś znacznie przemyślniejszego i bardziej boleśnego.

Woltz wydał niezbędne zarządzenia. Jego osobisty zaufany sztab przystąpił do akcji. Służący i doktor poprzysięgli tajemnicę pod groźbą narażenia się na dozgonną wrogość wytwórni i Woltza. Prasie podano do wiadomości, że koń Chartum zdechł na chorobę, której nabawił się w drodze z Anglii. Rozkazano pogrzebać jego szczątki w nieujawnionym miejscu na terenie posiadłości.

Sześć godzin później Johnny Fontane otrzymał telefon od kierownika produkcji filmu, że ma się zgłosić do pracy w następny poniedziałek.

Tegoż wieczoru Hagen udał się do domu dona, aby go przygotować do ważnego spotkania nazajutrz z Virgilem Sollozzo. Don wezwał do siebie najstarszego syna; Sonny Corleone, ze swą pyzată twarzą kupidyna ściągniętą zmęczeniem, popijał teraz wodę ze szklanki. Musi nadal rznąć tę druhnę – pomyślał Hagen. – Jeszcze jedno zmartwienie.

Don Corleone usadowił się w fotelu, pykając z cygara Di Nobili. Hagen miał pudełko tych cygar w swoim pokoju. Usiłował namówić dona, żeby przeszedł na hawańskie, ale don twierdził, że drapią go w gardle.

– Czy wiemy wszystko, co trzeba nam wiedzieć? – zapytał don.

Hagen otworzył teczkę, w której miał swoje notatki. Nie były one obciążające pod żadnym względem – po prostu tajne zapiski dające mu pewność, że poruszy każdy ważny szczegół.

– Sollozzo zwraca się do nas o pomoc. Poprosi Rodzinę, żeby wyłożyła co najmniej milion dolarów i przyobiecała jakąś ochronę przed prawem. Za to dostajemy udział w przedsięwzięciu, nikt nie wie ile. Za Sollozza poręczy Rodzina Tattagliów, która też może mieć jakiś udział. Przedsięwzięciem tym są narkotyki. Sollozzo ma kontakty w Turcji, gdzie uprawiają mak. Stamtąd przesyła się go na Sycylię. Żadnych kłopotów. Na Sycylii ma przetwórnienie do przerobu na heroinę. Ma też niezawodne metody wyrabiania morfiny, a w razie potrzeby znowu heroiny. Wydaje się, że ta przetwórnia na Sycylii jest pod każdym względem zabezpieczona. Jedyne haczyk to wwóz towaru do naszego kraju, a potem dystrybucja. Także kapitał zakładowy. Milion dolarów w gotówce piechotą nie chodzi.

Hagen zauważył grymas dona Corleone. Starszy pan nie znosił zbędnych ozdobników w sprawach dotyczących interesów. Hagen pospiesznie mówił dalej:

– Sollozza nazywają Turkiem. Dwa powody. Spędził wiele czasu w Turcji i jakoby ma turecką żonę i dzieci. Po drugie. Podobno jest bardzo chybki do noża albo też był za młodu. Jednakże tylko w interesach i z jakiejś uzasadnionej przyczyny. Człowiek bardzo kompetentny i samodzielny. Jest notowany, dwa razy siedział w więzieniu, raz we Włoszech i raz w Stanach Zjednoczonych, i jest znany władzom jako handlarz narkotyków. To mogłoby być dla nas plusem. Znaczy, że nigdy nie zostałby zwolniony od odpowiedzialności w zamian za zeznania, ponieważ jest uważany za prowodyra, i oczywiście z uwagi na jego przeszłość. Poza tym ma żonę Amerykankę i troje dzieci, i jest dobrym ojcem rodziny. Pójdzie na każdą odsiadkę, jeżeli będzie wiedział, że rodzina zostanie dobrze zaopatrzona w pieniądze na życie.

Don pyknął z cygara i zapytał:

– Santino, co o tym myślisz?

Hagen wiedział, co powie Sonny. Sonny'ego jątrzyło to, że jest pod władzą dona. Marzył o jakiejś dużej samodzielnej operacji. Coś takiego byłoby idealne.

Sonny pociągnął duży łyk whisky.

– W tym białym proszku jest kupa pieniędzy – stwierdził. – Ale to mogłoby być niebezpieczne. Niektórzy ludzie mogliby wylądować w więzieniu na dwadzieścia lat. Powiedziałbym, że gdybyśmy się trzymali z daleka od samych operacji i zajęli się tylko ochroną i finansowaniem, mógłby to być dobry pomysł.

Hagen popatrzał na Sonny'ego z aprobatą. Dobrze zagrał swą kartą. Trzymał się rzeczy oczywistych, co było dla niego najlepszą linią postępowania.

Don pyknął z cygara.

– A ty, Tom, jak uważasz?

Hagen skupił się, żeby być absolutnie uczciwym. Doszedł już do wniosku, że don odrzuci propozycję Sollozza. Ale co gorsza Hagen był przeświadczony, że tym razem, choć zdarzyło się to zaledwie parokrotnie za jego pamięci, don nie przemyślał sprawy. Nie spoglądał dostatecznie daleko w przyszłość.

– Mów, Tom – rzekł don zachęcająco. – Nawet sycylijski *consiglieri* nie zawsze zgadza się z szefem. – Wszyscy się roześmieli.

– Uważam, że powinien pan powiedzieć: tak – odparł Hagen. – Zna pan wszystkie oczywiste przyczyny. W narkotykach jest więcej potencjalnych pieniędzy niż w jakimkolwiek innym interesie. Jeżeli się do tego nie weźmiemy, zrobi to ktoś inny, być może Rodzina Tattagliów. Przy swoich docho-

dach mogą gromadzić coraz więcej i więcej wpływów politycznych i policyjnych. Ich Rodzina stanie się silniejsza od naszej. W końcu dorwą się do nas, żeby odebrać nam to, co mamy. To jest tak jak z państwami. Jeżeli inne się zbroją, trzeba się zbroić. Jeżeli stają się silniejsze gospodarczo, zaczynają być dla nas zagrożeniem. Obecnie mamy gry hazardowe i związki, a to jest w tej chwili najlepsze. Ale myślę, że narkotyki mają przyszłość. Uważam, że musimy się w to włączyć, bo inaczej narazimy wszystko, co posiadamy. Nie teraz, ale za jakieś dziesięć lat.

Don zdawał się być ogromnie tym przejęty. Pyknął z cygara i mruknął:

– To oczywiście jest najważniejsze. – Westchnął i wstał. – O której mam się jutro spotkać z tym niewiernym?

– Będzie tu o dziesiątej rano – odrzekł Hagen z nadzieją. Może don na to pójdzie.

– Będę chciał mieć tu was obu przy sobie – powiedział don. Przeciągnął się i wziął syna za ramię. – Santino, prześpij się dzisiaj, wyglądasz jak sam diabeł. Dbaj o siebie, nie będziesz wiecznie młody.

Sonny, zachęcony tą oznaką ojcowskiej troski, zadał pytanie, którego nie śmiał zadać Hagen:

– Papo, a jaka będzie twoja odpowiedź?

Don Corleone uśmiechnął się.

– Skąd mogę wiedzieć, dopóki nie usłyszę, jakie są korzyści i inne szczegóły? Poza tym muszę mieć czas, żeby przemyśleć udzielone tu dzisiaj rady. Ostatecznie nie jestem człowiekiem, który coś robi pochopnie. – Wychodząc, zapytał od niechcienia Hagen: – Czy masz w swoich notatkach to, że Turek utrzymywał się przed wojną z prostytutkami? Tak jak teraz Rodzina Tattagliów. Zapisz to sobie, nim zapomnisz.

W głosie dona była odrobina szyderstwa i Hagen się zarumienił. Rozmyślnie o tym nie wspomniał, i słusznie, gdyż naprawdę nie miało to żadnego związku ze sprawą, a bał się, że może źle wpłynąć na decyzję dona. Słyszał on z surowości w sprawach seksualnych.

Virgil „Turek” Sollozzo był masywnie zbudowanym mężczyzną średniego wzrostu, o ciemnej cerze. Można było go wziąć za prawdziwego Turka. Miał nos jak jatagan i okrutne czarne oczy. Poza tym odznaczał się imponującą godnością.

Sonny Corleone przywitał go w progu i zaprowadził do gabinetu, gdzie czekali Hagen i don. Hagen pomyślał, że nigdy nie widział człowieka wyglądającego niebezpieczniej, z wyjątkiem Luki Brasi.

Wymieniono uprzejme uściski dłoni. Jeżeli don spyta mnie kiedykolwiek, czy to jest człowiek z jajami, będę musiał odpowiedzieć tak – pomyślał Hagen. Nigdy nie widział podobnej siły w jednym człowieku, nawet w donie. W istocie don wydawał się być w najgorszej formie. Podczas powitania zachowywał się trochę prostacko, trochę zanadto po chłopsku.

Sollozzo z punktu przeszedł do rzeczy. Interesem są narkotyki. Wszystko jest zmontowane. Pewne plantacje maku w Turcji przyrzekły mu określone ilości co roku. Ma we Francji chronioną przetwórnnię dla przerobu na morfinę. Na Sycylii ma absolutnie pewny zakład dla przetwarzania na heroinę. Przemysł do obydwu krajów jest tak bezpieczny, jak to w ogóle możliwe w tych sprawach. Wwóz do Stanów Zjednoczonych pociągałby za sobą mniej więcej pięcioprocentowe straty, ponieważ, jak im obu wiadomo, samo FBI jest nieprzekupne. Jednakże zyski byłyby olbrzymie, a ryzyko żadne.

– To dlaczego pan do mnie przychodzi? – zapytał uprzejmie don. – Czym zasłużyłem sobie na pańską wspaniałomyślność?

Smągła twarz Sollozza pozostała nieporuszona.

– Potrzebuję dwóch milionów dolarów gotówką. Co równie istotne potrzebuję człowieka, który ma wpływowych przyjaciół w ważnych miejscach. Niektórzy moi kurierzy z biegiem lat wpadną. To nieuniknione. Wszyscy będą mieli czystą przeszłość, to obiecuję. Dlatego będzie dla sędziów logiczne dać im niskie wyroki. Potrzebuję przyjaciela, który może zagwarantować, że kiedy moi ludzie wpadną, nie posiedzą w więzieniu dłużej niż rok czy dwa. Wtedy nie będą gadali. Ale jeżeli dostaną dziesięć albo dwadzieścia, to kto wie? Na tym świecie jest wiele słabych jednostek. Mogą gadać, mogą narazić ludzi ważniej szych. Ochrona prawna jest koniecznością. Jak słyszę, don Corleone, ma pan w kieszeni tylu sędziów, co pucybut srebrnych monet.

Don Corleone nie zadał sobie trudu, by jakoś skwitować ten komplement.

– Ile procent dla mojej Rodziny? – zapytał.

Oczy Sollozza błysnęły.

– Pięćdziesiąt. – Przerwał, po czym dodał głosem, który był niemal pieszczotą: – W pierwszym roku wasz udział wyniósłby trzy albo cztery miliony dolarów. Potem by wzrósł.

– A jaki ma procent Rodzina Tattagliów? – zapytał don Corleone.

Po raz pierwszy Sollozzo wydał się zdenerwowany.

– Oni dostaną coś z mojego udziału. Potrzebuję pomocy w tych operacjach.

– Więc ja dostaję pięćdziesiąt procent tylko za finanse i ochronę prawną – podsumował don Corleone. – Nie troszczę się o operacje. Czy to chce mi pan powiedzieć?

Sollozzo kiwnął głową.

– Jeżeli pan uważa, że dwa miliony dolarów w gotówce to „tylko finanse”, to gratuluję panu, donie Corleone.

Don powiedział spokojnie:

– Zgodziłem się zobaczyć z panem przez szacunek dla Tattagliów i ponieważ słyszałem, że pan jest człowiekiem poważnym, którego także należy traktować z szacunkiem. Muszę panu powiedzieć „nie”, ale powinienem podać swoje powody. Zyski z pańskiego interesu są ogromne, ale tak samo ogromne jest ryzyko. Pańska operacja, gdybym wziął w niej udział, mogłaby zaszkodzić innym moim interesom. To prawda, że mam wielu, wielu przyjaciół w polityce, ale nie byłiby tacy przyjaźni, gdyby moim biznesem stały się narkotyki zamiast hazardu. Uważają hazard za coś w rodzaju alkoholu, nieszkodliwą słabostkę, natomiast narkotyki to dla nich brudny interes. Nie, niech pan nie protestuje. Podaję panu ich opinię, nie swoją. Nie moja sprawa, jak ktoś zarabia na życie. Ja tylko mówię, że ten pański biznes jest zbyt ryzykowny. Wszyscy członkowie mojej Rodziny żyli sobie dobrze przez te ostatnie dziesięć lat, bez niebezpieczeństw, bez krzywdy. Nie mogę przez chciwość narażać ich ani środków ich utrzymania.

Jedyną oznaką rozczarowania Sollozza był szybki rzut oka po pokoju, tak jakby miał nadzieję, że Hagen albo Sonny przemówią za nim. Potem zapytał:

– Czy pan się obawia o zabezpieczenie tych pańskich dwóch milionów?

Don uśmiechnął się zimno.

– Nie.

Sollozzo popróbowował znowu.

– Rodzina Tattagliów zagwarantuje także pańską inwestycję.

Wtedy to Sonny Corleone popełnił niewybaczalny błąd w ocenie i postępowaniu. Zapytał skwapliwie:

– Rodzina Tattagliów gwarantuje zwrot naszej inwestycji bez żadnego oprocentowania z naszej strony?

Hagena przeraziła ta gafa. Spostrzegł, że don obraca zimne, nieżyczliwe

oczy na najstarszego syna, który zamarł w osłupiałym przerażeniu. Oczy Sollozza błysnęły znowu, ale tym razem z satysfakcji. Odkrył szczelinę w fortecy dona. Kiedy don przemówił, w jego głosie brzmiała ostateczna odprawa.

– Młodzi ludzie są zachłanni. I dzisiaj nie mają wychowania. Przerywają starszym. Wtrącają się. Ale mam sentymentalną słabość do moich dzieci i psułem je. Jak pan widzi, *signor* Sollozzo, moje „nie” jest ostateczne. Niech mi będzie wolno powiedzieć, że osobiście życzę panu powodzenia w pańskich interesach. Nie ma konfliktu między nimi a mymi własnymi. Przykro mi, że musiałem pana rozczarować.

Sollozzo skłonił się, uściśnął dłoń dona, po czym pozwolił Hagenowi odprowadzić się do samochodu. Kiedy się zegnał z Hagenem, jego twarz była bez wyrazu.

Gdy Hagen wrócił, don Corleone zapytał:

– Co myślisz o tym człowieku?

– To Sycylijczyk – odrzekł Hagen sucho.

Don pokiwał głową w zamyśleniu. Potem obrócił się do syna i powiedział łagodnie:

– Santino, nigdy nie pozwalaj nikomu spoza rodziny wiedzieć, co myślisz. Nigdy nie pokazuj, co trzymasz w zanadrzu. Uważam, że mózg ci mięknie od całej tej komedii, którą grasz z tą młodą dziewczyną. Skończ z tym i poświęć uwagę interesom. A teraz zejdz mi z oczu.

Hagen dojrzał na twarzy Sonny’ego zaskoczenie, a potem gniew z powodu wyrzutu ojca. Czy naprawdę myślał, że don nie dowie się o jego podboju? – zastanowił się Hagen. I czy naprawdę nie wie, jaki niebezpieczny błąd popełnił tego rana? Jeżeli tak jest, to Hagen nigdy nie chciałby być *consigliori* Santina Corleone jako dona.

Don Corleone zaczekał, aż Sonny wyjdzie z pokoju. Potem opadł na skórzany fotel i szorstko skinął o coś do picia. Hagen nalał mu kieliszek anyżówki. Don spojrzał na niego.

– Przyślij mi Lucę Brasi – polecił.

Trzy miesiące później Hagen pospiesznie załatwiał papierkową robotę w kancelarii, mając nadzieję, że wyjdzie dostatecznie wcześnie, aby porobić gwiazdkowe zakupy dla żony i dzieci. Przerwał mu telefon od Johnny’ego Fontane kipiącego wyborynym humorem. Film został nakręcony, kopia robo-

cza – cokolwiek, u diabła, to jest, pomyślał Hagen – była fantastyczna. Johnny posyłał donowi prezent na Gwiazdkę, od którego oczy wyjdą mu na wierzch; przywiózłby go osobiście, ale trzeba było jeszcze porobić parę drobniaków do filmu. Musiał więc zostać na Wybrzeżu. Hagen usiłował ukryć zniecierpliwienie. Urok Johnny’ego Fontane nigdy na niego nie działał. Jednakże był zaciekawiony.

– A co to takiego? – zapytał.

Johnny Fontane zachichotał i odrzekł:

– Nie mogę powiedzieć, to właśnie jest najmiłsze w prezencie gwiazdkowym.

Hagen natychmiast stracił wszelkie zainteresowanie i w końcu udało mu się grzecznie odłożyć słuchawkę.

Dziesięć minut później sekretarka oznajmiła mu, że dzwoni Connie Corleone i chce z nim mówić. Hagen westchnął. Jako młoda dziewczyna Connie była miła, jako mężatka stała się utrapieniem. Skarżyła się na swojego męża. Wciąż przyjeżdżała na dwa czy trzy dni do domu, w odwiedziny do matki. A Carlo Rizzi okazywał się naprawdę do niczego. Dano mu dobry mały interes, który doprowadził do upadku. Poza tym pił, uganiał się za dziewczynami, uprawiał hazard i od czasu do czasu bił żonę. Connie nie mówiła o tym rodzinie, ale zwierzała się Hagenowi. Zastanawiał się, jaką też nową żalosną opowieść ma dla niego w tej chwili.

Jednakże nastrój gwiazdkowy najwyraźniej ją rozpogodził. Po prostu chciała zapytać Hagen, co ojciec naprawdę pragnąłby dostać na Gwiazdkę. A także Sonny i Fred, i Mike. Wiedziała już, co da matce. Hagen podał kilka propozycji, które odrzuciła jako niemądre. W końcu uwolniła go od siebie.

Kiedy telefon zadzwonił znowu, Hagen odłożył papiery. Do diabła z tym. Wyjdzie. Jednakże nie przyszło mu do głowy odmówić rozmowy. Kiedy sekretarka powiedziała mu, że dzwoni Michael Corleone, podniósł słuchawkę z przyjemnością. Zawsze lubił Mike’a.

– Tom – odezwał się Michael Corleone – przyjeżdżam jutro z Kay do miasta. Mam coś ważnego do powiedzenia staremu przed Bożym Narodzeniem. Czy jutro wieczorem będzie w domu?

– Oczywiście – odrzekł Hagen. – Nigdzie nie wyjeżdża, dopiero po świętach. Mogę coś dla ciebie zrobić?

Michael był równie skryty jak ojciec.

– Nie. Przypuszczam, że cię zobaczę w czasie świąt, bo wszyscy będą na

Long Beach, prawda?

– Prawda – odrzekł Hagen. Rozbawiło go to, że Mike odłożył słuchawkę bez żadnych zdawkowych słów.

Powiedział sekretarce, by zadzwoniła do jego żony i zawiadomiła ją, że wróci trochę później, ale żeby mu przygotowała coś na kolację. Wyszedłszy na ulicę, ruszył żwawo w stronę magazynu Macy'ego. Ktoś zagroził mu drogę. Ze zdumieniem poznał Sollozza.

Sollozzo wziął go pod rękę i powiedział spokojnie:

– Niech pan się nie boi, chcę tylko z panem pomówić. – Drzwi samochodu stojącego przy krawężniku otworzyły się nagle. Sollozzo powiedział z naciśkiem: – Wsiadaj pan, chcę z panem pogadać.

Hagen wyrwał rękę. Nie był jeszcze zaniepokojony, tylko zirytowany.

– Nie mam czasu.

W tej chwili podeszli do niego z tyłu dwaj mężczyźni. Hagen poczuł nagle, że nogi uginają się pod nim. Sollozzo polecił cicho:

– Wsiadaj pan do samochodu. Gdybym chciał pana zabić, już byś nie żył. Zaufaj mi.

Bez cienia zaufania Hagen wsiadł do wozu.

Michael Corleone skłamał Hagenowi. Był już w Nowym Jorku i dzwonił z pokoju w hotelu Pensylwania znajdującego się dziesięć przecznic dalej. Kiedy odłożył słuchawkę, Kay Adams zgasiała papierosa i zawołała:

– Mike, ależ z ciebie kłamczuch!

Michael usiadł przy niej na łóżku.

– Wszystko dla ciebie, kochanie. Gdybym powiedział rodzinie, że jesteśmy w mieście, musielibyśmy zaraz tam jechać. Wtedy nie moglibyśmy dziś spać ze sobą. W domu mojego ojca to niemożliwe, póki się nie pobierzemy.

Objął ją i delikatnie pocałował w usta. Jej wargi były słodkie, pociągnął ją łagodnie na łóżko. Przymknęła oczy, czekając, by ją wziął, a Michaela ogarnęło uczucie ogromnego szczęścia. Spędził lata wojenne, walcząc na Pacyfiku i na tych krwawych wyspach marzył o takiej dziewczynie jak Kay Adams. O takiej piękności jak ona. Śliczne i delikatne ciało o mlecznej skórze, nielektryzowane napiętością. Otworzyła oczy i przyciągnęła go do siebie, aby go pocałować. Kochali się, dopóki nie przyszła pora na kolację i teatr.

Po kolacji szli koło jasno oświetlonych magazynów, pełnych świątecznych

klientów, i Michael zapytał:

– Co mam ci dać na Gwiazdkę?

Przytuliła się do niego.

– Tylko samego siebie. Myślisz, że twój ojciec mnie zaaprobuje?

Michael powiedział łagodnie:

– Właściwie nie na tym polega pytanie. Czy twoi rodzice mnie zaaprobują?

Kay wzruszyła ramionami.

– Wszystko mi jedno.

– Myślałem nawet, żeby legalnie zmienić nazwisko – rzekł Mike – ale gdyby coś się stało, toby właściwie nie pomogło. Jesteś pewna, że chcesz być panią Corleone? – Powiedział to tylko na wpół żartobliwie.

– Tak – odparła bez uśmiechu.

Przytulił ją do siebie. Postanowili pobrać się w czasie świątecznego tygodnia; cicha ceremonia cywilna w ratuszu, tylko dwóch przyjaciół jako świadków. Michael jednak uparł się, że musi powiedzieć ojcu. Tłumaczył, że ojciec się wcale nie sprzeciwi, jeżeli tylko nie będzie to zrobione w tajemnicy. Kay miała wątpliwości. Mówiła, że może powiedzieć swoim rodzicom dopiero po ślubie.

– Oczywiście pomyślą, że jestem w ciąży.

Michael uśmiechnął się.

– Tak samo moi rodzice – odrzekł.

Żadne z nich nie wspomniało o fakcie, że Michael musiałby zerwać bliskie więzy ze swoją rodziną. Oboje rozumieli, że w pewnej mierze już to zrobił, a jednak czuli się winni z tego powodu. Zamierzali ukończyć college, widując się w weekendy i mieszkając razem podczas letnich wakacji. Wyglądało to na szczęśliwe życie.

Sztuka była komedią muzyczną pod tytułem *Karuzela* i ta sentymentalna historia o chełpliwym złodzieju sprawiła, że uśmiechali się do siebie z rozba-wieniem. Kiedy wyszli z teatru, zrobiło się już zimno. Kay przytuliła się do Michaela i zapytała:

– Czy jak się pobierzemy, będziesz mnie bił, a potem kradł gwiazdkę z nieba na prezent?

Michael roześmiał się.

– Zostanę profesorem matematyki – odparł. A potem spytał: – Chcesz coś zjeść, zanim pójdziemy do hotelu?

Kay potrząsnęła głową. Popatrzyła na niego znacząco. Jak zawsze, wzru-

szyla go jej ochota na miłość. Uśmiechnął się do niej i pocałowali się na zimnej ulicy. Michael był głodny i postanowił zamówić sandwicze do pokoju.

W holu hotelowym Michael popchnął Kay ku kioskowi z gazetami i poprosił:

– Kup gazety, a ja tymczasem wezmę klucz.

Musiał poczekać w niewielkiej kolejce; w hotelu wciąż brakowało pracowników, pomimo zakończenia wojny. Michael odebrał klucz od pokoju i rozejrzał się niecierpliwie za Kay. Stała przy kiosku, wpatrując się w trzymaną w rękę gazetę. Podszedł do niej. Podniosła na niego wzrok. Oczy miała pełne łez.

– Och, Mike! – zawołała. – Och, Mike.

Wziął gazetę z jej rąk. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, było zdjęcie ojca leżącego na ulicy, z głową w kałuży krwi. Na krawężniku siedział mężczyzna płaczący jak dziecko. Był to jego brat, Freddie. Michael Corleone poczuł, że ciało przemienia mu się w lód. Nie było żalu ani strachu, tylko zimna wściekłość. Powiedział do Kay: – Idź do pokoju. – Ale ujął ją pod rękę i poprowadził do windy. Wjechali na górę w milczeniu. W pokoju Mike usiadł na łóżku i otworzył gazetę. Nagłówki brzmiały: VITO CORLEONE POSTRZELOWY. DOMNIEMANY SZEFE PODZIEMIA CIĘŻKO RANNY. OPEROWANY POD ŚCISŁYM NADZOREM POLICJI. OBAWA KRWAWEJ WOJNY GANGÓW.

Michael poczuł, że uginają się pod nim nogi. Powiedział do Kay:

– Nie umarł, te dranie go nie zabiły.

Odczytał na nowo komunikat. Jego ojca postrzelono o piątej po południu. To znaczyło, że kiedy on kochał się z Kay, jadł kolację, zabawiał się w teatrze, ojciec był bliski śmierci. Michaela aż zamroczyło z poczucia winy. Kay zapytała:

– Pojedziemy zaraz do szpitala?

Michael potrząsnął głową.

– Muszę najpierw zadzwonić do domu. Ci, którzy to zrobili, są szaleńcami, i teraz, ponieważ ojciec przeżył, będą gotowi na wszystko. Kto wie, u diabła, co teraz zrobią.

Obydwa telefony w domu na Long Beach były zajęte i minęło prawie dwadzieścia minut, zanim Michael uzyskał połączenie. Usłyszał głos Sonny'ego:

– Tak?

– Sonny, to ja – powiedział Michael.

Dosłyszał ulgę w głosie Sonny'ego.

– O Jezu, chłopie, martwiliśmy się o ciebie. Gdzie jesteś, do licha? Posłałem ludzi do tej twojej miejsciny, żeby sprawdzić, co się z tobą dzieje.

– Jak ojciec? – zapytał Michael. – Ciężko ranny?

– Dosyć ciężko – odrzekł Sonny. – Dostał pięć kul. Ale jest twardy. – W głosie Sonny'ego brzmiała duma. – Lekarze mówią, że przetrzyma. Słuchaj, jestem zajęty, nie mogę rozmawiać, gdzie jesteś?

– W Nowym Jorku – odparł Michael. – Tom nie mówił ci, że przyjechałem?

Głos Sonny'ego nieco przycichł.

– Toma porwano. Dlatego martwiłem się o ciebie. Jego żona jest tutaj. Nic nie wie i gliny też nie wiedzą. Nie chcę, żeby się dowiedzieli. Ci dranie, co to zrobili, muszą być kopnięci. Musisz tu zaraz przyjechać i trzymać język za zębami. Okay?

– Okay – odparł Mike. – Wiesz, kto to zrobił?

– Jasne. Jak tylko Luca Brasi się zjawi, będą padliną. Dalej mamy wszystkie atuty.

– Przyjadę za godzinę – przyrzekł Mike. – Taksówką. Odłożył słuchawkę. Gazety sprzedawano na ulicach od przeszło trzech godzin. Musiały też być wiadomości w radiu. Było prawie niepodobieństwem, żeby Luca się nie dowiedział. Michael w zamyśleniu zastanawiał się nad tą sprawą. Gdzie jest Luca Brasi? To samo pytanie zadawał sobie w tej chwili Hagen. I to samo pytanie nękało Sonny'ego Corleone na Long Beach.

Za kwadrans piąta owego popołudnia don Corleone skończył przeglądać papiery, które mu przygotował kierownik biura jego przedsiębiorstwa importu oliwy. Włożył marynarkę i postukał swojego syna Freddiego knykciami po głowie, chcąc, żeby oderwał nos od popołudniowej gazety.

– Powiedz Gattowi, żeby przyprowadził wóz z parkingu – rzekł. – Będę gotów za kilka minut.

Freddie chrząknął.

– Będę musiał zrobić to sam. Paulie dzwonił dziś rano, że jest chory. Znów się przeziębił.

Don Corleone zamyślił się chwilę.

– To już trzeci raz w tym miesiącu. Może powinniście znaleźć kogoś

zdrowszego do tej roboty. Powiedz Tomowi.

– Paulie to porządny chłopak – zaprotestował Fred. – Jeżeli mówi, że jest chory, to jest chory. Mogę pójść po wóz – dla mnie to bez różnicy.

Wyszedł z gabinetu. Don Corleone obserwował z okna syna przechodzącego przez Dziewiątą Aleję na parking. Zatelefonował do kancelarii Hageny, ale nie było odpowiedzi. Zadzwoił do domu na Long Beach, ale i tam nikt się nie odezwał. Zirytowany wyjrzał przez okno. Freddie, oparty o błotnik, obserwował ze skrzyżowanymi rękami tłum ludzi robiących gwiazdkowe zakupy. Don Corleone włożył marynarkę. Kierownik biura podał mu płaszcz. Don Corleone mruknął coś w podziękowaniu, wyszedł i ruszył w dół po schodach.

Na ulicy zapadał wczesnozimowy zmierzch. Freddie stał niedbale oparty o błotnik potężnego buicka. Kiedy zobaczył ojca wychodzącego z budynku, zszedł na jezdnię i wsiadł na miejsce kierowcy. Don Corleone już miał wsiąść od strony chodnika, ale zawahał się, po czym zawrócił do otwartego straganu z owocami przy rogu. To ostatnio weszło mu w zwyczaj, lubił duże, posezonowe owoce, żółte brzoskwinie i pomarańcze, które złociły się w swoich zielonych skrzynkach. Właściciel podbiegł, by go obsłużyć. Don Corleone nie dotykał owoców. Wskazywał je. Sprzedawca tylko raz zakwestionował jego wybór, pokazując mu, że jeden owoc jest od spodu nadgniły. Don Corleone wziął papierową torbę w lewą rękę i podał sprzedawcy banknot pięciodolarowy. Odebrał wydaną mu resztę i właśnie zawracał do czekającego samochodu, kiedy zza rogu wyszli dwaj mężczyźni. Don Corleone od razu wiedział, co się stanie.

Obaj mężczyźni mieli na sobie czarne płaszcze i czarne kapelusze nasadzone głęboko na oczy, aby zapobiec rozpoznaniu przez świadków. Nie spodziewali się czujnej reakcji dona. Upuścił torbę z owocami i pognał ku czekającemu samochodowi z szybkością zaskakującą u człowieka jego tuszy. Jednocześnie krzyknął: – Fredo! Fredo! – Dopiero wtedy obaj mężczyźni dobyli rewolwerów i zaczęli strzelać.

Pierwsza kula trafiła dona Corleone w plecy. Poczuł uderzenie jak młotem, ale zmusił się do dalszego biegu w stronę samochodu. Następne dwa pociski trafiły go w pośladki i powaliły na środku ulicy. Tymczasem dwaj rewolwerowcy, uważając, by nie pośliznąć się na rozsypanych owocach, ruszyli za nim, aby go dobić. W tej chwili, nie więcej niż pięć sekund po okrzyku dona, Frederico Corleone wyskoczył z samochodu i spojrział ponad nim. Rewolwe-

rowcy oddali w pośpiechu jeszcze dwa strzały do ojca leżącego na ulicy. Jeden trafił go w rękę, a drugi w łydkę prawej nogi. Chociaż te rany były najmniej poważne, broczyły obficie, tworząc małe kałuże krwi obok jego ciała. Ale don Corleone stracił już przytomność.

Freddie usłyszał krzyk ojca, wołającego go imieniem z czasów dzieciństwa, a potem usłyszał głośny huk pierwszych dwóch wystrzałów. Wysiadając z wozu był tak zaskoczony, że nawet nie wy dobył rewolweru. Dwaj zabójcy mogli z łatwością go zastrzelić. Ale i oni też wpadli w panikę. Musieli wiedzieć, że syn jest uzbrojony, a poza tym minęło już wiele czasu. Zniknęli za rogiem, pozostawiając Freddiego samotnego na ulicy przy krwawiącym ciele ojca. Wielu przechodniów rzuciło się do bram albo na ziemię, inni stłoczyli się w małe grupki.

Freddie wciąż jeszcze nie dobył broni. Był jak ogłuszony. Patrzył na ojca leżącego twarzą do dołu na asfaltowej jezdni, w czymś, co wydało się Freddiemu czarniawym jeziorem krwi. Freddie doznał fizycznego wstrząsu. Ludzie znów wychynęli i ktoś widząc, że zaczyna się chwiać, podprowadził go do krawężnika i posadził na nim. Dona Corleone otoczył tłum, który rozstąpił się, kiedy pierwszy wóz policyjny utorował sobie drogę syreną. Zaraz za policją jechał samochód „Daily News” i jeszcze nim się zatrzymał, wyskoczył zeń fotograf, by zrobić zdjęcia zakrwawionego dona Corleone. Parę minut później przyjechała karetka pogotowia. Fotograf zajął się teraz Freddiem Corleone, który płakał, nie kryjąc się z tym, co było dziwacznie komicznym widokiem z uwagi na jego twarz o rysach kupidyna, gruby nos i mięsiste, usmarkane wargi. Przez tłum przedzierali się detektywi i nadjeżdżały dalsze samochody policyjne. Jeden z detektywów ukląkł przy Freddiem wypytując go, ale Freddie był zanadto zszokowany, by odpowiadać. Detektyw sięgnął do marynarki Freddiego, i wy dobył jego portfel. Spojrzał na kartę tożsamości i gwizdnął do swego towarzysza. W parę sekund Freddie został odgrodzony od tłumy rzędem wywiadowców. Pierwszy detektyw znalazł rewolwer Freddiego w kaburze zawieszanej u ramienia i zabrał go. Potem dźwignęli Freddiego na nogi i popchnęli do nieoznakowanego samochodu. Kiedy samochód odjeżdżał, ruszył za nim wóz „Daily News”. Fotograf dalej trzaskał zdjęcia wszystkim i wszystkiemu.

W ciągu pół godziny po postrzeleniu ojca Sonny Corleone otrzymał pięć

telefonów jeden po drugim. Pierwszy zadzwonił detektyw John Phillips, który był na liście płacy Rodziny i przyjechał pierwszym samochodem wywiadowców na miejsce zamachu. Pytanie, jakie zadał Sonny'emu przez telefon, brzmiało:

– Czy poznaje mnie pan po głosie?

– Tak – odrzekł Sonny. Dopiero obudził się z drzemki. Do telefonu zawołała go żona.

Phillips powiedział szybko, bez wstępów:

– Ktoś postrzelił pańskiego ojca przed jego biurem. Piętnaście minut temu. Żyje, ale jest ciężko ranny. Przewieźli go do Szpitala Francuskiego. Pańskiego brata, Freddiego, zabrali na posterunek Chelsea. Niech pan lepiej wezwie do niego doktora, jak go wypuszczą. Teraz jadę do szpitala, żeby pomóc przesłuchać pańskiego ojca, jeżeli może mówić. Będę pana informował.

Siedząca naprzeciw przy stole żona Sonny'ego, Sandra, zauważyła, że twarz męża staje się purpurowa. Oczy mu się zaszklily. Szepnęła:

– Co się stało?

Machnął niecierpliwie ręką, by ją uciszyć, odwrócił się do niej plecami i powiedział do telefonu:

– Jest pan pewny, że żyje?

– Tak, jestem pewny – odparł detektyw. – Masa krwi, ale myślę, że nie jest tak źle, jak wygląda.

– Dziękuję. Niech pan będzie w domu jutro punkt ósma. Będzie dla pana patyk.

Sonny odłożył słuchawkę. Zmusił się do siedzenia bez ruchu. Wiedział, że jego największą słabością jest gniew, a to był jedyny moment, kiedy gniew mógł być zgubny. Przede wszystkim należało złapać Toma Hagen. Nim jednak zdążył podnieść słuchawkę, telefon zadzwonił. Mówił bukmacher koncesjonowany przez Rodzinę w dzielnicy, w której mieściło się biuro dona. Bukmacher dzwonił, aby powiedzieć, że don został zabity, zastrzelony na ulicy. Po paru pytaniach zadanych dla upewnienia się, że informator bukmachera nie widział ciała z bliska, Sonny uznał tę wiadomość za mylną. Cynk Phillipa musiał być ściślejszy. Niemal natychmiast telefon zadzwonił po raz trzeci. Mówił reporter z „Daily News”. Gdy tylko się przedstawił, Sonny Corleone odłożył słuchawkę.

Zatelefonował do domu Hagen i spytał jego żonę:

– Czy Tom już wrócił? – Odparła, że nie, że będzie nie wcześniej niż za

dwadzieścia minut, ale że spodziewa się go na kolację. – Niech do mnie zadzwoni – powiedział Sonny.

Spróbował przemyśleć całą sprawę. Starał się wyobrazić sobie, jak zareagowałby ojciec w podobnej sytuacji. Od razu wiedział, że tej napaści dokonał Sollozzo, ale Sollozzo nigdy by się nie poważył wyeliminować tak wysoko postawionego przywódcy jak don, gdyby nie miał poparcia innych potężnych ludzi. Telefon, dzwoniąc po raz czwarty, przerwał jego rozmyślenia. Głos na drugim końcu był miękki, bardzo łagodny.

– Santino Corleone? – zapytał.

– Tak – odrzekł Sonny.

– Mamy Toma Hagen – powiedział głos. – Za jakieś trzy godziny zostanie wypuszczony z naszą propozycją. Proszę nie robić nic pochopnie, dopóki pan nie usłyszy, co ma do przekazania. Może pan tylko spowodować masę kłopotów. Co się stało, to się nie odstanie. Teraz wszyscy muszą być rozsądni. Niech pan nie wpada w tę pańską słynną pasję.

Głos był z lekka drwiący. Sonny nie miał pewności, ale wydało mu się, że to Sollozzo. Nadał własnemu głosowi przytłumione, zgnębione brzmienie.

– Poczekam – rzekł. Usłyszał szcęknięcie słuchawki na drugim końcu. Spojrzał na swój masywny zegarek ze złotą bransoletką, zapamiętał dokładny czas i zanotował go na obrusie.

Siedział ze zmarszczonymi brwiami przy kuchennym stole. Jego żona spytała:

– Sonny, co się stało?

– Postrzelili starego – wyjaśnił spokojnie. Kiedy ujrzał zgrozę na jej twarzy, dodał szorstko: – Nie martw się, żyje. I nic więcej się nie stanie.

Nie powiedział jej o Hagenie. A potem telefon zadzwonił po raz piąty.

Był to Clemenza. Głos tłuściocha dobiegał przez telefon chrapliwymi sapnięciami:

– Słyszałeś o ojcu? – zapytał.

– Aha – odparł Sonny. – Ale nie zabili go.

W telefonie nastąpiła długa pauza, a potem ozwał się głos Clemenzy, nabrzmiały wzruszeniem:

– Bogu dzięki, Bogu dzięki. – A potem, z niepokojem: – Jesteś pewny? Miałem cynk, że go zabili na ulicy.

– Żyje – zapewnił Sonny. Wsłuchiwał się uważnie w każdą intonację głosu Clemenzy. Wzruszenie wydawało się szczere, ale do zawodu tłuściocha nale-

żało także bycie dobrym aktorem.

– Będziesz musiał przejąć piłkę, Sonny – powiedział Clemenza. – Co chcesz, żebym zrobił?

– Przyjedź do domu ojca – rzekł Sonny. – Przywieź Pauliego Gatto.

– To wszystko? Nie chcesz, żebym posłał paru ludzi do szpitala i do twojego mieszkania?

– Nie, chcę tylko ciebie i Pauliego Gatto – powtórzył Sonny. Nastąpiło długie milczenie. Clemenza zaczynał rozumieć. Aby nadać temu trochę więcej naturalności, Sonny zapytał: – A w ogóle gdzie, u diabła, był Paulie? Co robił, do cholery?

Po drugiej stronie linii nie było już sapania. Głos Clemency był ostrożny.

– Paulie zachorował, przeziębził się, więc został w domu. Kwękał przez całą zimę.

W Sonnym natychmiast obudziła się czujność.

– Ile razy zostawał w domu podczas paru ostatnich miesięcy?

– Ze trzy albo cztery – odrzekł Clemenza. – Zawsze pytałem Freddiego, czy chce innego gościa, ale mówił, że nie. Nie było powodu. Przecież przez ostatnie dziesięć lat wszystko szło gładko.

– Aha – powiedział Sonny. – Zobaczymy się w domu mojego ojca. Tylko na pewno przywieź Pauliego. Zabierz go po drodze. Nie obchodzi mnie, jak bardzo jest chory. Słyszałeś?

Trzasnął słuchawką, nie czekając na odpowiedź.

Jego żona płakała cicho. Popatrzał na nią przez chwilę, po czym odezwał się szorstko:

– Jakby zadzwonił ktoś z naszych ludzi, każ mnie łapać w domu ojca przez jego specjalny telefon. Jakby dzwonił ktoś inny, to nic nie wiesz. Jeżeli zadzwoni żona Toma, powiedz jej, że Tom przez jakiś czas nie wróci do domu, bo załatwia pewne sprawy. – Zastanowił się chwilę. – Paru naszych ludzi przyjedzie tu zamieszkać. – Zauważył strach w jej oczach i dodał ze zniecierpliwieniem: – Nie musisz się bać, po prostu chcę, żeby tu byli. Rób wszystko, co ci każą. Jeżeli będziesz chciała ze mną pomówić, dzwoń przez specjalny telefon taty, ale tylko jeżeli będzie coś naprawdę ważnego. I nie martw się.

Wyszedł z domu. Zapadały ciemności i grudniowy wiatr zacinał na placyku. Sonny nie bał się wyjść w noc. Wszystkie osiem domów należało do dona Corleone. Dwa domy po obu stronach wylotu placyku wynajmowali pracownicy Rodziny ze swymi rodzinami oraz pojedynczy lokatorzy, którzy mieli

mieszkania w suterrenach. Z pozostałych sześciu domów, tworzących resztę półkola, jeden zajmował Tom Hagen z rodziną, a najmniejszy i najbardziej niepozorny – sam don. Wreszcie trzy domy oddano bez czynszu niepracującym już przyjaciółom dona, pod warunkiem, że będą opróżnione na każde jego żądanie. Niewinnie wyglądający placyk był fortecą nie do zdobycia.

Wszystkie osiem domów wyposażono w reflektory, które oblewały światłem teren dokoła i uniemożliwiały zaczajenie się na placyku. Sonny przeszedł na drugą stronę do domu ojca i otworzył drzwi własnym kluczem. Zawołał:

– Mamo, gdzie jesteś? – i jego matka wyszła z kuchni. Za nią napłynął zapach smażącej się papryki. Nim matka zdołała coś powiedzieć, Sonny wziął ją za rękę i posadził na krześle.

– Miałem niedawno telefon. Tylko się nie martw. Tata jest w szpitalu, ranny. Ubierz się i bądź gotowa tam pojechać. Za chwilę będę miał dla ciebie samochód i kierowcę. Okay?

Matka patrzyła na niego bacznie przez chwilę, po czym spytała po włosku:

– Strzelali do niego?

Sonny kiwnął głową. Matka na chwilę pochyliła głowę. Potem wróciła do kuchni. Sonny udał się za nią. Patrzył, jak zakręciła gaz pod patelnią z papryką, po czym poszła na górę, do sypialni. Wziął paprykę z patelni i chleb ze stojącego na stole koszyka i zrobił sobie byle jak sandwicza, z którego ściekała mu po palcach gorąca oliwa. Poszedł do ogromnego narożnego pokoju, który był gabinetem ojca, i wyjął telefon z zamkniętej skrytki w szafie. Telefon został specjalnie zainstalowany i zarejestrowany pod zmyślnym nazwiskiem i zmyślnym adresem. Pierwszą osobą, do której Sonny zadzwonił, był Luca Brasi. Nikt się nie odezwał. Z kolei zatelefonował do niezawodnego *caporegime* w Brooklynie, człowieka bezspornej lojalności wobec dona. Człowiek ten nazywał się Tessio. Sonny powiedział mu, co się stało i czego chce. Tessio miał zwerbować pięćdziesięciu absolutnie pewnych ludzi. Miał posłać obstawę do szpitala i ludzi do Long Beach, żeby tam pracowali. Tessio zapytał:

– Czy Clemenę też dorwali?

– W tej chwili nie chcę używać ludzi Clemenzy – odparł Sonny.

Tessio zrozumiał natychmiast, nastąpiła pauza, po czym rzekł:

– Przepraszam cię, Sonny, mówię to tak, jak by powiedział twój ojciec. Nie działaj prędko. Nie mogę uwierzyć, żeby Clemenza nas zdradził.

– Dzięki – odrzekł Sonny. – Ja też tak nie myślę, ale muszę być ostrożny. Jasne?

– Jasne – odparł Tessio.

– Jeszcze jedno. Mój najmłodszy brat, Mike, chodzi do college'u w Hanover, w stanie New Hampshire. Każ ludziom, których znamy w Bostonie, pojechać tam, zabrać go i przywieźć tutaj, do domu, dopóki sytuacja się nie uspokoi. Zadzwoń do niego, więc będzie na nich czekał. Znowu zabezpieczam się tylko dla wszelkiej pewności.

– Okay – rzekł Tessio. – Przyjadę do domu twojego ojca, jak tylko puszcze wszystko w ruch. Dobrze? Znasz moich chłopców, prawda?

– Aha – powiedział Sonny. Odłożył słuchawkę.

Podszedł do małego ściennego sejfu i otworzył go. Wyjął ze środka zaopatrzoną w indeks książkę, oprawną w niebieską skórę. Otworzył ją na telefonach i odnalazł pozycję, której szukał. Zapis brzmiał: „Ray Farrell 5000 dolarów Boże Narodzenie”. Obok był numer telefonu. Sonny nakręcił ten numer i zapytał:

– Farrell?

Człowiek na drugim końcu linii odpowiedział:

– Tak.

Sonny rzekł:

– Tu mówi Santino Corleone. Chcę, żeby pan mi wyświadczył pewną uprzejmość, i chcę, żeby pan to zrobił natychmiast. Proszę sprawdzić dwa numery telefoniczne i podać mi wszystkie połączenia z nich i do nich w ostatnich trzech miesiącach. – Podał Farrellowi numer domowy Pauliego Gatto i numer domowy Clemenzy. Potem dodał: – To ważna sprawa. Niech mi pan to przekaże przed północą, to będzie pan miał ekstraradosne święta.

Nim zasiadł, żeby wszystko przemyśleć, zatelefonował jeszcze raz pod numer Luki Brasi. Znowu nie było odpowiedzi. To go zaniepokoiło, ale usunął to z myśli. Luca przyjedzie tutaj, jak tylko się dowie. Sonny odchylił się do tyłu na obrotowym krześle. Za godzinę dom zaroi się od ludzi Rodziny i trzeba będzie im wszystkim powiedzieć, co mają robić; teraz kiedy nareszcie miał czas pomyśleć, uświadomił sobie, jak poważna jest sytuacja. Było to pierwsze od lat dziesięciu wyzwanie rzucone Rodzinie Corleone oraz jej władzy. Nie było wątpliwości, że kryje się za tym Sollozzo, ale nigdy nie ośmieliłby się próbować takiego uderzenia, gdyby nie miał poparcia co najmniej jednej z pięciu wielkich rodzin nowojorskich. A to poparcie musiało pocho-

dzień od Tattagliów. To oznaczało wojnę na wielką skalę albo natychmiastową ugodę na warunkach Sollozza. Sonny uśmiechnął się ponuro. Chytry Turek dobrze to ukartował, ale miał pecha. Stary żył, a zatem musiała być wojna. Z Lucą Brasi i zasobami Rodziny Corleone wynik mógł być tylko jeden. Ale znowu ta dokuczliwa wątpliwość. Gdzie jest Luca Brasi?

Rozdział 3

W samochodzie łącznie z kierowcą i Hagenem było czterech mężczyzn. Posadzono go na tylnym siedzeniu między tymi dwoma, którzy go zaszli od tyłu na ulicy. Sollozzo siedział z przodu. Człowiek siedzący na prawo od Hageny wyciągnął rękę i nasunął mu kapelusz na oczy, żeby nic nie widział.

– Nie rusz nawet paluszką – zagroził. Jazda trwała krótko, nie więcej niż dwadzieścia minut, a kiedy wysiedli z samochodu, Hagen nie mógł się zorientować, gdzie jest, bo już zapadały ciemności. Poprowadzili go do jakiegoś mieszkania w suterenie i kazali usiąść na prostym krześle kuchennym. Sollozzo siadł naprzeciw niego przy kuchennym stole. Jego ciemna twarz miała osobliwie sępi wyraz.

– Nie chcę, żebyś pan się bał – powiedział. – Wiem, że pan nie jesteś od mokrej roboty. Chcę, żebyś pan pomógł Rodzinie Corleone i pomógł mnie.

Hagenowi drżały ręce, kiedy wkładał papierosa do ust. Jeden z mężczyzn przyniósł do stołu butelkę i nalał mu whisky do porcelanowej filiżanki od kawy. Hagen z wdzięcznością wypił ognisty płyn. To mu uspokoiło ręce i usunęło słabość z nóg.

– Pański szef nie żyje – ciągnął Sollozzo. Przerwał zaskoczony łzami, które napłynęły Hagenowi do oczu. Potem mówił dalej: – Dorwaliśmy go przed biurem, na ulicy. Jak tylko dostałem wiadomość, zabrałem pana. Musi pan doprowadzić do pokoju między mną a Sonnym.

Hagen nie odpowiedział. Był zaskoczony własnym bólem. A uczucie żalu mieszało się z lękiem przed śmiercią. Sollozzo mówił dalej:

– Sonny palił się do mojej oferty. Prawda? Pan też wie, że to jest mądra rzecz. Narkotyki mają przyszłość. Tyle jest pieniędzy, że każdy może wzbogacić się w parę lat. Don był starym kołtunem, jego czasy się skończyły, ale o tym nie wiedział. Teraz nie żyje, nic nie może go wskrzesić. Jestem gotów

zawrzeć nowe porozumienie, chcę, żebyś pan namówił na to Sonny'ego.

Hagen odparł:

– Nie ma pan żadnych szans. Sonny zabierze się za pana wszystkimi środkami.

– To będzie jego pierwsza reakcja – odrzekł Sollozzo ze zniecierpliwieniem. – Musi pan z nim rozsądnie pogadać. Za mną stoi Rodzina Tattagliów ze wszystkimi swoimi ludźmi. Inne Rodziny nowojorskie pójdą na każdą umowę, która wstrzyma wojnę na pełną skalę pomiędzy nami. Nasza wojna musi zaszkodzić im i ich interesom. Jeżeli Sonny zgodzi się na układ, inne Rodziny w kraju uznają, że to nie ich sprawa, nawet najstarsi przyjaciele dona.

Hagen patrzył na swoje dłonie, nie odpowiadając. Sollozzo ciągnął dalej z perswazją:

– Don popełniał błędy. Za dawnych czasów nigdy bym nie mógł dobrać się do niego. Inne Rodziny mu nie ufają, bo zrobił pana swoim *consigliori*, a pan nawet nie jesteś Włoch, a tym bardziej Sycylijczyk. Jeżeli dojdzie do wojny na całego, Rodzina Corleone zostanie zmiażdżona i wszyscy na tym stracą, ze mną włącznie. Potrzebuję politycznych kontaktów Rodziny jeszcze bardziej niż pieniędzy. Więc pogadaj pan z Sonnym, pogadaj z *caporegime*. Oszczędzisz pan wielkiego rozlewu krwi.

Hagen wyciągnął porcelanową filiżankę, żeby mu dolano whisky.

– Spróbuję – powiedział. – Ale Sonny jest uparty. A nawet Sonny nie będzie w stanie odwołać Luki. Musi pan się wystrzegać Luki. I ja też będę musiał się go wystrzegać, jeżeli pójdę na pańską propozycję.

– Zajmę się Lucą – zapewnił Sollozzo spokojnie. – Pan niech się zajmie Sonnym i obydwoma chłopakami. Może im pan powiedzieć, że Freddie oberwałby razem ze swoim starym, ale moi ludzie mieli ścisłe rozkazy nie rozwalać go. Nie chciałem więcej zadrażnień niż to konieczne. Może im pan to przekazać, Freddie żyje dzięki mnie.

Wreszcie umysł Hageny zaczął pracować. Po raz pierwszy naprawdę uwierzył, że Sollozzo nie zamierza go zabić ani zatrzymać jako zakładnika. Nagła ulga od strachu, która oblała jego ciało, sprawiła, że zarumienił się ze wstydu. Sollozzo obserwował go ze spokojnym, pełnym zrozumienia uśmiechem. Hagen zaczął się zastanawiać nad sytuacją. Jeżeli się nie zgodzi przemówić za Sollozzem, może zginąć. Jednakże uświadomił sobie, że Sollozzo chce tylko, aby przedstawił sprawę, i to przedstawił należycie, tak jak powinien jako od-

powiedziałny *consigliori*. I rozmyślając nad tym, uświadomił sobie też, że Sollozzo ma słuszość. Nieograniczonej wojny między Rodzinami Tattagli i Corleone należało uniknąć za wszelką cenę. Corleone muszą pogrzebać zmarłych, zapomnieć i zawrzeć układ. A potem, we właściwym czasie, mogą ruszyć na Sollozza.

Jednakże, zerknąwszy nań, zorientował się, że Sollozzo doskonale zna jego myśli. Turek się uśmiechał. I wtedy coś uderzyło Hagen. Co się stało z Lucą Brasi, że Sollozzo był taki beztroski? Czy Luca zawarł porozumienie? Hagen pamiętał, że owego wieczoru, kiedy don Corleone odmówił Sollozowi, Lucę wezwano na poufną konferencję z donem. Jednakże teraz nie był moment, żeby się troszczyć o takie szczegóły. Musiał powrócić do bezpiecznego schronienia, jakim była forteca Rodziny Corelone na Long Beach.

– Zrobię, co będę mógł – przyrzekł. – Myślę, że pan ma rację, nawet don chciałby, żebyśmy tak zrobili.

Sollozzo poważnie kiwnął głową.

– Świetnie – odrzekł. – Nie lubię rozlewu krwi. Jestem biznesmenem, a krew kosztuje za dużo pieniędzy.

W tej chwili zadzwonił telefon i jeden z ludzi siedzących za Hagenem poszedł go odebrać. Posłuchał, po czym rzekł krótko:

– Okay, powtórzę mu.

Odłożył słuchawkę, poszedł do Sollozza i szepnął coś Turkowi do ucha. Hagen spostrzegł, że Sollozzo zbladł, a oczy zabłyśły mu wściekłością. Poczł dreszcz strachu. Sollozzo patrzył na niego w zamyśleniu i Hagen nagle pojął, że już nie zostanie uwolniony. Że stało się coś, co mogło dla niego oznaczać śmierć. Sollozzo rzekł:

– Stary żyje. Pięć kul w tej jego sycylijskiej skórze, i żyje. – Zrezygnowany wzruszył ramionami. – Pech – powiedział do Hagen. – Pech dla mnie. Pech dla pana.

Rozdział 4

Kiedy Michael Corleone przyjechał do domu ojca na Long Beach, zastał wąski wlot wjazdowy na placyk zagrodzony łańcuchem. Sam placyk jaśniał od reflektorów wszystkich ośmiu domów, a światło ujawniało co najmniej dziesięć wozów zaparkowanych wzdłuż półkolistego cementowego chodnika.

Dwaj nie znani mu mężczyźni stali oparci o łańcuch. Jeden z nich zapytał z brooklińskim akcentem:

– Pan kto?

Powiedział im. Z najbliższego domu wyszedł inny mężczyzna i zajął mu w twarz.

– To chłopak dona – stwierdził. – Odprowadzę go.

Mike poszedł za tym człowiekiem do domu ojca, gdzie dwaj mężczyźni stojący przy drzwiach wpuścili ich do środka.

Dom zdawał się być zapełniony nieznanymi mu ludźmi, dopóki Michael nie wszedł do salonu. Tam zobaczył żonę Toma Hagen, Teresę, siedzącą sztywno na sofie i palącą papierosa. Na stolyczku do kawy stała przed nią szklanka whisky. Na drugim końcu sofy siedział masywny Clemenza. Twarz *caporegime* była nieporuszona, ale się pocił, a cygaro w jego ręku lśniło czarno od śliny.

Clemenza podszedł i ze współczuciem uściśnął dłoń Michaela, szepcząc:

– Twoja matka jest w szpitalu przy ojcu, będzie zdrów.

Paulie Gatto wstał, by mu uściśnąć rękę. Michael popatrzał na niego ciekawie. Wiedział, że Paulie był obstawą ojca, natomiast nie miał pojęcia, że tego dnia pozostał chory w domu. Wyczuł jednak napięcie w tej chudej, smagłej twarzy. Wiedział, że Gatto ma opinię człowieka robiącego karierę, człowieka bardzo szybkiego, który potrafi załatwić bez komplikacji delikatną robotę, a oto dziś zawiódł w pełnieniu obowiązków. Zauważył kilku innych ludzi

Clemenzy. Michael zestawiał sobie dwa fakty i rozumiał. Clemenza i Gatto byli podejrzeni. Myśląc, że Paulie był na miejscu zamachu, zapytał młodego człowieka o twarz łasicy:

– Jak Freddie? W porządku?

– Doktor dał mu zastrzyk – odpowiedział Clemenza. – Teraz śpi.

Michael podszedł do żony Hageny, pochylił się i pocałował ją w policzek. Zawsze się lubili. Szepnął:

– Nie martw się. Tomowi nic się nie stanie. Rozmawiałaś już z Sonnym?

Teresa przytuliła się do niego na chwilę i potrząsnęła głową. Była delikatną, bardzo ładną kobietą, bardziej amerykańską niż włoską, i teraz ogromnie wystraszoną. Wziął ją za rękę i podniósł z sofy. Potem poprowadził ją do naróżnego gabinetu ojca.

Sonny siedział rozparty w fotelu za biurkiem, trzymając w jednej ręce złoty blok, a w drugiej ołówek. Jedyńm oprócz niego człowiekiem w pokoju był *caporegime* Tessio, którego Michael poznał i od razu zrozumiał, że to jego ludzie muszą być w domu i tworzą nową straż pałacową. I on także miał w rękach blok i ołówek.

Kiedy Sonny zobaczył ich oboje, wyszedł zza biurka i wziął żonę Hageny w ramiona.

– Nie martw się Tereso. Z Tomem wszystko w porządku. Chcą tylko podać mu propozycję, przyrzekli, że go wypuszczą. Nie jest od spraw operacyjnych, po prostu jest naszym prawnikiem. Nie ma powodu, żeby ktokolwiek zrobił mu krzywdę.

Puścił Teresę, po czym i Michael, ku swemu zdziwieniu, otrzymał uścisk i pocałunek w policzek. Odsunął Sonny'ego i powiedział z uśmiechem:

– Kiedy już przywykłem, że mnie bijesz, mam teraz przyzwyczać się do tego? – Tłukli się często, kiedy byli młodszy.

Sonny wzruszył ramionami.

– Słuchaj, dzieciaku, martwiłem się, kiedy nie mogłem cię złapać w tej mieście. Guzik by mnie obeszło, gdyby cię rozwalili, ale nie podobała mi się myśl, że będę musiał przynieść tę wiadomość naszej staruszce. Musiałem powiedzieć jej o tacie.

– Jak to zniosła? – zapytał Michael.

– Dobrze – odparł Sonny. – Już przedtem przez to przechodziła. Ja też. Za młody byłeś, żeby o tym wiedzieć, a później sprawy się dosyć wygładziły. – Przerwał, po czym dodał: – Jest w szpitalu przy starym. On się z tego wylize.

– Może byśmy tam pojechali? – zaproponował Michael.

Sonny potrząsnął głową i odrzekł sucho:

– Nie mogę się ruszyć z domu, póki nie będzie po wszystkim.

Zadzwoił telefon. Sonny odebrał i słuchał uważnie. Tymczasem Michael podszedł z wolna do biurka i zerknął na żółty blok, w którym Sonny przedtem pisał. Była tam lista siedmiu nazwisk. Pierwszymi trzema byli Sollozzo, Philip Tattaglia i John Tattaglia. Michaela uderzyła myśl, że przerwał Sonny'emu i Tessiowi sporządzanie listy ludzi, którzy mieli być zabici.

Kiedy Sonny odłożył słuchawkę, zwrócił się do Teresy Hagen i Michaela:

– Możecie poczekać obok? Mam tu z Tessiem pewną robotę, którą musimy dokończyć.

– Czy ten telefon był w sprawie Toma? – spytała żona Hagen. Powiedziała to prawie szorstko, ale płakała ze strachu. Sonny objął ją ramieniem i poprowadził do drzwi.

– Przysięgam, że nic mu nie będzie. Zaczekaj w salonie. Przyjdę, jak tylko się czegoś dowiem.

Zamknął za nią drzwi. Michael zasiadł w jednym z dużych skórzanych foteli. Sonny rzucił mu krótkie, ostre spojrzenie i poszedł usiąść za biurkiem.

– Jak będziesz tu przy mnie sterczał, Mike, usłyszysz rzeczy, których nie chciałbyś słyszeć – powiedział.

Michael zapalił papierosa.

– Mogę w czymś pomóc – odrzekł.

– Nie, nie możesz – zgasił go Sonny. – Stary byłby zły jak cholera, gdybym pozwolił ci się w to mieszać.

Michael wstał i ryknął:

– Ty parszywy draniu, przecież to mój ojciec! Mam mu nie pomagać? Mogę pomóc. Nie muszę iść zabijać ludzi, ale pomóc mogę. Przestań mnie traktować jak małego braciszka. Byłem na wojnie. Postrzelili mnie, pamiętasz? Zabiłem paru Japończyków. Myślisz, że co, do cholery, zrobię, jak ktoś rozwalicie? Zemdleję?

Sonny wyszczerzył do niego zęby.

– Niedługo będziesz chciał, żebym się z tobą bił na pięści.

No dobra, zostań. Możesz załatwiać telefony. – Obrócił się do Tessia. – Ten telefon przed chwilą dał mi cynk, któregośmy potrzebowali. – Zwrócił się do Michaela: – Ktoś musiał nadać naszego starego. Mógł to być Clemenza, mógł być Paulie Gatto, który akurat dziś, w samą porę zachorował. Ja już

znam odpowiedź, zobaczymy, czy jesteś bystry. Mike, przecież chodzisz do college'u. Kto się sprzedał Sollozzowi?

Michael usiadł na powrót i oparł się wygodnie w skórzanym fotelu. Przemyslał wszystko starannie. Clemenza był *caporegime* w strukturze Rodziny Corleone, don Corleone zrobił zeń milionera i byli bliskimi przyjaciółmi przez dwadzieścia lat z górą. Zajmował jedno z najpotężniejszych stanowisk w organizacji. Co mógł zyskać Clemenza, zdradzając swego dona? Więcej pieniędzy? Był dostatecznie bogaty, ale ludzie są zawsze zachłanni. Większą władzę? Zemstę za jakąś urojoną zniewagę czy zlekceważenie? Że Hagen został *consigliori*? Czy może było to przeświadczenie biznesmena, że Sollozzo zwycięży? Nie, niemożliwe, żeby Clemenza był zdrajcą – a potem Michael pomyślał ze smutkiem, iż było to niemożliwe jedynie dlatego, że nie chciał, aby Clemenza zginął. Kiedy Michael dorastał, tłuścioch zawsze przynosił mu prezenty, czasami zabierał go na wycieczki, kiedy don był zbyt zajęty. Nie mógł uwierzyć, że Clemenza jest winny zdrady.

Ale znów z drugiej strony Sollozzo pewnie chciałby mieć w kieszeni Clemenzę bardziej niż kogokolwiek innego z Rodziny Corleone.

Michael zastanowił się nad Pauliem Gatto. Paulie dotychczas się nie wzbogacił. Miał dobrą opinię, jego awans w organizacji był pewny, ale musiałby odczekać jakiś czas, tak samo jak każdy inny. Poza tym zapewne snuł szalone marzenia o władzy, jak zawsze młodzi. Musiał to zrobić Paulie. A potem Michael przypomniał sobie, że w szkole byli razem w szóstej klasie, i także nie chciał, żeby to był Paulie. Potrząsnął głową.

– Żaden z nich – powiedział. Ale powiedział to tylko dlatego, iż Sonny oświadczył, że zna odpowiedź. Gdyby to było głosowanie, głosowałby za winą Pauliego.

Sonny uśmiechnął się do niego.

– Nie martw się – rzekł. – Clemenza jest w porządku. To Paulie.

Michael zauważył, że Tessio przyjął to z ulgą. Sympatia Tessia, również *caporegime*, musiała być po stronie Clemenzy. Poza tym obecna sytuacja nie była zbyt poważna, jeżeli zdrada nie sięgała aż tak wysoko. Tessio zapytał ostrożnie:

– W takim razie mogę jutro odesłać ludzi do domu?

– Pojutrze – odparł Sonny. – Nie chcę, żeby do tego czasu ktoś się o tym dowiedział. Słuchaj, chcę pomówić sam na sam z bratem o pewnych sprawach rodzinnych. Zaczekaj w salonie, dobrze? Możemy dokończyć naszą li-

stę później. Popracujesz nad tym z Clemenzą.

– Jasne – zgodził się Tessio. Wyszedł.

– Skąd masz pewność, że to Paulie? – zapytał Michael.

– Mamy ludzi w spółce telefonicznej – odrzekł Sonny. – Prześledzili wszystkie połączenia Pauliego w obie strony. Tak samo Clemenzy. Przez te trzy dni, kiedy Paulie chorował w tym miesiącu, były do niego telefony z ulicznej budki naprzeciwko biura naszego starego. Dziś także. Sprawdzali, czy Paulie jedzie, czy też ktoś będzie przysłany na jego miejsce. Albo była jakaś inna przyczyna. To obojętne. – Sonny wzruszył ramionami. – Bogu dzięki, że to Paulie. Clemenza jest nam bardzo potrzebny.

Michael zapytał z wahaniem:

– Czy to będzie wojna na całego?

Spojrzenie Sonny'ego było twarde.

– Tak właśnie to rozegram, jak tylko Tom się zjawi. Dopóki stary nie powie mi, że trzeba inaczej.

– To czemu nie poczekaasz, aż będzie mógł ci powiedzieć? – zapytał Michael.

Sonny popatrzył na niego z ciekawością.

– Jakim cudem, u diabła, zdobyłeś te ordera bojowe? Jesteśmy pod lufą, człowieku, musimy walczyć. Boję się tylko, że nie wypuszczą Toma.

Michaela to zaskoczyło.

– Dlaczego?

Głos Sonny'ego był znowu cierpliwy.

– Capnęli Toma, bo myśleli, że stary jest wykończony i że zdołają dogadać się ze mną, a Tom będzie pośrednikiem we wstępnych rozmowach, przekaże propozycję. Teraz, kiedy stary żyje, wiedzą, że nie mogą się z nimi układać, więc Tom jest im niepotrzebny. Mogą go puścić albo zaciukać, zależnie od widzimisię Sollozza. Jeżeli go zaciukają, to po to, aby nam pokazać, że biorą to naprawdę serio, i aby spróbować nas spietrać.

Michael zapytał spokojnie:

– A dlaczego Sollozzo myślał, że będzie mógł się z tobą dogadać?

Sonny zarumienił się i przez chwilę nie odpowiadał. Potem rzekł:

– Parę miesięcy temu mieliśmy spotkanie, Sollozzo przyszedł do nas z propozycją w sprawie narkotyków. Stary mu odmówił. Ale podczas rozmowy coś chlapnąłem niepotrzebnie, pokazałem, że mam ochotę na ten interes. Tego absolutnie nie wolno było robić. Jeżeli jest coś, co stary wbijał mi do

głowy, to to, żeby nigdy nie robić czegoś takiego, nie pokazywać innym, że jest różnica zdań w Rodzinie. Dlatego Sollozzo myśli sobie, że jak się pozbył starego, ja będę musiał wziąć się razem z nim do narkotyków. Bez starego siła Rodziny byłaby obcięta co najmniej do połowy. W każdym razie musiałbym bić się do upadłego, żeby utrzymać w kupie wszystkie interesy, które ojciec zmontował. Narkotyki mają przyszłość, powinniśmy się w to włączyć. A to, że kropnął starego, było wyłącznie biznesem, niczym osobistym. Uważa, że poszedłbym na interes z nim. Oczywiście nigdy nie dałby mi za nadto się zbliżyć, pilnowałby na wszelki wypadek, żebym nigdy nie miał go na widelcu. Ale wie też, że jakbym już raz zgodził się na ten układ, inne Rodziny nigdy nie dałyby mi zacząć parę lat później wojny tylko dla zemsty. Prócz tego za nim stoi Rodzina Tattagliów.

– Co byś zrobił, gdyby ojca rozwalili? – zapytał Michael.

– Sollozzo już jest padliną – odpowiedział bardzo prosto Sonny. – Obojętne mi, ile to będzie kosztowało. Obojętne mi, czy będziemy musieli walczyć ze wszystkimi pięcioma Rodzinami w Nowym Jorku. Rodzina Tattagliów zostanie starta na proch. Choćbyśmy wszyscy razem mieli pójść na dno.

– Tata nie tak by to rozegrał – zauważył cicho Michael.

Sonny uczynił gwałtowny gest.

– Wiem, że mu nie dorastam do pięt. Ale jedno ci powiem i on też ci to powie. Kiedy przychodzi do prawdziwej akcji, potrafię działać na krótką metę jak mało kto. Sollozzo o tym wie, tak samo Clemenza i Tessio. „Wykazałem się”, jak miałem dziewiętnaście lat, kiedy Rodzina prowadziła ostatnim razem wojnę, i byłem dla starego dużą pomocą. Więc teraz się nie martwię. A w takim układzie nasza Rodzina ma wszystkie karty. Chciałbym tylko, żebyśmy mogli nawiązać kontakt z Luca.

– Czy Luca jest taki twardy, jak mówią? – zapytał ciekawie Michael. – Taki dobry?

Sonny kiwnął głową.

– Jest klasą sam dla siebie. Napuszczę go na tych trzech Tattagliów. Sollozza zrobię sam.

Michael poruszył się niespokojnie w fotelu. Popatrzał na starszego brata. Pamiętał, że Sonny bywał niekiedy brutalny, lecz w gruncie rzeczy miał dobre serce. Miły chłop. Zdawało się czymś nienaturalnym słyszeć go mówiącego w ten sposób, zimno się robiło na widok tej listy nazwisk, które spisał – ludzi przeznaczonych na egzekucję, tak jakby był jakimś świeżo ukoronowa-

nym cezarem rzymskim. Michael był rad, że właściwie nie bierze w tym wszystkim udziału, że skoro ojciec żyje, nie musi włączać się w zemstę. Będzie pomagał, odbierał telefony, roznosił polecenia i wiadomości. Sonny i ojciec sami dadzą sobie radę, zwłaszcza mając Lucę.

W tej chwili usłyszeli w salonie kobiecy krzyk. O Chryste, to chyba żona Toma! – pomyślał Michael. Skoczył do drzwi i otworzył je. Wszyscy w salonie stali. A przy sofie Tom Hagen z zakłopotaną miną tulił do siebie Teresę. Teresa płakała, szlochała, Michael zrozumiał, że ten głos, który usłyszał, to był głos Teresy, radośnie wykrzykującej imię męża. Gdy na nich patrzył, Tom Hagen uwolnił się z objęć żony i posadził ją z powrotem na sofie. Uśmiechnął się posępnie do Michaela.

– Cieszę się, że cię widzę, Mike, naprawdę się cieszę.

Poszedł do gabinetu, nie spojrzawszy więcej na szlochającą wciąż żonę. Nie darmo żył z Rodziną Corelone przez dziesięć lat – pomyślał Michael z dziwnym przypływem dumy. – Coś ze starego przyłgnęło doń, podobnie jak do Sonny’ego, a nawet – pomyślał ze zdziwieniem – i do mnie.

Rozdział 5

Była już prawie czwarta rano, a wszyscy jeszcze siedzieli w narożnym gabinecie – Sonny, Michael, Tom Hagen, Clemenza i Tessio. Hagen namówił Teresę, żeby poszła do swego domu obok. Paulie Gatto wciąż czekał w salonie nie wiedząc, że ludziom Tessia nakazano, aby nie pozwolili mu wyjść ani nie spuszczaali go z oczu.

Tom Hagen przekazał propozycję Sollozza. Opowiedział, jak Sollozzo, dowiedziawszy się, że don żyje, najwyraźniej zamierzał zabić jego, Hagen. Hagen uśmiechnął się.

– Jeżeli będę kiedykolwiek przemawiał przed Sądem Najwyższym, nie zrobię tego lepiej niż dzisiaj do tego przekłętego Turka. Powiedziałem mu, że namówię Rodzinę na ten interes, mimo że don żyje. Powiedziałem mu, że mogę sobie owinąć wokół palca ciebie, Sonny. Że byliśmy kumplami jako dzieci... i nie gniewaj się, ale dałem mu do zrozumienia, że nie będzie ci zbyt przykro zająć miejsce ojca, Boże przebacz mi.

Uśmiechnął się przepraszająco do Sonny'ego, który uczynił gest oznaczający, że rozumie, że to jest bez znaczenia.

Michael, usadowiony w fotelu, z telefonem po prawej ręce, przyglądał się bacznie obu mężczyznom. Kiedy Hagen wszedł do pokoju, Sonny podbiegł i porwał go w objęcia. Michael uświadomił sobie z lekkim ukłuciem zazdrości, że pod wieloma względami Sonny i Tom Hagen są ze sobą bliżej, niż on sam mógłby być kiedykolwiek z własnym bratem.

– Bierzmy się do roboty – powiedział Sonny. – Musimy porobić plany. Rzuć okiem na tę listę, którą zestawiliśmy z Tessiem.

Tessio, daj swój odpis Clemenzie.

– Jeżeli robimy plany – odezwał się Michael – powinien tu być Freddie.

– Freddie na nic nam się nie przyda – odrzekł ponuro Sonny. – Doktor

mówi, że jest tak zszokowany, że musi mieć całkowity spokój. Ja tego nie rozumiem. Freddie był zawsze dość twardym chłopem. Pewnie widok postrzelonego starego był dla niego ciężki, zawsze uważał dona za Boga. Nie jest taki jak ty i ja, Mike.

Hagen wtrącił szybko:

– Okay, wyłączmy Freddiego. Wyłączmy go ze wszystkiego, absolutnie ze wszystkiego. A teraz, Sonny, uważam, że póki to się nie przewali, powinieneś siedzieć w domu. To znaczy, nigdzie się stąd nie ruszać. Tutaj jesteś bezpieczny. Nie możesz nie doceniać Sollozza, on musi być *pezzonovante*, prawdziwy kaliber .90. Czy szpital jest obstawiony?

Sonny kiwnął głową.

– Gliny go otoczyły, a mam tam ludzi, którzy wciąż zaglądają do taty. Co myślisz o tej liście, Tom?

Hagen zmarszczył czoło, przeglądając listę nazwisk.

– Rany boskie, Sonny, ty bierzesz to naprawdę osobiście. Don uważałby to za czysto handlowe nieporozumienie. Kluczem jest Sollozzo. Pozbądź się Sollozza, a wszystko się ułoży. Nie musisz brać się za Tattagliów.

Sonny popatrzał na swoich dwóch *caporegime*.

Tessio wzruszył ramionami.

– Trudna sprawa – rzekł.

Clemenza nic nie odpowiedział.

Sonny zwrócił się do Clemenzy:

– Jedno możemy załatwić bez dyskusji. Nie chcę tu więcej widzieć Pauliego. Wstaw to sobie jako pierwsze na liście.

Tłusty *caporegime* kiwnął głową. Hagen zapytał:

– A co z Luca? Sollozzo najwyraźniej nie niepokoił się Luca. A to znów niepokoi mnie. Jeżeli Luca nas sprzedał, tośmy naprawdę wpadli. To pierwsza rzecz, jaką musimy wiedzieć. Czy komuś udało się z nim skontaktować?

– Nie – odrzekł Sonny. – Dzwoniłem do niego przez całą noc. Może poszedł spać do jakiejś dziwki.

– Nie – powiedział Hagen. – Nigdy nie zostaje na noc u bab. Zawsze wraca do domu, jak skończy. Mike, dzwoń pod jego numer, póki się ktoś nie odezwie. – Mike posłusznie podniósł słuchawkę i wykrecił numer. Słyszał telefon dzwoniący na drugim końcu, ale nikt nie odpowiadał. Wreszcie odłożył słuchawkę. – Próbuj co piętnaście minut.

Sonny rzekł ze zniecierpliwieniem:

– No dobra, Tom, jesteś *consigliori*, może byś coś doradził? Jak uważasz, co, u diabła, mamy robić?

Hagen nalał sobie whisky z butelki stojącej na biurku.

– Będziemy pertraktowali z Sollozzem, dopóki twój ojciec nie będzie w stanie przejąć spraw w swoje ręce. Możemy nawet zawrzeć ugodę, jeżeli będziemy musieli. Gdy ojciec wstanie z łóżka, potrafi załatwić całą sprawę bez zamieszania i wszystkie Rodziny zgodzą się z nim.

Sonny zapytał gniewnie:

– Uważasz, że nie dam rady temu całemu Sollozzowi?

Tom Hagen spojrzał mu prosto w oczy.

– Sonny, jasne, że możesz go pokonać. Rodzina Corleone ma siłę. Masz Clemenę i Tessia, a oni potrafią zebrać tysiąc ludzi, jeżeli dojdzie do wojny na całego. Ale w końcu będą jatki na całym Wschodnim Wybrzeżu i wszystkie inne Rodziny obwiniają o to Corleone. Narobimy sobie masę wrogów. A tego twój ojciec nigdy nie pochwał.

Michael, obserwując Sonny'ego, uznał, że przyjął to dobrze. Ale potem Sonny zapytał Hagen:

– A jeśli stary umrze, co wtedy radzisz, *consigliori*?

Hagen odpowiedział spokojnie:

– Wiem, że tego nie zrobisz, ale radziłbym ci zawrzeć z Sollozzem prawdziwy układ w sprawie narkotyków. Bez kontaktów politycznych i osobistego wpływu twojego ojca Rodzina Corleone traci połowę swej siły. Bez twojego ojca inne nowojorskie Rodziny mogą w końcu udzielić poparcia Tattagliom i Sollozzowi, po prostu, aby mieć pewność, że nie będzie długiej, wyniszczającej wojny. Jeżeli ojciec umrze, zawrzyj układ. A potem poczekaj, co będzie.

Twarz Sonny'ego była blada z gniewu.

– Łatwo ci mówić, to nie do twojego ojca strzelali.

– Byłem dla niego równie dobrym synem jak ty czy Mike, może nawet lepszym – odpowiedział Hagen szybko i dumnie. – Przedstawiam ci moją zawodową opinię. Osobiście chętnie bym pozabijał wszystkich tych drani.

Przejęcie w jego głosie zawstydziło Sonny'ego.

– O rany, Tom, nie rozumiałem tego w ten sposób. – Ale w gruncie rzeczy tak to rozumiał. Rodzona krew jest krwią i nie ma nic jej równego.

Sonny zastanawiał się chwilę, a reszta czekała w pełnym zakłopotaniu milczeniu. Wreszcie westchnął i powiedział spokojnie:

– Okay, przywarujemy, dopóki stary nie będzie mógł nami pokierować. Ale, Tom, chcę, żebyś i ty się stąd nie ruszał. Nie ryzykuj. Mike, bądź ostrożny, chociaż nie myślę, żeby nawet Sollozzo chciał rozciągnąć wojnę na krewnych. Wtedy wszyscy stanęliby przeciwko niemu. Ale bądź ostrożny. Tessio, trzymaj swoich ludzi w rezerwie, ale każ im niuchać po mieście. Clemenza, jak załatwisz tamto z Pauliem Gatto, przeniesiesz swoich ludzi tutaj do domu i na ten teren, żeby zastąpić ludzi Tessia. Tessio, ty jednak trzymaj swoich w szpitalu. Tom, jutro od samego rana zacznij pertraktować z Sollozzem i Tattagliami telefonicznie albo przez wysłannika. Mike, weź jutro paru ludzi Clemency, jedź do domu Luki i czekaj, aż się pokaże, albo się dowiedz, gdzie, u licha, jest. Ten wariat mógł już się zabrać za Sollozza, jeżeli usłyszał wiadomość. Nie mogę uwierzyć, żeby kiedykolwiek obrócił się przeciwko swojemu donowi, choćby Turek nie wiem co mu proponował.

– Może Mike nie powinien być w to wmieszany tak bezpośrednio – odezwał się z wahaniem Hagen.

– Słusznie – rzekł Sonny. – Skreślamy to, Mike. W każdym razie potrzebuję cię mieć przy telefonie tu, w domu, to jest ważniejsze.

Michael milczał. Czuł się zakłopotany, prawie zawstydzony, i zauważył na twarzach Clemency i Tessia wyraz tak skrupulatnej obojętności, iż pewien był, że ukrywają swoją wzdargę. Podniósł słuchawkę, wykręcił numer Luki Brasi i trzymał ją przy uchu, podczas gdy telefon dzwonił i dzwonił.

Rozdział 6

Peter Clemenza źle spał tej nocy. Rano wstał wcześnie i sam zrobił sobie śniadanie złożone z kieliszka *grappy*, grubego plastra genueńskiego salami i pajdy świeżego włoskiego chleba, który nadal mu dostarczano do domu, tak jak za dawnych czasów. Potem wypił ogromny porcelanowy kubek gorącej kawy przyprawionej anyżówką. Jednakże drepcząc po domu w starym szlafroku i czerwonych filcowych pantoflach, zastanawiał się nad oczekującą go tego dnia robotą. Poprzedniego wieczoru Sonny Corleone powiedział bardzo wyraźnie, że Pauliego Gatto należy załatwić natychmiast. Musiało to być dzisiaj.

Clemenza był strapiony. Nie dlatego, że Gatto był jego protegowanym, a okazał się zdrajcą. To nie rzutowało na ocenę *caporegime*. Ostatecznie, przeszłość Pauliego była bez zarzutu. Pochodził z sycylijskiej rodziny, dorastał w tej samej dzielnicy, co dzieci Corleone, a nawet chodził do szkoły z jednym z ich synów. Przez wszystkie szczeble przeszedł tak, jak należało. Wypróbowano go i stwierdzono, że niczego nie można mu zarzucić. A potem, kiedy „wykazał się”, dostał od Rodziny dobre utrzymanie, procent od bukmacherki na East Side oraz pobory związkowe. Clemenza nie był nieświadom faktu, że Paulio Gatto uzupełniał swoje dochody napadami robionymi na własną rękę, całkowicie wbrew zasadom Rodziny, ale nawet to było oznaką jego wartości. Łamanie takich przepisów uważano za objaw temperamentu, podobnie jak targanie wodzy przez dobrego konia wyścigowego.

Poza tym Paulie nigdy nie przysparzał kłopotów swoimi napadami. Zawsze były drobiazgowo zaplanowane, wykonywane z minimum hałasu i zamieszania, i tak, że nikt nie ponosił szwanku: trzy tysiące dolarów przeznaczonych na wypłatę uposażeń w magazynie odzieżowym na Manhattanie czy wypłata w małej fabryczce porcelany w slumsach Brooklynu. Ostatecznie

młodemu człowiekowi zawsze mogło się przydać jakieś ekstrakieszonkowe. Wszystko to było w normie. Kto mógł przewidzieć, że Paulie Gatto okaże się zdrajcą?

Tego rana nękał Petera Clemenę problem natury administracyjnej. Sama egzekucja Gatta była robotą prostą. Problem polegał na tym, kogo *caporegime* powinien wybrać z szeregów dla zastąpienia Gatta w Rodzinie? Awans na „człowieka-cyngla” był ważny, nie można było udzielić go lekkomyślnie. Człowiek taki powinien być twardy i sprytny. A także pewny, nie taki, co sypałby na policji w razie wpadki; musiał mieć dobrze wpojona sycylijską regułę, *omerta*, nakaz milczenia. Poza tym, jakie utrzymanie miał dostać za swoje nowe obowiązki? Clemenza kilkakrotnie rozmawiał z donem na temat lepszego wynagrodzenia dla mającego tak wielką wagę „cyngla”, który był pierwszy na linii frontu w razie zagrożenia – ale don zbywał go byle czym. Gdyby Paulie zarabiał więcej, może potrafiłby się oprzeć podszeptom chytrego Turka Sollozzy.

Clemenza w końcu zredukował listę kandydatów do trzech. Pierwszym był „silnoreki”, który pracował dla kolorowych bankierów od gier liczbowych w Harlemie, ogromna muskularna bestia o wielkiej sile fizycznej, człowiek o dużym uroku osobistym i umiejący obcować z ludźmi, a jednak w razie potrzeby budzący w nich strach. Ale Clemenza skreślił go z listy po półgodzinnym rozważaniu jego nazwiska. Za dobrze żył z czarnymi, co wskazywało na jakąś wadę charakteru. Poza tym, trudno byłoby go zastąpić na stanowisku, które miał obecnie.

Drugim nazwiskiem, które Clemenza rozważał i prawie się na nie zdecydował, był pracowity facet, który służył organizacji wiernie i dobrze. Człowiek ten był inkasentem zaległych należności dla koncesjonowanych przez Rodzinę lichwiarzy na Manhattanie. Zaczynał niegdyś jako goniec u bukmacchera. Ale nie był jeszcze w pełni gotowy do tak doniosłego awansu.

W końcu zdecydował się na niejakiego Rocco Lampone. Lampone odbył krótką, lecz efektowną praktykę u Rodziny. Podczas wojny został ranny w Afryce i zwolniony z wojska w 1943 roku. Z uwagi na brak młodych ludzi Clemenza go przyjął, chociaż Lampone był trochę upośledzony przez swoje obrażenia i chodząc, wyraźnie utykał. Clemenza posługiwał się nim jako czarnorynkowym łącznikiem z magazynem odzieżowym oraz pracownikami państwowymi kontrolującymi kartki żywnościowe Urzędu Regulacji Cen. Z tego stanowiska Lampone awansował na kierownika całej operacji. Cle-

menzy podobał się w nim jego trafny osąd. Lampone wiedział, że nie jest korzystnie ostro podchodzić do czegoś, co mogło kosztować zaledwie wysoką grzywnę czy sześć miesięcy więzienia – drobną cenę za olbrzymie zyski. Miał dość zdrowego rozsądku, by wiedzieć, że w takiej sytuacji nie ma miejsca dla ciężkich gróźb, tylko dla lekkich. Całą operację utrzymywał w ściszonej tonacji, czego właśnie było potrzeba.

Clemenza poczuł ulgę jak sumienny administrator, który rozwiązał zawiły problem personalny. Tak, będzie mu towarzyszył Rocco Lampone. Clemenza bowiem zamierzał wykonać tę robotę osobiście, nie tylko po to, ażeby pomóc wykazać się nowemu, niedoświadczonemu człowiekowi, ale żeby załatwić osobiste porachunki z Pauliem Gatto. Paulie Gatto był jego protegowanym; awansował Pauliego, przeskakując bardziej zasłużonych i lojalnych ludzi, pomagał mu wykazać się i pod każdym względem popierał jego karierę. Paulie zdradził nie tylko Rodzinę, zdradził swojego *padrone*, Petera Clemenzę. Za ten brak szacunku należało mu odpłacić.

Wszystko poza tym było już przygotowane. Paulie Gatto otrzymał polecenie, żeby po niego podjechał o trzeciej po południu i zabrał go własnym wozem, nie żadnym trefnym. Teraz Clemenza podniósł słuchawkę i wykręcił numer Rocca Lampone. Nie powiedział swojego nazwiska. Rzekł po prostu:

– Przyjedź do mnie, mam dla ciebie robotę. – Z zadowoleniem stwierdził, że mimo wczesnej godziny, głos Lampone’a nie był zaskoczony ani otumaniony od snu; Rocco powiedział zwyczajnie: – Okay. – Fajny gość. Clemenza dodał:

– Nie ma gwałtu, zjedz najpierw śniadanie i obiad, zanim do mnie przyjedziesz. Tylko nie później niż o drugiej po południu.

Na drugim końcu rozległo się znowu lakoniczne: – Okay – i Clemenza odłożył słuchawkę. Zawiadomił już swoich chłopców, że mają zastąpić ludzi *caporegime* Tessia w ośrodku Corleone, więc to było załatwione. Miał zdolnych podwładnych i nigdy nie wtrącał się do mechanicznych operacji tego rodzaju.

Postanowił umyć swego cadillaca. Uwielbiał ten wóz. Zapewniał mu gładką, spokojną jazdę, a jego tapicerka była tak bogata, że czasem w ładną pogodę przesiadywał w nim godzinę, bo było to przyjemniejsze od siedzenia w domu. I zawsze lepiej mu się myślało, gdy oporządzał samochód. Pamiętał, że jego ojciec we Włoszech tak samo postępował z osłami.

Clemenza pracował w ogrzonym garażu, nie cierpiał zimna. Przebiegł

w myśli plany. Z Pauliem trzeba było zachować ostrożność, ten człowiek był jak szczur, mógł zwęszyć niebezpieczeństwo. A teraz, oczywiście, chociaż jest taki chojrak, musi robić w portki, ponieważ stary wyżył. Będzie płochliwy jak osioł mający mrówki w tyłku. Jednakże Clemenza był przyzwyczajony do takich okoliczności, zwyczajnych w jego pracy. Po pierwsze, musiał znaleźć jakieś dobre uzasadnienie, że towarzyszy im Rocco. Po drugie, musiał wymyślić jakieś wiarygodne zadanie do wykonania przez nich trzech.

Ma się rozumieć, nie było to, ściśle mówiąc, konieczne, Pauliego Gatto można było zabić bez żadnych takich ceregieli. Był osaczony, nie mógł uciec. Ale Clemenza miał głębokie przeświadczenie, że ważne jest zachować dobre zwyczaje w pracy i nigdy nie lekceważyć nawet cienia prawdopodobieństwa niepowodzenia. Nie sposób przewidzieć, co może się zdarzyć, a te rzeczy są, bądź co bądź, sprawą życia i śmierci.

Myjąc błękitnego cadillaca, Peter Clemenza obmyślał i powtarzał sobie, co powie, jaki będzie miał wyraz twarzy. Będzie oschły dla Pauliego, jak gdyby zeń niezadowolony. To zmyli człowieka tak wyczulonego i podejrzliwego, jak Gatto, albo przynajmniej pozostawi go w niepewności. Nadmierna przyjacielskość uczyniłaby go ostrożnym. Ale oczywiście oschłość nie powinna być zbyt gniewna. Raczej musi być jakąś roztargnioną irytacją. A skąd Lampone? Pauliemu to mogło się wydać najbardziej niepokojące, zwłaszcza że Lampone musi jechać na tylnym siedzeniu. Pauliemu nie byłoby w smak siedzieć bezbronne przy kierownicy, mając za sobą Lampone'a. Clemenza wściekle tarł i polerował metal cadillaca. To nie będzie łatwe. Bardzo trudne. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zwerbować jeszcze jednego człowieka, ale zdecydował, że nie. Tutaj kierował się zasadniczym rozumowaniem. Z biegiem lat mogła wyniknąć sytuacja, w której dla jednego z jego współników byłoby korzystne zeznawać przeciwko niemu. Jeżeli będzie tylko jeden współnik, można mu przeciwstawić własne zeznanie. Ale zeznania drugiego mogłyby przeważać szalę. Nie, będą się trzymali zwykłej procedury.

Clemenzę trapiło to, że egzekucja musiała być „publiczna”. To znaczy, ciało miało być znalezione. O wiele bardziej by wolał, żeby zniknęło. (Zwykłymi terenami pochówku były albo ocean, albo bagna New Jersey na gruntach należących do przyjaciół Rodziny, a istniały też inne, bardziej skomplikowane metody). Ale to musiało być publiczne, żeby zastraszyć potencjalnych zdrajców i ostrzec wroga, że Rodzina Corleone bynajmniej nie zgłupiała ani nie zmiękła. Sollozzo byłby ostrożny po tak szybkim wykrzyciu jego

szpiega. Rodzina Corleone odzyskałaby coś ze swojego prestiżu. Została ośmieszona przez postrzelenie starego.

Clemenza westchnął. Cadillac lśnił jak ogromne, błękitne, stalowe jajo, a on wcale się nie przybliżył do rozwiązania swojego problemu. A potem rozwiązanie nasunęło mu się nagle, logiczne i sensowne. Wyjaśniłoby fakt, że Rocco Lampone, on sam i Paulie Gatto są razem, a ich zadanie stałoby się dostatecznie tajne i doniosłe.

Powie Pauliemu, że ich robotą na dzisiaj jest znalezienie mieszkania na wypadek, gdyby Rodzina postanowiła „iść na materace”.

Ilekcroć wojna między Rodzinami przybierała na zaciekłości i sile, przeciwnicy zakładali kwatery w zakonspirowanych mieszkaniach, gdzie „żołnierze” mogli sypiać na materacach rozłożonych w pokojach. Robiono to nie dlatego, żeby ochronić przed niebezpieczeństwem ich rodziny, ich żony i małe dzieci, ponieważ jakkolwiek atak na nie był nie do pomyślenia. Wszystkie strony były zbyt narażone na podobny odwet. Natomiast zawsze było roztropniej zamieszkać w jakimś ukrytym miejscu, gdzie codzienne poczynania nie mogły być kontrolowane przez przeciwników lub jakichś policjantów, którzy samowolnie postanowiliby się wmieszać.

Dlatego też zazwyczaj wysyłano zaufanego *caporegime*, żeby wynajął zakonspirowane mieszkanie i zapełnił je materacami. Mieszkania takiego używano jako punktu wypadowego do miasta, gdy montowano ofensywę. Było rzeczą naturalną, że Clemenza został wysłany z takim zadaniem. I było naturalne, że zabrał ze sobą Gatta i Lampone'a, aby załatwić wszystkie szczegóły, włącznie z umeblowaniem mieszkania. Poza tym – pomyślał z uśmiechem Clemenza – Paulie Gatto dowiódł, że jest zachłanny, więc pierwszą myślą, jaka wpadłaby mu do głowy, byłoby to, ile może dostać od Sollozza za tę cenną informację.

Rocco Lampone zjawił się wcześniej i Clemenza wyjaśnił mu, co trzeba zrobić i jakie będą ich role. Twarz Lampone'a rozpromieniła się pełną zaskoczenia wdzięcznością i z uszanowaniem podziękował za ten awans pozwalający mu służyć Rodzinie. Clemenza był pewny, że postąpił właściwie. Poklepał Lampone'a po ramieniu.

– Po dzisiejszym dniu dostaniesz coś, co ci da lepsze utrzymanie. Pomówimy o tym później. Sam rozumiesz, że Rodzina jest teraz zajęta bardziej doniosłymi sprawami i ma ważniejsze rzeczy do załatwienia.

Lampone uczynił gest, który oznaczał, że będzie cierpliwy, wiedząc, że na-

groda go nie minie.

Clemenza podszedł do sejfu w swoim pokoju i otworzył go. Wyjął rewolwer i podał go Rocco Lampone.

– Użyj tej broni – powiedział. – Nigdy nie dojdą, skąd jest. Zostaw ją z Pauliem w samochodzie. Chcę, żebyś po zakończeniu tej roboty zabrał żonę i dzieci na wakacje na Florydę. Na razie zapłać z własnych pieniędzy, później ci zwrócę. Wypocznij, poopalaj się. Zatrzymaj się w hotelu Rodziny w Miami Beach, żebym wiedział, gdzie mogę cię znaleźć w razie potrzeby.

Zona Clemenzy zapukała do drzwi, by im powiedzieć, że Paulie Gatto przyjechał. Zaparkował wóz na podjeździe. Clemenza wyszedł przez garaż, a Lampone podążył za nim. Siadając na przednim siedzeniu obok Gatta, Clemenza ledwie coś mruknął na powitanie z wyrazem rozdrażnienia na twarzy. Spojrzał na zegarek, jak gdyby chciał stwierdzić, że Gatto jest spóźniony.

Cyngiel o twarzy łasicy obserwował go bacznie, szukając jakiegoś wyjaśnienia. Drgnął z lekka, kiedy Lampone usadowił się na siedzeniu za nim i polecił:

– Rocco, siądź z drugiej strony. Taki kawał chłopa jak ty zasłania mi lustro.

Lampone przesunął się posłusznie, tak że znalazł się za Clemenzą, jak gdyby ta prośba była czymś najnaturalniejszym w świecie. Clemenza zwrócił się kwaśno do Gatta:

– Cholera z tym Sonnym, dostaje cykora. Już myśli o pójściu na materace. Musimy znaleźć jakiś lokal na West Side. Paulie, ty i Rocco musicie go obsadzić i zaopatrywać, dopóki nie przyjdzie rozkaz, żeby reszta żołnierzy się tam sprowadziła. Znasz jakieś dobre miejsce?

Tak jak przewidywał, w oczach Gatta pojawiło się chciwe zaciekawienie. Paulie połknął przynętę, ponieważ zaś rozmyślał, ile ta informacja jest warta dla Sollozza, zapomniał pomyśleć, czy sam nie jest w niebezpieczeństwie. Poza tym Lampone grał swoją rolę znakomicie, wyglądał przez okno obojętnie, bez zainteresowania. Clemenza powinszował sobie wyboru.

Gatto wzruszył ramionami.

– Muszę się nad tym zastanowić.

Clemenza chrząknął.

– To zastanawiaj się po drodze, chcę jeszcze dzisiaj dojechać do Nowego Jorku.

Paulie był wytrawnym kierowcą, a ruch pojazdów do miasta o tej popołu-

dniowej godzinie był niewielki, tak że wczesny zimowy zmierzch ledwie zaczynał zapadać, gdy dojechali. W samochodzie nie było żadnych zdawkowych rozmów. Clemenza polecił Pauliemu jechać do dzielnicy Washington Heights. Obejrzał parę kamienic, kazał mu zaparkować w pobliżu Arthur Avenue i czekać. Zostawił też w samochodzie Rocca Lampone. Poszedł do restauracji „Vera Mario” i zjadł lekką kolację złożoną z cielęciny z sałata, na powitanie skinął głową paru znajomym. Po upływie godziny przeszedł kilka przecznic, które dzieliły go od miejsca, gdzie był zaparkowany wóz, i wsiadł. Gatto i Lampone nadal czekali.

– Gównno – powiedział Clemenza. – Wzywają nas z powrotem na Long Beach. Mają dla nas jakąś inną robotę. Sonny mówi, że to możemy załatwić później. Rocco, ty mieszkasz w mieście, może cię podrzucić?

Rocco odpowiedział spokojnie:

– Zostawiłem u was wóz, a żona będzie go potrzebowała z samego rana.

– Słusznie – odrzekł Clemenza. – To jednak musisz wrócić z nami.

I znowu nic nie mówiono w drodze powrotnej na Long Beach. Na odcinku szosy wiodącej do miasta Clemenza stwierdził nagle:

– Paulie, zatrzymaj się, muszę się odlać.

Współpracując z nim od tak dawna, Gatto wiedział, że tłusty *caporegime* ma słaby pęcherz. Często zwracał się z taką prośbą. Gatto zjechał z szosy na boczną drogę, prowadzącą do bagna.

Clemenza wygramolił się z samochodu i odszedł kilka kroków w krzaki. Załatwił się rzeczywiście. A potem, otwierając drzwi, by wsiąść z powrotem do wozu, zerknął szybko w obydwie strony. Nie widział żadnych świateł, było kompletnie ciemno.

– Wal – rozkazał Clemenza.

Sekundę później wewnątrz samochodu zahuczało od strzału. Paulie Gatto jakby podskoczył w przód, jego ciało zważyło się na kierownicę, a potem osunęło na siedzenie. Clemenza cofnął się pospiesznie, żeby uniknąć opryskania krwią i odłamkami czaszki.

Rocco Lampone wygramolił się z tylnego siedzenia. Miał jeszcze w ręku rewolwer i teraz cisnął go w bagno. Obaj z Clemenzą ruszyli szybko do zaparkowanego w pobliżu drugiego samochodu i wsiadli. Lampone sięgnął pod siedzenie i odnalazł kluczyk, który dla nich pozostawiono. Uruchomił wóz i odwiózł Clemenzę do domu. A potem, zamiast wracać tą samą drogą, udał się szosą Jones Beach prosto przez miasteczko Merrick do Meadowbrook

Parkway i dotarł do Northern State Parkway. Następnie dojechał do autostrady Long Island, a potem do mostu Whitestone i przez Bronx do swego domu na Manhattanie.

Rozdział 7

W przeddzień zamachu na dona Corleone jego najsilniejszy, najwierniejszy i budzący największy postrach podwładny gotował się do spotkania z wrogiem. Luca Brasi nawiązał kontakt z siłami Sollozza kilka miesięcy temu. Uczynił to na rozkaz samego dona Corleone. Dokonał tego, odwiedzając nocne lokale kontrolowane przez Rodzinę Tattagliów i zawierając znajomość z jedną z ich najlepszych *call girls*. Leżąc z tą dziewczyną w łóżku, utyskiwał, że jest tłamszony w Rodzinie Corleone, że nie docenia się jego wartości. Po tygodniu romansowania z ową dziewczyną do Luki zwrócił się Bruno Tattaglia, kierownik lokalu. Bruno był najmłodszym synem, rzekomo niezwiązanym z rodzinnym biznesem, którym była prostytutka. Jednakże jego słynny nocny lokal ze swym tanecznym zespołem długonogich piękności był wyższą uczelnią dla wielu miejskich kurewek.

Pierwsza rozmowa była całkowicie otwarta; Tattaglia zaproponował mu pracę w charakterze silnorękiego w rodzinnym interesie. Flirt ten trwał prawie miesiąc. Luca grał rolę człowieka zadurzonego w pięknej dziewczynie, Bruno Tattaglia rolę biznesmena próbującego zwerbować zdolnego pracownika swego rywala. Na jednym takim spotkaniu Luca udał, że już się do tego skłania, po czym powiedział:

– Ale jedno musi być postawione jasno. Nigdy nie pójdę przeciwko Ojcu Chrzestnemu. Don Corleone jest człowiekiem, którego szanuję. Rozumiem, że w interesach Rodziny musi stawiać swoich synów przede mną.

Bruno Tattaglia należał do nowego pokolenia i żywił ledwie ukrywaną pogardę dla takich starych kołtunów, jak Luca Brasi, don Corleone, a nawet własny ojciec. Był trochę zanadto ugrzeczniony. Teraz rzekł:

– Mój ojciec nie wymagałby, żeby pan robił cokolwiek przeciwko Corleone. Zresztą dlaczego? Teraz wszyscy dobrze żyją ze wszystkimi, już nie jest

tak jak za dawnych czasów. Po prostu, jeżeli pan szuka innej posady, mogę przekazać tę wiadomość mojemu ojcu. W naszych interesach zawsze potrzeba kogoś takiego jak pan. To są twarde sprawy i wymagają twardych ludzi, żeby wszystko szło gładko. Niech mi pan da znać, jeżeli pan się kiedyś namyśli.

Luca wzruszył ramionami.

– Tam gdzie pracuję, nie jest tak źle. – I na tym poprzestali.

Ogólny plan polegał na tym, żeby doprowadzić Tattagliów do przekonania, iż Luca wie o zyskownych operacjach z narkotykami i chce w nich uczestniczyć na własną rękę. W ten sposób mógł się dowiedzieć czegoś o planach Sollozza, jeżeli Turek miał jakiegokolwiek, i o tym, czy ma zamiar wejść donowi Corleone w drogę. Po odczekaniu dwóch miesięcy, podczas których nic więcej się nie zdarzyło, Luca zameldował donowi, że Sollozzo najwidoczniej przyjmuje bez urazy swoją porażkę. Don kazał próbować dalej, ale tylko mimochodem, bez wywierania nacisku.

Luca wpadł do nocnego lokalu wieczorem w przeddzień postrzelenia dona Corleone. Prawie natychmiast podszedł do jego stolika Bruno Tattaglia i usiadł.

– Mam tutaj znajomego, który chce z panem pomówić – powiedział.

– Przyrowadź go pan – odrzekł Luca. – Pogadam z każdym pańskim znajomym.

– Nie. On chce z panem mówić na osobności.

– A kto to taki? – zapytał Luca.

– Po prostu mój znajomy – odparł Bruno Tattaglia. – Chce panu zrobić pewną propozycję. Może pan spotkać się z nim później dziś wieczorem?

– Jasne – rzekł Luca. – O której i gdzie?

– Lokal zamyka się o czwartej rano – wyjaśnił cicho Tattaglia. – Może byście spotkali się tutaj, kiedy kelnerzy będą sprząтали?

Znają moje zwyczaje – pomyślał Luca. – Musieli mnie obserwować. Zwykle wstawał o trzeciej czy czwartej po południu, zjadał śniadanie, a potem zabawiał się jakąś grą hazardową z kumplami z Rodziny albo też miał dziewczynę. Czasami chodził do kina na seans o północy, a potem wpadał na drinka do któregoś z lokali. Nigdy się nie kładł do łóżka przed świtem. Dlatego zaproponowana czwarta nad ranem nie była taka dziwaczna, jakby się wydawało.

– Jasne, jasne – powiedział. – Będę o czwartej.

Wyszedł z lokalu i pojechał taksówką do swojego mieszkania przy Dzie-
siątej Alei. Mieszkał u włoskiej rodziny, której był dalekim krewnym. Jego
dwa pokoje były oddzielone od reszty specjalnymi drzwiami. Podobał mu się
ten układ, bo dawał mu jakieś życie rodzinne, a jednocześnie ochronę przed
zaskoczeniem w miejscu, gdzie był najbardziej na nie narażony.

Chytry turecki lis teraz pokaże swój puchaty ogon – myślał Luca. Jeżeli
sprawy posuną się dostatecznie daleko, jeżeli Sollozzo zdecyduje się tej
nocy, może uda się zrobić z tego gwiazdkowy prezent dla dona. W pokoju
Luca otworzył walizkę stojącą pod łóżkiem i wyjął z niej kuloodporną kami-
zelkę. Była ciężka. Rozebrał się i nałożył ją na bawełniany podkoszulek, a na
wierzch koszulę i marynarkę. Chwilę się zastanawiał, czy nie zadzwonić do
dona na Long Beach i nie powiedzieć mu o tym nowym wydarzeniu, ale wie-
dział, że don nigdy z nikim nie rozmawia przez telefon, a poza tym, dał mu to
zadanie w tajemnicy, więc nie chciał, żeby ktokolwiek o tym wiedział, nawet
Hagen czy najstarszy syn.

Luca zawsze nosił przy sobie rewolwer. Miał pozwolenie na broń, bodaj
najkosztowniejsze pozwolenie, jakie wydano gdziekolwiek i kiedykolwiek.
Kosztowało w sumie dziesięć tysięcy dolarów, ale chroniło go od więzienia
w razie zrewidowania przez gliny. Jako czołowy pracownik operacyjny Ro-
dziny miał prawo do takiego pozwolenia. Jednakże tej nocy, na wypadek,
gdyby udało mu się dokończyć roboty, chciał mieć bezpieczną broń. Taką,
której pochodzenia nie dałoby się wytropić. Ale po namyśle doszedł do wnio-
sku, że dzisiaj tylko wysłucha propozycji i zamelduje o niej Ojcu Chrzestne-
mu, donowi Corleone.

Wrócił do nocnego lokalu, ale nie pił już więcej. Zamiast tego powędrował
na Czterdziątą Ósmą Ulicę, gdzie bez pośpiechu zjadł kolację w swej ulu-
bionej włoskiej restauracji „U Patsy”. Kiedy nadeszła umówiona pora, po-
szedł do nocnego lokalu. Gdy wchodził, portiera już nie było. Szatniarka też
wyszła. Tylko Bruno Tattaglia czekał, by go przywitać, i poprowadził do
opustoszałego baru z boku sali. Przed sobą widział pustkowie małych stoli-
ków i wypolerowany parkiet taneczny z żółtego drewna, lśniący pośrodku jak
mały diament. W półcieniu było puste podium dla orkiestry, z którego wyra-
stała szkieletowa, metalowa łodyga mikrofonu.

Luca zasiadł przy barze, za którym stanął Bruno Tattaglia, lecz odmówił
drinka, którym go poczęstowano, i zapalił papierosa. Niewykluczone, iż oka-
że się, że to coś innego, nie Turek. Ale w tej chwili zobaczył Sollozza wynu-

rzającego się z półmroku w głębi sali.

Sollozzo uściskał mu dłoń i usiadł obok przy barze. Tattaglia postawił szklankę przed Turkiem, który skinął głową w podziękowaniu.

– Wie pan, kim jestem? – zapytał.

Luca kiwnął głową. Uśmiechnął się ponuro. Szczury zostały wypłoszone ze swoich nor. Będzie miał przyjemność rozprawić się z tym sycylijskim re-negatem.

– Czy pan wie, o co pana poproszę? – zapytał Sollozzo.

Luca potrząsnął głową.

– Jest do zrobienia duży interes – wyjaśnił Sollozzo. – To znaczy miliony dla każdego na najwyższym szczeblu. Od pierwszego transportu mogę panu zagwarantować pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Mówię o narkotykach. To jest rzecz z przyszłością.

– Dlaczego pan zwraca się do mnie? – zapytał Luca. – Chce pan, żebym pogadał z moim donem?

Sollozzo skrzywił się.

– Ja już gadałem z donem. Nie chce mieć z tym nic wspólnego. W porządku, dam sobie radę bez niego. Ale potrzebuję kogoś mocnego, żeby ochraniał tę operację fizycznie. Jak słyszę, nie jest panu dobrze u pańskiej Rodziny, mógłby się pan przerzucić.

Luca wzruszył ramionami.

– Jeżeli propozycja będzie odpowiednia.

Sollozzo obserwował go bacznie i najwyraźniej powziął decyzję.

– Zastanów się pan nad moją propozycją przez parę dni, to potem znów pogadamy – zaproponował.

Wyciągnął rękę, ale Luca udał, że tego nie widzi, i zajął się wkładaniem papierosa do ust. Za barem Bruno Tattaglia dobył jak czarnoksiężnik zapalniczki i podsunął ją do papierosa Luki. A potem zrobił dziwną rzecz. Upuścił zapalniczkę na blat baru, złapał Lucę za prawą rękę i przytrzymał ją mocno.

Luca zareagował natychmiast, zsunął się ze stołka barowego i próbował się wyrwać. Ale Sollozza chwycił go za przegub drugiej ręki. Jednakże Luca był za silny dla nich obu i byłby się uwolnił, gdyby nie to, że z mroku za nim wystąpił jakiś mężczyzna i zarzucił mu na szyję cienki jedwabny sznur. Sznur się zacisnął, dławiąc mu oddech. Twarz Luki zsiniała, siła odpłynęła z ramion. Tattaglia i Sollozzo trzymali go teraz za ręce bez trudu i stali z jakimś dziecinnym zaciekawieniem, podczas gdy człowiek za jego plecami zaciskał

mu coraz mocniej i mocniej sznur na szyi. Nagle podłoga stała się mokra i śliska. Zwieracz Luki, nad którym już nie panował, otworzył się i odchody wypłynęły. Luca utracił resztę sił, nogi ugięły się pod nim, ciało zwisło. Sollozzo i Tattaglia puścili jego ręce, tylko nieznajomy pozostał przy ofierze, osuwając się na kolana wraz z opadającym ciałem, zaciskając sznur tak mocno, że werznął się w szyję i zniknął. Oczy Luki wylazły na wierzch jakby w najwyższym zdumieniu, i to zdumienie było jedyną pozostałą w nim ludzką cechą. Nie żył.

– Nie chcę, żeby go znaleziono – powiedział Sollozzo. – Ważne jest, żeby go w tej chwili nie znaleźli.

Zawrócił na pięcie i odszedł, znikając w półmroku.

Rozdział 8

Następny dzień po zamachu na dona Corleone był dla Rodziny bardzo pracowity. Michael siedział przy telefonie, przekazując wiadomości Sonny'emu. Tom Hagen był zajęty próbami znalezienia mediatora zadowolającego obie strony, aby móc zorganizować konferencję z Sollozzem. Turek zrobił się nagle nieufny, być może widział, że służący Rodzinie cyngle Clemenzy i Tessia przemierzają wzdłuż i wszerz całe miasto, próbując wpaść na jego trop. Ale Sollozzo nie oddalał się od swej kryjówki, podobnie jak wszyscy najważniejsi członkowie Rodziny Tattagliów. Sonny spodziewał się tego, było to elementarnym środkiem ostrożności, który, jak wiedział, nieprzyjaciel musiał przedsięwziąć.

Mama Corleone siedziała w mieście u przyjaciół Rodziny, żeby być blisko szpitala. Zięć, Carlo Rizzi, zaofiarował swoje usługi, lecz powiedziano mu, że ma zajmować się interesem, na którym osadził go don Corleone, zyskowym obwodem bukmacherskim we włoskiej części Manhattanu. Connie przebywała z matką w mieście, żeby też móc odwiedzać ojca w szpitalu.

Freddie nadal dostawał środki uspokajające w swoim pokoju w domu rodziców. Sonny i Michael odwiedzili brata i zdumieli się jego bladością, jego oczywistą chorobą.

– O Jezu – powiedział Sonny do Michaela, kiedy wyszli z pokoju Freddiego. – Wygląda tak, jakby oberwał gorzej niż ojciec.

Michael wzruszył ramionami. Widywał na polu bitwy żołnierzy w takim samym stanie. Ale nie spodziewał się nigdy, że to przytrafi się Freddiemu. Zapamiętał z dzieciństwa średniego brata jako fizycznie najtwardszego w rodzinie. Jednakże był również najposłuszniejszym synem wobec ojca. A mimo to wszyscy wiedzieli, że don zrezygnował z odegrania przez tego syna ważnej roli w interesach. Nie był dostatecznie sprytny, a w braku tego dostatecz-

nie okrutny. Zanadto był powściągliwy, nie miał wystarczającej siły.

Późnym popołudniem Michael odebrał telefon od Johnny'ego Fontane z Hollywood. Sonny wziął słuchawkę.

– Nie, Johnny, nie masz co przyjeżdżać do starego. Zanadto źle się czuje, tobie zrobiłoby to bardzo niedobłą reklamę, a wiem, że ojciec by tego nie chciał. Zaczekaj, aż mu się polepszy i będziemy mogli go przewieźć do domu, a wtedy do niego przyjedź. Okay, przekażę mu twoje pozdrowienia. – Sonny odłożył słuchawkę. Obrócił się do Michaela: – Tata się ucieszy, że Johnny chciał przyjechać z Kalifornii, żeby zobaczyć, jak się czuje.

Pod wieczór jeden z ludzi Clemency poprosił Michaela do zainstalowanego telefonu w kuchni. Dzwoniła Kay.

– Czy z twoim ojcem wszystko dobrze? – spytała. Jej głos był trochę napięty, trochę nienaturalny. Michael wiedział, że Kay nie bardzo może uwierzyć w to, co się stało, w to, co przeczytała w gazetach, w to, że jego ojciec naprawdę jest gangsterem.

– Będzie okay – zapewnił Michael.

– Mogę pojechać z tobą, jak będziesz go odwiedzał w szpitalu? – spytała Kay.

Michael roześmiał się. Pamiętała, iż mówił jej, jak bardzo ważne jest robić takie rzeczy, jeżeli chce się mieć dobre stosunki ze starymi Włochami.

– To jest specjalny przypadek – odrzekł. – Jeżeli faceci z prasy dorwą się do twojego nazwiska i pochodzenia, znajdziesz się na trzeciej stronie „Daily News”. Dziewczyna ze starej rodziny jankeskiej związała się z synem wielkiego szefa mafii. Jakby to spodobało się twoim rodzicom?

– Moi rodzice nie czytają „Daily News” – odparła sucho Kay. Znowu nastąpiła kłopotliwa pauza, po czym Kay zapytała: – Z tobą wszystko w porządku, prawda, Mike, nic ci nie grozi?

Michael roześmiał się znowu.

– Jestem znany jako lalusz rodziny Corleone. Niegroźny. Dlatego mną nie muszą sobie zawracać głowy. Nie, Kay, już po wszystkim, nie będzie więcej żadnych kłopotów. Zresztą to był w pewnym sensie przypadek. Wytłumaczę ci, jak się zobaczymy.

– Kiedy to będzie? – spytała.

Michael zastanowił się.

– Może dziś wieczorem? Wypijemy drinka i zjemy kolację w twoim hotelu, a potem pojedę do szpitala odwiedzić starego. Zaczynam mieć dość ster-

czenia tutaj i odbierania telefonów. Okay? Ale nie mów nikomu. Nie chcę, żeby fotoreporterzy z prasy robili nam zdjęcia. Bez żartów, Kay, to jest diabelnie krępujące, zwłaszcza dla twoich rodziców.

– Dobrze – odparła Kay. – Będę czekała. Może zrobić za ciebie jakieś świąteczne zakupy? Albo coś innego?

– Nie. Tylko bądź gotowa.

Zaśmiała się krótko, z podnieceniem.

– Będę – przyrzekła. – Czy nie jestem zawsze gotowa?

– Tak – powiedział. – Dlatego jesteś moją najmilszą dziewczyną.

– Kocham cię. Możesz powtórzyć to samo?

Michael zerknął na czterech drabów siedzących w kuchni.

– Nie – odparł. – Dziś wieczorem, dobrze?

– Dobrze – zgodziła się i odłożyła słuchawkę.

Clemenza nareszcie wrócił po całodziennej pracy i krzątał się w kuchni, gotując ogromny garnek sosu pomidorowego. Michael kiwnął mu głową i poszedł do narożnego gabinetu, gdzie zastał Hagenę i Sonny'ego oczekujących go niecierpliwie.

– Czy Clemenza tam jest? – zapytał Sonny.

Michael uśmiechnął się.

– Gotuje spaghetti dla żołnierzy, całkiem jak w wojsku.

– Powiedz mu, żeby dał spokój z tymi bzdurami i przyszedł tutaj – rzekł ze zniecierpliwieniem Sonny. – Mam dla niego coś ważniejszego do roboty. I przyprowadź razem z nim Tessia.

Po kilku minutach wszyscy zebrali się w gabinecie. Sonny zapytał krótko Clemenzę:

– Załatwiłeś go?

Clemenza kiwnął głową.

– Więcej go nie zobaczysz.

Z lekkim, jakby elektrycznym wstrząsem Michael uświadomił sobie, że mówią o Pauliem Gatto i że mały Paulie nie żyje, zamordowany przez tego rozbawionego dansera z wesela, Clemenzę. Sonny zapytał Hagenę:

– Powiodło ci się z Sollozzem?

Hagenę potrząsnął głową.

– Zdaje się ochłódł, jeżeli chodzi o pomysł rokowań. W każdym razie, nie zdradza zbyt dużego zapachu. Albo może jest po prostu bardzo ostrożny, żeby go nie przytrzasnęli nasi cyngle. Zresztą nie udało mi się znaleźć żadnego pierw-

szorędnego pośrednika, któremu by zaufał. Ale pewnie wie, że teraz musi pertraktować. Zmarnował szansę, kiedy nasz stary mu się wymknął.

– To sprytny gość, najsprytniejszy, z jakim nasza Rodzina miała kiedykolwiek do czynienia – zauważył Sonny. – Może myśli, że po prostu zwlekamy, póki ojciec nie wydobrzeje albo póki nie uda nam się dostać cynku o nim samym.

Hagen wzruszył ramionami.

– Jasne, tak myśli. Ale mimo to musi pertraktować. Nie ma wyboru. Załatwię sprawę jutro. To pewne.

Jeden z ludzi Clemenzy zapukał do drzwi gabinetu, po czym wszedł. Zwrócił się do Clemenzy:

– Przed chwilą mówili przez radio, że gliny znalazły Pauliego Gatto. Nieżywego, w samochodzie.

Clemenza kiwnął głową i odpowiedział mu:

– Nie przejmuj się tym.

Cyngiel spojrział na swego *caporegime* ze zdumieniem, po którym pojawiło się w jego oczach zrozumienie, i wrócił do kuchni.

Konferencja trwała dalej, tak jakby nie było żadnej przerwy. Sonny zapytał Hagen:

– Jest jakaś zmiana w stanie dona?

Hagen potrząsnął głową.

– Jest lepiej, ale jeszcze przez parę dni nie będzie mógł mówić. Jest całkiem otumaniony. Jeszcze przychodzi do siebie po operacji. Twoja matka spędza przy nim prawie całe dni, Connie tak samo. W szpitalu pełno glin, a ludzie Tessia też tam się kręcą na wszelki wypadek. Za kilka dni wydobrzeje, a wtedy zobaczymy, co każe nam robić. Tymczasem nie możemy dopuścić, żeby Sollozzo zrobił coś nieopatrzego. Dlatego chcę, żebyś zaczął z nim rozmowy.

Sonny odchrząknął.

– Na razie mam Clemenzę i Tessia, którzy się za nim rozglądają. Może nam się poszczęści i rozwiążemy całą sprawę.

– Nie poszczęści się – odparł Hagen. – Sollozzo jest za sprytny. – Przerwał. – Wie, że jak już raz zasiądzie przy stole, będzie musiał pójść po naszej linii. Dlatego zwleka. Przypuszczam, że próbuje skaptować sobie poparcie innych Rodzin nowojorskich, żebyśmy się do niego nie dobrali, kiedy stary da nam hasło.

Sonny zmarszczył brwi.

– A dlaczego, u diabła, Rodziny miałyby to robić?

– Żeby uniknąć dużej wojny, która każdemu szkodzi i wciąga w sprawę gazety i władze – wyjaśnił cierpliwie Hagen. – Poza tym Sollozzo da im jakiś udział. A sam wiesz, ile forsy jest w narkotykach. Rodzina Corleone jej nie potrzebuje, mamy hazard, który jest najlepszym biznesem. Ale inne Rodziny są wygłodniałe. Sollozzo jest człowiekiem sprawdzonym, wiedzą, że potrafi pokierować tą operacją na dużą skalę. Żywy Sollozzo to są pieniądze w ich kieszeni, a martwy to kłopoty.

Twarz Sonny'ego stała się taka, jakiej Michael nigdy nie widział. Obrzmiałe kupidynowe usta i ciemna cera wydały się szare.

– Ja pieprzę to, czego oni chcą. Niech się lepiej nie mieszają do tej walki.

Clemenza i Tessio poruszyli się niespokojnie w fotelach – dowódcy piechoty, którzy słyszą, jak ich generał nawołuje do szturmowania jakiegoś niezdożytego wzgórza bez względu na cenę. Hagen powiedział z lekkim zniecierpliwieniem:

– Dajże spokój, Sonny, twojemu ojcu nie podobałoby się, że tak myślisz. Wiesz, co zawsze mówi: „To jest marnotrawstwo”. Jasne, nie damy się nikomu powstrzymać, jeżeli ojciec każe nam wziąć się za Sollozza. Ale to nie jest sprawa osobista, to jest interes. Jeżeli weźmiemy się za Turka, a Rodziny zobaczą, że jesteśmy zdecydowani dorwać Sollozza, pozwolą na to. Don poczyna ustępstwa w innych dziedzinach, dla wyrównania. Ale nie dostawaj piany na pysku w takiej sprawie. To jest biznes. Nawet strzelanie do twojego ojca było biznesem, nie czymś osobistym. Do tej pory powinieneś już to wiedzieć.

Spojrzenie Sonny'ego wciąż było twarde.

– Dobra, rozumiem wszystko. Bylebyś ty zrozumiał, że nikt nie stanie nam na drodze, jak zechcemy Sollozza.

Sonny obrócił się do Tessia.

– Są jakieś wiadomości o Luce?

Tessio potrząsnął głową.

– Żadnych. Sollozzo musiał go capnąć.

Hagen powiedział spokojnie:

– Sollozzo nie niepokoił się Luca, co mi się wydało dziwne.

Za sprytny jest, żeby nie dbać o takiego gościa jak Luca. Sądzę, że może w ten czy inny sposób usunął go z rozgrywki.

– Chryste, mam nadzieję, że Luca nie walczy przeciwko nam – mruknął

Sonny. – To jest jedyna rzecz, jakiej bym się bał. Clemenza, Tessio, co wy o tym myślicie?

Clemenza powiedział powoli:

– Każdy może zejść na złą drogę, weźcie choćby Pauliego. Ale Luca to człowiek, który mógł iść tylko jedną drogą. Ojciec Chrzestny był jedyną osobą, w którą wierzył, jedynym człowiekiem, którego się bał. Ale nie tylko to, Sonny; szanował twojego ojca tak jak nikt inny, a przecież Ojciec Chrzestny miał szacunek każdego. Nie, Luca nigdy by nas nie zdradził. A trudno mi uwierzyć, żeby ktoś taki jak Sollozzo, choćby najchytrzejszy, mógł zaskoczyć Lucę zniemacka. Luca był człowiekiem, który podejrzewał wszystkich i wszystko. Zawsze był przygotowany na najgorsze. Myślę, że może po prostu wyjechał gdzieś na kilka dni. Lada chwila da nam znać o sobie.

Sonny obrócił się do Tessia. *Caporegime* z Brooklynu wzruszył ramionami.

– Każdy może stać się zdrajcą. Luca był bardzo drażliwy. Może don go czymś obraził. To jest możliwe. Ale myślę, że Sollozzo urządził mu małą niespodziankę. To pasuje do tego, co mówi *consigliori*. Powinniśmy spodziewać się najgorszego.

Sonny zwrócił się do wszystkich:

– Sollozzo powinien niedługo dowiedzieć się o Pauliem Gatto. Jak zareaguje?

– Zmusi go to do zastanowienia – powiedział ponuro Clemenza. – Połapie się, że Rodzina Corleone to nie głupcy. Zda sobie sprawę, że wczoraj miał duże szczęście.

– To nie było szczęście – odparł ostro Sonny. – Sollozzo planował to od tygodni. Musieli co dzień tropić ojca do biura i obserwować jego rozkład dnia. A potem przekupili Pauliego i może Lucę. Toma capnęli od ręki. Robili wszystko, co chcieli. Mieli pecha, nie szczęście. Ci ludzie, których wynajęli, nie byli dostatecznie sprawni, a stary ruszał się szybko. Gdyby go zabili, musiałbym pójść na ugodę i Sollozzo by wygrał. Na razie. Może bym zaczekał i dostał go za pięć, dziesięć lat. Ale nie mów, że miał szczęście, Pete, bo to znaczy, że go nie doceniasz. A to nam się ostatnio zdarzało często.

Jeden z cyngli przyniósł z kuchni półmisek spaghetti, a potem talerze, widelce i wino. Jedli, rozmawiając. Michael przypatrywał im się ze zdumieniem. Sam nie jadł, podobnie jak Tom, natomiast Sonny, Clemenza i Tessio ćpali, wycierając sos skórką chleba. Było to niemal komiczne. Ciągnęli dalej

dyskusję.

Tessio nie sądził, żeby utrata Pauliego Gatto zmartwiła Sollozza; w istocie uważał, że Turek mógł to przewidywać, a nawet przyjąć z zadowoleniem. Jedna bezużyteczna gęba mniej na liście płac. I wcale by go nie przestraszyło; czy oni sami zlékliby się w takiej sytuacji?

Michael odezwał się nieśmiało:

– Wiem, że jestem w tych rzeczach amatorem, ale z tego wszystkiego, coście tu mówili na temat Sollozza, plus fakt, że raptem zerwał kontakt z Tomem, wydaje mi się, że ma jakiś atut w zanadrzu. Może jest gotów zasunąć coś naprawdę zmyślnego, co by go wyniosło na wierzch. Gdybyśmy mogli dojść, co to może być, znaleźlibyśmy się za kierownicą.

Sonny odrzekł niechętnie:

– Aha, myślałem o tym, i jedna rzecz, jaka mi przychodzi do głowy, to Luca. Już się rozeszło, że musi stawić się tutaj, zanim odzyska swoje dawne prawa w Rodzinie. A inną rzeczą, o jakiej jeszcze mogę pomyśleć, to ta, że Sollozzo zawarł porozumienie z nowojorskimi Rodzinami, i jutro dowiemy się, że w razie wojny będą przeciwko nam. Że będziemy musieli zgodzić się na układ z Turkiem. Prawda, Tom?

Hagen kiwnął głową.

– Na to mi wygląda. I nie możemy ruszyć na takich przeciwników bez twojego ojca. Bo on jeden może stanąć przeciwko Rodzinom. Ma polityczne stosunki, których zawsze potrzebują, i może ich użyć przy targach. Jeżeli będzie tego bardzo chciał.

Clemenza powiedział trochę zuchwale jak na człowieka, którego główny cyngiel niedawno zdradził:

– Sollozzo nigdy nie zbliży się do tego domu. Szefie, możesz się o to nie martwić.

Sonny przez chwilę patrzył na niego w zamyśleniu. Potem zapytał Tessia:

– Co ze szpitalem? Czy twoi ludzie go pilnują?

Po raz pierwszy podczas tej konferencji Tessio wydał się być absolutnie pewny swego.

– Z zewnątrz i od wewnątrz. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Policja też go nielicho obsadziła. Pod drzwiami separatki czekają detektywi, żeby przesłuchać dona. Uśmieć się można. Don wciąż dostaje coś przez rurki, nic nie je, więc nie musimy martwić się o kuchnię, a byłoby czym się martwić z tymi Turkami, bo oni lubią truciznę. Żadną miarą nie mogą dobrać się do

dona.

Sonny odchylił się w fotelu.

– Za mnie się nie wezmą, muszą ubić ze mną interes, potrzebują aparatu Rodziny. – Uśmiechnął się do Michaela. – Ciekawe, czy to nie będziesz ty? Może Sollozzo ma zamiar cię capnąć i zatrzymać jako zakładnika, żeby dobić targu?

Michael pomyślał smętnie: diabli wzięli moją randkę z Kay. Sonny nie wypuści mnie z domu. Ale Hagen powiedział ze zniecierpliwieniem:

– Nie, mógł w każdej chwili capnąć Mike’a, gdyby chciał zabezpieczenia. Ale każdy wie, że Mike nie bierze udziału w interesach Rodziny. Jest cywilem i gdyby Sollozzo go porwał, utraciłby wszystkie inne Rodziny nowojorskie. Nawet Rodzina Tattaglia musiała pomóc go ścigać. Nie, to jest dość proste. Jutro zjawi się przedstawiciel wszystkich Rodzin, który nam powie, że musimy zrobić interes z Turkiem. On na to właśnie czeka. To jest ten atut, który ma w zanadrzu.

Michael odetchnął z ulgą.

– Dobrze. Muszę wieczorem pojechać do miasta.

– Po co? – zapytał ostro Sonny. Michael uśmiechnął się.

– Chyba wpadnę do szpitala i odwiedzę ojca, zobaczę się z mamą i z Connie. I mam też inne rzeczy do załatwienia.

Podobnie jak don Michael nigdy nie mówił, co ma naprawdę do roboty, a teraz też nie chciał powiedzieć bratu, że umówił się z Kay Adams. Nie było po temu powodu, po prostu zrobił to z przyzwyczajenia.

W kuchni rozległ się donośny szmer głosów. Clemenza wyszedł zobaczyć, co się dzieje. Kiedy wrócił, trzymał w rękach kuloodporną kamizelkę Luki Brasi. W kamizelkę zawinięta była ogromna martwa ryba.

Clemenza rzekł sucho:

– Turek dowiedział się o swoim szpiegu, Pauliem Gatto.

Tessio dodał również sucho:

– A teraz my wiemy o Luce Brasi.

Sonny zapalił cygaro i łyknął whisky. Michael, oszołomiony, zapytał:

– Co, u diabła, znaczy ta ryba?

Hagen, Irlandczyk, *consigliori*, był tym, który mu odpowiedział:

– Ryba oznacza, że Luca Brasi śpi na dnie oceanu – rzekł. – To jest stary sycylijski zwyczaj.

Rozdział 9

Kiedy Michael Corleone jechał tego wieczoru do miasta, był przygnębiony. Czuł, że wbrew własnej woli zostaje uwikłany w interesy Rodziny, i miał za złe Sonny'emu, że go używa choćby do odbierania telefonów. Było mu nieswojo, że go wtajemniczają w rodzinne narady, tak jakby można było powierzać mu bez zastrzeżeń takie tajemnice jak morderstwo. I jadąc na spotkanie z Kay, czuł się winny także wobec niej. Nigdy nie był z nią całkowicie szczery na temat swoich krewnych. Mówił o nich, ale zawsze żarcikami i barwnymi anegdotami, które sprawiały, że bardziej przypominali postacie z przygodowego filmu w technicolorze niż to, czym byli naprawdę. A teraz jego ojciec został postrzelony na ulicy, najstarszy brat zaś planował morderstwo. Tak by to należało ująć jasno i po prostu, ale nigdy by nie przedstawił tego Kay w taki sposób. Powiedział już, że postrzelenie ojca było raczej „przypadkiem” i że wszystkie kłopoty już się skończyły. Psiakrew, a to wyglądało dopiero na początek. Sonny i Tom mylili się co do tego Sollozza, nadal go nie doceniali, choć Sonny był dostatecznie bystry, by dostrzec niebezpieczeństwo. Michael usiłował odgadnąć, co Turek może mieć w zanzardzu. Był najwyraźniej człowiekiem śmiałym, inteligentnym, człowiekiem o niezwykłej sile. Można było spodziewać się, że wyskoczy z prawdziwą niespodzianką. Ale Sonny i Tom, Clemenza i Tessio zgadzali się, że wszystko jest już opanowane, a przecież mieli większe doświadczenie niż on sam. Jestem cywilem w tej wojnie – rozmyślał kwaśno Michael. I musieliby mu dać o całe niebo lepsze medale, od tych, które dostał podczas drugiej wojny światowej, żeby go skłonić do włączenia się w tę wojnę.

Te myśli sprawiły, iż zaczął sobie wyrzucać, że nie współczuje bardziej swojemu ojcu. Rodzony ojciec podziurawiony kulami, a jednak Michael jakimś dziwnym sposobem rozumiał lepiej niż ktokolwiek inny słowa Toma,

że był to biznes, nie coś osobistego. Że ojciec zapłacił za władzę, którą sprawował przez całe życie, za szacunek, który wymuszał od wszystkich ze swego otoczenia.

Michael chciał tylko wyrwać się, wyrwać z tego wszystkiego, prowadzić własne życie. Ale nie mógł odciąć się od rodziny, póki ten kryzys nie minie. Musiał pomagać w charakterze cywila. Z nagłą jasnością zdał sobie sprawę, że trapi go przydzielona mu rola uprzywilejowanego niekombatanta, człowieka, który jest usprawiedliwiony, ponieważ uchyla się od służby bojowej ze względów moralnych. Dlatego właśnie słowo „cywil” tętniło mu wciąż pod czaszką w taki drażniący sposób.

Kiedy wszedł do hotelu, Kay już czekała w holu. (Paru ludzi Clemenzy zawiozło go do miasta i wysadziło na pobliskim rogu po upewnieniu się, że nikt za nimi nie jechał).

Zjedli kolację i wypili parę drinków.

– O której idziesz do ojca? – spytała Kay. Michael spojrzął na zegarek.

– Godziny odwiedzin kończą się o wpół do dziewiątej. Myślę, że pójdę, jak wszyscy już powychodzą. Wpuszczą mnie na górę. Ojciec ma separatkę i własne pielęgniarki, więc mogę chwilę przy nim posiedzieć. Nie sądzę, żeby mógł już mówić czy nawet zdawać sobie sprawę, że tam jestem. Ale muszę okazać swój szacunek.

– Tak mi przykro z powodu twojego ojca – zapewniła Kay. – Wydał mi się taki miły na weselu. Nie mogę uwierzyć w to, co o nim wypisują gazety. Jestem pewna, że to w większości nieprawda.

– Ja też tak myślę – potaknął uprzejmie Michael. Zdziwiło go, że jest taki skryty wobec Kay. Kochał ją, ufał jej, ale nigdy nie chciał jej mówić czegokolwiek o swoim ojcu czy o Rodzinie. Była kimś z zewnątrz.

– A co z tobą? – spytała Kay. – Będziesz wmieszany w tę wojnę gangów, o której tak radośnie rozprawiają gazety?

Michael uśmiechnął się, rozpiął marynarkę i rozchylił ją szeroko.

– Patrz, żadnych rewolwerów.

Kay roześmiała się.

Robiło się już późno, więc poszli na górę do pokoju. Kay przyrządziła drinka i kiedy pili, siadła Michaelowi na kolanach. Pod suknią była cała jedwabista; wreszcie jego dłoń dotknęła jej rozgrzanego uda. Upadli razem na łóżko i kochali się ubrani, przywarci ustami do ust. Kiedy skończyli, leżeli obok siebie bez ruchu, czując przez ubranie gorączkę swych ciał. Kay szep-

nęła:

– Czy to jest to, co wy, żołnierze, nazywacie „na chybcika”?

– Aha – odrzekł Michael.

– Wcale niezłe – powiedziała Kay rzeczowym tonem. Zdrzemnęli się, nagle Michael poderwał się niespokojnie i spojrzał na zegarek.

– Psiakrew, już prawie dziesiąta. Muszę jechać do szpitala. Wyszedł do łazienki, żeby się umyć i uczesać. Kay weszła za nim i objęła go w pół od tyłu.

– Kiedy się pobierzemy? – spytała.

– Kiedy zechcesz – odparł Michael. – Jak tylko ta sprawa rodzinna się uspokoï, a ojciec wydobrzeje. Ale myślę, że powinnaś wyjaśnić sytuację swoim rodzicom.

– Co mam wyjaśniać? – spytała Kay spokojnie.

Michael przeczesał włosy grzebieniem.

– Po prostu powiedz, że poznałaś dzielnego, przystojnego faceta włoskiego pochodzenia. Najlepsze stopnie w Dartmouth. Podczas wojny Krzyż za Wzorową Służbę plus Purpurowe Serce. Uczciwy. Pracowity. Ale jego ojciec jest szefem mafii, który musi zabijać złych ludzi, czasami przekupuje wysokich urzędników państwowych, a w ramach swojej pracy sam jest dziurawiony kulami. Ale to nie ma nic wspólnego z jego uczciwym, pracowitym synem. Myślisz, że potrafisz to spamiętać?

Kay puściła go i oparła się o drzwi łazienki.

– Naprawdę? Naprawdę to robi? – Umilkła na chwilę. – Zabija ludzi?

Michael skończył się czesać.

– Właściwie nie wiem – odrzekł. – Nikt nie wie w gruncie rzeczy. Ale bym się nie dziwił.

Zanim wyszedł, spytała:

– Kiedy cię znowu zobaczę?

Michael ją pocałował.

– Chcę, żebyś pojechała do domu i przemyślała sobie wszystko w tej swojej mieścinie. Nie chcę, żebyś pod jakimkolwiek względem była wmieszana w tę historię. Po świętach wrócę na uczelnię i spotkamy się w Hanover. Dobrze?

– Dobrze – odpowiedziała. Patrzyła, jak wychodził, widziała, że pomachał jej ręką, wsiadając do windy. Nigdy nie czuła, że jest z nim tak blisko, nigdy nie była tak zakochana, i gdyby jej ktoś powiedział, że nie zobaczy ponownie Michaela przed upływem trzech lat, nie byłaby zdolna znieść takiej udręki.

Kiedy Michael wysiadł z taksówki przed Szpitalem Francuskim, spostrzegł ze zdumieniem, że ulica jest całkowicie opustoszała. Wszedłszy do szpitala stwierdził z jeszcze większym zdumieniem, że hol jest pusty. Psiakrew, co u diabła robią Clemenza i Tessio? Oczywiście nigdy nie studiowali na West Point, ale dostatecznie znają się na taktyce, aby wystawiać czaty. Paru ich ludzi powinno przynajmniej być w holu.

Nawet najbardziej zapóźnieni odwiedzający już powychodzili, było prawie wpół do jedenastej w nocy. Michael był napięty i czujny. Nie zatrzymał się przy informacji, znał już numer separatki ojca na czwartym piętrze. Wsiadł do windy samoobsługowej. Rzecz dziwna, nikt go nie zatrzymał, póki nie doszedł do stolika pielęgniarek na czwartym piętrze. Nie reagując na zadane mu pytanie, przeszedł dalej, do pokoju ojca. Przed drzwiami nie było nikogo. Gdzież, u licha, podzieli się ci dwaj detektywi, którzy mieli tu czekać, aby pilnować i przesłuchać starego? Gdzie, u licha, są ludzie Clemenzy i Tessia? A może ktoś jest w sali? Ale drzwi były otwarte. Michael wszedł do środka. Na łóżku leżała jakaś postać i w świetle księżyca sączącym się przez okno Michael rozpoznał twarz ojca. W tej chwili była nieruchoma, pierś wznosiła się płytkim, nierównym oddechem. Ze stalowego stojaka przy łóżku zwisały rurki biegnące do nosa. Na podłodze stał szklany słój, w którym zbierały się płyny odprowadzane z żołądka innymi rurkami. Michael postać kilka minut, by się upewnić, że ojcu nic nie grozi, a potem wycofał się z pokoju. Powiedział pielęgniarce:

– Nazywam się Michael Corleone, chcę tylko posiedzieć przy ojcu. Co się stało z detektywami, którzy go mieli pilnować?

Pielęgniarka była ładnym, młodym stworzeniem, mającym ogromną ufność w potęgę swojej funkcji.

– O, pański ojciec miał za wielu odwiedzających, to zakłócało pracę szpitala. Jakies dziesięć minut temu przyszła policja i kazała wszystkim wyjść. A potem, zaledwie przed pięcioma minutami, musiałam wezwać detektywów do telefonu, bo ich nagle wezwano z komendy, i odeszli także. Ale niech pan się nie martwi, zaglądam często do ojca i słyszę każdy odgłos z jego pokoju. Dlatego zostawiamy drzwi otwarte.

– Dziękuję pani. Posiedzę przy nim chwilę, dobrze?

Uśmiechnęła się do niego.

– Ale tylko chwileczkę, a potem, niestety, będzie pan musiał wyjść. Rozumie pan, takie są przepisy.

Michael wrócił do separatki ojca. Podniósł słuchawkę telefonu i poprosił centralę szpitalną o połączenie z domem na Long Beach, podając numer aparatu w narożnym gabinecie. Odezwał się Sonny. Michael szepnął:

– Sonny, jestem w szpitalu, przyszedłem późno. Sonny, tu nie ma nikogo. Ani jednego z ludzi Tessia. Ani detektywów pod drzwiami. Ojciec nie ma żadnej ochrony. – Głos mu drżał.

Nastąpiło długie milczenie, a potem odezwał się głos Sonny’ego cichy i przejęty:

– To jest to posunięcie Sollozza, o którym mówiłeś.

– Ja też tak pomyślałem. Ale jak to zrobił, że policjanci usunęli wszystkich, i dokąd oni poszli? Co się stało z ludźmi Tessia? Jezu Chryste, czy ten drań Sollozzo ma w kieszeni także i nowojorską policję?

– Uspokój się, chłopcze. – Głos Sonny’ego był kojący. – Znow mamy szczęście, żeś przyszedł do szpitala tak późno. Zostań w pokoju starego. Zamknij drzwi na klucz od wewnątrz. W ciągu piętnastu minut przyślę kilku ludzi, jak tylko zadzwonię w parę miejsc. Siedź spokojnie i nie wpadaj w panikę. Okay?

– Nie wpadnę w panikę – zapewnił Michael. Po raz pierwszy, odkąd to wszystko się zaczęło, poczuł wzbierający w nim wściekły gniew, zimną nienawiść do wrogów ojca.

Odłożył słuchawkę i nacisnął brzęczyk wzywający pielęgniarkę. Postanowił pokierować się własnym osądem i zlekceważyć rozkazy Sonny’ego. Gdy pielęgniarka weszła, powiedział:

– Nie chcę pani straszyć, ale musimy natychmiast przenieść stąd ojca. Do innego pokoju albo na inne piętro. Czy pani może odłączyć wszystkie te rurki, żebyśmy mogli wytoczyć łóżko?

– To niedorzeczne – odrzekła pielęgniarka. – Musimy mieć zezwolenie doktora.

Michael mówił bardzo szybko:

– Czytała pani o moim ojcu w gazetach. Widzi pani, że dziś tu nie ma nikogo, kto by go pilnował. Przed chwilą dostałem wiadomość, że pewni ludzie przyjdą do szpitala, aby go zabić. Proszę mi uwierzyć i pomóc.

Potrafił być niezwykle przekonujący, kiedy chciał. Pielęgniarka powiedziała:

- Nie musimy odłączać rurek. Możemy wytoczyć stojak razem z łóżkiem.
- Ma pani jakąś wolną separatkę? – szepnął Michael.
- Na końcu korytarza.

Zrobili to w parę chwil, bardzo prędko i bardzo sprawnie. Potem Michael poprosił pielęgniarkę:

– Niech pani przy nim zostanie, dopóki nie przyjdzie pomoc. Jeżeli pani będzie na zewnątrz, przy swoim stoliku, może się pani coś stać.

W tej chwili usłyszał z łóżka głos ojca, chrapliwy, lecz pełen siły.

– Michael, to ty? Co się stało, o co chodzi?

Michael pochylił się nad łóżkiem. Wziął ojca za rękę.

– To ja, Mike. Nie bój się. A teraz słuchaj, nie odzywaj się, zwłaszcza gdyby ktoś zawołał cię po imieniu. Pewni ludzie chcą cię zabić. Ale ja tutaj jestem, więc się nie bój.

Don Corleone, nadal nie w pełni świadom, co mu się przydarzyło poprzedniego dnia, i cierpiący straszliwe bóle, uśmiechnął się dobrotliwie do najmłodszego syna, chcąc mu powiedzieć, choć okazało się to za dużym wysiłkiem: „Czemu miałbym się teraz bać? Różni ludzie przychodzili mnie zabić, odkąd skończyłem dwanaście lat”.

Rozdział 10

Szpital był mały i ustronny, z jednym tylko wejściem. Michael wyrzął przez okno. Było tam półkoliste podwórko ze schodkami zbiegającymi na ulicę, a na ulicy nie było żadnych samochodów. Ktoś przybywający do szpitala musiałby wejść właśnie tędy. Michael wiedział, że nie ma dużo czasu, więc wybiegł z pokoju, a potem na dół po schodach i przez szerokie drzwi parterowego wejścia. Z boku zobaczył podwórko dla karettek szpitalnych, ale i tam nie było żadnego samochodu ani karetki.

Przystanął na chodniku przed szpitalem i zapalił papierosa. Rozpiął marynarkę i stanął w świetle latarni, tak żeby jego twarz była widoczna. Jakiś młody człowiek szedł szybko od Dziewiątej Alei, z paczką pod pachą. Był w wiatrówce i miał gęste czarne włosy. Jego twarz wydała się Michaelowi znajoma, ale kiedy wszedł w światło latarni, nie mógł jej sobie umiejscowić. Jednakże młody człowiek zatrzymał się przed nim i wyciągnął rękę, mówiąc z silnym włoskim akcentem:

– Donie Michaelu, czy pan mnie pamięta? Enzo, pomocnik i zięć piekarza Nazorinego Paniterry. Pana ojciec uratował mi życie, bo uzyskał zgodę władz, żebym pozostał w Ameryce.

Michael uścisnął mu dłoń. Teraz go sobie przypomniał. Enzo mówił dalej:

– Przyszedłem złożyć uszanowanie pańskiemu ojcu. Czy wpuszczą mnie do szpitala tak późno?

Michael uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Nie, ale w każdym razie dziękuję. Powiem donowi, że pan był.

Jakiś wóz nadjeżdżał z warkotem ulicą i to natychmiast pobudziło czujność Michaela. Powiedział do Enza:

– Niech pan się szybko stąd zmywa. Mogą być nieprzyjemności. Lepiej, żeby pan nie miał do czynienia z policją.

Dojrzał strach na twarzy młodego Włocha. Nieprzyjemności z policją mogły oznaczać deportację albo odmowę przyznania obywatelstwa. Ale młody człowiek trzymał się mocno. Szepnął po włosku:

– Jeżeli będą nieprzyjemności, zostanę, żeby pomóc. Jestem to winien Ojcu Chrzestnemu.

Michael był wzruszony. Już miał powtórzyć młodemu człowiekowi, żeby sobie poszedł, ale pomyślał: dlaczego nie pozwolić mu zostać? Dwaj mężczyźni przed szpitalem mogą odstraszyć ludzi Sollozza przysyłanych na robotę. Jeden prawie na pewno by tego nie osiągnął. Poczęstował Enza papierosem i podał mu ognia. Obaj stali pod latarnią w zimnie grudniowej nocy. Żółte szyby szpitala, przepołowione zielenią gwiazdkowych dekoracji, migotały nad nimi. Właśnie kończyli palić, kiedy długi, niski, czarny samochód skręcił z Dziewiątej Alei w Trzydziestą Ulicę i jechał ku nim tuż przy krawężniku. Już prawie się zatrzymał. Michael przypatrzył się, chcąc dojrzeć twarze siedzących w środku, i mimo woli drgnął. Wóz zdawał się zatrzymywać, po czym ruszył szybko naprzód. Ktoś widać poznał Michaela. Michael poczęstował Enza następnym papierosem i zauważył, że ręce pomocnika piekarskiego drżą. Ku swemu zdumieniu stwierdził, że sam ma ręce spokojne.

Postali na ulicy, paląc papierosy, nie dłużej niż dziesięć minut, gdy wtem nocne powietrze rozdarła syrena policyjna. Wóz patrolowy z piskiem skręcił z Dziewiątej Alei i zajechał przed szpital. Tuż za nim nadszedły jeszcze dwa samochody policyjne. Nagle wejście do szpitala zalał tłum umundurowanych policjantów i detektywów. Michael odetchnął z ulgą. Poczciwy stary Sonny musiał od razu nawiązać kontakt. Michael ruszył im na spotkanie.

Dwaj olbrzymi, barczyści policjanci złapali go za ręce. Inny go obszukał. Masywny kapitan policji, ze złotą plecionką na czapce, wszedł po schodach, a jego ludzie rozstąpili się z szacunkiem, by go przepuścić. Był mężczyzną pełnym wigoru, mimo swojej tuszy i mimo siwych włosów wymykających się spod czapki. Twarz miał mięsistą i czerwoną. Podeszedł do Michaela i wrzasnął:

– Myślałem, że przymknąłem was wszystkich, makaroniarskich łobuzów. Kim jesteś, do cholery, i co tu robisz?

Jeden z policjantów stojących obok Michaela powiedział:

– Czysty jest, panie kapitanie.

Michael milczał. Przypatrywał się temu kapitanowi policji, chłodno badając jego twarz, metaliczne, niebieskie oczy. Detektyw w cywilnym ubraniu

powiedział:

– To Michael Corleone, syn dona.

Michael zapytał spokojnie:

– Co się stało z detektywami, którzy mieli pilnować mojego ojca? Kto ich zdjął z posterunku?

Kapitan zapienił się z wściekłości.

– Ty pieprzony łachudro, coś ty za jeden, żeby mnie uczyć, co mam robić? Ja ich zdjąłem. Gównu mnie obchodzi, ilu makaroniarskich gangsterów pozabija się nawzajem. Gdyby to ode mnie zależało, nie kiwnąłbym nawet palcem, żeby ochronić twojego starego od rozwalki. A teraz zjeżdżaj stąd, do cholery! Wynoś się z tej ulicy, pętaku, i nie przyłaż do szpitala, kiedy nie jest pora odwiedzin.

Michael wciąż przypatrywał mu się uważnie. Nie rozgniewało go to, co mówił kapitan policji. Jego myśli gnały jak szalone. Czy to możliwe, że Sollozzo był w pierwszym samochodzie i zobaczył go stojącego przed szpitalem? Czy możliwe, że Sollozzo zadzwonił potem do tego kapitana i zapytał: „Dlaczego ludzie Corleone dalej się kręcą koło szpitala, kiedy ci zapłaciłem, żebyś ich przymknął?”. Czy jest możliwe, że wszystko zostało starannie zaplanowane, tak jak mówił Sonny? Wszystko tu pasowało. Nadal opanowany, zwrócił się do kapitana:

– Nie ruszę się z tego szpitala, dopóki pan nie wystawi posterunku przed separatką mojego ojca.

Kapitan nie zadał sobie trudu, żeby mu odpowiedzieć. Zwrócił się do stojącego obok detektywa:

– Phil, zamknij tego pętaka.

Detektyw odparł z wahaniem:

– Chłopak jest czysty, kapitanie. Jest bohaterem wojennym i nigdy nie był wmieszany w żadne afery. Gazety mogłyby narobić smrodu.

Kapitan naskoczył na detektywa z twarzą poczerwieniałą z furii. Wrzasnął:

– Do cholery, mówiłem, żeby go zamknąć!

Michael, wciąż rozumując jasno, bez gniewu, odrzekł z rozmyślną złościwością:

– Ile Turek panu zapłacił za wystawienie mojego ojca, kapitanie?

Kapitan policji obrócił się do niego. Rozkazał dwóm krzepkim policjantom:

– Przytrzymać go.

Michael poczuł, że obie ręce przyciśnięto mu do boków. Dojrzał masywną pięść kapitana spadającą mu sierpowym na twarz. Próbował się uchylić, ale pięść trafiła go wysoko w kość policzkową. Pod czaszką wybuchnął mu granat. Usta wypełniła krew i małe, twarde kawałki kości, które, jak sobie uświadomił, były jego zębami. Poczuł, że bok głowy obrzmiewa mu tak, jakby wypełniał się powietrzem. Nogi mu zwiotczały i byłby upadł, gdyby go nie podtrzymali dwaj policjanci. Ale był nadal przytomny. Detektyw w cywilnym ubraniu wysunął się przed niego, żeby nie pozwolić kapitanowi uderzyć go powtórnie, i powiedział:

– Rany boskie, kapitanie, pan go naprawdę uszkodził.

Kapitan odparł głośno:

– Nie tknąłem go. Napadł na mnie i przewrócił się. Rozumiecie? Stawiał opór przy aresztowaniu.

Przez czerwoną mgłę Michael widział podjeżdżające do krawężnika dalsze samochody. Wsiadali z nich jacyś ludzie. W jednym z nich rozpoznał adwokata Clemenzy, który mówił uprzejmie i pewnie do kapitana policji:

– Rodzina Corleone najęła prywatnych detektywów, żeby pilnowali pana Corleone. Ludzie, którzy są ze mną, mają pozwolenie na noszenie broni, kapitanie. Jeżeli pan ich zaaresztuje, będzie pan musiał rano stanąć przed sędzią i wyjaśnić mu dlaczego.

Adwokat zerknął na Michaela.

– Czy pan chce wnieść skargę przeciwko temu, kto panu to zrobił? – zapytał.

Michael miał trudności z mówieniem. Szczęki mu się nie schodziły, ale zdołał wybełkotać:

– Pośliznąłem się. Pośliznąłem się i upadłem.

Zauważył, że kapitan posłał mu triumfujące spojrzenie, i próbował odpowiedzieć na nie uśmiechem. Za wszelką cenę chciał ukryć rozkoszny, lodowaty chłód, który opanował jego mózg, falę zimnej nienawiści, która przenikała jego ciało. Nie chciał ujawnić nikomu na świecie, co czuje w tym momencie. Tak, jak nie chciałby tego don. A potem poczuł, że wnoszą go do szpitala, i stracił przytomność.

Kiedy się ocknął nazajutrz rano, stwierdził, że szczęki ma zdrutowane i że brak mu czterech zębów po lewej stronie. Przy jego łóżku siedział Hagen.

– Czy mnie uspili? – zapytał Michael.

– Aha – odrzekł Hagen. – Musieli ci wydłubać z dziąseł kawałki kości i uważali, że to będzie zbyt bolesne. Poza tym i tak właściwie byłeś nieprzytomny.

– Czy stało mi się coś poza tym? – spytał Michael.

– Nie – odrzekł Hagen. – Sonny chce, żebyś pojechał na Long Beach. Myślisz, że dasz radę?

– Jasne. Czy z donem wszystko w porządku?

Hagen zaczerwienił się.

– Myślę, że teraz rozwiązaliśmy problem. Mamy firmę prywatnych detektywów i cały teren jest obsadzony. Powiem ci więcej, jak będziemy w samochodzie.

Prowadził Clemenza, Michael i Hagen siedzieli na tylnym siedzeniu. Michael czuł pulsowanie w głowie.

– Więc, co u diabła, stało się właściwie wczoraj wieczorem? Czyście się dowiedzieli?

Hagen wyjaśnił spokojnie:

– Sonny ma swoją wtyczkę, detektywa Phillipsa, tego, który próbował cię ochronić. Dał nam cynk. Ten kapitan policji, McCluskey, jest gościem, który ciągnie grubą forszę, odkąd został policjantem. Nasza Rodzina wpłaciła mu całkiem sporo. Jest pazerny i niesolidny w załatwianiu interesów. Ale Sollozzo musiał mu dużo zapłacić. McCluskey zaraz po godzinach odwiedzin kazał zaaresztować wszystkich ludzi Tessia przed szpitalem i w środku. Nie poprawiło sytuacji to, że niektórzy mieli broń. A potem McCluskey ściągnął oficjalnych detektywów spod drzwi dona. Twierdził, że są mu potrzebni i że jakieś inne gliny miały zająć ich miejsce, ale im się coś pokręciło. To bujda. Zapłacono mu, żeby wystawił dona. A Phillips powiada, że to jest taki gość, który popробuje tego znowu. Sollozzo musiał mu dać fortunę na początek i obiecać gwiazdkę z nieba w przyszłości.

– Czy było coś w gazetach o moim pobiciu?

– Nie – odrzekł Hagen. – Nie puściliśmy farby. Nikt nie chce, żeby to się rozeszło. Ani gliny, ani my.

– Dobrze – powiedział Michael. – Czy młody Enzo się wymknął?

– Tak – odparł Hagen. – Sprytniejszy był od ciebie. Jak się zjawily gliny, od razu zniknął. Twierdzi, że był z tobą, kiedy przejeżdżał wóz Sollozza. Czy to prawda?

- Tak – potwierdził Michael. – To porządny chłopak.
- Zaopiekujemy się nim – powiedział Hagen. – Dobrze się czujesz? – Twarz miał zatroskaną. – Wyglądasz paskudnie.
- Dobrze – odrzekł Michael. – Jak się nazywa ten kapitan policji?
- McCluskey – powiedział Hagen. – Aha, może poprawi ci samopoczucie wiadomość, że Rodzina Corleone nareszcie zdobyła punkt. Bruno Tattaglia, dzisiaj o czwartej rano.
- Michael poderwał się.
- Jak to? Myślałem, że mieliśmy przywarować.
- Hagen wzruszył ramionami.
- Po tym, co się stało w szpitalu, Sonny się zeźlił. Cyngli rozesłano na cały Nowy Jork i New Jersey. Wczoraj wieczorem zestawiliśmy listę. Próbuję pohamować Sonny’ego, Mike. Może ty mógłbyś z nim pogadać. Całą tę sprawę można jeszcze załatwić bez większej wojny.
- Pogadam z nim – przyrzekł Mike. – Czy dzisiaj rano jest konferencja?
- Tak – potwierdził Hagen. – Sollozzo wreszcie nawiązał kontakt i chce zasiąść z nami przy stole. Szczegóły załatwia negocjator. To oznacza, że wygrywamy. Sollozzo wie, że przegrał, i chce ująć z życiem. – Hagen przerwał.
- Może myślał, że jesteśmy mięczakami, gotowymi do ustępstw, bo nie oddawaliśmy ciosów. Teraz, kiedy jeden z synów Tattaglii nie żyje, zrozumiał, że podchodzimy do sprawy poważnie. Naprawdę strasznie zaryzykował, porywając się na dona. Aha, i mamy też potwierdzenie co do Luki. Zabili go wieczorem w przeddzień postrzelenia twojego ojca. W nocnym klubie Bruna. Masz pojęcie?
- Nic dziwnego, że go zaskoczyli z nienacka – powiedział Michael.

Wjazd na placyk przy domach w Long Beach był zagrodzony długim czarnym samochodem zaparkowanym w poprzek wylotu. Michael zauważył, że w dwóch domach po obu stronach są otwarte okna na wyższych piętrach. Rany boskie, Sonny widać naprawdę podchodzi do sprawy poważnie.

Clemenza zaparkował wóz i wszyscy trzej weszli na placyk. Dwaj strażnicy byli ludźmi Clemenzy i Clemenza powitał ich zmarszczeniem brwi, które służyło za pozdrowienie. Tamci pokwitowali je kiwnięciem głowy. Nie było żadnych uśmiechów, żadnych słów. Clemenza poprowadził Hagen i Michaela do wnętrza domu.

Nim zadzwonili, drzwi otworzył inny strażnik. Najwyraźniej obserwował ich z okna. Poszli do narożnego gabinetu i zastali tam Sonny'ego i Tessia, którzy na nich czekali. Sonny podszedł do Michaela, ujął w dłonie głowę młodszego brata i powiedział żartobliwie:

– Pięknie. Pięknie. – Michael odtrącił jego ręce, podszedł do biurka i nalał sobie whisky, mając nadzieję, że stępi ból w zdrutowanej szczękę.

W pięciu zasiedli w pokoju, ale atmosfera była inna niż podczas ich dawniejszych spotkań. Sonny był weselszy, bardziej pogodny, i Michael zrozumiał, co ta wesołość oznacza. W umyśle jego starszego brata nie było już miejsca na żadne wątpliwości. Zdecydował się i nic nie mogło zachwiać jego postanowieniem. Zamach Sollozza z poprzedniego wieczoru był ostatnią kropką. Nie mogło już być mowy o zawieszeniu broni.

– Mieliśmy telefon od negocjatora, kiedy ciebie nie było – powiedział Sonny do Hagen. – Turek chce spotkania zaraz. – Sonny zaśmiał się. – Ale ten drań ma jaja! – zawołał z podziwem. – Wczoraj nawala, a chce spotkania dziś albo jutro. Tymczasem my mamy siedzieć cicho i przyjmować wszystko, co nam zasunie. Co za pieprzona czelność!

– Co odpowiedziałeś? – zapytał Hagen ostrożnie.

Sonny wyszczerzył zęby.

– Powiedziałem, że jasne, czemu nie? Kiedy tylko zechce, mnie się nie spieszy. Mam na ulicach stu cyngli dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jeżeli Sollozzo wytknie choćby kawałek tyłka, będzie trupem. Niech sobie zwlekają, ile tylko chcą.

– Czy była jakaś konkretna propozycja? – zapytał Hagen.

– A jakże – odparł Sonny. – Chce, żebyśmy przysłali Mike'a na spotkanie z nim, aby wysłuchał jego propozycji. Negocjator gwarantuje bezpieczeństwo Mike'a. Sollozzo nie prosi nas o zagwarantowanie jego własnego bezpieczeństwa. Wie, że o to prosić nie może. Bezcelowe. Więc spotkanie będzie zorganizowane z jego strony. Jego ludzie zabiorą Mike'a i zawiozą go na miejsce. Mike wysłucha Sollozza i potem go puszczą wolno. Ale miejsce spotkania nie zostało ujawnione. Obiecują, że układ będzie tak dobry, że nie będziemy mogli go odrzucić.

– A co z Tattagliami? – zapytał Hagen. – Co zrobią w sprawie Bruna?

– To należy do układu. Negocjator mówi, że Rodzina Tattagliów zgodziła się zastosować do Sollozza. Zapomną o Brunonie Tattaglii. On płaci za to, co zrobili mojemu ojcu. Jedno przekreśla drugie. – Sonny zaśmiał się znowu. –

Bezczelne dranie.

Hagen ostrożnie zaproponował:

– Powinniśmy wysłuchać, co mają do powiedzenia.

Sonny potrząsnął głową.

– Nie, nie, *consigliori*, nie tym razem. – W jego głosie był nikły ślad włoskiego akcentu. Świadomie przedrzeźniał dla żartu ojca. – Żadnych dalszych spotkań. Żadnych dyskusji. Żadnych sztuczek Sollozza. Kiedy negocjator znowu skontaktuje się z nami w sprawie naszej odpowiedzi, masz mu przekazać tylko jedno. Ja chcę Sollozza. Jeżeli nie, to wojna na całego. Pójdziemy na materace i wyślemy wszystkich cyngli na ulicę. Interesy będą po prostu musiały ucierpieć.

– Inne Rodziny nie pójda na generalną wojnę – powiedział Hagen. – To zanadto wszystkich obciąża.

Sonny wzruszył ramionami.

– Mają proste rozwiązanie. Dajcie mi Sollozza. Albo walczcie z Rodziną Corleone. – Sonny przerwał, po czym dodał szorstko: – Żadnych więcej rad, jak to załatwić, Tom. Decyzja zapadła. Twoje zadanie to pomóc mi wygrać. Rozumiesz?

Hagen pochylił głowę. Na chwilę zamyślił się głęboko. Potem powiedział:

– Rozmawiałem z twoim człowiekiem z posterunku policji. Powiada, że kapitan McCluskey ma dostać swoją dolę z operacji narkotykami. Zgodził się być obstawą Sollozza. Turek nie wytyka nosa ze swojej nory bez McCluskeya. Kiedy się spotka z Mikiem na rozmowę, McCluskey będzie siedział obok niego. W cywilnym ubraniu, ale z bronią. Otóż musisz zrozumieć, Sonny, że póki Sollozzo jest tak strzeżony, nie uda ci się go tknąć. Nikt jeszcze nie kropnął bezkarnie kapitana policji nowojorskiej. W tym mieście zrobiłoby się nieznośnie gorąco, bo to i gazety, i cała komenda policji, Kościoły, wszystko. To byłoby katastrofalne. Rodziny naskoczyłyby na ciebie. Corleone staliby się wyrzutkami. Nawet opiekunowie polityczni dona pochowałiby się. Więc weź to pod rozwagę.

Sonny wzruszył ramionami.

– McCluskey nie może wiecznie sterczeć przy Turku. Poczekamy.

Tessio i Clemenza pykali z cygar, stropieni, nie śmiąc przemówić, ale počąc się. Gdyby powzięto błędną decyzję, zapłaciliby za to własną skórą.

Michael odezwał się po raz pierwszy. Zapytał Hageną:

– Czy ojca można przewieźć tu ze szpitala?

Hagen potrząsnął głową.

– To pierwsza rzecz, o jaką pytałem. Niemożliwe. Jest w bardzo złym stanie. Przetrzyma, ale potrzebuje rozmaitych zabiegów, być może jeszcze jakiejś operacji. Niemożliwe.

– To musicie dostać Sollozza zaraz – stwierdził Michael. – Nie możemy czekać. Facet jest zanadto niebezpieczny. Wskoczy z jakimś nowym pomysłem. Pamiętajcie, że dla niego nadal kluczową sprawą jest pozbycie się naszego starego. On o tym wie. W porządku, zdaje sobie sprawę, że teraz sytuacja jest bardzo ciężka, więc gotów jest przyjąć każdą porażkę w zamian za swoje życie. Ale jeżeli tak czy owak ma być zabity, popróbuje jeszcze raz. A ponieważ pomaga mu ten kapitan policji, więc kto wie, co może się zdarzyć. Nie możemy ryzykować. Musimy dorwać Sollozza natychmiast.

Sonny podrapał się w zamyśleniu po brodzie.

– Masz rację, chłopaku – przyznał. – Doszedłeś do sedna sprawy. Nie możemy dopuścić, żeby Sollozzo znowu się dobrał do starego.

– A co z kapitanem McCluskeyem? – zapytał spokojnie Hagen.

Sonny obrócił się do Michaela z dziwnym uśmiechem.

– No właśnie, chłopcze, co z tym twardym kapitanem policji?

Michael odpowiedział powoli:

– Okay, to jest ostateczność. Ale bywają przypadki, kiedy najbardziej ostateczne kroki są uzasadnione. Wyobraźmy sobie, że musimy zabić McCluskeya. Można to zrobić w ten sposób, żeby go mocno obciążyć, tak że nie byłby to już uczciwy kapitan policji wypełniający swoje obowiązki, ale skorumpowany funkcjonariusz, zamieszany w różne kanty, który dostał to, co mu się należało, tak jak każdy kanciarz. Mamy na liście płacy dziennikarzy, którym możemy podać tę historię z dostatecznymi dowodami, aby ją mogli wylansować. To by trochę zmniejszyło wzburzenie. Jak wam się to widzi?

Michael popatrzał z respektem na pozostałych. Tessio i Clemenza mieli ponure miny i nie chcieli się odezwać. Sonny powiedział z tym samym dziwnym uśmiechem.

– Mów dalej, chłopaku, świetnie ci to idzie. Ustami niewiniątek, jak zawsze mawiał don. No, dalej, Mike, powiedz nam coś więcej.

Hagen także uśmiechał się z lekka, odwracając głowę. Michael zarumienił się.

– Ano, chcę, żebym poszedł na rozmowę z Sollozzem. Będziemy tam tylko ja, Sollozzo i McCluskey, nikogo więcej. Naznaczcie spotkanie za dwa

dni od dziś, a potem każcie naszym informatorom dowiedzieć się, gdzie ono nastąpi. Nalegajcie na to, że musi być w jakimś miejscu publicznym, że nie pozwolę się zabrać do żadnego mieszkania czy domu. Niech to będzie jakaś restauracja czy bar w szczytowej porze kolacji, coś w tym rodzaju, żebym się czuł bezpieczny. Oni także będą czuli się bezpieczni. Nawet Sollozzowi nie przyjdzie do głowy, że odważylibyśmy się rąbnąć kapitana. Obszukają mnie, jak się z nimi spotkam, więc wtedy będę musiał być czysty, ale obmyślcie jakiś sposób podrzucenia mi broni, kiedy będę z nimi gadał. Wtedy kropnę ich obu.

Wszyscy czterej obrócili głowy i wpatrzyli się w niego. Clemenza i Tessio byli poważni i zdumieni. Hagen miał minę trochę smutną, ale nie zaskoczona. Chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się. Natomiast Sonny, ze swoją pucołowatą twarzą kupidyna drgającą z uciechy, nagle ryknął głośnym śmiechem. Był serdeczny, nieudawany. Sonny naprawdę pękał ze śmiechu. Wskazał palcem Michaela, usiłując przemówić, choć aż go zatykało z rozbawienia.

– Ty, chłopak z pierwszorzędnego college’u, który nigdy nie chciał mieszać się do spraw Rodziny! A teraz chcesz zabić kapitana policji i Turka tylko dlatego, że McCluskey rozkwasił ci twarz. Bierzesz to osobiście, to jest zwyczajny biznes, a ty to bierzesz osobiście. Chcesz zabić obu tych gości dlatego, że dostałeś po pysku. Więc wszystko to lipa. Przez wszystkie te lata to była po prostu lipa.

Clemenza i Tessio, rozumiejąc to zupełnie opacznie, myśląc, że Sonny wyśmiewa się z brawury młodszego brata robiącego taką propozycję, także uśmiechali się szeroko i trochę protekcyjnie do Michaela. Tylko Hagen roztropnie zachowywał nieprzenikniony wyraz twarzy.

Michael rozejrzał się po wszystkich, po czym popatrzał na Sonny’ego, który wciąż nie mógł pohamować śmiechu.

– Ty kropniesz ich obu? – zapytał Sonny. – Słuchaj, chłopaku, nie dadzą ci za to medali, posadzą cię na krześle elektrycznym. Wiesz o tym? To nie jest robota dla bohaterów, nie strzelasz do ludzi z odległości mili. Strzelasz, kiedy widzisz białka ich oczu, tak jak nas uczyli w szkole, pamiętasz? Musisz stanąć tuż przy nich i rozwalić im łby, a ich mózg opryska ci twoje eleganckie ubranko. No więc jak, chłopcze, chcesz to zrobić dlatego, że jakiś tępy glina cię trzepnął?

Sonny śmiał się ciągle.

Michael wstał.

– Lepiej przestań się śmiać – powiedział. Zmiana, która w nim zaszła, była tak niesłychana, że uśmiechy znikły z twarzy Clemenzy i Tessia. Michael nie był wysoki ani masywnie zbudowany, ale zdawała się emanować z niego groźba. W tej chwili był wcieleniem samego dona Corleone. Jego oczy stały się bladopłowe, a twarz zbieleła. Zdawało się, lada chwila rzuci się na swego starszego i silniejszego brata. Nie ulegało wątpliwości, że gdyby miał w rękę broń, Sonny znalazłby się w niebezpieczeństwie. Sonny przestał się śmiać, a Michael zwrócił się do niego zimnym, groźnym głosem:

– Myślisz, że nie potrafię tego zrobić, ty draniu?

Sonny opanował atak śmiechu.

– Wiem, że potrafisz – powiedział. – Nie śmiałem się z tego, co mówiłeś. Śmiałem się z tego, jak zabawnie rzeczy się układają. Zawsze mówiłem, że jesteś najtwardszy w rodzinie, twardszy od samego dona. Byłeś jedynym, który potrafił nie zgadzać się z naszym starym. Pamiętam cię, jak byłeś dzieckiem. Jaki wtedy byłeś zadziorny. Do diabła, nawet ze mną się napażdałeś, a przecież byłem dużo starszy od ciebie. Freddie musiał cię łać na kwaśne jabłko przynajmniej raz w tygodniu. A teraz Sollozzo ma ciebie za tego miękkiego w Rodzinie, bo pozwoliłeś, żeby McCluskey cię uderzył, i nie oddałeś mu, i nie chciałeś się mieszać do zatargów Rodziny. Wyobraża sobie, że nie ma się czym martwić, jeżeli spotka się z tobą sam na sam. A McCluskey też ma cię za strachliwego Włocha. – Sonny przerwał, po czym dodał łagodnie: – Ale jednak jesteś Corleone, ty łobuzie. I ja byłem jedynym, który to wiedział. Siedziałem tu i czekałem przez ostatnie trzy dni, odkąd postrzelili starego, żebyś wyskoczył z tej wymuskaney, wojenno-bohaterskiej, lipnej postaci, z którą się obnosiłeś. Czekałem, żebyś został moją prawą ręką, żebyśmy mogli pozabijać tych skubańców, którzy próbują zniszczyć naszego ojca i naszą Rodzinę. I na to trzeba było tylko trzaśnięcia w szczękę. Co ty na to? – Sonny uczynił komiczny gest zadawania ciosu i powtórzył: – No, co ty na to?

Napięcie w pokoju ustąpiło. Mike potrząsnął głową.

– Sonny, robię to dlatego, że to jest jedyna rzecz do zrobienia. Nie mogę pozwolić, żeby Sollozzo znowu dobrał się do ojca. Najwyraźniej jestem jedynym, który ma do niego dojście. I obmyśliłem to sobie. Nie sądzę, żebyś znalazł kogoś innego, kto by rąbnął kapitana policji. Może ty byś to zrobił, Sonny, ale masz żonę i dzieci i musisz kierować sprawami Rodziny, dopóki ojciec nie wróci do formy. Więc zostaję ja i Freddie. Freddie jest zszokowany

i nie do użytku. W końcu zostają tylko ja. To wszystko jest logiczne. Cios w szczękę nie miał z tym nic wspólnego.

Sonny podszedł i uściskał go.

– Guzik mnie obchodzi, jakie masz powody, jeżeli tylko jesteś teraz z nami. I powiem ci jeszcze jedno: masz rację od początku do końca. Tom, co ty na to?

Hagen wzruszył ramionami.

– Rozumowanie jest słuszne. A to dlatego, że nie sądzę, aby Turek podchodził uczciwie do układu. Myślę, że jeszcze spróbuje dobrać się do dona. W każdym razie tak musimy przypuszczać na podstawie jego dotychczasowych wyczynów. Więc spróbujmy dostać Sollozza. Dostaniemy go, nawet jeżeli będzie trzeba kropnąć tego kapitana policji. Ale ktokolwiek będzie załatwiał tę robotę, ogromnie zaryzykuje. Czy to musi być Mike?

– Ja mógłbym to zrobić – powiedział cicho Sonny.

Hagen ze zniecierpliwieniem potrząsnął głową.

– Sollozzo nie dopuściłby cię na milę do siebie, choćby miał dziesięciu kapitanów policji. A poza tym pełnisz obowiązki głowy Rodziny. Nie można cię narażać. – Hagen przerwał i zwrócił się do Clemenza i Tessia: – Czy któryś z was ma pierwszorzędnego cyngla, kogoś naprawdę specjalnego, kto podjąłby się tej roboty? Nie musiałyby się martwić o pieniądze do końca życia.

Clemenza przemówił pierwszy:

– Nikogo takiego, kogo Sollozzo by nie znał. Od razu by się połapał. Połapały się tak samo, gdybym poszedł ja czy Tessio.

– A kogoś naprawdę twardego, kto jeszcze nie wyrobił sobie opinii, jakiegoś dobrego rekruta? – zapytał Hagen.

Obaj *caporegime* pokręcili głowami. Tessio uśmiechnął się, ażeby wydać się mniej zjadliwym, i powiedział:

– To tak, jakby wziąć faceta z prowincjonalnej drużyny na rozgrywki o mistrzostwo Stanów.

– Więc musi być Mike – zdecydował krótko Sonny. – Z tysiąca różnych powodów. Najważniejsze, że oni mają go za lalusia. A potrafi wykonać robotę, to gwarantuję, i to jest ważne, bo będziemy mieli tylko tę jedną okazję dobrać się do tego chytrego, drańskiego Turka. Dlatego teraz musimy obmyślić najlepszy sposób wsparcia Mike'a. Tom, Clemenza, Tessio, wywieście się, ile to będzie kosztowało. Kiedy się tego dowiemy, możemy obmyślić, jak mu

dostarczyć broń. Clemenza, masz mu dać naprawdę bezpieczną spluwę z twojej kolekcji, najpewniejszą, jaką masz. Niemożliwą do wytropienia. Postaraj się o krótką lufę i dużą siłę uderzenia. Nie musi być celna. Kiedy Mike jej użyje, będzie tuż przy nich. Mike, jak tylko użyjesz broni, rzuć ją na podłogę. Nie daj się złapać, mając ją przy sobie. Clemenza, oklej lufę i cyngiel tym swoim specjalnym plastrem, żeby nie zostały odciski palców. Pamiętaj, Mike, że możemy załatwić wszystko, świadków i tak dalej, ale jeżeli cię złapią z bronią, nie damy rady. Będziemy mieli przerzut i ochronę, i potem znikniesz na ładne, długie wakacje, dopóki to nie ostygnie. Nie będzie cię przez długi czas, ale nie chcę, żebyś się zegnał ze swoją dziewczyną czy nawet do niej dzwonił. Kiedy już będzie po wszystkim, a ty się znajdziesz poza krajem, prześlę jej wiadomość, że wszystko w porządku. To rozkaz. – Sonny uśmiechnął się do brata. – A teraz trzymaj się Clemency i przyzwyczajaj się obchodzić z bronią, którą ci wybierze. Może nawet poćwicz trochę. My zajmujemy się wszystkim innym. Wszystkim. Okay, chłopcze?

I znowu Michael Corleone poczuł ten rozkoszny, odświeżający chłód w całym ciele. Powiedział do brata:

– Nie musiałeś mi mówić tych bzdur o nierozmawianiu z moją dziewczyną na taki temat. Coś ty myślał, do cholery, że zadzwonię do niej, żeby się pożegnać?

Sonny odparł pospiesznie:

– W porządku, ale jesteś jeszcze surowy, więc wszystko tłumaczę dokładnie. Zapomnij o tym.

– Jak to surowy, do diabła? Słuchałem naszego starego tak samo pilnie jak ty. Jak myślisz, skąd się tak wycwaniłem? – Obaj się roześmieli.

Hagen nalał wszystkim. Miał minę trochę posepną. Mąż stanu zmuszony uciec się do wojny, prawnik zmuszony uciec się do prawa.

– Ano, w każdym razie teraz już wiemy, co będziemy robili – stwierdził.

Rozdział 11

Kapitan Mark McCluskey siedział w swoim biurze, obracając w palcach trzy pękate koperty z kwitami wyścigowymi. Marszczył brwi, usiłując rozszyfrować umieszczone na nich zapisy. Było to dla niego bardzo ważne. W kopertach znajdowały się kwity, które jego ludzie skonfiskowali podczas obławy, kiedy poprzedniego wieczoru natrafili na jednego z bukmacherów Rodziny Corleone. Teraz bukmacher musiałby odkupić te kwity, aby stawiający nie mogli twierdzić, że wygrali, i wykończyć go.

Dla kapitana McCluskeya było ogromnie ważne odszyfrować kwity, bo nie chciał zostać oszukany, kiedy odsprzedawałby je bukmacherowi. Jeżeli były warte pięćdziesiąt kawałków, to może udałoby się je odsprzedać za pięć. Ale jeżeli zrobiono dużo wysokich zakładów i kwity przedstawiały wartość stu czy może nawet dwustu kawałków, cena powinna być znacznie wyższa. McCluskey bawił się kopertą, wreszcie zdecydował, że pozwoli bukmacherowi trochę się spocic i złożyć pierwszą ofertę. To mogłoby wskazać, jaka powinna być rzeczywista cena.

McCluskey popatrzał na zegar wiszący na ścianie biura. Była już pora zabrać tego oślizłego Turka, Sollozza, i zawieźć go tam, gdzie miał się spotkać z Rodziną Corleone. McCluskey podszedł do szafki ściennej i zaczął się przebierać w cywilne ubranie. Kiedy skończył, zadzwonił do żony i powiedział jej, że tego wieczoru nie będzie w domu na kolacji, bo ma służbę w mieście. Nigdy nie zwierzał się żonie z niczego. Myślała, że żyją tak, jak żyją, z jego pensji policjanta. McCluskey prychnął z rozbawienia. Jego matka myślała tak samo, ale on nauczył się wcześniej. Ojciec wprowadził go w tajniki zawodu.

Ojciec był sierżantem policji. Co tydzień ojciec z synem obchodzili swój rejon, a McCluskey senior przedstawiał sześciolatniego chłopca sklepika-

rzom, mówiąc: „A to jest mój mały”.

Właściciele sklepików ściskali mu dłoń, prawili przesadne komplementy i otwierali szuflady kas, by wręczyć malcowi w podarunku pięć albo dziesięć dolarów. Pod koniec dnia mały Mark McCluskey miał wszystkie kieszenie wypchane banknotami i czuł się ogromnie dumny, iż znajomi ojca tak go lubią, że dają mu prezenty, ilekroć go zobaczą. Ma się rozumieć, ojciec składał dlań te pieniądze w banku na wykształcenie w college’u, a mały Mark dostawał dla siebie co najwyżej pięćdziesiąt centów.

Potem, kiedy Mark wracał do domu i jego stryjowie policjanci pytali, kim chciałby być, jak dorośnie, on zaś seplenił po dziecinnemu: „policjantem”, wszyscy śmiali się gromko. I oczywiście później, choć ojciec chciał, żeby najpierw poszedł do college’u, zaraz po szkole średniej zaczął się kształcić na policjanta.

Był dobrym policjantem, dzielnym policjantem. Twardzi młodzi chuligani, którzy terroryzowali ludzi na rogach ulic, wiali, kiedy się zbliżał, aż w końcu całkiem zniknęli z jego rejonu. Był bardzo twardym i bardzo porządnym policjantem. Nigdy nie prowadził swojego syna do sklepikarzy, ażeby zbierał dla niego pieniądze podarki za przemykanie oczu na łamanie przepisów o usuwaniu śmieci czy parkowaniu samochodów; brał pieniądze wprost do rąk własnych – gdyż uważał, że je zarobił. Nigdy nie zbaczał do kina ani nie dekował się po restauracjach podczas pieszego obchodu, tak jak to robili inni, zwłaszcza w zimowe noce. Zawsze obchodził swój rejon. Swym sklepom zapewniał solidną ochronę, solidne usługi. Kiedy pijacy i nałogowcy przesiąkali z Bowery, żeby nagabywać przechodniów o pieniądze na jego trasie, przepędzał ich tak brutalnie, że nigdy nie wracali. Kupcy z jego obwodu byli mu za to wdzięczni. I okazywali wdzięczność.

Poza tym stosował się do przyjętego systemu. Bukmacherzy w jego obwodzie wiedzieli, iż nigdy nie zrobi chryi, żeby dostać dodatkową opłatę, że zadowolą się swoją częścią dochodów posterunku. Jego nazwisko było na liście razem z innymi i nigdy nie próbował dorabiać sobie ekstra. Był przyzwoitym policjantem, który brał tylko czyste łapówki, i jego awansowanie w kolumnie policji przebiegało równomiernie, chociaż nie efektownie.

Jednocześnie wychowywał liczną rodzinę – czterech synów, z których żaden nie został policjantem. Wszyscy poszli na uniwersytet Fordham, a ponieważ w tym czasie Mark McCluskey awansował z sierżanta na porucznika i wreszcie na kapitana, nie brakowało im niczego. Wtedy to właśnie McClu-

skey zyskał sobie opinię twardego w interesach. Bukmacherzy z jego dzielnicy płacili za ochronę więcej niż bukmacherzy z którejkolwiek innej części miasta, ale być może przyczyną były wydatki związane z kształceniem czterech chłopców w college'u.

Sam McCluskey uważał, że nie ma nic złego w czystych łapówkach. Cjemu, u licha, jego chłopcy mieliby iść do college'u miejskiego czy jakiejś tańszej uczelni na Południu tylko dlatego, że komenda policji nie dawała swoim ludziom wystarczającej pensji, aby z niej wyżyć i przyzwoicie utrzymywać rodzinę? Wszystkich tych ludzi ochraniał własnym życiem i w jego aktach personalnych były pochwały za pojedynki rewolwerowe z bandytami w jego obwodzie, z silnorękami i niedoszłymi alfonsami. Wdeptał ich w ziemię. Swój zakątek miasta uczynił bezpiecznym dla zwykłych ludzi, i jasne jak słońce, że był uprawniony do czegoś więcej niż jedna marna stówa tygodniowo. Ale nie oburzał się na swoją niską płacę, rozumiał, że każdy musi sam dbać o siebie.

Bruno Tattaglia był jego starym znajomym. Bruno chodził do Fordham razem z jednym z jego synów, a potem otworzył nocny lokal i ilekroć rodzina McCluskeyów spędzała wieczór w mieście – co się nieczęsto zdarzało – mogła korzystać z kabaretu wraz z napojami i kolacją na koszt zakładu. Na sylwestra otrzymywali ozdobne zaproszenia jako goście kierownictwa i zawsze dostawali jeden z najlepszych stolików. Bruno dbał o to, żeby ich przedstawiono sławom występującym w jego lokalu, niekiedy słynnym śpiewaczkom i gwiazdom z Hollywood. Ma się rozumieć, czasami prosił o jakąś drobną uprzejmość, na przykład o zatrudnienie pracownicy, której akta wyczyszczono dla uzyskania zezwolenia na pracę w kabarecie, zazwyczaj ładnej dziewczyny, notowanej przez policję jako prostytutka czy narkomanka. McCluskey chętnie mu to załatwiał.

McCluskey przyjął zasadę, by nigdy nie pokazywać po sobie, że wie, jakie zamiary mają inni ludzie. Kiedy Sollozzo zwrócił się do niego z propozycją, żeby pozostawił starego Corleone bez ochrony w szpitalu, McCluskey nie pytał dlaczego. Zapytał o cenę. Kiedy Sollozzo powiedział dziesięć patyków, McCluskey zrozumiał. Nie zawahał się. Corleone był jednym z najwybitniejszych członków mafii w kraju, mającym większe stosunki polityczne, niż kiedykolwiek miał Al Capone. Ktokolwiek by go załatwił, wyświadczyłby krajowi wielką przysługę. McCluskey wziął pieniądze z góry i wykonał zadanie. Kiedy dostał telefon od Sollozza, że przed szpitalem są nadal dwaj ludzie

Corleone, wpadł we wściekłość. Zamknął przecież wszystkich ludzi Tessia, ściągnął pilnujących detektywów sprzed drzwi szpitalnego pokoju Corleone. I teraz, będąc człowiekiem z zasadami, musiałby zwrócić te dziesięć tysięcy, pieniądze, które już przeznaczył na wykształcenie swoich wnuków. I właśnie ogarnięty tą wściekłością pojechał do szpitala i uderzył Michaela Corleone.

Jednakże wszystko obróciło się na dobre. Spotkał się z Sollozzem w lokalu Tattagliów i zawarli jeszcze lepszy układ. I znowu McCluskey nie zadawał pytań, ponieważ znał wszystkie odpowiedzi. Po prostu upewnił się co do ceny. Nie przyszło mu do głowy, że sam mógłby znaleźć się w niebezpieczeństwie. To, żeby ktoś przez chwilę brał pod uwagę zabicie kapitana nowojorskiej policji, było nieprawdopodobne. Najtwardszy opryszek z mafii musiał stać nieruchomo, jeżeli najmarniejszy policjant miał ochotę go obić. Nie było absolutnie żadnych korzyści z zabijania policjantów. Bo wtedy natychmiast unicestwiano całą masę opryszków stawiających opór przy aresztowaniu albo usiłujących zbiec z miejsca przestępstwa, i kto, u licha, miał coś na to poradzić?

McCluskey westchnął i zaczął przygotowywać się do wyjścia z posterunku. Problemy, stale jakieś problemy. Siostra jego żony w Irlandii właśnie umarła po wielu latach walki z rakiem, a ten rak sporo go kosztował. Teraz pogrzeb będzie kosztował jeszcze więcej. Stryjowie i ciotki w starym kraju potrzebowali do czasu do czasu drobnej pomocy na prowadzenie swoich farm ziemniaczanych, i posyłał im na to pieniądze. Nie skąpił. Kiedy razem z żoną odwiedzał stary kraj, traktowano ich jak króla i królową. Może znów się wybiorą tego lata, teraz, kiedy wojna już się skończyła, i przy tych wszystkich pieniądzach, które napływały. McCluskey powiedział swojemu podkomendnemu, gdzie może go znaleźć w razie potrzeby. Nie uważał za konieczne stosować jakichkolwiek środków ostrożności. Zawsze mógł twierdzić, że Sollozzo jest informatorem, z którym się spotkał. Wyszedłszy z posterunku, minął kilka przecznic, po czym złapał taksówkę i pojechał do domu, w którym miał się spotkać z Sollozzem.

Tomowi Hagenowi przypadło w udziale przygotowanie wszystkiego do wyjazdu Michaela z kraju – fałszywego paszportu, karty żeglarskiej, koi na włoskim frachtowcu, który miał zawinąć do jednego z sycylijskich portów. Tego samego dnia wysłano samolotem emisariuszy na Sycylię, aby wspólnie

z przywódcą mafii przygotowali kryjówkę w górzystej okolicy.

Sonny załatwił samochód z absolutnie pewnym kierowcą, który miał czekać na Michaela, kiedy wyjdzie z restauracji, gdzie miało się odbyć spotkanie z Sollozzem. Kierowcą tym był sam Tessio, który zgłosił się na ochotnika. Wóz miał wyglądać na podniszczony, ale musiał mieć doskonały silnik. Miał mieć lipne numery i być nie do wytropienia. Chowano go na specjalną robotę, wymagającą czegoś najlepszego.

Michael spędził dzień z Clemenzą, ćwicząc się w strzelaniu z małego rewolweru, który miano mu dostarczyć. Był to kaliber .22 z pociskami o miękkim szpicu; robiły one małe otwory wlotowe, a zostawiały ohydnie ziejące dziury, wylatując z ciała ludzkiego. Stwierdził, że jest celny z odległości do pięciu kroków. Dalej kule mogły pójść nie wiadomo gdzie. Język spustowy był twardy, ale Clemenza pomajstrował jakimiś narzędziami, tak że ściągał się łatwiej. Postanowili nie używać tłumika. Nie chcieli, żeby jakiś niewinny widz zrozumiał nieopacznie sytuację i zainterweniował przez naiwną odwagę. Huk strzału odstraszyłby wszystkich od Michaela.

Podczas ćwiczeń Clemenza wciąż go pouczał:

– Rzuć broń, jak tylko skończysz. Po prostu opuść rękę wzdłuż boku i wypuść rewolwer. Nikt nie zauważy. Wszyscy będą myśleli, że dalej jesteś uzbrojony. Będą patrzyli na twoją twarz. Wyjdź z lokalu bardzo prędko, ale nie biegnij. Nie patrz nikomu prosto w oczy, ale i nie odwracaj wzroku. Pamiętaj, będą się ciebie bali, wierz mi, będą się bali. Nikt się nie wtrąci. Jak tylko wyjdiesz, zastaniesz Tessia czekającego w samochodzie. Wsiądź i zostaw mu resztę. Nie niepokój się przypadkami. Zdziwisz się, jak gładko idą takie sprawy. A teraz włóż ten kapelusz, to zobaczymy, jak wyglądasz.

Nasadził Michaelowi na głowę szary kapelusz. Michael, który nigdy nie nosił kapelusza, skrzywił się. Clemenza go uspokoił.

– To utrudnia rozpoznanie, na wszelki wypadek. Najczęściej daje świadkom wymówkę do zmiany identyfikacji, kiedy im rozjaśnimy w głowie. Pamiętaj, Mike, nie martw się odciskami palców. Kolba i język spustowy są oklejone specjalnym plastrem. Nie dotykaj żadnej innej części broni, o tym pamiętaj.

– Czy Sonny dowiedział się, gdzie Sollozzo mnie zabiera? – zapytał Michael.

Clemenza wzruszył ramionami.

– Jeszcze nie. Sollozzo jest bardzo ostrożny. Ale nie martw się, że może ci

zrobić krzywdę. Negocjator pozostaje w naszych rękach, dopóki nie wrócisz cało. Gdyby coś ci się przytrafiło, zapłaci negocjator.

– Dlaczego, u diabła, nadstawia karku? – spytał Michael.

– Dostaje kupę forsy – odrzekł Clemenza. – Małą fortunę. Poza tym jest ważnym człowiekiem dla Rodziny. Wie, że Sollozzo nie może dopuścić, aby coś mu się stało. Dla Sollozza twoje życie nie jest warte życia negocjatora. Bardzo proste. Będziesz na pewno bezpieczny. To my będziemy później mieli piekło.

– Bardzo źle będzie? – zapytał Michael.

– Bardzo – odrzekł Clemenza. – To oznacza generalną wojnę Rodziny Tattagliów z Rodziną Corleone. Większość przyłączy się do Tattagliów. Wydział sanitarny będzie zbierał mnóstwo trupów tej zimy. – Wzruszył ramionami. – Te rzeczy muszą się zdarzać mniej więcej raz na dziesięć lat. Przez to usuwa się złą krew. A poza tym, jeżeli pozwolimy zastraszyć się w drobiazgach, będą chcieli przejąć wszystko. Trzeba ich powstrzymać od razu na początku. Tak jak należało powstrzymać Hitlera w Monachium, a nie pozwolić, żeby mu się upiekło. Sami sobie narobili ciężkiego kłopotu, kiedy dopuścili, żeby mu to uszło na sucho.

Michael słyszał z ust ojca to samo jeszcze w 1939 roku, zanim wojna się zaczęła. Gdyby Rodziny kierowały Departamentem Stanu, nie byłoby nigdy drugiej wojny światowej – pomyślał z uśmiechem.

Pojechali z powrotem do domu dona, gdzie Sonny nadal miał swoją kwaterę główną. Michael zastanowił się, jak długo jeszcze Sonny zdoła usiedzieć zamknięty na bezpiecznym terenie ośrodka. W końcu będzie musiał zaryzykować wyjście. Sonny'ego zastali drzemiącego na kanapie. Na stole były resztki jego spóźnionego obiadu, kawałki befsztyka, okruchy chleba i na wpół opróżniona butelka whisky.

Zazwyczaj schludny gabinet ojca przybierał wygląd źle utrzymanego pokoju do wynajęcia. Michael obudził brata, potrząsając go za ramię i zapytał:

– Dlaczego nie przestaniesz żyć jak niechluj i nie każesz tutaj posprzątać? Sonny ziewnął.

– Co ty robisz, do cholery, inspekcję koszar? Mike, jeszcze nie mamy wiadomości, gdzie chcą cię zabrać te dranie, Sollozzo i McCluskey. Jeżeli się tego nie dowiemy, to jak, do diabła, podrzucimy ci broń?

– Nie mogę jej mieć przy sobie? Może mnie nie obszukają, a gdyby nawet, to może jej nie znajdą, jeżeli zrobimy to dostatecznie sprytnie. A nawet jak

znajdą, to co? Zabiorą mi ją i po krzyku.

Sonny potrząsnął głową.

– Nie. Musimy bez pudła dorwać tego drania Sollozza. Pamiętaj, rąbnij go najpierw, jeżeli tylko zdołasz. McCluskey jest powolniejszy i bardziej tępy. Powinieneś mieć dosyć czasu, żeby go zabić. Czy Clemenza ci mówił, żebyś na pewno rzucił rewolwer?

– Milion razy – odrzekł Mike.

Sonny wstał z kanapy i przeciągnął się.

– Jak twoja szczeka, chłopaku?

– Parszywie.

Lewa strona twarzy bolała go z wyjątkiem tych miejsc, które były drętwe, bo zdrutowane ze znieczuleniem. Wziął ze stołu butelkę whisky i łyknął wprost z niej. Ból zelżał. Sonny powiedział:

– Ostrożnie, Mike, teraz nie pora oteplić się wódką.

– Rany boskie, Sonny, przestań zgrywać ważnego brata – zniecierpliwiał się Michael. – Bywałem w walce z ostrzejszymi facetami niż Sollozzo i w gorszych warunkach. Gdzież on ma mózdzierze, do diabła? A osłonę lotniczą? Ciężką artylerię? Miny lądowe? Jest po prostu cwany draniem mającym za kompana policyjnego ważniaka. Jak ktoś się raz zdecyduje ich zabić, nie ma innego problemu. Najtrudniejsze jest się zdecydować. Nawet nie będą wiedzieli, co ich rąbnęło.

Do pokoju wszedł Tom Hagen. Powitał ich skinieniem głowy i ruszył prosto do fałszywie zarejestrowanego telefonu. Łączył się kilka razy, wreszcie potrząsnął głową do Sonny'ego.

– Ani słychu. Sollozzo zachowuje to przy sobie, jak długo może.

Telefon zadzwonił. Sonny odebrał go i podniósł dłoń, jak gdyby dając znak, by się uciszyli, chociaż nikt nic nie mówił. Zapisał coś na bloku papieru, potem powiedział:

– Okay, będzie tam – i odłożył słuchawkę. Roześmiał się.

– Ten drań, Sollozzo, to jest naprawdę ktoś. Umowa jest taka: dzisiaj o ósmej wieczorem on i kapitan McCluskey zabiorą Mike'a sprzed baru Jacka Dempseya na Broadwayu. Pojadą gdzieś na rozmowę i teraz uważajcie: Mike i Sollozzo będą rozmawiali po włosku, żeby ten irlandzki glina nie pokapował, o czym gadają. Sollozzo mi mówi, żeby się nie martwić, bo wie, że McCluskey nie zna ani słowa po włosku, najwyżej *soldi*, a ciebie sprawdził, Mike, i wie, że rozumiesz nawet dialekt sycylijski.

– Trochę mi zardzewiał, ale nie będziemy długo rozmawiali – powiedział sucho Mike.

– Nie pozwolimy Mike’owi iść, dopóki nie będziemy mieli negocjatora – rzekł Tom Hagen. – Czy to jest załatwione?

Clemenza kiwnął głową.

– Negocjator jest u mnie w domu i gra w karty z trzema moimi ludźmi. Czekają na telefon ode mnie, zanim go puszczą.

Sonny opadł na skórzany fotel.

– Jak, do cholery, dowiemy się, gdzie ma być to spotkanie? Tom, mamy wtyczki w rodzinie Tattagliów, dlaczego nie dali nam znać?

Hagen wzruszył ramionami.

– Sollozzo jest naprawdę diabelnie cwany. Nie daje nikomu zajrzeć w karty, tak dalece, że nie bierze żadnej obstawy. Uważa, że kapitan wystarczy i że zabezpieczenie jest ważniejsze od rewolwerów. I ma rację. Będziemy musieli dać kogoś, żeby filował za Mikiem, i liczyć, że wszystko dobrze pójdzie.

Sonny potrząsnął głową.

– Nie, każdy może takiego zgubić, jeżeli naprawdę zechce. To pierwsza rzecz, jaką sprawdzą.

Była już piąta po południu. Sonny powiedział z zatroskaną miną:

– A może powinniśmy po prostu kazać Mike’owi kropnąć tych, co będą w samochodzie, jak po niego podjadą?

Hagen potrząsnął głową.

– A jeżeli Sollozza nie będzie w samochodzie? Zdradzimy się niepotrzebnie. Do diabła, musimy się dowiedzieć, dokąd Sollozzo go zabiera.

– Może warto się zastanowić, dlaczego robi z tego taką tajemnicę? – wtrącił Clemenza.

– Bo ma w tym swój interes – powiedział niecierpliwie Michael. – Dlaczego ma pozwolić, żebyśmy się połapali, jeżeli może tego uniknąć? Poza tym węszy niebezpieczeństwo. Musi być cholernie podejrzliwy, nawet mając przy sobie tego kapitana.

Hagen strzelił palcami.

– Ten detektyw, ten Phillips. Może byś zadzwonił do niego, Sonny? A nuż potrafi się dowiedzieć, gdzie można znaleźć kapitana? Warto spróbować. McCluskeya guzik obchodzi, czy ktoś wie, dokąd jedzie.

Sonny podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Mówił coś cicho, potem się rozłączył.

– Oddzwoni do nas – powiedział.

Czekali jeszcze prawie trzydzieści minut, wreszcie telefon zadzwonił. Był to Phillips. Sonny zapisał coś na bloku i odłożył słuchawkę. Twarz miał napiętą.

– Chyba już mamy. Kapitan McCluskey zawsze musi zostawić wiadomość, gdzie można go znaleźć. Dzisiaj od ósmej do dziesiątej będzie w „Luna Azure” w Bronksie. Ktoś zna ten lokal?

– Ja znam – odezwał się Tessio. – Doskonały dla nas. Mała rodzinna knajpka z dużymi łozami, gdzie ludzie mogą pogadać na osobności. Dobre jedzenie. Każdy jest zajęty sobą. Idealne. – Pochylił się nad biurkiem Sonny’ego i ułożył plan lokalu z niedopałków papierosów. – Tutaj jest wejście, Mike. Jak skończysz, po prostu wyjdź, skręć w lewo, a potem za róg. Wypatrzę cię, zapalę reflektory i podłapię cię w locie. Gdybyś miał jakieś kłopoty, krzyknij, a ja spróbuję wejść i wyciągnąć cię. Clemenza, musisz działać szybko. Poślij tam kogoś, żeby podłożył rewolwer. Jest tam staroświecka toaleta z pustym miejscem między rezerwuarem a ścianą. Niech twój człowiek przyczepi za nim broń plastrem. Mike, jak cię już obmacają w wozie i przekonają się, że jesteś czysty, nie będą się zanadto przejmowali. W restauracji odczekaj chwilę, nim ich przeprosisz. Nie, jeszcze lepiej poproś o pozwolenie pójścia do ustępu. Z początku udawaj, że cię przypiliło całkiem naturalnie. Nie mogą się niczego domyślić. Ale jak wyjdiesz z powrotem, nie trać czasu. Nie siadaj przy stole, od razu grzej. I nie ryzykuj. Po dwa strzały do każdego i pryskaj, ile sił w nogach.

Sonny przysłuchiwał się temu uważnie.

– Chcę kogoś bardzo dobrego, bardzo pewnego do podłożenia tej broni – powiedział do Clemenzy. – Nie chcę, żeby mój brat wyszedł z tej toalety tylko ze swoim fiutem w ręce.

– Rewolwer tam będzie – zapewnił z naciskiem Clemenza.

– Okay – rzekł Sonny. – A teraz bujajcie się wszyscy.

Tessio i Clemenza wyszli. Tom Hagen zapytał:

– Sonny, czy mam zawieźć Mike’a do Nowego Jorku?

– Nie. Chcę cię tu mieć. Kiedy Mike skończy, zacnie się nasza robota i będę cię potrzebował. Załatwiłeś z tymi dziennikarzami?

Hagen kiwnął głową.

– Będę im podrzucał informacje, jak tylko to się rozejdzie.

Sonny podniósł się i stanął przed Michaeliem. Uścisnął mu dłoń.

– Okay, chłopcze. Zaczynasz. Wytłumaczę mamie, dlaczego nie zobaczyłeś się z nią przed odjazdem. A twojej dziewczynie prześlę wiadomość, jak uznam, że już pora. Dobrze?

– Dobrze – odrzekł Mike. – Jak myślisz, długo nie będę mógł wrócić?

– Co najmniej rok – powiedział Sonny.

– Don może potrafi działać szybciej, Mike – wtrącił Tom Hagen – ale nie licz na to. Element czasu wiąże się z wieloma czynnikami. Czy uda się nam podrzucać wiadomości dziennikarzom. Czy policja będzie chciała to zatuzować. Jak gwałtownie zareagują inne Rodziny. Będzie cholernie gorąco i cała masa kłopotów. Tego jednego możemy być pewni.

Michael uściskał dłoń Hagenowi.

– Postarajcie się, jak możecie. Nie chcę znowu siedzieć trzy lata poza domem.

– Jeszcze nie jest za późno, by się cofnąć, Mike – rzekł Hagen łagodnie. – Możemy znaleźć kogoś innego, jeszcze raz rozpatrzeć inne możliwości. Może nie trzeba koniecznie usuwać Sollozza.

Michael roześmiał się.

– Możemy wmówić sobie każdy punkt widzenia – odparł. – Ale za pierwszym razem obmyśliliśmy to dobrze. Do tej pory żyłem beztrosko i chyba pora, żebym spłacił dług.

– Nie powinieneś powodować się tą złamaną szczęką – powiedział Hagen. – McCluskey jest głupcem, a to był biznes, nie coś osobistego.

Po raz drugi ujrzał twarz Michaela Corleone tężejącą w maskę, która niesamowicie przypominała dona.

– Tom, nie daj się bujać nikomu. To wszystko jest osobiste, cały biznes od początku do końca. Każdy kawałek gówna, który każdy człowiek musi zjadać co dzień przez całe swoje życie, jest czymś osobistym. Nazywają to biznesem. Ale jest to osobiste jak cholera. Wiesz, od kogo się tego nauczyłem? Od dona. Mojego starego. Ojca Chrzestnego. Gdyby piorun strzelił w jego przyjaciela, ojciec wziąłby to osobiście. Moje wstąpienie do piechoty morskiej wziął osobiście. Dlatego właśnie jest wielki. Wielki don. Wszystko bierze osobiście. Jak Bóg. Wie o każdym piórku, które wypada wróblowi z ogona, i wie, gdzie ono zlatuje. No nie? I wiesz co? Wypadki nie zdarzają się ludziom, którzy je traktują jako osobistą zniewagę. No dobrze, przyszedłem do was późno, ale przychodzę na całego. Zupełnie słusznie biorę tę złamaną szczękę osobiście. Zupełnie słusznie biorę osobiście próbę zabicia ojca przez

Sollozza. – Roześmiał się. – Powiedz staremu, że tego wszystkiego nauczyłem się od niego i że się cieszę, mając sposobność odwzięczenia mu się za wszystko, co dla mnie zrobił. Był dobrym ojcem. – Przerwał, a potem powiedział w zadumie do Hageny: – Wiesz, nie pamiętam, żeby mnie kiedykolwiek uderzył. Czy Sonny’ego. Czy Freddiego. No i oczywiście Connie. Nawet na nią nie krzyczał. A powiedz mi prawdę, Tom, jak myślisz, ilu ludzi don zabił czy kazał zabić?

Tom Hagen odwrócił się.

– Powiem ci, jaka jest jedyna rzecz, której nie nauczyłeś się od niego: mówić tak, jak mówisz w tej chwili. Są rzeczy, które trzeba zrobić, i robi się je, ale nigdy o nich nie mówi. Nie próbuje się ich usprawiedliwić. Są nie do usprawiedliwienia. Po prostu się je robi. A potem o nich zapomina.

Michael Corleone zmarszczył brwi. Zapytał spokojnie:

– Czy jako *consigliori* zgadzasz się, że dla dona i naszej Rodziny jest niebezpieczne pozostawić Sollozza przy życiu?

– Tak – odpowiedział Hagen.

– Okay – rzekł Michael. – Więc muszę go zabić.

Michael Corleone stał przed restauracją Jacka Dempseya na Broadwayu i czekał na tych, którzy mieli po niego przyjechać. Spojrzał na zegarek. Była za pięć ósma. Sollozzo zjawi się punktualnie. Michael zadbał o to, żeby tu być przed czasem. Czekał już piętnaście minut.

Przez całą drogę z Long Beach do miasta usiłował zapomnieć o tym, co powiedział Hagenowi. Jeżeli bowiem wierzył w to, co mówił, to jego życie przybrało nieodwracalny kierunek. A jednak, czy mogło być inaczej po dzisiejszym wieczorze? Po dzisiejszym wieczorze mogę być trupem, jeżeli nie skończę ze wszystkimi tymi bzdurami – rozmyślał Michael ponuro. Musi skupić umysł na czekającym go zadaniu. Sollozzo nie jest naiwniakiem, a McCluskey to bardzo twardy gość. Poczul ból w zdrutowanej szczęce i ucieszył się, bo dzięki temu mógł zachować czujność.

Broadway nie był zbyt zatłoczony tego chłodnego zimowego wieczoru, mimo że zbliżała się pora rozpoczęcia przedstawień teatralnych. Michael cofnął się, kiedy do krawężnika podjechał długi, czarny samochód, a kierowca pochyliwszy się, otworzył przednie drzwi i powiedział:

– Wsiadaj, Mike.

Nie znał kierowcy, młodego chłystka z przylizanymi czarnymi włosami, w rozpiętej koszuli, ale wsiadł. Na tylnym siedzeniu ujrzał kapitana McClu-

skeya i Sollozza.

Sollozzo wyciągnął dłoń nad oparciem i Michael ją uściskał. Dłoń była krzepka, ciepła i sucha. Sollozzo powiedział:

– Cieszę się, że przyszedłeś, Mike. Mam nadzieję, że uda nam się całą rzecz wyprostować. To wszystko jest okropne, wcale nie chciałem, żeby tak się stało. Nie powinno było nigdy się zdarzyć.

Michael Corleone odrzekł spokojnie:

– Mam nadzieję, że uda nam się dzisiaj załatwić sprawę. Nie chcę, żeby mój ojciec był więcej niepokojony.

– Nie będzie – odparł szczerze Sollozzo. – Przysięgam ci na moje dzieci, że nie będzie. Tylko miej głowę otwartą, kiedy będziemy rozmawiać. Mam nadzieję, że nie jesteś takim narwańcem jak twój brat Sonny. Z nim niepodobna rozmawiać o interesach.

Kapitan McCluskey odchrząknął.

– Mike jest dobry chłopak, porządny. – Pochylił się i czule poklepał Michaela po ramieniu. – Przykro mi z powodu tamtego wieczoru, Mike. Robię się za stary na moją funkcję, za drażliwy.

Chyba będę musiał niedługo przejść na emeryturę. Nie mogę znieść przykrości, a cały dzień mam przykrości. Wiesz, jak to jest.

A potem, ze stroskanym westchnieniem, obmacał gruntownie Michaela w poszukiwaniu broni.

Michael dostrzegł lekki uśmiech na ustach kierowcy. Wóz jechał na zachód bez żadnych widomych prób wymknięcia się ewentualnym tropicielom. Dotarł do autostrady na West Side, to wjeżdżając w sznur pojazdów, to wymykając się z niego. Ktoś, kto by za nim jechał, musiałby robić to samo. A potem, ku przerażeniu Michaela, skręcił na zjazd z mostu Waszyngtona; jechali do New Jersey. Ktokolwiek dał Sonny’emu cynk, gdzie ma się odbyć spotkanie, poinformował go błędnie.

Wóz sunął dojazdem do mostu, a potem znalazł się na nim, pozostawiając w tyle gorejące miasto. Michael zachowywał obojętną minę. Czy chcą go wrzucić do bagna, czy też chytry Sollozzo w ostatniej chwili zmienił miejsce spotkania? Jednakże, kiedy już byli prawie po drugiej stronie, kierowca gwałtownie skręcił kierownicą. Ciężki samochód wyskoczył w powietrze, uderzając o barierkę dzielącą most wzdłuż i opadł na pasy prowadzące z powrotem do Nowego Jorku. McCluskey i Sollozzo oglądali się w tył, by sprawdzić, czy ktoś nie próbował tego samego. Kierowca walił z powrotem do Nowego

Jorku, a potem zjechali z mostu i ruszyli do wschodniego Bronksu. Wreszcie znaleźli się na bocznych ulicach, nie mając za sobą żadnych samochodów. Była już prawie dziewiąta. Upewnili się, że nikt im nie siedzi na ogonie. Sollozzo zapalił papierosa, poczęstowawszy najpierw McCluskeya i Michaela, którzy odmówili. Powiedział do kierowcy:

– Ładna robota. Będę o tym pamiętał.

Dziesięć minut później wóz zajechał pod restaurację w małej włoskiej dzielnicy. Na ulicy nie było nikogo, a z uwagi na spóźnioną porę tylko nieliczni goście siedzieli jeszcze przy kolacji. Michael niepokoił się, że kierowca wejdzie razem z nimi, ale pozostał na zewnątrz, w samochodzie. Negocjator nie wspomniał o kierowcy, nikt tego nie robił. Zasadniczo Sollozzo złamał umowę, zabierając go ze sobą. Michael postanowił jednak o tym nie wspominać, wiedząc, iż będą myśleli, że bałby się to poruszyć i zaprzepaścić szansę na powodzenie rozmowy.

Zasiedli we trzech przy jednym okrągłym stoliku, Sollozzo nie chciał bowiem siąść w łóży. W restauracji były jeszcze tylko dwie osoby. Michael zastanowił się, czy ci ludzie nie są podstawieni przez Sollozza. Ale to było obojętne. Zanimby zdołali interweniować, byłoby po wszystkim.

McCluskey zapytał ze szczerym zainteresowaniem:

– Czy włoskie potrawy są tutaj dobre?

– Spróbuj pan cielęciny. Najlepsza w Nowym Jorku – zapewnił go Sollozzo.

Samotny kelner przyniósł butelkę wina i odkorkował ją. Napełnił trzy kieliszki. Rzecz niespodziewana: McCluskey nie pił.

– Muszę być jedynym Irlandczykiem, który nie używa trunków – powiedział. – Widziałem za wielu porządnych ludzi, którzy popadli w kłopoty przez picie.

Sollozzo zwrócił się do kapitana tonem usprawiedliwienia:

– Będę rozmawiał z Mikiem po włosku, nie dlatego, żebym panu nie ufał, ale ponieważ nie umiem wysłować się jak należy po angielsku, a chcę go przekonać, że mam dobrą wolę i że będzie z korzyścią dla wszystkich, jeżeli dzisiaj dojdziemy do porozumienia. Niech pan się tym nie czuje obrażony, to nie dlatego, że panu nie ufam.

Kapitan McCluskey uśmiechnął się ironicznie do nich obu.

– Jasne, gadajcie sobie – powiedział. – Ja zajmę się moją cielęciną i spaghetti.

Sollozzo zaczął szybko mówić do Michaela w dialekcie sycylijskim.

– Musisz zrozumieć, że to, co zaszło między mną a twoim ojcem, jest ściśle sprawą interesu. Mam wielki szacunek dla dona Corleone i cieszyłbym się z możliwości wstąpienia na jego służbę. Ale musisz zrozumieć, że twój ojciec jest człowiekiem staroświeckim. Stoi na drodze do postępu. Interes, w którym kręcę, ma perspektywy, ma przyszłość, każdy może na nim zarobić niebywałe miliony dolarów. Ale twój ojciec stoi temu na przeszkodzie ze względu na pewne bzdurne skrupuły. Przez to narzuca swoją wolę takim ludziom jak ja. Tak, tak, wiem, mówi mi: „Proszę bardzo, to pański interes”, ale obaj wiemy, że to jest nierealne. Musimy nadeptywać sobie nawzajem na odciski. W gruncie rzeczy mówi mi, że nie mogę prowadzić swojego interesu. Jestem człowiekiem, który siebie szanuje, i nie mogę pozwolić, żeby ktoś inny narzucał mi swoją wolę, i dlatego stało się to, co musiało się stać. Muszę powiedzieć, że miałem poparcie, milczące poparcie wszystkich Rodzin nowojorskich. A Rodzina Tattagliów zawarła ze mną spółkę. Jeżeli ta kłótnia będzie dalej trwała, Rodzina Corleone stanie sama jedna przeciwko wszystkim. Może gdyby twój ojciec był zdrów, byłoby to możliwe. Ale bez żadnej obrazy, najstarszy syn nie jest takim człowiekiem jak Ojciec Chrzestny. A ten irlandzki *consigliori*, Hagen, nie jest taki, jaki był Genco Abbandando, Panie świeć nad jego duszą. Dlatego proponuję pokój, rozejm. Zaprzeszamy wszelkich wrogich działań, dopóki twój ojciec nie wydobrzeje, aby móc wziąć udział w tych układach. Rodzina Tattagliów, po moich perswazjach i zabezpieczeniach, zgodziła się nie dochodzić sprawiedliwości za swego syna, Bruna. Będziemy mieli pokój. Tymczasem muszę zarabiać na życie i trochę pohandlować w mojej branży. Nie proszę o waszą współpracę, ale proszę was, Rodzinę Corleone, żebyście nie przeszkadzali. Takie są moje propozycje. Przypuszczam, że masz upoważnienie do wyrażenia zgody, do zawarcia układu.

Michael odpowiedział po sycylijsku:

– Proszę mi jeszcze wyjaśnić, jak pan ma zamiar rozpocząć interes, jaką dokładnie rolę ma w tym odegrać moja Rodzina i jakie możemy mieć z tego zyski.

– Więc chcesz usłyszeć całą propozycję ze szczegółami? – zapytał Sollozzo.

Michael odparł z powagą:

– Najważniejsze, że muszę mieć murowaną gwarancję, że nie będzie wię-

cej zamachów na życie mojego ojca.

Sollozzo wymownie podniósł dłoń.

– Jakąż mogę ci dać gwarancję? To ja jestem ten ścigany. Zmarnowałem szansę. Za wysoko mnie oceniasz, przyjacielu. Nie jestem taki sprytny.

Michael był teraz pewien, że ta rozmowa miała na celu tylko zyskanie paru dni czasu. Że Sollozzo znów popróbuje zabić dona. Piękne było to, że Turek go nie doceniał, uważając za smarkacza. Michael poczuł ów dziwny, rozkoszny chłód wypełniający ciało. Przybrał udręczony wyraz twarzy. Sollozzo zapytał ostro:

– Co się stało?

Michael odpowiedział z zakłopotaną miną:

– Wino poszło mi do pęcherza. Wstrzymywałem się. Czy teraz mógłbym pójść do ustępu?

Sollozzo bacznie wpatrywał się w jego twarz ciemnymi oczyma. Sięgnął ręką i brutalnie wepchnął dłoń w krocze Michaela, szukając broni. Michael zrobił urażoną minę. McCluskey rzekł krótko:

– Obszukałem go. Obszukiwałem tysiące młodych pętek. Czysty jest.

Sollozzowi to się nie podobało. Z jakiejś przyczyny nie podobało mu się wcale. Zerknął na mężczyznę siedzącego przy stoliku naprzeciw i ruchem brwi wskazał wejście do toalety. Mężczyzna lekkim skinieniem głowy dał znak, że ją sprawdził i że nikogo tam nie ma. Sollozzo powiedział niechętnie:

– Nie siedź za długo. – Miał wspaniałą intuicję, był podenerwowany.

Michael wstał i poszedł do ubikacji. W pisuarze był kawałek różowego mydła umieszczony w drucianej siatce. Michael wszedł do kabiny. Naprawdę musiał pójść, żołądek miał rozluźniony. Załatwił się szybko, po czym sięgnął za emaliowany rezerwuar, aż jego dłoń dotknęła małego, tęponosego rewolweru przymocowanego plastrem. Oderwał go, pamiętając, iż Clemenza mówił, aby nie martwić się, czy na plastrze nie pozostaną odciski palców. Zatkanął rewolwer za pasek i zapiął marynarkę. Umył ręce i zwilżył sobie włosy. Starł z kranu chustką odciski swych palców. A potem wyszedł z toalety.

Sollozzo siedział na wprost drzwi, jego ciemne oczy płonęły czujnością. Mike uśmiechnął się.

– Teraz mogę rozmawiać – oznajmił z westchnieniem ulgi.

Kapitan McCluskey jadł cielecinę ze spaghetti, które mu właśnie przyniesiono. Mężczyzna pod przeciwległą ścianą, dotąd baczny i napięty, teraz wyraźnie się odprężył.

Michael usiadł na powrót. Pamiętał, iż Clemenza przykazał mu, żeby tego nie robić, tylko wyjść z toalety i grzać. Ale czy to przez jakiś ostrzegawczy instynkt, czy po prostu ze strachu, nie postąpił tak. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli zrobi jeden szybki ruch, zostanie zaskoczony. Teraz czuł się bezpieczny. A widocznie musiał się bać, bo rad był, że już nie stoi na nogach. Osłabły mu z drzenia.

Sollozzo pochylił się ku niemu. Michael, mając brzuch zasłonięty stołem, rozpiął marynarkę i słuchał uważnie. Nie rozumiał ani słowa z tego, co tamten mówił. Był to dla niego zupełny bełkot. Jego mózg tak wypełniała pulsująca krew, że ani jedno słowo do niego nie docierało. Pod stołem prawa ręka Mike'a przesunęła się do zatkniętego za pasek rewolweru i wydobyla go. W tej chwili podszedł kelner, by przyjąć zamówienie, i Sollozzo obrócił głowę, by z nim pomówić. Michael lewą ręką odepchnął stół od siebie, a prawą nieomal przytknął rewolwer do głowy Sollozza. Koordynacja tego człowieka była tak świetna, że już się zaczął uchylać, widząc ruch Michaela. Ale Michael, młodszy od niego, z lepszym refleksem, nacisnął spust. Pocisk trafił Sollozza prosto pomiędzy oko i ucho, a wylatując po drugiej stronie wywalił ogromną pecynę krwi i kawałków czaszki na kurtkę skamieniałego kelnera. Michael instynktownie wiedział, że jedna kula wystarczyła. Sollozzo w ostatnim momencie obrócił głowę i Michael dojrzał światło życia gasnące w jego oczach równie wyraźnie, jak gaśnie świeca.

Minęła zaledwie sekunda, gdy Michael okręcił się, by skierować broń na McCluskeya. Kapitan policji wpatrywał się w Sollozza z flegmatycznym zdumieniem, tak jakby go to nie dotyczyło. Nie zdawał się świadomy własnego zagrożenia. Widelec z kawałkiem cielęciny znieruchomiał w jego ręku, oczy zaś obracały się na Michaela. A wyraz jego twarzy, jego oczu, był pełen tak ufego oburzenia – jak gdyby spodziewał się, że Michael teraz podda się albo ucieknie – iż Michael uśmiechnął się do niego, naciskając spust. Ten strzał był niedobry, nie był śmiertelny. Trafił McCluskeya w jego grubą, byczą krtań, i kapitan zaczął się głośno dławić, tak jakby połknął za duży kęs cielęciny. A potem powietrze wypełniła drobna mgiełka rozpylonej krwi, kiedy ją wykastywał z rozbitych płuc. Bardzo chłodno, bardzo rozważnie, Michael wymierzył następny strzał w wierzch jego siwej głowy.

Powietrze zdawało się być wypełnione różowym oparem. Michael obrócił się szybko ku siedzącemu pod ścianą mężczyźnie. Człowiek ten nie uczynił żadnego ruchu. Zdawał się być sparalizowany. Teraz ostrożnie położył dłonie

na blacie stołu i odwrócił wzrok. Kelner zatoczył się w stronę kuchni z wyrazem zgrozy na twarzy, wpatrując się z niedowierzaniem w Michaela. Sollozzo pozostał na krześle, oparty bokiem o stół, McCluskey, którego ściągał w dół ciężar jego ciała, zwałił się z krzesła na podłogę. Michael wypuścił z ręki rewolwer, tak że odbił się od jego nogi i upadł bez hałasu. Widział, że ani mężczyzna pod ścianą, ani kelner nie zauważyli, że go upuszcza. Przeszedł kilka kroków do drzwi i otworzył je. Samochód Sollozza stał nadal przy krawężniku, ale kierowcy nie było nigdzie widać. Michael skręcił w lewo, a potem za róg. Zabłyły reflektory i podniszczona limuzyna podjechała do niego z otwartymi drzwiami. Wskoczył do środka i wóz wyrwał naprzód. Michael widział, że przy kierownicy siedzi Tessio, jego szczupła twarz była twarda, jakby wykuta z marmuru.

– Posunąłeś Sollozza? – zapytał Tessio.

Na chwilę uderzył Michaela ten zwrot użyty przez Tessia. Zawsze stosowano go w sensie seksualnym: posuwać kobietę, znaczyło uwieść ją. Ciekawe, że Tessio nim się teraz posłużył.

– Obydwu – powiedział Michael.

– Na pewno? – zapytał Tessio.

– Widziałem ich mózgi – odparł Michael.

W samochodzie była zmiana ubrania dla Michaela. Dwadzieścia minut później znajdował się już na włoskim frachtowcu odpływającym na Sycylię, a dwie godziny potem frachtowiec wyruszył na morze i Michael widział ze swej kabiny światła Nowego Jorku płonące jak piekielne ognie. Doznał uczucia ogromnej ulgi. Był teraz poza tym wszystkim. Uczucie to było znajome i przypomniał sobie, jak go zabierali z plaży wyspy, na którą wtargnęła jego dywizja piechoty morskiej. Bitwa wciąż trwała, ale on został lekko ranny i przewożono go na okręt szpitalny. Wtedy czuł tę samą przemożną ulgę co teraz. Miało się rozpętać piekło, ale jego już tam nie było.

Nazajutrz po zamordowaniu Sollozza i kapitana McCluskeya kapitanowie i porucznicy ze wszystkich posterunków policji w Nowym Jorku rozesłali polecenie: nie ma być więcej żadnego hazardu, żadnej prostytutki, żadnych kombinacji jakiegokolwiek rodzaju, dopóki morderca kapitana McCluskeya nie zostanie ujęty. W całym mieście rozpoczęły się masowe obławy. Wszelkie nielegalne interesy ustały.

Później tegoż dnia emisariusze Rodzin zwrócili się do Rodziny Corleone zapytaniem, czy jest gotowa wydać mordercę. Odpowiedziano im, że to nie ich sprawa. Tego wieczoru na placyku ośrodka Corleone na Long Beach wybuchła bomba rzucona z samochodu, który podjechał do łańcucha, a potem umknął. Również tego wieczoru dwaj cyngle Rodziny Corleone zostali zabici, kiedy spokojnie jedli kolację w małej włoskiej restauracji w Greenwich Village. Rozpętała się wojna Pięciu Rodzin z 1946 roku.

Księga 2

Rozdział 12

Johnny Fontane odprawił służącego niedbałym ruchem ręki, mówiąc:

– Do jutra, Billy.

Czarny lokaj, skłoniwszy się, wyszedł z ogromnego salonu-jadalni z widokiem na Pacyfik. Był to ukłon przyjacielski, nie ukłon lokaja, a złożony tylko dlatego, że Johnny Fontane miał gościa na kolacji.

Tym gościem była Sharon Moore, dziewczyna z nowojorskiego Greenwich Village, która przyjechała do Hollywood na próbne zdjęcia do małej rólki w filmie produkowanym przez jej dawnego kochanka, który zrobił karierę. Odwiedziła studio, kiedy Johnny grał w filmie Woltza. Johnny przekonał się, że jest młoda, świeża, urocza i dowcipna, i zaprosił ją do siebie na kolację tego wieczoru. Jego zaproszenia na kolację były już sławne i miały wagę mornarszą, więc oczywiście powiedziała: tak.

Sharon Moore, z uwagi na jego reputację, najwyraźniej spodziewała się, że Johnny weźmie się ostro do rzeczy, ale on nie cierpiał hollywoodzkiego podejścia typu „kawalek ciała”. Nigdy nie sypiał z dziewczyną, jeżeli nie miała w sobie czegoś, co mu się naprawdę podobało. Oczywiście z wyjątkiem momentów, kiedy był bardzo pijany i raptem znajdował się w łóżku z dziewczyną, o której nawet nie pamiętał, czy ją poznał lub widział przedtem. A teraz, w wieku trzydziestu pięciu lat, raz rozwiedziony i w separacji z drugą żoną, i mając z tysiąc łonowych skalpów dyndających u pasa, po prostu nie był już taki ochoczy. Jednakże coś w Sharon Moore wzbudzało jego sympatię, toteż zaprosił ją na kolację.

Nigdy nie jadł dużo, ale wiedział, że młode, ładne dziewczyny głodzą się ambitnie, dla ładnych strojów i zazwyczaj na randce mają ogromny apetyt, toteż na stole było w bród jedzenia. Było także dużo trunków: szampan w wiaderku, żytnia whisky, koniak i likiery na bocznym stoliku. Johnny po-

dawał drinki i półmiski z już przygotowanymi potrawami. Kiedy skończyli jeść, zaprowadził ją do ogromnego salonu ze szklaną ścianą wychodzącą na Pacyfik. Nałożył na hi-fi stos płyt Elli Fitzgerald i zasiadł z Sharon na sofie. Prowadził z nią towarzyską rozmowę, dowiedział się, jaka była w dzieciństwie, czy była naiwnym podlotkiem, czy też szalała za chłopakami, czy była pospolita, czy ładna, smętna czy wesoła. Szczegóły te zawsze go wzruszały, budziły czułość, której potrzebował dla uprawiania miłości.

Usadowili się razem na sofie bardzo wygodnie, bardzo wygodnie. Pocałował ją w usta, pocałunek był chłodny, przyjazny, a ponieważ na tym poprzestała, więc i on na tym poprzestał. Za olbrzymim oknem widział szafirową połąć Pacyfiku, rozpostartą płasko w świetle księżyca.

– Dlaczego nie nastawisz jakichś swoich płyt? – spytała Sharon. Jej ton był zaczepny. Johnny uśmiechnął się do niej. Bawiło go to, że się z nim przekomarza.

– Nie jestem aż taki hollywoodzki.

– Nastaw mi którąś. Albo zaśpiewaj. Wiesz, tak jak w filmach. Zacznę cała mięknać i rozplynę się przy tobie jak te dziewczyny na ekranie.

Johnny roześmiał się szczerze. Kiedy był młodszy, robił takie rzeczy i wynik zawsze był teatralny, dziewczyny starały się wyglądać seksownie i omdlewająco, oczy miały zamglone pożądaniem przeznaczonym dla nieistniejącej, wyimaginowanej kamery. Teraz nie śniłoby mu się śpiewać dla jakiejś dziewczyny; po pierwsze, nie śpiewał od miesięcy, nie ufał swojemu głosowi. Po drugie, amatorzy nie zdawali sobie sprawy, jak bardzo zawodowcy są uzależnieni od pomocy technicznej, jeżeli chodzi o dobre brzmienie ich śpiewu. Mógł wprawdzie nastawić swoje płyty, ale słysząc własny młodzieńczy głos, czuł się tak samo skrępowany jak podstarzały, łysiejący i tyjący mężczyzna, który pokazuje swoje zdjęcia jako młodzieńca w całym rozkwicie męskości.

– Mój głos jest w złej formie. I naprawdę mam dość słuchania własnego śpiewu.

Oboje popijali drinki.

– Słyszałam, że jesteś świetny w tym filmie – powiedziała. – Czy to prawda, że go zrobiłeś za darmo?

– Tylko za symboliczną zapłatę – odrzekł Johnny.

Wstał, żeby jej dolać koniaku, poczęstował ją papierosem ze złotym monogramem i błysnął zapalniczką, podając ognia. Zaciągnęła się papierosem, na-

piła się, on zaś znów usiadł przy niej. W jego kieliszku było znacznie więcej koniaku niż w jej, potrzebował go, by się rozgrzać, rozochocić, podkreślić. Jego sytuacja była odwrotna niż zazwyczaj sytuacja kochanka. To on musiał się upić, a nie dziewczyna. Dziewczyny zwykle były aż nazbyt chętne, kiedy on nie był. Ostatnie dwa lata były piekłem dla jego samopoczucia i stosował ten prosty środek, by je poprawić – przesypiał się raz jeden z młodą, świeżą dziewczyną, parę razy zabierał ją na kolację, dawał kosztowny prezent, potem zaś spławiał możliwie najmilej, żeby nie ranić jej uczuć. A później mogła zawsze mówić, że miała romans z wielkim Johnnym Fontane. Nie była to prawdziwa miłość, ale nie mógł tego odrzucić, jeżeli dziewczyna była piękna i naprawdę miła. Nie cierpiał tych twardych, dziwkowatych, które obłapiały się z nim, a potem leciały opowiedzieć przyjaciółkom, że spały ze słynnym Johnnym Fontane, zawsze dodając, że miewały lepszych. Najbardziej zdumiewali go w jego karierze pobłażliwi mężowie, którzy bez mała mówili mu w oczy, że wybaczą swym żonom, ponieważ nawet najcnotliwszej matronie wolno dopuścić się niewierności z takim wielkim piosenkarzem i gwiazdorem filmowym jak Johnny Fontane. To go naprawdę zatykało.

Uwielbiał płyty Elli Fitzgerald. Uwielbiał ten rodzaj czystego śpiewania, czystego frazowania. Była to jedyna rzecz w jego życiu, na której się naprawdę rozumiał, i wiedział, że zna się na tym lepiej niż ktokolwiek inny na świecie. Teraz, rozparty na sofie, czując, jak koniak rozgrzewa mu gardło, zapragnął zaśpiewać, nie jakąś piosenkę, tylko frazować pod melodię płyt, ale nie mógł tego zrobić przy kimś obcym. Wolną dłoń położył na kolanach Sharon, w drugiej trzymał kieliszek, z którego pociągał. Bez żadnej przebiegłości, ze zmysłowością dziecka poszukującego ciepła, jego dłoń spoczywająca na kolanach Sharon podciągnęła jedwab sukienki, odsłaniając mlecznobiałe udo powyżej złocistej siateczki pończoch, i tak jak zawsze, pomimo wszystkich kobiet, wszystkich lat, wszystkich poufałości, Johnny poczuł płynne, lepkie ciepło oblewające mu ciało na ten widok. Cud następował nadal, ale co by uczynił, gdyby go to zawiodło tak jak głos?

Teraz był gotowy. Postawił kieliszek na długim, inkrustowanym stoliku koktajlowym i obrócił się do niej. Był bardzo pewny, bardzo spokojny, a jednak czuły. W jego pieścizotach nie było nic podstępnego czy lubieżnego. Pocałował ją w usta, zarazem sięgając dłońmi do jej piersi. Potem jego ręka osunęła się na ciepłe uda, tak jedwabiste w dotyku. Wzajemny pocałunek Sharon był ciepły, lecz nie namiętny, i Johnny teraz to wolał. Nie znosił

dziewczyn, które podkreślały się raptem, jakby ich ciała były motorami galvanizowanymi w erotyczną pulsację przez dotknięcie owłosionego przełącznika.

A potem zrobił coś, co robił zawsze, coś, co jeszcze nigdy go nie zawiodło i zawsze zdołało podniecić. Delikatnie, najlżej jak można było to uczynić zarazem coś czując, wsunął czubek środkowego palca głęboko między jej uda. Niektóre dziewczyny nawet nie czuły tego wstępnego przygotowania do miłości. Inne były speszone, niepewne, czy nastąpiło fizyczne dotknięcie, bo zawsze jednocześnie całował je głęboko w usta. Jeszcze inne niejako wsysały czy połykały jego palec wypchnięciem bioder. A oczywiście, zanim stał się sławny, niektóre dziewczyny uderzały go w twarz. Była to cała jego technika i zazwyczaj służyła mu wcale nieźle.

Reakcja Sharon była niezwykła. Przyjęła to wszystko, dotknięcie, pocałunek, a potem oderwała usta od jego ust, odsunęła się nieco na sofie i wzięła ze stolika kieliszek. Była to chłodna, ale ostateczna odmowa. Czasami to się zdarzało. Rzadko, ale się zdarzało. Johnny wziął swój kieliszek i zapalił papierosa.

Sharon mówiła bardzo słodko, bardzo delikatnie:

– To nie dlatego, żebyś mi się nie podobał, Johnny. Jesteś o wiele miłszy niż myślałam. I nie dlatego, że nie jestem tego rodzaju dziewczyną. Po prostu muszę się rozkręcić, żeby to z kimś robić, rozumiesz, o co mi chodzi?

Johnny Fontane uśmiechnął się do niej. Nadal mu się podobała.

– A ja cię nie rozkręcam?

Była trochę zakłopotana.

– No wiesz, kiedy śpiewałaś tak wspaniale i w ogóle, ja byłam jeszcze smarkata. Po prostu rozminęłam się z tobą, należałam do następnego pokolenia. Naprawdę, to nie dlatego, że jestem jakaś świętoszka. Gdybyś był gwiazdorem filmowym, na którym się wychowałam, zrzuciłabym majtki w sekundę.

Teraz nie podobała mu się już tak bardzo. Była słodka, była dowcipna, była inteligentna. Nie wyłaziła ze skóry, żeby się z nim położyć, ani nie próbowała go uwieść dlatego, że jego stosunki mogły jej się przydać w przemyśle rozrywkowym. Była naprawdę równą dziewczyną. Ale rozpoznał też coś innego. Zdarzało się to już parę razy. Dziewczyna, która przychodzi na randkę całkowicie zdecydowana nie kłaść się z nim do łóżka, bez względu na to, jak bardzo jej się podoba, tylko dlatego, by móc powiedzieć przyjaciółkom,

a co więcej samej sobie, że odrzuciła sposobność przespania się z wielkim Johnnym Fontane. Było to coś, co rozumiał teraz, będąc starszy, i nie gniewał się wcale. Po prostu nie podobała mu się już tak bardzo, a przedtem podobała mu się naprawdę ogromnie.

A ponieważ już mu się tak nie podobała, odprężył się bardziej. Pociągnął trunek i spoglądał na ocean.

– Mam nadzieję, że się nie gniewasz, Johnny. Pewnie jestem staroświecka, pewnie w Hollywood dziewczyna powinna oddawać się z taką samą łatwością, jak gdyby całowała swojego chłopca na dobranoc. Po prostu nie byłam tu jeszcze dostatecznie długo – powiedziała.

Johnny uśmiechnął się do niej i poklepał ją po policzku. Jego dłoń opuściła się i dyskretnie naciągnęła sukienkę na jej krągłe, jedwabiste kolana.

– Nie gniewam się. Miło jest mieć staroświecką randkę.

Nie mówił, co czuł: ulgę, że nie musi wykazywać się jako wspianały kochanek, nie musi sprostać swojemu boskiemu obrazowi z ekranu. Że nie musi słuchać dziewczyny usiłującej reagować tak, jakby naprawdę mu sprostał, robiącej z bardzo zwykłej, powszedniej obłapki coś więcej niż jest naprawdę.

Napili się jeszcze, wymienili parę głodnych pocałunków, po czym Sharon postanowiła już iść. Johnny zapytał uprzejmie:

– Czy mogę zaprosić cię na kolację któregoś wieczoru?

Rozegrała to szczerze i uczciwie do końca.

– Wiem, że nie masz ochoty marnować czasu, a potem się zawieść. Dziękuję za cudowny wieczór. Kiedyś opowiem moim dzieciom, że jadłam kolację sam na sam z wielkim Johnnym Fontane w jego mieszkaniu.

Uśmiechnął się do niej.

– I że nie uległaś – dodał. Roześmiali się oboje.

– Nigdy w to nie uwierzą – odrzekła. Na to Johnny, trochę sztucznie, powiedział:

– Dam ci to na piśmie, chcesz? – Pokręciła głową. On mówił dalej: – Jakby ktoś wątpił, zadzwoń do mnie, to zaświadczę. Opowiem, jak cię goniłem po całym mieszkaniu, a jednak zachowałaś swą cześć. Okay?

W końcu postąpił trochę za okrutnie, i zaskoczył go wyraz rozżalenia na jej młodej twarzy. Zrozumiała, iż mówił jej w ten sposób, że nie próbował zbyt usilnie. Odebrał jej słodycz zwycięstwa. Teraz będzie myślała, że to brak uroku czy powabu uczynił ją tego wieczoru zwyciężczynią. A ponieważ była taka, a nie inna, musiałyby, opowiadając, jak się oparła wielkiemu John-

ny'emu Fontane, dodawać zawsze z kwaśnym uśmieszkiem: „Oczywiście nie próbował zbyt usilnie”. Więc ulitowawszy się nad nią, dorzucił:

– Jeżeli kiedykolwiek poczujesz się naprawdę przybita, zadzwoń do mnie, dobrze? Nie muszę sypiać z każdą dziewczyną, którą znam.

– Dobrze – odpowiedziała i wyszła.

Miał teraz przed sobą długi wieczór. Mógł skorzystać z tego, co Jack Woltz nazywał „fabryką ciała” – ze stajni chętnych starletek – ale pragnął jakiegoś ludzkiego towarzystwa. Chciał porozmawiać jak człowiek. Pomyślał o swojej pierwszej żonie, Virginii. Teraz, kiedy skończyła się praca nad filmem, miałyby więcej czasu dla dzieciaków. Chciał znowu się stać częścią ich życia. I martwił się też o Virginie. Nie miała odpowiedniego przygotowania, aby poradzić sobie z hollywoodzkimi cwaniakami, którzy mogli się do niej dobierać, ażeby się potem przechwalać, że posuwali pierwszą żonę Johnny'ego Fontane. O ile mu było wiadomo, nikt jeszcze nie mógł tego powiedzieć. Każdy mógł powiedzieć to o mojej drugiej żonie – pomyślał kwaśno. Podniósł słuchawkę telefonu.

Od razu poznał jej głos i nie było w tym nic dziwnego. Usłyszał go po raz pierwszy, kiedy miał dziesięć lat i oboje chodzili do czwartej b.

– Cześć, Ginny. Nie jesteś zajęta dziś wieczorem? Mógłbym wpaść na chwilę?

– Proszę bardzo – odrzekła. – Ale dzieci już śpią. Nie chcę ich budzić.

– Nie szkodzi. Chciałem pomówić z tobą.

Jej głos zawahał się lekko, potem go starannie opanowała, żeby nie ujawnić niepokoju, i zapytała:

– Czy to coś poważnego, coś istotnego?

– Nie – odrzekł Johnny. – Skończyłem dzisiaj film i pomyślałem sobie, że może mógłbym się z tobą po prostu zobaczyć i pogadać. Może też mógłbym rzucić okiem na dzieci, jeżeli jesteś pewna, że się nie pobudzą.

– Dobrze – zgodziła się. – Cieszę się, że dostałeś tę rolę, którą chciałeś.

– Dziękuję. Będę u ciebie za jakieś pół godziny.

Kiedy Johnny Fontane dojechał na miejsce, gdzie niegdyś mieszkał w Beverly Hills, posiedział jeszcze chwilę w samochodzie, przypatrując się domowi. Przypomniawszy sobie, co mówił jego ojciec chrzestny – może zrobić ze swego życia to, co zechce. Wielka szansa, jeżeli ktoś wie, czego chce. Ale czego on chciał?

Jego pierwsza żona czekała nań u drzwi. Była ładną, drobną brunetką, miłą

włoską dziewczyną, taką swojską dziewczyną, która nigdy nie rozrabiałaby z innym mężczyzną, i to było dla niego ważne. Zadał sobie pytanie, czy nadal jej pragnie, i odpowiedź brzmiała: nie. Po pierwsze, nie mógł już iść z nią do łóżka, ich przywiązanie zanadto się zestarzało. A były też pewne rzeczy niemające nic wspólnego z seksem, których nie mogła mu nigdy wybaczyć. Ale nie byli już wrogami.

Zrobiła mu kawę i podała domowe ciastka w saloniku.

– Wyciągnij się na kanapie – zaprosiła go. – Wyglądasz na zmęczonego.

Zdjął marynarkę i buty i rozluźnił krawat, a ona usiadła na krześle naprzeciw niego, z poważnym, lekkim uśmiechem na twarzy.

– Zabawne – powiedziała.

– Co jest zabawne? – zapytał, popijając kawę i rozlewając sobie trochę na koszulę.

– Wielki Johnny Fontane na lodzie, bez dziewczyny.

– Wielki Johnny Fontane ma szczęście, jeżeli mu się jeszcze podniesie – odparł.

Taka bezpośredniość była u niego niezwykła. Ginny zapytała:

– Czy coś naprawdę się stało?

Johnny wyszczerzył do niej zęby.

– Miałem randkę z dziewczyną w moim mieszkaniu i odrzuciła mnie. I wiesz, przyjąłem to z ulgą.

Ku swemu zaskoczeniu zauważył, że po twarzy Ginny przemknął gniew.

– Nie przejmuj się tymi kociakami – powiedziała. – Widocznie uważała, że to jest najlepszy sposób, żebyś się nią zainteresował.

I Johnny uświadomił sobie z rozbawieniem, że Ginny jest wręcz zła na dziewczynę, która go odtrąciła.

– A tam, do diabła! – zawołał. – Mam dosyć tych rzeczy. Kiedyś muszę dorosnąć. Teraz, gdy nie mogę już śpiewać, będzie mi pewnie ciężko szło z babkami. Wiesz, że nigdy nie działałem swoją urodą.

– Zawsze byłeś przystojniejszy w naturze niż na zdjęciach – zapewniła lojalnie. Johnny potrząsnął głową.

– Zaczynam tyć i łysieję. Do diabła, jeżeli ten film nie wyniesie mnie znowu w górę, chyba będę musiał nauczyć się wypiekać pizze. Albo może ciebie wsadzimy do filmu, wyglądasz wspaniale.

Wyglądała na trzydzieści pięć lat. Powabne trzydzieści pięć, ale trzydzieści pięć. A tutaj, w Hollywood, równało się to setce. Młode, piękne dziewczyny

mrowiły się po mieście jak lemingi, ostając się rok, czasem dwa. Niektóre były tak śliczne, że na ich widok serce mężczyzny nieomal zamierało, dopóki nie otworzyły ust, dopóki zachłanna nadzieja na sukces nie zaćmiła piękności ich oczu. Zwykle kobiety nigdy nie mogły współzawodniczyć z nimi na płaszczyźnie fizycznej. I można było mówić, ile kto chciał, na temat czaru, inteligencji, szyku czy postawy – sama uroda tych dziewczyn przeważała nad wszystkim innym. Może gdyby nie było ich tak wiele, zwykła, przystojna kobieta miałaby jakąś szansę. A ponieważ Johnny Fontane mógł mieć je wszystkie czy prawie wszystkie, Ginny wiedziała, że mówi to jedynie, by jej pochlebić. Zawsze był miły pod tym względem. Zawsze był uprzejmy dla kobiet, nawet u szczytu swej sławy, prawił im komplementy, podawał ognia, otwierał drzwi. Ponieważ zaś to wszystko zazwyczaj robiono dla niego, wywierał tym większe wrażenie na dziewczynach, z którymi się zadawał. A postępował tak ze wszystkimi, nawet tymi na jedną noc, o nieznanym mu nazwiskach.

Uśmiechnęła się do niego przyjaźnie.

– Już mnie przedtem bujałeś, Johnny, pamiętasz? Przez dwanaście lat. Nie musisz mi wygłaszać tych swoich tekstów.

Westchnął i wyciągnął się na kanapie.

– Bez żartów, Ginny, wyglądasz świetnie. Chciałbym tak świetnie wyglądać.

Nie odpowiedziała mu. Widziała, że jest zdeprymowany.

– Myślisz, że ten film jest okay? Wyjdzie ci na dobre? – spytała. Johnny kiwnął głową.

– Tak. Może mnie wywindować na powrót. Jeżeli dostanę Oscara i rozeigram to dobrze, mogę znów wyjechać w górę nawet bez śpiewania. A wtedy może będę mógł dawać więcej forsy tobie i dzieciom.

– Mamy więcej niż dosyć – zapewniła Ginny.

– Chcę także częściej widywać dzieciaki – rzekł Johnny. – Chcę się trochę ustatkować. Nie mógłbym przychodzić tu na kolację w piątki wieczorem? Przysięgam, że nie opuszczę ani jednego piątku, choćbym był nie wiem jak daleko, czy jak zajęty. A poza tym, kiedy tylko bym mógł, spędzałbym razem weekendy albo może dzieci mogłyby spędzać ze mną część wakacji.

Ginny postawiła mu na piersiach popielniczkę.

– Ja nie mam nic przeciwko temu. Nie wyszłam za mąż, bo chciałam, żebyś pozostał dla nich ojcem.

Powiedziała to bez żadnego wzruszenia, ale Johnny Fontane, wpatrując się w sufit, wiedział, że chciała mu w ten sposób dać zadośćuczynienie za tamte inne rzeczy, okrutne rzeczy, które mu niegdyś mówiła, kiedy ich małżeństwo się rozpadło, a jego kariera zaczęła się załamywać.

– Aha, zgadnij, kto do mnie dzwonił – powiedziała.

Johnny nie lubił tej zabawy, nie lubił jej nigdy.

– Kto? – zapytał.

– Mógłbyś zrobić choć jedną marną próbę zgadnięcia – odparła Ginny. Johnny milczał. – Twój ojciec chrzestny – wyjaśniła.

Johnny był naprawdę zaskoczony.

– Nigdy nie rozmawia z nikim przez telefon. Co ci mówił?

– Powiedział, żebym ci dopomogła – odrzekła Ginny. – Mówił, że możesz znów być tak wielki jak dawniej, że znowu wracasz na swoje miejsce, ale potrzebujesz, żeby ludzie w ciebie wierzyli. Zapytałam, dlaczego ja miałabym wierzyć. A on odparł, iż dlatego, że jesteś ojcem moich dzieci. To taki prze-miły starszy pan, a opowiadają o nim takie okropne historie.

Virginia nie cierpiała telefonów i kazała zdjąć wszystkie aparaty z wyjątkiem jednego w sypialni i jednego w kuchni. Teraz usłyszeli dzwonek telefonu kuchennego. Poszła go odebrać. Kiedy wróciła do salonu, na twarzy miała wyraz zaskoczenia.

– Do ciebie, Johnny. Dzwoni Tom Hagen. Mówi, że to coś ważnego.

Johnny poszedł do kuchni i podniósł słuchawkę.

– Słucham, Tom. – Głos Toma Hageny był spokojny.

– Johnny, twój ojciec chrzestny chce, żebym przyjechał do ciebie i załatwił pewne rzeczy, które mogą ci się przydać teraz, kiedy film jest skończony. Chce, żebym złapał poranny samolot. Możesz na mnie czekać w Los Angeles? Muszę wracać do Nowego Jorku tego samego wieczoru, więc nie martw się, że będziesz musiał zarezerwować sobie dla mnie noc.

– Jasne, Tom – odrzekł Johnny. – I nie martw się, że stracę noc. Zostań tu i odsapnij trochę. Wydam przyjęcie i będziesz mógł poznać jakichś filmowców.

Zawsze to proponował; nie chciał, aby ludzie z jego dawnego środowiska myśleli, że się ich wstydzi.

– Dziękuję – powiedział Hagen – ale naprawdę muszę złapać powrotny samolot nad ranem. Będziesz więc czekał na ten o jedenastej trzydzieści z Nowego Jorku?

– Jasne – odrzekł Johnny.

– Zostań w swoim wozie – polecił Hagen. – Wyślij mi kogoś na spotkanie, jak będę wysiadał z samolotu, to przyprowdzi mnie do ciebie.

– Dobra.

Wrócił do salonu, a Ginny spojrzała na niego pytająco.

– Ojciec chrzestny ma dla mnie jakieś plany, chce mi dopomóc – wyjaśnił Johnny. – Załatwił mi rolę w tym filmie, nie mam pojęcia jak. Ale wolałbym, żeby się nie mieszał do reszty.

Wrócił na kanapę. Czuł się bardzo zmęczony. Ginny powiedziała:

– Może byś się dziś przespał w gościnnym pokoju, zamiast wracać do domu? Możesz zjeść śniadanie z dziećmi i nie będziesz musiał jechać do siebie tak późno. Przykro mi myśleć, że jesteś sam jak palec w tym swoim domu. Nie czujesz się samotny?

– Niewiele siedzę w domu – odrzekł Johnny.

Roześmiała się i powiedziała:

– To się niewiele zmieniłeś. – Przerwała, po czym spytała: – Przygotować ci tamtą sypialnię?

– Dlaczego nie mogę spać w twojej? – zapytał Johnny.

Zarumieniała się.

– Nie. – Uśmiechnęła się do niego, a on odwzajemnił jej uśmiech. Nadal byli przyjaciółmi.

Kiedy Johnny zbudził się nazajutrz, było już późno, co poznał po słońcu wpadającym przez opuszczone żaluzje. Nigdy nie padało w ten sposób przed południem. Zawołał:

– Ginny, czy jeszcze mi się należy śniadanie? – i usłyszał z daleka jej głos:

– Sekundkę!

I trwało to rzeczywiście sekundę. Musiała mieć wszystko przygotowane, gorące w piecu, tacę czekającą na zastawienie, bo kiedy Johnny zapalił pierwszego tego dnia papierosa, drzwi sypialni otworzyły się i jego dwie córki wtoczyły śniadaniowy stolik na kółkach.

Były tak śliczne, że aż ścisnęło mu się serce. Twarze miały jaśniejące, czyste, oczy ożywione zaciekawieniem i żarliwą chęcią podbiegnięcia do niego. Włosy miały po staroświecku uplecione w długie warkocze, ubrane były w staroświeckie sukienki i białe lakierowane pantofelki. Przystanąły obok śniadaniowego stolika, przypatrując się ojcu, gdy gasił papierosa, i czekając, by je zawołał i rozłożył szeroko ramiona. Wtedy przypadły do niego. Wtulił

twarz między ich świeże, pachnące policzki i podrapał obydwie zarostem, tak że pisnęły. Ginny ukazała się w drzwiach sypialni i przetoczyła wózek bliżej, ażeby Johnny mógł zjeść w łóżku. Usiadła przy nim, nalewała mu kawę, smarowała masłem grzanki. Obie córeczki zasiadły obok na kanapie, wpatrując się w niego. Były już za duże na bitwy poduszkami czy podrzucanie w górę. Już przyglądały sobie rozwichrzone włosy. Chryste – pomyślał – niedługo będą dorosłe, hollywoodzcy smarkacze zaczną się do nich dobierać.

Jedząc, dzielił się z nimi grzankami z bekonem, dawał im napić się kawy. Był to zwyczaj pozostały z czasów, kiedy śpiewał z orkiestrą i rzadko bywał z nimi, i dlatego lubiły dzielić z nim posiłki, które jadł o przedziwnych porach, jak na przykład popołudniowe śniadania czy też poranne kolacje. Zachwycało je to jedzenie na wywrót – befsztyk z frytkami o siódmej rano, jajka na bekonie po południu.

Tylko Ginny i nieliczni bliscy przyjaciele Johnny'ego wiedzieli, jak ubóstwiał swoje córki. To była najgorsza strona rozwodu i wyprowadzenia się z domu. Jedyłą rzeczą, o jaką walczył dla siebie, była pozycja ich ojca. Bardzo przebiegle dał Ginny do zrozumienia, że nie byłby zadowolony, gdyby ponownie wyszła za męża, nie przez zazdrość o nią, ale w trosce o swoją pozycję ojca. Załatwił wypłacanie pieniędzy na jej nazwisko, tak że dla niej najbardziej korzystne finansowo byłoby nie wychodzić ponownie za męża. Zostało uzgodnione, że Ginny może mieć kochanków, jeżeli tylko nie będzie ich wprowadzała do swego życia domowego. Jednakże pod tym względem miał do niej absolutne zaufanie. Zawsze była zdumiewająco skromna i staroświecka w sprawach seksu. Hollywoodzcy żigolacy niczego nie osiągnęli, kiedy zaczęli się mrowić dokoła niej, węsząc układ finansowy oraz korzyści, jakie mogli uzyskać od jej sławnego męża.

Nie miał obawy, iż Virginia spodziewa się pojednania, dlatego że chciał z nią spać ubiegłej nocy. Żadne z nich nie pragnęło odnowić dawnego małżeństwa. Rozumiała jego głód piękna, jego nieodparty pociąg do młodych kobiet o wiele piękniejszych od niej. Wiadomo było, że zawsze przesympiał się przynajmniej raz z gwiazdami filmowymi, które były jego partnerkami. Jego chłopięcy wdzięk był dla nich równie nieodparty, jak ich uroda dla niego.

– Będziesz musiał niedługo zacząć się zbierać – powiedziała Ginny. – Samolot Toma wkrótce wylądaje.

Wypchnęła córki z pokoju.

– Tak. Aha, Ginny, wiesz, że się rozwodzę? Będę znów wolnym człowie-

kiem.

Obserwowała go, kiedy się ubierał. Odkąd po ślubie córki dona Corleone doszli znów do porozumienia, zawsze miał u niej w domu ubranie na zmianę.

– Gwiazdka jest już za dwa tygodnie – przypomniała. – Czy mam brać pod uwagę, że będziesz tutaj?

Teraz dopiero po raz pierwszy pomyślał o świątach. Kiedy jego głos był w formie, stanowiły one okazję do zyskownych występów, lecz nawet wtedy Boże Narodzenie było święte. Gdyby opuścił najbliższe, byłoby to już drugie. W ubiegłym roku zalecał się w Hiszpanii do swojej drugiej żony, usiłując namówić ją, żeby za niego wyszła.

– Tak – odrzekł – w Wigilię i Boże Narodzenie. – Nie wspomniał o sylwestrze. Miała to być jedna z tych szalonych nocy, których od czasu do czasu potrzebował, żeby upić się z przyjaciółmi, i nie chciał mieć wtedy przy sobie żony. Nie czuł się winny z tego powodu.

Pomogła mu założyć marynarkę i oczyściła ją szczotką. Zawsze był pedantycznie schludny. Widziała, że zmarszczył brwi, bo koszula, którą włożył, nie była uprana tak, jak lubił, a spinki, których nie nosił już od pewnego czasu, były trochę za krzykliwe jak na jego obecny sposób ubierania się. Roześmiała się cicho i powiedziała:

– Tom tego nie zauważy.

Wszystkie trzy odprowadziły go do drzwi, a potem na podjazd, do samochodu. Dziewczynki trzymały go z obu stron za ręce. Żona szła nieco w tyle. Przyjemnie jej było widzieć, jaki jest uszczęśliwiony. Doszedłszy do samochodu, obrócił się i po kolei podniósł wysoko jedną i drugą córkę, i ucałował je, opuszczając na ziemię. Potem pocałował żonę i wszedł do auta. Nigdy nie lubił rozwlekłych pożegnań.

Jego szef reklamy i zarazem pomocnik poczynił odpowiednie przygotowania. Przed domem czekał wynajęty samochód z kierowcą. Siedział w nim szef reklamy oraz jeszcze ktoś z jego otoczenia. Johnny odstawił wóz, wszedł i ruszyli na lotnisko. Zaczekał w aucie, podczas gdy szef reklamy wyszedł na spotkanie samolotu Toma Hageny. Kiedy Tom wszedł do wozu, uściśnieli sobie dłonie i odjechali do domu Johnny'ego.

Wreszcie zostali we dwóch w salonie. Był między nimi pewien chłód. Johnny nigdy nie wybaczył Hagenowi, że zagradzał mu drogę do nawiązywa-

nia kontaktu z donem, kiedy don był nań rozzłoszczony w owym niedobrym okresie przed ślubem Connie. Hagen nigdy nie usprawiedliwił swojego postępowania. Nie mógł. Do jego obowiązków należało działanie w charakterze piorunochronu przeciwko urazom, których ludzie nie śmieli żywić do samego dona, chociaż na nie zasłużył.

– Twój ojciec chrzestny przysłał mnie tutaj, żebym ci pomógł w pewnych sprawach – powiedział Hagen. – Chciałem to załatwić przed Bożym Narodzeniem.

Johnny Fontane wzruszył ramionami.

– Film jest ukończony. Reżyser był równy gość i traktował mnie jak należy. Moje sceny są zanadto ważne, żeby je pozostawić na podłodze w montażowni tylko po to, by Woltz mógł mi się odpłacić. Nie może zmarnować filmu, który kosztował dziesięć milionów dolarów. Więc teraz wszystko zależy od tego, czy ludzie uznają, że jestem w nim dobry.

– Czy zdobycie nagrody Akademii jest tak bardzo ważne dla kariery aktora – zapytał ostrożnie Hagen – czy też to tylko zwykła reklamowa lipa, niemająca w gruncie rzeczy znaczenia pod żadnym względem? – Przerwał i dodał pospiesznie: – Ma się rozumieć, poza sławą, każdy lubi sławę.

Johnny Fontane uśmiechnął się do niego.

– Z wyjątkiem mojego ojca chrzestnego. I ciebie. Nie, Tom, to nie jest lipa. Oscar może ustawić aktora na dziesięć lat. Może wtedy dobierać sobie role. Publiczność chodzi go oglądać. Nie jest wszystkim, ale dla aktora jest najważniejszą rzeczą w tym zawodzie. Liczę na to, że ją dostanę. Nie dlatego, żebym był wielkim aktorem, ale ponieważ jestem znany przede wszystkim jako śpiewak, a ta rola to samograj. Poza tym jestem w niej dosyć dobry, bez żartów.

Tom Hagen wzruszył ramionami i odrzekł:

– Twój ojciec chrzestny mówił mi, że w obecnym stanie rzeczy nie masz szans zdobycia tej nagrody.

Johnny Fontane rozzłościł się.

– Co ty gadasz, u diabła? Film nie jest jeszcze zmontowany, nie mówiąc już o wyświetleniu. A don nie siedzi w przemyśle filmowym. Przeleciałeś trzy tysiące mil tylko po to, żeby mi powiedzieć takie gówno?

Był tak wstrząśnięty, że prawie bliski łez. Hagen przemówił z z troską:

– Johnny, ja nie mam zielonego pojęcia o tych wszystkich filmowych hi-

storiach. Pamiętaj, że jestem tylko chłopcem na posyłki dona. Ale wielokrotnie omawialiśmy tę całą twoją sprawę. On martwi się o ciebie, o twoją przeszłość. Uważa, że nadal potrzebujesz jego pomocy, i chce załatwić twój problem raz na zawsze. Dlatego tu teraz jestem, żeby to puścić w ruch. Ale musisz wreszcie zacząć dorastać, Johnny. Musisz przestać myśleć o sobie jako o pieśniarzu czy aktorze. Musisz zacząć myśleć o sobie jako o człowieku z inicjatywą, facecie reprezentującym siłę.

Johnny Fontane roześmiał się i napełnił sobie szklanę.

– Jeżeli nie dostanę tego Oscara, będę miał akurat tyle siły, co któraś z moich córeczek. Mój głos licho wzięło. Gdybym go odzyskał, mógłbym porobić jakieś posunięcia. A, do diabła! Skąd ojciec chrzestny wie, że nie dostanę nagrody? W porządku, wierzę, że wie. Nigdy się nie pomylił.

Hagen zapalił cygaro.

– Otrzymaliśmy wiadomość, że Jack Woltz nie ma zamiaru wydawać pieniędzy wytwórni na popieranie twojej kandydatury. A nawet dał cynk wszystkim głosującym, że nie chce, abyś wygrał. Wstrzymanie pieniędzy na reklamę, i tak dalej, może to załatwić. Poza tym robi starania, żeby inny kandydat zebrał tyle głosów, ile się da. Stosuje różne rodzaje przekupstwa: posady, pieniądze, babki, wszystko. I stara się to zrobić, nie szkodząc samemu filmowi albo szkodząc mu możliwie jak najmniej.

Johnny Fontane wzruszył ramionami. Nalał sobie whisky i wypił.

– To jestem uziemiony.

Hagen przypatrywał mu się, wykrzywiwszy usta z niesmakiem.

– Picie nie pomoże ci na głos – zauważył.

– Odpieprz się – rzekł Johnny.

Twarz Hagena stała się nagle spokojnie obojętna. Potem stwierdził:

– W porządku, będę to traktował ściśle zawodowo.

Johnny odstawił szklanę, podszedł i stanął przed Hagenem.

– Przepraszam, że to powiedziałem, Tom – rzekł. – O Jezu, bardzo mi przykro. Odgrywam się na tobie, bo chętnie zabiłbym tego drania, Jacka Woltza, a boję się nagadać ojcu chrzestnemu. Więc wściekam się na ciebie.

Miał łzy w oczach. Cisnął o ścianę pustą szklanę po whisky, ale tak słabo, że grube szkło nie stłukło się nawet i szklanka potoczyła się po podłodze z powrotem ku niemu, on zaś popatrzał na nią w bezsilnej furii. Potem roześmiał się.

– Jezu Chryste. – Przeszedł na drugą stronę pokoju i zasiadł naprzeciwko

Hagena. – Wiesz, przez długi czas szło mi jak po maśle. A potem rozwiodłem się z Ginny i wszystko zaczęło nawalać. Straciłem głos. Moje płyty przestały się rozchodzić. Nie dostawałem już pracy w filmie. Później ojciec chrzestny zeźlił się na mnie i nie chciał ze mną gadać przez telefon ani mnie widzieć, kiedy przyjeżdżałem do Nowego Jorku. Ty byłeś zawsze tym, który zagradzał mi drogę, i miałem ci to za złe, ale wiedziałem, że nie robiłbyś tego bez rozkazu dona. A na niego nie można się gniewać. To tak jakby się rozgniewać na Pana Boga. Więc kłamię cię. Ale miałeś rację od początku do końca. I żeby ci pokazać, że cię naprawdę przeproszam, przyjmuję twoją radę. Nie będzie więcej chlania, dopóki nie odzyskam głosu. Okay?

Przeprosiny były szczere. Hagen zapomniał o gniewie. Musiało coś być w tym trzydziestopięcioletnim chłopaku, bo inaczej don tak by go nie lubił.

– Zapomnij o tym, Johnny. – Tom był zakłopotany głębokością uczuć Johnny’ego, zakłopotany podejrzeniem, że wynikało to ze strachu... ze strachu, że może obrócić dona przeciwko sobie. A oczywiście nikt nie mógł pokierować donem z żadnego powodu. Swoje uczucia odmieniał tylko on sam. – Nie jest tak źle – powiedział Johnny’emu. – Don mówi, że może przekreślić wszystko, co Woltz robi przeciwko tobie. Że prawie na pewno zdobędziesz Oscara. Tylko uważa, że to nie rozwiąże twojego problemu. Chce wiedzieć, czy masz taką głowę do interesów i energię, żeby zostać samodzielnym producentem, robić własne filmy od początku do końca.

– A jakim cudem, u diabła, chce mi skombinować tę nagrodę? – zapytał Johnny z niedowierzaniem.

Hagen odpowiedział ostro:

– Dlaczego tak ci łatwo uwierzyć, że Woltz może to zachachmęcić, a twój ojciec chrzestny nie? Ponieważ trzeba natchnąć cię wiarą w tę drugą część naszego układu, muszę ci coś wyjaśnić. Tylko zatrzymaj to dla siebie. Twój ojciec chrzestny jest człowiekiem o wiele potężniejszym od Jacka Woltza. I jest o wiele potężniejszy w dziedzinach znacznie bardziej kluczowych. Jak może skombinować nagrodę? Ma wpływ na ludzi, którzy z kolei mają wpływ na wszystkie związki zawodowe w tym przemyśle, na wszystkich, czy prawie wszystkich tych, którzy będą głosowali. Ma się rozumieć, musisz być dobry, musisz stanąć do walki. I twój ojciec chrzestny ma więcej rozumu niż Jack Woltz. Nie idzie do tych ludzi, nie przystawia im pistoletu do głowy i nie mówi: „Głosujcie na Johnny’ego Fontane, bo wylecicie z posady”. Nie próbuje na siłę tam, gdzie siła nie działa albo zostawia po sobie za wiele uraz.

Skłoni tych ludzi do głosowania na ciebie dlatego, że będą tego chcieli. Ale nie zechcą, jeżeli on się tym nie zainteresuje. Uwierz mi na słowo, że może skombinować ci Oscara. I że jeżeli on tego nie zrobi, to Oscara nie dostaniesz.

– Dobra – zgodził się Johnny. – Wierzę ci. I mam dostatecznie dobrą głowę i energię, żeby być producentem, tylko brakuje mi pieniędzy. Żaden bank mnie nie sfinansuje. Na film potrzeba milionów.

– Jak dostaniesz nagrodę, zacznij robić plany wyprodukowania trzech własnych filmów – powiedział Hagen sucho. – Najmij najlepszych ludzi z branży, najlepszych techników, najlepsze gwiazdy, kogo ci będzie potrzeba. Zaplanuj sobie trzy do pięciu filmów.

– Zwariowałeś – odparł Johnny. – Tyle filmów wymagałoby ze dwudziestu milionów.

– Jak ci będzie potrzeba pieniędzy, skontaktuj się ze mną – polecił Hagen. – Podam ci nazwę banku tu, w Kalifornii, do którego się zwrócisz o sfinansowanie. Nie martw się, oni stale finansują filmy. Po prostu poproś ich o pieniądze w zwyczajny sposób, z odpowiednim uzasadnieniem, tak jak przy normalnej transakcji. Zgodzą się. Tylko najpierw musisz zobaczyć się ze mną i podać mi sumy i plany. Okay?

Johnny milczał długo. Potem zapytał spokojnie:

– Jest jeszcze coś?

Hagen uśmiechnął się.

– Chodzi ci o to, czy będziesz musiał zrobić jakąś uprzejmość w zamian za pożyczanie dwudziestu milionów dolarów? Jasne, że tak. – Zaczekał, by Johnny się odezwał. – Ale nic takiego, czego byś i tak nie zrobił, gdyby don cię o to poprosił dla siebie.

– Don będzie musiał poprosić mnie sam, jeżeli to coś poważnego, rozumiesz, o co mi chodzi? Nie uwierzę na słowo tobie ani Sonny’emu.

Hagena zaskoczył ten zdrowy rozsądek. Fontane miał jednak głowę. Miał dość rozsądku, by wiedzieć, że don zanadto go lubi i jest za mądry, by prosić go o uczynienie czegoś głupio ryzykownego, natomiast Sonny może to zrobić. Powiedział więc do Johnny’ego:

– Muszę cię uspokoić pod jednym względem. Twój ojciec chrzestny dał mnie i Sonny’emu ściśle instrukcje, żeby cię pod żadnym pozorem nie wciągać w coś, co mogłoby być dla ciebie niedobrą reklamą z naszej winy. A sam tego też nigdy nie robi. Gwarantuję ci, że każdą uprzejmość, o jaką cię po-

prosi, byłbyś gotów zrobić, zanimby się o nią zwrócił. W porządku?

Johnny uśmiechnął się.

– W porządku.

Hagen rzekł:

– Poza tym wierzy w ciebie. Uważa, że masz głowę, więc przypuszcza, że bank zarobi na tej inwestycji, co oznacza, że on sam robi na tym pieniądze. Więc to jest naprawdę transakcja handlowa, o tym nie zapominaj. Nie rozpadź tych pieniędzy. Możesz sobie być ulubionym chrześniakiem, ale dwadzieścia milionów dolców to kupa forsy. On musi ponieść ryzyko, żebyś na pewno to dostał.

– Przekaż mu, żeby się nie martwił – odrzekł Johnny. – Jeżeli taki gość jak Jack Woltz może być geniuszem filmowym, to każdy może.

– Tak właśnie wyobraża to sobie twój ojciec chrzestny. Mógłbyś mnie kazać odwieźć na lotnisko? Powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia. Jak już zaczniesz podpisywać umowy, weź sobie własnych adwokatów, ja nie będę się tym zajmował. Ale chciałbym obejrzeć każdą rzecz, zanim ją podpiszesz, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Poza tym nie będziesz miał żadnych kłopotów ze związkami zawodowymi. To do pewnego stopnia obniży koszty filmów, więc kiedy kalkulatorzy to obrachują, nie zwracaj uwagi na te cyfry.

– Czy mam uzyskiwać twoją zgodę na jeszcze coś poza tym, na scenariusze, gwiazdy, jakieś takie rzeczy? – zapytał ostrożnie Johnny. Hagen potrząsnął głową.

– Nie. Może się zdarzyć, że don będzie miał do czegoś zastrzeżenia, ale wtedy powie ci o tym wprost. Jednakże nie mogę sobie wyobrazić, co by to było. Filmy nie dotyczą go pod żadnym względem, więc się tym nie interesuje. A nie jest zwolennikiem wtrącania się, to mogę ci powiedzieć z doświadczenia.

– Dobrze – odparł Johnny. – Sam cię odwiozę na lotnisko. I podziękuj ode mnie ojcu chrzestnemu. Zadzwońiłbym osobiście i podziękował, ale on nigdy nie podchodzi do telefonu. Nawiasem mówiąc, dlaczego tak jest?

Hagen wzruszył ramionami.

– Rzadko rozmawia przez telefon. Nie chce, żeby jego głos został nagrany, nawet kiedy mówi coś absolutnie niewinnego. Obawia się, że mogą zmontować słowa tak, aby się wydawało, że mówił coś innego. Myślę, że to na tym polega. W każdym razie jego jedyną troską jest, że kiedyś władze uknują coś

przeciwko niemu. Więc nie chce im dawać okazji.

Wsiedli do samochodu Johnny'ego i pojechali na lotnisko.

Hagen rozmyślał o tym, że z Johnny'ego jest mądrzejszy chłop, niż sądził. Już się czegoś nauczył, dowodził tego fakt, że go odwoził osobiście na lotnisko. Osobista kurtuazja, coś, czego don zawsze był zwolennikiem. I te przeprosiny. To było szczere. Znał Johnny'ego od dawna i wiedział, że nie przeprosząby nigdy ze strachu. Johnny miał zawsze odwagę. Dlatego stale miał kłopoty ze swymi przełożonymi z filmu i z kobietami. Należał do nielicznych, którzy nie obawiali się dona. Fontane i Michael byli bodajże jedynymi znanymi Hagenowi ludźmi, o których mógł to powiedzieć. Dlatego przeprosiny były szczere, mógł przyjąć je jako takie. W najbliższych paru latach miał często widywać się z Johnnym. I Johnny musiałby przejść następną próbę, która udowodniłaby, jak dalece jest bystry. Musiałby zrobić dla dona coś, o co don nigdy by go nie poprosił, aniby nie nalegał, żeby to uczynił w ramach tego porozumienia. Hagen zastanowił się, czy Johnny Fontane jest dostatecznie bystry, aby przewidzieć tę stronę układu.

Johnny, podrzuciwszy Hagena na lotnisko (Hagen nalegał, żeby nie czekał z nim na samolot), pojechał do domu Ginny. Zdziwiła się na jego widok. Chciał u niej posiedzieć, żeby mieć czas przemyśleć wszystko, porobić plany. Wiedział, że to, co Hagen mu przekazał, jest niezmiernie ważne, że całe jego życie się odmienia. Niegdyś był wielkim gwiazdorem, lecz teraz, w młodym wieku trzydziestu pięciu lat, osiadł na mieliźnie. Nie łudził się co do tego. Gdyby nawet zdobył Oscara za najlepszą męską rolę, co by to mogło mieć za znaczenie? Żadne, jeżeliby nie odzyskał głosu. Byłby zaledwie kimś drugorzędnym, lecz żadnej prawdziwej pozycji, żadnej prawdziwej siły. Choćby ta dziewczyna, która mu odmówiła – była sympatyczna i bystra, zachowywała się fajnie, ale czy byłaby taka chłodna, gdyby naprawdę znajdował się na szczycie? Teraz, kiedy don wsparłby go forszą, mógł stać się tak potężny, jak mało kto w Hollywood. Mógł być królem. Johnny uśmiechnął się. Do diabła, mógłby nawet zostać donem.

Miło byłoby pomieszkać znowu z Ginny parę tygodni, może dłużej. Co dzień zabierałby gdzieś dzieci, może zapraszał paru przyjaciół. Przestałby pić i palić, naprawdę dbałby o siebie. Może jego głos znowu nabrałby siły. Gdyby tak się zdarzyło, to mając pieniądze dona byłby nie do pokonania. Byłby

doprawdy kimś tak zbliżonym do jakiegoś dawnego króla czy cesarza, jak to w ogóle możliwe w Ameryce. I niezależnie od tego, czy zachowałyby głos ani jak długo publiczność lubiłaby go jako aktora. Byłoby to imperium oparte na pieniądzach oraz najbardziej specjalnym, najbardziej upragnionym rodzaju władzy.

Ginny przygotowała dla niego pokój gościnny. Zostało uzgodnione, że nie będzie z nią dzielił sypialni, że nie będą ze sobą żyli jak mąż i żona. Tego wzajemnego związku nie mogli już odnowić. I chociaż zewnętrzny świat towarzyskich kronikarzy i miłośników filmu przypisywał winę za klęskę ich małżeństwa wyłącznie jemu, to jednak jakimś dziwnym sposobem oboje wiedzieli, że winą za ich rozwód należało znacznie bardziej obciążyć Ginny.

Kiedy Johnny Fontane został najpopularniejszym piosenkarzem i gwiazdorem filmowej komedii muzycznej, nigdy nie przychodziło mu na myśl porzucić żonę i dzieci. Był zanadto włoski, jeszcze zanadto staroświecki. Naturalnie bywał niewierny. Niepodobna było tego unikać w jego zawodzie i przy pokusach, na które był stale wystawiony. Mimo że szczupły, z pozoru delikatny, odznaczał się żylastą twardością drobnokościstych typów latynoskich. A kobiety zachwycały go swoimi niespodziankami. Uwielbiał umawiać się z jakąś skromną, dziewiczo wyglądającą dziewczyną o słodkiej buzi, a potem obnażać jej piersi, które okazywały się niespodziewanie pełne i obfite, lubieżnie ciężkie w przeciwstawieniu do twarzy jak z kamei. Uwielbiał napotykać seksualną wstydlivość i nieśmiałość w seksownie wyglądających dziewczynach, które całe były zafałszowanym ruchem, niczym sprytny gracz w koszykówkę, i tak uwodzicielskie, jak gdyby przespały się już z paroma facetami – a potem, kiedy zostawał z nimi sam na sam, musiał całymi godzinami walczyć, żeby się dostać do środka i zrobić swoje – i stwierdzić, że są dziewicami.

A wszyscy ci hollywoodzcy faceci wyśmiewali się z jego zamiłowania do dziewic. Nazywali to makaroniarskim, staroświeckim gustem – bo ileż to czasu trzeba, żeby namówić dziewicę do polizania, ile trzeba się namordować, a potem zwykle okazują się marne jako dupy. Johnny jednakże wiedział, że tak należy postępować z młodą dziewczyną. Trzeba do niej podejść we właściwy sposób, a potem cóż może być fajniejszego niż dziewczyna, która pierwszy raz zaznaje fiuta i jest tym zachwycona? Ach, tak wspaniale jest je rozprawiczać! Tak wspaniale jest, kiedy oplatają człowieka nogami! Ich uda są najróżniejszych kształtów, pośladki najróżniejsze, skóra wszyst-

kich możliwych kolorów i odcieni bieli, śniadości i płowości, a kiedy się przespał z tamtą młodą kolorową dziewczyną w Detroit, porządną dziewczyną, nie żadną szmatą, córką śpiewaka jazzowego, z którym figurował na tym samym afiszu w nocnym lokalu, okazała się jednym z najśłodszych stworzeń, jakie kiedykolwiek posiadał. Jej wargi miały naprawdę smak ciepłego miodu z domieszką pieprzu, jej ciemnosmagła skóra była soczysta, gładka, a ona sama tak słodka, że słodszej kobiety Bóg nigdy nie stworzył – i była dziewczyną.

Tamci ciągle gadali o lizaniu i innych wariantach, a on właściwie nie znajdował wielkiej przyjemności w tych rzeczach. Nigdy już tak nie lubił dziewczyny, kiedy ze sobą popróbowali w ten sposób, po prostu nie dawało mu to należytego zaspokojenia. Z drugą żoną nie mógł się w końcu dopasować, ponieważ wołała sześćdziesiąt dziewięć do tego stopnia, że nie chciała niczego innego, i musiał walczyć, żeby jej włożyć. Zaczęła się z tego wyśmiewać, nazywać go zacofanym i rozeszło się, że Johnny uprawia miłość jak dzieciak. Może dlatego odmówiła mu ta dziewczyna ubiegłej nocy. A, cholera z tym, i tak nie byłaby nadzwyczajna w łóżku. Można poznać, która dziewczyna naprawdę lubi się rznąć, i te są zawsze najlepsze. Szczególnie takie, które nie robią tego od zbyt dawna. Naprawdę nie cierpiał tych, które zaczęły się puszczać mając dwanaście lat i były całkiem wyrypane doszedłszy do dwudziestki; robiły to mechanicznie – a niektóre były najładniejsze ze wszystkich i potrafiły nabrać człowieka.

Ginny przyniosła do pokoju kawę i ciastka i postawiła je na podłużnym stoliku w części bawialnej. Powiedział jej po prostu, że Hagen pomaga mu zmobilizować kredyty na kapitał produkcyjny, i bardzo się tym przejęła. Miał znowu być kimś ważnym. Nie zdawała sobie jednak sprawy, jak potężny jest naprawdę don Corleone, więc nie rozumiała całej wagi przyjazdu Hagen z Nowego Jorku. Dodał, że Hagen pomaga mu też w szczegółach prawnych.

Kiedy skończyli kawę, zapowiedział, że tego wieczoru będzie pracował, załatwiał telefony i robił plany na przyszłość.

– Połowa tego wszystkiego będzie na nazwisko dziewczynek – oświadczył. Uśmiechnęła się doń z wdzięcznością i pocałowała go na dobranoc, nim wyszła z pokoju.

Na biurku stało szklane pudełko pełne jego ulubionych papierosów z monogramem oraz pojemnik z cienkimi jak ołówki kubańskimi cygarami. Johnny odchylił się w tył i zaczął telefonować. Myśli jego naprawdę rwały na-

przód. Zadzwoił do autora owej powieści, bestsellera, na którym oparty był jego nowy film. Autor był facetem w jego wieku, wybił się, przeszedłszy trudne chwile, i teraz był sławą w świecie literackim. Przyjechał do Hollywood, spodziewając się, że będzie traktowany jak wielka figura, a potraktowano go, podobnie jak większość autorów, niczym śmiecia. Johnny był świadkiem jego upokorzenia któregoś wieczoru w „Brown Derby”. Pisarz umówił się ze znaną, piersiastą gwiazdką filmową na randkę w mieście i niechybną wspólną noc później. Jednakże, kiedy siedzieli przy kolacji, gwiazdka opuściła słynnego autora, ponieważ jakiś podrzędny komik filmowy kiwnął na nią palcem. To dało pisarzowi właściwe pojęcie, kto jest kim w hollywoodzkim porządku obławiania. Nie było ważne, że jego książka przyniosła mu światową sławę. Każda gwiazdka wołała najmarniejszego, najbardziej szmatławego i dętego ważniaka z filmu.

Teraz Johnny zadzwonił do nowojorskiego mieszkania autora, aby mu podziękować za wspaniałą rolę, którą napisał dla niego w swojej książce. Pochlebiał facetowi do obrzydzenia. A potem mimochodem spytał, jak mu idzie następna powieść i o czym jest. Zapalił cygaro, podczas gdy pisarz opowiadał mu o szczególnie interesującym rozdziale, wreszcie rzekł:

– O rany, chciałbym to przeczytać, jak pan skończy. Może pan by mi przysłał egzemplarz? Może mógłbym zawrzeć z panem na to dobrą umowę, lepszą niż ta, którą pan miał z Jackiem Woltzem.

Skwapliwość w głosie autora podpowiedziała mu, że odgadł prawidłowo. Woltz wystrychnął gościa na dudka, zaproponował mu grosze. Johnny napomknął, że może będzie w Nowym Jorku zaraz po świętach, i spytał, czy pisarz zechciałby zjeść kolację z paroma jego znajomymi.

– Znam kilka przystojnych babek – dodał żartobliwie.

Pisarz roześmiał się i odrzekł:

– Okay.

Następnie Johnny zadzwonił do reżysera i operatora swojego dopiero co ukończonego filmu, aby podziękować, że mu w nim dopomogli. Powiedział im poufnie, iż wie, że Woltz był przeciwko niemu, więc podwójnie docenia ich pomoc, oraz że gdyby kiedykolwiek mógł coś dla nich zrobić, wystarczy, że zatelefonują.

Wreszcie przeprowadził rozmowę najtrudniejszą ze wszystkich, a mianowicie z Jackiem Woltzem. Podziękował mu za rolę w filmie i powiedział, jak bardzo byłby rad pracować dla niego w każdej chwili. Zrobił to tylko po to,

żeby zamydlić Woltzowi oczy. Zawsze dotąd był bardzo szczery, bardzo prostolinijny. Za kilka dni Woltz miał się dowiedzieć o jego manewrach i zdumieć się obłudą tej rozmowy, a właśnie dokładnie tego chciał Johnny Fontane.

Potem zasiadł przy biurku, pykając z cygara. Na bocznym stoliku stała whisky, ale uczynił sobie i Hagenowi coś w rodzaju przyrzeczenia, że nie będzie pił. Nie powinien nawet palić. Chociaż to niemądre; skoro z jego głosem było coś nie w porządku, zapewne nie pomogłoby na to rzucenie palenia i picia. Cóż, psiakrew, może nie za wiele, ale pomoc by mogło, a obecnie, kiedy miał szansę walki, chciał sobie zapewnić wszystkie atuty.

Teraz, gdy w domu było cicho, a jego rozwiedziona żona i ukochane córki spały, mógł wrócić myślą do tego strasznego momentu swego życia, gdy je porzucił. Porzucił dla tej kurwy i szmaty, którą okazała się jego druga żona. Ale nawet w tej chwili uśmiechnął się na myśl o niej, bo była taką wspaniałą babką pod wieloma względami, a oprócz tego jedynym momentem, który ratował mu życie, był dzień, kiedy postanowił sobie nigdy nie nienawidzić kobiety, albo, mówiąc ściślej, dzień, w którym doszedł do wniosku, że nie może pozwolić sobie na nienawiść do pierwszej żony, do córek, do swoich przyjaciółek, do drugiej żony i do tych dziewczyn, co były potem, aż po Sharon Moore, która go odtrąciła, ażeby móc się chwalić, że nie chciała dać wielkiemu Johnny'emu Fontane.

Jeździł śpiewając z orkiestrą, a potem został gwiazdorem radiowym, gwiazdorem estrad kinowych, aż wreszcie powiodło mu się w filmie. A przez cały ten czas żył tak, jak mu się podobało, sypiał z kobietami, których pragnął, jednakże nigdy nie pozwolił, aby to wpływało na życie osobiste. Potem stracił głowę dla swojej przyszłej drugiej żony, Margot Ashton; zupełnie zwariował na jej punkcie. Diabli wzięli jego karierę, diabli wzięli jego głos, diabli wzięli jego życie rodzinne. I przyszedł dzień, kiedy nie pozostało mu nic.

Rzecz w tym, że zawsze był wspaniałomyślny i uczciwy. Kiedy rozwiódł się z pierwszą żoną, dał jej wszystko, co miał. Zapewnił swoim dwóm córkom udział we wszystkim, co robił, w każdej płycie, każdym filmie, każdym występie w lokalu. A kiedy był bogaty i sławny, nie odmawiał pierwszej żonie niczego. Pomagał wszystkim jej braciom i siostram, jej ojcu i matce, ko-

leżankom ze szkoły i ich rodzinom. Nigdy nie był sławą zadzierającą nosa. Śpiewał na weselach obu młodszych sióstr żony, czego nie znosił robić. Nie odmawiał jej nigdy niczego poza całkowitym wyrzeczeniem się własnej indywidualności.

A kiedy dosięgnął dna, kiedy nie mógł już dostać pracy w filmie, kiedy nie mógł już śpiewać, kiedy zdradziła go druga żona, pojechał spędzić kilka dni z Ginny i córkami. Któregoś wieczoru zdał się właściwie na jej łaskę, bo czuł się tak parszywie. Owego dnia przesłuchał jedno ze swoich nagrań, które brzmiało tak okropnie, że oskarżył techników dźwiękowych o sabotowanie płyty. Aż w końcu nabrał przekonania, że jego głos brzmi tak naprawdę. Rozbił negatyw płyty i odmówił dalszego śpiewania. Było mu tak wstyd, że nie zaśpiewał już ani jednej nuty poza wspólnym występem z Ninem na weselu Connie Corleone.

Nigdy nie zapomniał wyrazu twarzy Ginny, kiedy się dowiedziała o wszystkich jego niepowodzeniach. Ten wyraz pojawił się na jej twarzy za ledwie na sekundę, ale to wystarczyło, by nie zapomniał go nigdy. Był to wyraz dzikiej, radosnej satysfakcji. Był to wyraz, który jedynie mógł mu nasunąć myśl, że przez wszystkie te lata żywiła dla niego pełną pogardy nienawiść. Opanowała się zaraz i wyraziła mu chłodne, ale uprzejme współczucie. Udał, że je przyjmuje. W ciągu następnych paru dni odwiedził trzy z dziewczyn, które najbardziej polubił z biegiem lat, dziewczyn, z którymi pozostał w przyjaźni i czasem sypiał, jakoś po koleżeńsku, którym pomagał, ile tylko mógł, i którym ofiarował równowartość setek tysięcy dolarów w podarunkach czy możliwościach pracy. Na twarzach ich wychwycił ten sam przelotny wyraz satysfakcji.

W tym właśnie czasie zrozumiał, że musi powziąć jakąś decyzję. Mógł stać się podobny do bardzo wielu innych mężczyzn w Hollywood – cieszących się powodzeniem producentów, scenarzystów, reżyserów, aktorów, którzy z lubieżną nienawiścią polowali na piękne kobiety. Mógł niechętnie wykorzystywać swoje wpływy i upominki pieniężne, wciąż węsząc podstęp, wciąż przypuszczając, że kobiety zdradzą go i opuszczą – te przeciwniczki, które należało pokonać. Albo też mógł się wyrzec nienawiści do kobiet i nadal w nie wierzyć.

Wiedział, że nie może pozwolić sobie na to, by ich nie kochać, że coś z jego ducha umrze, jeżeli nie będzie nadal ich kochał, bez względu na to, jakie są zdradzieckie i niewierne. Nieważne było, że te kobiety, które kochał

najbardziej na świecie, radowały się potajemnie, widząc go zmiażdżonego, upokorzonego przez kaprys losu; nieważne też, że były mu niewierne w sposób najstraszniejszy, nie fizycznie. Nie miał wyboru. Musiał je akceptować. Więc kochał się z nimi wszystkimi, dawał im prezenty, ukrywał ból, jakim go przejmowała ich radość z jego niepowodzeń. Przebaczał im, wiedząc, iż odpłacają mu za to, że żył w najwyższej niezależności od kobiet i w najpełniejszym blasku ich uroku. Teraz jednakże już nie czuł się winny, że był im niewierny. Nigdy nie poczuwał się do winy za sposób traktowania Ginny, za to, że uparł się pozostać jedynym ojcem swych dzieci, a jednak nigdy nie brał pod uwagę poślubienia jej na nowo i wyraźnie jej to powiedział. To była jedyna rzecz, jaką ocalił po swoim upadku ze szczytu. Stał się nieczuły na krzywdy, które wyrządzał kobietom.

Był zmęczony i chciał się położyć do łóżka, ale jedna nuta wspomnienia ciągle w nim trwała: śpiewanie z Ninem Valentim. I nagle pojął, co zrobi donowi Corleone największą przyjemność. Podniósł słuchawkę i kazał się połączyć z Nowym Jorkiem. Zadzwoił do Sonny'ego Corleone i poprosił go o numer Nina Valenti. Potem zatelefonował do Nina. Nino wydawał się jak zwykle trochę podpity.

– Słuchaj, Nino, nie chciałbyś tu przyjechać i popracować ze mną? – zapytał. – Potrzebuję gościa, któremu mógłbym zaufać.

Nino odpowiedział żartobliwie:

– Bo ja wiem, Johnny. Mam dobre zajęcie na ciężarówce, dmucham po drodze panie domu, zgarniam co tydzień okrągłe sto pięćdziesiąt. Co masz do zaoferowania?

– Mogę ci dać na początek pięć stów i skombinować randki na niewidzianego z gwiazdami filmowymi. Co ty na to? I może dam ci pośpiewać na moich przyjęciach.

– Aha. Dobra, niech się zastanowię – odparł Nino. – Obgadam to z moim adwokatem, moim księgowym i pomagierem z ciężarówki.

– Nie, bez żartów, Nino – powiedział Johnny. – Potrzebuję cię tutaj. Chcę, żebyś przyleciał jutro rano i podpisał roczny kontrakt na pięćset tygodniowo. Potem, jeżeli mi ukradniesz którąś z moich babek, a ja cię wyleję, dostaniesz co najmniej roczne pobory. Okay?

Nastąpiła długa pauza. Głos Nina był już trzeźwy.

– Ty, Johnny, kpisz sobie?

– Mówię poważnie, chłopie – odparł Johnny. – Pójdź do kancelarii mojego

agenta w Nowym Jorku. Będą tam mieli dla ciebie bilet na samolot i trochę gotówki. Zadzwoń do nich jutro z samego rana. Więc idź tam po południu, dobra? Potem przyślę kogoś na lotnisko, żeby wyszedł po ciebie i przywiózł cię do mojego domu.

Znów nastąpiła długa pauza, po czym odezwał się głos Nina, bardzo stłumiony, niepewny:

– Okay, Johnny.

Nino nie wydawał się już pijany.

Johnny odłożył słuchawkę i przygotował się do snu. Czuł się lepiej niż kiedykolwiek od czasu, gdy rozbił tamten negatyw płyty.

Rozdział 13

Johnny Fontane siedział w olbrzymim studiu nagrań i obliczał koszty. Schodzili się muzycy, wszystko przyjaciele, których znał, odkąd był młodym chłopakiem śpiewającym z orkiestrami. Dyrygent, as w dziedzinie akompaniamentu pop i człowiek, który okazywał mu życzliwość, kiedy sprawy się psuły, podawał każdemu z muzyków stosiki nut i ustne instrukcje. Nazywał się Eddie Neils. Podjął się tego nagrania, chcąc zrobić Johnny'emu uprzejmość, choć program zajęć miał mocno wypełniony.

Nino Valenti siedział przy fortepianie, postukując nerwowo w klawisze. Poza tym pociągał whisky z ogromnej szklanki. Johnny nie miał nic przeciwko temu. Wiedział, że Nino śpiewa równie dobrze na trzeźwo, jak po pijanemu, a to, co dzisiaj robili, nie wymagało z jego strony żadnych prawdziwych umiejętności muzycznych.

Eddie Neils zrobił specjalną aranżację paru starych piosenek włoskich i sycylijskich oraz specjalnie przygotował ów pojedynkowy duet, który Nino i Johnny odśpiewali na weselu Connie Corleone. Johnny nagrywał tę płytę przede wszystkim dlatego, że wiedział, iż don przepada za takimi piosenkami, byłaby więc dla niego doskonałym prezentem gwiazdkowym. Poza tym miał przeczucie, że rozejdzie się wielka liczba jej egzemplarzy, chociaż oczywiście nie będzie to milion. I pomyślał, że dopomożenie Ninowi było tym, czego don chciałby od niego w rewanżu. Bądź co bądź Nino był także chrześniakiem dona.

Johnny położył na stojącym obok składanym krzeselku notatnik i żółty blok, wstał i podszedł do fortepianu. Zawołał:

– Hej, *paisan* – a Nino zerknął nań i spróbował się uśmiechnąć. Wyglądał trochę tak, jakby mu było niedobrze. Johnny pochylił się i poklepał go po plecach.

– Odpręż się, chłopie. Zrób dzisiaj dobrą robotę, to skombinuję ci najlepszą i najsłynniejszą dupę w Hollywood.

Nino łyknął whisky.

– Kto to taki, Lassie?

Johnny roześmiał się.

– Nie, Deanna Dunn. Gwarantowany towar.

Na Ninie wywarło to wrażenie, ale nie mógł się oprzeć, by nie zapytać z udaną nadzieją:

– Nie możesz mi załatwić Lassie?

Orkiestra rozpoczęła pierwszą piosenkę zestawu. Johnny Fontane słuchał uważnie. Eddie Neils miał odegrać wszystkie piosenki w ich specjalnych aranżacjach. Potem nastąpiłoby pierwsze nagranie na płytę. Johnny, słuchając, notował sobie dokładnie z pamięci, jak podejździe do każdej frazy, jak włączy się w każdą piosenkę. Wiedział, że jego głos nie wytrzyma długo, ale lwią część miał śpiewać Nino, a Johnny miał mu towarzyszyć. Oczywiście z wyjątkiem tego pojedynkowego duetu. Musiał się do niego oszczędzać.

Pociągnął Nina z krzeselka i obaj stanęli przed mikrofonami. Nino spaskudził początek, spaskudził go powtórnie. Twarz zaczynała mu się czerwienić z zakłopotania. Johnny zażartował:

– Coś ty? Chcesz wyciągnąć godziny nadliczbowe?

– Nie czuję się swobodnie bez mandoliny – odrzekł Nino.

Johnny zastanowił się nad tym chwilę.

– Trzymaj w ręce tę szklankę z gorzałą.

To najwyraźniej załatwiło sprawę. Nino, śpiewając, popijał ze szklanki, ale szło mu świetnie. Johnny śpiewał swobodnie, nie wysilając się, jego głos jedynie tańczył wokół głównej melodii Nina. W takim śpiewaniu nie było żadnej satysfakcji emocjonalnej, ale zdumiała go własna biegłość techniczna. Dziesięć lat wokalistyki czegoś go nauczyło.

Kiedy doszli do pojedynkowego duetu, który kończył płytę, Johnny puścił wodze swemu głosowi, i gdy skończyli, bolały go struny głosowe. Muzykantów porwała ta ostatnia piosenka, co było rzadkie u zblazowanych weteranów. Zaczęli łomotać w swoje instrumenty i tupać z uznania. Perkusista wygrzmiał śpiewakom werbel na bębenkach.

Razem z przerwami i naradami pracowali prawie cztery godziny, zanim skończyli. Eddie Neils podszedł do Johnny'ego i powiedział cicho:

– Wcale nieźle ci poszło, chłopie. Może już jesteś gotowy do nagrania pły-

ty. Mam nową piosenkę, która jest w sam raz dla ciebie.

Johnny potrząsnął głową.

– Daj spokój, Eddie, nie bujaj mnie. Poza tym za parę godzin będę zanadto zachrypnięty, żeby bodaj mówić. Myślisz, że będziemy musieli poprawić dużo z tego, cośmy dziś zrobili?

Eddie odpowiedział po zastanowieniu:

– Nino będzie musiał przyjść jutro do studia. Sypnął się parę razy. Ale jest o wiele lepszy niż myślałem. Co do twojej roboty, to każę technikom dźwiękowym wygładzić wszystko, co mi się nie spodoba, dobrze?

– Dobrze – odrzekł Johnny. – Kiedy będę mógł przesłuchać taśmę?

– Jutro wieczorem – zapewnił Eddie Neils. – U ciebie?

– Aha – odrzekł Johnny. – Dziękuję, Eddie. To do jutra. – Wziął Nina pod rękę i wyszli ze studia. Pojechali do jego domu, nie do Ginny.

Zrobiło się już późne popołudnie. Nino był nadal więcej niż podпиты. Johnny kazał mu wejść pod prysznic, a potem uciąć sobie drzemkę. Musieli być na dużym przyjęciu o jedenastej wieczorem.

Kiedy Nino się zbudził, Johnny go pouczył:

– To przyjęcie jest w klubie gwiazd filmowych „Samotne Serca”. Babki, które tam dzisiaj będą, widywałeś w filmach jako królowe urody, za których zerznięcie miliony facetów dałoby sobie uciąć prawe ręce. A one będą na dzisiejszym przyjęciu wyłącznie po to, żeby znaleźć sobie kogoś, kto by je zabrał do łóżka. A wiesz dlaczego? Bo są tego zgłodniałe, są po prostu trochę starawe. I tak jak każda babka, chcą, żeby to się odbyło z odrobiną klasy.

– Co się stało z twoim głosem? – zapytał Nino. Johnny mówił prawie szeptem.

– Tak jest za każdym razem, kiedy tylko trochę pośpiewam. Teraz nie będę mógł śpiewać przez miesiąc. Ale ta chrypka ustąpi za parę dni.

– Ciężka sprawa, co? – powiedział Nino w zamyśleniu.

Johnny wzruszył ramionami.

– Posłuchaj, Nino, nie upijaj się dziś zanadto. Trzeba pokazać tym hollywoodzkim dziwkom, że mój kumpel *paisan* nie jest słaby w korzeniu. Musisz spełnić oczekiwania. Pamiętaj, że niektóre z tych babek mają wielkie wpływy w filmie, mogą ci skombinować robotę. Nie zaszkodzi być czarującym, jak którąś posuniesz.

Nino już sobie nalewał.

– Ja zawsze jestem czarujący – zapewnił. Wychylił szklanekę. Szczerząc

zęby, zapytał: – Bez żartów, naprawdę możesz mnie podprowadzić do Dean-ny Dunn?

– Nie pal się tak do tego – odrzekł Johnny. – Nie będzie tak, jak myślisz.

Hollywoodzki klub gwiazd ekranu „Samotne Serca” (tak nazywany przez młodzińskich amantów filmowych, których obecność była obowiązkowa) zbierał się co piątek wieczorem w należącej do wytwórni, pałacowej siedzibie Roya McElroya, agenta prasowego czy raczej doradcy do spraw informacji i reklamy Woltz International Film Corporation. Aczkolwiek przyjęcie odbywało się u McElroya, pomysł ten w gruncie rzeczy zrodził się w praktycznym mózgu samego Jacka Woltza. Niektóre z jego złotodajnych gwiazd zaczynały już się starzeć. Bez pomocy specjalnych świateł oraz genialnych charakteryzatorów wyglądały na swój wiek. Miały problemy. Poza tym stały się do pewnego stopnia znieczulone fizycznie i umysłowo. Nie mogły się już „zakochać”. Nie mogły już odgrywać roli nagabywanych kobiet. Pieniądze, sława, ich dawna piękność uczyniły je nazbyt władczymi. Woltz wydawał owe przyjęcia po to, żeby im było łatwiej poderwać sobie kochanków, takich jednonocnych, którzy, jeżeli mieli to, co trzeba, mogli awansować na stałych partnerów łóżkowych i tym sposobem utorować sobie drogę w górę. Ponieważ te imprezy niekiedy przeradzały się w burdy lub seksualne ekscesy, które doprowadzały do nieprzyjemności z policją, Woltz postanowił urządzać przyjęcia w domu doradcy prasowego, który byłby na miejscu, by załagodzić sprawę, opłacić dziennikarzy oraz funkcjonariuszy policji i wszystko zatuszować.

Dla pewnych męskich, młodych, zaangażowanych przez wytwórnię aktorów, którzy jeszcze nie doszli do pozycji gwiazdorów ani do głównych ról, obecność na piątkowych przyjęciach była nie zawsze przyjemnym obowiązkiem. Uzasadnienie stanowił fakt, że podczas przyjęcia wyświetlano nowy film, jeszcze nie wypuszczony przez wytwórnię. W istocie stanowiło to pretekst dla samego przyjęcia. Ludzie mówili: „Chodźmy zobaczyć, jaki jest nowy film zrobiony przez tego a tego”. Ustawiano więc to w kontekście zawodowym.

Młodym gwiazdeczkom zabraniano udziału w piątkowych przyjęciach. Albo raczej odwozono je od tego. Większość rozumiała, co to oznacza.

Pokazy nowych filmów odbywały się o północy, więc Johnny z Ninem

przybyli o jedenastej. Roy McElroy okazał się na pierwszy rzut oka ogromnie miłym człowiekiem, wypielegnowanym, świetnie ubranym. Powitał Johnny'ego Fontane pełnym zaskoczenia okrzykiem radości.

– Co pan tu robi, u licha? – zapytał ze szczerym zdumieniem. Johnny uściśnął mu dłoń.

– Oprowadzam mojego kuzynka ze wsi. Przedstawiam panu Nina.

McElroy uściśnął dłoń Nina i popatrzał na niego z uznaniem.

– Pożrą go żywcem – powiedział do Johnny'ego. Poprowadził ich na patio na tyłach domu.

Patio było właściwie szeregiem ogromnych pokoiów, których szklane drzwi wychodziły na ogród i basen. Kłębiło się tam blisko sto osób, wszystkie z drinkami w rękach. Oświetlenie patia było przemyślnie zaprojektowane, aby pochlebiać kobiecej urodzie, a były to kobiety, które Nino widywał na ekranach kin, kiedy był nastolatkiem. Odgrywały swą rolę w jego erotycznych młodzieńczych snach. Zobaczenie ich teraz na żywo było niczym ujrzenie ich w jakiejś okropnej charakteryzacji. Nic nie mogło ukryć znużenia ich ducha i ciała; czas przeżarł ich boskość. Przybierały takie pozy i poruszały się tak samo czarująco jak we wspomnieniu, ale przypominały owoc z wosku, nie mogły go pobudzić. Nino wypił dwa drinki, powędrował do stołu, gdzie mógł stać w pobliżu całej kolekcji butelek. Johnny poszedł za nim. Pili razem, dopóki za nimi nie rozległ się czarodziejski głos Deanny Dunn.

Podobnie jak miliony innych mężczyzn, Nino miał ten głos utrwalony w umyśle na zawsze. Deanna Dunn zdobyła dwie nagrody Akademii, grała w najbardziej kasowym filmie, jaki nakręcono w Hollywood. Na ekranie miała koci urok, któremu nie mógł się oprzeć żaden mężczyzna. Jednakże słów, które teraz mówiła, nigdy nie słyszano ze srebrnego ekranu.

– Johnny, ty draniu, musiałam znowu iść do psychiatry, bo tylko raz się ze mną przespałeś. Dlaczego nigdy nie wróciłeś na powtórkę?

Johnny ucałował ją w nadstawiony policzek.

– Wypompowałaś mnie na cały miesiąc – powiedział. – Przedstawiam ci mojego kuzyna, Nina. Miły, krzepki włoski chłopak. Może on zdoła dotrzymać ci kroku.

Deanna Dunn obróciła się i rzuciła Ninowi chłodne spojrzenie.

– Lubi oglądać pokazy?

Johnny roześmiał się.

– Nie sądzę, żeby miał kiedykolwiek okazję. Może go w to wprowadzisz?

Nino musiał wypić dużego drinka, kiedy został sam na sam z Deanną Dunn. Usiłował zachowywać się nonszalancko, ale było to trudne. Deanna Dunn miała zadarty noseć i czyste, klasyczne rysy anglosaskiej piękności. I znał ją tak dobrze. Widywał ją samotną w sypialni, załamana, opłakującą poległego męża lotnika, który zostawił ją z osieroconymi dziećmi. Widywał ją gniewną, urażoną, upokorzoną, a mimo to pełną jaśniejszej godności, kiedy brutalny Clark Gable wykorzystał ją, a potem rzucił dla ładaczniczy. (Deanna Dunn nigdy nie grywała w filmach ładaczniczy). Widywał ją rozpromienioną wzajemną miłością, wijącą się w ramionach uwielbianego mężczyzny, i widział, jak pięknie umierała co najmniej pół tuzina razy. Widywał ją i słyszał, i marzył o niej, a jednak nie był przygotowany na pierwszą rzecz, którą mu powiedziała, kiedy zostali sami.

– Johnny jest w tym mieście jednym z niewielu mężczyzn z jajami – oświadczyła. – Reszta to pedały i chore debile, którym by nie stanął do baby, choćby im wpompowali w jądra całą ciężarówkę muszek hiszpańskich.

Wzięła Nina za rękę i poprowadziła go w kąt pokoju, z dala od tłumu i od współzawodnictwa.

A potem, wciąż chłodno czarująca, zaczęła mu zadawać pytania na jego temat. Przejrzał ją na wskroś. Widział, że odgrywa rolę bogatej panny z towarzysztwa, która odnosi się łaskawie do chłopca stajennego czy szofera, ale która na filmie albo powściągnęłaby jego miłosne zapędy (gdyby tę rolę grał Spencer Tracy), albo też rzuciła wszystko ogarnięta szalonym pożądaniem (gdyby tę rolę grał Clark Gable). To jednak było nieważne. Przyłapał się na tym, że opowiada jej, jak dorastali z Johnnym w Nowym Jorku, jak razem śpiewali na małych występach w lokalach. Stwierdził, że cudownie się w to wczuwa i jest zaciekawiona. Raz zapytała mimochodem:

– Czy wiesz, jakim sposobem Johnny zmusił tego łobuza, Jacka Woltza, żeby mu dał tę rolę? – Nino, z lodowatą miną, potrząsnął głową. Nie poruszyła więcej tego tematu.

Nadeszła pora obejrzenia pokazu nowego filmu Woltza. Deanna Dunn poprowadziła Nina, uwięziwszy jego dłoń w swej ciepłej dłoni, do wewnętrznego salonu rezydencji, który nie miał okien, ale był wyposażony w jakieś pięćdziesiąt małych, dwuosobowych tapczaników, porozstawianych tak, że każdy stanowił wysepkę odosobnienia.

Nino zauważył, że obok tapczanu jest mały stolik, a na nim naczynie z lodem, szklanki i butelki alkoholu plus tacka z papierosami. Podał Deannie pa-

pierosa, zapalił go, a potem zmieszał drinki dla nich obojga. Nie odzywali się do siebie. Po paru minutach światła zgasły.

Spodziewał się czegoś bezwstydnego. Bądź co bądź słyszał legendy o deprawacji Hollywoodu. Ale nie był zupełnie przygotowany na to, że Deanna Dunn tak żarłocznie rzuci się na jego organ płciowy bez jednego miłego i przyjaznego słowa przygotowania. Pociągał drinka i patrzył na film, ale nie czuł smaku i nic nie widział. Był podniecony jak nigdy dotąd, ale częściowo dlatego, że ta kobieta obsługująca go w ciemnościach była niegdyś przedmiotem jego młodzieńczych marzeń.

Mimo to jego męskość była w jakiś sposób znieważona. Toteż, gdy sławna na cały świat Deanna Dunn nasyciła się i doprowadziła go do porządku, bardzo chłodno przygotował jej po ciemku następnego drinka, podał ognia i powiedział najswobodniejszym tonem, jaki można sobie wyobrazić:

– To wygląda na całkiem niezły film.

Poczuł, że zeszywniała obok niego na tapczanie. Czyżby oczekiwała jakiegoś komplementu? Nino nalał sobie do pełna z najbliższej butelki, na którą jego ręka natrafiła w ciemnościach. Do diabła z tym. Potraktowała go jak jakąś cholerną męską kurwę. Nie wiadomo czemu poczuł zimny gniew na te wszystkie kobiety. Oglądali film jeszcze przez piętnaście minut. Odsunął się od niej, tak że ich ciała się nie stykały. W końcu powiedziała cichym, chrapliwym szeptem:

– Nie bądź takim nadętym pętakiem, podobało ci się. Był ogromny jak kamienica.

Nino napił się i odpowiedział w swój naturalny, bezceremonialny sposób:

– Taki jest zawsze. Trzeba ci go widzieć, jak jestem podniecony.

Roześmiała się cicho i milczała przez resztę filmu. Wreszcie się skończył i zapalono światła. Nino rozejrzał się. Widział, że w ciemnościach odbywał się tu balecik, chociaż, dziwna rzecz, nie słyszał nic. Ale niektóre babki miały ten twardy, jaśniejący, błyszczącooki wygląd kobiet, które przed chwilą zostały naprawdę dobrze obrobione.

Wyszli z sali projekcyjnej. Deanna Dunn opuściła go natychmiast, by porozmawiać ze starszym mężczyzną, w którym Nino rozpoznał sławnego odtwórcę głównych ról, tylko że teraz, widząc go przed sobą, uświadomił sobie, że to pedał. Pociągnął drinka w zamyśleniu. Johnny Fontane podszedł do niego i powiedział:

– Cześć, stary, dobrze się bawisz?

Nino uśmiechnął się.

– Czy ja wiem? To jest coś innego. Teraz, kiedy wrócę na stare śmiecie, będę mógł powiedzieć, że Deanna Dunn mnie posiadała.

Johnny roześmiał się.

– Potrafi być jeszcze lepsza, jeżeli cię zaprosi do siebie. A zaprosiła?

Nino potrząsnął głową.

– Byłem zanadto zainteresowany filmem – powiedział. Ale tym razem Johnny się nie roześmiał.

– Bądźże poważny, chłopcze – rzekł. – Taka babka może ci zrobić dużo dobrego. Dawniej dmuchałeś byle co. Człowieku, czasami mam koszmary, jak sobie przypomnę te paskudne dziwki, które rznąłeś.

Nino pomachał po pijacku szklanką i odezwał się bardzo głośno:

– Tak, były paskudne, ale to były kobiety.

Deanna Dunn, stojąca w kącie pokoju, obróciła głowę, by na nich popatrzeć. Nino skinął jej szklanką w geście pozdrowienia. Johnny Fontane westchnął:

– W porządku, jesteś po prostu makaroniarski kmiot.

– I nie zmienię się – odrzekł Nino ze swoim czarującym, pijackim uśmiechem.

Johnny rozumiał go doskonale. Wiedział, że Nino nie jest taki pijany, jak udaje. Wiedział, że Nino udaje tylko po to, aby móc mówić rzeczy, które uważał za zbyt brutalne, by je opowiedzieć na trzeźwo swemu nowemu hollywoodzkiemu *padrone*. Objął Nina za szyję i rzekł:

– Ty cwaniaku, wiesz, że masz murowany kontrakt na rok i możesz gadać i robić, co ci się podoba, a ja nie mogę cię wylać.

– Nie możesz mnie wylać? – zapytał Nino z pijacką przebiegłością.

– Nie – odrzekł Johnny.

– To ja cię pieprzę – powiedział Nino.

Przez chwilę Johnny był zaskoczony i rozgniewany. Widział beztroski uśmiezek na twarzy Nina. Ale w ciągu paru ostatnich lat widocznie zmadrzał czy też stoczenie się z gwiazdorstwa uczyniło go bardziej wrażliwym. W tym momencie zrozumiał Nina, pojął, dlaczego jego śpiewaczy partner z lat chłopięcych nigdy nie osiągnął sukcesu, dlaczego teraz usiłował zniweczyć wszelkie szanse na sukces. I to, że Nino sprzeciwiał się każdej cenie sukcesu, że w jakiś sposób czuł się znieważony wszystkim, co dla niego robiono.

Johnny wziął Nina pod rękę i wyprowadził go z domu. Nino ledwie mógł iść. Johnny mówił do niego kojąco:

– W porządku, chłopcze, tylko pośpiewaj dla mnie, chcę zrobić na tobie forszę. Nie będę próbował kierować twoim życiem. Będziesz robił, co chcesz. Okay, *paisan*? Musisz tylko pośpiewać dla mnie, zarobić dla mnie pieniądze teraz, kiedy sam już nie mogę śpiewać. Kapujesz, stary?

Nino wyprostował się.

– Będę dla ciebie śpiewał, Johnny – przyrzekł tak bełkotliwie, że ledwie można go było zrozumieć. – Teraz jestem lepszym śpiewakiem od ciebie. Zawsze byłem lepszy od ciebie, wiesz o tym?

Johnny stał i myślał: więc to jest tak. Wiedział, że kiedy miał zdrowy głos, Nino po prostu nie był w tej samej klasie co i on, w tych latach, kiedy śpiewali razem jako młodziaki. Widział, że Nino czeka na odpowiedź, chwiejąc się pijacko w świetle kalifornijskiego księżycyca.

– Ja cię pieprzę – powiedział łagodnie i obaj się roześmiali tak jak za dawnych czasów, gdy byli młodzi.

Kiedy Johnny Fontane dostał wiadomość o postrzeleniu dona Corleone, nie tylko zmartwił się z powodu swego ojca chrzestnego, ale i zastanawiał się, czy sfinansowanie jego filmu jest nadal aktualne. Chciał jechać do Nowego Jorku i złożyć uszanowanie ojcu chrzestnemu w szpitalu, lecz powiedziano mu, żeby nie robił sobie niedobrej reklamy, bo to jest ostatnia rzecz, jakiej chciałby don Corleone. Cekał więc. Tydzień później zjawiał się wysłannik od Toma Hagena. Sfinansowanie było nadal aktualne, ale tylko po jednym filmie naraz.

Tymczasem Johnny pozwolił Ninowi działać na własną rękę w Hollywood i Kalifornii, i Ninowi wiodło się doskonale z młodymi gwiazdkami. Niekiedy Johnny dzwonił do Nina, żeby gdzieś razem z nim spędzić wieczór, ale nigdy mu się nie narzucał. Kiedy rozmawiali o postrzeleniu dona, Nino powiedział:

– Wiesz, raz poprosiłem dona o pracę w jego organizacji i nie chciał mi jej dać. Miałem dosyć jeżdżenia ciężarówką i chciałem zarobić kupę forsy. I wiesz, co mi powiedział? Że każdy człowiek ma tylko jedno przeznaczenie, a moim przeznaczeniem jest być artystą. Co oznaczało, że nie mógłbym być szwindlarzem.

Johnny przemyślał to sobie. Ojciec chrzestny musi być chyba najbystrzejszym facetem na świecie. Od razu wiedział, że Nino nigdy nie potrafiłby zostać szwindlarzem, że tylko by na tym wpadł albo został zabity. Zabity z któ-

ryms z swoich dowcipów na ustach. Ale skąd don wiedział, że będzie artystą? Bo przewidywał, psiakrew, że kiedyś dopomogę Ninowi. A jakim sposobem to przewidział? Bo podsunąłby mi tę myśl, a ja bym się postarał okazać mu swoją wdzięczność. Ma się rozumieć, nigdy mnie o to nie poprosił. Po prostu dał mi wyczuć, że to by mu zrobiło przyjemność. Johnny Fontane westchnął. Teraz ojciec chrzestny był ranny, zagrożony, a on sam mógł się pożegnać z nagrodą Akademii, skoro Woltz działał przeciwko niemu, on zaś nie miał znikąd pomocy. Tylko don posiadał takie osobiste kontakty, dzięki którym mógł wywierać naciski, a rodzina Corleone miała teraz inne rzeczy na głowie. Johnny zaofiarował swą pomoc, ale Hagen krótko odmówił.

Johnny był zajęty uruchamianiem własnego filmu. Autor książki, w której Johnny miał główną rolę, ukończył nową powieść, i na zaproszenie Johnny'ego przyjechał na Zachodnie Wybrzeże, by to omówić bez ingerencji agentów czy wytwórni. Druga książka była idealna do tego, czego chciał Johnny. Nie musiałby śpiewać, fabuła była dobra, jędrna, z mnóstwem kobiet i seksu, i była tam rola, którą Johnny od razu uznał za zrobioną jak na zamówienie dla Nina. Postać ta mówiła tak jak Nino, zachowywała się tak jak on, nawet wyglądała jak on. Było to niesamowite. Wszystkim, co Nino musiałby zrobić, to ukazać się na ekranie i być sobą.

Johnny działał szybko. Przekonał się, że wie o produkowaniu filmów znacznie więcej, niż sądził, ale wziął sobie kierownika produkcji, człowieka, który znał się na rzeczy, lecz miał trudności ze znalezieniem zajęcia, ponieważ był na czarnej liście. Johnny nie wykorzystał tego i zawarł z nim przyzwoitą umowę.

– Spodziewam się, że w ten sposób zaoszczędzi mi pan więcej forsy – wyjawiał szczerze.

Zdziwił się więc, kiedy kierownik produkcji przyszedł do niego i oznajmił, że trzeba odpalić przedstawicielowi związku zawodowego ni mniej, ni więcej tylko pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Jest masa problemów dotyczących godzin nadliczbowych i zatrudnienia, więc opłaci się wydać te pięćdziesiąt tysięcy. Johnny zastanowił się, czy kierownik go nie naciąga, a potem rzekł:

– Niech pan przyśle do mnie tego związkowca.

Związkowcem był Billy Goff. Johnny powiedział mu:

– Zdawało mi się, że sprawy związkowe zostały załatwione przez moich przyjaciół. Mówiono mi, żebym się o to nie martwił. Wcale a wcale.

– Kto panu to mówił? – zapytał Goff.

– Doskonale pan wie, kto – odparł Johnny. – Nie będę wymieniał jego nazwiska, ale kiedy mi coś powie, to wystarczy.

– Sytuacja się zmieniła – rzekł Goff. – Pański przyjaciel ma kłopoty i jego słowo nie sięga już tak daleko na zachód.

Johnny wzruszył ramionami.

– Niech pan do mnie przyjdzie za parę dni, dobrze?

Goff uśmiechnął się.

– Jasne, Johnny. Ale dzwonienie do Nowego Jorku nic panu nie pomoże.

Jednakże zadzwonienie do Nowego Jorku pomogło. Johnny porozumiał się z Hagenem w jego kancelarii, a ten przykazał mu krótko i wężłowato, żeby nie płacił.

– Twój ojciec chrzestny będzie wściekły jak diabli, jeżeli dasz temu łobuzowi bodaj dziesięć centów – oświadczył Tom Hagen. – Przecież to don utraciłby szacunek, a na to nie może sobie teraz pozwolić.

– Czy mogę pomówić z donem? – zapytał Johnny. – Porozmawiasz z nim? Muszę uruchomić film.

– Nikt nie może rozmawiać z donem w tej chwili – odrzekł Hagen. – Znadto źle się czuje. Pogadam z Sonnym o załatwieniu tej sprawy. Ale o jednym sam zdecyduję. Nie płac temu cwanemu łobuzowi ani centa. Dam ci znać, gdyby coś się zmieniło.

Johnny, niezadowolony, odłożył słuchawkę. Kłopoty ze związkiem mogły powiększyć koszt filmu o całą fortunę i sprawić, że wszystko weźmie w łeb. Przez chwilę zastanawiał się, czyby nie odpalić Goffowi tych pięćdziesięciu patyków po cichu. Ostatecznie opinia dona a opinia Hagen, i wydawanie mu przezeń rozkazów, to były dwie różne rzeczy. Postanowił jednak odczekać kilka dni.

Przez to czekanie zaoszczędził pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Dwa dni później znaleziono wieczorem Goffa zastrzelonego w jego domu w Glendale. Nie było więc mowy o kłopotach ze związkiem zawodowym. Johnny był wstrząśnięty tym zabójstwem. Po raz pierwszy długa ręka dona zadała śmiertelny cios tak blisko niego.

W miarę jak upływały tygodnie, Johnny Fontane był coraz bardziej zajęty przygotowaniem scenariusza, obsadą filmu i opracowywaniem szczegółów produkcyjnych; zapomniał o swoim głosie, o tym, że nie może śpiewać. Jednakże kiedy ogłoszono kandydatury do nagrody Akademii Filmowej i znalazł się na liście, ogarnęło go przygnębienie, gdyż nie poproszono go, aby odspie-

wał którąś z nominowanych do Oscara piosenek podczas uroczystości, transmitowanej przez telewizję na cały kraj. Jednakże machnął na to ręką i pracował dalej. Teraz, gdy ojciec chrzestny nie mógł już wywierać nacisku, Johnny nie miał żadnej nadziei na zdobycie nagrody, ale wysunięcie go jako kandydata też miało pewną wartość.

Płyta, którą nagrał z Ninem, ta z piosenkami włoskimi, rozchodziła się znacznie lepiej, niż wszystko, co nagrał ostatnio, ale wiedział, że jest to bardziej sukces Nina niż jego własny. Pogodził się z tym, że już nigdy nie będzie mógł śpiewać zawodowo.

Raz na tydzień jadał kolację z Ginny i dziećmi. Bez względu na to, jak wiele miał roboty, nigdy nie zaniebyszał tego obowiązku. Ale nie sypiał z Ginny. Tymczasem jego druga żona skombinowała rozwód w Meksyku, więc znowu był kawalerem. Rzecz dziwna, nie palił się zbytnio do sypiania z młodymi gwiazdkami, które byłyby łatwą zdobyczą. W gruncie rzeczy był zanadto snobem. Bolało go to, że żadna z młodych gwiazd, aktorek będących jeszcze na szczycie, nigdy mu nie dawała okazji. Ale dobrze było ciężko pracować. Najczęściej wracał wieczorem samotnie do domu, nastawiał swoje stare płyty, robił sobie drinka i nucił pod nie kilka taktów. Dobry był niegdyś, diabelnie dobry. Nie uświadamiał sobie, jaki dobry. Nawet niezależnie od tego specjalnego głosu, który mógł się trafić każdemu, był dobry. Był prawdziwym artystą i wcale o tym nie wiedział, i nie wiedział też, jak bardzo to uwielbiał. Zmarnował sobie głos piciem, paleniem i dziwkami akurat wtedy, kiedy naprawdę zrozumiał, o co chodzi.

Czasami Nino przychodził na drinka i słuchał razem z nim, a Johnny mówił szyderczo:

– Ty, makaroniarzu, nie śpiewałeś tak nigdy w życiu.

A Nino obdarzał go tym dziwnie czarującym uśmiechem, potrząsał głową i potakiwał:

– Nie i nigdy nie będę – głosem pełnym współczucia, tak jakby wiedział, co Johnny myśli.

W końcu, na tydzień przed rozpoczęciem zdjęć do nowego filmu, nadszedł wieczór wręczenia Oscarów. Johnny zaprosił Nina, ale Nino odmówił. Johnny powiedział:

– Bracie, nigdy cię nie prosiłem o przysługę, prawda? Więc zrób mi dzisiaj tę łaskę i chodź ze mną. Jesteś jedynym facetem, który będzie mi naprawdę współczuł, jeżeli nie wygram.

Przez chwilę Nino był zaskoczony. Potem odrzekł:

– Jasne, bracie, mogę iść. – Przerwał na chwilę, potem dodał: – Jeżeli nie wygrasz, machnij na to ręką. Urznij się w trupa, a ja się tobą zaopiekuję. Psiakrew, sam nawet nie będę dziś pił. Dobry ze mnie kumpel?

– Człowieku – odrzekł Johnny Fontane. – Nie byle jaki kumpel.

Przyszedł wieczór wręczania Oscarów i Nino dotrzymał słowa. Zjawił się u Johnny'ego kompletnie trzeźwy i razem pojechali na uroczystość. Nino zastanawiał się, dlaczego Johnny nie zaprosił na bankiet żadnej ze swoich dziewczyn czy ekszon. Zwłaszcza Ginny. Czyżby myślał, że Ginny nie będzie za nim? Nino żałował, że nie może sobie łyknąć jednego; noc zapowiadała się długa i nieprzyjemna.

Cała ceremonia wręczania nagród Akademii Filmowej wydała się Ninowi Valenti nudną piłą, dopóki nie oznajmiono, kto uzyskał nagrodę dla najlepszego aktora. Kiedy usłyszał słowa „Johnny Fontane”, zaczął skakać do góry i klaskać. Johnny wyciągnął do niego rękę, a Nino ją uścisnął. Wiedział, że jego kumpel potrzebuje ludzkiego kontaktu z kimś, komu ufa, i zrobiło mu się ogromnie smutno, że Johnny nie ma nikogo lepszego do uściskania w momencie swojej chwały.

To, co nastąpiło potem, było zupełnym koszmarem. Film Jacka Woltza zgarnął wszystkie ważniejsze nagrody, toteż na przyjęciu wydanym przez wytwórnię roiło się od dziennikarzy oraz wszelkich karierowiczowskich kokot, zarówno żeńskich, jak męskich. Nino dotrzymał obietnicy, pozostał trzeźwy i usiłował czuwać nad Johnnym. Jednakże obecne na przyjęciu kobiety wciąż ciągnęły Johnny'ego Fontane do pokojów sypialnych na małą pogawędkę i Johnny był coraz bardziej pijany.

Tymczasem laureatka Oscara dla najlepszej aktorki cierpiała ten sam los, ale podobało jej się to bardziej i lepiej dawała sobie radę. Nino odmówił jej – jedyny na przyjęciu mężczyzna, który to uczynił.

Wreszcie ktoś wpadł na wspaniały pomysł – publiczną kopulację obojga laureatów, przy czym wszyscy obecni mieli być widzami na trybunach. Aktorkę rozebrano, zaczęto też rozbierać Johnny'ego Fontane. Wtedy to Nino, jedyny trzeźwy, złapał na wpół rozebranego Johnny'ego, przerzucił go sobie przez ramię i przepchnął się na dwór, do samochodu. Kiedy Nino odwoził Johnny'ego do domu, pomyślał, że jeżeli tak wygląda sukces, to wcale go nie pragnie.

Księga 3

Rozdział 14

Don był prawdziwym mężczyzną już w wieku lat dwunastu. Niski, smagły, szczupły. Urodził się jako Vito Andolini w dziwnej, wyglądającej na mauretańską wiosce Corleone na Sycylii. Kiedy obcy ludzie przyszli zabić syna człowieka, którego zamordowali, matka wyprawiła małego chłopca do swoich przyjaciół w Ameryce. W nowym kraju zmienił nazwisko na Corleone, żeby zachować jakąś więź ze swą ojczystą wioską. Był to jeden z nielicznych sentymentalnych gestów, jakie kiedykolwiek uczynił.

Na przełomie stulecia mafia była na Sycylii drugim rządem, o wiele potężniejszym od tego oficjalnego w Rzymie. Ojciec Vita Corleone uwikłał się w zwadę z innym mieszkańcem wsi, a ten przedłożył swoją sprawę mafii. Ojciec nie chciał się ugiąć i podczas publicznej kłótni zabił miejscowego przywódcę mafii. Tydzień później znaleziono go martwego, z ciałem poszarpanym strzałami z *lupary*. Miesiąc po pogrzebie strzelcy z mafii przyszli zapytać o młodego Vita. Uznali, że jest zbyt bliski wieku męskiego i może w najbliższych latach spróbować pomścić śmierć ojca. Krewni ukryli dwunastoletniego Vita i wysłali go do Ameryki. Tam zamieszkał u rodziny Abbandandów, której syn, Genco, miał później zostać *consigliori* swojego dona.

Młody Vito zaczął pracować w sklepie spożywczym Abbandandów na Dziewiątej Alei w nowojorskiej „Kuchni piekielnej”. Mając lat osiemnaście, ożenił się z włoską dziewczyną. Dopiero co przybyła z Sycylii, miała zaledwie szesnaście lat, ale była doskonałą kucharką i dobrą gospodynią. Zamieszkali w kamienicy na Dziewiątej Alei niedaleko Trzydziestej Dziewiątej Ulicy, zaledwie o kilka przecznic od miejsca pracy Vita, a dwa lata później Bóg obdarzył ich pierwszym dzieckiem, Santinem, nazywanym przez wszystkich przyjaciół Sonnym, z uwagi na przywiązanie do ojca.

W okolicy mieszkał człowiek nazwiskiem Fanucci. Był krępy, groźnie

wyglądającym Włochem, który nosił kosztowne, jasne garnitury i kremowy pilśniowy kapelusz. Powiadano, że należy do Czarnej Ręki, odgałęzienia mafii, które wymuszało pieniądze od rodzin i właścicieli sklepów pod groźbą fizycznego gwałtu. Ponieważ jednak okoliczni mieszkańcy sami byli w większości gwałtownikami, groźenie poturbowaniem przez Fanucciego było skuteczne jedynie w przypadku starszych par niemających synów, którzy by je obronili. Niektórzy sklepikarze wypłacali mu dla świętego spokoju drobne sumy. Fanucci żerował również na swoich kolegach przestępcach, którzy nielegalnie sprzedawali bilety na włoską loterię albo prowadzili gry hazardowe w swoich domach. Sklep Abbandandów płacił mu niewielki haracz mimo protestów młodego Genco, który oświadczył ojcu, że wykończy Fanucciego. Ojciec tego nie zabronił. Vito Corleone obserwował to wszystko, ale nie uważał, że to go w jakikolwiek sposób dotyczy.

Pewnego dnia Fanucciego napadli trzej młodzi ludzie, którzy poderżnęli mu gardło od ucha do ucha, nie dość głęboko, by go zabić, ale wystarczająco, by go przestraszyć i wywołać obfite krwawienie. Vito widział, jak Fanucci umykał przed swymi prześladowcami z ociekającym czerwienią, półkolistym chłaśnięciem. Nigdy nie zapomniał, jak Fanucci trzymał pod brodą kremowy kapelusz chwytając w biegu kapiącą krew. Tak jakby nie chciał zaplamić sobie garnituru czy pozostawić za sobą sromotnego szlaku karminu.

Jednakże ta napaść okazała się niespodziewanym dobrodziejstwem dla Fanucciego. Trzej młodzi ludzie nie byli mordercami, lecz tylko twardymi chłopakami, którzy postanowili dać mu nauczkę i powstrzymać go od wymuszeń. Mordercą okazał się Fanucci. Parę tygodni później ten, który użył noża, został zastrzelony, a rodziny obu pozostałych młodzieńców zapłaciły Fanucciemu odszkodowanie, żeby się wyrzekł zemsty. Potem haracze wzrosły, a Fanucci został współnikiem gier hazardowych w dzielnicy. Co się tyczy Vita Corleone, nie była to jego sprawa. Zapomniał o niej prawie natychmiast.

Podczas pierwszej wojny światowej, kiedy zaczęło brakować oliwy, Fanucci nabył udział w sklepie spożywczym Abbandandów, zaopatrując go nie tylko w oliwę, lecz także w importowane włoskie salami, szynki i sery. Następnie wprowadził do sklepu swojego siostrzeńca i Vito Corleone znalazł się bez pracy.

Przez ten czas przyszło już na świat jego drugie dziecko, Federico, i Vito Corleone miał cztery gęby do wyżywienia. Dotąd był cichym, bardzo powściągliwym młodym człowiekiem, który zachowywał swoje myśli dla sie-

bie. Syn właściciela sklepu spożywczego, Genco Abbandando, był jego najbliższym przyjacielem, i ku zdziwieniu ich obu Vito jął czynić przyjacielowi wyrzuty za postępek ojca. Genco, zarumieniony ze wstydu, zaręczył Vitowi, że nie będzie musiał troszczyć się o pożywienie. On, Genco, będzie kradł je ze sklepu, by zaspokoić potrzeby przyjaciela. Tę propozycję Vito odrzucił surowo jako zbyt haniebną – syn okradający ojca.

Jednakże Vito czuł zimną nienawiść do groźnego Fanucciego. Nigdy jej nie okazał i czekał. Przepracował kilka miesięcy na kolei, a potem, gdy wojna się skończyła, było trudniej o zajęcie i mógł otrzymywać ledwie kilkudniową płacę na miesiąc. Poza tym majstrowie byli w większości Irlandczykami i Amerykanami i wymyślali robotnikom najplugawszymi słowami, co Vito zawsze znosił z kamienną twarzą, tak jakby nic nie rozumiał, choć znał bardzo dobrze angielski, pomimo swojego akcentu.

Pewnego wieczoru, gdy Vito jadł kolację z rodziną, zapukano do okna wychodzącego na wewnętrzny szyb wentylacyjny, który ich oddzielał od sąsiedniego budynku. Kiedy Vito odsunął zasłonę, ujrzał ku swemu zdumieniu jednego z młodych ludzi z dzielnicy, Petera Clemenzę, wychylnego z okna po drugiej stronie szybu. Wyciągnął on ku niemu owinięty w białe płótno tłumoczek.

– Hej, *paisan* – powiedział Clemenza. – Przechowaj mi to, póki się nie upomnę. Pospiesz się.

Vito odruchowo wychylił się nad pustą przestrzeń szybu i wziął tłumoczek. Twarz Clemenzy była napięta i zgorączkowana. Znalazł się w jakichś tarapatach i Vito pomógł mu instynktownie. Kiedy rozwinął tłumoczek w kuchni, zobaczył pięć naoliwionych rewolwerów plamiących białe płótno. Schował je do szafki w sypialni i czekał. Dowiedział się, że Clemenzę zabrała policja. Musieli pukać do jego drzwi, kiedy podawał rewolwery nad szymbem.

Vito nie powiedział nikomu ani słowa, a jego wystraszona żona także nie śmiała o tym nawet pisać, z obawy, żeby mąż nie poszedł do więzienia. Dwa dni później Peter Clemenza pojawił się na nowo w dzielnicy i spytał Vita od niechcienia:

– Masz pan jeszcze mój towar?

Vito kiwnął głową. Miał zwyczaj mówić niewiele. Clemenza przyszedł do jego mieszkania i dostał szklankę wina, a Vito wydobył tobolek z szafki.

Clemenza popijał wino i z ociężałą, jowialną miną czujnie obserwował

Vita.

– Zaglądałeś do środka?

Vito, z nieprzeniknioną twarzą, potrząsnął głową.

– Nie interesuję się rzeczami, które mnie nie dotyczą.

Popijali razem wino przez resztę wieczoru. Wydali się sobie wzajemnie sympatyczni. Clemenza był dobrym gawędziarzem, Vito Corleone dobrym słuchaczem gawędziarzy. Zaprzyjaźnili się.

Kilka dni później Clemenza zapytał żonę Vita Corleone, czy chciałaby dostać ładny dywan do swego saloniku. Zabrał ze sobą Vita, by pomógł mu przynieść ów dywan.

Clemenza zaprowadził Vita do kamienicy z dwoma marmurowymi filarami i marmurowym portykiem. Otworzył kluczem drzwi i znaleźli się w zbytkownym mieszkaniu. Clemenza mruknął:

– Idź pan na drugi koniec pokoju i pomóż mi to zwinąć.

Dywan był kosztowny, z czerwonej wełny. Vita Corleone zdumiała szczodrość Clemenzy. Zwinęli razem dywan w rulon, Clemenza ujął go za jeden koniec, Vito za drugi. Dźwignęli go i ruszyli ku drzwiom.

W tej chwili rozległ się dzwonek. Clemenza natychmiast upuścił dywan i podszedł do okna. Odsunął zasłonę, i to, co ujrzał, sprawiło, że wydobylł spod marynarki rewolwer. Dopiero w tej chwili Vito Corleone uświadomił sobie, że kradną dywan z czyjegoś mieszkania.

Dzwonek zadzwonił znowu. Vito stanął obok Clemenzy, tak że sam też widział, co się dzieje. Pod drzwiami był policjant w mundurze. Kiedy patrzyli, policjant nacisnął dzwonek po raz ostatni, potem wzruszył ramionami i zszedł po marmurowych schodach na ulicę.

Clemenza mruknął z zadowoleniem:

– Chodź pan, idziemy. – Podniósł jeden koniec dywanu, a Vito drugi. Policjant ledwie zdążył skrócić za róg, gdy wysunęli się z ciężkich dębowych drzwi na ulicę, dźwigając razem dywan. Trzydzieści minut później przykrawali dywan, aby go dopasować do saloniku w mieszkaniu Vita Corleone. Zostało im jeszcze dość na sypialnię. Clemenza pracował zręcznie, a w kieszeniach swej obszernej, źle dopasowanej marynarki (już wtedy lubił nosić luźne ubrania, choć nie był taki tłusty) miał narzędzia niezbędne do cięcia dywanów.

Czas mijał, sytuacja się nie poprawiała. Rodzina Corleone nie mogła jeść pięknego dywanu. W porządku, skoro nie ma pracy, żona i dzieci muszą

przymierać głodem. Vito wziął kilka paczek jedzenia od przyjaciela Genco, a jednocześnie zastanawiał się nad swoim położeniem. W końcu zwrócili się doń Clemenza i Tessio, drugi młody chuligan z dzielnicy. Obaj mieli o nim dobrą opinię i wiedzieli, że jest zdesperowany. Zaproponowali mu przystąpienie do ich gangu, który specjalizował się w porywaniu ciężarówek z jedwabnymi sukniami po załadowaniu ich w wytwórni na Trzydziestej Pierwszej Ulicy. Nie było żadnego ryzyka. Kierowcy ciężarówek byli rozsądnymi pracownikami, którzy na widok rewolweru sfruwali na chodnik jak aniołki, a porywacze odjeżdżali ciężarówką, którą rozładowywano w składzie pewnego znajomego. Część towaru zbywano włoskiemu hurtownikowi, część łupu rozsprzedawano po domach we włoskich dzielnicach – na Arthur Avenue w Bronksie, na Mulberry Street i w dzielnicy Chelsea na Manhattanie. W ten sposób ubogie włoskie rodziny miały okazję kupić tanio piękne stroje dla swoich córek, na które nigdy nie mogłyby sobie pozwolić. Clemenza i Tessio potrzebowali Vita jako kierowcy, ponieważ wiedzieli, że rozwoził towary ciężarówką sklepu spożywczego Abbandandów. W 1919 roku wytrawni kierowcy samochodowi byli na wagę złota.

Wbrew własnemu rozsądkowi Vito Corleone przyjął ich ofertę. Ostatecznym argumentem było to, że miał dostać na czysto co najmniej tysiąc dolarów za swój udział w robocie. Jednakże jego towarzysze wydawali mu się nieostrożni, planowanie roboty nieprzemyślane, rozprowadzanie łupu lekko-myślne. Całe ich podejście było zbyt beztroskie jak na jego gust. Uważał jednak, że mają dobre, zdrowe charaktery. Peter Clemenza, już wtedy tęgi, budził niejakie zaufanie, a szczupły, pośpny Tessio sympatię.

Sama robota poszła gładko. Vito Corleone, ku swemu zdumieniu, nie czuł strachu, gdy jego dwaj towarzysze błysnęli rewolwerami i kazali kierowcy wysiąść z ciężarówki z jedwabiem. Imponował mu także spokój Clemency i Tessia. Nie byli podnieceni, żartowali z kierowcą, mówili mu, że jeśli będzie grzeczny, przyślą mu parę sukienek dla żony. Ponieważ Vito uważał, że głupio byłoby handlować sukniami samemu, całą swoją część przekazał paserowi i zarobił ledwie siedemset dolarów. Jednakże w roku 1919 była to suma poważna.

Nazajutrz Vita Corleone zatrzymał na ulicy Fanucci w kremowym ubraniu i białym kapeluszu. Fanucci miał wygląd brutala i nic nie czynił, by ukryć bliznę, która biegła białym półkolem od ucha do ucha, zachodząc jak pętla pod brodę. Miał gęste, czarne brwi i pospolitą twarz, która, gdy się uśmie-

chał, była w jakiś dziwny sposób sympatyczna. Mówił z bardzo silnym akcentem sycylijskim.

– No, młody człowieku – zwrócił się do Vita. – Ludzie powiadają, że jesteś bogaty. Ty i twoi dwaj przyjaciele. Ale czy nie myślisz, że potraktowaliście mnie trochę kaprawo? Bądź co bądź jest to moja dzielnica i powinniście pozwolić mi trochę umoczyć dziób. – Użył sycylijskiego powiedzenia mafii, *fari vagnari a pizzu*. *Pizzu* oznacza dziób małego ptaka, takiego jak kanarek. Samo powiedzenie było domaganiem się części łupu.

Vito Corleone, jak miał w zwyczaju, nic nie odpowiedział. Od razu zrozumiał, o co chodzi, i czekał na określone żądanie.

Fanucci uśmiechnął się do niego, odsłaniając złote zęby i napinając pętlę blizny wkoło twarzy. Otarł twarz chustką i rozpiął na chwilę marynarkę, jak gdyby chcąc się ochłodzić, lecz w gruncie rzeczy po to, by pokazać rewolwer zatknięty za pasek luźnych spodni. Potem westchnął i rzekł:

– Daj mi pięć stów, to zapomnę o tej zniewadze. Ostatecznie młodzi ludzie nie znajdują się na uprzejmościach należnych człowiekowi takiemu jak ja.

Vito Corleone uśmiechnął się do niego i chociaż był młodym człowiekiem jeszcze niesplamionym krwią, w jego śmiechu było coś tak mrozącego, że Fanucci zawahał się chwilę, nim począł mówić dalej:

– W przeciwnym razie przyjdzie odwiedzić cię policja, twoja żona i dzieci będą pohańbione i zostaną bez środków do życia. Ma się rozumieć, jeżeli moje informacje co do twoich zysków są nieścisłe, opuszczę trochę. Ale nie zejdem poniżej trzystu dolarów. I nie próbuj wywieść mnie w pole.

Po raz pierwszy Vito Corleone przemówił. Jego ton był rozsądny, nie przejawiał gniewu. Mówił uprzejmie, jak przystoi młodemu człowiekowi zwracającemu się do starszego mężczyzny, tak wybitnego jak Fanucci. Powiedział:

– Moi dwaj przyjaciele mają moją część pieniędzy, będę musiał z nimi pomówić.

Fanucci się uspokoił.

– Możesz przekazać swoim dwóm przyjacielom, iż spodziewam się, że dadzą mi umoczyć dziób w taki sam sposób. Nie bój się im tego przekazać – dodał uspokajająco. – Clemenza i ja znamy się doskonale, on te rzeczy rozumie. Pozwól mu sobą pokierować. Ma więcej doświadczenia w tych sprawach.

Vito Corleone wzruszył ramionami. Usiłował zrobić nieco zakłopotaną minę.

– Oczywiście – powiedział. – Pan rozumie, że to wszystko jest dla mnie nowe. Dziękuję, że pan ze mną rozmawia jak ojciec chrzestny.

Na Fanuccim zrobiło to wrażenie.

– Jesteś porządnym chłopcem. – Ujął dłoń Vita w swoje włochate łapy. – Masz szacunek. To piękna rzecz u młodych. Następnym razem pogadaj najpierw ze mną, dobrze? Może będę mógł ci pomóc w twoich planach.

W późniejszych latach Vito Corleone zrozumiał, że tym, co mu kazało postąpić z Fanuccim w tak doskonały, taktyczny sposób, była śmierć jego porwczego ojca, którego mafia zabiła na Sycylii. Ale w owym momencie czuł tylko lodowatą wściekłość, że ten człowiek zamierza obrabować go z pieniędzy, dla których zarobienia ryzykował życie i wolność. Nie bał się. Wówczas pomyślał nawet, że Fanucci jest głupcem. O ile znał Clemenzę, to ów masywny Sycylijczyk prędzej oddałby życie niż jednego centa ze swego łupu. Bądź co bądź Clemenza był gotów zabić policjanta jedynie po to, by ukraść dywan. A szczupły Tessio miał mordercze wejrzenie żmii.

Jednakże później tego wieczoru, w mieszkaniu Clemenzy, po drugiej stronie szybu wentylacyjnego, Vito Corleone otrzymał następną lekcję w ramach świeżo rozpoczętej edukacji. Clemenza kłął, Tessio patrzył spode łba, ale potem obaj zaczęli dyskutować, czy Fanucci zadowoliliby się dwustoma dolarami. Tessio uważał, że to możliwe. Clemenza był pewny swego.

– Nie, ten bliznowaty drań musiał się dowiedzieć, ileśmy dostali od hurtownika, który kupił te suknie. Fanucci weźmie trzysta dolarów i ani centa mniej. Będziemy musieli zapłacić.

Vito był tym zdumiony, ale pilnował się, by nie okazać swego zdziwienia.

– Dlaczego musimy mu zapłacić? Co on może nam zrobić? Jesteśmy silniejsi od niego. Mamy broń. Dlaczego musimy oddać pieniądze, któreśmy zarobili?

Clemenza wyjaśnił cierpliwie:

– Fanucci ma przyjaciół, prawdziwych drani. Ma powiązania z policją. Chciałby, żebyśmy mu wyjawili nasze plany, bo mógłby nadać nas glinom i zyskać sobie ich wdzięczność. Wtedy byliby mu winni uprzejmość. Tak on pracuje. I ma od samego Maranzallego zezwolenie na obrabianie tej dzielnicy.

Maranzalla był gangsterem, którego nazwisko często gościło na łamach gazet, był znany jako przywódca szajki przestępczej, specjalizującej się w wymuszeniach, hazardzie i napadach rabunkowych z bronią w rękę.

Clemenza podał wino własnej roboty. Jego żona, postawiwszy na stole półmisek z salami i oliwkami oraz bochenek włoskiego chleba, wyszła zasiąść przed domem ze swymi przyjaciółkami i zabrała ze sobą krzesło. Była młodą Włoszką, przebywającą w tym kraju zaledwie od paru lat, i nie rozumiała jeszcze po angielsku.

Vito Corleone zasiadł ze swymi dwoma przyjaciółmi i popijał wino. Nigdy jeszcze nie posługiwał się swoją inteligencją tak intensywnie, jak w tej chwili. Zdziwiony był, że potrafi myśleć tak jasno. Przypomniawszy sobie wszystko, co wiedział o Fanuccim. Przypomniawszy sobie ów dzień, gdy poderżnięto mu gardło, a on biegł ulicą, trzymając kapelusz pod brodą, by chwycić ciekącą krew. Przypomniawszy sobie, jak zamordowano chłopaka, który użył noża, a dwóm pozostałym skasowano wyroki dzięki zapłaceniu odszkodowania. I nagle nabrał pewności, że Fanucci nie ma wielkich stosunków, nie może ich mieć. Skoro jest człowiekiem, który donosi policji. Skoro jest człowiekiem, który przyjmuje wykup za zemstę. Prawdziwy *mafioso* kazałby zabić tamtych dwóch. Nie. Fanucciemu powiodło się i zabił jednego, ale wiedział, że nie zdołałby zabić dwóch pozostałych, kiedy już zostali zaalarmowani. Więc pozwolił zapłacić. To osobista, brutalna siła tego człowieka umożliwia mu ściąganie haraczu od sklepikarzy, od gier hazardowych, prowadzonych w mieszkaniach. Ale Vitowi Corleone wiadomo było co najmniej o jednym domu gry, który nigdy nie płacił daniny Fanucciemu, a mimo to nic się nigdy nie stało temu, kto go prowadził.

A zatem był tylko sam Fanucci. Albo Fanucci z paroma rewolwerowcami, których najmował do specjalnych zadań na bazie czysto gotówkowej. To zaś kazało Vitowi Corleone podjąć inną decyzję co do kierunku, jaki musiało obrać jego życie.

Z tego doświadczenia zrodziło się jego często powtarzane przekonanie, że każdy człowiek ma tylko jedno przeznaczenie. Owego wieczoru mógł wpłacić Fanucciemu haracz i znowu zostać ekspedientem w sklepie spożywczym, a z biegiem lat może dorobić się własnego sklepu. Ale przeznaczenie zadecydowało, że miał zostać donem, i przywiodło doń Fanucciego, by go skierować na przeznaczoną mu drogę.

Kiedy skończyli butelkę wina, Vito powiedział ostrożnie do Clemenzy i Tessia:

– Jeżeli chcecie, może dalibyście mi po dwieście dolarów, żeby zapłacić Fanucciemu? Gwarantuję, że przyjmie tę sumę. A potem zostawicie wszystko

w moich rękach. Załatwię ten problem ku waszemu zadowoleniu.

Oczy Clemenzy od razu zabłyśły podejrzliwością. Vito powiedział mu zimno:

– Nigdy nie kłamię ludziom, których uznałem za przyjaciół. Sam pomów jutro z Fanuccim. Niech cię poprosi o pieniądze. Ale mu nie płać. I nie kłóć się z nim o nic. Powiedz mu, że musisz zebrać pieniądze, i oddasz je mnie, abym mu przekazał. Daj mu do zrozumienia, że jesteś gotów zapłacić, ile żąda. Nie targuj się. Ja będę się z nim wyklócał o sumę. Nie ma sensu rozjuścić go, jeżeli jest taki niebezpieczny, jak powiadasz.

Na tym poprzestali. Następnego dnia Clemenza rozmówił się z Fanuccim, by się upewnić, że Vito nie zmyślił całej historii. Potem przyszedł do mieszkania Vita i wręczył mu dwieście dolarów. Zerknął na Vita Corleone i rzekł:

– Fanucci powiedział mi, że nie może być niżej trzystu dolarów. Jak go namówisz, żeby wziął mniej?

Vito Corleone odpowiedział rozsądnie:

– To chyba nie twoja rzecz. Tylko pamiętaj, że wyświadczyłem ci przysługę.

Tessio przyszedł później. Był bardziej powściągliwy niż Clemenza, bystrzejszy, sprytniejszy, ale nie miał w sobie takiej mocy. Wyczuwał, że coś tu nie gra, że coś jest nie całkiem w porządku. Był trochę zaniepokojony. Powiedział do Vita Corleone:

– Uważaj na siebie z tym draniem Czarnej Ręki, jest podstępny jak ksiądz. Chcesz, żebym tu był jako świadek, kiedy mu będziesz wręczał pieniądze?

Vito Corleone potrząsnął głową. Nawet nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć. Po prostu rzekł do Tessia:

– Przekaż Fanucciemu, że mu wręcę pieniądze tu, w moim domu, dziś o dziewiątej wieczorem. Będę musiał dać mu wina i pogadać, przekonać go, żeby wziął mniejszą sumę.

Tessio potrząsnął głową.

– Nie bardzo ci się uda. Fanucci nigdy się nie cofa.

– Porozumuję z nim – odparł Vito Corleone. Miało to się stać słynnym powiedzeniem w następnych latach. Miało się stać ostrzegawczym zgrzytnięciem przed zabójczym ciosem. Kiedy został donem i prosił przeciwników, by z nim zasiedli i porozumowali, wiedzieli, że jest to ostatnia szansa rozwiązania sprawy bez rozlewu krwi i morderstwa.

Vito Corleone kazał żonie wyjść po kolacji na ulicę z obydwoma chłopca-

mi, Sonnym i Fredem, i pod żadnym pozorem nie wracać do domu, dopóki jej nie zezwoli. Miała siedzieć na straży u wejścia do kamienicy. On sam miał do omówienia z Fanuccim pewne poufne sprawy, których nie można było przerywać. Zauważył wyraz przestachu na jej twarzy i to go rozgniewało. Zapytał spokojnie:

– Myślisz, że wyszłaś za głupca?

Nie odpowiedziała. Nie odpowiedziała dlatego, że się bała, już teraz nie Fanucciego, ale własnego męża. Przemieniał się w jej oczach z godziny na godzinę w człowieka, z którego emanowała jakaś niebezpieczna siła. Dotąd był cichy, małomówny, ale zawsze łagodny, zawsze rozsądny, co było niezwykłe u młodego Sycylijczyka. A w tej chwili widziała, jak zrzucał ochronną barwę nieszkodliwego szarego człowieka, gotując się do pójścia ku swemu przeznaczeniu. Zaczynał późno, miał lat dwadzieścia pięć, ale zaczynał z rozmachem.

Vito Corleone postanowił zamordować Fanucciego. Uczyniwszy to, miałby siedemset dolarów ekstra w kieszeni. Trzysta dolarów, które sam musiałby wpłacić terroryście z Czarnej Ręki, oraz po dwieście dolarów od Tessia i Clemency. Gdyby nie zabił Fanucciego, musiałby mu wpłacić siedemset dolarów gotówką.

Żywy Fanucci nie był dla niego wart siedemset dolarów. Nie miał ochoty stracić siedemset dolarów, żeby zachować Fanucciego przy życiu. Gdyby Fanucci potrzebował siedemset dolarów na operację, która uratowałaby mu życie, nie dałby mu siedemset dolarów na chirurga. Nie był mu winien żadnej osobistej wdzięczności, nie łączyło ich pokrewieństwo, nie kochał Fanucciego. Dlaczego więc miałby mu dać siedemset dolarów?

A z tego wynikało nieuchronnie, że skoro Fanucci chciał zabrać mu siłą siedemset dolarów, to dlaczego nie miałby go zabić? Świat na pewno mógł obejść się bez takiego człowieka.

Ma się rozumieć, były pewne względy praktyczne. Fanucci mógł istotnie mieć potężnych przyjaciół, którzy szukaliby zemsty. Sam Fanucci był człowiekiem niebezpiecznym, niełatwym do zabicia. Była także policja i elektryczne krzesło. Ale Vito Corleone żył z wyrokiem śmierci od czasu zamordowania ojca. Jako dwunastoletni chłopiec wymknął się swoim oprawcom i przepłynął przez ocean do obcego kraju, przybierając obce nazwisko. A lata spokojnej obserwacji przekonały go, że ma więcej inteligencji i więcej odwagi niż inni, aczkolwiek nigdy nie nadarzyła mu się sposobność posłużenia się

tą inteligencją i odwagą.

Mimo to wahał się przed postawieniem pierwszego kroku na drodze do swego przeznaczenia. Zwinął nawet owe siedemset dolarów w jeden zwój banknotów i umieścił go poręcznie w bocznej kieszeni spodni. Jednakże pieniądze włożył w lewą kieszeń. Do prawej wsadził rewolwer, który dał mu Clemenza przy porwaniu ciężarówki z jedwabiami.

Fanucci zjawił się punktualnie o dziewiątej wieczorem. Vito Corleone wyciągnął dzbanek domowego wina od Clemenzy.

Fanucci położył biały pilśniowy kapelusz na stole, obok dzbanka z winem. Rozluźnił szeroki, kwiecisty krawat, na którym plamy po sosie pomidorowym gubiły się wśród barwnego wzoru. Letni wieczór był upalny, światło gazowe słabe. W mieszkaniu było bardzo cicho. Ale Vito Corleone był zadowolony. Aby okazać swą dobrą wolę, wręczył plik banknotów i przypatrywał się bacznie, kiedy Fanucci, po ich przeliczeniu, wyjął duży skórzany portfel i wsadził pieniądze do środka. Fanucci pociągnął wina ze szklanki i powiedział:

– Jesteś mi jeszcze winien dwieście dolarów. – Jego twarz o gęstych brwiach była pozbawiona wyrazu.

Vito Corleone odrzekł swym chłodnym, rozsądnym głosem:

– Jestem trochę spłukany, byłem bez pracy. Niech pan pozwoli, że będę panu dłużny te pieniądze jeszcze przez parę tygodni.

To było dopuszczalne ryzyko. Fanucci miał lwią część pieniędzy i mógł poczekać. Mógł nawet dać się nakłonić, by nie brać więcej albo zaczekać trochę dłużej. Zachichotał nad szklanką wina i powiedział:

– A, cwany z ciebie młodziak. Jakim sposobem nie zwróciłem dotąd na ciebie uwagi? Jesteś za cichy jak na swój własny interes. Mógłbym ci znaleźć jakąś robotę, która byłaby bardzo zyskowna.

Vito Corleone okazał zainteresowanie uprzejmym kiwnięciem głowy i nappełnił mu szklankę z fioletowego dzbanka. Ale Fanucci rozmyślił się, choć już miał coś powiedzieć, wstał z krzesła i uścisnął Vitowi rękę.

– Dobranoc, młody człowieku – rzekł. – Bez urazy, co? Jakbym mógł kiedyś wyświadczyć ci przysługę, daj mi znać. Zrobiłeś dzisiaj dobrą robotę dla siebie.

Vito czekał, aż Fanucci zszedł po schodach w dół. Na ulicy było pełno ludzi mogących zaświadczyć, że Fanucci wyszedł cało od Corleone. Vito obserwował go z okna. Zobaczył, że Fanucci skręcił za róg w Jedenastą Aleję,

i wiedział, że idzie do swego mieszkania, zapewne po to, by schować zdobycz przed ponownym wyjściem na ulicę. I może, aby zostawić broń. Vito Corleone wyszedł z mieszkania i wbiegł po schodach na dach. Przemierzył kwadratowy blok dachów i zszedł po schodkach przeciwpożarowych pustego budynku składowego na tylne podwórko. Kopnięciem otworzył drzwi od podwórka i wyszedł od frontu na ulicę. Naprzeciwko był dom, w którym mieszkał Fanucci.

Osiedle domów mieszkalnych sięgało na zachód tylko do Dziesiątej Alei. Na Jedenastej były głównie magazyny i składy wynajmowane przez firmy, które wysyłały towary Nowojorską Koleją Centralną i chciały mieć dostęp do stacji załadunkowych rozlokowanych na obszarze między Jedenastą Aleją a rzeką Hudson. Kamienica Fanucciego była jedną z nielicznych pozostałych na tym pustkowiu, a zamieszkiwali w niej głównie nieżonaci kolejarze, robotnicy dworcowi oraz najtańsze prostytutki. Ci ludzie nie przesiadywali na ulicy i nie plotkowali jak uczciwi Włosi; siedzieli po piwiarniach i przepijali swoją płacę. Dlatego też Vito Corleone bez trudności przemknął się na drugą stronę opustoszałej Jedenastej Alei i do sieni domu Fanucciego. Tam wydobył rewolwer, z którego jeszcze nigdy nie wystrzelił, i czekał na Fanucciego.

Wyglądał przez oszklone drzwi sieni wiedząc, że Fanucci nadejdzie od Dziesiątej Alei. Clemenza pokazał mu bezpiecznik rewolweru, a Vito wypróbował broń niezaładowaną. Ale jako mały, zaledwie dziewięcioletni chłopak, na Sycylii często chodził na polowania z ojcem i często strzelał z ciężkiej fuzji zwanej *lupara*. Właśnie umiejętność w obchodzeniu się z *luparą* już wtedy, kiedy był małym chłopcem, ściągnęła nań wyrok śmierci wydany przez morderców ojca.

Teraz, czekając w ciemnej sieni, ujrzał białą plamę; musiał to być Fanucci, zbliżający się przez ulicę do wejścia. Vito cofnął się i przywarł plecami do wewnętrznych drzwi prowadzących na schody. Wyciągnął przed siebie rewolwer gotowy do strzału. Jego wyciągniętą rękę dzieliły od zewnętrznych drzwi zaledwie dwa kroki. Drzwi te rozwarły się. Fanucci – biały, masywny, cuchnący, wypełnił sobą prostokąt światła. Vito Corleone strzelił.

Przez otwarte drzwi huk strzału rozgrzmiał częściowo na ulicy, częściowo wstrząsnął budynkiem. Fanucci uchwycił się framugi drzwi, usiłując ustać na nogach, próbując sięgnąć po broń. Te gwałtowne zmagania urwały mu guziki marynarki, która się rozchyliła. To odsłoniło jego rewolwer, lecz także pajęczą smuzkę czerwieni na białej koszuli na brzuchu. Bardzo starannie, tak jak-

by wbijał igłę w żyłę, Vito Corleone wystrzelił drugi pocisk w ową czerwoną pajęczynę.

Fanucci upadł na kolana, podpierając ciałem otwarte drzwi. Wydał z siebie przeraźliwy jęk, jęk człowieka w wielkiej fizycznej męce, który był prawie komiczny. I dalej wydawał z siebie te jęki; Vito pamiętał, że usłyszał co najmniej trzy, zanim przyłożył rewolwer do spoconego, tłustego policzka Fanucciego i strzelił mu prosto w mózg. Nie minęło pięć sekund i Fanucci osunął się w śmierć, tarasując otwarte drzwi swoim ciałem.

Bardzo ostrożnie Vito wyjął duży portfel z kieszeni marynarki zabitego i wetknął go sobie za koszulę. Potem przeszedł na drugą stronę ulicy do magazynu i dalej na podwórko i wdrapał się po schodkach przeciwpożarowych na dach. Stamtąd wyjrzał na ulicę. Ciało Fanucciego leżało nadal w progu, ale poza tym nigdzie, nikogo nie było widać. W kamienicy otwały się dwa okna i Vito zobaczył wytknięte ciemne głowy, ponieważ jednak nie mógł dojrzeć twarzy, z pewnością i oni nie dojrżeli jego. A zresztą tacy ludzie nie donieśliby policji. Fanucci mógł tam leżeć do świtu albo do chwili, gdy jakiś stróż prawa natknąłby się podczas obchodu na jego zwłoki. Nikt z tego domu nie naraziłby się świadomie na podejrzenia czy pytania policji. Pozamykali drzwi i udawali, że nic nie słyszeli.

Mógł się nie spieszyć. Przeszedł na dach do zejścia na strych w swym własnym domu, a potem na dół do swego mieszkania. Otworzył drzwi, wszedł do środka i zamknął je za sobą na klucz. Przeszukał portfel zabitego. Oprócz tych siedmuset dolarów, które dał Fanucciemu, było tylko parę jedynek i banknot pięciodolarowy.

W wewnętrzną przegródkę była wetknięta stara złota pięciodolarówka, prawdopodobnie na szczęście. Jeżeli Fanucci był bogatym gangsterem, to w każdym razie nie nosił przy sobie swojej fortuny. To potwierdziło niektóre podejrzenia Vita.

Wiedział, że musi się pozbyć portfela i rewolweru (już wtedy orientował się, że powinien zostawić w portfelu złotą monetę). Wyszedł ponownie na dach i przelazł przez kilka obmurowań. Wrzucił portfel do jednego z szybów wentylacyjnych, a potem rozładował rewolwer i trzasnął lufą o krawędź dachu. Lufa nie chciała się złamać. Ujął rewolwer za drugi koniec i uderzył kolbą o ściankę komina. Kolba pękła na pół. Uderzył raz jeszcze i rewolwer rozłamał się na dwie części, kolbę i lufę. Wrzucił je osobno do dwóch szybów wentylacyjnych. Nie uczyniły żadnego hałasu, spadając pięć pięter niżej,

gdyż pograżyły się w miękkich stosach śmieci, które się tam nazbierały. Rano ludzie mieli wyrzucić przez okna dalsze śmieci, które przy odrobinie szczęścia pokryłyby wszystko. Vito wrócił do swego mieszkania.

Drżał trochę, ale był całkowicie opanowany. Zdjął ubranie i obawiając się, że mogło na nie bryznąć trochę krwi, wrzucił je do metalowej wanienki, której jego żona używała do prania. Wziął ług i gęste szare mydło, namoczył ubranie i wyprał je na metalowej tarze pod kranem. Potem wymył wanienkę ługiem i mydłem. W kącie sypialni znalazł tobolek świeżo upranej odzieży i przemieszał z nią swoje rzeczy. Następnie włożył świeżą koszulkę i spodnie i zszedł na dół, by się przyłączyć do żony, dzieci i sąsiadów przed kamienicą.

Wszystkie te środki ostrożności okazały się niepotrzebne. Policja po znalezieniu trupa o świcie nie przesłuchiwała nigdy Vita Corleone. W istocie był zdumiony, że nie dowiedziała się w ogóle o odwiedzinach Fanucciego w jego mieszkaniu tego wieczoru, gdy został zastrzelony. Vito liczył, że to będzie jego alibi, bo Fanucci wyszedł żywy z kamienicy. Dopiero później dowiedział się, że policja była zadowolona z zamordowania Fanucciego i niezbyt się kwapiła do ścigania jego zabójców. Uznano, że była to jeszcze jedna gangsterska egzekucja, i przesłuchano chuliganów notowanych za nielegalne afery i napady. Ponieważ Vito nigdy nie miał takich kłopotów, więc nie wypłynął w ogóle.

O ile jednak przechytrył policję, to z jego współnikami była zupełnie inna sprawa. Peter Clemenza i Tessio unikali go przez następny tydzień, przez dwa tygodnie, wreszcie któregoś wieczoru zjawili się u niego. Przyszli z wyraźnym respektem. Vito Corleone powitał ich ze spokojną uprzejmością i poczęstował winem.

Clemenza przemówił pierwszy. Powiedział cicho:

– Nikt nie inkasuje od właścicieli sklepów na Dziewiątej Alei. Nikt nie inkasuje od gier karcianych i hazardowych w dzielnicy.

Vito Corleone popatrzył na nich spokojnie, ale milczał. Tessio rzekł:

– Moglibyśmy przejąć klientów Fanucciego. Płaciliby nam.

Vito Corleone wzruszył ramionami.

– Dlaczego przychodzicie z tym do mnie? Nie interesuję się takimi rzeczami.

Clemenza roześmiał się. Nawet w młodości, nim wyhodował sobie ogromne brzuszisko, miał śmiech tłuściocha. Powiedział do Vita:

– A co z tą spluwą, którą ci dałem na robotę z ciężarówką? Skoro nie bę-

dzie ci już potrzebna, możesz mi ją zwrócić.

Bardzo powoli i spokojnie Vito Corleone wyjął z bocznej kieszeni zwitek banknotów i odliczył pięć dziesiątek.

– Proszę, zapłacę ci. Wyrzuciłem tę broń po robocie z ciężarówką. – Uśmiechnął się do obu mężczyzn.

Naówczas Vito Corleone nie zdawał sobie sprawy z efektu tego uśmiechu. Był on mrozący, gdyż nie zawierał groźby. Vito uśmiechał się tak, jakby to był jakiś prywatny żart, który tylko on sam mógł docenić. Ponieważ jednak uśmiechał się w ten sposób jedynie w sytuacjach, które pachniały śmiercią, i ponieważ żart nie był w gruncie rzeczy prywatny, a oczy Vita nie uśmiechały się, i ponieważ zewnętrznie robił zazwyczaj wrażenie takiego rozsądnego i spokojnego, nagłe odsłonięcie jego prawdziwego „ja” budziło lęk.

Clemenza potrząsnął głową.

– Nie chcę tych pieniędzy – powiedział.

Vito schował banknoty do kieszeni. Czekał. Wszyscy trzej rozumieli się wzajemnie. Wiedzieli, że zabił Fanucciego, a chociaż nigdy nikomu o tym nie mówili, po paru tygodniach wiedziała też cała dzielnica. Wszyscy zaczęli traktować Vita Corleone jako „człowieka szanowanego”. Nie uczynił jednak żadnej próby przejęcia afer i haraczów Fanucciego.

To, co nastąpiło potem, było nieuniknione. Pewnego wieczoru żona Vita przyprowadziła do domu sąsiadkę, wdowę. Była to Włoszka o nieposzlakowanej opinii. Pracowała ciężko na utrzymanie swoich osieroconych przez ojca dzieci. Jej szesnastoletni syn przynosił do domu zaklejoną kopertę ze swoją płacą, aby przekazać ją matce zgodnie z obyczajem starego kraju; siedemnastoletnia córka, krawcowa, robiła to samo. Cała rodzina za niewolniczą płacę przyczepiała po nocach guziki na kartonikach. Kobieta ta nazywała się *signora* Colombo. Żona Vita Corleone powiedziała:

– *Signora* chce ciebie prosić o uprzejmość. Ma pewne kłopoty.

Vito Corleone spodziewał się, że go poprosi o pieniądze, które gotów był dać. Okazało się jednak, że *signora* Colombo miała psa, którego uwielbiał jej najmłodszy synek. Do gospodarza domu napływały skargi, że pies szczeka po nocach, więc powiedział pani Colombo, żeby się go pozbyła. Udała, że to zrobiła. Gospodarz wykrył, że go oszukała, i kazał jej wynieść się z mieszkania. Tym razem obiecała, że naprawdę pozbędzie się psa, i tak też uczyniła. Jednakże gospodarz był tak rozeźlony, że nie chciał odwołać swego nakazu. Ma się wynieść, bo inaczej wezwie policję, by ją wyeksmitowała. A jej bied-

ny mały synek tak się spłakał, kiedy oddali psa krewnym, którzy mieszkali na Long Island. I wszystko na próżno; mieli utracić mieszkanie.

Vito Corleone zapytał łagodnie:

– Dlaczego pani zwraca się do mnie o pomoc?

Pani Colombo wskazała ruchem głowy jego żonę.

– To ona powiedziała mi, żeby pan poprosiła.

Był zaskoczony. Żona nie spytała go nigdy o ubranie, które prał tamtego wieczoru, gdy zamordował Fanucciego. Nie spytała go nigdy, skąd pochodziły te wszystkie pieniądze, skoro nie pracował. Nawet w tej chwili jej twarz była nieprzenikniona. Vito zwrócił się do pani Colombo:

– Mogę dać pani trochę pieniędzy na przeprowadzkę, czy o to chodzi?

Kobieta potrząsnęła głową, cała we łzach.

– Mam tutaj wszystkie moje przyjaciółki, wszystkie dziewczyny, z którymi dorastałam we Włoszech. Jakże mogę się przenieść do innej dzielnicy, między obcych? Chciałabym, żeby pan pomówił z gospodarzem, aby pozwolił mi zostać.

Vito kiwnął głową.

– W takim razie to załatwione. Nie będzie pani musiała się przenosić. Pomówię z nim jutro rano.

Żona obdarzyła go uśmiechem, którego nie odwzajemnił, ale był zadowolony. Pani Colombo miała trochę niepewną minę.

– Jest pan pewien, że on się zgodzi? – zapytała.

– *Signor Roberto?* – odparł Vito zdumionym głosem. – Oczywiście że tak. To człowiek o dobrym sercu. Jak tylko wyjaśnię pani położenie, ulituje się nad pani nieszczęściami. Proszę się tym więcej nie martwić. Proszę się tak nie przejmować. Niech pani dba o swoje zdrowie przez wzgląd na dzieci.

Gospodarz, pan Roberto, zachodził codziennie do dzielnicy, by sprawdzić, co się dzieje w pięciu kamienicach, które do niego należały. Był on *padronem*, człowiekiem, który sprzedawał wielkim korporacjom robotników włoskich prosto ze statku. Za swoje zyski zakupił owe kamienice jedną po drugiej. Był wykształconym człowiekiem z północnych Włoch, miał tylko pogardę dla owych niepiśmiennych południowców z Sycylii i Neapolu, którzy roili się jak robactwo w jego domach, wyrzucali śmieci przez okno, pozwalali, by karaluchy i szczury zżerały jego ściany, i nawet nie kiwnęli palcem, aby

ochronić jego własność. Nie był złym człowiekiem, był dobrym mężem i ojcem, lecz ustawiczna troska o swoje inwestycje, o zarabiane pieniądze, o nieuniknione wydatki, które pociągało za sobą posiadanie własności, stargała mu nerwy na strzępy, tak że stale był rozdrażniony. Kiedy Vito Corleone zatrzymał go na ulicy, prosząc, aby zechciał zamienić z nim parę słów, pan Roberto zachował się szorstko, ale nie brutalnie, gdyż każdy z tych południowców mógł wsadzić człowiekowi nóż pod żebro, jeżeli go urażono, aczkolwiek ten młodzieniec wyglądał na spokojnego.

– *Signor Roberto* – powiedział Corleone. – Przyjaciółka mojej żony, uboga wdowa niemająca mężczyzny, który by się nią opiekował, powiedziała mi, że z jakiejś przyczyny kazano jej wyprowadzić się z mieszkania w pańskiej kamienicy. Jest w rozpacz. Nie ma pieniędzy i nie ma przyjaciół z wyjątkiem tych, co tutaj mieszkają. Powiedziałem jej, że z panem pomówię, że pan jest rozsądnym człowiekiem, który to zrobił wskutek jakiegoś nieporozumienia. Pozbyła się tego psa, który spowodował cały kłopot, więc dlaczego nie miałyby zostać. Zwracam się do pana o tę łaskę jak Włoch do Włocha.

Signor Roberto przypatrzył się stojącemu przed nim młodemu człowiekowi. Ujrzał mężczyznę średniego wzrostu, ale silnej budowy, wieśniaka, ale nie bandytę, chociaż, rzecz śmiechu warta, ośmielał się nazywać siebie Włochem. Roberto wzruszył ramionami.

– Już wynająłem to mieszkanie innej rodzinie za wyższy czynsz. Nie mogę sprawić im zawodu z powodu pańskiej znajomej.

Vito Corleone kiwnął głową ze zrozumieniem.

– O ile więcej miesięcznie? – zapytał.

– O pięć dolarów – odrzekł pan Roberto. Było to kłamstwem. Mieszkanie przy torach kolejowych, cztery ciemne pokoje, wynajmował wdowie za dwaście dolarów miesięcznie, i nie mógł uzyskać więcej od nowego lokatora.

Vito Corleone wyjął z kieszeni zwitek banknotów i odliczył trzy dziesiątki.

– Daję panu z góry sześciomiesięczną nadwyżkę. Nie musi pan nic mówić tej kobiecie, jest bardzo dumna. Proszę zobaczyć się ze mną znowu za pół roku. Ale oczywiście pozwoli pan jej zatrzymać psa.

– Jeszcze czego – odparł Roberto. – Coś pan za jeden, do diabła, żeby mi wydawać rozkazy? Zachowuj się pan odpowiednio, bo wylądujesz na swojej sycylijskiej dupie tu, na ulicy.

Vito Corleone wznosił ręce ze zdumieniem.

– Proszę pana o łaskę, nic więcej. Nigdy nie wiadomo, kiedy można po-

trzebować przyjaciela, nieprawdaż? Proszę, niech pan przyjmie te pieniądze jako oznakę mojej dobrej woli i sam poweźmie decyzję. Nie ośmieliłbym się jej kwestionować. – Wetknął mu w rękę pieniądze. – Niech pan mi zrobi tę drobną uprzejmość i tylko weźmie pieniądze, i przemyśli to sobie. Jeżeli jutro rano będzie pan chciał je zwrócić, to bardzo proszę. Jeżeli pan chce usunąć ze swego domu tę kobietę, jakżebym mógł pana powstrzymać? Ostatecznie to pańska własność. I mogę zrozumieć, że pan nie chce mieć tam psa. Sam nie lubię zwierząt. – Poklepał Roberta po ramieniu. – Niech pan mi zrobi tę przysługę, dobrze? Nie zapomnę tego. Proszę zapytać o mnie swoich znajomych z tej dzielnicy. Powiedzą panu, że jestem człowiekiem, który potrafi okazać wdzięczność.

Pan Roberto zaczynał już rozumieć. Tego wieczoru wypytał się o Vita Corleone. Nie czekał do następnego rana. Tej samej nocy zapukał do drzwi Corleone, przepaszając za spóźnioną porę i przyjął szklanekę wina od *signory* Corleone. Zapewnił Vita Corleone, że to wszystko było okropnym nieporozumieniem, że *signora* Colombo oczywiście może pozostać w mieszkaniu, że oczywiście może zatrzymać psa. Kimże są ci nędzni lokatorzy, żeby uskarżać się na hałaśliwość biednego zwierzęcia, kiedy płacą tak niski czynsz? Na zakończenie rzucił na stół owe trzydzieści dolarów, które mu dał Vito Corleone, i powiedział, jak mógł najszczerzej:

– Pańskie dobre serce w okazywaniu pomocy tej biednej wdowie zawstydzilo mnie i chcę pokazać, że i ja też mam jakieś chrześcijańskie miłosierdzie. Jej czynsz pozostanie taki, jaki był.

Wszyscy zainteresowani ładnie odegrali tę komedię. Vito nalewał wina, wołał o ciastka, ścisnął dłoń pana Roberto i wychwalał jego gorące serce. Roberto wzdychał i mówił, że zawarcie znajomości z człowiekiem takim jak Vito Corleone przywróciło mu wiarę w ludzką naturę. Wreszcie odsunęli się od siebie. Pan Roberto, trzęsący się ze strachu jak galareta na myśl, że tylko cudem uszedł cało, pojechał tramwajem do swego domu w Bronksie i położył się do łóżka. Nie pokazywał się w swych kamienicach przez trzy dni.

Vito Corleone był teraz w dzielnicy „człowiekiem szanowanym”. Powiadano, że jest członkiem sycylijskiej mafii. Pewnego dnia przyszedł do niego człowiek prowadzący gry karciane w umeblowanym pokoju i dobrowolnie zaczął mu wpłacać co tydzień dwadzieścia dolarów w zamian za jego „przy-

jaźń”. Musiał jedynie odwiedzać ów dom gry raz czy dwa razy tygodniowo, ażeby dać graczom do zrozumienia, że są pod jego opieką.

Właściciele sklepów mający problemy z młodymi chuliganami zwrócili się doń o interwencję. Uczynił to i został odpowiednio wynagrodzony. Wkrótce miał już ogromny jak na owe czasy i miejsce dochód w wysokości stu dolarów tygodniowo. Ponieważ Clemenza i Tessio byli jego przyjaciółmi, jego sojusznikami, musiał dawać im część tych pieniędzy, ale robił to bez proszenia. W końcu, razem ze swoim kumplem z lat chłopięcych, Genco Abbando, postanowił wziąć się do importowania oliwy. Genco miał prowadzić interes, importować oliwę z Włoch, kupować ją po odpowiedniej cenie i magazynować w składzie ojca, bo miał doświadczenie konieczne do prowadzenia takiego interesu. Clemenza i Tessio mieli być sprzedawcami. Mieli udać się do wszystkich włoskich sklepów spożywczych na Manhattanie, potem w Brooklynie, potem w Bronksie i przekonać właścicieli, aby zaopatrywali się w oliwę *Genco Pura*. (Z typową dla siebie skromnością Vito Corleone nie chciał jej nadać swego imienia). Vito miał oczywiście być szefem firmy, jako że dostarczał znacznej części kapitału. Poza tym odwoływano by się do niego w specjalnych przypadkach, gdyby właściciele sklepów opierali się handlowym namowom Clemency i Tessia. Wtedy Vito Corleone miał użyć własnej potężnej siły perswazji.

Przez następne parę lat Vito Corleone wiódł zupełnie zadowolający żywot drobnego biznesmena, całkowicie oddanego rozbudowywaniu własnego przedsiębiorstwa handlowego w ramach dynamicznej, rozwijającej się gospodarki. Był dbałym ojcem i mężem, ale tak zajęтым, że mógł poświęcać rodzinie niewiele czasu. W miarę jak oliwa *Genco Pura* stawała się najbardziej poszukiwaną importową oliwą włoską w Ameryce, jego organizacja rozkwitała. Tak jak każdy dobry biznesmen zaczął rozumieć korzyści wynikające z przelicytowywania konkurentów przez niższe ceny, niedopuszczania ich do rynków zbytu przez perswadowanie właścicielom sklepów, aby trzymali na składzie mniej ich towaru. Tak jak każdy dobry biznesmen, zmierzał do zdobycia monopolu przez zmuszanie konkurentów do porzucenia tej branży albo do fuzji z jego własnym przedsiębiorstwem. Ale ponieważ zaczynał, będąc stosunkowo słaby ekonomicznie, ponieważ nie wierzył w reklamę, polegając na ustnych kontaktach, i ponieważ, prawdę mówiąc, jego oliwa nie była lepsza od oliwy konkurentów, nie mógł się posługiwać środkami nacisku zwykłych handlowców. Musiał opierać się na sile własnej osobowości i na swej

reputacji „człowieka szanowanego”.

Będąc jeszcze młodym mężczyzną, Vito Corleone stał się znany jako „człowiek rozsądku”. Nigdy nie uciekał się do groźby. Zawsze posługiwał się logiką, która okazywała się nieodparta. Zawsze dopilnowywał, żeby partner dostał swój udział w zyskach. Nikt nie ponosił straty. Ma się rozumieć, dokonywał tego oczywistymi środkami. Podobnie jak wielu uzdolnionych ludzi interesu zrozumiał, że wolna konkurencja jest marnotrawstwem, a monopol jest efektywny. Toteż po prostu przystąpił do osiągnięcia tego monopolu. W Brooklynie byli pewni hurtownicy oliwy, ludzie o ognistych temperamentach, uparci, niedający posłuchu rozsądkowi, którzy nie chcieli widzieć ani uznać koncepcji Vito Corleone, nawet kiedy wszystko wyjaśniał z najwyższą cierpliwością i wszelkimi szczegółami. Po rozmowach z tymi ludźmi Vito Corleone rozłożył ręce w desperacji i posłał Tessia do Brooklynu, by tam zorganizował kwaterę główną i rozwiązał ten problem. Magazyny zostały spalone, zawartość ocalałych ciężarówek z oliwą rozlana, tak że potworzyły się jeziora na brukowanych kocimi łbami ulicach dzielnicy portowej. Pewien popędliwy mediolańczyk, mający większą wiarę w policję niż święty w Chrystusa, zwrócił się do władz ze skargą na swoich włoskich rodaków, łamiąc dziesięciowiekową regułę *omerta*. Jednakże zanim sprawa nabrała dalszego biegu, hurtownik ów zniknął bez śladu, pozostawiając osamotnioną, kochającą żonę i trójkę dzieci, które, Bogu dzięki, były zupełnie dorosłe i mogły przejąć jego interesy i dojść do porozumienia ze spółką importu oliwy *Genco Pura*.

Jednakże wielcy ludzie nie rodzą się wielkimi, tylko się nimi stają, i tak też było z Vitem Corleone. Kiedy przyszła prohibicja i zabroniono sprzedaży alkoholu, Vito Corleone uczynił ostatni krok od całkiem zwykłego, nieco bezwzględnego biznesmena do wielkiego dona w świecie działalności przestępczej. Nie stało się tak z dnia na dzień, nie stało się w ciągu roku, ale pod koniec okresu prohibicji i na początku wielkiego kryzysu Vito Corleone był już Ojcem Chrzestnym, donem, donem Corleone.

Zaczęło się to dość przypadkowo. W tym czasie spółka *Genco Pura* miała sześć ciężarówek do rozwożenia towaru. Za pośrednictwem Clemency zwróciła się do Vito Corleone grupa włoskich przemytników alkoholu, którzy szmuglowali spirytus i whisky z Kanady. Potrzebowali ciężarówek i konwojentów, ażeby rozprowadzać swój towar po Nowym Jorku. Potrzebowali ludzi pewnych, dyskretnych, odznaczających się determinacją i siłą. Byli goto-

wi zapłacić Vitowi Corleone za jego samochody i ludzi. Zapłata była tak olbrzymia, że Vito Corleone radykalnie ograniczył handel oliwą, aby używać swych ciężarówek niemal wyłącznie na usługi przemytników alkoholu. I to pomimo faktu, że owi panowie dołączyli do swej oferty elegancko zamaskowaną groźbę. Ale Vito Corleone już wtedy był na tyle dojrzały, że nie obrażał się z powodu gróźb ani nie wpadał w gniew, i nie odrzucał przez to korzystnych propozycji. Przeanalizował groźbę, uznał, że nie jest przekonywająca, i nabrał gorszej opinii o swoich nowych współnikach, ponieważ byli na tyle głupi, że stosowali groźby tam, gdzie nie były wcale potrzebne. Była to pożyteczna informacja do rozważenia we właściwym czasie.

I prosperował znowu. A co najważniejsze, zdobywał wiedzę, kontakty i doświadczenie. I mnożył dobre uczynki, jak bankier zabezpieczenia. Albowiem w następnych latach stało się jasne, że Vito Corleone jest nie tylko człowiekiem utalentowanym, ale na swój sposób geniuszem.

Stał się protektorem włoskich rodzin, które zakładały w swoich mieszkaniach małe nielegalne knajpy, sprzedając whisky po piętnaście centów szklanka nieżonatym robotnikom. Został ojcem chrzestnym najmłodszego synka pani Colombo, kiedy chłopak przystąpił do bierzmowania, i dał mu piękny prezent w postaci złotej dwudziestodolarówki. Tymczasem, ponieważ było nieuniknione, że niektóre jego ciężarówki będzie zatrzymywała policja, Genco Abbandando wynajął dobrego adwokata mającego liczne kontakty w policji i sądownictwie. Ustanowiono system opłat i wkrótce organizacja Corleone miała już spory „arkusz”, listę urzędników uprawnionych do pewnej miesięcznej sumy. Kiedy adwokat usiłował ją zredukować, przeprasząc za takie wydatki, Vito Corleone go uspokoił.

– Nie, nie – powiedział. – Wciągnij pan wszystkich, nawet jeżeli nie mogą nam pomóc w tej chwili. Wierzę w przyjaźń i jestem gotów okazać ją pierwszy.

W miarę jak czas upływał, imperium Corleone rozrastało się, przybywały dalsze ciężarówki, „arkusz” się wydłużał. Wzrastała także liczba ludzi pracujących bezpośrednio dla Clemenzy i Tessia. Wszystko to razem stawało się nieporęczne. W końcu Vito Corleone opracował system organizacji. Nadał Clemenzie i Tessiowi tytuły *caporegime*, czyli dowódców, a ludziom działającym pod ich komendą stopnie żołnierzy. Mianował Genca Abbandando swoim doradcą, czyli *consiglieri*. Stworzył wielowarstwową strukturę izolującą go od każdego czynu operacyjnego. Kiedy wydawał rozkazy, przekazy-

wał je tylko Gencowi albo jednemu z *caporegime*. Rzadko miewał świadka wydawania któremuś z nich jakiegoś rozkazu. Następnie podzielił grupę Tessia i powierzył jej Brooklyn. Odseparował też Tessia od Clemenzy i z biegiem lat dał jasno do zrozumienia, że nie chce, aby kontaktowali się ze sobą nawet towarzysko, chyba że było to absolutnie konieczne. Wyjaśnił to bardziej inteligentnemu Tessiowi, który od razu pojął jego intencje, aczkolwiek Vito tłumaczył to jako zabezpieczenie przed prawem. Tessio zrozumiał, że Vito nie chce, aby jego dwaj *caporegime* mieli jakąkolwiek sposobność spiskować przeciwko niemu, i zrozumiał również, że nie ma w tym żadnej złej woli, że chodzi jedynie o taktyczny środek ostrożności. Vito dał w zamian Tessiowi wolną rękę w Brooklynie, podczas gdy bronksowskie lenno Clemenzy zachował pod swoim ścisłym nadzorem. Clemenza był odważniejszy, bardziej zuchwały i okrutniejszy mimo swojej zewnętrznej jowialności i wymagał mocniejszego trzymania w ryzach.

Wielki kryzys zwiększył władzę Vita Corleone. I właśnie mniej więcej w tym czasie zaczęto go nazywać donem Corleone. W całym mieście uczciwi ludzie daremnie zebrali o uczciwą pracę. Dumni znizali się wraz z rodzinami do przyjmowania oficjalnej dobroczynności od wzgardliwych urzędasów. Natomiast ludzie dona Corleone chodzili po ulicach z wysoko podniesionymi głowami, mając kieszenie wypchane srebrnymi i papierowymi pieniędzmi. I bez obawy o utracenie posady. Toteż nawet don Corleone, najskromniejszy z ludzi, nie mógł się oprzeć uczuciu dumy. Opiekował się swoim światem, swoimi ludźmi. Nie zawiódł tych, którzy byli od niego zależni i pracowali dlań w pocie czoła, ryzykowali swoją wolność i życie w jego służbie. A kiedy przez jakiś niepomyślny przypadek któryś z jego pracowników został aresztowany i osadzony w więzieniu, rodzina tego nieszczęśnika otrzymywała pieniądze na życie, i to nie jakiś marny, zebraczy, skąpy datek, lecz taką samą sumę, jaką ów człowiek zarabiał na wolności.

Nie było to oczywiście czystym chrześcijańskim miłosierdziem. Nawet najlepsi przyjaciele nie nazwaliby dona Corleone świętym. W owej szczodrobliwości był także własny interes. Pracownik osadzony w więzieniu wiedział, że musi tylko trzymać język za zębami, a jego żona i dzieci będą otoczone opieką. Wiedział, że jeśli nie będzie sypał na policji, spotka się z ciepłym przyjęciem po wyjściu na wolność. Będzie na niego czekała uczta w domu, najlepsze potrawy, ravioli domowej roboty, wino, ciasta oraz wszyscy przyjaciele i krewni, zebrani, by się radować jego wolnością. A w nocy wpadnie

consiglieri Genco Abbandando, a może nawet sam don, by złożyć uszanowanie takiemu dzielnemu człowiekowi, wypić kieliszek wina za jego zdrowie i pozostawić ładny podarek pieniężny, ażeby mógł rozkoszować się wraz z rodziną wolnym tygodniem czy dwoma przed powrotem do codziennej pracy. Takie było bezmierne współczucie i zrozumienie dona Corleone.

W tym czasie don doszedł do przekonania, że kieruje swoim światem o wiele lepiej niż jego wrogowie owym szerszym światem, który ustawicznie zagradzał mu drogę. A to poczucie podsycali biedni ludzie z dzielnicy, którzy stale przychodzili do niego po pomoc: ażeby dostać się na listę opieki społecznej, uzyskać pracę dla młodego chłopaka albo wyciągnąć go z więzienia, pożyczyć drobną sumę pieniędzy, która była rozpaczliwie potrzebna, prosić o interwencję u kamieniczników, którzy wbrew wszelkiemu rozsądkowi pomagali się czynszu od bezrobotnych lokatorów.

Don Vito Corleone pomagał im wszystkim. Nie dość na tym – pomagał z dobrą wolą, z pokrzepiającymi słowami, ażeby odjąć gorzki smak udzielanej im dobroczynności. Było więc naturalne, że kiedy Włosi czuli się zagubieni i niezdecydowani, na kogo głosować, by ich reprezentował w stanowych władzach ustawodawczych, w urzędach miejskich, w Kongresie, prosili o radę swojego przyjaciela, dona Corleone, ich Ojca Chrzestnego. I tak stał się polityczną siłą, z którą konsultowali się praktycznie myślący przywódcy partyjni. Wspierał tę siłę dalekowzroczną, godną męża stanu inteligencją – pomagając przejść przez college wybitnie zdolnym chłopcom z ubogich włoskich rodzin, chłopcom, którzy mieli później zostać adwokatami, wiceprokuratorami okręgowymi, nawet sędziami. Planował przyszłość swojego imperium z całą umiejętnością przewidywania wielkiego przywódcy narodu.

Zniesienie prohibicji zadało temu imperium porażający cios, ale i tym razem don przedsięwziął zawczasu środki ostrożności.

W 1933 roku wysłał emisariuszy do człowieka, który kontrolował wszystkie gry hazardowe na Manhattanie, gry w kości w porcie, lichwiarstwo, które było od nich tak nieodłączne jak hot dogi od meczów baseballowych, bukmacherkę w sportach i na wyścigach konnych, nielegalne domy gry, gdzie grano w pokera, pokątne gry liczbowe i loterie w Harlemie. Człowiek ten nazywał się Salvatore Maranzano i był jednym z uznanych *pezzonovante* kaliber .90, czyli grubych ryb nowojorskiego podziemia. Emisariusze dona Corleone zaproponowali Maranzanowi spółkę na równych prawach, korzystną dla obu stron. Vito Corleone ze swoją organizacją, swoimi stosunkami w policji i sfe-

rach politycznych, mógł zapewnić operacjom Maranzana potężną ochronę i nową siłę dla rozszerzenia ich na Brooklyn i Bronx. Jednakże Maranzano był człowiekiem krótkowzrocznym i odrzucił ze wzdrganiem propozycję Corleone. Wielki Al Capone był przyjacielem Maranzana, który miał własną organizację, własnych ludzi plus ogromny fundusz wojenny. Nie mógł ścierpieć tego parweniusza, który miał reputację raczej parlamentarnego dyskutanta niż prawdziwego *mafioso*. Odmowa Maranzana wywołała wielką wojnę w roku 1933, która miała odmienić całą strukturę podziemia w Nowym Jorku.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że siły są nierówne. Salvatore Maranzano miał potężną organizację z twardymi bojowcami. Był w przyjaźni z Alem Capone z Chicago i mógł stamtąd wezwać pomoc. Utrzymywał dobre stosunki z Rodziną Tattagliów, której podlegała w mieście prostytutka i skromny naówczas handel narkotykami. Miał także polityczne kontakty z potężnymi przywódcami przemysłowymi, którzy posługiwali się jego ludźmi dla terroryzowania żydowskich związkowców w zakładach odzieżowych i włoskich syndykatów anarchistycznych w przemyśle budowlanym.

Przeciwko temu don Corleone mógł wystawić dwa małe, ale wybornie zorganizowane *regime*, na których czele stali Clemenza i Tessio. Jego kontakty w policji i wśród polityków negowali przywódcy przemysłowi, którzy zamierzali poprzeć Maranzana. Ale na korzyść dona działał brak wywiadu nieprzyjaciela o jego organizacji. Podziemie nie znało prawdziwej siły jego żołnierzy i nawet ulegało błędnemu mniemaniu, że Tessio w Brooklinie jest odrębną i niezależną organizacją.

A jednak, mimo wszystko, walka była nierówna do chwili, gdy Vito Corleone zrównoważył szanse jednym mistrzowskim posunięciem.

Maranzano zwrócił się do Ala Capone z prośbą, by jego dwaj najlepsi rewolwerowcy przybyli do Nowego Jorku, ażeby zlikwidować parweniusza. Rodzina Corleone miała w Chicago przyjaciół i wywiad, który doniósł, że obaj rewolwerowcy przyjeżdżają pociągiem. Vito Corleone wyprawił Lucę Brasi, by zajął się nimi, dając mu instrukcje, które miały wyzwolić najdziksze instynkty tego dziwnego człowieka.

Brasi ze swymi czterema ludźmi oczekiwał opryszków na dworcu kolejowym w Chicago. Jeden z ludzi Brasiego skombinował w tym celu taksówkę, którą sam kierował, a tragarz dworcowy, niosąc walizki, zaprowadził do niej wysłanników Capone. Kiedy wsiedli, Brasi i drugi z jego ludzi wcisnęli się za nimi z gotowymi do strzału rewolwerami i zmusili obu chłopców z Chica-

go do położenia się na podłodze. Taksówka pojechała do magazynu w pobliżu doków, który Brasi na ten cel przygotował.

Obydwu ludziom Capone'a związano ręce i nogi i wetknięto w usta małe ręczniki, ażeby nie krzyczeli.

Następnie Brasi wziął stojącą pod ścianą siekierę i zaczął rąbać jednego z ludzi Capone. Odrąbał mu stopy, potem nogi w kolanach, wreszcie uda w miejscu, gdzie stykały się z tułowiem. Brasi był niezmiernie silnym człowiekiem, ale musiał po wielekroć uderzać siekierą, nim dopiął swego. Ma się rozumieć, że do tej pory ofiara już wyzionęła ducha, a podłoga magazynu była śliska od chlustającej krwi i odrąbanych kawałków ciała. Kiedy Brasi obrócił się ku swej drugiej ofierze, stwierdził, że dalsze wysiłki są zbędne. Drugi rewolwerowiec Capone – rzecz nieprawdopodobna – z czystego przeżenienia połknął tkwiący mu w ustach ręcznik i udławił się. Ręcznik ten znaleziono w jego żołądku, kiedy policja dokonała sekcji zwłok w celu ustalenia przyczyny śmierci.

Kilka dni później, w Chicago, Capone otrzymał pismo od Vita Corleone. Brzmiało ono jak następuje: „Wiesz teraz, jak postępuję z moimi wrogami. Dlaczego neapolitańczyk wtrąca się w kłótnię pomiędzy dwoma Sycylijczykami? Jeżeli życzysz sobie, bym cię uważał za przyjaciela, jestem ci winien przysługę, którą wyświadczę na żądanie. Taki człowiek jak ty musi wiedzieć, o ile korzystniej jest mieć przyjaciela, który zamiast zwracać się do ciebie o pomoc, sam daje sobie radę i zawsze jest gotów dopomóc ci w jakichś przyszłych kłopotach. Jeżeli nie życzysz sobie mojej przyjaźni, niech tak będzie. Ale w takim razie muszę powiedzieć ci, że klimat w tym mieście jest wilgotny, niezdrowy dla neapolitańczyków, i doradzam ci nigdy tego miasta nie odwiedzać”.

Zuchwalstwo tego listu było skalkulowane. Don miał niewielki szacunek dla ludzi Capone jako głupich, jawnych morderców. Jego inteligencja mówiła mu, że Capone utracił wszelkie wpływy polityczne przez swoją publiczną arogancję i popisywanie się przestępczym bogactwem. Don wiedział, i to z całą pewnością, że bez politycznych wpływów, bez kamuflażu społeczeństwa, świat Ala Capone i jemu podobnych może być z łatwością zniszczony. Wiedział, że Capone jest na drodze do unicestwienia. Wiedział też, że jego wpływy nie sięgają poza granice Chicago, choć są tam straszliwe i wszechogarniające.

Taktyka ta była skuteczna. Nie tyle przez swoje okrucieństwo, co przez

straszliwą szybkość, błyskawiczność reakcji dona. Jeżeli był tak inteligentny, wszelkie dalsze posunięcia byłyby brzemiennie w skutki i niebezpieczne. Było lepiej, o wiele mądrzej przyjąć propozycję, ofertę przyjaźni wraz z jej domniemanymi korzyściami. Capone odpowiedział, że nie będzie się wtrącać.

Szanse były teraz równe. A Vito Corleone, dzięki upokorzeniu Ala Capone, zdobył sobie olbrzymi „szacunek” świata podziemnego w całych Stanach Zjednoczonych. Przez sześć miesięcy rozgramiał Maranzana. Robił naloty na domy gry w kości prowadzone pod jego opieką, odszukał jego największego bankiera od gier liczbowych w Harlemie i kazał mu zabrać całodzienny urobek nie tylko w pieniądzech, ale i w notowaniach. Wiązał nieprzyjaciela na wszystkich frontach. Nawet w przemyśle odzieżowym kazał Clemenzie i jego ludziom walczyć po stronie związkowców przeciwko opryszkom opłacanym przez Maranzana i właścicieli firm konfekcyjnych. I na wszystkich frontach jego inteligencja i wyższa organizacja przynosiły mu zwycięstwa. Radosne okrucieństwo Clemenzy, którym Corleone roztropnie się posługiwał, także przyczyniło się do przeważenia szali zwycięstwa. Wreszcie don Corleone nadsłał zatrzymywane dotąd odwody *regime* Tessia na samego Maranzana.

Maranzano tymczasem wyprawił emisariuszy, by się ubiegać o pokój. Vito Corleone odmówił zobaczenia się z nimi, zbywał ich pod takim czy innym pretekstem. Żołnierze Maranzana opuszczali swojego przywódcę, nie chcąc umierać za przegraną sprawę. Bukmacherzy i lichwiarze płacili organizacji Corleone za ochronę. Wojna była nieomal zakończona.

I wreszcie, w przeddzień Nowego Roku 1933, Tessio przełamał linie obronne samego Maranzana. Adiutanci Maranzana usilnie pragnęli układu i zgodzili się wydać swojego szefa na rzeź. Powiedzieli mu, że zostało umówione spotkanie z Corleone w pewnej restauracji brooklyńskiej i pojechali tam z Maranzanem jako jego obstawa. Pozostawili go siedzącego przy nakrytym kraciatą serwetą stoliku i posępnie żującego kawałek chleba i uciekli z restauracji, kiedy wszedł Tessio ze swymi czterema ludźmi. Egzekucja była szybka i sprawna. Maranzano, z ustami pełnymi na wpół przeżutego chleba, został podziurawiony kulami. Wojna była skończona.

Imperium Maranzana zostało włączone do operacji Corleone. Don Corleone ustanowił system danin, pozwalając wszystkim zainteresowanym pozostać na swych placówkach bukmacherskich i loteryjnych. Dodatkową korzyścią było to, że uzyskał oparcie w związkach zawodowych przemysłu odzież-

zowego, co w późniejszych latach okazało się niezmiernie ważne. Ale załatwiwszy sprawy handlowe, don spotkał się z kłopotami w rodzinie.

Santino Corleone, Sonny, liczył sobie szesnaście lat, był zdumiewająco wysoki – miał aż sześć stóp wzrostu, szerokie ramiona i pyzată twarz, która była zmysłowa, ale bynajmniej nie zniewieściąta. O ile jednak Fredo był chłopcem spokojnym, a Michael oczywiście jeszcze pędrakiem, to z Santinem wynikały ustawiczne kłopoty. Wdawał się w bójki, szło mu źle w szkole i w końcu Clemenza, który był jego ojcem chrzestnym i miał obowiązek zabrać głos w tej sprawie, przyszedł pewnego wieczoru do dona Corleone i powiadomił go, że jego syn wziął udział w napadzie rabunkowym z bronią w rękę, głupiej sprawie, która mogła skończyć się bardzo źle. Sonny był najwyraźniej prowodyrem, a dwaj inni chłopcy, którzy uczestniczyli w rabunku, jego podwładnymi.

Był to jeden z tych bardzo rzadkich momentów, kiedy Vito Corleone wpadł w gniew. Tom Hagen mieszkał w jego domu od trzech lat, Vito więc zapytał Clemenzę, czy osierocony chłopak był w to zamieszany. Clemenza potrząsnął głową. Don Corleone kazał posłać samochód i przywieźć Santina do swego biura w Spółce Handlu Oliwą *Genco Pura*.

Po raz pierwszy don poniósł porażkę. Zostawszy sam na sam z synem, dał pełny upust swojej furii i sklął Sonny'ego w dialekcie sycylijskim, mowie o wiele dogodniejszej od innych do wyrażania wściekłości. Zakończył pytaniem:

– Co dało ci prawo popełnienia takiego czynu? Co sprawiło, że chciałeś go popełnić?

Sonny stał przed nim zły, odmawiając odpowiedzi. Don dodał z pogardą:

– I to coś tak głupiego. Ileście zarobili za pracę tej nocy? Po pięćdziesiąt dolarów? Po dwadzieścia? Narząłeś życie dla dwudziestu dolarów?

Tak jakby nie słysząc tych ostatnich słów, Sonny powiedział wyzywająco:

– Widziałem, jak ojciec zabił Fanucciego.

Don sapnął:

– Ach! – i opadł na krzesło. Czekał. Sonny mówił dalej:

– Kiedy Fanucci wyszedł z kamienicy, mama powiedziała, że mogę wrócić na górę. Widziałem, jak wchodziłeś na dach, i poszedłem za tobą. Widziałem wszystko, co robiłeś. Zostałem tam i widziałem, jak wyrzucałeś portfel i rewolwer.

Don westchnął.

– Ano, to nie mogę ci mówić, jak powinieneś postępować. Nie chcesz skończyć szkoły, nie chcesz być adwokatem? Adwokaci mogą nakraść więcej pieniędzy z teczką niż tysiąc ludzi z rewolwerami i w maskach.

Sonny uśmiechnął się do niego i powiedział chytrze:

– Chcę przystąpić do interesów Rodziny. – Kiedy zobaczył, że twarz dona pozostała nieprzenikniona, że nie roześmiał się z tego żartu, dodał pośpiesznie: – Mogę nauczyć się sprzedawać oliwę.

Don ciągle milczał. Wreszcie wzruszył ramionami:

– Każdy człowiek ma tylko jedno przeznaczenie – rzekł. Nie dorzucił, iż podpatrzenie zabójstwa Fanucciego rozstrzygnęło o przeznaczeniu syna. Po prostu odwrócił się i dodał spokojnie: – Przyjdź jutro rano o dziewiątej. Genco pokaże ci, co masz robić.

Jednakże Genco Abbandando, z tym przenikliwym wyczuciem, które musi mieć *consigliori*, zrozumiał prawdziwe intencje dona i używał Sonny'ego głównie jako obstawy dla ojca, przy którym to zajęciu chłopak mógł także poznać subtelności związane z pozycją dona. Wyzwoliło to również skłonności profesorskie w samym donie, który na benefis najstarszego syna często udzielał pouczeń o sposobach osiągnięcia sukcesu.

Poza częstym powtarzaniem teorii, że człowiek ma tylko jedno przeznaczenie, don ustawicznie napominał Sonny'ego za wybuchy złości, do których ten młody człowiek był skłonny. Don uważał stosowanie gróźb za najlżejszy rodzaj demaskowania się, a nieprzemyślane okazywanie gniewu za niebezpieczne folgowanie sobie. Nikt nigdy nie słyszał, żeby don wypowiedział groźbę bez pokrycia, nikt nigdy nie widział go w niepohamowanej wściekłości. Było to nie do pomyślenia. Toteż usiłował wpoić Sonny'emu własną dyscyplinę. Twierdził, że nie ma w życiu większej naturalnej korzyści niż przecenianie przez wroga naszych wad, poza niedocenianiem przez przyjaciela naszych zalet.

Caporegime Clemenza wziął Sonny'ego w swoje ręce i nauczył go strzelać oraz stosować duszenie garotą. Sonny nie gustował w używaniu tego włoskiego sznura, był zanadto zamerykanizowany. Wolał prosty, bezpośredni, bezosobowy anglosaski rewolwer, co smuciło Clemenzę. Jednakże Sonny stał się nieodłącznym i mile widzianym towarzyszem ojca, prowadził jego wóz, pomagał mu w drobnych sprawach. Przez następne dwa lata zdawał się być zwykłym synem wprowadzanym w interesy ojca, nie za bystrym, nie za gorliwym, zadowolającym się łatwymi zadaniami.

Tymczasem jego druh z okresu chłopięcego i na wpół zaadoptowany brat, Tom Hagen, chodził do college'u. Fredo był jeszcze w szkole średniej, najmłodszy brat, Michael, w podstawowej, a siostrzyczka Connie była drepczącą czteroletnią dziewczynką. Rodzina od dawna przeniosła się do kamienicy w Bronksie. Don Corleone zamierzał kupić dom na Long Island, ale chciał to zestroić z innymi planami, które sobie układał.

Vito Corleone był człowiekiem mającym dar przewidywania. Wszystkie wielkie miasta amerykańskie były rozdarte zmaganiem między przestępczym podziemiem. Wybuchwały dziesiątki wojen partyzanckich, ambitni gangsterzy usiłowali wykroić dla siebie kawałek imperium, tacy ludzie jak Corleone starali się zabezpieczyć swoje granice i lewe interesy. Don Corleone widział, że gazety i agendy rządowe wykorzystują owe zabójstwa, aby domagać się coraz surowszych ustaw, stosowania ostrzejszych metod policyjnych. Przewidywał, że oburzenie społeczeństwa może nawet doprowadzić do zawieszenia metod demokratycznych, co mogło być fatalne dla niego i jego ludzi. Jego własne imperium było wewnętrznie bezpieczne. Postanowił przynieść pokój wszystkim wojującym frakcjom w Nowym Jorku, a potem całemu krajowi.

Nie miał złudzeń co do niebezpieczeństw swojej misji. Pierwszy rok strawił na spotkaniach z różnymi przywódcami gangów w Nowym Jorku, przygotowując teren, sondując ich, proponując strefy wpływów, które byłyby honorowane przez luźno powiązaną, skonfederowaną radę. Jednakże było zbyt wiele frakcji, zbyt wiele odrębnych, sprzecznych ze sobą interesów. Porozumienie wydawało się niemożliwe. Podobnie jak inni wielcy władcy i ustawodawcy w dziejach, don Corleone uznał, że ład i pokój są nieosiągalne, dopóki rzesza suwerennych państw nie zostanie zredukowana do liczby, którą da się pokierować.

Było pięć czy sześć Rodzin zbyt potężnych, by je wyeliminować. Natomiast reszta, lokalni terroryści z Czarnej Ręki, niezrzeszeni lichwiarze, silno ręcący bukmacherzy, którzy działali bez odpowiedniej, to znaczy opłacanej ochrony legalnych władz, musieli zniknąć. Zmontował więc coś, co w istocie było wojną kolonialną z tymi ludźmi, i rzucił przeciw nim wszystkie zasoby organizacji Corleone.

Pacyfikacja obszaru Nowego Jorku trwała trzy lata i przyniosła pewne nieoczekiwane korzyści. Z początku zapowiadało się to niezbyt korzystnie. Grupa zacieklej irlandzkich mistrzów rabunku, którą don nazaczył do ekster-

minacji, o mało nie odniosła zwycięstwa z rozmachem właściwym Szmaragdowej Wyspie. Przez przypadek i z samobójczą odwagą jeden z owych irlandzkich rewolwerowców przebił się przez kordon ochrony dona i wsadził mu kulę w pierś. Zamachowca natychmiast przeszyto pociskami, ale szkoda została wyrządzona.

Jednakże to dało szansę Santinowi Corleone. Ponieważ ojciec był wyeliminowany z akcji, Sonny objął komendę nad oddziałem, swoim własnym *regime*, w stopniu *caporegime*, i niby jakiś młody nieotrąbiony Napoleon, wykazał talent do wojowania w mieście. Wykazał także bezlitosne okrucieństwo, którego brak był jedynym minusem dona Corleone jako zwycięzcy.

Od 1935 do 1937 roku Sonny Corleone wyrobił sobie opinię najbardziej przebiegłego i nieprzejednanego bojowca, jakiego dotąd znał świat podziemny. Jednakże jeśli chodzi o czysty terror, nawet jego zaćmił straszliwy człowiek nazwiskiem Luca Brasi.

To właśnie Brasi począł tropić resztę irlandzkich rewolwerowców i sam jeden ich zniszczył. To Brasi, działając w pojedynkę, kiedy jedna z sześciu potężnych Rodzin próbowała się wtrącić i objąć ochronę nad niezależnymi, zamordował głowę tej Rodziny dla ostrzeżenia. Wkrótce potem don wylizał się z rany i zawarł pokój z ową Rodziną.

W roku 1937 pokój i harmonia zapanowały w Nowym Jorku, nie licząc drobnych incydentów, pomniejszych nieporozumień, które oczywiście bywały czasami tragiczne w skutkach.

Podobnie jak władcy miast starożytnych zawsze pilnie obserwowali barbarzyńskie plemiona grasujące dokoła murów, tak i don Corleone śledził sprawy świata znajdującego się poza jego światem. Obserwował nadejście Hitlera, upadek Hiszpanii, wywarcie przez Niemcy przymusu na Wielką Brytanię w Monachium. Nieoślepiiony przez ten zewnętrzny świat, dostrzegał jasno zbliżanie się wojny światowej i rozumiał jej konsekwencje. Jego własny świat będzie bardziej niepokonany niż przedtem. Nie tylko to; czujni, przewidujący ludzie mogą zrobić fortuny w wojennych czasach. Dlatego w jego dominium musiał panować pokój, podczas gdy wojna szalała w zewnętrznym świecie.

Don Corleone dotarł ze swoim posłaniem do rodaków w Los Angeles, San Francisco, Cleveland, Filadelfii, Miami i Bostonie. Był podziemnym apostołem pokoju i pomyślniej niż jakikolwiek papież doprowadził w 1939 roku do roboczego porozumienia między najpotężniejszymi organizacjami świata

podziemnego kraju. Podobnie jak konstytucja Stanów Zjednoczonych, układ ten w pełni respektował wewnętrzną władzę każdego członka mafii w jego stanie lub mieście. Dotyczył jedynie stref wpływów oraz umowy o przestrzeganiu pokoju w podziemnym świecie.

Toteż w 1939 roku, kiedy druga wojna światowa wybuchła, a Stany Zjednoczone przystąpiły do konfliktu w 1941, świat dona Vita Corleone żył w pokoju i ładu, w pełni przygotowany na zebranie złotego żniwa na równi ze wszystkimi innymi gałęziami przemysłu prosperującej Ameryki. Rodzina Corleone włączyła się w dostarczanie czarnorynkowych kartek żywnościowych, kartek na benzynę, nawet w pokątną rezerwację miejsc dla podróżujących. Dopomagała przy otrzymywaniu zamówień wojennych, a także przy uzyskiwaniu czarnorynkowych materiałów przez te firmy odzieżowe, które nie dostawały dosyć surowca, ponieważ nie miały zamówień rządowych. Don mógł nawet uzyskać dla wszystkich młodych ludzi ze swojej organizacji, którzy podlegali poborowi do wojska, zwolnienie od udziału w tej zagranicznej wojnie. Dokonywał tego przy pomocy doktorów, którzy doradzali, jakie środki należy zażywać przed badaniem lekarskim, albo przez lokowanie ludzi na wyłączonych od poboru stanowiskach w przemyśle wojennym.

Toteż don mógł być dumny ze swoich rządów. Jego świat był bezpieczny dla tych, którzy poprzysięgli mu wierność; inni, którzy wierzyli w prawo i ład, ginęli całymi milionami. Przykrym zgrzytem był fakt, że jego własny syn, Michael Corleone, odmówił przyjęcia pomocy i zaciągnął się na ochotnika, by służyć swojemu krajowi. I ku zdumieniu dona to samo uczyniło kilku młodych ludzi z organizacji. Jeden z nich, próbując to wytłumaczyć swojemu *caporegime*, powiedział: „Ten kraj był dla mnie dobry”. Kiedy to powtórzono donowi, rzekł z gniewem do *caporegime*: „Ja byłem dla niego dobry”. Mogło to skończyć się źle dla owych ludzi, ale ponieważ wybaczył swojemu synowi, Michaelowi, musiał wybaczyć również innym młodzieńcom, którzy tak niewłaściwie rozumieli swój obowiązek wobec dona i siebie samych.

Pod koniec drugiej wojny światowej don Corleone wiedział, że jego świat będzie znów musiał zmienić obyczaje, dopasować się ściślej do obyczajów tego innego, szerszego świata. Don ufał, że zdoła tego dokonać bez utraty zysków.

Podstaw do takiego mniemania dostarczało jego własne doświadczenie. Na właściwy tor naprowadziły go dwie sprawy osobiste. Na początku jego karier-

ry młody naówczas Nazorine, wtedy dopiero pomocnik piekarza zamierzający się ożenić, przyszedł do niego po pomoc. On i jego przyszła oblubienica, porządna włoska dziewczyna, odkładali pieniądze i wpłacili ogromną sumę trzystu dolarów pewnemu hurtownikowi mebli, którego im polecono. Hurtownik pozwolił im wybrać wszystko, co chcieli, do urządzenia sobie mieszkania w czynszowej kamienicy. Piękną, solidną sypialnię z dwiema komodami i lampami. A także garnitur mebli do salonu, z miękko wyściełaną kanapą i fotelami, obitymi materiałem przetykanym złotą nicią. Nazorine i jego narzeczona spędzili szczęśliwy dzień, wybierając to, czego pragnęli, w olbrzymim składzie zastawionym meblami. Hurtownik wziął ich pieniądze, te trzysta dolarów zapracowanych w pocie czoła, schował je do kieszeni i obiecał, że w ciągu tygodnia meble zostaną dostarczone do wynajętego mieszkania.

Jednakże w następnym tygodniu firma zbankrutowała. Ogromny magazyn zastawiony meblami opieczętowano i zabezpieczono na spłacenie wierzycieli. Hurtownik zniknął, a pozostali na miejscu wierzyciele nie mieli na kim wyładować swojego gniewu. Należący do nich Nazorine poszedł do adwokata, który powiedział mu, że nic nie może zrobić, dopóki sprawa nie zostanie załatwiona w sądzie, a wszyscy wierzyciele spłaceni. Mogło to potrwać trzy lata, a Nazorine miałby szczęście, gdyby odzyskał dziesięć centów od dolara.

Vito Corleone wysłuchał tej historii z pełnym rozbawienia niedowierzaniem. Było niewiarygodne, żeby prawo mogło dopuścić do podobnego złodziejstwa. Hurtownik miał własną pałacową siedzibę, posiadłość na Long Island, luksusowy samochód i kształcił swoje dzieci w college'u. Jakżeby mógł zatrzymać sobie te trzysta dolarów biednego piekarza Nazorinego i nie dać mu mebli, za które zapłacił? Aby się jednak upewnić, Vito Corleone kazał to sprawdzić Gencowi Abbandando u adwokatów, którzy reprezentowali spółkę *Genco Pura*.

Potwierdzili oni relację Nazorinego. Hurtownik całą osobistą fortunę zapisał na nazwisko żony. Jego interes meblowy był spółką, więc sam nie był osobiście odpowiedzialny. Wprawdzie okazał złą wolę, przyjmując pieniądze od Nazorinego, kiedy wiedział, że ogłosi upadłość, ale to powszechnie praktykowano. Według prawa nie można było nic zrobić.

Ma się rozumieć, sprawa została załatwiona bez trudu. Don Corleone wysłał swojego *consigliori*, Genca Abbandando, aby pomówił z hurtownikiem, i tak jak należało się spodziewać, ów rozgarnięty biznesmen od razu poczuł pismo nosem i załatwił dostarczenie mebli Nazorinemu. Była to jednak inte-

resująca lekcja dla młodego Vita Corleone.

Drugi incydent miał bardziej dalekosiężne skutki. W 1939 roku don Corleone postanowił wyprowadzić się z miasta z rodziną. Podobnie jak każdy ojciec chciał, aby jego dzieci chodziły do lepszych szkół i przebywały w lepszym towarzystwie. Z własnych, osobistych powodów pragnął anonimowości podmiejskiego życia, gdzie jego reputacja nie była znana. Zakupił posiadłość w Long Beach, gdzie wówczas były tylko cztery świeżo zbudowane domy, ale w bród miejsca na dalsze. Sonny zaręczył się oficjalnie z Sandrą i miał się wkrótce ożenić; jeden z domów byłby dla niego. Drugi przeznaczono dla dona. Trzeci dla Genca Abbandando.

Ostatni pozostał na razie pusty.

Tydzień po zajęciu tego ośrodka grupka trzech robotników przyjechała tam najniewinniej w świecie ciężarówką. Podali się za kontrolerów pieców centralnego ogrzewania z ramienia miasta Long Beach. Jeden z młodych goryli dona wpuścił ich i zaprowadził do pieca w suterenie. Don, jego żona i Sonny wypoczywali w ogrodzie, rozkoszując się słonym morskim powietrzem.

Ku wielkiemu niezadowoleniu dona jego goryl poprosił go do domu. Trzej robotnicy, rośli, masywni mężczyźni, stali wkoło pieca. Rozmontowali go i poszczególne części leżały rozrzucone na betonowej podłodze sutereny. Ich szef, pewny siebie człowiek, powiedział do dona opryskliwie:

– Pański piec jest w parszywym stanie. Jeżeli pan chce, żebyśmy go naprawili i złożyli na powrót, będzie to pana kosztowało sto pięćdziesiąt dolarów za robotę i części, a wtedy przedstawimy pana do inspekcji okręgowej. – Wyjął czerwoną nalepkę. – Widzisz pan, my to przyklepimy, a wtedy nikt z okręgu nie będzie panu więcej zwracał głowy.

Dona to rozbawiło. Był to nudny, spokojny tydzień, w którym musiał zaniedbać swoje interesy, żeby się zająć różnymi rodzinnymi drobiazgami, jakie pociągała za sobą przeprowadzka do nowego domu. Twardszą angielszczyzną niż zwykle, kiedy mówił ze swoim lekkim włoskim akcentem, zapytał:

– A jak wam nie zapłacę, to co będzie z moim piecem?

Szef trzech robotników wzruszył ramionami.

– Zostawimy go tak, jak jest. – Wskazał metalowe części porozrzucone na podłodze.

Don zgodził się potulnie:

– Zaczekajcie, przyniosę wam pieniądze. – Potem wyszedł do ogrodu i po-

wiedział Sonny'emu: – Słuchaj, jacyś ludzie pracują przy piecu. Nie rozumiem, o co im chodzi. Idź i zajmij się tym.

Nie był to tylko żart, brał bowiem pod uwagę uczynienie syna swoim zastępcą. Była to jedna z prób, jakie musiał przejść prowadzący interesy.

Rozwiązanie wybrane przez Sonny'ego nie całkiem przypadło do gustu jego ojcu. Sonny był pałąką, nie rapierem. Albowiem gdy tylko usłyszał żądanie majstra, przytrzymał wszystkich trzech pod rewolwerem i kazał ludziom z obstawy gruntownie ich obić. Potem zmusił ich do złożenia pieca i uprzątnięcia sutereny.

Obszukał ich i stwierdził, że są w rzeczywistości zatrudnieni przez firmę napraw domowych, mającą siedzibę w okręgu Suffolk. Dowiedział się nazwiska jej właściciela. Potem kopniakami zapędził wszystkich do ciężarówki.

– Żebym was więcej nie widział w Long Beach, bo każę zawiesić wam na uszach wasze jaja.

Było rzeczą typową dla samego Santina, zanim stał się dojrzały i okrutniejszy, że rozciągał swoją ochronę na społeczność, w której żył. Sonny zjawiał się osobiście u właściciela firmy napraw i powiedział mu, żeby nigdy więcej nie przysyłał swoich ludzi do Long Beach. Gdy tylko Rodzina Corleone nawiązała normalną łączność zawodową z miejscową policją, zaczęła otrzymywać informacje o wszelkich takich skargach i o przestępstwach dokonywanych przez zawodowych kryminalistów. W niespełna rok Long Beach stało się miasteczkiem o najmniejszej przestępczości w Stanach Zjednoczonych. Zawodowi artyści od rabunku i wymuszenia otrzymywali tylko jedno ostrzeżenie, żeby nie uprawiali w mieście swojego procederu. Pozwalano im popełnić tylko jedno wykroczenie. Gdy popełniali następne, po prostu znikali. Lipni spece od napraw domowych, domokrażni oszuści zostali grzecznie ostrzeżeni, że nie są mile widziani w Long Beach. Tych, pewnych siebie kombinatorów, którzy zlekceważyli ostrzeżenie, obito nieomal do utraty życia. Miejscowym pętakom, którzy nie mieli poszanowania dla prawa i właściwej władzy, doradzono w sposób najbardziej ojcowski, ażeby wynieśli się z domu. Long Beach stało się miastem wzorowym.

Na donie wywierała wrażenie prawna ważność tych szwindli. Dla człowieka o jego zdolnościach było widocznie miejsce w tym innym świecie, który był niegdyś dla niego zamknięty jako dla uczciwego młodzieńca. Poczynił odpowiednie kroki, aby się do niego dostać.

I tak żył sobie szczęśliwie w ośrodku w Long Beach, konsolidując i posze-

rzając swoje imperium, aż do momentu, kiedy po wojnie Turek Sollozzo zburzył pokój, pogrążył świat dona w jego własną wojnę i przywiódł samego dona do szpitalnego łóżka.

Księga 4

Rozdział 15

W tym miasteczku w New Hampshire każde obce zjawisko było pilnie obserwowane przez gospodynie domowe wyglądające z okien, przez sklepikarzy usadowionych przed drzwiami. Toteż kiedy czarny samochód z nowojorskimi numerami rejestracyjnymi zatrzymał się przed domem Adamsów, wszyscy mieszkańcy dowiedzieli się o tym w parę minut.

Kay Adams, w gruncie rzeczy małomiasteczkowa dziewczyna mimo swej edukacji w college'u, również wyglądała z okna sypialni. Uczyła się do egzaminów i właśnie szykowała do zejścia na obiad, kiedy spostrzegła nadjeżdżający ulicą samochód i jakoś nie zdziwiła się, kiedy zatrzymał się przed jej trawnikiem. Wysiedli z niego dwaj rośli, masywni mężczyźni, którzy wydali jej się podobni do gangsterów z filmu, więc zbiegła po schodach, aby być pierwsza przy drzwiach. Była pewna, że przyjechali od Michaela lub jego rodziny, i nie chciała, żeby rozmawiali z jej ojcem i matką bez prezentacji. Nie dlatego, żeby się wstydziła przyjaciół Mike'a – pomyślała; po prostu jej rodzice byli staroświeckimi Jankesami z Nowej Anglii i nie zrozumieliby, że może znać takich ludzi.

Dobiegła do drzwi w momencie, kiedy zadźwięczał dzwonek, i zawołała do matki:

– Ja otworzę! – Otworzyła i ujrzała przed sobą owych dwóch masywnych mężczyzn. Jeden z nich sięgnął do wewnętrznej kieszeni jak gangster sięgający po rewolwer; ten ruch tak zaskoczył Kay, że sapnęła cicho, ale mężczyzna wyjął mały skórzany portfelik, który otworzył, okazując legitymację.

– Detektyw John Phillips z nowojorskiej policji – przedstawił się. Wskazał drugiego mężczyznę, człowieka o ciemnej cerze i bardzo gęstych, bardzo czarnych brwiach. – To jest mój kolega, detektyw Siriani. Czy pani jest Kay Adams?

Kay kiwnęła głową. Phillips zapytał:

– Możemy wejść i pomówić z panią chwilę? Chodzi o Michaela Corleone.

Odsunęła się, aby ich wpuścić. W tej chwili jej ojciec ukazał się w bocznym korytarzyku prowadzącym do jego gabinetu.

– Kay, o co chodzi? – zapytał.

Ojciec Kay był siwowłosym, szczupłym, dystyngowanym mężczyzną, który nie tylko był pastorem miejscowego kościoła baptystów, ale w kołach religijnych miał opinię uczonego. Kay w gruncie rzeczy nie znała dobrze ojca, intrygował ją; wiedziała, że ją kocha, aczkolwiek stwarzał wrażenie, iż uważa ją za osobę mało interesującą. Ufała mu, choć nigdy nie byli ze sobą blisko. Odpowiedziała więc po prostu:

– Ci panowie są detektywami z Nowego Jorku. Chcą mnie zapytać o jednego mojego znajomego.

Pan Adams nie wydawał się zaskoczony.

– Może byśmy weszli do mojego gabinetu? – zaproponował.

Detektyw Phillips odrzekł delikatnie:

– Wolelibyśmy porozmawiać sam na sam z pana córką.

– To chyba zależy od Kay – powiedział uprzejmie pan Adams. – Moja droga, czy chcesz sama porozmawiać z tymi panami, czy wolałabyś, żebym był przy tym obecny? Albo może matka?

Kay potrząsnęła głową.

– Porozmawiam sama.

Pan Adams zwrócił się do Phillipsa:

– Możecie skorzystać z mojego gabinetu. Czy panowie zostaną na obiedzie?

Obaj mężczyźni potrząsnęli głowami. Kay wprowadziła ich do gabinetu.

Przysiedli niepewnie na brzeżku kanapy, a ona usadowiła się w dużym skórzanym fotelu ojca. Detektyw Phillips rozpoczął rozmowę, pytając:

– Czy pani widziała Michaela Corleone albo miała od niego jakąś wiadomość w ciągu ostatnich trzech tygodni?

To jedno pytanie wystarczyło, aby ją ostrzec. Przed trzema tygodniami przeczytała w bostońskich gazetach nagłówki o zamordowaniu kapitana policji nowojorskiej oraz szmuglera narkotyków nazwiskiem Virgil Sollozzo. W gazecie pisano, że był to epizod wojny gangów, w którą jest wmieszana Rodzina Corleone.

Kay potrząsnęła głową.

– Nie, kiedy go widziałam ostatnio, miał odwiedzić swojego ojca w szpitalu. To było jakiś miesiąc temu.

Drugi detektyw powiedział szorstkim głosem:

– My dobrze wiemy o tym spotkaniu. Czy od tej pory widziała go pani albo miała od niego wiadomość?

– Nie – odrzekła Kay.

Detektyw Phillips powiedział uprzejmym tonem:

– Gdyby pani się z nim skontaktowała, prosilibyśmy o zawiadomienie nas. To bardzo ważne, żebyśmy mogli pomówić z Michaeliem Corleone. Muszę panią przestrzec, że jeżeli ma pani z nim kontakt, może się pani uwikłać w bardzo niebezpieczną sytuację. Jeżeli pani pomoże mu w jakikolwiek sposób, narazi się pani na bardzo poważne przykrości.

Kay siedziała sztywno wyprostowana w fotelu.

– Dlaczego nie miałabym mu pomóc? Mamy się pobrać, małżeństwo pomaga sobie wzajemnie.

Odpowiedział jej detektyw Siriani:

– Jeżeli pani będzie mu pomagała, może pani stać się współniczką morderstwa. Szukamy pani przyjaciela, ponieważ zabił w Nowym Jorku kapitana policji oraz informatora, z którym ten kapitan się kontaktował. Wiadomo nam, że Michael Corleone jest tą osobą, która dokonała zabójstwa.

Kay roześmiała się. Jej śmiech był tak szczery, tak pełen niedowierzania, że to wywarło wrażenie na obu funkcjonariuszach.

– Mike nigdy by nie zrobił czegoś podobnego – zawołała. – Nie miał nic wspólnego ze swoją rodziną. Kiedy pojechaliśmy na wesele jego siostry, widać było wyraźnie, że traktują go jak kogoś spoza ich kręgu, prawie tak samo jak mnie. Jeżeli w tej chwili się ukrywa, to dlatego, żeby uniknąć rozgłosu, żeby jego imię nie zostało w to wciągnięte. Mike nie jest gangsterem. Znam go lepiej niż panowie czy ktokolwiek inny. Jest zanadto przyzwoitym człowiekiem, żeby popełnić coś tak podłego jak morderstwo. Jest najbardziej praworządną osobą, jaką znam, i nigdy nie przyłapałam go na kłamstwie.

Detektyw Phillips zapytał łagodnie:

– Od jak dawna pani go zna?

– Od przeszło roku – odpowiedziała Kay i zdziwiła się, kiedy obaj mężczyźni się uśmiechnęli.

– Sądzę, że jest kilka rzeczy, o których pani powinna wiedzieć – rzekł detektyw Phillips. – Tego wieczoru, kiedy się z panią rozstał, pojechał do szpi-

tala. Po wyjściu stamtąd wdał się w sprzeczkę z kapitanem policji, który przybył do szpitala w sprawach służbowych. Napadł na tego funkcjonariusza, ale źle na tym wyszedł. Doznał złamania szczęki i stracił kilka zębów. Jego przyjaciele odwieźli go do ośrodka Rodziny Corleone w Long Beach. Następnej nocy ten kapitan policji został zastrzelony, a Michael Corleone zniknął. Bez śladu. My mamy swoje kontakty, swoich informatorów. Każdy wskazuje palcem na Michaela Corleone, ale nie mamy dowodów dla sądu. Kelner, który był świadkiem zabójstwa, nie rozpoznaje Mike'a na zdjęciu, ale może rozpoznać go osobiście. Mamy także kierowcę Sollozza, który nie chce gadać, ale możemy skłonić go do mówienia, jeżeli dostaniemy Michaela Corleone w nasze ręce. Dlatego szukają go wszyscy nasi ludzie i szuka go FBI. Do tej pory nie mieliśmy szczęścia, więc pomyśleliśmy, że może pani da nam jakieś wskazówki.

Kay odparła zimno:

– Nie wierzę w ani jedno słowo. – Jednakże zrobiło jej się trochę słabo, wiedziała bowiem, że wzmianka o złamaniu Mike'owi szczęki musi być prawdą. Co nie znaczy, że Mike przez to popełniłby morderstwo.

– Da nam pani znać, gdyby Mike skontaktował się z panią? – zapytał Phillips.

Kay potrząsnęła głową. Drugi detektyw, Siriani, powiedział szorstko:

– Wiadomo nam, żeście żyli ze sobą. Mamy meldunki hotelowe i świadków. Gdybyśmy pozwolili, żeby ta wiadomość przedostała się do gazet, pani ojcu i matce byłoby dość nieprzyjemnie. Takim naprawdę porządnym ludziom jak oni nie spodobałoby się, że córka żyje z gangsterem. Jeżeli pani nie wyśpiewa wszystkiego w tej chwili, zawołam tu pani starego i wygarnę mu to prosto z mostu.

Kay spojrzała na niego ze zdumieniem. Potem wstała, podeszła do drzwi gabinetu i otworzyła je. Zobaczyła ojca stojącego przy oknie w saloniku i pocsysającego fajkę. Zawołała:

– Tatusiu, możesz przyjść do nas?

Obrócił się, uśmiechnął do niej i ruszył do gabinetu. Wszedłszy, objął córkę, popatrzył na detektywów i rzekł:

– Słucham panów.

Kiedy nie odpowiedzieli, Kay rzekła chłodno do Sirianiego:

– Niech pan mu to wygarnie prosto z mostu.

Siriani zarumienił się.

– Proszę pana, mówię to panu dla dobra córki. Związała się z pewnym łobuzem, który, jak mamy powody przypuszczać, dopuścił się morderstwa oficera policji. Właśnie mówię córce, że może się narazić na poważne przykrości, jeżeli nie będzie z nami współdziałała. Ale ona widać nie zdaje sobie sprawy, jaka to poważna sprawa. Może pan mógłby z nią pomówić.

– To całkowicie niewiarygodne – stwierdził uprzejmie pan Adams. Siriani zeszywniał.

– Pańska córka i Michael Corleone chodzili ze sobą przez rok z górą. Nocowali w hotelach zameldowani jako mąż i żona. Michael Corleone jest poszukiwany pod zarzutem zamordowania oficera policji. Pańska córka odmawia udzielenia jakichkolwiek informacji, które mogłyby nam dopomóc. To są fakty. Może pan je nazwać niewiarygodnymi, ale ja mogę to wszystko udowodnić.

– Nie wątpię w pańskie słowa – odrzekł łagodnie pan Adams. – Za niewiarygodne uważam to, żeby moja córka mogła być w poważnych tarapatach. Chyba że pan daje do zrozumienia, iż jest... – tu na jego twarzy pojawił się wyraz uczonego zastanowienia – tym, co bodajże nazywa się „laleczką” gangstera.

Kay spojrzała na ojca. Czuła, że żartuje na swój profesorski sposób i zdumiała się, że może traktować całą sprawę tak lekko. Pan Adams stwierdził stanowczo:

– Jednakże bądźcie panowie pewni, że gdyby ten młody człowiek pokazał się tutaj, natychmiast zamelduję władzom o jego obecności. Tak samo moja córka. A teraz zechcą panowie wybaczyć; obiad nam stygnie.

Odprowadził obu mężczyzn do wyjścia z całą kurtuazją i zamknął za nimi drzwi delikatnie, ale ze stanowczością. Ujął Kay pod rękę i poprowadził ją do kuchni na tyłach domu.

– Chodź, moja droga. Mama czeka na nas z obiadem.

Kiedy wchodzili do kuchni, Kay płakała cicho z ulgi i ze wzruszenia tą ufną czułością ojca. W kuchni matka nie zwróciła uwagi na jej łzy i Kay domyśliła się, że ojciec musiał jej powiedzieć o dwóch detektywach. Usiadła na swoim miejscu, a matka w milczeniu podała jej jedzenie. Kiedy wszyscy troje usadowili się przy stole, ojciec odmówił modlitwę ze spuszczoną głową.

Pani Adams była niską, tęgą kobietą, zawsze starannie ubraną i uczesaną. Kay nigdy jej nie widziała zaniedbanej. Matka też nie interesowała się nią zbyt, trzymała ją z daleka od siebie. I teraz również tak było.

– Kay, przestań tak dramatyzować. Jestem pewna, że to wiele hałasu o nic. Bądź co bądź ten chłopiec chodził do Dartmouth, żadną miarą nie mógł być wmieszany w coś tak obrzydliwego.

Kay podniosła wzrok ze zdumieniem.

– Skąd wiedziałaś, że Mike chodził do Dartmouth?

Matka odpowiedziała z wyrozumiałością:

– Wy, młodzi, jesteście tacy tajemniczy, wydaje wam się, żeście tacy sprytni. Wiedzieliśmy o nim przez cały czas, ale oczywiście nie mogliśmy poruszać tej sprawy, dopóki sama tego nie zrobiłaś.

– Ale skąd wiedzieliście? – spytała Kay. Nie mogła spojrzeć ojcu w oczy teraz, gdy wiedział, że ona i Mike sypiali ze sobą. Nie spostrzegła więc uśmiechu na jego twarzy, kiedy odrzekł:

– Otwieraliśmy twoje listy, rzecz jasna.

Kay była przerażona i rozgniewana. Teraz już mogła spojrzeć mu w oczy. To, co uczynił, było bardziej zawstydzające od jej grzechu. Nigdy by go o to nie posądziła.

– Tato, chyba tego nie robiłeś, to niemożliwe.

Pan Adams uśmiechnął się do niej.

– Rozwazałem, co jest większym grzechem: czy otwieranie twoich listów, czy pozostawianie w nieświadomości co do ryzyka, na które mogło być narażone moje jedyne dziecko. Wybór był prosty i uczciwy.

Pani Adams powiedziała między jednym a drugim kęsem gotowanej kury:

– Ostatecznie, moja droga, jesteś strasznie naiwna jak na swój wiek. Musieliśmy wiedzieć. A nigdy o nim nie mówiłaś.

Po raz pierwszy Kay była rada, że Michael nie bywał czuły w swoich listach. Była rada, że rodzice nie czytali niektórych jej listów.

– Nigdy wam o nim nie mówiłam, bo myślałam, że bylibyście przerażeni jego rodziną.

– I byliśmy – powiedział wesoło pan Adams. – No więc, czy Michael kontaktował się z tobą?

Kay potrząsnęła głową.

– Nie wierzę, żeby był winien czegokolwiek.

Spostrzegła, że rodzice wymienili nad stołem spojrzenia. Potem pan Adams odezwał się łagodnie:

– Jeżeli nie jest winien, a zniknął, to może zdarzyło mu się coś innego.

W pierwszej chwili Kay nie zrozumiała. Potem wstała od stołu i pobiegła

do swego pokoju.

Trzy dni później Kay Adams wysiadła z taksówki przed ośrodkiem Corleone w Long Beach. Przedtem zatelefonowała i oczekiwano jej. U wejścia przyjął ją Tom Hagen i była zawiedziona, że to on. Wiedziała, że nic jej nie powie.

W salonie poczęstował ją drinkiem. Widziała paru innych mężczyzn krążących po domu, ale Sonny'ego nie było. Spytała Toma Hagena wprost:

– Czy pan wie, gdzie jest Mike? Czy pan wie, jak mogę się z nim skontaktować?

Hagen wyjaśnił uprzejmie:

– Wiadomo nam, że wszystko jest z nim w porządku, ale nie wiemy, gdzie przebywa w tej chwili. Kiedy dowiedział się o zastrzeleniu tego kapitana, zląkł się, że mogą go o to oskarżyć. Więc postanowił po prostu zniknąć. Powiedział mi, że skontaktuje się z nami za parę miesięcy.

Było to kłamliwe, ale przynajmniej przejrzyste; chciał jej dać przynajmniej tyle.

– Czy ten kapitan naprawdę złamał mu szczękę? – spytała Kay.

– Obawiam się, że to prawda – odrzekł Tom. – Ale Mike nigdy nie był mściwy. Jestem pewien, że to nie miało nic wspólnego z tym, co się stało.

Kay otworzyła torebkę i wyjęła z niej list.

– Doręczy pan mu to, jeżeli się z panem skontaktuje?

Hagen potrząsnął głową.

– Gdybym przyjął ten list, a pani powiedziała w sądzie, że go przyjąłem, mogłoby to być zinterpretowane w ten sposób, że było mi wiadome miejsce pobytu Mike'a. Dlaczego pani trochę nie poczeka? Jestem pewien, że Mike nawiąże kontakt.

Dokończyła drinka i wstała, by się pożegnać. Hagen odprowadził ją do holu, ale kiedy otworzył drzwi, weszła z zewnątrz jakaś kobieta. Niska, tęga, ubrana na czarno. Kay rozpoznała w niej matkę Michaela. Wyciągnęła rękę i powiedziała:

– Dzień dobry pani.

Małe, czarne oczy kobiety wpatrzyły się w nią na chwilę, po czym pomarszczona, sucha, oliwkowa twarz rozjaśniła się lekkim powitalnym uśmiechem, który był w jakiś osobliwy sposób prawdziwie przyjazny.

– A, ty mała dziewczynka Mikeya – poznała ją pani Corleone. Mówiła z silnym włoskim akcentem, Kay ledwie mogła ją zrozumieć. – Ty coś jadła?

Kay odpowiedziała, że nie, mając na myśli, że nie chciała nic jeść, ale pani Corleone obróciła się gniewnie na Toma Hagena i naurągała mu po włosku, mówiąc na zakończenie:

– Ty nawet nie dał tej biednej dziewczynie kawy, ty *disgrazia!*

Wzięła Kay za rękę dłonią niespodziewanie ciepłą i jędrną i poprowadziła do kuchni.

– Napij się kawy i zjedz coś, potem ktoś cię odwiezie do domu. Taka miła dziewczyna jak ty, ja nie chcę, żeby jechała pociągiem.

Kazała Kay usiąść i zaczęła się krzątać po kuchni, rzuciwszy płaszcz i kapelusz na krzesło. W kilka sekund na stole pojawił się chleb, ser i salami, a na piecyku zaperkotała kawa. Kay odezwała się nieśmiało:

– Przyszłam zapytać o Mike’a, nie miałam od niego wiadomości. Pan Hagen powiedział, że nikt nie wie, gdzie jest, ale że niedługo się odezwie.

– Tylko tyle możemy powiedzieć w tej chwili, mamó – wtrącił szybko Hagen. Pani Corleone rzuciła mu miazdzące, pogardliwe spojrzenie.

– Będziesz mi mówił, co robić? Mój mąż mi nie mówi, Boże, miej go w swej opiece. – Przeżegnała się.

– Czy pan Corleone dobrze się czuje? – spytała Kay.

– Świetnie – odrzekła pani Corleone. – Świetnie. Starzeje się, robi się lekomyślny, że dopuszcza do czegoś takiego. – Postukała się lekceważąco w czoło. Nalała kawy i zmusiła Kay do zjedzenia kawałka chleba z serem.

Kiedy wypily kawę, pani Corleone ujęła dłoń Kay w swoje śniade dłonie. Przemówiła łagodnie:

– Mikey do ciebie nie napisze, nie będziesz miała wiadomości od Mikeya. On się ukryje dwa, trzy lata. Może więcej, może dużo więcej. Ty wracaj do domu, do swojej rodziny, znajdź sobie jakiegoś miłego chłopca i wyjdź za mąż.

Kay wyjęła z torebki list.

– Zechce pani przesłać mu to?

Starsza pani wzięła list i poklepała ją po policzku.

– Jasne, jasne. – Hagen chciał zaprotestować, ale krzyknęła nań po włosku. Potem odprowadziła Kay do drzwi. Tam pocałowała ją szybko w policzek i rzekła: – Ty zapomnij o Mikeyu, on już nie dla ciebie.

Na Kay czekał samochód z dwoma mężczyznami na przednim siedzeniu.

Odwieźli ją do hotelu w Nowym Jorku, nie mówiąc przez całą drogę ani słowa. Kay też się nie odzywała. Usiłowała oswoić się z faktem, że mężczyzna, którego kochała, popełnił z zimną krwią morderstwo. I że dowiedziała się o tym z najbardziej wiarygodnego źródła: od jego matki.

Rozdział 16

Carlo Rizzi był zły na cały świat. Kiedy wżenił się w Rodzinę Corleone, odsunięto go na boczny tor, przydzielając mu mały interes bukmacherski na górnej wschodniej stronie Manhattanu. Liczył na jeden z domów w ośrodku na Long Beach, wiedział, że don może stamtąd przenieść rodziny swoich pracowników, kiedy mu się podoba, i pewien był, że tak się stanie, że będzie wprowadzony we wszystko. Ale don nie traktował tego tak, jak należało. Wielki don – myślał szyderczo. Stary kołtun, którego rewolwerowcy przydybali na ulicy niczym jakiegoś głupiego, drobnego chuligana. Miał nadzieję, że stary drań wykorkuje. Sonny był niegdyś jego kumplem i gdyby został głową Rodziny, może dałby mu szansę, dopuścił do interesów.

Obserwował żonę nalewającą mu kawę. Rany boskie, jak ona się zaniedbała! Po pięciu miesiącach małżeństwa już zaczyna tyć, poza tym, że była w ciąży. Te wszystkie Włoszki na wschodzie to naprawdę makaroniarskie baby.

Wyciągnął rękę i pomacał miękki, rozłożysty pośladek Connie. Uśmiechnęła się do niego, a on powiedział wzgardliwie:

– Masz większe szynki niż maciora.

Sprawił mu przyjemność wyraz rozżalenia na jej twarzy, łzy napływające do oczu. Może sobie być córką Wielkiego Dona, ale teraz jest jego żoną, jest jego własnością i może ją traktować jak chce. Dawało mu poczucie siły to, że ktoś z Rodziny Corleone jest jego podnóżkiem.

Od początku wziął się do niej jak należy. Usiłowała zatrzymać dla siebie torebkę z pieniężnymi podarkami, wobec czego ładnie podbił jej oko i zabrał forszę. I nigdy jej nie powiedział, co z nią zrobił. To mogło naprawdę spowodować pewne kłopoty. Jeszcze teraz czuł odrobinę wyrzutów sumienia. Chryste Panie, wypaskudził prawie piętnaście patyków na wyścigi i cizie z kabare-

tów.

Czuł, że Connie przypatruje mu się z tyłu, więc napiął mięśnie, sięgając po półmisek słodkich bułeczek stojący po drugiej stronie stołu. Właśnie pochłonał jajka na szynce, ale był roslym mężczyzną i potrzebował obfitego śniadania. Był zadowolony z obrazu, jaki przedstawiał sobą oczom żony. Nie jakiś tam zwykły, ciemnowłosy, makaroniarski mężulek, ale krótko ostrzyżony blondyn o potężnych, porośniętych złotymi włoskami przedramionach, szerokich barach i wąskiej talii. I wiedział, że jest fizycznie silniejszy od tych wszystkich tak zwanych twardych gości, pracujących dla Rodziny. Takich jak Clemenza, Tessio, Rocco Lampane i ten Paulie Gatto, którego ktoś rąbnął. Zastanowił się, co to była za historia. Potem z jakiejś przyczyny pomyślał o Sonnym. W pojedynkę dałby mu radę, chociaż Sonny był trochę wyższy i trochę cięższy. Natomiast przestraszała go opinia o Sonnym, chociaż sam nigdy nie widział go innym niż wesołym i rozdowcipkowanym. Tak, Sonny był jego kumplem. Może, jak starego dona nie będzie, coś się rozkręci.

Marudził nad kawą. Nie cierpiał tego mieszkania. Był przyzwyczajony do większych pomieszczeń na zachodzie, a za chwilę miał jechać na drugi koniec miasta do swego kantoru bukmacherskiego, by pokierować akcją południową. Była niedziela, najruchliwszy dzień tygodnia; baseball już szedł i finały koszykówki, a zaczynały się wieczorne wyścigi kłusaków. Stopniowo uprzytomnił sobie, że Connie krząta się za nim, i obrócił głowę, by na nią popatrzeć.

Właśnie się ubierała – według tej nowojorskiej makaroniarskiej mody, której nie znosił. Jedwabna sukienka w kwiaty, z paskiem, krzykliwa bransoletka i kolczyki, marszczone rękawy. Wyglądała o dwadzieścia lat starzej.

– Gdzie się wybierasz, u diabła? – zapytał.

– Do ojca na Long Beach – odpowiedziała mu zimno. – Jeszcze nie może wstać z łóżka i potrzebuje towarzystwa.

Carlo się zaciekawił.

– Czy Sonny dalej kieruje całą imprezą?

Connie spojrzała na niego łagodnie.

– Jaką imprezą?

Rozzłościł się.

– Ty makaroniarska dziwko, nie gadaj tak do mnie, bo ci wytlukę z brzucha tego bachora!

Przestraszyła się i to go rozwścieczyło jeszcze bardziej. Zerwał się z krzesła i trzasnął ją w twarz, pozostawiając na niej czerwoną pręgę. Z precyzją uderzył ją jeszcze trzy razy. Spostrzegł, że rozcięta górna warga krwawi i obrzmiewa. To go pohamowało. Nie chciał zostawiać śladów. Connie pobiegła do sypialni, zatrzasnęła drzwi i usłyszał klucz przekręcany w zamku. Roześmiał się i wrócił do kawy.

Palił papierosy, dopóki nie przyszła pora się ubrać. Zapukał do sypialni i rzekł:

– Otwórz drzwi, zanim je wkopię do środka. – Nie było odpowiedzi. – Jazda, muszę się ubrać – krzyknął. Usłyszał, że Connie wstaje z łóżka i podchodzi do drzwi, a potem klucz przekręcił się w zamku. Kiedy wszedł, była obrócona do niego plecami, wróciła do łóżka i położyła się twarzą do ściany.

Ubrał się szybko, a potem spostrzegł, że Connie jest w *dessous*. Chciał, żeby pojechała do ojca, miał nadzieję, że przywiezie jakieś wiadomości.

– No i co? Parę klapsów odbiera ci całą energię? – Była leniwą niechlujką.

– Nie chcę jechać. – Jej głos był zapłakany, słowa bełkotliwie wymawiane. Niecierpliwie wyciągnął rękę i obrócił ją twarzą do siebie. Wtedy zobaczył, dlaczego nie chce jechać, i pomyślał, że to może i lepiej.

Musiał uderzyć ją mocniej niż sądził. Lewy policzek miała napuchnięty, rozcięta górna warga rozděła się groteskowo i zbieiała pod nosem.

– Okay – powiedział – ale ja wrócę do domu późno. Niedziela to mój pracowity dzień.

Wszedł z domu i znalazł na samochodzie mandat parkingowy, zielony, piętnastodolarowy. Wsadził go do przegródki na przedzie razem ze stosikiem innych. Był w dobrym humorze. Przetrzepanie tej rozpaskudzonej pindzi zawsze wprawiało go w dobry nastrój. Rozpraszało trochę poczucie rozczarowania, że Rodzina Corleone tak źle go traktuje.

Kiedy pierwszy raz zostawił na niej ślad, był tym trochę zaniepokojony. Pojechała prosto do Long Beach poskarżyć się matce i ojcu i pokazać im podbite oko. Naprawdę się zaniepokoił.

Ale kiedy wróciła, była zaskakująco potulna – uległa włoska zoneczka. Przez następne trzy tygodnie pilnował się, żeby być idealnym mężem, traktował ją dobrze pod każdym względem, był dla niej kochający i miły, posuwał ją codziennie rano i wieczorem. W końcu powiedziała mu, co zaszło, ponieważ myślała, że więcej się tak nie zachowa.

Jej rodzice okazali chłodny brak współczucia i osobliwe rozbawienie. Mat-

ka żałowała jej trochę i nawet poprosiła ojca, żeby porozmawiał z Carlem Rizzim. Ojciec odmówił.

– Jest moją córką – powiedział – ale teraz należy do męża. A on zna swoje obowiązki. Nawet król włoski nie śmiał się mieszać do stosunków między mężem a żoną. Wracaj do domu i naucz się tak postępować, żeby cię nie bił.

Connie z gniewem zapytała ojca:

– A ty kiedyś uderzyłeś swoją żonę? – Była jego ulubienicą i mogła przemawiać tak zuchwale. Wyjaśnił jej:

– Nigdy nie dała mi powodu, żeby ją bić. – A matka kiwnęła głową i uśmiechnęła się.

Connie opowiedziała im, jak jej mąż zabrał pieniądze ze ślubnych prezentów i nigdy nie wyjawiał, co z nimi zrobił. Na to ojciec wzruszył ramionami i rzekł:

– Postąpiłbym tak samo, gdyby moja żona była tak zarozumiała jak ty.

Wróciła więc wtedy do domu trochę oszołomiona, trochę wystraszona. Zawsze była ulubienicą ojca i nie mogła pojąć jego chłodu.

Jednakże don nie był taki nieczuły, jak udawał. Zbadał sprawę i dowiedział się, co Carlo Rizzi zrobił z pieniędzmi ze ślubnych prezentów. Do kantoru bukmacherskiego Carla Rizzi przydzielił ludzi, którzy mieli donosić Hagenowi o wszystkim, co Rizzi tam robił. Ale don nie mógł interweniować. Jakże można oczekiwać, żeby ktoś spełniał mężowskie obowiązki wobec żony, której rodziny się boi? Byłaby to niemożliwa sytuacja i nie śmiał się wtrącać. A potem, kiedy Connie zaszła w ciążę, nabrał przekonania, że powziął mądrą decyzję, i uznał, że nie może interweniować, aczkolwiek Connie skarżyła się matce na dalsze pobicia, matka zaś w końcu przejęła się tak dalece, że wspominała o tym donowi. Connie nawet napomknęła, że może zechcieć rozwodu. Po raz pierwszy w jej życiu rozgniewał się na nią.

– On jest ojcem twojego dziecka. Do czego może dojść na tym świecie, jeżeli nie będzie miało ojca? – powiedział Connie.

Dowiedziawszy się tego wszystkiego, Carlo Rizzi nabrał pewności siebie. Był absolutnie bezpieczny. Przechwalał się nawet swoim dwóm „pisarzom” w kantorze, Sally’emu Ragsowi i Coachowi, jak to bierze do galopu żonę, kiedy się robi bezczelna, i widział ich miny pełne respektu, że ma odwagę poturbować córkę wielkiego dona Corleone.

Rizzi nie czułby się taki bezpieczny, gdyby wiedział, że kiedy Sonny Corleone usłyszał o tym biciu, wpadł w morderczą wściekłość, i pohamował go

tylko najsurowszy i najbardziej stanowczy rozkaz samego dona – rozkaz, którego nawet Sonny nie poważyłby się nie usłuchać. Dlatego właśnie Sonny unikał Rizziiego, nie ufając sobie, że zdoła się opanować.

Tak więc Carlo Rizzi, czując się absolutnie bezpiecznie owego pięknego niedzielnego poranka, pojechał przez miasto Dziewięćdziesiątą Szóstą Ulicą na East Side. Nie widział samochodu Sonny'ego, który nadjeżdżał z przeciwnego kierunku ku jego domowi.

Sonny Corleone opuścił bezpieczne schronienie w ośrodku i spędził noc w mieście z Lucy Mancini. Wracając teraz do domu jechał z czterema goryłami – dwoma przed nim i dwoma z tyłu. Nie potrzebował mieć obstawy obok siebie, mógł sam sobie poradzić z bezpośrednim atakiem. Jego ludzie jeździli swoimi wozami i mieli kwatery po obu stronach mieszkania Lucy. Odwiedzanie jej było bezpieczne, jeżeli tylko nie robił tego za często. Jednakże, będąc już w mieście, pomyślał, że podjedzie po swoją siostrę, Connie, i zabierze ją na Long Beach. Wiedział, że Carlo będzie teraz pracował w swoim kantorze, a ten nędzny drań nie chciał kupić jej samochodu. Wobec tego on sam podwiezie siostrę.

Zaczekał, aż jadący przed nim dwaj ludzie weszli do budynku, po czym ruszył za nimi. Widział, że dwaj jadący w tyle zatrzymali się za jego wozem i wysiedli, by obserwować ulicę. Sam miał oczy otwarte. Istniała jedna szansa na milion, aby przeciwnicy wiedzieli, że jest w mieście, ale był zawsze ostrożny. Nauczył się tego podczas wojny w latach trzydziestych.

Nigdy nie używał wind. Były śmiertelnymi pułapkami. Wdrapał się szybko po schodach do mieszkania Connie. Zapukał do jej drzwi. Zauważył odjeżdżający samochód Carla i wiedział, że będzie sama. Nie było odpowiedzi. Zapukał powtórnie i wtedy usłyszał głos siostry, wystraszony, niepewny, pytający:

– Kto tam?

Strach w jej głosie oszołomił go. Jego siostrzyczka zawsze była zuchwała, zaczepna, twarda jak nikt inny w rodzinie. Co jej się stało, u diabła? Odrzekł:

– Sonny.

Zasuwa wewnątrz szcęknęła, drzwi się otworzyły i Connie padła mu w ramiona, szlochając. Był tak zaskoczony, że stał bez ruchu. Potem odsunął ją od siebie, zobaczył jej opuchniętą twarz i zrozumiał, co zaszło.

Chciał zbiec po schodach i gonić jej męża. Zawrzała w nim wściekłość, wykrzywiając mu twarz. Connie to spostrzegła i przywarła doń, nie puszczając go, zmuszając, by wszedł do mieszkania. Płakała teraz z przerażenia. Znała porywczosć starszego brata i bała się jej. Z tej przyczyny nigdy nie skarżyła mu się na Carla. Zmusiła go do wejścia razem z nią do środka.

– To była moja wina – mówiła. – Zaczęłam kłótnię i chciałam go uderzyć, więc mnie zbił. Naprawdę nie chciał uderzyć mnie tak mocno. Sama się podstawiłam.

Pyzata, kupidynowa twarz Sonny’ego była opanowana.

– Pojedziesz dziś zobaczyć się ze starym?

Nie odpowiedziała, więc dodał:

– Myślałem, że się wybierasz, więc wpadłem, żeby cię podrzucić. I tak byłem w mieście.

Potrząsnęła głową.

– Nie chcę, żeby mnie widział w takim stanie. Pojadę w przyszłym tygodniu.

– Okay – odrzekł Sonny. Podniósł słuchawkę jej kuchennego telefonu i wykręcił numer. – Wezwę doktora, żeby cię obejrzał i opatrzył. W twoim stanie musisz być ostrożna. Ile jest jeszcze miesięcy do porodu?

– Dwa. Proszę cię, Sonny, tylko nic nie rób. Proszę cię.

Sonny roześmiał się. Twarz miał okrutną i napiętą, gdy odpowiedział:

– Nie martw się, nie zrobię twojego dziecka sierotą przed urodzeniem.

Wyszedł z mieszkania, pocałował ją lekko w nieuszkodzony policzek.

Na Wschodniej Sto Dwunastej Ulicy długi podwójny rząd samochodów stał przed sklepem ze słodyczami, w którym mieścił się kantor bukmacherski Carla Rizzi. Na chodniku przed sklepem ojcowie grali w piłkę z małymi dziećmi, które zabrali na poranną niedzielną przejażdżkę, aby im towarzyszyły, gdy będą robili zakłady. Kiedy zobaczyli, że zajeżdża Carlo Rizzi, przerwali zabawę i kupili dzieciom lody, żeby siedziały spokojnie. Następnie wzięli się do studiowania gazet podających nazwiska miotaczy w drużynach baseballowych, usiłując wybrać zwycięzców na ten dzień.

Carlo wszedł do dużego pokoju na tyłach sklepu. Jego dwaj „pisarze” – niski, żylasty mężczyzna nazwiskiem Sally Rags i masywny, krzepki facet nazwiskiem Coach – czekali już na rozpoczęcie akcji. Mieli przed sobą wielkie poliniowane bloki, gotowe do wpisywania zakładów. Na drewnianym stojaku była tablica z wypisanymi kredą nazwami szesnastu ligowych drużyn base-

ballowych, zestawionymi po dwie, aby uwidocznic, kto gra przeciwko komu. Przy kazdej parze byl zakreślony kwadrat, w który miano wpisywać stawki. Carlo zapytał Coacha:

– Czy telefon sklepowy jest dzisiaj na podsłuchu?

Coach potrząsnął głową.

– Podsłuch jest dalej wyłączony.

Carlo podszedł do aparatu ściennego i wykręcił numer. Sally Rags i Coach obserwowali go ze spokojem, gdy zapisywał „kolumnę” – stawki na wszystkie rozgrywki baseballowe w tym dniu. Obserwowali go, kiedy odwiesił słuchawkę, podszedł do tablicy i powpisywał liczby przy każdej rozgrywce. Chociaż Carlo o tym nie wiedział, otrzymali już przedtem owe dane i kontrolowali jego robotę. W pierwszym tygodniu pracy Carlo popełnił ten błąd, że przeniósł stawki na tablicę i tym sposobem stworzył „średnią”, marzenie wszystkich hazardzistów. To znaczy, że stawiając u niego, a potem przeciwko tej samej drużynie u innego bukmachera, grający nie mógł przegrać. Stracić mógł tylko kantor Carla. Ten błąd spowodował dla niego stratę sześciu tysięcy dolarów w owym tygodniu i potwierdził ocenę dona co do zięcia. Don wtedy dał polecenie kontrolowania całej roboty Carla.

Normalnie wysoko postawieni członkowie Rodziny Corleone nie troszczyli się nigdy o takie techniczne szczegóły. Na ich szczeblu istniała co najmniej pięciostopniowa struktura. Ponieważ jednak używano kantoru jako terenu próbnego ich zięcia, został on poddany bezpośredniemu nadzorowi Toma Hagen, któremu codziennie posyłano sprawozdania.

Teraz, po wywieszeniu danych, gracze cisnęli się do pokoju za sklepem, aby notować stawki na gazetach obok rozgrywek podanych tam wraz z prawdopodobnymi miotaczami. Niektórzy, przypatrując się tablicy, trzymali swoje małe dzieci za ręce. Jeden, który porobił duże zakłady, spojrzął na dziewczynkę, którą trzymał za rękę, i zapytał żartobliwie:

– Kogo dziś wolisz kochanie, Gigantów czy Piratów?

Mała, zafascynowana tymi barwnymi nazwami, spytała:

– A czy Giganci są mocniejsi od Piratów?

Ojciec roześmiał się.

Przed dwoma „pisarzami” zaczęła się tworzyć kolejka. Kiedy któryś z nich wypełnił arkusz, oddzierał go, owijał weń otrzymane pieniądze i podawał Carlowi. Carlo wychodził tylnymi drzwiami i udawał się na górę, do mieszkania zajmowanego przez rodzinę właściciela sklepu. Przetelefonowywał za-

kłady do swojej centrali i wkładał pieniądze do małego ściennego sejfu ukrytego za przedłużeniem kotary okiennej. Potem schodził z powrotem do sklepu, uprzednio spaliwszy arkusz z zakładami i spłukawszy popiół w ubikacji.

Żadna z niedzielnych rozgrywek nie zaczynała się przed drugą po południu ze względu na purytańskie przepisy, toteż po pierwszym tłumie grających, ojców rodzin, którzy musieli porobić zakłady i pędzić do domu, aby zabrać swoich bliskich na plażę, napływał cienki strumyk kawalerów bądź tych ztwardziałych, którzy skazywali swoje rodziny na spędzanie niedziel w dusznych miejskich mieszkaniach. Nieżonaci gracze byli największymi hazardzistami, stawiali więcej i wracali około czwartej, by znowu postawić na powtórne rozgrywki między tymi samymi drużynami. Oni to właśnie wypełniali Carlowi całe niedziele dodatkową robotą, aczkolwiek i niektórzy żonaci mężczyźni wpadali z plaży, aby spróbować powetować sobie straty.

Około wpół do drugiej zakłady topniały na tyle, że Carlo i Sally Rags mogli wyjść na dwór, usiąść na schodkach przed cukiernią i trochę odetchnąć świeżym powietrzem. Przypatrywali się dzieciom grającym w piłkę. Przejechał wóz policyjny. Nie zwrócili na niego uwagi. Ten kantor miał bardzo mocną ochronę na posterunku i nie mógł być ruszony na szczeblu lokalnym. Obława musiałaby zostać zarządzona u samej góry, a nawet i wtedy przyszłoby w porę ostrzeżenie.

Coach wyszedł i zasiadł obok nich. Chwilę gawędzili o baseballu i kobietach. Carlo powiedział ze śmiechem:

– Musiałem dziś znowu przetrzepać żonę, pokazać jej, kto jest jej panem.

Coach zauważył od niechcenia:

– Już chyba jest nieźle wzdęta, co?

– Ech, tylko ją przetrzepałem parę razy po twarzy – odrzekł Carlo. – Nic złego jej nie zrobiłem. – Zamyślił się na chwilę. – Zdaje jej się, że może mną rządzić, a ja na to nie idę.

Jeszcze kilku grających ociągało się, gawędząc, rozmawiając o baseballu, niektórzy siedzieli na schodkach nad obydwoma „pisarzami” i Carlem. Nagle dzieci grające w piłkę na ulicy rozbiegły się. Z przecznicy wyjechał z warkotem samochód i stanął przed cukiernią. Zatrzymał się tak raptownie, że rozległ się pisk opon, a zanim stanął, zza kierownicy wyskoczył mężczyzna tak szybko, że wszyscy znieruchomieli sparaliżowani. Mężczyzną tym był Sonny Corleone.

Jego pyzata, kupidynowata twarz z grubymi wygiętymi wargami była

straszna maską furii. W ułamku sekundy był już przy schodkach i złapał Carla Rizzi za gardło. Odciągnął go od pozostałych, usiłując wywlec na jezdnię, ale Carlo oplótł muskularne ramiona wokół żelaznej poręczy i uczepił się jej. Kulił się, usiłując schować głowę i twarz w zagięcie ramion. Jego koszula rozdarła się w ręce Sonny'ego.

To, co nastąpiło potem, było przerażające. Sonny zaczął grzmocić pięściami skulonego Carla, klnąc go chrapliwym, zdławionym z wściekłości głosem. Carlo, pomimo swej ogromnej siły fizycznej, nie stawiał oporu, nie wołał o litość ani nie protestował. Coach i Sally Rags nie śmieli się wtrącić. Myśleli, że Sonny zamierza zabić swego szwagra, i nie mieli ochoty podzielić jego losu. Dzieci grające w piłkę zgromadziły się, by skłąć kierowcę, który je rozproszył, ale teraz przypatrywały się z pełnym respektem zaciekawieniem. Były to twarde dzieciaki, ale widok rozwścieczonego Sonny'ego uciszył je. Tymczasem drugi samochód podjechał pod wóz Sonny'ego i wyskoczyli z niego dwaj goryle. Kiedy zobaczyli, co się święci, oni też nie śmieli się wtrącić. Stali czujni, gotowi ochronić szefa, gdyby któryś z widzów był na tyle głupi, by spróbować pomóc Carlowi.

Tym, co uczyniło ów widok tak obrzydliwym, była całkowita uległość Carla, ale może właśnie ona uratowała mu życie. Trzymał się rękami żelaznej poręczy, tak że Sonny nie mógł wywlec go na jezdnię, i mimo najwyraźniej równej siły nadal uchylał się od walki. Pozwalał, by grad ciosów spadał mu na nieosłoniętą głowę i szyję, dopóki wściekłość Sonny'ego nie opadła. W końcu, dysząc ciężko, Sonny popatrzył na niego i powiedział:

– Ty parszywy draniu, jak jeszcze raz uderzysz moją siostrę, to cię zabiję.

Te słowa rozładowały napięcie. Bo oczywiście, gdyby Sonny zamierzał go zabić, nie wypowiedziałby nigdy takiej groźby. Wyrzekł ją w poczuciu zawodu, bo nie mógł jej wykonać. Carlo nie chciał spojrzeć na Sonny'ego. Nadal miał głowę opuszczoną, a ręce i ramiona wczepione w żelazną poręcz. Pozostał tak, dopóki wóz nie odjechał z warkotem; usłyszał, że Coach mówi dziwnie ojcowskim głosem:

– Okay, Carlo, chodź do sklepu. Zejdźmy im z oczu.

Dopiero wtedy Carlo odważył się dźwignąć ze swej skulonej pozycji przy kamiennych schodkach i puścić poręcz. Wstając, spostrzegł, że dzieciaki patrzą na niego z osłupiałymi, pełnymi obrzydzenia minami ludzi, którzy byli świadkami poniżenia innego człowieka. Był trochę otumaniony, ale bardziej na skutek szoku, dzikiego strachu, który poraził jego ciało; nie poniósł więk-

szego szwanku pomimo gradu ciężkich ciosów. Pozwolił Coachowi poprowadzić się pod rękę do pokoju na tyłach sklepu, gdzie ten obłożył mu lodem twarz – chociaż nie była pokaleczona i nie krwawiła, obrzmiała od puchnących stłuczeń. Strach ustępował już, a doznane upokorzenie przyprawiło Carla o mdłości, tak że musiał zwymiotować. Coach przytrzymał mu głowę nad zlewem, podpierając go jak pijanego, a potem pomógł mu wejść na górę do mieszkania i ułożył go w jednym z pokoiów. Carlo w ogóle nie zauważył, że Sally Rags zniknął.

Sally Rags poszedł do Trzeciej Alei i zatelefonował do Rocca Lampone, ażeby donieść mu, co się stało. Rocco przyjął tę wiadomość spokojnie i z kolei zadzwonił do *caporegime* Pete'a Clemenzy. Clemenza stęknął i zawołał:

– O Jezu, ten cholerny Sonny i jego wybryki! – ale przedtem roztropnie nacisnął palcem widełki, tak że Rocco nie usłyszał jego komentarza.

Clemenza zadzwonił do domu w Long Beach i poprosił Hagen. Hagen milczał przez chwilę, po czym powiedział:

– Poślij, jak możesz najprędzej paru ludzi i kilka samochodów na szosę do Long Beach, na wypadek gdyby Sonny został zatrzymany przez duży ruch albo coś mu się przydarzyło. Kiedy się tak rozeźli, w ogóle nie wie, co robi. Możliwe, że niektórzy nasi przyjaciele po przeciwnej stronie dowiedzieli się, że jest w mieście. Nigdy nie wiadomo.

Clemenza odrzekł z powątpiewaniem:

– Zanim pójdę wysłać kogoś na szosę, Sonny już będzie w domu. To się stosuje także do Tattagliów.

– Wiem – odparł cierpliwie Hagen. – Ale gdyby stało się coś niezwykłego, Sonny może być zatrzymany. Zrób, co w twojej mocy, Pete.

Clemenza niechętnie zadzwonił do Rocca Lampone, kazał mu wziąć kilku ludzi i samochody i kontrolować drogę do Long Beach. Sam poszedł do swojego ukochanego cadillaca i z trzema ludźmi z plutonu strażników, który obecnie obsadzał jego dom, ruszył przez most Atlantic Beach w stronę Nowego Jorku.

Jeden z ludzi wałęsających się koło sklepu ze słodyczami, drobny gracz będący na liście płacy Rodziny Tattagliów jako informator, zadzwonił do człowieka, który był łącznikiem z jego ludźmi. Jednakże Rodzina Tattagliów nie przygotowała się jeszcze do wojny, a łącznik musiał przeniknąć przez całą strukturę zabezpieczeń, nim wreszcie dotarł do *caporegime*, który miał kontakt z szefem Tattagliów. W tym czasie Sonny Corleone wrócił już bez-

piecznie do ośrodka, do domu ojca w Long Beach, aby stawić czoło rodzicielskiemu gniewowi.

Rozdział 17

Wojna 1947 roku między Rodziną Corleone a sprzymierzonymi przeciwko niej Pięcioma Rodzinami okazała się kosztowna dla obu stron. Skomplikował ją nacisk wywierany na wszystkich przez policję w celu rozwiązania zagadki zamordowania kapitana McCluskeya. Rzadko się zdarzało, żeby funkcjonariusze operacyjni posterunku policji ignorowali siły polityczne ochraniające hazard i nierząd, ale w tym przypadku politycy byli równie bezradni, jak sztab generalny niesfornej, rabującej armii, której oficerowie liniowi odmawiają wykonywania rozkazów.

Ten brak ochrony nie zaszkodził Rodzinie Corleone tak bardzo jak jej przeciwnikom. Ugrupowanie Corleone czerpało większość swoich dochodów z hazardu i zostało szczególnie mocno uderzone w dziedzinie prowadzonych przez siebie gier liczbowych. Akwizytorzy, którzy zbierali stawki, wpadali w policyjne sieci i zazwyczaj dostawali przyzwoite lanie przed zapuszkowaniem. Nawet niektóre „banki” zostały wytropione i zrewidowane, z ciężkimi finansowymi stratami. „Bankierzy”, prawdziwi goście kaliber .90, skarżyli się *caporegime*, którzy składali ich skargi na stole narad rodzinnych. Jednakże nie można było nic zrobić. Bankierom nakazano zaprzestać działalności. Lokalnym murzyńskim „niezależnym” pozwolono przejąć operacje w Harlemlmie, terenie najbogatszym, gdzie działali w takim rozproszeniu, że policji trudno było ich przyszpilić.

Po śmierci kapitana McCluskeya w niektórych gazetach pojawiły się artykuły o jego bliskich związkach z Sollozzem. Opublikowano dowody, że McCluskey na krótko przed śmiercią otrzymywał duże sumy w gotówce. Te historie podrzucił dziennikarzom Hagen, on też dostarczył informacji. Policja nie chciała potwierdzić tych rewelacji ani im zaprzeczyć, mimo to robiła swoje. Policja otrzymała wiadomość za pośrednictwem informatorów oraz

funkcjonariuszy opłacanych przez Rodzinę, że McCluskey był nieuczciwym policjantem. Nie dlatego, że brał pieniądze lub zwykłe łapówki; to nie było obciążeniem dla policjanta. Ale dlatego, że brał najbrudniejsze z brudnych pieniędzy: z morderstw i narkotyków. A według moralności policjantów było to niewybaczalne.

Hagen rozumiał, że policjant wierzy w prawo i ład w osobiście naiwny sposób. Wierzy w nie bardziej niż społeczeństwo, któremu służy. Prawo i ład są bądź co bądź tą magiczną siłą, z której czerpie on swoją władzę, indywidualną władzę, którą ceni tak, jak prawie wszyscy ludzie ją cenią. A mimo to zawsze tli się w nim niechęć do społeczności, której służy. Jest ona jednocześnie jego podopieczną i jego ofiarą. Jako podopieczna jest niewdzięczna, skłonna do obelg i wymagająca. Jako ofiara jest nieuchwytna i niebezpieczna, pełna przebiegłości. Gdy tylko ktoś znajdzie się w rękach policjanta, mechanizm społeczny, którego ten policjant broni, mobilizuje wszystkie środki, aby go podstępnie pozbawić zdobyczy. Takie kombinacje uprawiają politycy. Sędziowie dają najgorszym łobuzom łagodne wyroki z zawieszeniem. Gubernatorzy stanów i sam prezydent Stanów Zjednoczonych udzielają pełnego ułaskawienia, jeżeli szanowani adwokaci nie uzyskali przedtem wyroku uniewinniającego. Po jakimś czasie policjant uczy się. Dlaczego nie miałyby inkasować honorariów, które wypłacają te łobuzy? Jest mu to bardziej potrzebne. Czemu jego dzieci nie miałyby chodzić do college'u? Dlaczego jego żona nie ma robić zakupów w droższych sklepach? Dlaczego on sam nie ma skorzystać ze słońca podczas zimowego urlopu na Florydzie? Bądź co bądź ryzykuje własnym życiem, a to nie są żarty.

Jednakże zazwyczaj wstrzymuje się od przyjmowania brudnych łapówek. Weźmie pieniądze za przyzwolenie na operacje bukmachera. Weźmie pieniądze od człowieka, który nie lubi mandatów za niewłaściwe parkowanie czy przekroczenie szybkości. Pozwoli za pewnym wynagrodzeniem *call girls* i prostytutkom uprawiać ich rzemiosło. To są naturalne ludzkie słabostki. Ale zazwyczaj nie weźmie opłaty od narkotyków, napadów z bronią w rękę, gwałtów, morderstw i innych podobnych wynaturzeń. W jego pojęciu godzą one w samo jądro jego osobistej władzy i nie mogą być tolerowane.

Zamordowanie kapitana policji można porównać do królobójstwa. Jednakże kiedy stało się wiadome, że McCluskey został zabity, przebywając w towarzystwie notorycznego handlarza narkotykami, kiedy się dowiedziano, że był podejrzewany o spisek mający na celu morderstwo, żądza zemsty policji

zaczęła słabnąć. Poza tym trzeba było przecież nadal spłacać długi hipoteczne, raty za samochody, wyprawiać dzieci w świat. Bez dochodów „z listy” policjant musiał się borykać, by związać koniec z końcem. Nielicencjonowani handlarze mogli zapewnić pieniądze co najwyżej na drugie śniadanie. Łąpówki od niewłaściwego zaparkowania sprowadzały się do pięcio – czy dziesięciocentówek. Niektórzy bardziej przyciśnięci zaczęli nawet szantażować podejrzanych (homoseksualistów, rabusiów i awanturników). W końcu starszyzna zmiękła. Podwyższono ceny i pozwolono Rodzinom działać. I znowu „inkasent” posterunku wystukiwał na maszynie listę płac z wyszczególnieniem każdego człowieka oraz miesięcznej doli. Jakies pozory społecznego ładu zostały przywrócone.

Użycie prywatnych detektywów do strzeżenia pokoju dona Corleone w szpitalu było pomysłem Hageny. Uzupełniali ich oczywiście o wiele groźniejsi żołnierze z *regime* Tessia. Ale Sonny nie zadowolił się nawet tym. W połowie lutego, kiedy dona można było ruszyć bez ryzyka, przewieziono go karetką do domu. Dom przerobiono tak, że sypialnia dona była teraz pokojem szpitalnym z całym wyposażeniem koniecznym na wypadek nagłej potrzeby. Specjalnie zwerbowane i sprawdzone pielęgniarki zostały wynajęte do opieki nad donem dwadzieścia cztery godziny na dobę, a doktor Kennedy zgodził się za olbrzymie honorarium zostać stałym lekarzem w owym prywatnym szpitalu.

Sam ośrodek był nie do zdobycia. W pozostałych domach osadzono cyngli, a lokatorów wyprawiono na wakacje do ojczystych wiosek we Włoszech, pokrywając wszystkie koszty.

Freddiego Corleone wysłano do Las Vegas, żeby przyszedł do siebie, a oprócz tego zbadał grunt dla ewentualnych operacji Rodziny w luksusowym kompleksie hotelowo-kasynowym, który tam właśnie wyrastał. Las Vegas należało do nadal neutralnego imperium Zachodniego Wybrzeża i don tego imperium zagwarantował Freddiemu bezpieczeństwo. Pięć nowojorskich Rodzin nie miało ochoty robić sobie nowych wrogów przez tropienie w Vegas Freddiego Corleone. Miały one dość kłopotów na głowie w Nowym Jorku.

Doktor Kennedy zakazał wszelkich dyskusji o interesach w obecności dona. Ten edykt kompletnie zlekceważono. Don uparł się, żeby rada wojenna

konferowała w jego pokoju. Sonny, Tom Hagen, Pete Clemenza i Tessio zebraли się tam pierwszego wieczoru po jego powrocie do domu.

Don Corleone był zanadto osłabiony, by wiele mówić, ale pragnął słuchać i móc korzystać z prawa weta. Kiedy wyjaśniono, że Freddie został wysłany do Las Vegas, aby nauczył się prowadzenia kasyna gry, kiwnął głową z aprobatą. Kiedy się dowiedział, że cyngle Corleone zabili Bruna Tattaglię, potrząsnął głową i westchnął. Ale najbardziej strapiła go wiadomość, że Michael zabił Sollozza i kapitana McCluskeya, i potem był zmuszony uciekać na Sycylię. Usłyszawszy to, dał wszystkim znak, by wyszli, więc kontynuowali konferencję w narożnym pokoju, w którym mieściła się biblioteka prawnicza.

Sonny Corleone rozsiadł się w ogromnym fotelu za biurkiem.

– Uważam, że powinniśmy oszczędzać ojca przez parę tygodni, póki doktor nie powie, że może zająć się interesami. – Przerwał. – Chciałbym wszystko rozkręcić, zanim przyjdzie do siebie. Mamy zgodę policji na działanie. Pierwsza rzecz, to gry liczbowe w Harlemie. Tamtejsi czarni chłopczkowie mieli już swoją uciechę, teraz musimy im to odebrać. Spieprzyli nielicho całą robotę, jak zwykle, kiedy się do czegoś biorą. Masa ich agentów nie wypłacała wygranych. Rozjeżdżają się cadillakami i każą graczom czekać na forse albo płacą im połowę tego, co wygrali. Nie chcę, żeby którykolwiek agent wyglądał dla graczy na bogacza. Nie chcę, żeby się dobrze ubierali. Nie chcę, żeby jeździli nowymi wozami. Nie chcę, żeby się wykręcali od wypłaty wygrywającym. I nie chcę żadnych „dzikich” w tym interesie, wyrabiają nam złe imię. Tom, weźmy się zaraz do tego. Wszystko inne się ułoży, jak tylko dasz cynk, że droga wolna.

– W Harlemie jest paru bardzo twardych gości – zauważył Hagen. – Posmakowali dużych pieniędzy. Nie będą chcieli wrócić do pozycji agentów czy bankierów.

Sonny wzruszył ramionami.

– Tylko podaj ich nazwiska Clemenzie. Już jego rzecz, żeby ich wyregulować.

Clemenza zapewnił Hageną:

– Żaden problem.

Tessio był tym, który wysunął najważniejszą kwestię.

– Jak już przystąpimy do operacji, Pięć Rodzin zacznie swoje skoki. Uderzą naszych bankierów w Harlemie i naszych bukmacherów na East Side. Mogą nawet spróbować rozbić te zakłady odzieżowe, które obsługujemy. Ta

wojna będzie kosztowała masę pieniędzy.

– Może tego nie zrobią – odparł Sonny. – Wiedzą, że też ich zaraz uderzymy. Porobiłem sondaż pokojowe i może uda nam się wszystko załatwić przez zapłacenie odszkodowania za tego chłopaka Tattagliów.

– Oni nie palą się do tych negocjacji – powiedział Hagen. – W ostatnich paru miesiącach stracili kupę forsy i obwiniają nas za to. I słusznie. Przypuszczam, że chcą, żebyśmy zgodzili się przystąpić do handlu narkotykami, użyć politycznych wpływów Rodziny. Innymi słowy, propozycja Sollozza bez Sollozza. Ale nie poruszają tego, dopóki nie dadzą nam w kość jakąś akcją bojową. Wyobrażają sobie, że potem, kiedy nas zmięczą, wysłuchamy propozycji co do narkotyków.

– Żadnego układu o narkotykach – uciął Sonny. – Don powiedział „nie” i będzie „nie”, dopóki tego nie zmieni.

Hagen odrzekł z ożywieniem:

– W takim razie stoimy wobec problemu taktycznego. Nasze pieniądze są w obiegu. Bukmacherka i gry liczbowe. Możemy oberwać. A Rodzina Tattagliów ma prostytutkę, *call girls* i związki dokerów. Jak, u diabła, mamy ich uderzyć? Inne Rodziny coś kręcą w hazardzie. Ale większość zajmuje się przemysłem budowlanym, lichwiarstwem, kontrolowaniem związków, uzyskiwaniem kontaktów rządowych. Wyciągają dużo z wymuszeń i innych rzeczy, które uderzają w niewinnych ludzi. Ich pieniądze nie krążą po ulicach. Nocny lokal Tattagliów jest zanadto sławny, żeby go tknąć, to by narobiło za dużo smrodu. A póki don jest wyłączony z akcji, ich wpływy polityczne dorównują naszym. Więc tutaj mamy prawdziwy problem.

– To jest mój problem, Tom – powiedział Sonny. – Ja znajdę rozwiązanie. Podtrzymaj negocjacje i dalej załatwiaj to drugie. Wróćmy do interesów i zobaczymy, co będzie. Wtedy zaczniemy od tego punktu. Clemenza i Tessio mają do licha i trochę żołnierzy, możemy dorównać Pięciu Rodzinom broń w broń, jeżeli tak chcą to załatwić. Po prostu pójdziemy na materace.

Nie było trudności z wysadzeniem „dzikich” murzyńskich bankierów z interesu. Policja została poinformowana i dobrała się do nich. Ze specjalną gorliwością. W owym czasie Murzyn nie miał możliwości opłacenia wyższego urzędnika policyjnego czy politycznego, żeby prowadzić takie operacje. Wynikało to bardziej z uprzedzeń rasowych i rasowej nieufności niż z czegokolwiek innego. Ale Harlem zawsze uważano za pomniejszy problem i jego załatwienie było przewidywane.

Pięć Rodzin uderzyło w niespodziewanym kierunku. Zostali zabici dwaj potężni przedstawiciele zawodowego związku odzieżowego, którzy byli członkami Rodziny Corleone. A potem lichwiarzy Corleone wyparto z nabrzeży portowych, podobnie jak bukmacherów Rodziny.

Lokalne oddziały związku zawodowego dokerów przeszły na stronę Pięciu Rodzin. Bukmacherom Corleone w całym mieście grożono, by ich nakłonić do zmiany przynależności. Największy bankier od gier liczbowych w Harlemie, stary przyjaciel i sojusznik Rodziny Corleone, został brutalnie zamordowany. Nie było już wyboru. Sonny rozkazał swoim *caporegime* iść na matracę.

Wynajęto dwa mieszkania w mieście i wyposażono je w materace, na których mieli sypiać cyngle, w lodówkę z jedzeniem, w broń i amunicję. Clemenza obsadził jedno mieszkanie, a Tessio drugie. Bukmacherzy od gier liczbowych w Harlemie co do jednego przeszli na stronę wroga i chwilowo nie można było nic na to poradzić. Wszystko to kosztowało Rodzinę Corleone masę pieniędzy, a wpływy były bardzo niewielkie. Po kilku miesiącach inne rzeczy stały się oczywiste. Najważniejszą było to, że Rodzina Corleone się przeliczyła.

Były po temu powody. Ponieważ don był jeszcze zbyt osłabiony, aby odegrać jakąś rolę, siła polityczna Rodziny została w dużej mierze nadwątlona. Poza tym ostatnie dziesięć lat pokoju poważnie nadwerężyło walory bojowe obu *caporegime*, Clemenza i Tessia. Clemenza był nadal sprawnym wykonawcą wyroków i administratorem, ale już nie miał energii ani młodzieńczej siły, aby dowodzić oddziałami. Tessio zmiękł z wiekiem i nie był już dostatecznie bezwzględny. Tom Hagen, pomimo swoich uzdolnień, po prostu nie nadawał się na *consigliori* w okresie wojennym. Jego główną wadę stanowiło to, że nie był Sycylijczykiem.

Sonny Corleone dostrzegł te słabości w wojennej sytuacji Rodziny, ale nie mógł przedsięwziąć żadnych kroków, by temu zaradzić. Nie był donem, a tylko don mógł zmienić *caporegime* i *consigliori*. A sam akt zmiany uczyniłby sytuację jeszcze bardziej niebezpieczną, mógł doprowadzić do jakiejś zdrady. Z początku Sonny myślał o prowadzeniu akcji opóźniającej, dopóki don nie wydobrzeałby dostatecznie, aby przejąć dowodzenie, ale z uwagi na odstępstwo bankierów od gier i sterroryzowanie bukmacherów, położenie Rodziny stawało się niebezpieczne. Postanowił odparować uderzenie.

Jednakże zdecydował się zadać cios w samo serce wroga. Zaplanował eg-

zekucję głów Pięciu Rodzin w ramach jednego wielkiego manewru taktycznego. W tym celu wprowadził w życie wymyślny system śledzenia owych przywódców. Ale po tygodniu nieprzyjacielscy wodzowie zeszli do podziemia i nie widywano ich więcej publicznie.

Pięć Rodzin oraz imperium Corleone znalazło się w impasie.

Rozdział 18

Amerigo Bonasera mieszkał zaledwie kilka przecznic od swego zakładu pogrzebowego na Mulberry Street, toteż zawsze przychodził na kolację do domu. Wieczorami wracał do miejsca pracy, przyłączając się sumiennie do żałobników oddających hołd zmarłym, których zwłoki były wystawione w jego posępnych salonach.

Zawsze miał za złe dowcipy na temat swojej profesji, makabrycznych szczegółów technicznych, które były tak mało ważne. Ma się rozumieć nikt z jego przyjaciół, krewnych czy sąsiadów nie robiłby takich dowcipów. Każdy zawód był godny szacunku dla ludzi, którzy od wieków zarabiali w pocie czoła na chleb.

Teraz, siedząc z żoną przy kolacji w swoim solidnie umeblowanym mieszkaniu, ze złożonymi posążkami Najświętszej Panienki, oświetlonymi przez świece migocące za czerwonymi szkiełkami na kredensie, Bonasera zapalił camela i wziął sobie na odprężenie szklaneczkę amerykańskiej whisky. Żona przyniosła do stołu dymiące talerze zupy. Byli teraz zupełnie sami; córkę wysłał do Bostonu, do siostry matki, gdzie mogłaby zapomnieć o swoim strasznym przeżyciu i obrażeniach doznanym z rąk owych dwóch łobuzów, których pokarał don Corleone.

Kiedy jedli zupę, żona spytała:

– Wracasz dziś wieczorem do zakładu?

Amerigo Bonasera kiwnął głową. Żona szanowała jego pracę, ale jej nie rozumiała. Nie rozumiała, że strona techniczna jego zawodu jest najmniej ważna. Podobnie jak większość ludzi myślała, iż płacą mu za umiejętność nadania zmarłym złożonym do trumny takiego wyglądu jak za życia. I istotnie, ta jego umiejętność była legendarna. Ale jeszcze ważniejsza, jeszcze bardziej nieodzowna była jego obecność podczas czuwania przy zwłokach. Kie-

dy osierocona rodzina przybywała wieczorem, by przyjąć krewnych i przyjaciół przy trumnie swego nieodżałowanego, potrzebowała mieć przy sobie Ameriga Bonasere.

Był bowiem sumiennym przewodnikiem śmierci. Z twarzą zawsze poważną, ale pełną mocy i pokrzepienia, głosem nie drżącym, ale stłumionym do niższych rejestrów, przewodził żałobnemu rytuałowi. Potrafił uciszyć boleść zbyt niestosowną, wyłajać niesforne dzieci, których rodzice nie mieli serca ukarać. Nigdy nie przesadzając w czułości swych kondolencji, nie był jednak nonszalancki. Kiedy jakaś rodzina raz skorzystała z usług Ameriga Bonasery dla wyprawienia w drogę swojego nieodżałowanego, wracała doń za każdym razem. On zaś nigdy, nigdy nie opuszczał swojego klienta owego straszliwego ostatniego wieczoru na powierzchni ziemi.

Zazwyczaj pozwalał sobie na małą drzemkę po kolacji. Potem mył się i goił ponownie, używając obficie talku, by zapudrować gęsty, czarny zarost. I zawsze płukał usta. Z namaszczeniem przebierał się w świeżą bieliznę, śnieżnobiałą koszulę, czarny krawat, świeżo odprasowane ciemne ubranie, czarne trzewiki i czarne skarpetki. Mimo to efekt był pokrzepiający, a nie ponury. Poza tym zawsze farbował sobie włosy na czarno, co było niesłychaną płochością u Włocha z jego generacji. Nie robił tego przez próżność, a po prostu dlatego, że jego włosy przybrały żywy odcień pieprzu zmieszanego z solą, co uważał za niestosowne w swoim zawodzie.

Kiedy skończył zupę, żona postawiła przed nim mały befsztyk z paroma łyżkami szpinaku, ociekającego oliwą. Amerigo jadał niewiele. Po tym posiłku wypił filiżankę kawy i wypalił następnego camela. Przy kawie rozmyślał o swojej biednej córce. Nigdy już nie będzie taka sama. Jej zewnętrzna uroda została przywrócona, ale w oczach pozostał wyraz przestraszonego zwierzęcia, który sprawiał, że nie mógł znieść jej widoku. I dlatego wysłali ją na pewien czas do Bostonu. Gdyż czas mógł zagoić jej rany. Ból i przerażenie nie są tak ostateczne jak śmierć, to dobrze wiedział. Jego zajęcie czyniło go optymistą.

Właśnie kończył pić kawę, gdy zadzwonił telefon w salonie. Żona nigdy nie odbierała telefonów, kiedy był w domu, więc wstał, dopił kawę i rozgniół papierosa. Idąc do telefonu, zdjął krawat i zaczął rozpinać koszulę, szykując się do drzemki. Potem podniósł słuchawkę i powiedział ze spokojną uprzejmością:

– Halo.

Głos w telefonie był chrapliwy, napięty.

– Tu mówi Tom Hagen. Dzwonię w imieniu dona Corleone, na jego życzenie.

Amerigo Bonasera poczuł, że kawa wzburzyła mu się kwaśno w żołądku, i zrobiło mu się trochę słabo. Minął już przeszło rok, odkąd zaciągnął dług wdzięczności wobec dona, ażeby pomścić honor swej córki, i przez ten czas świadomość, że musi spłacić ten dług zwietrzała. Był taki wdzięczny, widząc okrwawione twarze tych dwóch łajdaków, że zrobiłby dla dona wszystko. Jednakże czas przeżera wdzięczność szybciej niż urodę. Teraz Bonasera doznał mdlącego uczucia człowieka, który znalazł się w obliczu katastrofy. Głos mu drżał, kiedy odpowiadał:

– Tak, rozumiem. Słucham.

Zaskoczył go chłód w głosie Hagen. *Consigliori* był zawsze człowiekiem uprzejmym, chociaż nie Włochem, a teraz przemówił szorstko i ostro.

– Jest pan winien donowi wdzięczność. Don nie ma wątpliwości, że pan mu się odwzajemni. Że będzie pan szczęśliwy, mając tę sposobność. Za godzinę, nie wcześniej, raczej później, przyjedzie do pańskiego zakładu pogrzebowego poprosić pana o pomoc. Niech pan na niego czeka. I żeby nie było nikogo z ludzi, którzy u pana pracują. Proszę ich odesłać do domu. Jeżeli pan ma jakieś zastrzeżenia, proszę powiedzieć teraz, to zawiadomię dona Corleone. Ma innych przyjaciół, którzy mogą oddać mu tę przysługę.

Amerigo Bonasera nieomal wykrzyknął z przestachu:

– Jak pan może myśleć, że odmówiłbym Ojcu Chrzestnemu? Oczywiście, że zrobię wszystko, czego sobie życzy. Nie zapomniałem o moim długu. Zraz idę do zakładu, natychmiast.

Głos Hageny był teraz łagodniejszy, ale brzmiał jakoś dziwnie.

– Dziękuję. Don nigdy w pana nie wątpił. Pytanie pochodziło ode mnie. Niech pan dziś spełni jego prośbę, to będzie pan mógł zawsze zwrócić się do mnie w każdym kłopotcie, pozyska pan sobie moją osobistą przyjaźń.

To przstraszyło Ameriga Bonasera jeszcze bardziej. Wyjąkał:

– Czy sam don przyjeżdża do mnie dzisiaj?

– Tak – odrzekł Hagen.

– Więc całkiem przyszedł do siebie po swoich obrażeniach, Bogu dzięki – powiedział Bonasera. Jego ton uczynił z tego pytanie.

Na drugim końcu nastąpiła pauza, po czym głos Hageny odparł bardzo spokojnie:

– Tak. – Rozległo się szczęknięcie i telefon zamilkł.

Bonasera pocił się. Poszedł do sypialni, zmienił koszulę i popłukał usta. Ale nie ogolił się ani nie włożył świeżego krawata. Zawiązał ten sam, który nosił w ciągu dnia. Zadzwoił do zakładu pogrzebowego i kazał pomocnikowi zająć się osieroconą rodziną, używając tego wieczoru frontowego pomieszczenia. On sam będzie zajęty w roboczej części laboratoryjnej budynku. Kiedy pomocnik zaczął zadawać pytania, Bonasera przerwał mu krótko i kazał zastosować się ściśle do poleceń.

Włożył marynarkę, a żona, nadal jedząc, spojrzała na niego za dziwieniem.

– Mam jeszcze robotę – wyjaśnił, ona zaś nie śmiała pytać, widząc wyraz jego twarzy. Bonasera wyszedł z domu i ruszył do swego zakładu pogrzebowego odległego o kilka przecznic.

Był to osobny budynek stojący na dużej parceli ogrodzonej białym parkanem. Wąska alejka prowadziła od ulicy na tyły, ledwie dostatecznie szeroka na karetki szpitalne i karawany. Bonasera otworzył bramę i pozostawił ją otwartą. Potem udał się na tyły budynku i wszedł do środka szerokimi drzwiami. W tym momencie ujrzał kolejnych żałobników, którzy wchodzili od frontu, by złożyć hołd zwłokom.

Przed wielu laty, gdy Bonasera kupił ten budynek od przedsiębiorcy pogrzebowego, który miał zamiar wycofać się z interesu, był tam ganek z mniej więcej dziesięcioma schodkami, po których żałobnicy musieli wchodzić do domu pogrzebowego. To nastroczało problemów. Dla starych i kalekich żałobników, pragnących złożyć hołd zmarłemu, wchodzenie po schodkach było prawie niepodobieństwem, toteż poprzedni właściciel używał dla tych osób windy towarowej, małej metalowej platformy, która wjeżdżała na górę po zewnętrznej stronie budynku. Winda była przeznaczona dla trumien i zwłok. Schodziła pod ziemię, po czym wjeżdżała prosto do sali pogrzebowej, tak że żałobnik wynurzał się spod podłogi razem z trumną, a pozostali odsuwali na bok krzesła, aby winda mogła wjechać przez klapę w podłodze. Potem, kiedy kaleki albo sędziwy żałobnik złożył już hołd nieboszczykowi, winda wracała przez politurowaną klapę, aby go zwieźć na dół.

Amerigo Bonasera uznał to rozwiązanie problemu za niewłaściwe i kosztowne. Kazał więc przebudować front budynku, usunąć ganek i zastąpić go lekko pochylonym chodnikiem. Ale windy oczywiście używano nadal do przewozu trumien i zwłok.

Na tyłach budynku, odgródzone od izby pogrzebowej oraz pokoi recepcyj-

nich masywnymi dźwiękoszczelnymi drzwiami, znajdowało się biuro, balsamiarnia, magazyn na trumny i starannie zamknięta szafa, zawierająca chemikalia oraz narzędzia jego szacownego rzemiosła. Bonasera wszedł do kancelarii, zasiadł przy biurku i zapalił camela, co rzadko mu się zdarzało w tym budynku. I czekał na dona Corleone.

Czekał z uczuciem najwyższej desperacji. Nie miał bowiem żadnej wątpliwości, jakich usług od niego zażądają. Przez ubiegły rok Rodzina Corleone toczyła wojnę z Pięcioma Wielkimi Rodzinami mafijnymi z Nowego Jorku, i ta rzeź wypełniała gazety. Zginęło wielu ludzi po obu stronach. A teraz Rodzina Corleone zabiła kogoś tak ważnego, iż chcąc ukryć jego ciało, chciała, żeby zniknęło, a jakież był lepszy sposób po temu, niż kazać je pochować zarejestrowanemu przedsiębiorcy pogrzebowemu? I Amerigo Bonasera nie żywił żadnych złudzeń co do czynu, którego miał dokonać. Zostałby współnikiem morderstwa. Gdyby to wyszło na jaw, spędziłby całe lata w więzieniu. Jego żona i córka byłyby pohańbione, a jego dobre imię, szanowane imię Ameriga Bonasery, włóczone przez krwawe błoto mafijnej wojny.

Pozwolił sobie na wypalenie jeszcze jednego camela. A potem przyszło mu do głowy coś jeszcze bardziej przerażającego. Kiedy inne mafijne Rodziny dowiedzą się, że pomógł Corleone, potraktują go jako wroga. Zamordują go. I przeklął ten dzień, kiedy poszedł do Ojca Chrzestnego i poprosił o zemstę. Przeklął ten dzień, kiedy jego żona zaprzyjaźniła się z żoną dona Corleone. Przeklinał własną córkę i Amerykę, i swoje sukcesy. Ale potem jego optymizm powrócił. Wszystko mogło ułożyć się dobrze. Don Corleone to mądry człowiek. Z pewnością zrobiono wszystko, aby utrzymać to w tajemnicy. Musiał jedynie zachować spokój. Bo oczywiście jedyną rzeczą bardziej zgubną od jakiegokolwiek innej było zasłużyć sobie na niezadowolenie dona.

Usłyszał świst opon na żwirze. Jego wyćwiczone ucho powiedziało mu, że jakiś samochód nadjeżdża wąską alejką i zatrzymuje się na tyłach domu. Otworzył tylne drzwi, by wpuścić przybyłych. Wszedł olbrzymi Clemenza, a za nim groźnie wyglądający młodzi ludzie. Przeszukali pokoje, nie odzywając się ani słowem do Bonasery, po czym Clemenza wyszedł. Dwaj młodzi ludzie pozostali z przedsiębiorcą pogrzebowym.

Kilka chwil później Bonasera rozpoznał odgłos ciężkiej karetki sanitarnej nadjeżdżającej wąską alejką. Potem w drzwiach pojawił się Clemenza, za nim dwaj mężczyźni niosący nosze. I spełniły się najgorsze obawy Ameriga Bonasery. Na noszach leżały zwłoki owinięte w szary koc, z bosymi, żółtymi

stopami wystającymi spod niego.

Clemenza dał znak ludziom z noszami, żeby weszli do balsamiarni. A potem z czerni podwórza wkroczył do oświetlonej kancelarii inny człowiek. Był to don Corleone.

Don stracił na wadze podczas choroby i poruszał się dziwnie sztywno. Kapelusz trzymał w ręku, a włosy na masywnej czaszce wydawały się przerzedzone. Wyglądał starzej, był jakby bardziej zwiędły niż wtedy, gdy Bonasera widział go na weselu, ale nadal emanowała zeń siła. Przyłożył kapelusz do piersi i zapytał Bonasery:

– No, stary przyjacielu, jesteś gotów wyświadczyć mi tę przysługę?

Bonasera kiwnął głową. Don wszedł za noszami do balsamiarni, a Bonasera powlókł się za nim. Zwłoki leżały na jednym ze stołów zaopatrzonych w rowki odpływowe. Don Corleone uczynił nieznaczny ruch kapeluszem i dwaj mężczyźni wyszli z pokoju. Bonasera szepnął:

– Co pan sobie życzy, żebym zrobił?

Don Corleone wpatrywał się w stół.

– Chcę, żebyś użył wszystkich swoich uzdolnień, całej swojej biegłości, jeżeli mnie kochasz. Nie życzę sobie, żeby matka zobaczyła go w takim stanie.

Podszedł do stołu i odciągnął szary koc. Amerigo Bonasera, wbrew własnej woli, na przekór wszystkim latom zaprawy i doświadczenia, sapnął ze zgrozy. Na stole do balsamowania ujrzał roztrzaskaną kulami twarz Sonny'ego Corleone. Lewe oko, zalane krwią, miało gwiaździste pęknięcie na gałce. Grzbiet nosa i lewa kość policzkowa były zdruzgotane na miazgę.

Na ułamek sekundy don wyciągnął rękę, by wesprzeć się na Bonasera.

– Patrz, jak zmasakrowali mojego syna – powiedział.

Rozdział 19

Być może właśnie impas kazał Sonny'emu Corleone obrać tę krwawą drogę wyniszczenia, która zakończyła się jego śmiercią. Być może sprawiło to puszczenie wodzy własnej mrocznej, gwałtownej naturze. W każdym razie owej wiosny i tego lata montował bezsensowne napady na współpracowników nieprzyjaciela. Sutenerzy Rodziny Tattagliów ginęli od kul w Harlemie, portowi bojówkarze byli masakrowani. Urzędników związkowych podległych Rodzinie Tattagliów ostrzeżono, by pozostali neutralni, a kiedy bukmacherów i lichwiarzy Corleone nadal nie dopuszczano do doków, Sonny nasłał Clemenzę i jego *regime*, by dokonali spustoszenia w dzielnicy portowej.

Ta rzeź była bezsensowna, ponieważ nie mogła wpłynąć na wynik wojny. Sonny był wspaniałym taktykiem i odnosił wspaniałe zwycięstwa. Ale potrzebny tu był geniusz strategiczny dona Corleone. Cała sprawa wyrodziła się w tak zabójczą wojnę partyzancką, iż obie strony przekonały się, że tracą masę dochodów i ludzi bez żadnego pożytku. Rodzina Corleone została w końcu zmuszona do zamknięcia niektórych swoich najbardziej zyskowych punktów bukmacherskich, włącznie z kantorem przydzielonym zięciowi, Carlowi Rizzi, do zarabiania na życie. Carlo się rozpił i uganiał za tancerkami, a swojej żonie, Connie, dawał ciężką szkołę. Od czasu pobicia go przez Sonny'ego nie śmiał jej więcej uderzyć, ale nie sypiał z nią. Connie padła mu do nóg, a on ją odtrącił niczym Rzymianin, jak mu się wydawało, z najwyższą, patrycjuszowską satysfakcją. Szydził z niej: „Idź, wezwij swojego brata i powiedz mu, że nie chcę cię rżnąć; może będzie mnie bił, póki mi nie stanie”.

Jednakże czuł śmiertelny strach przez Sonnym, chociaż odnosili się do siebie z zimną uprzejmością. Carlo miał tyle rozumu, iż zdawał sobie sprawę, że Sonny może go zabić, że Sonny jest człowiekiem, który potrafi z naturalno-

ścią zwierzęcia zabić drugiego człowieka, gdy tymczasem on sam musiałby zmobilizować całą swoją odwagę, całą wolę, aby popełnić morderstwo. Carlowi nigdy nie przyszło na myśl, że przez to jest lepszym człowiekiem niż Sonny Corleone, o ile można było użyć takiego określenia; zazdrościł Sonny'emu jego straszliwej dzikości, dzikości, która teraz stawała się legendarna.

Tom Hagen, jako *consigliori*, nie pochwalał taktyki Sonny'ego, ale postanowił nie protestować przed donem, ponieważ taktyka ta była do pewnego stopnia skuteczna. W miarę jak trwało wzajemne wyniszczanie, Pięć Rodzin w końcu najwyraźniej się ugięło, ich przeciwwuderzenia osłabły i wreszcie ustały całkowicie. Hagen początkowo nie ufał temu pozornemu spacyfikowaniu wroga, natomiast Sonny był rozradowany.

– Będę lał dalej – powiedział Hagenowi – aż te dranie przyjdą zebrać o porozumienie.

Sonny martwił się czymś innym. Żona nie dawała mu spokoju, bo doszły do niej pogłoski, że Lucy Mancini usidliła jej męża. I chociaż publicznie żartowała na temat wyposażenia oraz techniki jej Sonny'ego, mąż trzymał się od niej z daleka zbyt długo, brakowało jej go w łóżku i zatruwała mu życie ciągłymi wymówkami.

Poza tym Sonny żył w olbrzymim napięciu, ponieważ był człowiekiem śledzonym. Musiał być niezmiernie ostrożny we wszystkich swych poczynaniach i wiedział, że nieprzyjaciel zanotował sobie jego odwiedziny u Lucy Mancini. Tu jednak Sonny przedsięwziął wymyślne środki ostrożności, ponieważ był to zazwyczaj słaby punkt. U Lucy był bezpieczny. Aczkolwiek nie miała najmniejszych podejrzeń, była obserwowana dwadzieścia cztery godziny na dobę przez ludzi z *regime* Santina, a kiedy zwalniało się jakieś mieszkanie na jej piętrze, wynajmował je natychmiast któryś z jego najpewniejszych żołnierzy.

Don dochodził do siebie i miał już niedługo podjąć dowodzenie. Wtedy szale bitwy musiałyby się przechylić na korzyść Rodziny Corleone. Tego Sonny był pewny. Tymczasem chciał strzec swego rodzinnego imperium, pozyskać sobie szacunek ojca, ponieważ zaś stanowisko to nie było bezwzględnie dziedziczne, umocnić swoje roszczenia do roli spadkobiercy imperium Corleone.

Jednakże wrogowie robili swoje plany. Oni też przeanalizowali sytuację i doszli do wniosku, że jedynym sposobem odwrócenia całkowitej klęski jest zabicie Sonny'ego Corleone. Teraz rozumieli lepiej położenie i byli zdania,

że jest możliwe negocjować z donem, znanym ze swego logicznego rozumowania. Znienawidzili Sonny'ego za jego krwiożerczość, którą uważali za barbarzyńską. A także zdradzającą brak dobrego wyczucia interesu. Nikt nie chciał powrotu dawnych czasów z ich burzliwością i zamętem.

Pewnego wieczoru Connie Corleone otrzymała anonimowy telefon; kobiecie głos prosił do aparatu Carla.

– Kto mówi? – zapytała Connie.

Dziewczyna w telefonie zachichotała i odrzekła:

– Jestem znajomą Carla. Chciałam mu tylko powiedzieć, że nie mogę zobaczyć się z nim dziś wieczorem. Muszę wyjechać za miasto.

– Ty parszywa dziwko! – krzyknęła Connie Corleone. Wrzasnęła powtórnie przez telefon: – Ty wstrętna, parszywa dziwko! – Na drugim końcu linii rozległo się szcęknięcie.

Carlo pojechał tego popołudnia na wyścigi i kiedy wrócił do domu późnym wieczorem, był wściekły z powodu przegranej i podпиты, gdyż zawsze nosił przy sobie butelkę. Gdy tylko stanął w progu, Connie zaczęła obrzucać go przekleństwami. Nie zwracając na nią uwagi, poszedł wziąć prysznic. Kiedy wyszedł z łazienki, wytarł się ręcznikiem, stojąc nago przed Connie, po czym zaczął się stroić do wyjścia.

Connie stała wsparta pod boki, z twarzą złą i zbielałą z wściekłości.

– Nigdzie nie idziesz – powiedziała. – Twoja przyjaciółka dzwoniła, że dzisiaj nie może. Ty parszywy draniu, masz czelność podawać swoim kurwom mój numer telefonu! Zabiję cię, ty łobuzie! – Rzuciła się na niego, kopiąc i drapiąc go paznokciami.

Przytrzymał ją z dala od siebie muskularnym ramieniem.

– Zwariowałaś – rzekł zimno. Ale widziała, że jest zaniepokojony, tak jakby wiedział, że ta szalona dziewczyna, z którą sypiał, mogła rzeczywiście zrobić taki numer. – To jakaś stuknięta, tylko sobie żartowała.

Connie prześlizgnęła się pod jego ręką i drapnęła go w twarz.

Pod paznokciami został jej kawałek skóry z jego policzka. Z zadziwiającą cierpliwością odsunął ją od siebie. Zauważyła, że jest ostrożny przez wzgląd na jej ciężę, i to dodało jej odwagi, która podsycała wściekłość. Poza tym była podniecona. Już niedługo nie będzie mogła nic robić, lekarz powiedział, że żadnego seksu w ostatnich dwóch miesiącach, a ona miała na to ochotę, zanim dwa ostatnie miesiące się zaczną. Ale jej chęć zadania Carlowi fizycznego bólu też była bardzo realna. Pobiegnęła za nim do sypialni.

Widziała, że jest wystraszony, i to ją napełniło wzgardliwą radością.

– Zostajesz w domu – powtórzyła. – Nigdzie nie idziesz.

– Okay, okay – odrzekł. Był nadal nieubrany, tylko w kalesonach. Lubił tak chodzić po domu, był dumny ze swojej wciętej sylwetki, ze złotej skóry. Connie patrzyła na niego chciwie. Spróbował się uśmiechnąć. – Dasz mi nareszcie coś zjeść?

To ją zmiękczyło – że odwołał się do jej obowiązków, przynajmniej jednego z nich. Była dobrą kucharką, nauczyła się tego od matki. Usmażyła cielecinę z papryką i przyrządziła mieszaną sałatę, podczas gdy na patelni skwierczało mięso. Tymczasem Carlo wyciągnął się na łóżku, aby przeczytać komunikat o wyścigach na następny dzień. Postawił przy sobie szklankę pełną whisky, którą popijał.

Connie weszła do sypialni. Stała w progu, tak jakby nie mogła podejść do łóżka bez zaproszenia.

– Jedzenie na stole.

– Jeszcze nie jestem głodny – odrzekł, nadal czytając komunikat wyścigowy.

– Jest na stole – powtórzyła z uporem.

– Wsadź je sobie w dupę – powiedział Carlo. Dopił resztki whisky ze szklanki i przechylił butelkę, by ją ponownie napełnić. Nie zwracał na Connie uwagi.

Connie poszła do kuchni, wzięła talerze z nałożonym jedzeniem i roztrzaskała je o zlew. Donośny brzęk wywabił Carla z sypialni. Popatrzył na tłustą cielecinę z papryką rozbryzganą po ścianach kuchni i to uraziło jego skrupulatną schludność.

– Ty rozpuszczona makaroniarska flądrowo – wycedził jadowniczo. – Zrób w tej chwili porządek, bo jak nie, to gównem z ciebie wykopię.

– Akurat! – odparła Connie. Wyciągnęła dłonie jak szpony, gotowa rozharatać jego nagą pierś na strzępy.

Carlo zawrócił do sypialni, a kiedy stamtąd wyszedł, miał w ręku złożony podwójnie pas.

– Sprzątaj – rozkazał i w jego głosie brzmiała niewątpliwa groźba. Connie nie ruszyła się z miejsca, a on trzasnął ją pasem w mocno zaokrąglone biodro; zapiekło ją to, ale właściwie nie zabolowało. Cofnęła się do szafki kuchennej i jej ręka sięgnęła do jednej z szuflad po długi nóż do chleba. Przytrzymała go w gotowości. Carlo roześmiał się.

– Nawet samiczki Corleone mordują – powiedział. Położył pas na kuchennym stole i ruszył ku niej. Spróbowała dźgnąć nagle, ale jej nieruchawe, ciężarne ciało było powolne i Carlo uchylił się od pchnięcia, które z zabójczą zajadłością wymierzyła mu w krocze. Rozbroił ją bez trudu, po czym zaczął bić po twarzy powolnymi, niezbyt silnymi trzepnięciami, żeby nie rozciąć skóry. Uderzał ją raz po raz, a ona cofała się dokoła stołu kuchennego, usiłując mu się wymknąć, aż wreszcie dopadł ją w sypialni. Chciała ugryźć go w rękę, ale chwycił ją za włosy i podniósł jej głowę. Bił po twarzy, aż zaczęła płakać z bólu i upokorzenia jak mała dziewczynka. Wreszcie pogardliwie cisnął Connie na łóżko. Napił się whisky z butelki, która nadal stała na nocnym stoliku. Był już najwyraźniej bardzo pijany, w jasnoniebieskich oczach miał błysk szaleństwa, i wreszcie Connie złąkla się naprawdę.

Carlo stał na rozkraczonych nogach i pociągał z butelki. Wyciągnął rękę i pochwycił grube, ciężarne udo żony. Ścisnął je bardzo mocno, zadając jej ból, aż poczęła błagać o litość.

– Jesteś tłusta jak świnia – powiedział z odrazą i wyszedł z sypialni.

Do głębi przestraszona i ujarzmiona, leżała na łóżku nie śmiąc popatrzeć, co jej mąż robi w sąsiednim pokoju. Wreszcie wstała i podeszła do drzwi, aby tam zajrzeć. Carlo otworzył nową butelkę whisky i leżał rozwalony na sofie. Niedługo spije się tak, że zaśnie, a ona będzie mogła przekraść się do kuchni i zadzwonić do rodziny w Long Beach. Poprosi matkę, żeby kogoś po nią przysłała. Miała tylko nadzieję, że Sonny nie odbierze telefonu; wiedziała, że najlepiej będzie pomówić z Tomem Hagenem lub z matką.

Dochodziła już prawie dziesiąta, kiedy w domu dona Corleone zadzwonił telefon kuchenny. Odebrał go jeden z goryli dona i posłusznie podał słuchawkę matce Connie. Jednakże pani Corleone ledwie mogła zrozumieć, co mówi jej córka; Connie była rozhisteryzowana, lecz mimo to usiłowała mówić szeptem, żeby jej nie dosłyszał mąż w sąsiednim pokoju. Prócz tego twarz jej napuchła od uderzeń, a obrzmiałe wargi zniekształcały mowę. Pani Corleone dała znak gorylowi, żeby zawołał Sonny'ego, który siedział w salonie z Tomem Hagenem.

Sonny wszedł do kuchni i wziął z rąk matki słuchawkę.

– Tak, Connie?

Connie tak bała się zarówno męża, jak tego, co uczyniłby brat, że jej wymowa stała się jeszcze bardziej niewyraźna. Wybełkotała:

– Sonny, tylko przyślij wóz, żeby mnie zabrał do domu, wtedy ci powiem.

To nic takiego. Nie przyjeżdżaj. Proszę cię, przyślij Toma, Sonny. To nic takiego, chcę tylko przyjechać do domu.

W tej chwili do pokoju wszedł Hagen. Don spał już w sypialni na górze po zażyciu środków nasennych i Hagen chciał mieć oko na Sonny'ego we wszystkich krytycznych momentach. Dwaj członkowie wewnętrznej obstawy też byli w kuchni. Wszyscy obserwowali Sonny'ego, kiedy trzymał słuchawkę przy uchu.

Nie ulegało wątpliwości, że gwałtowność w naturze Sonny'ego wypływała z jakiegoś głębokiego, tajemnego, fizycznego źródła. Obserwując go, widzieli krew napływającą mu do żyłastej szyi, widzieli, jak oczy mętnieją mu z nienawiści, rysy twarzy napinają się i ściągają, aż wreszcie ta twarz przybrała szarawy odcień, niby u chorego człowieka zmagającego się ze śmiercią, tyle że adrenalina krążąca gwałtownie po jego ciele sprawiała, iż ręce mu drżały. Jednakże głos miał opanowany, przytłumiony, kiedy przykazał siostrze:

– Zaczekaj tam. Tylko zaczekaj.

Odłożył słuchawkę. Chwilę stał ogłuszony wściekłością, wreszcie powiedział:

– To pieprzony drań, a to pieprzony drań.

Wybiegł z domu.

Hagen znał ten wyraz twarzy Sonny'ego; opuściła go zdolność rozumowania. W owej chwili Sonny był zdolny do wszystkiego. Hagen wiedział też, że w drodze do miasta Sonny ochłonie, stanie się bardziej rozsądny. Ale rozsądek mógł uczynić go jeszcze niebezpieczniejszym, choć pozwoliłby mu uchronić się przed konsekwencjami własnej pasji. Hagen usłyszał warkot uruchamianego silnika i zwrócił się do dwóch goryli:

– Jedźcie za nim.

Potem podszedł do telefonu i zadzwonił w kilka miejsc. Poleciał paru mieszkającym w mieście ludziom z *regime* Sonny'ego, żeby udali się do mieszkania Carla Rizzi i zabrali go stamtąd. Inni mieli pozostać przy Connie do przybycia Sonny'ego. Hagen ryzykował, krzyżując mu plany, ale wiedział, że don go poprze. Obawiał się, że Sonny może zabić Carla w obecności świadków. Nie spodziewał się kłopotów ze strony wroga. Pięć Rodzin od zbyt dawna zachowywało się spokojnie, najwyraźniej dążąc do jakiegoś rozjemstwa.

Kiedy Sonny pogrzmiał z placyku swoim buickiem, odzyskał już części-

wo zmysły. Zauważył dwóch goryli wsiadających do wozu, by jechać za nim, i pochwalił to w duchu. Nie przewidywał żadnego niebezpieczeństwa. Pięć Rodzin zaprzestało kontrataków, właściwie już nie walczyło. W przedpokoju złapał marynarkę; w skrytce na desce rozdzielczej samochodu leżał rewolwer, samochód zaś był zarejestrowany na nazwisko jednego z członków jego *regime*, tak że osobiście nie mógł popaść w żadne kłopoty prawne. Jednakże nie przewidywał potrzeby użycia broni. Nie wiedział nawet, co zrobi z Carlem Rizzi.

Teraz, kiedy miał możliwość pomyśleć, Sonny pojął, że nie może zabić ojca nienarodzonego dziecka, i to ojca, który był mężem jego siostry. Przynajmniej nie z powodu sprzeczki rodzinnej. Tylko że to nie była jedynie sprzeczka rodzinna. Carlo był draniem i Sonny czuł się odpowiedzialny za to, że jego siostra poznała tego łajdaka przez niego.

Paradoks gwałtownej natury Sonny'ego polegał na tym, że Sonny nie potrafił uderzyć kobiety i nigdy tego nie zrobił. Że nie był w stanie skrzywdzić dziecka ani nikogo bezbronnego. Kiedy Carlo nie chciał z nim walczyć tamtego dnia, powstrzymało to Sonny'ego od zabicia go, ta całkowita uległość rozbroiła jego furię. Jako młody chłopiec miał naprawdę miękkie serce. To, że jako mężczyzna stał się mordercą, było po prostu jego przeznaczeniem.

Jednakże teraz załatwię tę sprawę raz na zawsze – rozmyślał, jadąc buickiem ku szosie na grobli, która miała go poprowadzić ponad wodą z Long Beach do autostrad po drugiej stronie Jones Beach. Zawsze obierał tę trasę do Nowego Jorku. Był tam mniejszy ruch.

Postanowił, że odeśle Connie do domu z obstawą, a potem odbędzie rozmowę ze szwagrem. Co stanie się później, tego nie wiedział. Jeżeli drań naprawdę uszkodził Connie, zrobi z drania kalekę. Ale wiatr wiejący na grobli, słona świeżość powietrza ostudziły jego gniew. Odkręcił całkowicie szybę w oknie.

Jechał jak zawsze szosą Jones Beach, bo o tej porze nocy i roku była zazwyczaj opustoszała i mógł gnać bez pamięci, dopóki by nie dotarł do autostrad po drugiej stronie. A nawet i tam ruch byłby niewielki. Ulga, jaką dawała bardzo szybka jazda, mogła dopomóc w rozładowaniu napięcia, które, jak wiedział, było niebezpieczne. Zostawił już daleko w tyle samochód obstawy.

Szosa na grobli była słabo oświetlona, nie było ani jednego samochodu. Daleko przed sobą dojrzał biały stożek czynnej budki, gdzie pobierano opłaty

za wjazd na autostradę. Obok niej stały inne budki, ale te były obsadzone tylko za dnia, przy większym ruchu. Sonny zaczął hamować, a jednocześnie szukać drobnych po kieszeniach. Nie miał żadnych. Wyjął portfel, otworzył go jedną ręką i wyciągnął banknot. Wjechał w łuk światła i ku swemu lekkiemu zaskoczeniu ujrzał jakiś wóz blokujący furtkę przejazdową, przy czym kierowca najwyraźniej prosił pobierającego opłaty o jakieś wskazówki. Sonny nacisnął klakson i wóz ten posłusznie przejechał dalej, by wpuścić go w furtkę.

Sonny wręczył poborcy banknot dolarowy i czekał na wydanie reszty. Było mu teraz pilno zamknąć okno. Powietrze Oceanu Atlantyckiego wyiębiło cały samochód. Ale poborca marudził z wydaniem reszty; głupi bałwan po prostu ją upuścił. Jego głowa i ciało znikły, kiedy pochylił się w budce, aby pozbierać pieniądze.

W tej chwili Sonny zauważył, że tamten wóz nie pojechał dalej, ale zatrzymał się o kilka kroków przed nim, nadal blokując mu drogę. W tym samym momencie spostrzegł innego mężczyznę w wygaszonej budce po prawej. Ale nie miał czasu o tym pomyśleć, bo ze stojącego przed nim samochodu wysiedli dwaj mężczyźni i ruszyli ku niemu. Poborca opłat nadal się nie pokazywał. I wtedy, w ułamku sekundy, zanim cokolwiek się stało, Santino Corleone pojął, że już jest po nim. I w owej chwili umysł jego był klarowny, wyzbyty wszelkiej gwałtowności, tak jakby utajony strach, nareszcie realny i obecny, oczyścił go.

Mimo to jego potężne ciało, w odruchu walki o życie, uderzyło o drzwi buicka, wyłamując zamek. Człowiek w zaciemnionej budce otworzył ogień i kule trafiły Sonny'ego Corleone w głowę i szyję w momencie, gdy jego masywny tułów wysuwał się z samochodu. Dwaj mężczyźni z przodu podnieśli teraz automaty, człowiek w zaciemnionej budce przerwał ogień, a ciało Sonny'ego rozciągnęło się na asfalcie, z nogami jeszcze częściowo wewnątrz wozu. Obaj mężczyźni oddali kilka strzałów w zwłoki Sonny'ego, po czym kopnęli go w twarz, by jeszcze bardziej mu ją zniekształcić, zostawić ślad bardziej osobistej, ludzkiej mocy.

Kilka sekund później wszyscy czterej mężczyźni, trzech właściwi zabójcy oraz fałszywy poborca opłat, siedzieli już w samochodzie i pędzili ku autostradzie Meadowbrook po drugiej stronie Jones Beach. Ściganie ich uniemożliwiał wóz Sonny'ego i jego zwłoki blokujące furtkę przejazdową, ale kiedy ludzie z obstawy Sonny'ego zajechali kilka minut później i zobaczyli ciało,

nie mieli zamiaru podjąć pościgu. Zawrócili samochód wielkim łukiem i pojechali z powrotem do Long Beach. Przy pierwszej budce telefonicznej koło szosy jeden z nich wyskoczył z wozu i zadzwonił do Toma Hagena. Zamelodował bardzo zwięźle i szybko:

– Sonny nie żyje, dorwali go przy wjeździe na Jones Beach.

Głos Hageny był całkowicie spokojny.

– Okay – powiedział. – Jedźcie do domu Clemenzy i powiedzcie mu, żeby zaraz się tu zjawił. Powie wam, co robić.

Hagen odebrał ten telefon w kuchni, gdzie mama Corleone krzątała się, przyrządzając przekąskę na przybycie córki. Hagen zachował panowanie nad sobą i starsza pani nie zauważyła niczego niezwykłego. Mogłaby zauważyć, gdyby chciała, ale życie z donem nauczyło ją, że roztropniej jest niczego nie dostrzegać. Że jeśli będzie konieczne, aby się dowiedziała czegoś bolesnego, i tak powiedzą jej w porę. A jeśli będzie to ból, którego jej można oszczędzić, to się obejdzie bez niego. Była całkiem zadowolona, że nie musi dzielić bólu swych mężczyzn, bo ostatecznie, czy oni dzielili ból kobiet? Nieporuszona zagotowała kawę i postawiła jedzenie na stole. Wiedziała z doświadczenia, że ból i lęk nie stępują fizycznego głodu; wiedziała z doświadczenia, że jedzenie stępi ból. Byłaby oburzona, gdyby lekarz spróbował dać jej środki uspokajające, ale kawa i kromka chleba to było co innego; wywodziła się oczywiście z prymitywniejszej kultury.

Pozwoliła więc Tomowi Hagenowi wymknąć się do narożnego pokoju konferencyjnego; znalazłszy się tam, Hagen począł dygotać tak gwałtownie, że musiał usiąść ze ściśniętymi nogami, z głową wtuloną w naprężone ramiona, z dłońmi splecionymi między kolanami tak, jakby modlił się do szatana.

Wiedział teraz, że nie jest *consigliori* odpowiednim dla Rodziny toczącej wojnę. Został oszukany, wywiedziony w pole przez Pięć Rodzin i ich pozorną płochliwość. Przyczaiły się, zastawiając straszliwą pułapkę. Planowały i czekały, trzymając swe okrwawione ręce przy sobie bez względu na wszelkie prowokacje. Czekwały, aby zadać jeden straszliwy cios. I zadały go. Stary Genco Abbandando nigdy nie nabrałby się na to, zwąchałby, co się święci, potroił środki ostrożności. A rozmyślając nad tym wszystkim, Hagen zarazem odczuwał ból. Sonny był jego prawdziwym bratem, jego wybawcą, jego bohaterem, kiedy obaj byli chłopcami. Sonny nigdy nie był dla niego przykry ani brutalny, zawsze traktował go z czułością, porwał go w ramiona, kiedy Sollozzo go wypuścił. Radość Sonny'ego z jego powrotu była prawdziwa.

To, że z czasem stał się człowiekiem okrutnym, gwałtownym i krwiożerczym, było dla Hagena nieistotne.

Wyszedł z kuchni, bo wiedział, że nigdy nie zdoła powiedzieć mamie Corleone o śmierci syna. Nigdy nie myślał o niej jako o swojej matce, tak jak ona uważał za ojca, a Sonny'ego za brata. Jego uczucie do niej było podobne do uczucia dla Freddiego i Michaela, i Connie. Uczucie dla kogoś, kto był dobry, lecz niekochający. Ale powiedzieć jej nie mógł. W ciągu paru krótkich miesięcy utracił wszystkich synów; Freddie został wygnany do Nevady, Michael ukrywał się na Sycylii, a teraz Santino nie żył. Którego z nich trzech kochała najbardziej? Nie okazała tego nigdy.

Trwało to nie dłużej niż kilka minut. Hagen opanował się wreszcie i podniósł słuchawkę. Wykręcił numer Connie. Telefon dzwonił długo, zanim Connie odezwała się szeptem. Hagen odezwał się łagodnie:

– Connie, tu mówi Tom. Obudź męża, muszę z nim pomówić.

– Tom, czy Sonny tu jedzie? – spytała Connie cichym, przestraszonym głosem.

– Nie – odrzekł Hagen. – Sonny tam nie jedzie. Tym się nie martw. Tylko obudź Carla i powiedz mu, że jest to bardzo ważne, abym z nim porozmawiał.

Connie powiedziała płaczliwym głosem:

– Tom, on mnie pobił, boję się, że znowu zrobi mi coś złego, jak się dowie, że dzwoniłam do domu.

– Nic ci nie robi – rzekł Hagen łagodnie. – Porozmawia ze mną i ja mu wytłumaczę. Wszystko będzie dobrze. Powiedz mu, że jest bardzo ważne, bardzo, bardzo ważne, żeby podszedł do telefonu. Okay?

Minęło prawie pięć minut, zanim głos Carla odezwał się w telefonie, bełkotliwy od whisky i snu. Hagen przemówił ostro, ażeby Carlo oprzytomniał.

– Posłuchaj, Carlo. Powiem ci coś strasznego. Przygotuj się, bo kiedy ci to powiem, chcę, żebyś mi odpowiedział całkiem swobodnie, tak jakby to było coś mniej ważnego, niż jest. Mówiłem Connie, że to ważna sprawa, więc musisz wymyślić jakąś historię. Powiedz jej, że Rodzina postanowiła przenieść was oboje do jednego z domów w ośrodku i dać ci dobrą posadę. Że don zdecydował się w końcu dać ci szansę w nadziei, że to poprawi wasze życie domowe. Zrozumiałeś mnie?

W głosie Carla była nuta nadziei, gdy odparł:

– Aha, okay.

Hagen ciągnął dalej:

– Za parę minut kilku moich ludzi zapuka do waszych drzwi, aby was zabrać ze sobą. Powiedz im, że najpierw mają do mnie zadzwonić. Tylko tyle. Nie mów nic więcej. Polecę im zostawić ciebie z Connie na miejscu. Okay?

– Tak, tak, rozumiem – odrzekł Carlo. Głos miał podniecony. Widocznie napięcie w głosie Hagena wreszcie mu uprzytomniło, że wiadomość, którą miał usłyszeć, jest naprawdę ważna. Hagen wypalił wprost:

– Dziś wieczorem zabili Sonny’ego. Nic nie mów. Connie zadzwoniła do niego, kiedy spałeś, a on był w drodze do was, ale nie chcę, żeby się o tym dowiedziała, nawet jeżeli się domyśla. Nie chcę, żeby to wiedziała na pewno. Pomyśli, że to wszystko jej wina. Masz zostać z nią dzisiaj i nic jej nie mówić. Chcę, żebyś się z nią pogodził. Masz być idealnym, kochającym mężem.

I masz nim pozostać przynajmniej, dopóki nie urodzi dziecka. Jutro rano ktoś, może ty, może don, może jej matka, powie Connie, że zabito jej brata. I chcę, żebyś był przy niej. Zrób to dla mnie, a zajmę się tobą w przyszłości. Zrozumiałeś?

Głos Carla drżał trochę.

– Jasne, Tom, jasne. Słuchaj, ty i ja zawsze zgadzaliśmy się ze sobą. Jestem ci wdzięczny. Rozumiesz?

– Tak – odrzekł Hagen. – Nikt nie będzie uważał twojej kłótni z Connie za przyczynę tego, co się stało, o to się nie martw.

Tym ja się zajmę. – Przerwał i dodał łagodnie, z zachętą: – No, a teraz zaopiekuj się Connie. – Rozłączył się.

Nauczył się nigdy nie stosować groźby, to wpoił mu don, ale Carlo doskonale zrozumiał, o co chodzi; był o włos od śmierci.

Hagen zadzwonił teraz do Tessia i kazał mu natychmiast przyjechać na Long Beach. Nie powiedział dlaczego, a Tessio nie pytał. Hagen westchnął. Teraz miało przyjść to, czego się lękał.

Musiał obudzić dona z narkotycznego snu. Musiał powiedzieć człowiekowi, którego kochał najbardziej na świecie, że go zawiódł, że nie potrafił ustrzec jego świata i życia jego najstarszego syna. Musiał powiedzieć donowi, że wszystko jest stracone, chyba że on sam, człowiek chory, zdoła się włączyć do bitwy. Bo Hagen się nie łudził. Tylko sam wielki don mógł przemienić tę straszną klęskę bodaj w zaszachowanie przeciwnika. Hagen nawet nie zadał sobie trudu zasięgnięcia opinii lekarzy dona Corleone, bo byłoby to bezcelowe. Bez względu na to, co nakazywaliby lekarze, nawet gdyby go

przestrzegli, że don nie może wstać z łoża boleści pod groźbą śmierci, musiał powiedzieć wszystko swojemu przybranemu ojcu, a potem pójść za nim. I oczywiście nie było wątpliwości, co don uczyni. Opinie przedstawicieli medycyny były teraz nieistotne, wszystko było nieistotne. Don musiał się dowiedzieć i musiał albo przejąć dowodzenie, albo nakazać Hagenowi, aby zdał Pięciu Rodzinom władzę Corleone.

A jednak Hagen lękał się całym sercem następnej godziny. Popróbował obmyślić sobie sposób postępowania. Musiał być ze wszech miar powściągliwy, jeżeli chodzi o własną winę. Robienie sobie wyrzutów tylko zwiększyłoby brzemień dona. Podkreślenie swoich niedociągnięć jako *consigliori* okresu wojennego doprowadziłoby tylko do tego, że don wyrzucałby sobie swój błędny osąd przy wybraniu takiego człowieka na tak ważne stanowisko.

Hagen wiedział, że musi przekazać wiadomości, przedstawić swą analizę tego, co trzeba zrobić, aby naprawić sytuację, a potem zamilknąć. Później jego reakcje musiały być reakcjami oczekiwanymi przez dona. Gdyby don zechciał, aby uznał swą winę, uznałby ją; gdyby don oczekiwał żalu, Hagen ujawniłby szczery ból.

Podniósł głowę, słysząc warkot silników; na placyk zajeżdżały samochody. Przybywali *caporegime*. Najpierw ich powiadomi, a potem pójdzie na górę i obudzi dona Corleone. Wstał, podszedł do barku stojącego obok biurka i wyjął szklankę oraz butelkę. Przez chwilę stał tak zdrtwiał, że nie mógł nalać płynu z butelki do szklanki. Za sobą usłyszał zamykające się cicho drzwi i obróciwszy się zobaczył, całkowicie ubranego po raz pierwszy od czasu postrzelenia, dona Corleone.

Don przeszedł przez pokój do swego ogromnego skórzanego fotela i usiadł. Stał trochę sztywno, ubranie wisiało na nim trochę luźno, ale Hagenowi wydawał się taki sam jak zawsze. Było to tak, jak gdyby don samą siłą woli odrzucił wszelkie zewnętrzne oznaki fizycznego osłabienia. Jego twarz była surowa, pełna dawnej stanowczości i siły. Siedział wyprostowany w fotelu i poprosił Hageną:

– Daj mi kroplę anyżówki.

Hagen zamienił butelki i nalał jemu i sobie ognistego alkoholu o smaku lukrecji. Był to wiejski trunek domowej roboty, o wiele mocniejszy od sprzedawanego w sklepach, prezent od starego przyjaciela, który co roku przysyłał donowi załadowaną nim małą ciężarówkę.

– Moja żona płakała, zanim zasnęła – powiedział don Corleone. – Przez

okno widziałem *caporegime* zajeżdżających przed dom, a jest już północ. Więc myślę, mój *consigliori*, że powinieneś powiedzieć swojemu donowi to, o czym wiedzą wszyscy.

Hagen odrzekł spokojnie:

– Mamie nic nie mówiłem. Miałem iść na górę, obudzić pana i osobiście przekazać wiadomość. Za chwilę byłbym przyszedł.

Don Corleone stwierdził spokojnie:

– Ale najpierw musiałeś się czegoś napić.

– Tak – odparł Hagen.

– Już się napiłeś – rzekł don. – Teraz możesz mi powiedzieć.

Była w tym odrobina wyrzutu za słabość Hagen.

– Strzelali do Sonny’ego na autostradzie. Nie żyje.

Don Corleone zacisnął powieki. Na ułamek sekundy mur jego woli rozpadł się, a odpływ fizycznej siły objawił się wyraźnie na twarzy. Potem się opanował.

Splótł dłonie przed sobą na blacie biurka i spojrzał Hagenowi prosto w oczy.

– Powiedz mi wszystko, co się stało – rzekł. Potem podniósł rękę. – Nie, zaczekaj, aż przyjdą Clemenza i Tessio, żebyś nie musiał tego powtarzać.

Kilka chwil później członek obstawy wprowadził do pokoju obu *caporegime*. Od razu poznali, że don wie o śmierci syna, ponieważ wstał, by ich powitać. Uściskali go tak, jak to było dozwolone starym towarzyszom. Wszyscy napili się anyżówki, której nalał im Hagen, nim opowiedział o wydarzeniach tej nocy.

Don Corleone zadał na końcu tylko jedno pytanie:

– Czy to pewne, że mój syn nie żyje?

– Tak – odpowiedział Clemenza. – Obstawa była z *regime* Santina, ale wybrana przeze mnie. Wypytałem ich, kiedy do mnie przyjechali. Widzieli jego ciało w świetle budki. Nie mógł żyć z tymi ranami, które zobaczyli. Ręką swoim życiem za to, co mówią.

Don Corleone przyjął ten ostateczny werdykt bez żadnych oznak wzruszenia poza kilkoma chwilami ciszy. Potem rozkazał:

– Żaden z was nie będzie się zajmować tą sprawą. Żaden z was nie będzie dokonywać jakichkolwiek aktów zemsty ani bez mego jednoznacznego rozkazu nie przeprowadzi dochodzeń dla wytropienia morderców mojego syna. Nie będzie żadnych dalszych kroków wojennych przeciwko Pięciu Rodzinom

bez mojego wyraźnego, osobistego życzenia. Nasza Rodzina zawiesi wszelkie operacje handlowe oraz ochronę naszych operacji handlowych aż do pogrzebu mojego syna. Potem spotkamy się tutaj znowu i zadecydujemy, co trzeba zrobić. Dzisiaj musimy uczynić dla Santina to, co możemy, musimy pochować go jak chrześcijanina. Poproszę moich przyjaciół, żeby załatwili sprawę z policją oraz innymi odpowiednimi władzami. Clemenza, zostaniesz ze mną przez cały czas jako moja ochrona, ty i ludzie z twojego *regime*. Tessio, będziesz pilnował wszystkich innych członków mojej rodziny. Tom, zadzwoń do Ameriga Bonasery i powiedz mu, że będę potrzebował jego usług w ciągu tej nocy. Ma na mnie czekać w swoim zakładzie. To może potrwać godzinę, dwie godziny, trzy godziny. Zrozumieliście wszyscy?

Trzej mężczyźni kiwnęli głowami. Don Corleone powiedział:

– Clemenza, zbierz paru ludzi i samochody i czekaj na mnie. Będę gotowy za kilka minut. Tom, sprawiłeś się dobrze. Chcę, żeby Constanzia była rano u matki. Załatw wszystko, co trzeba, żeby tu zamieszkała z mężem. Wyślij do jej domu przyjaciółki Sandry, żeby były przy niej. Moja żona też tam pojedzie, kiedy z nią porozmawiam. Powie córce o tym nieszczęściu, a kobiety zamówią w kościele nabożeństwa i modlitwy za jego duszę.

Don wstał ze skórzanego fotela. Pozostali mężczyźni podnieśli się również, a Clemenza i Tessio uściskali go ponownie. Hagen otworzył drzwi donowi, który zatrzymał się chwilę, aby na niego popatrzeć. Potem przyłożył mu dłoń do policzka, objął go szybko i rzekł po włosku:

– Byłeś dobrym synem. Pokrzepiasz mnie.

Miało to powiedzieć Hagenowi, że postąpił właściwie w tym strasznym momencie.

Don poszedł na górę do sypialni pomówić z żoną. Wtedy to właśnie Hagen zatelefonował do Ameriga Bonasery, ażeby przedsiębiorca pogrzebowy spłacił swój dług wdzięczności wobec Rodziny Corleone.

Księga 5

Rozdział 20

Wiadomość o śmierci Santina Corleone rozeszła się falą po świecie podziemnym całego kraju. A kiedy się dowiedziano, że don Corleone wstał z łoża boleści, aby objąć kierownictwo nad sprawami Rodziny, kiedy szpie-dzy obecni na pogrzebie donieśli, że don wygląda na całkowicie ozdrowiałe-go, przywódcy Pięciu Rodzin poczęli robić gorączkowe przygotowania do obrony w krwawej odwetowej wojnie, która musiała niezawodnie nastąpić. Nikt nie popełnił tej pomyłki, by sądzić, że dona można lekceważyć ze względu na jego niedawne niepowodzenia. Był człowiekiem, który zrobił niewiele błędów w swojej karierze i z każdego wyciągał wnioski.

Tylko Hagen odgadł prawdziwe zamiary dona i nie był zaskoczony, kiedy do Pięciu Rodzin wysłano emisariuszy z propozycją pokoju. I to z propozycją nie tylko pokoju, ale spotkania wszystkich Rodzin z miasta oraz zaproszenia do uczestnictwa Rodzin z całych Stanów Zjednoczonych. Ponieważ Rodziny nowojorskie były najpotężniejsze w kraju, rozumiano, że ich dobro wiąże się z dobrem kraju jako całości.

Początkowo żywiono pewne podejrzenia. Czy don Corleone nie zastawia pułapki? Czy nie usiłuje zmylić czujności swych wrogów? Czy nie próbuje przygotować masowej rzezi, aby pomścić syna? Ale don wkrótce dał jasno poznać, że jest szczery. Nie tylko zaprosił na to spotkanie wszystkie Rodziny z kraju, ale nie zrobił żadnego posunięcia, aby postawić swych ludzi na ścieżce wojennej czy też zwerbować sojuszników. W końcu zaś uczynił ostatni, nieodwracalny krok, który udowadniał autentyczność jego intencji i gwarantował bezpieczeństwo wielkiej rady, która miała się zebrać. Odwołał się do usług Rodziny Bocchicchiów.

Rodzina Bocchicchiów była wyjątkowa z tego względu, że będąc niegdyś szczególnie drapieżnym odgałęzieniem mafii na Sycylii, stała się narzędziem

pokoju w Ameryce. Ta grupa ludzi, dawniej zarabiająca na życie z dziką determinacją, teraz utrzymywała się w sposób, który można by nazwać świętobliwym. Jednym z atutów Bocchicchiów była zwarta struktura pokrewieństwa, wierność rodzinna, surowa nawet jak na społeczność, w której wierność wobec Rodziny miała pierwszeństwo przed wiernością wobec żony.

Rodzina Bocchicchiów, włącznie z kuzynami trzeciego stopnia, liczyła niegdyś prawie dwustu członków, gdy kierowała gospodarką małej połaci południowej Sycylii. Dochody całej rodziny pochodziły wówczas z czterech czy pięciu młynów, niebędących bynajmniej wspólną własnością, ale zapewniających wszystkim członkom rodziny pracę, chleb oraz minimum zabezpieczenia. To, wraz z zawieraniem małżeństw między sobą, wystarczało do stworzenia wspólnego frontu przeciwko wrogowi.

W swoim zakątku Sycylii nie dopuszczali do zbudowania żadnego konkurencyjnego młyna, żadnej tamy, która wytworzyłaby zapas wody dla konkurentów. Kiedyś pewien możny właściciel ziemski spróbował postawić własny młyn, wyłącznie na swój osobisty użytek. Młyn został spalony. Właściciel odwołał się do karabinierów i wyższych władz, które zaarrestowały członków Rodziny Bocchicchiów. Jeszcze przed procesem podpalamo jego dwór. Zarzuty i oskarżenia wycofano. Kilka miesięcy później na Sycylię przybył jeden z najwyższych funkcjonariuszy rządu włoskiego i usiłował rozwiązać chroniczny niedobór wody, proponując wybudowanie olbrzymiej tamy. Z Rzymu przyjechali inżynierowie, aby dokonać pomiarów, czemu przyglądali się ponuro miejscowi mieszkańcy, członkowie klanu Bocchicchiów. Na całym tym obszarze zaroilo się od policji, zakwaterowanej w specjalnie zbudowanych barakach.

Zdawało się, że nic nie może wstrzymać budowy tamy i w Palermo wyładowano już materiały i sprzęt. Dalej jednakże się nie posunięto. Bocchicchio- wie skontaktowali się z innymi przywódcami mafii i wydobyli od nich zgodę na udzielenie pomocy. Ciężki sprzęt zniszczono, lżejszy rozkradziono. Przedstawiciele mafii we włoskim parlamencie przypuścili biurokratyczny kontratak na autorów planu. Trwało to kilka lat, a w owym czasie Mussolini doszedł do władzy. Dyktator zawyrokował, że tama musi być zbudowana. Tak się nie stało. Dyktator wiedział, że mafia będzie zagrożeniem dla jego reżimu, stanowiąc niejako władzę odrębną od jego własnej. Dał pełnomocnictwa wysokiemu funkcjonariuszowi policji, który z miejsca rozwiązał problem, wsadzając wszystkich do więzienia bądź deportując ich do karnych obozów

pracy na wyspach. W ciągu kilku lat złamał siłę mafii, po prostu arbitralnie aresztując każdego, kogo bodaj podejrzewano o to, że jest *mafioso*. A przez to ściągnął również nieszczęście na wiele niewinnych rodzin.

Bocchicchiowie byli na tyle lekkomyślni, że uciekli się do użycia siły przeciwko tej nieograniczonej władzy. Połowa ich mężczyzn poległa w walce zbrojnej, niemal całą resztę deportowano do karnych kolonii na wyspach. Pozostała zaledwie garstka, i wtedy poczyniono kroki, by ją wyprawić do Ameryki potajemną, nielegalną drogą ucieczki ze statku udającego się do Kanady. Było ich około dwudziestu i osiedlili się w małym miasteczku niedaleko Nowego Jorku, w dolinie Hudsonu, gdzie zaczynając od zera, doszli do posiadania firmy wywozu śmieci, z własnymi ciężarówkami. Zaczęli prosperować, ponieważ nie mieli konkurencji. A konkurencji nie mieli, ponieważ konkurentom palono i niszczone ciężarówki. Pewnego upartego faceta, który oferował niższe ceny, znaleziono zagrzebanego i uduszonego w śmieciach, które uzbierał w ciągu dnia.

Mężczyźni się żenili, oczywiście z Sycylijkami, przychodziły na świat dzieci, ale interes, chociaż zapewniał utrzymanie, nie wystarczał na opłacanie tych lepszych rzeczy, które Ameryka miała do zaofiarowania. Toteż dla odmiany Rodzina Bocchicchiów zaczęła pełnić rolę negocjatorów i zakładników w pokojowych rokowaniach wojujących rodzin mafijnych.

Klan Bocchicchiów cechowała pewna głupota czy też może byli oni po prostu prymitywni. W każdym razie dostrzegali własne ograniczenia i wiedzieli, że nie mogą współzawodniczyć z innymi mafijnymi Rodzinami w organizowaniu i prowadzeniu interesów o bardziej wymyślnej strukturze, takich jak prostytutka, hazard, narkotyki i nadużycia publiczne. Byli ludźmi prostodusznymi, którzy potrafili ofiarować podarek zwykłemu policjantowi, ale nie wiedzieli, jak trzeba podejść do politycznego łapownika. Mieli tylko dwa atuty. Swój honor i swoje okrucieństwo.

Żaden Bocchicchio nigdy nie kłamał, nigdy nie popełnił zdradzieckiego czynu. Takie postępowanie było zanadto skomplikowane. Poza tym żaden Bocchicchio nie zapominał krzywdy i nigdy nie pozostawiał jej niepomszczonej bez względu na cenę. I tak przypadkowo natrafili na to, co miało się okazać dla nich najbardziej zyskowną profesją.

Kiedy wojujące Rodziny pragnęły zawrzeć pokój i nawiązać rozmowy, zwracały się do klanu Bocchicchiów. Przywódca klanu prowadził wstępne negocjacje i załatwiał sprawę nieodzownych zakładników. Na przykład kiedy

Michael udał się na spotkanie z Sollozzem, pozostawiono u Rodziny Corleone jednego z Bocchicchiów jako rękojmię bezpieczeństwa Michaela, przy czym za tę usługę zapłacił Sollozzo. Gdyby Sollozzo zabił Michaela, wówczas ów Bocchicchio, zatrzymany jako zakładnik przez Rodzinę Corleone, zostałby przez nią zgładzony. W takim przypadku Bocchicchiowie zemściliby się na Sollozzu jako przyczynie śmierci członka ich klanu. Ponieważ Bocchicchiowie byli tak prymitywni, żadna rzecz, żadne cięgi nie mogły przeszkodzić im w zemście. Byli gotowi oddać własne życie i nie było przed nimi ucieczki, jeżeli zostali zdradzeni. Zakładnik Bocchicchio był murowanym zabezpieczeniem.

Toteż obecnie, kiedy don Corleone użył Bocchicchiów jako negocjatorów i załatwił dostarczenie przez nich zakładników, ażeby wszystkie Rodziny przybyły na spotkanie pokojowe, nie mogło być żadnej kwestii co do jego szczerości. Nie mogło być mowy o zdradzie. Spotkanie miało być równie bezpieczne jak wesele.

Po przydzieleniu zakładników spotkanie nastąpiło w sali konferencyjnej dyrektora pewnego małego banku handlowego, którego prezes miał zobowiązania wobec dona Corleone i którego kapitał akcyjny należał częściowo do dona, chociaż był zapisany na nazwisko prezesa. Prezes zawsze cenił sobie ów moment, kiedy zaproponował, iż da donowi Corleone pisemny dokument potwierdzający własność jego akcji, aby wykluczyć wszelki podstęp. Don Corleone był tym zgorszony.

– Zawierzyłbym panu cały swój majątek – powiedział prezesowi. – Zawierzyłbym panu własne życie i przyszłość moich dzieci. Jest dla mnie nie do pomyślenia, żeby pan kiedykolwiek oszukał mnie czy zdradził. Załamałby się wtedy cały mój świat, cała wiara w moją ocenę ludzkiego charakteru.

Oczywiście mam swoje własne notatki, tak że gdyby cokolwiek mi się stało, moi spadkobiercy wiedzieliby, że pan ma dla nich coś w depozycie. Ale wiem, że nawet gdyby nie było mnie na tym świecie, aby strzec interesów mych dzieci, pan zaspokoiłby ich potrzeby.

Prezes banku, chociaż nie Sycylijczyk, był człowiekiem o wyczulonej wrażliwości. Zrozumiał dona doskonale. A teraz prośba Ojca Chrzestnego była dla prezesa rozkazem, toteż pewnego sobotniego popołudnia pomieszczenie urzędowe banku, sala konferencyjna z głębokimi, skórzanymi fotelami, zapewniająca całkowite odosobnienie, została udostępniona Rodzinom.

Nad bezpieczeństwem w banku czuwała mała armia starannie dobranych

ludzi w mundurach straży bankowej. W sobotę o dziesiątej rano sala konferencyjna zaczęła się zapełniać. Oprócz Pięciu Rodzin z Nowego Jorku obecni byli przedstawiciele dziesięciu innych Rodzin z całego kraju, z wyjątkiem Chicago, tej czarnej owcy ich świata. Zrezygnowano z prób ucywilizowania Chicago i nie widziano celu włączania owych wściekłych psów do tej doniosłej konferencji.

Przygotowano bar i mały bufet. Każdy delegat mógł mieć jednego pomocnika. Większość donów przywiozła jako pomocników swych *consiglieri*, toteż w sali było stosunkowo niewielu ludzi młodych. Do owych młodych należał Tom Hagen, zarazem jedyny, który nie był Sycylijczykiem. Był przedmiotem zaciekawienia, dziwadłem.

Hagen wiedział, jak się zachować. Nie odzywał się, nie uśmiechał. Obsługiwał swojego szefa, dona Corleone, z całym respektem ulubionego dworzana usługującego swemu królowi; przynosił mu zimne napoje, zapalał cygaro, podstawiał popielniczkę – z respektem, ale bez służalczości.

Hagen był w tej sali jedynym, który wiedział, kogo przedstawiają portrety wiszące na ścianach okrytych ciemną boazerią. Były to w większości portrety legendarnych osobistości finansowych, malowane olejnymi farbami. Jeden z nich przedstawiał ministra skarbu, Hamiltona. Hagen nie mógł oprzeć się myśli, iż Hamilton pewnie pochwaliłby fakt, że to pokojowe spotkanie odbywało się w instytucji bankowej. Nie ma nic bardziej kojącego, bardziej sprzyjającego czystemu rozsądkowi niż atmosfera pieniądza.

Porę przybycia ustalono na godzinę między dziewiątą trzydzieści a dziesiątą rano. Don Corleone, w pewnym sensie gospodarz, jako że zainicjował rozmowy pokojowe, zjawił się pierwszy; jedną z jego rozlicznych zalet była punktualność. Następnym z kolei był Carlo Tramonti, który uczynił swoim terytorium południową część Stanów Zjednoczonych. Był niezwykle przystojnym mężczyzną w średnim wieku, wysoki jak na Sycylijczyka, bardzo opalony, świetnie ubrany i wypielęgnowany. Nie wyglądał na Włocha, przypominał raczej jednego z tych – łowiących ryby, rozpartych na swoich jachtach – milionerów, których zdjęcia zamieszczano w czasopismach. Rodzina Tramontich utrzymywała się z hazardu i nikt, kto poznał jej dona, nie domyśliłby się nigdy, z jakim okrucieństwem zdobył on swoje imperium.

Wyemigrowawszy z Sycylii jako mały chłopiec, osiadł na Florydzie i tam dorósł do wieku męskiego zatrudniony przez amerykański syndykat małomiasteczkowych polityków z południa, którzy kierowali hazardem. Byli to

bardzo twardzi ludzie, wspierani przez bardzo twarde urzędników policji, i nigdy nie podejrzewali, że mogą zostać obaleni przez takiego świeżo przybyłego imigranta. Nie byli przygotowani na jego okrucieństwo, któremu nie mogli dorównać po prostu dlatego, że korzyści, o które walczono, nie były ich zdaniem warte takiego rozlewu krwi. Tramonti pozyskał sobie policję, dając jej większe udziały w dochodach; wytępił prostackich chuliganów, którzy prowadzili swoje operacje z takim kompletnym brakiem wyobraźni. To Tramonti zapoczątkował więzy z Kubą oraz reżimem Battisty i w końcu ulokował duże pieniądze w przybytkach rozrywkowych Hawany, domach gry i domach publicznych, aby przyciągnąć szulerów z amerykańskiego kontynentu. Tramonti był obecnie wielokrotnym milionerem i właścicielem najbardziej luksusowych hoteli w Miami Beach.

Kiedy Tramonti wszedł do sali konferencyjnej, mając ze sobą równie opalonego *consigliori*, uściskał dona Corleone i zrobił współczującą minę, aby okazać, że boleje nad śmiercią jego syna.

Przybywali inni donowie. Wszyscy się znali, spotykali się już od lat, czy to na gruncie towarzyskim, czy przy załatwianiu interesów. Zawsze okazywali sobie wzajemnie zawodowe uprzejmości, a za swych młodszych, chudszych lat wyświadczali jeden drugiemu drobne przysługi. Następnym z kolei donem był Joseph Zaluchi z Detroit. Rodzina Zaluchich, pod płaszczykiem innej działalności, posiadała jeden z torów wyścigowych na obszarze Detroit. Należały też do niej w znacznej części gry hazardowe. Zaluchi był miło wyglądającym mężczyzną o twarzy jak księżyc w pełni; mieszkał w zbudowanym kosztem stu tysięcy dolarów domu w Grosse Point, eleganckiej dzielnicy Detroit. Jeden z jego synów wzenił się w starą, znaną rodzinę amerykańską. Zaluchi, podobnie jak don Corleone, był wymagający. Detroit miało najmniej przypadków przemocy fizycznej ze wszystkich miast kontrolowanych przez Rodziny; w ciągu ostatnich trzech lat nastąpiły w tym mieście tylko dwie egzekucje. Nie pochwałał handlu narkotykami.

Zaluchi przyprowadził ze sobą swojego *consigliori* i obaj podeszli do dona Corleone, by go uściskać. Zaluchi miał tubalny amerykański głos z ledwie dosłyszalnym akcentem. Był ubrany skromnie, do gruntu biznesmen, i na dodatek pełen serdecznej życzliwości. Powiedział do dona Corleone:

– Tylko pański głos mógł mnie tutaj sprowadzić.

Don Corleone skłonił głowę na znak podziękowania. Mógł liczyć na poparcie Zaluchiego.

Następni dwaj donowie pochodzili z Zachodniego Wybrzeża, skąd przyjechali tym samym samochodem, ponieważ blisko współpracowali ze sobą w każdej sprawie. Byli to Frank Falcone i Anthony Molinari, obydwaj młodszy od wszystkich, którzy mieli przybyć na to spotkanie; liczyli sobie po czterdzieści parę lat. Ubrani byli trochę mniej oficjalnie niż pozostali; w ich stylu było coś z Hollywoodu i zachowywali się trochę wylewniej niż potrzeba. Frank Falcone kontrolował filmowe związki zawodowe i hazard w wytwórniach, plus cały kompleks zorganizowanej prostytucji, która dostarczała dziewcząt do burdeli w stanach dalekiego zachodu. Było w złym guście, aby którykolwiek don przesiąkł atmosferą przemysłu rozrywkowego, ale Falcone nie uchronił się przed tym. Toteż inni donowie mu nie ufali.

Anthony Molinari władał dzielnicami portowymi San Francisco i dzierżył prym w dziedzinie gier sportowych. Wywodził się z rodziny włoskich rybaków i miał najlepszą w San Francisco restaurację z owocami morza, z której był taki dumny, iż opowiadano, że na tym przedsięwzięciu stracił pieniądze, bo dawał zbyt dobry towar jak na ceny, których żądał. Miał nieprzenikniętą twarz zawodowego szulera i wiadano, że maczał palce także i w szmuglowaniu narkotyków przez meksykańską granicę oraz ze statków kursujących po wschodnich oceanach. Obu donom towarzyszyli młodzi, masywnie zbudowani mężczyźni, najwyraźniej nie doradcy, tylko goryle, chociaż nie ośmieliliby się przybyć z bronią na to zebranie. Powszechnie wiadano, że znają oni karate, który to fakt bawił innych donów, ale niepokoił ich nie bardziej, niż gdyby kalifornijscy donowie przybyli z amuletami pobłogosławionymi przez papieża. Należy jednak zauważyć, że niektórzy z tych ludzi byli religijni i wierzyli w Boga.

Następnie zjawił się przedstawiciel Rodziny z Bostonu. Był to jedyny don, który nie cieszył się szacunkiem innych. Znano go jako człowieka, który nie traktował „swoich” jak należy, który oszukiwał ich niemiłosiernie. To można by wybaczyć, każdy człowiek odmierza własną zachłanność. Natomiast nie można było wybaczyć tego, że nie potrafił utrzymać porządku w swoim imperium. Teren Bostonu miał zbyt wiele morderstw, za wiele pomniejszych wojen o władzę, zbyt wiele niepopieranych przedsięwzięć na własną rękę, szydził z prawa nazbyt zuchwale. O ile chicagowska mafia to były dzikusy, o tyle ludzie z Bostonu byli *gavoones*, czyli nieokrzesanymi gburami, brutalami. Bostoński don nazywał się Domenick Panza. Był niski, przysadzisty; jak orzekł jeden z donów, wyglądał na złodzieja.

Syndykat clevelandzki, bodaj najpotężniejszy ze wszystkich ściśle hazardowych operacji w Stanach Zjednoczonych, reprezentował delikatnie wyglądający starszy pan o chudej twarzy i śnieżnobiałych włosach. Nazywano go, oczywiście za plecami, „Żydem”, ponieważ otaczał się żydowskimi współpracownikami zamiast Sycylijczykami. Powiadano nawet, że gdyby śmiał, mianowałby Żyda swym *consigliori*. W każdym razie, podobnie jak Rodzinę Corleone zwano irlandzką bandą z uwagi na przynależność do niej Hageny, tak Rodzinę dona Vincenta Forlenzy nazywano z nieco większym uzasadnieniem żydowską rodziną. Jednakże kierował niezmiernie sprawną organizacją i nie słyszano, by kiedykolwiek zemdłał na widok krwi, pomimo swych delikatnych rysów. Sprawował rządy żelazną ręką, a politykę uprawiał w białych rękawiczkach.

Ostatni zjawili się przedstawiciele Pięciu Rodzin z Nowego Jorku i Toma Hageny uderzyło to, o ile bardziej imponująca, dostojna była owa piątka niż ludzie spoza miasta, prowincjusze. Po pierwsze, pięciu nowojorskich donów pasowało do starej tradycji sycylijskiej, byli to „panowie z brzuchem”, co w przenośni oznaczało siłę i dzielność, a dosłownie fizyczną tuszę, tak jakby jedno szło w parze z drugim, co istotnie zdarzało się na Sycylii. Pięciu nowojorskich donów byli to tężdzi, korpulentni mężczyźni o masywnych, lwich głowach i wydatnych rysach – mięsistych, królewskich nosach, grubych wargach, ciężko pofałdowanych policzkach. Nie byli za dobrze ubrani ani wypięlęgowani; wyglądali na ludzi nieuznających bzdur, pracowitych, pozbawionych próżności.

Przybył więc Anthony Stracci, który kontrolował New Jersey i ruch statków przy nabrzeżach po zachodniej stronie Manhattanu. Kierował hazardem w Jersey i miał bardzo silne wpływy w aparacie politycznym demokratów. Posiadał cały park ciężarówek towarowych, które mu przyniosły fortunę, przede wszystkim dlatego, że mogły jeździć z dużym przeciążeniem, niezatrzymywane i niekarane grzywną przez inspektorów obciążenia na szosach. Ciężarówki te przyczyniały się do niszczenia szos, po czym jego przedsiębiorstwo budowy dróg, mające zyskowne kontrakty z władzami stanowymi, naprawiało wyrządzone szkody. Był to ten rodzaj operacji, od którego każdemu robiło się cieplej na sercu – interes sam przez się tworzący inny interes. Stracci był także staroświecki i nigdy nie zajmował się prostytutką, ale ponieważ jego interesy obejmowały dzielnicę portową, nie mógł nie zostać wciągnięty w przemysł narkotyków. Z pięciu nowojorskich Rodzin przeciwstawia-

jących się Corleone jego Rodzina była najmniej potężna, ale najlepiej zorganizowana.

Na czele Rodziny, która kontrolowała północną część stanu Nowy Jork, załatwiała szmuglowanie włoskich imigrantów z Kanady, kierowała całym hazardem oraz wykonywała prawo weta przy licencjonowaniu przez stan torów wyścigowych, stał Otilio Cuneo. Był to zupełnie rozbrajający człowiek z twarzą wesołego, pulchnego, wiejskiego piekarza, którego legalną działalność stanowiła jedna z dużych firm mleczarskich. Cuneo należał do ludzi uwielbiających dzieci i zawsze miał pełne kieszenie cukierków, w nadziei, że będzie mógł sprawić przyjemność któremuś z licznych wnuków czy małych latorośli swoich wspólników. Nosił okrągły kapelusz z rondem opuszczonym ze wszystkich stron na podobieństwo letniego kapelusza damskiego, co poszerzało jego i tak księżycową twarz i czyniło ją jowialną. Był jednym z nielicznych donów, który nie został aresztowany i którego prawdziwej działalności nawet nie podejrzewano. I to do tego stopnia, że uczestniczył w społecznych komitetach i został wybrany przez Izbę Handlową „Biznesmenem Roku stanu Nowy Jork”.

Najbliższym sojusznikiem Rodziny Tattagliów był don Emilio Barzini. Miał kilka gier hazardowych w Brooklynie i kilka w Queens. Kontrolował prostytutkę. Miał silnorekich. Panował całkowicie nad Staten Island. Miał parę loterii sportowych w Bronksie i Westchesterze. Robił w narkotykach. Łączyły go bliskie więzy z Clevelandem i Zachodnim Wybrzeżem i należał do nielicznych ludzi dostatecznie przebiegłych, by się interesować Las Vegas i Reno, otwartymi miastami w Nevadzie. Miał również interesy w Miami Beach i na Kubie. Po Rodzinie Corleone był bodaj najsilniejszy w Nowym Jorku, a co za tym idzie, i w kraju. Jego wpływy sięgały nawet na Sycylię. Maczał palce w każdej nielegalnej imprezie. Mówiono nawet, że ma wpływy na Wall Street. Wspomagał Rodzinę Tattagliów pieniędzmi i swoimi koneksjami od samego początku wojny. Jego ambicją było odebranie donowi Corleone pozycji najpotężniejszego i najbardziej szanowanego przywódcy mafii w kraju i przejęcie części imperium Corleone. Był człowiekiem pokroju dona Corleone, ale nowocześniejszym, bardziej wyrafinowanym, bardziej rzeczowym. Nie można by go nigdy nazwać starym kołtunem; cechowała go pewność siebie nowszych, młodszych, bardziej przedsiębiorczych przywódców, idących w górę. Był człowiekiem zimnym, o wielkiej, osobistej sile, bez śladu ciepła dona Corleone, i w owej chwili bodaj najbardziej „szanowanym”

w tej grupie.

Ostatni zjawiał się don Phillip Tattaglia, głowa Rodziny Tattagliów, tej, która rzuciła bezpośrednio wyzwanie władzy Corleone, popierając Sollozza i była tak bliska sukcesu. A jednak, rzecz ciekawa, pozostali mieli go w niejakej pogardzie. Po pierwsze, wiedziano, że pozwolił zawojować się Sollozowi, że w istocie dał się wodzić za nos temu sprytnemu Turkowi. Uważano, że jest odpowiedzialny za całe zamieszanie, te niepokoje, które tak się odbiły na prowadzeniu codziennych interesów przez nowojorskie Rodziny. Po drugie był sześćdziesięcioletnim dandysem i kobieciarzem. I miał rozległe możliwości zaspokajania tej swojej słabostki.

Albowiem Rodzina Tattagliów zajmowała się kobietami. Jej głównym biznesem była prostytutka. Kontrolowała także większość nocnych lokali w Stanach Zjednoczonych i mogła wszędzie w kraju ulokować każdy talent. Phillip Tattaglia nie gardził użyciem siły, aby uzyskać władzę nad obiecującymi śpiewakami i komikami i wywierać nacisk na firmy nagrywające płyty. Ale główne źródło dochodów Rodziny stanowiła prostytutka.

Miał trudny charakter. Zawsze biadolił, narzekał na koszty prowadzenia rodzinnych interesów. Rachunki z pralni za wszystkie ręczniki zjadały zyski (tyle że posiadał firmę pralniczą, która wykonywała tę robotę). Dziewczyny były leniwe i nie zrównoważone, uciekały, popełniały samobójstwa. Sutenerzy byli zdradzieccy i nieuczciwi, bez cienia lojalności. Dobrą pomoc ciężko było znaleźć. Młodzi ludzie, w których żyłach płynęła sycylijska krew, kręcili nosem na taką pracę, uważali za coś poniżej swego honoru handlowanie kobietami i wyzyskiwanie ich – te same łobuzy, które poderznęłyby komuś gardło ze śpiewem na ustach i krzyżykiem z wielkanocnej palemki w klapie marynarki. Więc Phillip Tattaglia uważał się słuchaczem pozbawionym zrozumienia i wzdurliwym. Najbardziej urągał władzom, w których kompetencji leżało wydawanie i cofanie koncesji na wyszynk w jego nocnych lokalach i kabaretach. Zarzekał się, że pieniędzmi, które wypłacił owym złodziejskim strażnikom oficjalnych pieczęci, stworzył więcej milionerów niż cała Wall Street.

Rzecz osobliwa, jego nieomal zwycięska wojna z Rodziną Corleone nie pozyskała mu szacunku, na który zasługiwał. Wiedziano, że jego siła pochodziła najpierw od Sollozza, a potem od Rodziny Barzinich. A fakt, że mając przewagę zaskoczenia, nie odniósł całkowitego zwycięstwa, też świadczył przeciwko niemu. Gdyby był sprawniejszy, można by uniknąć całego tego

zamieszania. Śmierć dona Corleone oznaczałaby zakończenie wojny.

Było rzeczą właściwą, zważywszy na to, że obydwaj stracili synów w wojnie przeciwko sobie, aby don Corleone i Phillip Tattaglia pokwitowali nawzajem swoją obecność jedynie oficjalnym skinięciem głowy. Don Corleone był przedmiotem zainteresowania, gdyż pozostali obserwowali go, by się przekonać, jakie oznaki słabości pozostawiły na nim jego rany i porażki. Zagadkowym elementem było, dlaczego don Corleone wystąpił o pokój po śmierci swego ulubionego syna. Stanowiło to potwierdzenie klęski i prawie na pewno musiało doprowadzić do osłabienia jego władzy. Niebawem jednak mieli się przekonać.

Nastąpiły powitania, trzeba było podać trunki, i minęło jeszcze prawie pół godziny, nim don Corleone zajął miejsce przy wypoliturowanym orzechowym stole. Hagen usiadł skromnie na krześle nieco w lewo za donem. Był to dla innych donów sygnał podejścia do stołu. Ich pomocnicy usiedli za nimi, a *consigliori* obok, aby w razie potrzeby móc służyć im radą.

Pierwszy zabrał głos don Corleone i przemówił tak, jakby nic się nie zdarzyło. Tak jakby nie został ciężko zraniony, jakby nie zginął jego najstarszy syn, jakby jego imperium nie leżało w gruzach, a rodzina nie była rozproszona – Freddie na zachodzie, pod ochroną Rodziny Molinarich, a Michael ukryty na pustkowiach Sycylii. Przemawiał w sposób naturalny, w dialekcie sycylijskim.

– Pragnę podziękować wam wszystkim za przybycie. Uważam to za przysługę wyświadczoną mnie osobiście i czuję się dłużnikiem każdego z was. Dlatego też powiem na początku, że nie jestem tu po to, aby się spierać i przekonywać, lecz tylko, aby rozumować i aby jako człowiek rozsądny uczynić wszystko, co możliwe, żebyśmy rozstali się jak przyjaciele. Na to daję moje słowo, a ci z was, którzy mnie dobrze znają, wiedzą, że nie daję go lekkomyślnie. No cóż, przejdźmy do rzeczy. Wszyscy tutaj jesteśmy ludźmi honoru, nie musimy udzielać sobie wzajemnie zapewnień tak, jak gdybyśmy byli adwokatami.

Przerwał. Nikt z obecnych się nie odezwał. Jedni palili cygara, inni popijali drinki. Wszyscy byli dobrymi, cierpliwymi słuchaczami. I mieli jeszcze jedną wspólną cechę. Należeli do tej rzadkiej grupy ludzi, którzy odmówili uznania rządów zorganizowanego społeczeństwa, którzy odrzucili władzę innych ludzi. Nie było takiej siły, takiego śmiertelnika, który mógłby nagiąć ich do swej woli, jeżeli tego nie chcieli. Chronili swą wolną wolę podstępem i mor-

derstwem. Ich wolę można było przełamać jedynie śmiercią. Albo najwyższym rozsądkiem.

Don Corleone westchnął.

– Jak to się stało, że sprawy zaszły tak daleko? – zapytał retorycznie. – Ano, mniejsza o to. Zdarzyła się masa głupstw. To było takie godne pożałowania, takie niepotrzebne. Ale niech mi będzie wolno powiedzieć, co się zdarzyło, tak jak ja to widzę.

Przerwał, by sprawdzić, czy ktoś ma zastrzeżenia przeciwko przedstawieniu przezeń całej historii z własnego punktu widzenia.

– Bogu dzięki, powróciłem do zdrowia i może zdołam przyczynić się do naprostowania tej sprawy. Mój syn był może zbyt popędliwy, zbyt samowolny. Nie mówię: nie. W każdym razie niech mi będzie wolno powiedzieć, że Sollozzo zwrócił się do mnie z pewną propozycją, prosząc o moje pieniądze i wpływy. Mówił, że interesuje się tym Rodzina Tattagliów. Sprawa dotyczyła narkotyków, którymi ja się nie interesuję. Jestem człowiekiem spokojnym i takie przedsięwzięcia są zbyt burzliwe jak na mój gust. Wyjaśniłem to Sollozzowi z całym uszanowaniem dla niego i dla Rodziny Tattagliów. Powiedziałem mu „nie” z całą uprzejmością. Powiedziałem mu, że jego interesy nie będą przeszkadzały moim, że nie mam zastrzeżeń co do zarabiania przez niego na życie w taki sposób. Wziął mi to za złe i ściągnął nieszczęście na głowy nas wszystkich. Ano, takie jest życie. Każdy tutaj mógłby opowiedzieć swoją smutną historię. To nie jest moim zamierzeniem.

Don Corleone przerwał i skinął na Hagen, prosząc o zimny napój, który Hagen szybko mu podał. Don Corleone zwilżył sobie usta.

– Jestem gotów zawrzeć pokój. Tattaglia stracił syna, ja straciłem syna. Jesteśmy kwita. Do czego doszedłby świat, gdyby ludzie żywili dalej urazy wbrew wszelkiemu rozsądkowi? To było krzyżem dla Sycylii, gdzie ludzie tak są zajęci wendetą, że nie mają czasu zarabiać na chleb dla swoich rodzin. To jest głupota. Dlatego teraz powiadam, niech wszystko będzie tak jak przedtem. Nie poczyniłem żadnych kroków, żeby dowiedzieć się, kto zdradził i zabił mojego syna. Jeżeli nastanie pokój, nie zrobię tego. Mam syna, który nie może przyjechać do domu, i muszę otrzymać zapewnienia, że kiedy załatwię sprawy tak, żeby mógł wrócić bezpiecznie, nie będzie żadnej ingerencji, żadnego zagrożenia ze strony władz. Z chwilą, kiedy to zostanie załatwione, może będziemy mogli pomówić o innych interesujących nas sprawach i dzisiaj wyświadczyć sobie, nam wszystkim, korzystną przysługę. –

Corleone uczynił dłońmi wymowny, uległy gest. – To wszystko, czego chcę.

Było to zrobione bardzo dobrze. To był dawny don Corleone. Rozsądny. Elastyczny. Nie podnoszący głosu. Ale każdy z obecnych zauważył, że powołał się na swoje dobre zdrowie, co oznaczało, że nie jest człowiekiem, którego można lekceważyć, pomimo nieszczęść Rodziny Corleone. Zauważono, iż powiedział, że dyskusja o innych sprawach jest bezcelowa, jeżeli pokój, o który prosił, nie zostanie zawarty. Zauważono, że domagał się dawnego *status quo*, że nic by na tym nie stracił, chociaż w minionym roku przeszedł najgorsze.

Jednakże donowi Corleone odpowiedział Emilio Barzini, a nie Tattaglia. Przemówił zwięźle i rzeczowo, ale nie szorstko ani obraźliwie.

– Wszystko to prawda. Ale jest coś jeszcze. Don Corleone jest za skromny. Faktem jest, że Sollozzo i Tattagliowie nie mogli przystąpić do tego nowego interesu bez pomocy dona Corleone. W istocie jego odmowa wyrządziła im krzywdę. To oczywiście nie jest jego wina. Pozostaje fakt, że sędziowie i politycy, którzy przyjęliby uprzejmości od dona Corleone nawet w związku z narkotykami, nie pozwoliliby nikomu innemu wpływać na siebie, kiedy by przyszło do narkotyków. Sollozzo nie powinien był tego przedsięwziąć, skoro nie miał jakiegoś zabezpieczenia, że jego ludzie będą traktowani łagodnie. To wszyscy wiemy. I w przeciwnym razie byłaby bieda dla nas wszystkich. A teraz, kiedy podwyższono kary, sędziowie i prokuratorzy twardo się targują, jeżeli ktoś z naszych ludzi popadnie w kłopoty z powodu narkotyków. Nawet Sycylijszyk skazany na dwadzieścia lat może złamać *omerta* i gadać, co mu ślina na język przyniesie. Do tego nie może dojść. Don Corleone ma wpływ na cały ten aparat. Jego odmowa pozwolenia, abyśmy to wykorzystali, nie jest postępkem przyjaciela. Zabiera chleb naszym rodzinom. Czasy się zmieniły, już nie jest tak jak dawniej, kiedy każdy mógł iść swoją drogą. Jeżeli Corleone ma wszystkich sędziów w Nowym Jorku, to musi się nimi dzielić albo pozwolić nam posłużyć się nimi. Ma się rozumieć, może przedstawić rachunek za takie usługi, bądź co bądź nie jesteśmy komunistami. Ale powinien nam pozwolić czerpać wodę ze studni. To całkiem proste.

Kiedy Barzini skończył, zaległo milczenie. Sprawa została postawiona jasno, ale nie mogło być powrotu do dawnego *status quo*. Co ważniejsze, Barzini, mówiąc to, zapowiadał, że jeżeli pokój nie zostanie zawarty, on jawnie przyłączy się do Tattagliów w ich wojnie przeciwko Rodzinie Corleone. I zdobył dla siebie ważki punkt. Ich życie, ich losy zależały od wzajemnego

świadczania sobie przysług, odmowa uprzejmości, o którą prosił przyjaciel, była aktem agresji. O uprzejmości nie proszono lekkomyślnie, więc nie można ich było lekkomyślnie odmawiać.

W końcu don Corleone odezwał się.

– Przyjaciele moi – rzekł. – Nie odmówiłem przez złośliwość. Wszyscy mnie znacie. Kiedyż to odmówiłem usługi? To po prostu nie leży w mojej naturze. Ale tym razem musiałem odmówić. Dlaczego? Bo, moim zdaniem, narkotyki zniszczą nas w następnych latach. W tym kraju istnieje za mocny sprzeciw wobec takiego handlu. To nie jest tak jak z whisky czy hazardem, czy nawet z kobietami, których większość ludzi chce, a których im wzbraniają *pezzonovanti* Kościołów i rządu. Narkotyki są niebezpieczne dla wszystkich, którzy mają z nimi do czynienia. Mogą zaszkodzić wszystkim innym interesom. Niech mi będzie wolno powiedzieć, że pochlebia mi przekonanie, iż mam takie wpływy u sędziów i przedstawicieli prawa; chciałbym, żeby to była prawda. Mam pewne wpływy, ale wielu tych, którzy szanują mój osąd, może utracić ten szacunek, jeżeli w nasze stosunki zostaną włączone narkotyki. Boją się uwikłać w takie sprawy i mają do nich zdecydowany stosunek. Nawet ci policjanci, którzy nam pomagają w hazardzie i innych rzeczach, odmówiliby swojej pomocy przy narkotykach. A więc proszenie mnie o świadczenie przysług w tych sprawach oznacza żądanie złego przysłużenia się samemu sobie. Ale jestem gotów uczynić nawet to, jeżeli wszyscy uważacie, że jest konieczne dla uregulowania innych spraw.

Kiedy don Corleone skończył mówić, w sali zapanowało wyraźne odprężenie, zaczęto szeptać i rozmawiać między sobą. Ustąpił w istotnym punkcie. Był gotów zaofiarować swoją opiekę nad każdym zorganizowanym przedsięwzięciem w dziedzinie handlu narkotykami. W istocie zgadzał się niemal całkowicie na pierwszą propozycję Sollozza, jeżeli tę propozycję zatwierdzą zgromadzeni tu przedstawiciele z całego kraju. Rozumiano, że nigdy nie wzięłby udziału w fazie operacyjnej ani nie zainwestowałby w to pieniędzy. Użyłby jedynie swoich ochronnych wpływów w aparacie prawnym. To jednak było ogromnym ustępstwem.

Don z Los Angeles, Frank Falcone, przemówił w odpowiedzi:

– Nie ma sposobu powstrzymania naszych ludzi od podejmowania tych interesów. Robią to na własną rękę i popadają w kłopoty. W grę wchodzi za duże pieniądze, aby można się było oprzeć. Więc będzie bardziej niebezpieczne, jeżeli w ten interes nie wejdziemy. Przynajmniej, jeżeli uzyskamy

nad tym kontrolę, będziemy mogli lepiej go zabezpieczyć, lepiej zorganizować, dopilnować, żeby powodował mniej szkód. Udział w tym nie jest taki zły, musi być jakaś kontrola, musi być ochrona, musi być organizacja, nie możemy pozwolić, żeby wszyscy ganiłi i robili, co im się żywnie podoba, jak banda anarchistów.

Don z Detroit, życzliwszy dla Vita Corleone od wszystkich pozostałych, także przemówił w imię rozsądku przeciwko stanowisku swojego przyjaciela.

– Nie wierzę w narkotyki. Przez całe lata płaciłem ekstra swoim ludziom, żeby nie robili takich interesów. Ale to nic nie dało, nic nie pomogło. Ktoś przychodził do nich i mówił: „Mam proszek. Jeżeli zainwestujesz trzy, cztery tysiące dolarów, możemy na rozprowadzaniu zarobić pięćdziesiąt tysięcy”. Kto może się oprzeć takiemu zyskowi? I tak są zajęci swoimi drobnymi, ubocznymi machlojkami, że zaniedbują robotę, za którą im płacę. W narkotykach jest więcej pieniędzy. To się ciągle rozrasta. Nie ma sposobu tego powstrzymać, więc musimy opanować ten biznes i utrzymać go w przyzwoitych granicach. Nie chcę tego widzieć w pobliżu szkół, nie chcę, żeby to sprzedawano dzieciom. To jest *infamità*. W moim mieście postaramy się ograniczyć handel do czarnych, do kolorowych. To są najlepsi klienci, najmniej kłopotliwi, a zresztą to zwierzęta. Nie mają żadnego szacunku dla swoich żon czy swoich rodzin, czy dla samych siebie. Niech sobie gubią dusze narkotykami. Ale coś trzeba przedsięwziąć, nie możemy pozwolić, żeby ludzie robili, co chcą, i przysparzali wszystkim kłopotów.

To przemówienie dona z Detroit zostało przyjęte głośnym szmerem aprobaty. Utrafił w samo sedno. Nie można nawet było opłacać ludzi, aby się nie wdawali w handel narkotykami. Co zaś się tyczy uwag na temat dzieci, dochodziła tu do głosu jego dobrze znana wrażliwość i czułe serce. Ostatecznie, któż sprzedawałby narkotyki dzieciom? Skąd dzieci wzięłyby pieniądze? Jeżeli chodzi o wypowiedź na temat kolorowych, to nawet jej nie słuchano. Murzynów uważano za absolutnie pozbawionych znaczenia czy jakiegokolwiek siły. Fakt, że pozwolili zemleć się na proch społeczeństwu, świadczył, że się nie liczą, i napomknięcie o nich w jakikolwiek sposób dowodziło, że don z Detroit ma umysł, który zawsze zbacza ku sprawom nieistotnym.

Przemawiali wszyscy donowie. Wszyscy ubolewali nad handlem narkotykami, jako złem, które musi narobić kłopotu, ale zgadzali się, że nie ma sposobu tego zahamować. Po prostu na tym biznesie można było zarobić zbyt dużo pieniędzy, z czego wynikało, że zawsze znaleźliby się tacy, którzy po-

ważyliby się na wszystko, aby w nim dłużyć. Taka jest ludzka natura.

W końcu osiągnięto porozumienie. Handel narkotykami miał być dozwolony, a don Corleone musiałby dać mu jakąś ochronę prawną na wschodzie. Uzgodniono, że Rodziny Barzinich i Tattagliów przeprowadzą większość operacji na dużą skalę. Po uporaniu się z tym, konferencja mogła przejść do innych spraw budzących szersze zainteresowanie. Było wiele skomplikowanych problemów do rozwiązania. Uzgodniono, że Las Vegas i Miami będą miastami otwartymi, w których może działać każda z Rodzin. Wszyscy przyznawali, że są to miasta z przyszłością. Uzgodniono również, że w miastach tych nie będzie dozwolona żadna przemoc i że należy powściągać drobnych kryminalistów wszelkiego rodzaju. Uzgodniono, że w sprawach doniosłych, przy egzekucjach, które byłyby konieczne, ale mogłyby spowodować za dużo publicznych protestów, należy uzyskać aprobatę niniejszej rady. Uzgodniono, że cyngli i innych żołnierzy należy powstrzymywać od ciężkich przestępstw oraz wzajemnych aktów zemsty w sprawach osobistych. Uzgodniono, że Rodziny będą na żądanie świadczyły sobie takie usługi, jak dostarczanie wykonawców wyroków i pomocy technicznej w pewnych kierunkach działania, na przykład w przekupywaniu sędziów przysięgłych, co w różnych przypadkach mogło mieć żywotne znaczenie. Te dyskusje nieoficjalne, swobodne i na wysokim poziomie, zabrały sporo czasu i były przerywane lunchem oraz drinkami z bufetu.

Wreszcie don Barzini popróbował doprowadzić konferencję do zakończenia.

– A zatem to jest cała sprawa – powiedział. – Mamy pokój i niech mi będzie wolno złożyć uszanowanie donowi Corleone, którego wszyscy znamy od lat jako człowieka słownego. Jeżeli będą jeszcze jakieś różnice poglądów, możemy się spotkać ponownie, nie powinniśmy znów robić głupstw. Jeżeli o mnie chodzi, droga ta jest nowa i świeża. Cieszę się, że to wszystko zostało ustalone.

Jedynie Phillip Tattaglia był jeszcze trochę zafrasowany. Zamordowanie Santina Corleone czyniłoby go najbardziej narażoną osobą w tej grupie, gdyby wojna wybuchła na nowo. Wreszcie przemówił po raz pierwszy:

– Zgodziłem się tutaj na wszystko, jestem gotów zapomnieć o moim nieścieściu. Ale chciałbym usłyszeć jakieś ścisłe zapewnienia od dona Corleone. Czy nie będzie próbował żadnej indywidualnej zemsty? Czy w miarę jak czas będzie upływał, a jego pozycja może się wzmocni, nie zapomni, że po-

przysięgliśmy sobie przyjaźń? Skąd mogę wiedzieć, czy za trzy, cztery lata nie uzna, że źle mu się przysłużono, że został zmuszony wbrew własnej woli do tego porozumienia i dlatego może je złamać? Czy nie będziemy musieli strzec się jeden drugiego przez cały czas? Czy możemy naprawdę odejść w pokoju ze spokojnym umysłem? Czy Corleone udzieli nam wszystkim zapewnień, tak jak ja ich teraz udzielam?

Wtedy to don Corleone wygłosił mowę, którą długo pamiętano i która utwierdziła jego pozycję jako najbardziej dalekowzrocznego męża stanu pośród nich wszystkich, mowę tak pełną zdrowego rozsądku, płynącą tak prosto z serca i dotyczącą samego sedna sprawy. W tej mowie ukuł powiedzenie, które miało tak samo zasłynać jak „żelazna kurtyna” Churchilla, choć stało się powszechnie znane dopiero przeszło dziesięć lat później.

Po raz pierwszy wstał, aby przemówić do rady. Był niski i trochę wychudły po „chorobie”, być może nieco bardziej wyglądał na swoje sześćdziesiąt lat, ale nie ulegało wątpliwości, że całkowicie odzyskał dawne siły i pełną sprawność umysłu.

– Jakimi bylibyśmy ludźmi, gdybyśmy nie mieli rozumu? – zapytał. – Gdyby tak było, nie bylibyśmy lepsi od zwierząt w dżungli. Ale mamy rozum, możemy rozumować ze sobą wzajemnie i możemy rozumować z nami samymi. W jakim celu rozpoczynałbym na nowo te wszystkie swary, gwałty i niepokoje? Mój syn nie żyje i to jest nieszczęście, i muszę je znosić, a nie kazać otaczającemu mnie, niewinnemu światu cierpieć wraz ze mną. Dlatego powiadam: ręczę swoim honorem, że nigdy nie będę dążył do zemsty, nigdy nie będę dążył do wiedzy o czynach, które zostały popełnione w przeszłości. Odejdę stąd z czystym sercem.

Pragnę powiedzieć, że zawsze musimy strzec naszych interesów. Wszyscy jesteście ludźmi, którzy nie chcieli być głupcami, którzy nie chcieli być kukielkami tańczącymi na nitce pociąganej przez wysoko postawionych. Poszczęściło nam się tutaj, w tym kraju. Już większość naszych dzieci znalazła sobie lepsze życie. Niektórzy z was mają synów będących profesorami, naukowcami, muzykami, i jesteście szczęśliwi. Być może wasze wnuki zostaną nowymi *pezzonovanti*. Żaden z nas tu obecnych nie pragnie, by nasze dzieci poszły w nasze ślady, to jest zbyt trudne życie. Mogą być tacy jak inni, mieć pozycję i zabezpieczenie zdobyte dzięki naszej odwadze. Mam teraz wnuki i żywię nadzieję, że któreś z ich dzieci może kiedyś zostać, kto wie, gubernatorem, prezydentem, nie ma nic niemożliwego tutaj, w Ameryce. Ale musimy

iść naprzód razem z naszą epoką. Minęły czasy rewolwerowców, zabójstw i masakr. Musimy być przebiegli jak ludzie interesu, jest w tym więcej pieniędzy i jest to lepsze dla naszych dzieci i wnuków.

Co się zaś tyczy naszych własnych czynów, to nie jesteśmy odpowiedzialni wobec tych kalibrów.90, tych *pezzonovanti*, którzy wypowiadają wojny chcąc, byśmy w nich walczyli, ażeby chronić to, co posiadają. Któż powie, że winniśmy słuchać praw, które tworzą w imię własnego interesu i na naszą szkodę? I kimże są, aby się wtrącać, kiedy my pilnujemy naszych własnych interesów? *Sono costra nostra* – powiedział don Corleone. – One są naszą sprawą. Sami będziemy kierować naszym światem, bo to jest nasz świat, *cosa nostra*. Dlatego musimy trzymać się razem i strzec się ludzi z zewnątrz. Inaczej wsadzą nam kółko w nozdrza, tak jak je wsadzali milionom neapolitańczyków i innych Włochów w tym kraju.

Z tej przyczyny wyrzekam się dla dobra ogółu zemsty za mego zabitego syna. Przysięgam teraz, że dopóki będę odpowiedzialny za postępowanie mojej Rodziny, nikt nie podniesie palca na żadnego z tu obecnych bez sprawiedliwej przyczyny i skrajnej prowokacji. Gotów jestem poświęcić moje interesy handlowe dla wspólnego dobra. To jest moje słowo, to jest mój honor, a są tu tacy, którzy wiedzą, że nigdy nie sprzeniewierzyłbym się ani jednemu, ani drugiemu.

Ale mam też swój własny interes. Mój najmłodszy syn musiał uciekać, oskarżony o zamordowanie Sollozza i kapitana policji. Obecnie muszę poczynić kroki, ażeby mógł bezpiecznie wrócić do domu, oczyszczony ze wszystkich zarzutów. To moja sprawa i ja poczynię te kroki. Może będę musiał odnaleźć prawdziwych winowajców czy może będę musiał przekonać władze o jego niewinności, a może świadkowie i informatorzy odwołają swe kłamstwa. Ale powtarzam, że to jest moja sprawa, i ufam, że będę mógł sprowadzić syna do domu.

Pozwólcie jednak, że powiem, co następuje. Jestem człowiekiem przesądnym, to śmieszna słabostka, ale muszę ją tutaj wyznać. Dlatego też gdyby mojego najmłodszego syna spotkał jakiś nieszczęśliwy wypadek, gdyby jakiś funkcjonariusz policji zastrzelił go przypadkowo, gdyby powiesił się w swojej celi, gdyby pojawili się nowi świadkowie, aby potwierdzić jego winę, moja przesądność kazałaby mi uważać, że jest to rezultatem złej woli nadal żywionej wobec mnie przez kogoś z tu obecnych. Pozwólcie, że posunę się dalej. Gdyby piorun uderzył mojego syna, będę za to winił niektórych z tu

obecnych. Gdyby jego samolot spadł do morza czy jego statek pograżył się w falach oceanu, gdyby nabawił się śmiertelnej febry, gdyby pociąg uderzył w jego samochód, to moja przesądność jest taka, że przypisałbym to złej woli tutaj obecnych. Panowie, tej złej woli, tego pecha, nie mógłbym przebaczyć nigdy. Ale poza tym przysięgam na dusze moich wnuków, że nigdy nie złamię pokoju, który zawarliśmy. Ostatecznie, czyż nie jesteśmy lepsi od tych *pezzonovanti*, którzy za naszego życia pozabijali nieprzeliczone rzesze ludzi?

Z tymi słowy don Corleone ruszył ze swego miejsca i podszedł do siedzącego dona Phillipa Tattaglii. Tattaglia powstał i obaj mężczyźni objęli się, całując wzajemnie w policzki. Inni obecni w pokoju donowie zaczęli klaskać i wstali, by ścisnąć dłonie każdemu, kto się nawinął, oraz wieszować donowi Corleone i donowi Tattaglii ich nowej przyjaźni. Nie była to może najserdeczniejsza przyjaźń na świecie, obaj nie mieli posyłać sobie życzeń gwiazdkowych, ale nie mieli też mordować się nawzajem. Była to przyjaźń wystarczająca w tym świecie, wszystko, czego było potrzeba.

Ponieważ jego syn, Freddie, znajdował się pod opieką Rodziny Molinarich na Zachodnim Wybrzeżu, don Corleone pozostał chwilę po zebraniu z donem z San Francisco, aby mu podziękować. Molinari powiedział dostatecznie dużo, aby don Corleone mógł się zorientować, że Freddie znalazł tam miejsce dla siebie, że jest zadowolony i stał się nawet kobieciarzem. Podobno ma talent do prowadzenia hotelu. Don Corleone potrząsnął ze zdumieniem głową, tak jak to czyni wielu ojców, gdy dowiadują się o niespodziewanych zdolnościach swoich dzieci. Czyż nie jest prawdą, że największe nieszczęścia przynoszą czasem nieprzewidziane korzyści? Obaj zgodzili się, że tak właśnie było. Tymczasem don Corleone dał jasno do zrozumienia donowi z San Francisco, że czuje się jego wielkim dłużnikiem za tę wielką przysługę, jaką była opieka nad Freddie. Oświadczył mu, że użyje swych wpływów, ażeby główne imprezy wyścigowe były zawsze dostępne dla jego ludzi, bez względu na to, jakie zmiany nastąpią w strukturze władzy w ciągu następnych lat, co było ważną gwarancją, jako że walka o te przedsięwzięcia stale podsycala stare urazy; dodatkowo komplikował wszystko fakt, że na imprezach wyścigowych położyli swą ciężką rękę ludzie z Chicago. Jednakże don Corleone nie był pozbawiony wpływów nawet w owej krainie barbarzyńców, toteż jego obietnica była na wagę złota.

Zapadł już wieczór, zanim don Corleone, Tom Hagen oraz kierowca z obstawy, którym był Rocco Lampone, przybyli do ośrodka na Long Beach. Kie-

dy weszli do domu, don zwrócił się do Hageny:

– Nasz szofer, ten Lampone; miej na niego oko. Myślę, że ten chłopak jest wart czegoś lepszego.

Hagen zastanowił się nad tą uwagą. Lampone przez cały dzień nie powiedział ani słowa, nawet nie zerknął na dwóch mężczyzn na tylnym siedzeniu. Otworzył drzwi donowi, auto czekało przed bankiem, gdy wychodzili, robił wszystko jak należy, ale nie lepiej niż każdy dobrze wyszkolony szofer. Najwyraźniej oko dona dostrzegło coś, czego on sam nie zauważył.

Don odprawił Hageny i kazał mu przyjść po kolacji. Ale polecił mu nie spieszyć się i trochę odpocząć, ponieważ czeka ich długa noc narad. Powiedział też Hagenowi, żeby sprowadził Clemenzę i Tessia. Niech przyjdą o dziesiątej, nie wcześniej. Hagen miał powiadomić Clemenzę i Tessia o przebiegu popołudniowego zebrania.

O dziesiątej don czekał już na trzech mężczyzn w swym gabinecie, narożnym pokoju z biblioteką prawniczą oraz specjalnym telefonem. Była tam taca z butelkami whisky, lodem i wodą sodową. Don udzielił instrukcji.

– Dziś po południu zawarliśmy pokój – powiedział. – Zaręczyłem moim słowem i honorem, i to powinno wam wszystkim wystarczyć. Ale nasi przyjaciele nie są zbyt godni zaufania, więc nadal miejmy się na baczności. Nie chcemy więcej przykrych niespodzianek. – Don obrócił się do Hageny. – Zwolniłeś zakładników Bocchicchiów?

Hagen kiwnął głową.

– Zadzwoiłem do Clemenzy, jak tylko wróciłem do domu.

Corleone obrócił się do masywnego Clemenzy. *Caporegime* skinął głową.

– Wypuściłem ich. Ojcie Chrzesny, czy to możliwe, żeby jakiś Sycylijsczyk był taki tępy, jak to udają Bocchicchiowie?

Don Corleone uśmiechnął się z lekka.

– Są dostatecznie sprytni, żeby dobrze zarabiać na życie. Czy to takie konieczne, żeby być jeszcze sprytniejszym? To nie Bocchicchiowie są przyczyną zamętu na tym świecie. Ale prawda, że nie mają sycylijskiej głowy.

Teraz, kiedy wojna się zakończyła, wszyscy byli odprężeni. Don Corleone sam zmieszał drinki i podał je każdemu. Pociągnął ostrożnie łyk i zapalił cygaro.

– Nie chcę żadnych prób wykrycia, co przydarzyło się Sonny'emu, to już zakończone i ma być zapomniane. Chcę całkowitej współpracy z innymi Rodzinami, nawet jeżeli zrobią się trochę zachłanne i nie będziemy dostawać

należytych udziałów. Nie chcę, żeby cokolwiek zerwało ten pokój bez względu na wszelkie prowokacje, dopóki nie znajdziemy sposobu sprowadzenia Michaela do domu. I to jest pierwsza rzecz, którą winniście mieć na uwadze. Pamiętajcie, że kiedy wróci, ma wrócić absolutnie zabezpieczony. Nie przed Tattagliami czy Barzinimi. Chodzi mi o policję. Jasne, możemy pozbyć się faktycznych dowodów przeciwko niemu. Ten kelner nie będzie zeznawał ani ten świadek czy rewolwerowiec, czy kim tam był. Prawdziwe dowody to nasze najmniejsze zmartwienie, bo o nich wiemy. Martwić musimy się tym, czy policja nie sfabrykuje dowodów fałszywych, ponieważ donosiciele zapewnili, że to Michael Corleone zabił kapitana. Więc dobrze. Musimy zażądać, żeby Pięć Rodzin zrobiło wszystko, co w ich mocy, aby sprostować to przypuszczenie policji. Wszyscy ich informatorzy współpracujący z policją muszą wystąpić z nowymi relacjami. Myślę, że po moim dzisiejszym przemówieniu zrozumieją, że to leży w ich interesie. Ale to nie wystarczy. Musimy wystąpić z czymś specjalnym, żeby Michael już nigdy więcej nie musiał się o to martwić. Inaczej nie ma sensu, żeby wracał do tego kraju. Więc wszyscy pomysłmy o tym. To jest najważniejsza sprawa.

Cóż, każdemu człowiekowi powinno być wolno popełnić jedno głupstwo w życiu. Ja swoje popełniłem. Chcę wykupić cały teren dookoła ośrodka, wykupić domy. Nie życzę sobie, żeby ktokolwiek mógł zajrzeć ze swego okna do mojego ogrodu, chociażby był o milę. Dokoła ośrodka ma stanąć ogrodzenie, a ośrodek ma być przez cały czas pod pełną ochroną. W tym ogrodzeniu ma być brama. Krótko mówiąc, chcę teraz mieszkać w fortecy. I powiem wam, że nigdy więcej nie pojedę do miasta, do pracy. Pozostanę na wpół w odosobnieniu. Ciągnie mnie do pracy w ogrodzie, do tego, żeby zrobić trochę wina, kiedy dojrzeją winogrona. Chcę żyć w moim domu. Będę wyjeżdżał tylko na krótkie wakacje albo żeby zobaczyć się z kimś w ważnym interesie, i wtedy mają być przedsięwzięte wszelkie środki ostrożności. Tylko nie zrozumcie tego źle. Niczego nie szykuję. Jestem rozważny, zawsze byłem człowiekiem rozważnym, nie ma rzeczy, która mniej przypadłaby mi do gustu niż nieroztropność w życiu. Kobiety i dzieci mogą pozwolić sobie na nieroztropność, mężczyźni nie. Róbcie wszystko bez pośpiechu, bez żadnych gorączkowych przygotowań, które zaalarmowałyby naszych przyjaciół. Można to robić w taki sposób, żeby się wydawało naturalne.

Będę teraz pozostawiał coraz więcej spraw każdemu z was trzech. *Regime Santina* ma być rozwiązany, a ludzie wcieleni do pozostałych oddziałów. To

powinno uspokoić naszych przyjaciół i pokazać im, że mam pokojowe zamiary. Tom, chcę, żebyś zebrał grupę ludzi, którzy pojedą do Las Vegas i złożą mi pełne sprawozdanie o tym, co tam się dzieje. Chcę się dowiedzieć wszystkiego o Fredzie, jak tam naprawdę jest; słyszę, że nie poznałbym własnego syna. Podobno jest teraz kucharzem, zabawia się z młodymi dziewczętami więcej niż powinien dorosły mężczyzna. Ano, zawsze był zbyt poważny za młodu i nigdy nie nadawał się do interesów Rodziny. Ale dowiedzmy się, co tam naprawdę można zrobić.

Hagen zapytał spokojnie:

– Czy mamy wysłać pańskiego zięcia? Bądź co bądź Carlo pochodzi z Nevada i zna tamtejszy teren.

Don Corleone potrząsnął głową.

– Nie, moja żona czuje się tutaj samotna bez swoich dzieci. Chcę, żeby Constanzia i jej mąż przeprowadzili się do któregoś z domów w ośrodku. Chcę, żeby Carlo dostał odpowiednie zajęcie, może byłem dla niego za surowy, a poza tym... – don Corleone skrzywił się – ...brakuje mi synów. Zdejmijcie go z hazardu i ulokujcie w związkach, gdzie będzie mógł załatwiać trochę papierkowej roboty i dużo mówić. Jest dobry do mówienia. – W głosie dona zabrzmiała leciutka nuta pogardy.

Hagen kiwnął głową.

– Okay, Clemenza i ja przejrzymy wszystkich ludzi i zestawimy grupę do załatwiania tego w Vegas. Czy pan chce, żebym wezwał Freddiego do domu na kilka dni?

Don potrząsnął głową. Powiedział okrutnie:

– A po co? Moja żona jeszcze potrafi gotować nam posiłki.

Niech on sobie tam siedzi.

Trzej mężczyźni poruszyli się niespokojnie w fotelach. Nie zdawali sobie sprawy, że Freddie jest w tak głębokiej niełasce u ojca, i podejrzewali, że muszą istnieć jakieś nieznanne im przyczyny. Don Corleone westchnął.

– Mam nadzieję wyhodować tego roku w ogrodzie trochę dobrej zielonej papryki i pomidorów, więcej niż zdołamy zjeść. Będę wam robił z nich prezenty. Chcę mieć trochę ciszy i beztroski na starość. Ano, to wszystko. Napijcie się jeszcze, jeżeli macie ochotę.

Była to odprawa. Obecni wstali. Hagen odprowadził Clemenzę i Tessia do ich samochodów i umówił się na spotkanie dla obgadania szczegółów technicznych, które zaspokoiliłyby życzenia ich dona. Potem wrócił do domu,

gdzie, jak wiedział, don Corleone czekał na niego.

Don zdjął marynarkę i krawat, położył się na kanapie. Jego surowa twarz odprężyla się. Wskazał Hagenowi fotel i zapytał:

– No, *consigliori*, nie pochwalasz jakichś moich dzisiejszych poczynań?

Hagen nie spieszył się z odpowiedzią.

– Nie – odrzekł wreszcie. – Ale nie uważam ich za konsekwentne ani zgodne z pana naturą. Powiada pan, że nie chce dowiedzieć się, jak zginął Santino, ani nie pragnie zemsty. Nie wierzę w to. Zagwarantował pan pokój swoim słowem, więc zachowa pan pokój, ale nie mogę uwierzyć, żeby pan dał swoim wrogom to zwycięstwo, które dziś na pozór odnieśli. Skonstruował pan wspaniałą zagadkę, której nie potrafię rozwiązać, więc jakże mogę pochwalać czy nie pochwalać?

Na twarzy dona pojawił się wyraz zadowolenia.

– Ano, znasz mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Chociaż nie jesteś Sycylijczykiem, ja ciebie nim zrobiłem. Wszystko, co mówisz, to prawda, ale istnieje rozwiązanie i zrozumiesz je, zanim rozwinie się do końca. Zgadzasz się, że każdy musi przyjąć moje słowo i że ja słowa dotrzymam. I moje rozkazy mają być ściśle wykonywane. Ale, Tom, najważniejszą rzeczą jest to, że musimy sprowadzić Michaela do domu jak najprędzej. Postaw to na pierwszym miejscu w swoim umyśle i swoim działaniu. Zbadaj wszystkie ścieżki prawne, obojętne mi, ile będziesz musiał wydać pieniędzy. Kiedy wróci do domu, musi to być bez pudła. Poradź się najlepszych specjalistów od prawa karnego. Podam ci nazwiska kilku sędziów, którzy udzielą ci prywatnego posłuchania. Do tego czasu musimy wystrzegać się wszelkich podstępów.

Hagen odrzekł:

– Podobnie jak pan martwię się nie tyle rzeczywistymi dowodami, ile tymi, które sfabrykują. Poza tym jakiś przyjaciel policji może zabić Michaela po aresztowaniu. Mogą go zabić w celi albo kazać to zrobić któremuś z więźniów. Tak jak ja to widzę, nie możemy dopuścić nawet do zaareztowania go czy oskarżenia.

Don Corleone westchnął.

– Wiem, wiem. W tym cała trudność. Ale nie możemy zwlekać zbyt długo. Na Sycylii są niepokoje. Tamtejsi młodzi ludzie nie słuchają już starszych, a staroświeccy donowie po prostu nie mogą dać sobie rady z całą masą ludzi deportowanych z Ameryki. Michael może uwikłać się między jednych a drugich. Przedsięwzięciem pewne środki ostrożności przeciwko temu, i nadal ma

dobrą ochronę, ale ta ochrona nie będzie trwała wiecznie. To jedna z przyczyn, dla których musiałem zawrzeć pokój. Barzini ma na Sycylii przyjaciół i już zaczęli węszyć po tropie Michaela. To daje ci jedną z odpowiedzi na tę twoją zagadkę. Musiałem zawrzeć pokój, żeby zapewnić bezpieczeństwo mojemu synowi. Nie było innego wyjścia.

Hagen nie zadał sobie trudu, aby zapytać dona, jakim sposobem uzyskał te informacje. Nie był nawet zaskoczony, a rzeczywiście rozwiązywało to częściowo zagadkę.

– Czy kiedy się spotkam z ludźmi Tattagliów dla uzgodnienia szczegółów, mam nalegać, żeby wszyscy jego pośrednicy od narkotyków byli czysti? Sędziowie będą się trochę wzdrali dawać niskie wyroki ludziom notowanym.

Don Corleone wzruszył ramionami.

– Oni powinni być dostatecznie sprytni, żeby to przewidzieć. Wspomnij o tym, nie nalegaj. Zrobimy, co będziemy mogli, ale jeżeli użyją prawdziwego nałogowca, który zostanie nakryty, nie kiwniemy palcem. Po prostu powiemy im, że nic nie można zrobić. Ale Barzini jest człowiekiem, który będzie to wiedział bez mówienia. Zauważyłeś, że wcale się nie zaangażował w tę sprawę. Nikt by nie pomyślał, że go to w jakikolwiek sposób dotyczy. To człowiek, który nie daje przyłapać się po stronie przegrywających.

Hagen był zaskoczony.

– Chce pan powiedzieć, że przez cały czas stał za Sollozzem i Tattaglią?

Don Corleone westchnął.

– Tattaglia to sutener. Nigdy nie dałby rady Santinowi. Dlatego nie muszę wiedzieć, jak to się stało. Wystarczy mi wiedzieć, że Barzini maczał w tym palce.

Hagen przemyślał to. Don naprowadzał go na trop, ale coś bardzo ważnego zostało tu pominięte. Hagen wiedział, co to takiego, ale wiedział też, że nie jest jego rzeczą pytać. Powiedział dobranoc i obrócił się, by odejść. Don miał dla niego jeszcze ostatnie słowo.

– Pamiętaj, wyteż cały swój rozum, żeby sprowadzić Michaela do domu – powiedział. – I jeszcze jedno. Umów się z tym gościem od telefonów, żebym co miesiąc dostawał spis wszystkich połączeń telefonicznych Clemency i Tessia w obydwie strony. O nic ich nie podejrzewam. Przysięgnę, że mnie nigdy nie zdradzą. Ale nie szkodzi wiedzieć o każdym drobiazgu, który może nam się przydać przed tym wydarzeniem.

Hagen skinął głową i wyszedł. Zastanowił się, czy don także jakoś go kon-

truluje, a potem zawstydził się swojego podejrzenia. Teraz był jednak pewien, że w subtelnym i skomplikowanym umyśle Ojca Chrzestnego powstaje dalekosiężny plan działania, który czynił wydarzenia tego dnia jedynie taktycznym odwrotem. I był ten jeden mroczny fakt, o którym nikt nie wspominał, o który on sam nie śmiał zapytać, który don Corleone przemilczał. Wszystko wskazywało na dzień porachunku w przyszłości.

Rozdział 21

Jednakże miał upłynąć prawie rok, zanim don Corleone zdołał załatwić przeszmyglowanie swojego syna, Michaela, z powrotem do Stanów Zjednoczonych. W ciągu tego czasu cała Rodzina łamała sobie głowę nad odpowiednimi planami. Wysłuchiwano nawet Carla Rizzi, odkąd zamieszkał z Connie w ośrodku. (W owym czasie urodziło im się drugie dziecko, chłopiec). Ale żaden z planów nie spotkał się z aprobatą dona.

W końcu problem ten rozwiązała Rodzina Bocchicchiów przez swoje własne nieszczęście. Był jeden Bocchicchio, młody człowiek imieniem Feliks, zaledwie dwudziestopięcioletni, który urodził się w Ameryce i miał więcej rozumu niż ktokolwiek dotąd w tym klanie. Nie dał się wciągnąć w rodzinny interes wywózki śmieci i ożenił się z sympatyczną Amerykanką angielskiego pochodzenia, ażeby jeszcze bardziej oderwać się od klanu. Chodził na kursy wieczorowe, chcąc zostać prawnikiem, a w dzień pracował jako urzędnik na poczcie. W ciągu owego czasu urodziło mu się troje dzieci, lecz jego żona była zapobiegliwą gospodynią i żyli z jego pensji, dopóki nie ukończył prawa.

Otóż Feliks Bocchicchio, podobnie jak wielu młodych ludzi, uważał, że skoro borykał się, aby dopełnić swego wykształcenia i opanować tajniki zawodu, jego cnota zostanie automatycznie wynagrodzona i będzie przyzwoicie zarabiał na utrzymanie. Okazało się, że tak nie jest. Zawsze dumny, odmówił przyjęcia jakiegokolwiek pomocy od swego klanu. Ale jego przyjaciel prawnik, młody człowiek mający rozległe stosunki i dobrze rozwijającą się karierę w dużej firmie adwokackiej, namówił Feliksa, żeby mu wyświadczył drobną uprzejmość. Było to przedsięwzięcie bardzo skomplikowane, pozornie legalne i dotyczyło sfigowanego bankructwa. Istniała jedna szansa na milion, żeby oszustwo zostało wykryte. Feliks Bocchicchio zaryzykował. Ponieważ

oszustwo to wymagało zastosowania umiejętności prawniczych, których wyuczył się w college'u, rzecz nie wydawała się tak naganna, i co osobliwe, nawet nie przestępcza.

Krótko mówiąc, oszustwo zostało wykryte. Przyjaciel prawnik odmówił Feliksowi jakiegokolwiek pomocy, nie chciał nawet odbierać jego telefonów. Dwaj główni uczestnicy oszustwa, przebiegłi biznesmeni w średnim wieku, którzy uporczywie przypisywali niepowodzenie planu nieudolności prawniczej Feliksa Bocchicchio, przyznali się do winy i poszli na współpracę z władzami, wymieniając Feliksa Bocchicchio jako prowodyra w oszustwie i twierdząc, że stosował groźby przemocy, by opanować ich interes i zmusić ich do współdziałania z nim w oszukańczych planach. Złożono zeznania, które łączyły Feliksa ze stryjami i kuzynami z klanu Bocchicchiów, karanymi za napady, i te dowody go obciążły. Obaj biznesmeni wykpiłi się wyrokami z zawieszeniem. Feliks Bocchicchio został skazany na karę pięciu lat i odsiedział trzy. Klan nie zwrócił się o pomoc do żadnej z Rodzin ani do dona Corleone, ponieważ Feliks nie chciał ich prosić o pomoc, a musiał dostać nauczkę, że ułaskawienie może przyjść tylko od Rodziny, że Rodzina jest lojalniejsza i bardziej godna zaufania niż społeczeństwo.

Tak czy owak Feliksa Bocchicchio zwolniono z więzienia po odsiedzeniu trzech lat. Wrócił do domu, ucałował żonę i troje dzieci i żył spokojnie przez rok, po czym pokazał, że jednak jest z klanu Bocchicchiów. Bez żadnych prób ukrycia swej winy wystarał się o broń, pistolet, i zastrzelił swojego przyjaciela prawnika. Następnie odszukał obydwu biznesmenów i najspokojniej przestrzelił im głowy, kiedy wychodzili z baru. Zostawił ich zwłoki na ulicy, wszedł do baru, zamówił sobie filiżankę kawy, którą popijał czekając, aby przybyła policja i zaaresztowała go.

Jego proces odbył się szybko, a wyrok był bezlitosny. Członek przestępczego podziemia z zimną krwią zamordował świadków oskarżenia, którzy spowodowali osadzenie go w więzieniu, na co aż nadto zasługiwał. Były to jaskrawe kpiny ze społeczeństwa i tym razem publiczność, prasa, cała struktura społeczna, a nawet humaniści o rozmiękczonych mózgach i miękkich sercach zjednoczyli się w pragnieniu ujrzenia Feliksa na krześle elektrycznym. Gubernator stanu nie chciał go ułaskawić tak samo, jak funkcjonariusze opieki nad zwierzętami nie chcą oszczędzić wściekłego psa, co powiedział wprost jeden z najbliższych politycznych współpracowników gubernatora. Klan Bocchicchiów był oczywiście gotów wydać tyle pieniędzy, ile potrzeba

na odwołania do wyższych instancji; był teraz dumny z Feliksa, ale wynik nie ulegał wątpliwości. Po prawnych korowodach, które mogły zabrać trochę czasu, Feliks Bocchicchio miał umrzeć na krześle elektrycznym.

Hagen był tym, który przedstawił donowi całą sprawę na prośbę jednego z Bocchicchiów, mającego nadzieję, że coś da się zrobić dla tego młodego człowieka. Don Corleone krótko i wężłowato odmówił. Nie jest czarodziejem. Ludzie żądają od niego rzeczy niemożliwych. Jednakże następnego dnia don zadzwonił do kancelarii Hageny i kazał mu zreferować sobie sprawę z najdrobniejszymi szczegółami. Kiedy Hagen skończył, don Corleone polecił mu wezwać do ośrodka głowę klanu Bocchicchiów na rozmowę.

To, co nastąpiło potem, miało w sobie prostotę geniuszu. Don Corleone zagwarantował szefowi klanu Bocchicchiów, że żona i dzieci Feliksa Bocchicchio zostaną wynagrodzone okazałym uposażeniem. Pieniądze na ten cel miały być natychmiast doręczone klanowi Bocchicchiów. Ze swojej strony Feliks miał przyznać się do zamordowania Sollozza oraz kapitana policji, McCluskeya.

Było wiele szczegółów do ustalenia. Feliks Bocchicchio musiałby zeznać przekonywająco, to znaczy musiałby zapoznać się z niektórymi prawdziwymi szczegółami, aby się do nich przyznać. Poza tym musiałby uwikłać kapitana policji w narkotyki. Następnie trzeba było przekonać kelnera z restauracji „Luna”, aby rozpoznał Feliksa Boccicchio jako mordercę. To wymagało niejakiej odwagi, zważywszy na to, że opis zmieniłby się radykalnie, gdyż Feliks Bocchicchio był znacznie niższy i tęższy. Ale tym miał się zająć don Corleone. Prócz tego, ponieważ skazany był wielkim zwolennikiem wyższego wykształcenia i absolwentem college’u, mógł pragnąć, by jego dzieci dostały się na uczelnię. Dlatego też don Corleone musiałby wypłacić pewną sumę pieniędzy, która wystarczyłaby dzieciom na opłacenie studiów. Wreszcie należało zapewnić klan Bocchicchiów, że nie ma żadnej nadziei na ułaskawienie w związku z naprawdę popełnionymi morderstwami. Nowe zeznanie przypieczętowałoby oczywiście już i tak niemal pewną zgubę tego człowieka.

Wszystko zostało załatwione, pieniądze wypłacone i nawiązano odpowiedni kontakt ze skazańcem, aby móc udzielić mu instrukcji i rad. Wreszcie plan został zrealizowany, a wyznanie zamieszczone na pierwszych stronach wszystkich gazet. Cała sprawa była olbrzymim sukcesem. Ale don Corleone, ostrożny jak zawsze, odczekał, dopóki Feliks Bocchicchio nie został stracony

cztery miesiące później, nim wreszcie orzekł, że Michael Corleone może powrócić do domu.

Rozdział 22

Lucy Mancini, rok po śmierci Sonny'ego, nadal tęskniła doń strasznie, opłakiwała go żarliwiej niż jakakolwiek kochanka w jakimkolwiek romansie. A jej marzenia nie były ckliwymi marzeniami pensjonarki, jej tęsknoty nie były tęsknotami oddanej żony. Nie przygnębiała jej utrata „towarzysza życia” ani nie brakowało jej go dlatego, że miał silny charakter. Nie żywiła tkliwych wspomnień o sentymentalnych podarunkach, o dziewczęcym kulcie bohatera, o jego uśmiechu i rozbawionym błysku w oczach, kiedy mówiła coś czułego czy zabawnego.

Nie. Brakowało jej go z tej o wiele ważniejszej przyczyny, że był jedynym mężczyzną na świecie, który potrafił doprowadzić jej ciało do aktu miłosnego. I w swojej młodości i naiwności nadal wierzyła, że był jedynym mężczyzną, który mógł tego dokonać.

Rok później opalała się w balsamicznym powietrzu Nevady. U jej nóg siedział smukły młody blondyn i bawił się palcami jej stóp. Spędzali niedzielne popołudnie nad hotelowym basenem i chociaż dokoła było pełno ludzi, dłoń młodzieńca przesuwająca się w górę po jej nagim udzie.

– Och, przestań, Jules – poprosiła Lucy. – Myślałam, że przynajmniej doktorzy nie są tacy niemądrzy jak inni mężczyźni.

Jules wyszczerzył do niej zęby.

– Ja jestem doktorem z Las Vegas.

Pogładził ją po wewnętrznej stronie uda i zdumiał się, że tak drobna rzecz mogła ją podniecić tak silnie. Widać to było na jej twarzy, chociaż starała się to ukryć. Była doprawdy bardzo prymitywną, naiwną dziewczyną. Więc dlaczego nie mógł jej skłonić, by mu uległa? Musiał to jakoś osiągnąć, nie bacząc na te bzdury o utraconej miłości, której nigdy nie da się zastąpić. Tutaj, pod jego dłonią, było żywe ciało, które wymaga innego ciepłego ciała. Dok-

tor Jules Segal postanowił, że wielki atak przypuści tego wieczoru w jej pokoju. Chciał, żeby mu uległa bez żadnych podstępów, ale gdyby się okazały konieczne, to był do tego właściwym człowiekiem. Ma się rozumieć, wszystko w interesie nauki. A poza tym ta biedna dziewczyna po prostu paliła się do tego.

– Jules, przestań, proszę cię, przestań – powtórzyła Lucy. Głos jej drżał.

Jules natychmiast okazał skruchę.

– Dobrze, kochanie.

Położył głowę na jej kolanach i używając jej miękkich ud jako poduszki zdrzemnął się chwilę. Bawiło go jej niespokojne kręcenie się, ciepło rozchodzące się z lędźwi, i kiedy położyła mu dłoń na głowie, gładząc jego włosy, chwycił ją figlarnie za przegub i przytrzymał niby miłośnie, lecz w gruncie rzeczy po to, aby namacać jej puls. Puls galopował. Dzisiaj wieczorem będzie ją miał i rozwiąże tę tajemnicę, jakakolwiek ona jest. Zupełnie pewny swego, doktor Jules Segal zasnął.

Lucy przyglądała się ludziom wokoło basenu. Nie wyobrażała sobie, że jej życie tak się odmieni w niespełna dwa lata. Nigdy nie żałowała swojej „lekomyślności” na weselu Connie Corleone. Była to najcudowniejsza rzecz, jaka jej się zdarzyła, i przeżywała ją wciąż od nowa, w swoich snach. I wciąż od nowa przeżywała te miesiące, które nastąpiły potem.

Sonny odwiedzał ją raz na tydzień, czasami częściej, nigdy rzadziej. Przez kilka dni przed ponownym zobaczeniem go ciało jej było w udęce. Ich wzajemna namiętność była całkowicie żywiołowa, nierozcieńczona poetycznością ani żadną formą intelektualizmu. Była to miłość najprymitywniejszego gatunku, miłość cielesna, miłość dwóch ciał.

Kiedy Sonny telefonował, że przyjeżdża, upewniała się, że jest dość trunków w mieszkaniu i dość jedzenia na kolację i śniadanie, bo zazwyczaj wychodził dopiero późno następnego rana. Chciał się nią nasycić tak samo, jak ona chciała nasycić się nim. Miał własny klucz i kiedy stawał w drzwiach, rzucała się w jego masywne ramiona. Oboje byli brutalnie bezpośredni, brutalnie pierwotni. Podczas pierwszego pocałunku ściągali wzajemnie z siebie ubranie, po czym on podnosił ją w górę, a ona oplatała nogami jego potężne uda. Kochali się na stojąco w przedpokoju jej mieszkania, tak jakby musieli powtórzyć tamten swój pierwszy akt miłosny, potem zaś on niósł ją do sypialni.

Leżeli w łóżku i kochali się znowu. Pozostawali razem w mieszkaniu szes-

naście godzin, zupełnie nadzy. Gotowała mu olbrzymie posiłki. Czasem telefonowano do niego, najwyraźniej w interesach, ale nigdy nie słuchała, co mówił. Była zbyt zaprzątnięta bawieniem się jego ciałem, pieściła je, całowała, wtulała w nie usta. Czasem, gdy wstawał, by napić się czegoś i przechodził obok niej, nie mogła się oprzeć i wyciągała rękę, by dotknąć go nagiego, przytrzymać i pieścić, tak jakby te części jego ciała były zabawką, specjalnie skonstruowaną, zawilą, ale niewinną zabawką objawiającą swoje już znane, lecz zawsze zaskakujące ekstazy. Z początku wstydziała się tych swoich ekscesów, lecz prędko przekonała się, że sprawiają przyjemność kochankowi, że pochlebia mu jej całkowite, zmysłowe zniewolenie przez jego ciało. W tym wszystkim była jakaś zwierzęca niewinność. Byli ze sobą szczęśliwi.

Kiedy ojca Sonny'ego postrzelono na ulicy, zrozumiała po raz pierwszy, że jej kochanek może się znaleźć w niebezpieczeństwie. Siedząc samotnie w swoim mieszkaniu, nie płakała, lecz zawodziła głośno jakimś zwierzęcym zawodzeniem. Kiedy Sonny nie przychodził do niej prawie trzy tygodnie, żyła pigułkami nasennymi, alkoholem i swoją udręką. Ból, który czuła, był bólem fizycznym, bolało ją ciało. A kiedy Sonny wreszcie się zjawiał, przywierała do niego i nie puszczała go ani na chwilę. Potem przyjeżdżał co najmniej raz na tydzień, dopóki nie został zabity.

O jego śmierci dowiedziała się z relacji w gazetach i tego samego wieczoru zażyła ogromną dawkę pigułek nasennych. Z niewiadomej przyczyny pigułki zamiast zabić, osłabiły ją; wytoczyła się do holu i zemdląła pod drzwiami windy, tam ją znaleziono i przewieziono do szpitala. Jej związek z Sonnym nie był powszechnie znany, toteż poświęcono temu zaledwie kilka linijek w brukowych gazetach.

Kiedy przebywała w szpitalu, Tom Hagen przyszedł ją odwiedzić i pocieszyć. To Hagen załatwił jej posadę w Las Vegas, w hotelu prowadzonym przez Freddiego, brata Sonny'ego. To Hagen powiedział jej, że będzie dostawała rentę od Rodziny Corleone i że Sonny ją zabezpieczył. Zapytał, czy nie jest w ciąży, tak jakby to było przyczyną zażycia pigułek, lecz powiedziała mu, że nie jest. Zapytał, czy Sonny był u niej owego fatalnego wieczoru albo czy dzwonił, że do niej przyjedzie – i odpowiedziała, że nie, że Sonny nie dzwonił. Że po pracy zawsze siedziała w domu, czekając na niego. I wyznała Hagenowi prawdę.

– To jedyny mężczyzna, którego mogłam kochać. Nie potrafię pokochać nikogo innego. – Zauważyła, że z lekka się uśmiechnął, ale był też zaskoczony.

ny. – Czy uważasz to za takie niewiarygodne? – spytała. – Czy to nie on sprowadził cię do domu, kiedy byłeś dzieciakiem?

– Był wtedy zupełnie inny – odparł Hagen. – Wyrósł na innego człowieka.

– Nie dla mnie – powiedziała Lucy. – Może dla wszystkich, ale nie dla mnie.

Czuła się jeszcze zbyt osłabiona, aby wyjaśnić, że Sonny był dla niej zawsze łagodny. Nigdy się na nią nie gniewał, nigdy nie bywał nawet rozdrażniony czy zdenerwowany.

Hagen załatwił jej wszystko w związku z przeprowadzką do Las Vegas. Wynajęte mieszkanie już czekało, sam zawiózł ją na lotnisko i kazał obiecać, że jeśli kiedyś poczuje się samotna albo jeżeli coś nie będzie szło jak należy, zatelefonuje do niego, a on pomoże jej, jak tylko potrafi.

Zanim wsiadła do samolotu, zapytała Hageną z wahaniem w głosie:

– Czy ojciec Sonny’ego wie o tym, co robisz?

Hagen uśmiechnął się.

– Działam zarówno w jego imieniu, jak w moim własnym. W tych sprawach jest staroświecki i nigdy nie wystąpiłby przeciwko prawowitej żonie swojego syna. Ale uważa, że jesteś bardzo młoda i Sonny powinien być postępować mądrzej. A zażycie przez ciebie tych pigułek wstrząsnęło wszystkimi.

Nie wyjaśnił, jakie niewiarygodne dla człowieka pokroju dona było to, żeby ktokolwiek mógł próbować samobójstwa.

Teraz, po prawie osiemnastu miesiącach w Las Vegas, stwierdzała z zaskoczeniem, że czuje się prawie szczęśliwa. W niektóre noce śnił jej się Sonny, i zbudziwszy się przed świtem przedłużała ten sen własnymi pieszczotami, dopóki znów nie usnęła. Od tamtej pory nie miała mężczyzny. Ale życie w Las Vegas służyło jej. Pływała w hotelowym basenie, żeglowała po jeziorze Mead, jeździła w wolne dni samochodem po pustyni. Zeszczuplała i to jej poprawiło figurę. Była nadal ponętna, ale bardziej w amerykańskim niż w dawnym włoskim stylu. Pracowała w dziale informacyjnym hotelu jako recepcjonistka i nie miała do czynienia z Freddie, chociaż gdy ją widział, zatrzymywał się i gawędził chwilę. Była zaskoczona zmianą, jaka w nim nastąpiła. Zrobił się kobieciarzem, ubierał się świetnie i najwyraźniej miał prawdziwą smykałkę do prowadzenia domu gry. Zajmował się też stroną hotelarską, czego zazwyczaj nie robili właściciele kasyna. Na skutek długich letnich upałów czy może aktywniejszego życia seksualnego, on także schudł, a hol-

lywoodzkie krawiectwo nadawało mu prawie młodzieńczy, zabójczy wygląd.

Po sześciu miesiącach przyjechał Tom Hagen, by sprawdzić, jak jej się wiedzie. Poza swą pensją otrzymywała co miesiąc czek na sześćset dolarów. Hagen wyjaśnił, iż trzeba wykazać, z jakiego źródła pochodzą owe pieniądze, i poprosił, aby mu podpisała całkowite pełnomocnictwo, żeby mógł to właściwie umotywować. Powiedział także, iż ze względów formalnych będzie zapisana jako posiadaczka pięciu udziałów w hotelu, w którym pracowała. Będzie musiała przejść przez wszystkie formalności prawne, jakich wymagają ustawy w Nevadzie, ale wszystko zostanie za nią załatwione, a osobiste niedogodności zredukowane do minimum. Jednakże nie wolno jej omawiać z nikim tego układu bez jego zgody. Będzie korzystała z ochrony prawnej pod każdym względem, a comiesięczne pieniądze ma zapewnione. Gdyby władze, czy ktokolwiek inny pilnujący przestrzegania prawa, wypytywali ją kiedykolwiek o coś, ma ich po prostu skierować do swego adwokata i więcej nie będzie niepokojona.

Lucy się zgodziła. Rozumiała, co się działo, ale nie miała żadnych zastrzeżeń co do sposobu jej traktowania. Wydawało się to uzasadnioną uprzejmością. Jednakże kiedy Hagen poprosił ją, żeby miała oczy otwarte na to, co się dzieje w hotelu, żeby też miała oko na Freddiego i jego szefa – człowieka, który był właścicielem i kierownikiem hotelu jako jeden z głównych akcjonariuszy – powiedziała:

– Och, Tom, chyba nie chcesz, żebym szpiegowała Freddiego?

Hagen uśmiechnął się.

– Ojciec Freddiego martwi się o niego. Dostał się w towarzystwo Moe Greena i po prostu chcemy mieć pewność, że się w nic nie wplącze.

Nie trudził się wyjaśnianiem jej, że don poparł budowę tego hotelu na pustyni Las Vegas nie tylko po to, by stworzyć przystań dla swego syna, ale też żeby mieć odskocznnię do większych operacji.

Właśnie wkrótce po tej rozmowie doktor Jules Segal został zatrudniony jako lekarz hotelowy. Był bardzo szczupły, bardzo przystojny i czarujący i wydawał się – przynajmniej Lucy – za młody na doktora. Poznała go, kiedy zrobił jej się guz na ręce ponad przegubem. Martwiła się tym przez kilka dni, wreszcie któregoś rana poszła do gabinetu lekarskiego w hotelu. W poczekalni siedziały dwie dziewczyny z zespołu kabaretowego, plotkując ze sobą. Miały tę brzoskwiniową blond urodę, której Lucy zawsze zazdrościła. Wyglądały anielsko. Ale jedna z nich mówiła:

– Przysięgam, że jak dostanę jeszcze jedną dawkę, to rzucę taniec.

Kiedy doktor Jules Segal otworzył drzwi swego gabinetu, aby poprosić do środka jedną z dziewczyn, Lucy miała ochotę uciec, i gdyby chodziło o coś bardziej osobistego i poważnego, tak by zrobiła. Doktor Segal miał na sobie sportowe spodnie i rozpiętą koszulę. Okulary w rogowej oprawie i jego spokojny, powściągliwy sposób bycia trochę pomagały, ale sprawiał wrażenie bezceremonialności, a Lucy, tak jak wiele osób z gruntu staroświeckich, uważała, że medycyna i bezceremonialność nie idą ze sobą w parze.

Kiedy w końcu weszła do gabinetu, w sposobie bycia doktora było coś tak uspokajającego, że wszystkie jej wątpliwości pierzchły. Mówił niewiele, a mimo to nie był szorstki i nie spieszył się. Kiedy spytała, co to za guz, wyjaśnił cierpliwie, że jest całkiem pospolitą włóknistą naroślą, która w żadnym razie nie może być złośliwa ani nie powinna stanowić powodu do poważnego niepokoju. Wziął ciężką książkę medyczną i polecił:

– Niech pani wyciągnie rękę.

Wyciągnęła ją niepewnie. Uśmiechnął się do niej po raz pierwszy.

– Pozbawię się chirurgicznego honorarium – rzekł. – Po prostu trzasnę ten guz książką i wtedy się spłaszcy. Może znowu wyskoczyć, ale jeżeli usunę go chirurgicznie, wysupła się pani z pieniędzy, będzie pani musiała nosić bandażę i tak dalej. Okay?

Uśmiechnęła się do niego. Z jakiejś przyczyny miała doń absolutne zaufanie. – Okay – powiedziała. W następnej chwili krzyknęła, gdy spuścił ciężki medyczny tom na jej przedramię. Guz spłaszcył się prawie zupełnie.

– Bardzo bolało? – zapytał doktor.

– Nie – odrzekła. Patrzała, jak wypełniał jej kartę chorobową. – I to już wszystko?

Kiwnął głową, nie zwracając na nią więcej uwagi. Wyszła.

Tydzień później zobaczył ją w kawiarni i przysiadł się do niej przy kontuarze.

– Jak ręka? – zapytał.

Uśmiechnęła się do niego.

– Świetnie – zapewniła. – Jest pan bardzo niekonwencjonalny, ale bardzo wprawny.

Uśmiechnął się także.

– Nawet pani nie wie, jaki jestem niekonwencjonalny. A ja nie wiedziałem, jaka pani jest bogata. „Sun” właśnie opublikował listę właścicieli udziałów

w hotelu, i Lucy Mancini ma ich aż dziesięć. Mogłem zrobić majątek na tym małym guzie.

Nic mu nie odpowiedziała, przypomniawszy sobie nagle przestrogi Hage-
na. Uśmiechnął się znowu.

– Proszę się nie martwić, znam tutejsze stosunki, pani jest po prostu jedną z osób podstawionych, w Vegas jest ich pełno. Może byśmy dziś razem poszli na rewię, a potem zafunduję pani kolację? Zafunduję pani nawet trochę żetonów do ruletki.

Nieco się wahała. Nalegał. W końcu powiedziała:

– Chętnie bym poszła, ale obawiam się, że pan może być zawiedziony zakończeniem wieczoru. Naprawdę nie jestem cizią tak jak większość dziewczyn tu, w Vegas.

– Dlatego panią zaprosiłem – odrzekł wesoło Jules. – Przepisałem sobie noc odpoczynku.

Lucy uśmiechnęła się do niego i spytała trochę smutno:

– Czy to takie widoczne? – Potrząsnął głową, a Lucy dodała: – Więc dobrze, kolacja, ale żetony sama sobie kupię.

Poszli na kolację do kabaretu i Jules zabawiał Lucy określaniami różnych odmian nagich piersi i ud terminami medycznymi, ale bez drwin, wszystko na wesoło. Później zegrali w ruletkę przy tym samym stole i wygrali przeszło sto dolarów. Jeszcze później pojechali w świetle księżycy do Boulder Dam i tam próbował ją wziąć, ale kiedy oparła mu się po kilku pocałunkach, zrozumiał, że naprawdę nie chce, i przestał. I znowu przyjął porażkę z ogromnym humorem.

– Mówiłam panu, że tego nie zrobię – przypomniała Lucy z wyrzutem na wpeł zmieszonym z poczuciem winy.

– Czułaby się pani strasznie znieważona, gdybym chociaż nie popróbował – odrzekł Jules. I musiała się roześmiać, bo była to prawda.

W ciągu paru następnych miesięcy zaprzyjaźnili się bardzo. Nie była to miłość, bo nie uprawiali miłości, Lucy mu nie pozwalała. Widziała, że jest zdumiony jej odmową, ale nie urażony, tak jak byłaby większość mężczyzn, i to jeszcze wzmogło jej zaufanie do niego. Przekonała się, że pod swą zawodową, zewnętrzną maską doktora uwielbiał zabawę i był lekkoduchem. W weekendy prowadził podregulowany na większą szybkość samochód na kalifornijskich wyścigach. Opowiadał jej, że na wakacje jeździ w głąb Meksyku, w okolice naprawdę dzikie, gdzie obcych mordują dla pary butów,

a życie jest tak prymitywne jak przed tysiącem lat. Zupełnie przypadkowo dowiedziała się, że jest chirurgiem i że był związany ze słynnym szpitalem w Nowym Jorku.

To wszystko sprawiło, iż tym bardziej się dziwiła, że przyjął posadę w hotelu. Kiedy go o to spytała, Jules odrzekł:

– Wyznaj mi swoją mroczną tajemnicę, a ja ci wyznam swoją.

Zarumieniła się i porzuciła ten temat. Jules też go nie poruszał i ich wzajemne stosunki trwały nadal – serdeczna przyjaźń, na którą liczyła bardziej niż sobie to uświadamiała.

Teraz, siedząc nad basenem, z blond głową Julesa na kolanach, czuła dla niego przemożną tkliwość. Lędźwie jej były już spragnione i bezwiednie gładziła zmysłowo palcami skórę jego szyi. Zdawał się spać i nie dostrzegać tego; sama jego bliskość wzbudziła w niej podniecenie. Nagle podniósł głowę z jej kolan i wstał. Wziął ją za rękę i poprowadził przez trawnik do cementowej ścieżki. Szła za nim posłusznie nawet wówczas, gdy ją wprowadził do jednego z domków, gdzie było jego prywatne mieszkanie. Kiedy znaleźli się w środku, zmieszał dwa ogromne drinki. Po prażącym słońcu i własnych zmysłowych myślach, trunek uderzył jej do głowy i oszołomił ją. Wtedy Jules objął ją ramionami i ciała ich, nagie poza skąpymi kostiumami kąpielowymi, przywarły do siebie. Lucy szeptała:

– Przestań – ale w jej głosie nie było przekonania i Jules nie zwracał na nią uwagi.

Szybko zdjął górną część jej kostiumu, aby móc pieścić obfite piersi, potem ściągnął majteczki, jednocześnie całując jej ciało, krągły brzuch i wewnętrzną stronę ud. Wyprostował się, zrzucił swoje spodnie kąpielowe, objął ją i po chwili leżeli już nadzy na łóżku, obejmując się wzajemnie i poczuła, że w nią wchodzi, i wystarczyło tylko to lekkie dotknięcie, żeby osiągnęła orgazm, ale sekundę potem wyczytała zaskoczenie w ruchach jego ciała. Ogarnął ją ten przemożny wstyd, który czuła, zanim poznała Sonny'ego, ale Jules przechylił jej ciało przez krawędź łóżka, ułożył w pewien sposób jej nogi, ona zaś pozwalała mu na wszystko, i znowu w nią wszedł i całował, i tym razem poczuła go, ale, co ważniejsze, zdała sobie sprawę, że on także coś czuje i dochodzi do punktu szczytowego.

Kiedy dźwignął się z niej, Lucy skuliła się w kącie łóżka i zaczęła płakać.

Czuła się taka zawstydzona. A potem z ogromnym zaskoczeniem usłyszała, że Jules śmieje się cicho i mówi:

– Ty biedna, nieoświecona italiańska dziewczyno, więc to dlatego mi odmawiałaś przez tyle miesięcy? Ty ciemniaczko.

Powiedział „ciemniaczko” z taką serdeczną czułością, że obróciła się do niego, a on przyciągnął do siebie jej nagie ciało, mówiąc:

– Jesteś średniowieczna, zdecydowanie średniowieczna. – Ale głos miał kojący i miły, ona zaś płakała dalej.

Jules zapalił papierosa i wetknął jej go w usta, tak że zakrztusiła się dymem i musiała przestać płakać.

– A teraz posłuchaj. Gdybyś miała porządne, nowoczesne wychowanie i kulturę rodzinną z dwudziestego wieku, twój problem byłby już od lat rozwiązany. Pozwól, że ci powiem, na czym on polega: nie jest równoważny temu, że ktoś jest brzydki, ma niedobrą cerę albo zezą, czego chirurgia kosmetyczna w gruncie rzeczy nie rozwiązuje. Twój problem jest czymś takim jak brodawka czy pieprzyk na brodzie albo wadliwie uformowane ucho. Przestań o tym myśleć kategoriami seksualnymi. Przestań rozpamiętywać, że masz wielki futerał, którego nie może polubić żaden mężczyzna, ponieważ nie daje jego penisowi dostatecznego tarcia. Masz po prostu wadę rozwojową miednicy, i to, co my, chirurdzy, nazywamy osłabieniem mięśniowego dna miednicy. Zwykle przychodzi to po porodach, ale może po prostu być niewłaściwą strukturą kostną. Jest to zjawisko pospolite i wiele kobiet ma tym zatrute życie, choć można to usunąć prostą operacją. Niektóre kobiety nawet popełniają z tego powodu samobójstwo. Ale u ciebie nigdy się tego nie domyślałem, bo masz takie piękne ciało. Sądziłem, że przyczyny są psychologiczne, bo znam twoją historię, opowiadałaś mi często o sobie i Sonnym. Ale pozwól, że przeprowadzę gruntowne badania lekarskie i wtedy będę mógł ci dokładnie powiedzieć, co trzeba zrobić. A teraz idź pod prysznic.

Lucy poszła do łazienki i wzięła prysznic. Cierpliwie, nie bacząc na jej protesty, Jules zmusił ją do położenia się na łóżku z rozstawionymi nogami. W mieszkaniu miał zapasową torbę lekarską, którą otworzył. Miał też przy łóżku mały stolik ze szklanym blatem, w którym były jeszcze inne przyrządy. Teraz był tylko fachowcem, badał ją, wtykał w nią palce i wodził nimi dokoła. Już zaczynała czuć się upokorzona, gdy wtem pocałował ją w pępek i powiedział nieomal z roztargnieniem:

– Pierwszy raz praca sprawiła mi przyjemność.

Potem przekręcił Lucy na brzuch i wsunął palec w jej odbytnicę, wymacując dokoła, ale drugą ręką gładził ją pieszczotliwie po szyi. Kiedy skończył, odwrócił ją znowu na wznak, pocałował czule w usta i oznajmił:

– Dziecinko, mam zamiar skonstruować ci tam zupełnie nową rzecz, a potem ją wypróbuję osobiście. Będzie to medyczna nowość, napiszę o tym artykuł do czasopism fachowych.

Jules robił wszystko z taką pogodną czułością, był taki o nią dbały, że Lucy przezwyciężyła wstyd i zakłopotanie. Wziął nawet z półki podręcznik medyczny, by jej pokazać podobny przypadek oraz niezbędne zabiegi chirurgiczne. Stwierdziła, że ją to bardzo ciekawi.

– To także jest sprawa zdrowia – tłumaczył Jules. – Jeżeli się tego nie skoryguje, będziesz miała później masę kłopotów z całym swoim systemem kanalizacyjnym. Struktura stopniowo się osłabia, jeżeli nie jest skorygowana chirurgicznie. Straszna szkoda, że staroświecka pruderia powstrzymuje wielu lekarzy od postawienia właściwej diagnozy i naprawienia sytuacji, a wiele kobiet od skarżenia się na te rzeczy.

– Nie mów już o tym, proszę cię – rzekła Lucy.

Widział, że ciągle jest jeszcze trochę zawstydzona swoim sekretem, speszona swoim „brzydkim felerem”. Aczkolwiek jego kształconemu w medycynie umysłowi wydawało się to szczytową głupotą, był dostatecznie wrażliwy, by wczuć się w jej położenie. Poza tym naprowadziło go to na właściwy sposób poprawienia samopoczucia.

– No dobrze, znam twój sekret, a teraz powiem ci swój – rzekł. – Stale mnie pytasz, skąd się wzięłem w tym mieście, ja, jeden z najmłodszych i najwybitniejszych chirurgów na wschodzie. – Wykpiwał pewne prasowe relacje na swój temat. – Prawda wygląda tak, że robię skrobanki, co samo w sobie nie jest takie złe. Robi to połowa przedstawicieli zawodu medycznego, tylko że mnie na tym przyłapali. Miałem przyjaciela, doktora nazwiskiem Kennedy, odbywaliśmy razem praktykę lekarską, to jest naprawdę równy gość, i powiedział, że mi pomoże. Podobno Tom Hagen mówił mu, że gdyby kiedykolwiek potrzebował w czymś pomocy, Rodzina Corleone ma wobec niego dług wdzięczności. Więc porozmawiał z Hagenem. Zanim się obejrzałem, wycofano zarzuty, ale Stowarzyszenie Lekarskie i sfery kierownicze na wschodzie umieściły mnie na czarnej liście. Więc Rodzina Corleone dała mi tutaj tę posadę. Zarabiam dobrze. Wykonuję robotę, którą trzeba wykonać. Te dziewczyny z kabaretu ciągle zachodzą w ciążę i robienie im skrobanek jest

najłatwiejszą rzeczą na świecie, jeżeli tylko od razu do mnie przyjdą. Wy-skrobuje je jak patelnie. Freddie Corleone to prawdziwa zaraza. Według mo-ich obliczeń zrobił dzieciaki piętnastu dziewczynom, odkąd tu jestem. Po-ważnie się zastanawiałem, czyby z nim nie porozmawiać po ojcowsku o sek-sie. Zwłaszcza odkąd musiałem go kurować trzy razy na trypra i raz na syfi-lis. Freddie uwielbia jeździć gołkiem na oklep.

Jules zamilkł. Był rozmyślnie niedyskretny, czego nigdy nie robił, bo chciał, żeby Lucy wiedziała, że inni ludzie, włącznie z kimś takim, kogo zna-ła i się lękała, jak Freddie Corleone, też mają swoje wstydlive sekrety.

– Myśl o tym tak jak o gumce w twoim ciele, która utraciła elastyczność – powiedział Jules. – Przez wycięcie kawałka ścieśnia się ją i robi bardziej ściągliwą.

– Zastanowię się – odrzekła Lucy, ale była pewna, że podda się temu, ufała Julesowi absolutnie. A potem przyszło jej do głowy coś innego. – Ile to bę-dzie kosztowało?

Jules zmarszczył brwi.

– Nie mam tutaj urzędzeń do takiej operacji i nie jestem w tym doświad-czony. Ale mam w Los Angeles przyjaciela, który jest w tej dziedzinie pierw-szorzędny i ma urzędzenia w najlepszym szpitalu. Jeżeli o to chodzi, zwięza wszystkie gwiazdy filmowe, kiedy te babki przekonują się, że podciąganie piersi i twarzy nie całkiem wystarcza, żeby mężczyźni je kochali. Ma wobec mnie pewne zobowiązania, więc to nie będzie nic kosztowało. Ja robię dla niego skrobanki. Słuchaj, gdyby to nie było nieetyczne, wyjawilibym ci na-zwiska paru filmowych seksbomb, które miały tę operację.

Od razu się zaciekawiła.

– Och, proszę cię, powiedz – rzekła. – No, mów. – Byłaby to cudowna plo-teczka, a jedną z zalet Julesa było to, że mogła okazać bez kpin z jego strony swoje kobiece zamiłowanie do plotek.

– Powiem ci, jeżeli zjesz ze mną kolację i spędzisz ze mną noc – odparł Ju-les. – Mamy do odrobienia masę czasu straconego przez twoją głupotę.

Lucy doznała przyływu ogromnej czułości dla niego za to, że był taki do-bry, i zdobyła się na odpowiedź:

– Nie musisz ze mną spać, wiesz, że nie będziesz miał żadnej przyjemno-ści, kiedy jestem taka jak teraz.

Jules wybuchnął śmiechem.

– Ty ciemniaczkę, ty niewiarygodna ciemniaczkę. Nigdy nie słyszałaś

o innym sposobie uprawiania miłości, o wiele bardziej starożytnym, bardziej cywilizowanym? Naprawdę jesteś taka niewinna?

– Ach, to – powiedziała.

– Ach, to – powtórzył, przedrzeźniając ją. – Przyzwoite dziewczyny tego nie robią, mężczy mężczyźni tego nie robią. Nawet w 1948 roku. Otóż, dziecko, mogę cię zaprowadzić tutaj, w Las Vegas, do domu pewnej starszej pani, która była najmłodszą szefową najpopularniejszego burdelu w epoce Dzikiego Zachodu, bodajże w latach osiemdziesiątych XIX wieku. Lubi opowiadać o tych dawnych czasach. I wiesz, co mi mówiła? Że wszyscy ci rewolwerowcy, ci mężczy, twardzi, strzelający bez pudła kowboje, zawsze prosili dziewczęta o „francuskiego”, o to, co my, doktorzy, nazywamy stosunkiem oralno-genitalnym, a co ty nazywasz „ach, to”. Przyszło ci kiedy do głowy zrobić „ach, to” z twoim umiłowanym Sonnym?

Po raz pierwszy naprawdę go zaskoczyła. Obróciła się do niego z uśmiechem, który mógłby określić jedynie jako uśmiech Mony Lizy (jego naukowy umysł natychmiast pognał w innym kierunku: czyżby to było rozwiązaniem tamtej odwiecznej tajemnicy?), i odparła spokojnie:

– Ja z Sonnym robiłam wszystko.

Po raz pierwszy przyznała się komuś do czegoś takiego.

Dwa tygodnie później Jules Segal stał w sali operacyjnej szpitala Los Angeles i przypatrywał się przyjacielowi, doktorowi Federickowi Kellnerowi, prezentującemu swój kunszt. Zanim Lucy otrzymała narkozę, Jules pochylił się nad nią i szepnął:

– Powiedziałem mu, że jesteś moją specjalną dziewczyną, więc robi ci naprawdę ciasne ścianki.

Jednakże wstępna pigułka już ją otumaniła i Lucy nie roześmiała się ani nie uśmiechnęła. Ale jego żarty trochę zmniejszyły strach przed operacją.

Doktor Kellner zrobił cięcie z nieomylnością wytrawnego bilardzisty wykonującego łatwe uderzenie. Technika operacji mającej wzmocnić dno miednicy wymagała osiągnięcia dwóch celów. Należało tak skrócić mięśniowo-włókniste sklepienie miednicy, by zlikwidować jego zwiotczenie. I oczywiście rozwór pochwy, słaby punkt w dnie miednicy, trzeba było przesunąć ku przodowi, w kierunku spojenia łonowego, i w ten sposób uwolnić od bezpośredniego ucisku z góry. Poprawienie podwieszenia nazywało się plastyką pochwy.

Jules widział, że doktor Kellner pracuje teraz ostrożnie, bo wielkim niebez-

pieczeństwem przy cięciu było przeniknięcie za głęboko i uszkodzenie odbytnicy. Przypadek był raczej nieskomplikowany, Jules przestudiował wszystkie zdjęcia rentgenowskie i badania pomocnicze. Nie powinno było zdarzyć się nic niepomysłnego, tylko że w chirurgii zawsze to jest możliwe.

Kellner pracował nad podwieszeniem przepony miedniczej, kleszczyki przytrzymały płat pochwy, odsłaniając zwieracz odbytu oraz powięź tworzącą jego otoczkę. Okryte gazą palce Kellnera rozciągały luźną tkankę łączną. Jules nie odrywał oczu od ściany pochwy, wypatrując naczyń żylnych, sygnalizujących możliwość uszkodzenia odbytnicy. Ale ten stary Kellner znał się na swojej robocie. Tworzył nową szparę z równą łatwością jak cieśla zbijający gwoździami deski.

Kellner usuwał nadmiar tkanki ściany pochwy, używając szwu mocującego, aby zamknąć zbędny ubytek w tkankach oraz mieć pewność, że nie wystąpią żadne powikłania; następnie spróbował wetknąć w zwężone światło pochwy trzy palce, potem dwa. Zdołał wcisnąć ledwie dwa palce, sondując nimi głęboko i na chwilę podniósł wzrok na Julesa, a jego porcelanowobłękite oczy ponad maską gazy błysnęły jakby pytając, czy to już dostatecznie wąsko. A potem znowu zajął się szyciem.

Było po wszystkim. Wytoczono Lucy na wózku do sali pooperacyjnej, a Jules pomówił z Kellnerem. Kellner był wesoły – najlepszy znak, że wszystko poszło dobrze.

– Żadnych komplikacji, mój chłopcze – powiedział Julesowi. – Nic tam nie rośnie, całkiem prosty przypadek. Ona ma cudowne napięcie tkankowe, niezwykłe w tych przypadkach, i teraz jest już w pierwszorzędnej formie do gry i zabawy. Zazdroszczę panu, mój chłopcze. Oczywiście będzie pan musiał trochę poczekać, ale gwarantuję, że spodoba się panu moja robota.

Jules roześmiał się.

– Jest pan prawdziwym Pigmalionem, doktorze. Był pan naprawdę cudowny.

Doktor Kellner odchrząknął.

– To wszystko dziecinne igraszki, takie jak pańskie skrobaki. Gdyby społeczeństwo rozumowało realistycznie, tacy ludzie jak pan i ja, naprawdę uzdolnieni, mogliby zająć się ważną pracą, a te rzeczy zostawić konowalom. Aha, w przyszłym tygodniu przyślę panu jedną dziewczynę, bardzo miłą dziewczynę, widocznie właśnie takie zawsze wpadają. W ten sposób będziemy kwita po tej dzisiejszej robocie.

Jules uściśnął mu dłoń.

– Dziękuję, doktorze. Proszę zajrzeć do nas któregoś dnia, a dopilnuję, żeby pana przyjęto ze wszystkimi honorami.

Kellner uśmiechnął się trochę krzywo.

– Ja co dzień igram z życiem, nie potrzeba mi waszych ruletek i kości. I tak za często zderzam się głową z kolosem. Pan tutaj się zmarnuje, Jules. Jeszcze parę lat i będzie pan musiał dać sobie spokój z poważną chirurgią. Nie będzie pan się do tego nadawał. – Odwrócił się.

Jules rozumiał, że nie było to powiedziane jako wyrzut, ale jako przestroga. Jednakże odebrało mu to humor. Ponieważ Lucy musiała pozostać w sali pooperacyjnej co najmniej dwanaście godzin, wyszedł na miasto i upił się. Częściową przyczyną tego upicia było uczucie ulgi, że wszystko poszło tak dobrze z Lucy.

Kiedy nazajutrz rano przyjechał do szpitala, by ją odwiedzić, ze zdziwieniem zastał dwóch mężczyzn przy jej łóżku, a w pokoju pełno kwiatów. Lucy leżała wsparta na poduszkach, twarz miała rozpromienioną. Jules zdziwił się, ponieważ Lucy zerwała ze swoją rodziną i prosiła go, by jej nie zawiadamiać, chyba żeby stało się coś niedobrego. Oczywiście Freddie Corleone wiedział, że udała się do szpitala na drobną operację; było to konieczne, by oboje mogli zwolnić się z pracy, a Freddie powiedział Julesowi, że hotel pokryje za Lucy wszystkie rachunki.

Lucy przedstawiła Julesowi obydwu mężczyzn i od razu poznał jednego z nich. Sławny Johnny Fontane. Drugi był masywnym, muskularnym, zadziornie wyglądającym Włochem i nazywał się Nino Valenti. Obaj uściskali Julesowi dłoń, po czym przestali zwracać na niego uwagę. Żartowali z Lucy, rozmawiając o dawnej dzielnicy w Nowym Jorku, o wydarzeniach i ludziach, których Jules nie mógł znać. Powiedział więc do Lucy:

– Wpadnę później. I tak muszę zobaczyć się z doktorem Kellnerem.

Ale Johnny Fontane już zaczął go czarować.

– Kochany, my też musimy już iść, dotrzyмай pan Lucy towarzystwa. Proszę się nią opiekować, doktoru.

Jules zauważył dziwną chrapliwość w głosie Johnny'ego Fontane i nagle przypomniał sobie, że nie śpiewał publicznie od przeszło roku, że zdobył nagrodę Akademii za swoją grę aktorską. Czyż to możliwe, żeby głos tego człowieka zmienił się w tak późnym okresie życia i żeby gazety trzymały to w tajemnicy, żeby wszyscy trzymali to w tajemnicy? Jules uwielbiał zakulisowe

plotki i przysłuchiwał się głosowi Fontane, usiłując postawić diagnozę. Mogło to być zwykłe sforsowanie albo za dużo alkoholu i papierosów czy nawet za wiele kobiet. Głos miał nieprzyjemną barwę, nie można by już nazwać tego człowieka słodkim pieśniarzem.

– Pan ma taki głos, jakby pan był przeziębiony – powiedział Jules do Johnny’ego Fontane.

Johnny odrzekł uprzejmie:

– To po prostu przemęczenie, wczoraj wieczorem próbowałem śpiewać. Widać nie mogę pogodzić się z faktem, że głos mi się zmienił, wie pan, że się starzeję.

Uśmiechnął się do Julesa w sposób, który oznaczał: „a, co mi tam”. Jules spytał od niechcienia:

– Nie dał pan tego obejrzeć jakiemuś doktorowi? Może to jest coś, co da się naprawić?

Fontane nie był już taki czarujący. Popatrzał na Julesa chłodno, przeciągle.

– To pierwsza rzecz, jaką zrobiłem prawie dwa lata temu. Najlepsi specjaliści. Mój własny lekarz, który podobno jest asem tu, w Kalifornii. Kazali mi dużo odpoczywać. Nie dzieje się nic złego, po prostu się starzeję. Z wiekiem głos zmienia się człowiekowi.

Po tym Fontane go ignorował, zwracał uwagę tylko na Lucy, czarował ją tak, jak czarował wszystkie kobiety. Jules nadal przysłuchiwał się jego głosowi. Musiał mieć jakąś narośl na strunach głosowych. Ale w takim razie dlaczego, u diabła, specjaliści tego nie wykryli? Czy było to coś złośliwego i nie nadającego się do zoperowania? Może to jakaś inna historia. Przerwał Johnny’emu, aby zapytać:

– Jak dawno temu badał pana specjalista?

Fontane był wyraźnie rozdrażniony, ale starał się być uprzejmy przez wzgląd na Lucy.

– Około osiemnastu miesięcy temu – odrzekł.

– A czy pański lekarz ogląda to od czasu do czasu? – zapytał Jules.

– Jasne że tak – odparł Johnny Fontane z irytacją. – Daje mi spray kodeinowy i robi ogólną kontrolę. Mówi, że mój głos po prostu się starzeje, że to picie, palenie i inne rzeczy. A może pan więcej wie od niego?

– Jak brzmi jego nazwisko? – zapytał Jules.

Fontane odpowiedział z leciutkim przebłyskiem dumy:

– Tucker, doktor James Tucker. Co pan o nim sądzi?

Nazwisko było znane, związane ze słynnymi gwiazdami filmowymi i luksusowym ośrodkiem leczniczym.

– To spryciarz – powiedział Jules z uśmiechem.

Fontane rozzłościł się.

– Myśli pan, że pan jest lepszy od niego?

Jules roześmiał się.

– A czy pan lepiej śpiewa niż Carmen Lombardo?

Zdziwił się, widząc, że Nino Valenti parsknął śmiechem, waląc głową o oparcie krzesła. Dowcip nie był aż taki dobry. A potem na skrzydłach owych parsknięć doleciał do Julesa zapach whisky; pojął, że nawet o tak wcześniejszej porze ten pan Valenti, kimkolwiek u licha był, jest co najmniej na wpół pijany. Fontane uśmiechnął się do swego przyjaciela.

– No, no, ty masz się śmiać z moich dowcipów, nie tego pana.

Tymczasem Lucy chwyciła Julesa za rękę i przyciągnęła go do siebie.

– On wygląda jak łazik, ale jest świetnym chirurgiem – zapewniła. – Jeżeli mówi, że jest lepszy od doktora Tuckera, to jest lepszy od doktora Tuckera. Ty go słuchaj, Johnny.

Zjawiła się pielęgniarka i powiedziała, że będą musieli wyjść. Lekarz miał coś do zrobienia przy Lucy i nie mogło być przy tym nikogo. Jules z rozbażeniem zauważył, iż Lucy odwróciła twarz, tak że kiedy Johnny Fontane i Nino Valenti całowali ją na pożegnanie, musieli trafić w policzek, a nie w usta – ale najwyraźniej tego się spodziewali. Julesowi pozwoliła pocałować się w usta i szepnęła:

– Przyjdź po południu, dobrze?

Kiwnął głową.

Na korytarzu Valenti zapytał go:

– Co to była za operacja? Coś poważnego?

Jules potrząsnął głową.

– Takie małe damskie łatanie. Absolutnie zwykła rzecz, proszę mi wierzyć. Mnie to bardziej obchodzi niż panów, mam nadzieję ożenić się z tą dziewczyną.

Patrzyli na niego taksująco, więc zapytał:

– Skąd się panowie dowiedzieli, że ona jest w szpitalu?

– Freddie zadzwonił do nas i poprosił, żebyśmy tu zajrzeli – odparł Fontane. – Wszyscy dorastaliśmy w tej samej dzielnicy. Lucy była druzną na ślubie siostry Freddiego.

– Aha – powiedział Jules. Nie wspomniał, że zna całą historię, być może dlatego, że tak pieczołowicie osłaniali Lucy i jej romans z Sonnym.

Kiedy szli korytarzem, Jules zwrócił się do Johnny’ego Fontane:

– Mam tutaj przywileje lekarza odwiedzającego. Może by mi pan pozwolił obejrzyć swoje gardło?

Fontane potrząsnął głową.

– Teraz się spieszę.

– To jest gardło warte milion dolarów – powiedział Nino Valenti. – Nie może pozwalać tanim lekarzom zaglądać do niego.

Jules widział, że Valenti uśmiecha się doń, że jest wyraźnie po jego stronie. Odrzekł wesoło:

– Ja nie jestem tanim lekarzem. Byłem najzdolniejszym młodym chirurgiem i diagnostą na Wschodnim Wybrzeżu, dopóki mnie nie przyłapali na skrobankach.

Tak jak przewidywał, to sprawiło, że zaczęli go brać poważnie.

Przyznaniem się do przestępstwa obudził wiarę w swoje roszczenia do wysokich kompetencji. Valenti połapał się pierwszy.

– Jeżeli Johnny nie może z pana skorzystać, to mam jedną dziewczynę i chciałbym, żeby pan ją obejrzał, ale nie jej gardło.

Fontane zapytał nerwowo:

– Długo by to trwało?

– Dziesięć minut – odrzekł Jules. Było to kłamstwem, ale był zwolennikiem kłamania ludziom. Prawda i medycyna po prostu nie idą z sobą w parze, chyba tylko w ciężkich przypadkach, jeżeli w ogóle.

– Okay – zgodził się Fontane. Jego głos stał się bardziej ponury i chrapliwy ze strachu.

Jules znalazł pielęgniarkę i gabinet lekarski. Nie było tam wszystkiego, czego potrzebował, ale wystarczyło. Po niespełna dziesięciu minutach wiedział, że na strunach głosowych jest narośl, to było proste. Tucker, ten niekompetentny, drański, lipny konował hollywoodzki, powinien był ją wykryć. Rany boskie, może ten gość nie ma nawet zezwolenia na wykonywanie praktyki lekarskiej, a jeżeli ma, to należy mu je odebrać. Jules nie zwracał teraz uwagi na obu mężczyzn. Podniósł słuchawkę telefonu i poprosił, żeby przyszedł szpitalny laryngolog. Potem obrócił się i powiedział do Nina Valenti:

– Myślę, że musiałby pan długo czekać, lepiej, żeby pan teraz wyszedł.

Fontane wytrzeszczył na niego oczy z niedowierzaniem.

– Jak to, do cholery, to pan myśli, że pan mnie tu zatrzyma? Że pan się będzie pieprzył z moim gardłem?

Jules, z większą satysfakcją, niż mógłby się spodziewać, rąbnął mu prawdę prosto w oczy.

– Może pan sobie robić, co się panu podoba. Ma pan jakąś narośl na strunach głosowych, w krtani. Jeżeli pan tu zostanie przez następne dwie godziny, będziemy mogli rozpoznać, czy jest złośliwa, czy niezłośliwa. Możemy powziąć decyzję co do zabiegu chirurgicznego albo leczenia. Mogę panu przedstawić całą sprawę. Mogę panu podać nazwisko najlepszego specjalisty w Ameryce i dziś wieczorem możemy go tu ściągnąć samolotem, ma się rozumieć za pańskie pieniądze i jeżeli uznam to za konieczne. Ale może pan także pójść sobie stąd i odwiedzić swojego kumpla-szarlatana albo też męczyć się nad decyzją pójścia do innego lekarza, albo zostać odesłanym do kogoś niekompetentnego.

Wtedy, jeżeli to jest złośliwe i dostatecznie urośnie, wytną panu całą krtani albo pan umrze. Albo może się pan po prostu męczyć. Zostanie pan tu ze mną, to wszystko sobie wyjaśnimy w parę godzin. Ma pan coś ważniejszego do roboty?

– Zostańmy tu, Johnny, co tam – powiedział Valenti. – Wyjdę na korytarz i zadzwonię do studia. Nic im nie powiem, tylko tyle, że coś nas zatrzymało. Potem wrócę i dotrzymam ci towarzystwa.

Popołudnie okazało się bardzo długie, ale owocne. Diagnoza Julesa była trafna, o ile laryngolog mógł to ocenić po zdjęciach rentgenowskich i analizie rozmazu z gardła. W połowie badania Johnny Fontane, z ustami wysmarowanymi jodyną, dławiąc się wetkniętym w nie tamponem z gazy, usiłował uciec. Nino Valenti złapał go za ramiona i popchnął z powrotem na fotel. Kiedy już było po wszystkim, Jules uśmiechnął się do Fontane'a i oznajmił:

– Brodawki.

Fontane nie zrozumiał. Jules powtórzył:

– Po prostu brodawki. Zetniemy je jak skórkę z kiełbasy. Za parę miesięcy będzie pan okay.

Valenti wydał z siebie ryk, ale Fontane miał wciąż zmarszczone brwi.

– A co ze śpiewaniem później? Jak to wpłynie na mój głos?

Jules wzruszył ramionami.

– Co do tego nie ma gwarancji. Ale skoro pan teraz śpiewać nie może, to co za różnica?

Fontane popatrzył na niego z niesmakiem.

– Chłopcze, nawet nie wiesz, o czym mówisz. Zachowujesz się tak, jakbyś mi podawał dobrą wiadomość, a tymczasem sprowadza się to do tego, że może nie będę już śpiewał. Czy tak jest? Może nie będę już śpiewał?

W końcu Julesa ogarnęło obrzydzenie. Postąpił jak rzetelny lekarz i to mu sprawiało przyjemność. Zrobił temu draniowi prawdziwą uprzejmość, a ten się zachowywał tak, jakby mu zrobiono świństwo. Powiedział zimno:

– Niech pan posłucha, panie Fontane. Jestem doktorem medycyny i proszę do mnie mówić „doktorze”, a nie „chłopcze”. A podałem panu rzeczywiście bardzo dobrą wiadomość. Kiedy pana tu przyprowadziłem, byłem pewny, że ma pan w krtani złośliwą narośl, która będzie wymagała wycięcia całej pańskiej skrzynki głosowej. Albo która może pana zabić. Martwiłem się, że może będę musiał panu powiedzieć, że jest pan nieboszczykiem.

I byłem taki uradowany, kiedy mogłem powiedzieć słowo „brodawki”. Bo pański śpiew dawał mi tyle przyjemności, pomagał uwodzić dziewczyny, kiedy byłem młodszy, i pan jest prawdziwym artystą. Ale także ogromnie zepsutym facetem. Myśli pan, że ponieważ jest Johnnym Fontane, nie może pan dostać raka? Albo nieuleczalnego guza na mózgu? Albo zawału serca? Myśli pan, że pan nigdy nie umrze? No więc nie wszystko jest słodką muzyką i jeżeli pan chce zobaczyć prawdziwe nieszczęście, to proszę się przejść po tym szpitalu, a zaśpiewa pan pieśń miłosną o brodawkach. Dlatego niech pan da spokój z bzdurami i weźmie się do tego, co pan musi zrobić. Ten pański medyczny Adolf Menjou może panu sprowadzić odpowiedniego chirurga, ale gdyby sam spróbował wejść na salę operacyjną, proponuję, żeby pan kazał go zaaresztować za usiłowanie morderstwa.

Jules ruszył do wyjścia, gdy wtedy odezwał się Valenti:

– Pierwsza klasa, doktoru, tak trzeba do niego gadać.

Jules okręcił się w miejscu i zapytał:

– Pan zawsze oliwi się przed południem?

– Jasne – odparł Valenti i wyszczerzył do niego zęby z takim humorem, że Jules powiedział łagodniej, niż zamierzał:

– Musi pan sobie zdać sprawę, że jeżeli pan będzie dalej tak postępował, to w ciągu pięciu lat będzie z pana nieboszczyk.

Valenti zbliżał się do niego drobnymi tanecznymi krokami. Objął go, a jego oddech ział whisky. Śmiał się bardzo serdecznie.

– Pięć lat? – zapytał, ciągle się śmiejąc. – To potrwa aż tak długo?

Miesiąc po operacji Lucy Mancini siedziała nad hotelowym basenem w Vegas, trzymając w jednej ręce cocktail, a drugą gładząc głowę Julesa, złożoną na jej kolanach.

– Nie musisz dodawać sobie odwagi – powiedział Jules żartobliwie. – Mam szampana przygotowanego w naszym pokoju.

– Jesteś pewien, że już można, tak prędko? – zapytała Lucy.

– Ja tu jestem doktorem – odparł Jules. – Dziś jest ta ważna noc. Czy zdajesz sobie sprawę, że będę pierwszym chirurgiem w historii medycyny, który wypróbuje wyniki swojej „medycznej nowości”? No wiesz, Przedtem a Potem. Będę miał frajdę, pisząc o tym do czasopism. Na przykład: O ile Przedtem było wyraźnie przyjemne z przyczyn psychologicznych oraz dzięki wyrafinowaniu chirurga instruktora, to *coitus* pooperacyjny okazał się niezmiernie zadowolający wyłącznie z neurologicznych... – przerwał, bo Lucy szarpnęła go za włosy tak mocno, że krzyknął z bólu. Uśmiechnęła się do niego.

– Jeżeli dzisiejszej nocy nie będziesz zadowolony, będę mogła naprawdę uznać, że to twoja wina.

– Ręczę za moją pracę. Ja ją zaplanowałem, chociaż pozwoliłem staremu Kellnerowi wykonać ręczną robotę – stwierdził Jules. – A teraz odpocznijmy. Mamy przed sobą długą noc badań naukowych.

Kiedy poszli do swego apartamentu – mieszkali teraz razem – na Lucy czekała niespodzianka: wykwintna kolacja, a obok jej kieliszka do szampana pudełeczko od jubilera, w środku zaś pierścionek zaręczynowy z ogromnym brylantem.

– To ci pokazuje, jakie mam zaufanie do swojej pracy – rzekł Jules. – A teraz postarajmy się, żebyś na nie zasłużyła.

Był z nią bardzo czuły, bardzo delikatny. Z początku trochę się bała, jej ciało cofało się przed jego dotknięciem, ale potem, uspokojona, poczuła, że wzbiera w niej namiętność, jakiej nigdy nie zaznała, i kiedy po pierwszym razie Jules szepnął: „Zrobiłem dobrą robotę”, odszepnęła mu: „O tak, zrobiłeś, tak, zrobiłeś”.

I oboje roześmiali się do siebie, zaczynając na nowo pieszczoty.

Księga 6

Rozdział 23

Michael Corleone po pięciu miesiącach wygnania na Sycylii zrozumiał nareszcie charakter ojca i jego przeznaczenie. Zrozumiał takich ludzi, jak Luca Brasi, jak bezlitosny *caporegime* Clemenza, zrozumiał rezygnację matki i akceptowanie przez nią swej roli. Albowiem na Sycylii przekonał się, czym by byli, gdyby nie postanowili zmagać się ze swoim losem. Zrozumiał, dlaczego don zawsze mawiał: „Człowiek ma tylko jedno przeznaczenie”. Zrozumiał pogardę dla władzy i legalnego rządu, nienawiść do każdego człowieka, który łamał *omerta*, nakaz milczenia.

Michael, odziany w stare ubranie i czapkę z daszkiem, został przewieziony ze statku, który zawinął do Palermo, w głąb wyspy sycylijskiej, do samego serca prowincji opanowanej przez mafię, gdzie miejscowy *capo mafioso* miał wobec jego ojca wielki dług wdzięczności za jakąś dawną przysługę. W prowincji tej znajdowało się miasteczko Corleone, którego nazwę przybrał don jako nazwisko, gdy dawno temu emigrował do Ameryki. Żaden z krewnych dona już nie żył. Kobiety poumierły ze starości. Wszyscy mężczyźni polegli w wendetach albo również wyemigrowali do Ameryki, Brazylii bądź do jakiejś prowincji na włoskim lądzie stałym. Michael miał się później dowiedzieć, że to małe, nawiedzone przez nędzę miasteczko miało najwyższy procent morderstw ze wszystkich miejscowości na świecie.

Michael został ulokowany jako gość w domu nieżonatego wuja owego *capo mafioso*. Wuj ten, mający siedemdziesiąt parę lat, był zarazem lekarzem okręgowym. *Capo mafioso* był blisko sześćdziesięcioletnim mężczyzną nazwiskiem don Tommasino i pracował jako *gabbellotto* w olbrzymich dobrach należących do jednego z najbardziej arystokratycznych rodów sycylijskich. *Gabbellotto*, będący rodzajem rządcy w majątkach bogaczy, gwarantował również, że ubodzy nie będą usiłowali domagać się nieuprawianej ziemi ani

żadnym sposobem naruszać własności pana przez kłusownictwo czy próby gospodarowania „na dziko”. Krótko mówiąc, *gabbellotto* był to *mafioso*, który za pewną sumę pieniędzy ochraniał majątki bogaczy przed wszelkimi zakusami ubogich, legalnymi czy nielegalnymi. Kiedy jakiś biedny chłop usiłował egzekwować prawo, które mu pozwalało zakupić nieuprawianą ziemię, *gabbellotto* odstraszał go, grożąc uszkodzeniem ciała albo śmiercią. Było to całkiem proste.

Don Tommasino również sprawował kontrolę nad prawami wodnymi w okolicy i zakładał weto przeciwko budowie na tym terenie jakichkolwiek nowych tam przez rząd w Rzymie. Takie tamy zniweczyłyby zyskowny interes, jakim było sprzedawanie wody z podlegających mu studni artezyjskich, gdyż woda stałaby się zbyt tania, co zrujnowałoby całą ważną gospodarkę wodną, tak pracownie tworzoną przez setki lat. Jednakże don Tommasino był staroświeckim szefem mafii i nie chciał mieć nic wspólnego z narkotykami czy prostytutką. Don Tommasino był w niezgodzie z nowym typem mafijnych przywódców, pojawiających się w dużych miastach, takich jak Palermo – ludzi nowych, którzy, pozostając pod wpływem amerykańskich gangsterów deportowanych do Włoch, nie mieli takich skrupułów.

Szef mafii był ogromnie korpulentnym mężczyzną, „człowiekiem z brzuchem” zarówno dosłownie, jak w tym przenośnym sensie, który oznaczał człowieka mogącego budzić lęk w swoich bliźnich. Pod jego opieką Michael nie miał się czego obawiać, lecz mimo to uważano za konieczne trzymać w tajemnicy tożsamość zbiega. Dlatego też Michaelowi wolno było przebywać tylko na obwiedzionej murem posiadłości doktora Tazy, wuja dona.

Doktor Taza był wysoki jak na Sycylijczyka, miał prawie sześć stóp wzrostu, rumiane policzki i śnieżnobiałe włosy. Chociaż przekroczył już siedemdziesiątkę, jeździł co tydzień do Palermo, by składać swoje uszanowanie co młodszymi prostytutkom z tego miasta, im młodszym, tym lepiej. Inną przywarą doktora Tazy było czytanie. Czytał wszystko i omawiał swoje lektury ze współmieszkańcami miasteczka, z pacjentami, którymi byli niepiśmienni chłopcy, pasterze z majątków, i to mu wyrobiło lokalną opinię dziwaka. Co miały z nimi wspólnego książki?

Wieczorami doktor Taza, don Tommasino i Michael przesiadywali w wielkim ogrodzie zaludnionym owymi marmurowymi posągami, które na tej wyspie zdają się wyrastać w ogrodach równie czarodziejsko jak soczyste, czarne winogrona. Doktor Taza uwielbiał opowiadać historie o mafii i jej wyczy-

nach w ciągu stuleci i miał w Michaelu Corleone urzeczzonego słuchacza. Zdarzały się takie chwile, kiedy nawet dona Tommasino upajało balsamiczne powietrze, tęgie, idące do głowy wino, wytworny i spokojny dostatek ogrodu – i wtedy opowiadał coś ze swojej własnej praktyki. Doktor był legendą, don rzeczywistością.

W tym antycznym ogrodzie Michael Corleone dowiedział się o korzeniach, z których wyrósł jego ojciec. O tym, że słowo „mafia” oznaczało pierwotnie miejsce schronienia. Potem stało się nazwą tajnej organizacji, która powstała, by walczyć z władcami ciemiącymi od stuleci ten kraj i jego ludność. Sycylia była krainą gwałconą okrutniej niż jakakolwiek inna w dziejach. Inkwizycja torturowała na równi bogatych i ubogich. Wielcy właściciele ziemscy oraz książęta Kościoła katolickiego sprawowali władzę absolutną nad pasterzami i chłopami. Policja była narzędziem ich władzy i tak się z nimi utożsamiała, że do dzisiaj nazwanie kogoś policjantem jest najwstrętniejszą obelgą, jaką jeden Sycylijczyk może rzucić drugiemu.

Wobec okrucieństwa tej absolutnej władzy, cierpiący ludzie nauczyli się nigdy nie zdradzać swojego gniewu i nienawiści z obawy, że zostaną zmiażdżeni. Nauczyli się nigdy nie narażać przez wypowiedanie jakiegokolwiek groźby, albowiem takie ostrzeżenie zapewniało szybki odwet. Nauczyli się, że społeczeństwo jest ich wrogiem, toteż kiedy pragnęli naprawienia swych krzywd, zwracali się do buntowniczego podziemia, do mafii. I mafia scementowała swą siłę, stwarzając nakaz milczenia, *omerta*. Na sycylijskiej wsi obcy zapytujący o drogę do najbliższego miasta nie spotka się nawet z chęcią udzielenia odpowiedzi. Największą zaś zbrodnią, jaką mógłby popełnić członek mafii, byłoby wyjawienie policji nazwiska człowieka, który właśnie go postrzelił albo wyrządził jakąkolwiek krzywdę. *Omerta* stała się religią ludu. Kobieta, której mąż został zamordowany, nie powiedziała by policji nazwiska mordercy męża, nawet mordercy jej dziecka czy gwałciciela córki.

Od władz nigdy nie można było spodziewać się sprawiedliwości, więc ludzie zawsze udawali się do robinhoodowej mafii. I mafia do pewnego stopnia spełniała tę rolę. Ludzie zwracali się do swego lokalnego *capo mafioso* o pomoc w każdej nagłej potrzebie. Był ich działaczem społecznym, ich okręgowym przywódcą, ich opiekunem, zawsze mającym w gotowości koszyk jedzenia albo posadę.

Natomiast tym, czego doktor Taza nie dodał, a o czym Michael dowiedział się na własną rękę w następnych miesiącach, było to, że mafia stała się na Sy-

cylii nielegalnym zbrojnym ramieniem bogaczy, a nawet posiłkową policją systemu prawnego i politycznego. Stała się wynaturzoną strukturą kapitalistyczną, antykomunistyczną, antyliberalną, nakładającą własne podatki na wszelkie formy choćby najdrobniejszej działalności handlowej.

Michael Corleone zrozumiał po raz pierwszy, dlaczego tacy ludzie jak ojciec woleli zostać złodziejami i mordercami niż członkami legalnego społeczeństwa. Nędza, strach i poniżenie były zbyt okropne, by mógł się z nimi pogodzić człowiek silny duchem. A niektórzy emigranci z Sycylii zakładali, że władza w Ameryce będzie równie okrutna.

Doktor Taza zaproponował Michaelowi, że go zabierze do Palermo na swoje cotygodniowe odwiedziny w burdelu, ale Michael odmówił. Jego ucieczka na Sycylię nie pozwoliła mu przeprowadzić odpowiedniego leczenia złamanej szczęki i teraz miał na lewej stronie twarzy pamiątkę po kapitanie McCluskeyu. Kości zrosły się źle, co skrzywiło mu profil, nadając mu zdeprawowany wyraz, kiedy go oglądano od tej strony. Zawsze był próżny, jeżeli chodzi o powierzchowność, i martwiło go to bardziej, niż mógł przypuszczać. Nie przejmował się wcale bólem, który przychodził i odchodził; doktor Taza dał mu pigułki, które go uśmierzały. Taza zaproponował, że zoperuje mu twarz, ale Michael odmówił. Siedział tu wystarczająco długo, by wiedzieć, że doktor Taza był bodaj najgorszym lekarzem na Sycylii. Czytał wszystko oprócz literatury medycznej, przyznając, że nie może jej zrozumieć. Zdał egzamin dzięki wstawiennictwu najważniejszego szefa mafii na Sycylii, który specjalnie pojechał do Palermo, aby pokonferować z profesorami Tazy na temat stopni, jakie powinni mu wystawić. To także dowodziło, jakim rakiem była sycylijska mafia dla społeczeństwa, wśród którego żyła. Zasługi nic nie znaczyły. Talent nie znaczył nic. Praca nie miała znaczenia. Mafijny Ojciec Chrzestny dawał człowiekowi zawód w podarunku.

Michael miał w bród czasu, by wszystko przemyśleć. W ciągu dnia chodził na spacer po okolicy, zawsze w towarzystwie dwóch pasterzy zatrudnionych w posiadłości dona Tommasina. Pasterze na tej wyspie często byli werbowani jako najemni zabójcy mafii i wykonywali swoją robotę po to tylko, żeby zarobić na życie. Michael rozmyślał o organizacji ojca. Jeżeli będzie dalej prosperowała, rozrośnie się podobnie jak na tej wyspie, w coś rakowatego, co zniszczy cały kraj. Sycylia była już krainą duchów, jej mężczyźni emigrowali do wszystkich innych krajów świata, ażeby zarobić na chleb czy umknąć przed zamordowaniem za korzystanie ze swoich swobód politycznych i eko-

nomicznych.

Podczas tych długich spacerów rzeczą najbardziej uderzającą dla Michaela było cudowne piękno tego kraju; wędrował przez gaje pomarańczowe, które tworzyły cieniste, głębokie pieczary wiodące przez okolicę, ze starodawnymi akweduktami, które tryskały wodą z zębistych paszcz kamiennych węzów wyrzeźbionych na wiele lat przed Chrystusem. Domy pobudowane jak starożytnie rzymskie wille, z ogromnymi marmurowymi portalami i wielkimi, sklepiionymi pokojami, rozpadały się w gruzy lub były zamieszkane przez zabłąkane owce. Na horyzoncie nagie wzgórza jaśniały jak ułożone w wysoki stos zbielełe kości. Jaskrawozielone ogrody i pola przyozdabiały ten pustynny krajobraz niby błyszczące szmaragdami naszyjniki. Czasami zachodził aż do miasteczka Corleone. Osiemnaście tysięcy mieszkańców żyło w domkach rozrzuconych na zboczu góry, w lichych schronieniach zbudowanych z czarnego ciosanego kamienia. W ostatnim roku było w Corleone przeszło sześćdziesiąt morderstw i wydawało się, że nad miasteczkiem unosi się cień śmierci. Dalej las Ficuzza przerywał dziką monotonię ornej równiny.

Dwaj pasterze, będący jego obstawą, zawsze zabierali ze sobą *lupary*, kiedy towarzyszyli Michaleowi na spacerach. Ta zabójcza sycylijska strzelba śrutowa była ulubioną bronią mafii. W istocie szef policji przysłany przez Mussoliniego, aby przepędzić mafię z Sycylii, rozkazał przede wszystkim obniżyć wszystkie kamienne murki na Sycylii do trzech stóp, aby mordercom zbrojnym w *lupary* nie mogły służyć jako miejsca zasadzek. To niewiele pomogło i minister policji rozwiązał problem przez aresztowanie i deportację do karnych kolonii każdego mężczyzny podejrzanego o przynależność do mafii.

Kiedy wojska sojusznicze wyzwoliły Sycylię, amerykański zarząd wojskowy mniemał, że każdy człowiek więziony przez reżim faszystowski jest demokratą, i wielu *mafioso* mianowano burmistrzami miasteczek lub tłumaczami zarządu wojskowego. Ten pomyslny zbieg okoliczności pozwolił mafii odrodzić się i stać groźniejszą niż kiedykolwiek przedtem.

Długie spacerowanie, a wieczorem butelka mocnego wina i obfity posiłek złożony z makaronu i mięsa, pozwalały Michaelowi zasnąć. W bibliotece doktora Tazy były włoskie książki, ale choć Michael mówił włoskim dialektem i w college'u chodził na kursy włoskiego, czytanie ich wymagało sporo wysiłku i czasu. Zaczął mówić niemal bez akcentu i chociaż nie mógł uchodzić za rodowitego mieszkańca tych stron, można go było wziąć za jednego z tych obcych Włochów z dalekiej północy Italii, graniczącej ze Szwajcarią i Niem-

cami.

Zniekształcenie lewej części twarzy nadawało mu swojski wygląd. Było to zeszpecenie pospolite na Sycylii ze względu na brak opieki lekarskiej. Drobne uszkodzenie, którego nie można usunąć po prostu z braku pieniędzy. Wiele dzieci, wielu mężczyzn miało zniekształcenia, które w Ameryce zostałyby usunięte przez mały zabieg chirurgiczny lub nowoczesne metody leczenia.

Michael często myślał o Kay, o jej uśmiechu, jej ciele, i zawsze gryzło go sumienie, że ją zostawił tak brutalnie, bez słowa pożegnania. Rzecz osobliwa, jego sumienia nigdy nie nękali tamci dwaj ludzie, których zamordował; Sollozzo usiłował zabić jego ojca, a kapitan McCluskey oszpecił go do końca życia.

Doktor Taza wciąż nagabywał go, żeby kazał sobie zoperować zniekształconą twarz, zwłaszcza gdy Michael prosił go o środki przeciwbólowe, ponieważ z biegiem czasu ból stawał się coraz gorszy i częstszy. Taza wyjaśniał, że poniżej oka znajduje się nerw twarzowy, od którego rozchodzi się promiennie cały zespół nerwów. W istocie było to ulubione miejsce oprawców z mafii, którzy wyszukiwali je na policzkach swych ofiar ostrym jak igła szpikulcem do kruszenia lodu. Ten właśnie nerw w twarzy Michaela został uszkodzony czy może tkwił w nim odłamek kości. Prosty zabieg w szpitalu w Palermo usunąłby ból na zawsze.

Michael odmawiał. Kiedy doktor pytał dlaczego, Michael uśmiechał się i mówił: „To jest coś z domu”.

I rzeczywiście nie dbał o ból, który był tylko dolegliwym pulsowaniem pod czaszką.

Minęło prawie siedem miesięcy leniwego wiejskiego życia, zanim Michael odczuł prawdziwą nudę. Mniej więcej w tym czasie don Tommasino był bardzo zajęty i rzadko pokazywał się w willi. Miał kłopoty z „nową mafią” wyrastającą w Palermo, młodymi ludźmi, którzy robili fortunę na powojennej koniunkturze budowlanej w tym mieście. Wykorzystując to bogactwo, usiłowali wdzierać się w wiejskie lenna dawnych przywódców mafii, których pogardliwie przezywali starymi kołtunami. Don Tommasino zajęty był obroną swojej domeny. Toteż Michael został pozbawiony towarzystwa starszego pana i musiał się zadowalać opowieściami doktora Tazy, które zaczynały się powtarzać.

Pewnego rana Michael postanowił odbyć długą pieszą wycieczkę do gór za Corleone. Towarzyszyli mu naturalnie obaj pasterze będący jego obstawą.

Nie była to w gruncie rzeczy ochrona przeciwko wrogom Rodziny Corleone. Po prostu dla kogoś nietutejszego było zbyt niebezpieczne wędrować samemu. Okolica roiła się od bandytów, od partyzantów mafijnych walczących przeciwko sobie i narażających przy tym wszystkim innych na niebezpieczeństwo. Mógł także być wzięty za złodzieja okradającego *pagliaio*.

Pagliaio to kryty strzechą szałas wznoszony w polu dla przechowywania narzędzi gospodarskich i jako schronienie dla robotników rolnych, którzy dzięki temu nie muszą ich nosić przez całą długą drogę z domu we wsi. Na Sycylii rolnik nie mieszka na ziemi, którą uprawia. Jest to zbyt niebezpieczne, a każdy grunt orny, jeżeli go posiada, jest nazbyt cenny. Rolnik mieszka w swej wiosce i o wschodzie słońca rozpoczyna pieszą wędrówkę do pracy na dalekich polach. Robotnik, który przyszedłszy do swego *pagliaio* stwierdził, że jest ograbiony, był człowiekiem naprawdę skrzywdzonym. Tego dnia nie miał co wziąć do ust. Kiedy prawo okazało się bezsilne, mafia wzięła pod swoją opiekę te interesy chłopów i rozwiązała problem w sposób typowy. Tropiła i mordowała wszystkich okradających *pagliaio*. Było nieuniknione, że cierpieli przy tym ludzie niewinni. Mogło się zatem zdarzyć, że gdyby Michael przechodził obok świeżo ograbionego *pagliaio*, zostałby wzięty za przestępcę, jeżeli nie byłoby kogoś, kto by za niego poręczył.

Tak więc pewnego słonecznego ranka ruszył przez pola, a za nim jego dwaj wierni pasterze. Jeden był zwykłym prostym chłopem, niemal głupkowatym, milczącym jak grób, o nieprzeniknionej twarzy Indianina. Miał masywną, drobną budowę typowego Sycylijczyka, zanim nadejdzie otyłość wieku średniego. Na imię miał Calo.

Drugi pasterz był bardziej wygadany, młodszy i obejrzał kawałek świata. Głównie oceany, ponieważ podczas wojny służył we włoskiej marynarce i akurat zdążył się dać wytatuować, nim jego okręt został zatopiony, a on sam wzięty do niewoli przez Anglików. Ale tatuaż uczynił go sławnym w wiosce. Sycylijczycy nieczęsto dają się tatuować, nie mają do tego ani okazji, ani inklinacji. (Pasterz Fabrizio uczynił to przede wszystkim dlatego, aby przesłonić duże czerwone znamię na brzuchu). A przecież mafijne wózki targowe miały na bokach wesoło malowane scenki, piękne prymitywne malowidła wykonane z wielkim zamiłowaniem. W każdym razie Fabrizio po powrocie do ojczystej wioski nie był zbyt dumny z tego tatuażu, aczkolwiek przedstawiał on temat drogi sycylijskiemu „honorowi” – małżonka przebijającego sztyletem nagiego mężczyznę i kobietę splecionych w uścisku na włochatym

dole brzucha Fabrizzia. Fabrizzio dowcipkował z Michaeliem i wypytywał go o Amerykę, bo oczywiście było niepodobieństwem ukryć przed nimi jego prawdziwe pochodzenie. Jednakże nie wiedzieli dokładnie, kim jest, poza tym, że się ukrywa i że nie wolno o nim paplać. Czasami Fabrizzio przynosił Michaelowi świeży ser.

Wędrowali w tumanach kurzu wiejskimi drogami, mijając osły ciągnące wesoło pomalowane wózki. Okolica była pełna różowych kwiatów, gajów pomarańczowych, migdałowych i oliwkowych; wszystko kwitło. To była jedna z niespodzianek. Michael spodziewał się jałowej ziemi, ze względu na legendarne ubóstwo Sycylijczyków. A oto zastał kraj bujnej obfitości, usłany kwiatami, pachnący kwieciem cytryny. Był on tak piękny, iż Michael zastanawiał się, jak jego mieszkańcy mogą znieść rozstanie z nim. Miarą tego, jak straszliwy bywał człowiek dla swego bliźniego, był ów ogromny exodus z tego rzekłbyś rajskiego ogrodu.

Michael zamierzał dojść do nadbrzeżnej wioski Mazara, a wieczorem wrócić autobusem do Corleone, i zmęczyć się na tyle, aby móc zasnąć. Obaj pasterze mieli plecaki pełne chleba i sera do zjedzenia w drodze. Nieśli swoje *lupary* zupełnie jawnie, tak jakby wybrali się na polowanie.

Ranek był przepiękny. Michael czuł się tak, jak wówczas, gdy będąc dzieckiem wychodził wcześniej rano w letni dzień, by pograć w piłkę. Wtedy każdy dzień był świeżo obmyty, świeżo wymalowany. I tak samo było teraz. Sycylia była zasłana barwnymi kwiatami, zapach kwiecia pomarańczowego i cytrynowego był tak silny, iż czuł go mimo okaleczenia twarzy, które uciśkało zatoki.

Strzaskanie lewej strony twarzy zagoiło się całkowicie, ale kości zrosły się wadliwie i ucisk na zatoki powodował ból w lewym oku. Poza tym ciekło mu ustawicznie z nosa, zapełniał śluzem chusteczki i często wydmuchiwał nos na ziemię jak miejscowi chłopci, który to zwyczaj brzydził go, kiedy był młodym chłopcem i widywał starych Włochów gardzących chustkami jako angielską frymuśnością i wydmuchujących nosy do asfaltowych rynsztoków.

Poza tym miał uczucie, że jego twarz jest „ciężka”. Doktor Taza mówił, że to wynika z ucisku na zatoki, spowodowanego przez źle zagojone pęknięcie. Nazywał to płytkim złamaniem kości jarzmowej; twierdził, że gdyby leczono ją, zanim kości się zrosły, dałoby się temu łatwo zapobiec przez drobny zabieg chirurgiczny przy zastosowaniu podobnego do łyżki przyrządu służącego do wypchnięcia kości na właściwe miejsce. Teraz natomiast – ciągnął

doktor – trzeba by pojechać do szpitala w Palermo i poddać się poważniejszemu zabiegowi na chirurgii szczękowej, przy którym kość musiałaby zostać na nowo złamana. To Michaelowi wystarczyło. Odmówił. A jednak bardziej niż ból, bardziej niż wyciek z nosa dokuczało mu to uczucie ociężałości w twarzy.

Tego dnia nie dotarł do wybrzeża. Uszedłszy około trzydziestu kilometrów, zatrzymał się z pasterzami w chłodnym, zielonym, wilgotnym cieniu gaju pomarańczowego, aby zjeść drugie śniadanie i wypić wino. Fabrizzio gwarzył o tym, jak kiedyś pojedzie do Ameryki. Najadłszy się i napiwszy, rozłożyli się w cieniu, a Fabrizzio rozpiął koszulkę i naprężył mięśnie brzucha, aby ożywić swój tatuaż. Naga para zaczęła się wic w miłosnej udreće, a sztylet wepchnięty przez męża drgał w ich przebitych ciałach. Wszystkich trzech to rozbawiło. I właśnie gdy to się działo, Michael został rażony tym, co Sycylijczycy nazywają „piorunem”.

Za gajem pomarańczowym rozciągały się zielone wstęgi pól baronowskiej posiadłości. Przy drodze biegnącej od gaju stała willa tak rzymska, iż wydawała się odkopana z ruin Pompei. Był to mały pałac z ogromnym marmurowym portykiem i kanelowanymi greckimi kolumnami; spomiędzy tych kolumn wyszło stadko wiejskich dziewcząt z dwiema tęgimi, ubranymi na czarno matronami po bokach. Dziewczęta były z wioski i najwyraźniej dopełniły odwiecznego obowiązku wobec miejscowego barona, sprzątając jego willę i przygotowując mu ją do zimowego pobytu. Teraz szły w pole nazrywać kwiatów, którymi miały ozdobić pokoje. Zbierały różową *sulla*, fioletową wistarię i łączyły je z kwieciem pomarańczy i cytryn. Dziewczęta, nie widząc mężczyzn odpoczywających w pomarańczowym gaju, podchodziły coraz bliżej i bliżej.

Miały na sobie tanie, barwne, wzorzyste sukienki, które oblepiały ich ciała. Były zaledwie kilkunastoletnie, ale w pełnym rozkwicie kobiecości, do której nasycone słońcem ciało dojrzeva tak szybko. Kilka zaczęło gonić jedną z dziewczyn w stronę gaju. Goniona trzymała w lewej ręce kiść ogromnych fiołkowych winogron, a prawą odrywała grona i ciskała nimi w ścigające. Miała kędzierzawe włosy, tak fiołkowoczarne jak owe winogrona.

Tuż przed gajem stanęła jak wryta, gdyż oczy jej dostrzegły obcą barwę koszul mężczyzn. Stała, wspiąwszy się na palce, jak sarna gotowa do ucieczki. Była bardzo blisko, tak blisko, że trzech mężczyźni mogli dojrzeć każdy rys jej twarzy.

Wszystko było owalami – owalne oczy, kształt twarzy, zarys czoła. Skórę miała cudownej, ciemnokremowej barwy, a oczy, ogromne, fiołkowe czy piwne, ale ciemne, o długich gęstych rzęsach, jak gdyby ocieniały jej śliczną twarz. Jej wargi były pełne, ale nie grube, słodkie, ale nie miękkie, i teraz zabarwione na ciemnoczerwono sokiem z winogron. Była tak niewiarygodnie śliczna, że Fabrizzio wyszeptał żartobliwie: „Jezu Chryste, weź duszę moją, umieram” – ale te słowa zabrzmiały nieco zbyt chrapliwie. Tak jakby go dosłyszała, dziewczyna opadła na pięty, okręciła się w miejscu i pomknęła z powrotem do tych, co ją ścigały. Jej biodra poruszały się pod opiętą drukowaną sukienką ruchem młodego zwierzęcia, równie pogańskim i niewinnie lubieżnym. Kiedy dopadła do swych przyjaciółek, okręciła się znowu, i jej twarz była jak ciemna plama na tle łąnu barwnych kwiatów. Wyciągnęła rękę, w której trzymała winogrona, wskazując gaj. Dziewczęta umknęły ze śmiechem, a czarno ubrane, tęgie matrony przynaglały je do pośpiechu.

Serce łomotało Michaelowi w piersi; czuł lekki zawrót głowy.

Krew zaczęła szybciej krążyć mu w żyłach. Wszystkie wonie tej wyspy napłynęły z wiatrem – kwiecie pomarańczowe i cytrynowe, winogrona, kwiaty. Zdawało mu się, że ciało przeszył mu dreszcz.

I wtedy usłyszał śmiech obu pasterzy.

– Raził was piorun, co? – zapytał Fabrizzio, klepiąc go po ramieniu. Nawet Calo pogładził go przyjaźnie po ręce i powiedział serdecznie:

– Spokojnie, człowieku, spokojnie. – Tak jakby Michaela uderzył samochód. Fabrizzio podał mu butelkę wina i Michael pociągnął duży łyk. To mu rozjaśniło w głowie.

– O czym, u diabła, gadacie, wy cholerni kochankowie owiec? – zapytał.

Obaj mężczyźni się roześmieli. Calo, z twarzą pełną najwyższej powagi, odrzekł:

– Pioruna nie da się ukryć. Jak kogoś trafi, każdy to widzi. Chryste, nie wstydz się tego, człowieku, niektórzy modlą się o ten piorun. Jesteś szczęściarzem.

Michael nie był zbyt zadowolony, że jego uczucia zostały tak łatwo odkryte. Ale coś takiego zdarzyło mu się pierwszy raz w życiu. Nie było w niczym podobne do jego młodzieńczych zadrzeń, niczym nie przypominało jego miłości do Kay, miłości opartej w dużej mierze na jej słodyczy, inteligencji, na pociągu ciemnowłosego do jasnowłosej. Było przemożnym pragnieniem posiadania, niezatartym odcisnięciem się twarzy tej dziewczyny

w jego świadomości, i wiedział, że będzie nawiedzała jego wspomnienia przez wszystkie dni życia, jeżeli jej nie posiadzie. Jego życie nagle się uprościło, skoncentrowało na jednym punkcie, wszystko inne nie było nawet chwili uwagi. Podczas swojego wygnania ciągle myślał o Kay, chociaż czuł, że nigdy już nie będą mogli być kochankami czy nawet przyjaciółmi. Bądź co bądź był mordercą, *mafioso*, który się wykazał. Teraz jednakże Kay została całkowicie wyparta z jego świadomości.

Fabrizzio powiedział żywo:

– Pójdę do wioski, dowiemy się czegoś o niej. Kto wie, może jest bardziej przystępna, niż myślimy. Jest tylko jedno lekarstwo na piorun, nie, Calo?

Drugi pasterz z powagą kiwnął głową. Michael milczał. Poszedł za nimi, kiedy ruszyli drogą do pobliskiej wioski, w której zniknęło stadko dziewcząt.

Wioska była skupiona jak zwykle wokoło centralnego placu ze studnią. Znajdowała się jednak przy głównej drodze, więc było tam kilka sklepów, winiarnie i jedna kawiarenka z trzema stolikami na małym tarasie. Pasterze zasiedli przy jednym ze stolików, a Michael przyłączył się do nich. Nigdzie nie było ani śladu dziewcząt. Wioska zdawała się opustoszała, z wyjątkiem małych chłopców i wałęsającego się osła na placu nie było nikogo.

Właściciel kawiarni podszedł, by ich obsłużyć. Był niskim, krzepkim mężczyzną, niemal karłem. Powitał ich wesoło i postawił na stoliku półmisek grochu.

– Jesteście tu obcy – powiedział – więc pozwólcie, że wam coś doradzę. Spróbujcie mojego wina. Winogrona pochodzą z mojej własnej winnicy, a wino robili osobiście moi synowie. Mieszają je z pomarańczami i cytrynami. To najlepsze wino we Włoszech.

Pozwolili mu przynieść wino w dzbanku i okazało się jeszcze lepsze, niż twierdził, ciemnofioletowe i mocne jak koniak. Fabrizzio zwrócił się do właściciela kawiarni:

– Na pewno znacie wszystkie tutejsze dziewczyny. Widzieliśmy kilka ślicznotek idących drogą, a w szczególności jedna raziała piorunem tu obecnego naszego przyjaciela. – Wskazał Michaela.

Właściciel kawiarni popatrzył na Michaela z nowym zainteresowaniem. Okaleczona twarz wydawała mu się przedtem całkiem zwyczajna, niewarta powtórnego spojrzenia. Ale człowiek rażony piorunem to było co innego.

– Lepiej zabierz ze sobą do domu kilka butelek, przyjacielu – poradził. – Będziesz ich potrzebował, żeby dziś zasnąć.

Michael zapytał go:

– Czy znacie taką dziewczynę z kędzierzawymi włosami? Bardzo jasna cera, bardzo duże oczy, bardzo ciemne. Czy znacie taką dziewczynę w tej wiosce?

– Nie – odrzekł krótko właściciel. – Nie znam żadnej takiej dziewczyny. – Zniknął z tarasu we wnętrzu kawiarni.

Trzej mężczyźni popijali z wolna wino, skończyli dzbanek i zawołali o więcej. Właściciel się nie pokazał. Fabrizzio poszedł po niego do kawiarni. Kiedy wrócił, skrzywił się i powiedział do Michaela:

– Tak jak myślałem, to o jego córce mówiliśmy, i teraz jest na tyłach i krew w sobie burzy, żeby nam zrobić coś złego. Myślę, że lepiej ruszać stąd do Corleone.

Mimo tylu miesięcy na wyspie, Michael Corleone ciągle nie mógł przywyknąć do sycylijskiej drażliwości w sprawach płci, a ta reakcja była zbyt krańcowa, nawet jak na Sycylijczyka. Natomiast obaj pasterze zdawali się przyjmować to jako coś oczywistego. Czekali, żeby Michael zebrał się do odejścia. Fabrizzio dodał:

– Ten stary drań wspomniał, że ma dwóch synów, twardych drągali, na których wystarczy mu zagwizdać. Chodźmy stąd.

Michael rzucił mu zimne spojrzenie. Do tej chwili był spokojnym, łagodnym młodym człowiekiem, typowym Amerykaninem, ale skoro ukrywał się na Sycylii, musiał uczynić coś naprawdę męskiego. Teraz obaj pasterze zobaczyli po raz pierwszy corleonowskie spojrzenie. Don Tommasino, wiedząc, kim jest Michael i co zrobił, zawsze był z nim oględny, traktował go jak „człowieka szanowanego”. Ale ci prostoduszni pasterze owiec wyrobili sobie o Michaelu własną opinię, i to nietrafną. To zimne spojrzenie, kamienna, blada twarz Michaela, gniew, który uchodził z niego jak zimna para z lodu, pohamowały ich śmiech i zdmuchnęły poufałą zażyłość.

Kiedy zauważył, że teraz odnoszą się doń z właściwą, pełną respektu uwagą, Michael polecił:

– Sprowadźcie mi tu tego człowieka.

Nie zawahali się. Zarzucili *lupary* na ramiona i weszli w mroczny chłód kawiarni. Kilka minut później ukazali się znowu, prowadząc między sobą właściciela. Krępy mężczyzna nie wyglądał wcale na przestraszonego, ale w jego gniewie była pewna ostrożność.

Michael pochylił się w krzesło i przypatrywał mu się chwilę. Potem ode-

zwał się bardzo spokojnie:

– Zdaje się, że obraziłem was, mówiąc o waszej córce. Proszę o wybaczenie, jestem obcy w tym kraju, nie znam dobrze zwyczajów. Niech mi będzie wolno powiedzieć jedno. Nie chciałem uchybić wam ani jej.

Na pasterzach wywarło to wrażenie. Głos Michaela nigdy tak nie brzmiał, gdy mówił do nich. Była w nim władczość i powaga, mimo że Michael przeproszał. Właściciel kawiarni wzruszył ramionami, mając się jeszcze bardziej na baczności, widząc, że nie ma do czynienia z jakimś wiejskim chłopakiem.

– Kim jesteście i czego chcecie od mojej córki?

Bez najmniejszego wahania Michael odpowiedział:

– Jestem Amerykaninem ukrywającym się na Sycylii przed policją mojego kraju. Na imię mam Michael. Możecie donieść policji i zrobić na tym fortunę, ale wtedy wasza córka straci ojca, zamiast zyskać męża. W każdym razie chcę poznać waszą córkę. Za waszym pozwoleniem i pod nadzorem waszej rodziny. Z całą przystojnością. Z całym szacunkiem. Jestem przyzwoitym człowiekiem i ani mi w głowie pohańbić waszą córkę. Chcę ją poznać, porozmawiać z nią, a potem, jeżeli oboje zostaniemy rażeni, pobierzemy się. Jeżeli nie, nie zobaczycie mnie więcej. Bądź co bądź mogę wydać się jej niesympatyczny, a na to nikt nie poradzi. Ale jeśli nadejdzie odpowiednia pora, powiem wam o sobie wszystko, co ojciec żony powinien wiedzieć.

Wszyscy trzej mężczyźni patrzyli na niego zdumieni. Fabrizio szepnął z respektem:

– To prawdziwy piorun.

Właściciel kawiarni po raz pierwszy nie miał miny tak zadufanej, tak pogardliwej; jego gniew nie był już taki pewny. Wreszcie zapytał:

– Czy jesteście przyjacielem przyjaciół?

Ponieważ zwykły Sycyljczyk nie może nigdy wymówić słowa mafia, właściciel kawiarni tylko w ten sposób mógł okrężnie zapytać, czy Michael jest członkiem mafii. Było to przyjętym sposobem pytania, czy ktoś do niej należy, ale zazwyczaj nie zwracano się z tym do osoby bezpośrednio zainteresowanej.

– Nie – odrzekł Michael. – Jestem obcy w tym kraju. Właściciel kawiarni spojrział znowu na niego, na okaleczoną lewą stronę twarzy, na jego długie nogi, rzadkość na Sycylii. Przypatrzył się obu pasterzom noszącym swoje *lupary* zupełnie jawnie, bez obawy, i wspomniał, jak weszli do kawiarni i powiedzieli, że ich *padrone* chce z nim pomówić. Właściciel warknął wtedy, że

ten łobuz ma się wynosić z jego tarasu, na co jeden z pasterzy powiedział: „Wierzcie mi na słowo, że lepiej, abyście wyszli i pogadali z nim sami”. I coś kazało mu wyjść. A teraz coś sprawiło, iż uświadomił sobie, że najlepiej będzie okazać temu obcemu pewną uprzejmość. Powiedział niechętnie:

– Przyjdźcie w sobotę po południu. Nazywam się Vitelli, a mój dom jest tam, na wzgórzu nad wioską. Ale przyjdźcie tu, do kawiarni, ja was zaprowadzę.

Fabrizio chciał coś powiedzieć, ale Michael rzucił mu tylko jedno spojrzenie i pasterz zamilkł. To nie uszło uwagi Vitellego. Toteż kiedy Michael wstał i wyciągnął doń rękę, właściciel kawiarni uściśnął ją z uśmiechem. Miał zamiar wypytać się o niego, a gdyby odpowiedź wypadła niepomyślnie, zawsze mógł przywitać Michaela ze swymi dwoma synami uzbrojonymi w strzelby. Właściciel kawiarni nie był pozbawiony własnych kontaktów z przyjaciółmi przyjaciół. Ale coś mu podpowiadało, że jest to jedno z tych niebywałych zrządeń losu, w które zawsze wierzą Sycylijczycy, coś mu mówiło, że piękność jego córki może jej przynieść fortunę, a rodzinie zabezpieczenie. I przychodziło to w porę. Niektórzy miejscowi młodzieńcy już zaczęli kręcić się koło niej i ten obcy z uszkodzoną twarzą mógł ich odstraszyć, co było konieczne. Vitelli, aby okazać dobrą wolę, ofiarował przybyszom na drogę butelkę swojego najlepszego i najzimniejszego wina. Zauważył, że rachunek zapłacił jeden z pasterzy. To wywarło na nim jeszcze większe wrażenie, bo jasno wskazywało, że Michael jest zwierzchnikiem obu towarzyszących mu mężczyzn.

Michael przestał interesować się dalszą wycieczką. Znaleźli garaż i wynajęli samochód z kierowcą, który ich odwiózł do Corleone, a na jakiś czas przed kolacją obaj pasterze widocznie powiadomili doktora Tazę o tym, co się zdarzyło. Tego wieczoru, siedząc w ogrodzie, doktor Tazo powiedział do dona Tommasino:

– Nasz przyjaciel został dzisiaj rażony piorunem.

Don Tommasino nie wydawał się zaskoczony. Mruknął:

– Wolałbym, żeby piorun raził niektórych tych młodziaków z Palermo, może wtedy miałbym trochę spokoju.

Mówił o nowych szefach mafii, pojawiających się w dużych miastach prowincji Palermo i rzucających wyzwanie takim bojownikom starego reżimu jak on sam. Michael powiedział do Tommasino:

– Proszę powiedzieć tym dwóm pasterzom, żeby mnie zostawili samego

w niedzielę. Jadę na obiad do domu tej dziewczyny i nie chcę, żeby się przy mnie pętali.

Don Tommasino potrząsnął głową.

– Jestem za ciebie odpowiedzialny wobec twojego ojca, nie prosz mnie o to. I jeszcze jedno: słyszałem, że mówiłaś nawet o małżeństwie. Na to nie mogę pozwolić, dopóki nie wyślę kogoś, aby porozmawiał z twoim ojcem.

Michael Corleone był bardzo ostrożny. Bądź co bądź miał do czynienia z człowiekiem szanowanym.

– Don Tommasino, znasz mojego ojca. Jest to człowiek, który głuźnie, kiedy ktoś mówi mu słowo „nie”. I nie odzyskuje słuchu, dopóki nie odpowiedzą mu „tak”. Otóż słyszał moje „nie” wiele razy. Rozumiem potrzebę tych dwóch strażników, nie chcę przysparzać ci kłopotów, mogą się wybrać ze mną w niedzielę, ale jeżeli będę chciał się ożenić, to się ożenię. Jest jasne, że skoro nie pozwalam własnemu ojcu wtrącać się w moje życie osobiste, byłoby dla niego zniewagą, gdybym na to pozwolił tobie.

Capo mafioso westchnął.

– Ano, to będzie musiało być małżeństwo. Wiem o tym twoim piorunie. To dobra dziewczyna, z przyzwoitej rodziny. Nie możesz jej pohańbić, bo ojciec próbowałby cię zabić, a wtedy musiałbyś przelać krew. Poza tym znam dobrze tę rodzinę, nie mogę do tego dopuścić.

– Może ona nie będzie chciała na mnie patrzeć – odrzekł Michael. – Jest młodziutka, może uważać mnie za starego. – Spostrzegł, że obaj mężczyźni uśmiechają się doń. – Będę potrzebował trochę pieniędzy na prezenty i chyba będzie mi potrzebny samochód.

Don kiwnął głową.

– Fabrizzio wszystkim się zajmie, to bystry chłopak, nauczyli go mechaniki w marynarce. Jutro rano dam ci trochę pieniędzy i zawiadomię twojego ojca, co się dzieje. To muszę zrobić.

Michael zapytał doktora Tazę:

– Czy macie coś, co by osuszyło ten przekłety śluz stale ciekący mi z nosa? Nie mogę pozwolić, żeby ta dziewczyna widziała, jak go ciągle ocieram.

– Wysmaruję ci nos lekarstwem, jak będziesz miał się z nią zobaczyć – odrzekł doktor Taza. – Od tego trochę zdrętwieje ci twarz, ale się nie martw, jeszcze przez jakiś czas nie będziesz jej całował.

Doktor i don uśmiechnęli się.

Przed niedzielą Michael miał już alfę romeo, sfatygowaną, lecz zdatną do użytku. Wybrał się także autobusem do Palermo, żeby zakupić prezenty dla dziewczyny i jej krewnych. Dowiedział się, że na imię ma Apollonia, i co noc rozmyślał o jej ślicznej twarzy i ślicznym imieniu. Musiał pić dużo wina, żeby móc zasnąć, i stare służące w domu otrzymały polecenie, by mu zostawić ochłodzoną butelkę przy łóżku. Co wieczór wypijał ją do dna.

W niedzielę, wśród bicia dzwonów kościelnych ogarniającego całą Sycylię, zajechał alfą romeo do wsi i zatrzymał wóz tuż przed kawiarnią. Na tylnym siedzeniu byli Calo i Fabrizzio ze swymi *luparami* i Michael nakazał im czekać w kawiarni, nie mieli iść do domu. Kawiarnia była zamknięta, ale Vitelli oczekiwał ich oparty o poręcz pustego tarasu.

Uścisnęli sobie dłonie, Michael wziął trzy paczki z prezentami i pobrnął z Vitellim pod górę do jego domu. Okazał się większy od zwykłych wiejskich chat, Vitelliowie nie byli dotknięci ubóstwem.

Wnętrze domu było swojskie, z posążkami Madonny w szklanych klozaczach i wotywnymi lampkami pobłyskującymi czerwono u ich stóp. Czekali tam dwaj krzepcy młodzieńcy, którzy ledwie wyszli z wieku chłopięcego, ale wyglądali na starszych, bo ciężko pracowali na gospodarstwie. Matka była kobietą energiczną, tak samo tęgą jak mąż. Dziewczyny nigdzie nie było.

Po dokonaniu prezentacji, której Michael prawie nie słyszał, zasiedli w pokoju mogącym być bawialnią czy równie dobrze odświętnym pokojem jadalnym. Był zastawiony najróżniejszymi meblami i niezbyt duży, ale na Sycylii reprezentował splendor klasy średniej.

Michael ofiarował prezenty *signorowi* Vitelli i *signorze* Vitelli. Dla ojca był złoty obcinacz do cygar, dla matki sztuka najprzedniejszej tkaniny, jaką można było dostać w Palermo. Miał jeszcze jedną paczkę dla dziewczyny. Prezenty zostały przyjęte z powściągliwymi podziękowaniami. Były nieco przedwcześnie, nie powinien był nic dawać przed drugą wizytą.

Ojciec powiedział mu prosto z mostu, po wiejsku:

– Nie myślcie, że jesteśmy byle kim, żeby tak łatwo przyjmować obcych w naszym domu. Don Tommasino zaręczył za was osobiście, a nikt w tej prowincji nie wątpiłby w słowo tego zacnego człowieka. I dlatego witamy was u siebie. Ale muszę wam powiedzieć, że jeżeli macie poważne zamiary co do mojej córki, będziemy musieli dowiedzieć się nieco więcej o was i waszej rodzinie. Sami to rozumiecie, wasza rodzina pochodzi z tego kraju.

Michael kiwnął głową i odrzekł uprzejmie:

– W każdej chwili powiem wam wszystko, co życzyście sobie wiedzieć.
Signor Vitelli podniósł dłoń.

– Nie jestem człowiekiem wścibskim. Najpierw przekonajmy się, czy to potrzebne. W tej chwili jesteście mile widziani w moim domu, jako przyjaciel *dona Tommasino*.

Mimo lekarstwa, którym miał wysmarowany wewnątrz nos, Michael po prostu wyczuł obecność dziewczyny w pokoju. Obrócił się i oto stała w łukowych drzwiach prowadzących na tyły domu. Pachniała świeżymi kwiatami i cytrynowym kwieciem, ale nie miała ich w swoich kruczoczarnych puklach ani na prostej czarnej sukience, najwyraźniej najlepszej, odświętnej. Posłała mu szybkie spojrzenie i lekki uśmiech, nim skromnie spuściła oczy i siadła obok matki.

I znowu Michael poczuł ten brak tchu, tę przelewającą się przez ciało falę czegoś, co było nie tyle pożądaniem, ile szaloną zachłannością. Po raz pierwszy zrozumiał klasyczną zazdrość włoskiego mężczyzny. W owym momencie gotów był zabić każdego, kto dotknąłby tej dziewczyny, kto by spróbował domagać się jej, odebrać mu ją. Pragnął mieć ją na własność tak dziko, jak skąpiec pragnie mieć złote monety, tak chciwie, jak rolnik pragnie mieć własną ziemię. Nic nie mogło powstrzymać go od zdobycia na własność tej dziewczyny, od posiadania jej, zamknięcia jej w domu i trzymania tam uwięzionej tylko dla siebie. Nie chciał, żeby ktokolwiek bodaj ją widział. Kiedy obróciła się z uśmiechem do jednego ze swoich braci, Michael rzucił temu młodzieńcowi mordercze spojrzenie, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Rodzina widziała, że jest to klasyczny przypadek pioruna, i to ją uspokoiło. Ten młody człowiek byłby gliną w rękach ich córki, dopóki by się nie pobrali. Potem, rzecz jasna, rzeczy zmieniłyby się, ale to nie było ważne.

Michael kupił sobie w Palermo nowy garnitur i nie był już niedbale ubranym wieśniakiem, a dla rodziny stało się oczywiste, że musi być jakimś *donem*. Jego okaleczona twarz nie nadawała mu tak przykrego wyglądu jak sądził; ponieważ z drugiego profilu wyglądał tak przystojnie, zniekształcenie stawało się nawet interesujące. A w każdym razie był to kraj, gdzie aby uzyskać miano zezpeconego, należało współzawodniczyć z całą rzeszą mężczyzn, którzy ponieśli ciężkie fizyczne obrażenia.

Michael popatrzał wprost na dziewczynę, na śliczny owal jej twarzy. Spozstrzegł, że wargi jej są w tej chwili nieomal granatowe, tak pociemniały od pulsującej w nich krwi. Powiedział, nie śmiąc wymówić jej imienia:

– Widziałem cię parę dni temu przy gaju pomarańczowym. Kiedy razem uciekałyście. Mam nadzieję, że was nie przestraszyłem?

Dziewczyna podniosła nań oczy na ułamek chwili. Potrząsnęła głową. Ale śliczność tych oczu sprawiła, że Michael odwrócił wzrok. Matka powiedziała cierpko:

– Apollonio, odezwijże się do tego biedaka, przejechał całe mile, żeby zobaczyć się z tobą.

Jednakże długie, czarne rzęsy dziewczyny pozostawały opuszczone jak skrzydła. Michael wręczył jej prezent zawinięty w złoty papier i dziewczyna położyła go sobie na kolanach. Ojciec przyzwolił:

– Rozwiń to – ale jej dłonie się nie poruszyły. Były drobne i smagłe jak dłonie dziecka. Matka wyciągnęła rękę i niecierpliwie odwinęła paczuszkę, starając się nie rozedrzeć cennego papieru. Znieruchomiała, widząc pudełko od jubilera, z czerwonego aksamitu; nigdy nie miała czegoś takiego w rękę i nie wiedziała, jak nacisnąć sprężynkę. Jednakże wiedziona czystym instynktem otworzyła je i wyjęła podarek.

Był to gruby złoty łańcuch do noszenia jako naszyjnik, i to zrobiło na nich wrażenie – nie tylko przez swoją oczywistą wartość, ale i dlatego, że w owej społeczności podarunek ze złota był zarazem deklaracją najpoważniejszych zamiarów. Był równoznaczny z oświadczeniami czy raczej oznaczał intencję oświadczenia się o czyjąś rękę. Nie mogli dłużej wątpić o poważnych zamiarach tego obcego. I nie mogli wątpić o jego zamożności.

Apollonia jeszcze nie dotknęła prezentu. Matka wyciągnęła go ku niej, ona zaś uniosła na chwilę długie rzęsy, po czym spojrzała wprost na Michaela swymi sarnimi, ciemnymi, poważnymi oczyma i powiedziała:

– *Grazie*. – Po raz pierwszy usłyszał wtedy jej głos.

Miał on w sobie całą aksamitną miękkość młodości i nieśmiałości i zadźwięczał Michaelowi w uszach. Michael nadal nie patrzył na nią i rozmawiał z jej ojcem i matką, po prostu dlatego, że jej widok wprawiał go w takie zmieszanie. Zauważył jednak, że mimo skromnej, luźnej sukni, ciało jej nieomal lśni przez materiał czystą zmysłowością. I spostrzegł, że skóra jej ciemnieje od rumieńca, ciemnokremowa cera staje się jeszcze ciemniejsza od krwi napływającej do twarzy.

W końcu Michael wstał, szykując się do odejścia, i cała rodzina wstała również. Pożegnali się oficjalnie, dziewczyna wreszcie stanęła naprzeciw niego, a kiedy podali sobie dłonie, drżeniem poczuł dotknięcie jej skóry na swo-

jej, skóry ciepłej i szorstkiej, skóry wieśniaczej. Ojciec odprowadził go w dół ze wzgórza do samochodu i zaprosił na obiad na następną niedzielę. Michael kiwnął głową, ale wiedział, że nie będzie mógł czekać tak długo, by znowu zobaczyć dziewczynę.

I nie czekał. Nazajutrz pojechał do wsi bez swoich pasterzy i zasiadł na ogrodowym tarasie kawiarni, aby pogwarzyć z ojcem. *Signor Vitelli* ulitował się nad nim i posłał po żonę i córkę, by przyszły do nich do kawiarni. To spotkanie nie było już tak krępujące. Apollonia była mniej nieśmiała, mówiła więcej. Ubrana była w swoją codzienną sukienkę, która o wiele lepiej pasowała do kolorytu jej skóry.

Następnego dnia powtórzyło się to samo. Tylko że tym razem Apollonia miała na szyi złoty łańcuch, który jej podarował. Michael uśmiechnął się do niej, wiedząc, że jest to znak dla niego. Poszedł z nią na wzgórze, a matka kroczyła tuż za nimi. Oboje młodzi nie mogli jednak nie ocierać się o siebie, a raz Apollonia potknęła się i oparła o niego, tak że ją musiał przytrzymać, i jej ciało, tak ciepłe i żywe w jego rękach, sprawiło, że wezbrała w nim fala pożądania. Nie widzieli, że za nimi matka się uśmiechnęła, jej córka bowiem była jak górską kozica i nie potknęła się na tej ścieżce od czasu, gdy była dzieckiem w pieluszkach. A matka uśmiechnęła się, ponieważ tylko w taki sposób ten młody człowiek mógł dotknąć jej córki przed ślubem.

Tak to trwało przez dwa tygodnie. Michael przywoził jej podarunki przy każdej wizycie i stopniowo stała się mniej nieśmiała. Ale nigdy nie mogli się spotkać bez przyzwoitki. Apollonia była wiejską dziewczyną, ledwie piśmienną, niemającą żadnego pojęcia o świecie, ale odznaczała się świeżością, ciekawością życia, co wraz z barierą językową sprawiało, że wydawała się interesująca. Wszystko poszło bardzo prędko na prośbę Michaela. Ponieważ zaś dziewczyna była nim nie tylko zafascynowana, lecz także wiedziała, że musi być bogaty, wyznaczono datę ślubu na niedzielę za dwa tygodnie.

Teraz wmieszał się don Tommasino. Otrzymał z Ameryki wiadomość, że Michael nie podlega rozkazom, ale należy przedsięwziąć wszelkie podstawowe środki ostrożności. Toteż don Tommasino mianował się opiekunem pana młodego, żeby zapewnić obecność swojej własnej obstawy. Calo i Fabrizzio również należeli do świty weselnej z Corleone, podobnie jak doktor Taza. Państwo młodzi mieli zamieszkać w otoczonej kamiennym murem willi doktora Tazy.

Ślub odbył się tak jak zwykły ślub chłopski. Wieśniacy stali na ulicach

i rzucali kwiaty, gdy orszak weselny, główni uczestnicy i zaproszeni goście szli pieszo z kościoła do domu panny młodej. Ślubna procesja obrzucała sąsiadów migdałami w cukrze, tradycyjnymi słodyczami weselnymi, a z tych, co pozostały, usypano cukrowobiałe góry na łożu małżeńskim oblubienicy, w tym przypadku jedynie symbolicznym, jako że pierwszą noc młodzi mieli spędzić w willi pod Corleone. Uczta weselna przeciągnęła się do północy, lecz państwo młodzi mieli przedtem odjechać samochodem. Kiedy nadeszła pora, Michael dowiedział się ze zdumieniem, że na prośbę panny młodej jedzie z nimi do willi pod Corleone jej matka. Ojciec wyjaśnił, że jego córka jest młoda, jest dziewicą i jest trochę wystraszona, będzie potrzebowała kogoś, żeby ją właściwie nastawił, gdyby coś źle poszło. Te sprawy czasem bywają bardzo delikatne. Michael spostrzegł, że Apollonia spogląda na niego z niepewnością w swoich ogromnych, sarnich oczach. Uśmiechnął się do niej i kiwnął głową.

I tak się stało, że odjechali do willi pod Corleone z teściową w samochodzie. Ale starsza kobieta od razu naradziła się ze służbą doktora Tazy, uściśkała i ucałowała córkę, po czym zniknęła ze sceny. Michael i jego oblubienica mogli udać się sami do swej ogromnej sypialni.

Apollonia miała jeszcze na sobie suknię ślubną z narzuconą na wierzch peleryną. Jej kuferek i torbę przyniesiono z samochodu do pokoju. Na małym stoliku stała butelka wina i półmisek małych weselnych ciasteczek. Ani na chwilę nie tracili z oczu olbrzymiego łoża z baldachimem. Dziewczyna czekała pośrodku pokoju, by Michael uczynił pierwszy krok.

I oto teraz, kiedy znalazł się z nią sam na sam, kiedy posiadał ją prawnie, kiedy nie było już żadnych przeszkód, aby nacieszył się tym ciałem i twarzą, o których śnił co noc, Michael nie mógł się zdobyć na to, aby do niej podejść. Patrzył, jak zdejmowała ślubny welon i przewieszała go przez krzesło, a wianek kładła na małej toaletce. Był tam komplet perfum i kremów, które Michael kazał przysłać z Palermo. Dziewczyna przez chwilę wodziła po nich oczami.

Michael pogasił światła, myśląc, że czeka, ażeby ciemność przesłoniła jej ciało, kiedy się będzie rozbierała. Ale sycylijski księżyc przeniknął przez otwarte okiennice, błyszczący jak złoto, toteż Michael poszedł je przymknąć, ale niecałkowicie, bo w pokoju zrobiłoby się za gorąco.

Dziewczyna wciąż stała przy stoliku, więc Michael wyszedł z pokoju i udał się korytarzem do łazienki. Potem on, doktor Taza i don Tommasino

wypili razem w ogrodzie po szklance wina, podczas gdy kobiety przygotowywały się na spoczynek. Spodziewał się, że kiedy wróci, zastanie Apollonię w nocnej koszuli, leżącą już pod kołdrą. Zdziwiony był, że matka nie wyświadczyła córce tej przysługi. A może Apollonia chciała, by on sam pomógł jej się rozebrać. Był jednak pewny, że jest nazbyt wstydliva, nazbyt niewinna, by się zachować tak przedsiębiorczo.

Wróciwszy do sypialni, zastał pokój pogrążony w zupełnych ciemnościach, ktoś bowiem pozamykał całkowicie okiennice. Podszedł po omacku do łóżka i rozpoznał zarysy ciała Apollonii, która leżała pod kołdrą, plecami do niego, odsunięta i skulona. Rozebrał się i wślizgnął nagi pod kołdrę. Wyciągnął rękę i dotknął jedwabistej, nagiej skóry. Apollonia nie włożyła nocnej koszuli i ta śmiałość go zachwyciła. Powoli, ostrożnie położył dłoń na jej ramieniu i delikatnie przycisnął, aby się obróciła do niego. Obróciła się powoli i jego dłoń dotknęła jej piersi, miękkiej i pełnej, i oto Apollonia już była w jego ramionach, tak szybko, że ich ciała zwały się jak porażone jedwabistą elektrycznością, i nareszcie ją obejmował, całował głęboko w gorące usta, przyciskał do siebie jej ciało i piersi, a potem wsunął się na nią.

Jej ciało i włosy były jak napięty jedwab, wszystka była teraz żarliwością, przywierała do niego dziko w jakimś dziewiczym erotycznym uniesieniu. Kiedy w nią wszedł, sapnęła i znieruchomiała na sekundę, a potem potężnym wypchnięciem miednicy opasała jego biodra swoimi atłasowymi nogami. Kiedy doszli do końca, byli ze sobą zvarci tak zaciekle, wciskali się jedno w drugie tak gwałtownie, że oderwanie się od siebie było jak przedśmiertny dreszcz.

Tej nocy i w następnych tygodniach Michael Corleone zrozumiał wagę przywiązywaną do dziewictwa przez ludzi prostych. Był to okres takiej zmysłowości, jakiej nie zaznał nigdy dotąd, zmysłowości połączonej z poczuciem męskiej siły. W tych pierwszych dniach Apollonia stała się prawie jego niewolnicą. Jeżeli tylko między dwojgiem ludzi była ufność, jeżeli było uczucie, młoda, gorąca dziewczyna, zbudzona z dziewictwa do erotycznej wiedzy, była równie przepyszna jak idealnie dojrzały owoc.

Ona ze swej strony rozjaśniała nieco posępną, męską atmosferę willi. Od razu następnego dnia po nocy poślubnej odprawiła matkę i przewodziła przy wspólnym stole z pogodnym dziewczęcym urokiem. Don Tommasino jadał z nimi co wieczór kolacje, a doktor Taza opowiadał wszystkie swoje stare historie, gdy pili wino w ogrodzie pełnym posągów przyozdobionych girlanda-

mi krwistoczerwonych kwiatów; i tak przyjemnie mijały wieczory. Nocami w swojej sypialni nowożeńcy spędzali godziny na gorączkowych pieśczołach. Michael nie mógł się nasycić pięknie rzeźbionym ciałem Apollonii, jej skórą koloru miodu, ogromnymi, ciemnymi oczami gorejącymi namiętnością. Miała cudownie świeży zapach, zapach cielesny, w którym była woń jej kobiecości, nieomal słodki i nieznośnie podniecający. Jej dziewicza namiętność dorównywała jego męskiej żądzy i często już świtało, gdy zapadali w pełen wyczerpania sen. Czasem, zmęczony, lecz jeszcze nie mogąc zasnąć, Michael przysiadł na parapecie okna i patrzył na nagie ciało śpiącej Apollonii. Jej twarz w spoczynku była też śliczna, twarz doskonała, taka, jaką widywał dotąd jedynie w książkach o sztuce, gdzie były malowane włoskie Madonny, których nie sposób było uznać za dziewicze, mimo całej umiejętności artysty.

W pierwszym tygodniu małżeństwa jeździli alfą romeo na pikniki i krótkie wycieczki. Potem jednakże don Tommasino wziął Michaela na stronę i wyjaśnił, że przez to małżeństwo jego obecność oraz tożsamość stały się powszechnie znane w tej części Sycylii oraz że należy przedsięwziąć środki ostrożności przeciwko wrogom Rodziny Corleone, których długie ramię sięgało i do tego wyspiarskiego schronienia. Don Tommasino wystawił wokoło willi uzbrojonych strażników, a obaj pasterze, Calo i Fabrizzio, nie ruszali się poza mury. Tak więc Michael i jego żona musieli pozostać na terenie posiadłości. Michael spędzał czas, ucząc Apollonię czytać i pisać po angielsku oraz ucząc prowadzić samochód. W owym czasie don Tommasino był czymś zaprzątnięty i przez to nie najlepszy jako towarzystwo; doktor Taza mówił, że ciągle ma kłopoty z nową mafią w mieście Palermo.

Pewnego wieczoru w ogrodzie stara kobieta ze wsi, która pracowała w domu jako służąca, przyniosła półmisek świeżych oliwek, po czym zwróciła się do Michaela i zapytała:

– Czy to prawda, co wszyscy opowiadają, że jesteście synem dona Corleone z Nowego Jorku, Ojca Chrzestnego?

Michael spostrzegł, że don Tommasino potrząsa głową z niesmakiem, widząc, że ich tajemnica jest powszechnie znana. Ale stara kobieta patrzyła na niego z takim zatroskaniem, tak wyraźnie było dla niej ważne znać prawdę, że Michael kiwnął głową.

– Znacie mojego ojca? – zapytał.

Kobieta miała na imię Filomena, a twarz jej była pomarszczona i brunatna jak orzech, poczerniałe zęby prześwitywały spod łupin warg. Po raz pierw-

szy, odkąd przebywał w willi, uśmiechnęła się do niego.

– Ojciec Chrzestny uratował mi kiedyś życie – rzekła – a i rozum także. – Wskazała swoją głowę.

Najwyraźniej chciała powiedzieć coś jeszcze, więc Michael uśmiechnął się, by dodać jej odwagi. Zapytała nieomal z lękiem:

– Czy to prawda, że Luca Brasi nie żyje?

Michael znów kiwnął głową i zdumiał się, widząc wyraz ulgi na twarzy starej kobiety. Filomena przeżegnała się:

– Boże przebacz mi, ale oby jego dusza smażyła się w piekle po wiek wieków.

Michael przypomniał sobie zaciekawienie, jakie w nim niegdyś budził Brasi, i nagle wyczuł, że ta kobieta zna historię, której Hagen i Sonny nie chcieli mu opowiedzieć. Nalał jej szklankę wina i kazał usiąść.

– Opowiedzcie mi o moim ojcu i o Brasim – poprosił łagodnie. – Coś nie-
coś wiem, ale jak się zaprzyjaźnili i czemu Brasi był taki oddany mojemu
ojcu? Nie bójcie się, opowiedzcie mi.

Pomarszczona twarz Filomeny, jej oczy ciemne jak rodzyunki obróciły się do donna Tommasino, który dał jakiś znak przyzwolenia. I Filomena wypełniła wieczór opowiadaniem swojej historii.

Przed trzydziestu laty była położną na Dziesiątej Alei w Nowym Jorku, obsługującą kolonię włoską. Kobiety były tam stale w ciąży i Filomena nie-
źle prosperowała. Nauczyła lekarzy paru rzeczy, kiedy próbowali interwenio-
wać przy porodzie. Jej mąż był wtedy zamożnym właścicielem sklepu spo-
żywczego, dziś już nie żyje, biedaczysko, a ona mu błogosławi, choć był kar-
ciarzem i dziwkarczem, i nigdy nie pomyślał, żeby coś odłożyć na czarną go-
dzinę. W każdym razie pewnej przekłętej nocy przed laty trzydziestu, kiedy
wszyscy porządni ludzie od dawna leżeli w łóżkach, ktoś zapukał do drzwi
Filomeny. Nie przestraszyła się wcale, bo taką cichą godzinę roztropnie wy-
bierały noworodki, żeby bezpiecznie przyjść na ten grzeszny świat, toteż
ubrała się i otworzyła drzwi. Za nimi stał Luca Brasi, który już wtedy miał
opinię groźnego. Wiadomo było także, iż jest kawalerem. Toteż Filomena od
razu się przelękała. Pomyślała, że przyszedł zrobić krzywdę jej mężowi, że
może mąż nieroztropnie odmówił Brasimu jakiejś drobnej uprzejmości.

Ale Brasi przyszedł w zwykłej sprawie. Powiedział Filomenie, że pewna
kobieta zaczyna rodzić, że jest w domu, który znajduje się dosyć daleko od
tej dzielnicy, że ona ma tam z nim pojechać. Filomena od razu wyczuła, że

coś jest nie w porządku. Tej nocy brutalna twarz Brasiego wyglądała nieomal jak twarz szaleńca, najwyraźniej był we władzy jakiegoś demona. Usiłowała zaprotestować, mówiąc, że obsługuje jedynie kobiety, których historię zna, ale on wcisnął jej w ręce garść dolarów i szorstko rozkazał iść ze sobą. Była zbyt wystraszona, aby odmówić.

Na ulicy czekał ford z kierowcą tego samego pokroju co Luca Brasi. Jechali nie więcej niż trzydzieści minut do małego domku w Long Island City, prosto przez most. Był to domek dwurodzinny, lecz teraz najwyraźniej wynajmowany tylko przez Brasiego i jego kompanów. Albowiem w kuchni siedziało tam paru innych drabów, grając w karty i pijąc. Brasi zaprowadził Filomenę na górę, do sypialni. W łóżku leżała młoda, ładna dziewczyna, wyglądająca na Irlandkę, z umalowaną twarzą, rudymi włosami i brzuchem rozдутym jak u maciory. Biedaczka była wystraszona. Kiedy zobaczyła Brasiego, odwróciła głowę z przerażeniem, tak, z przerażeniem, i rzeczywiście wyraz nienawiści na złej twarzy Brasiego był najokropniejszą rzeczą, jaką ona sama widziała w życiu. (Tu Filomena powtórnie się przeżegnała).

Krótko mówiąc, Brasi wyszedł z pokoju. Dwaj z jego ludzi pomogli położyć i dziecko się narodziło, a wyczerpana matka zapadła w głęboki sen. Wezwano Brasiego i Filomena, która owinęła noworodka w koc, podała mu ten tobołek i powiedziała:

– Jeżeli jesteś ojcem, zabierz ją. Moja robota skończona.

Brasi łypnął na nią złowrogo, z piętnem obłędu na twarzy.

– Tak, jestem ojcem. Ale nie chcę, żeby żył ktokolwiek z tej rasy. Zanieś ją do piwnicy i wrzuć do pieca.

Przez chwilę Filomena myślała, że źle go zrozumiała.

Zaskoczyło ją słowo „rasa”. Czy miał na myśli to, że dziewczyna nie jest Włoszką? Czy też, że jest wyraźnie najgorszego gatunku, krótko mówiąc, kurwa? Czy też, że on nie chce pozwolić żyć niczemu, co pochodziło z jego lędźwi? A potem doszła do wniosku, że to miał być brutalny żart. Powiedziała krótko:

– To twoje dziecko, rób sobie, co chcesz – i próbowała wręczyć mu zawiniątko.

W owym momencie ocknęła się wyczerpana matka i obróciła na boku do nich. Zdążyła dojrzeć, jak Brasi odepchnął gwałtownie zawiniątko, przyciskając noworodka do piersi Filomeny. Zawołała słabym głosem:

– Luc, Luc, przepraszam! – i Brasi obrócił się do niej.

– To było okropne – mówiła teraz Filomena. – Takie okropne. Tych dwoje przypominało wściekłe zwierzęta. Nie było w nich nic ludzkiego. Ich wzajemna nienawiść aż gorzała w pokoju. W owej chwili nie istniało dla nich nic innego, nawet to nowo narodzone dziecko. A jednak była też jakaś dziwna namiętność. Krwawa, szatańska żądza, tak przeciwna naturze, iż czuło się, że są potępieni na wieki.

A potem Luca Brasi obrócił się znów do Filomeny i rozkazał chrapliwie:

– Rób, co ci każe, zrobię cię bogatą.

Filomena nie mogła przemówić z przerażenia. Potrząsnęła głową. W końcu zdołała wyszeptać:

– Ty to zrób, jesteś ojcem, zrób to, jeżeli chcesz.

Ale Brasi nie odpowiedział. Miał tego wyciągnął nóż zza koszuli.

– Poderżnę ci gardło – rzekł.

Musiała wtedy doznać szoku, bo następną rzeczą, jaką zapamiętała, było to, że wszyscy stali w piwnicy domu przed kwadratowym żelaznym piecem. Filomena ciągle trzymała owinięte w koc dziecko, które nie wydało z siebie żadnego głosu. (Może gdyby krzyknęło – mówiła Filomena – może gdybym była na tyle sprytna, żeby je uszczypnąć, ten potwór okazałby miłosierdzie).

Jeden z mężczyzn musiał otworzyć drzwiczki pieca, bo widać było ogień. A potem została sam na sam z Brasim w tej piwnicy z ociekającymi rurami i myślim odorem. Brasi znów dobył nóż. Nie było żadnej wątpliwości, że ją zabije. Widziała płomienie, widziała oczy Brasiego. Jego twarz była maską diabła, nie była ludzka, była obłąkana. Popchnął Filomenę ku otwartym drzwiczkom piecyka.

W tym momencie Filomena zamilkła. Złożyła na kolanach kościste dłonie i popatrzała prosto na Michaela. Wiedział, czego chce, wiedział, że chce mu powiedzieć bez słów. Zapytał łagodnie:

– I zrobiliście to?

Kiwnęła głową.

Dopiero kiedy wypła następną szklanekę wina, przeżegnała się, wymamrotała modlitwę i zaczęła opowiadać dalej. Wręczyli jej zwitek banknotów i odwieźli do domu. Rozumiała, że gdyby pisnęła słowo o tym, co się stało, zabiłby ją. Ale dwa dni później Brasi zamordował młodą Irlandkę, matkę niemowlęcia, i zaarrestowała go policja. Filomena, obłądnie przestraszona, poszła do Ojca Chrzestnego i opowiedziała mu całą historię. Kazał jej milczeć, przyrzekł, że wszystkim się zajmie. W owym czasie Brasi nie pracował dla

dona Corleone.

Zanim don Corleone zdołał załatwić sprawę, Luca Brasi próbował popełnić w celi samobójstwo, podrzynając sobie gardło kawałkiem szkła. Przeniesiono go do więziennego szpitala i zanim przyszedł do siebie, don Corleone załatwił wszystko. Policja nie mogła niczego udowodnić w sądzie i Luca Brasi został zwolniony.

Aczkolwiek don Corleone zapewnił Filomenę, że nie ma się czego obawiać ze strony Brasiego czy policji, nie mogła zaznać spokoju. Nerwy miała stargane i nie była już w stanie pracować w swoim zawodzie. W końcu namówiła męża, by sprzedał sklep, i oboje wrócili do Włoch. Jej mąż był dobrym człowiekiem, wysłuchał wszystkiego i zrozumiał. Ale był słaby i we Włoszech roztrwoniał majątek, który oboje nagromadzili w Ameryce niewolniczą pracą. Toteż po jego śmierci została służącą.

Tak Filomena zakończyła swoją opowieść. Wypiła jeszcze jedną szklanekę wina i zwróciła się do Michaela:

– Błogosławię imię waszego ojca. Zawsze przysyłał mi pieniądze, kiedy poprosiłam, i uratował mnie przed Brasim. Przekażcie mu, że co wieczór odmawiam modlitwę za jego duszę, i żeby nie lękał się śmierci.

Kiedy wyszła, Michael zapytał dona Tommasino:

– Czy ta historia jest prawdziwa?

Capo mafioso kiwnął głową. I Michael pomyślał, że nic dziwnego, iż nikt nie chciał mu tego opowiedzieć. Nie było jaka historia. Nie było jaki Luca.

Nazajutrz rano Michael chciał to omówić z donem Tommasino, ale dowiedział się, że stary został wezwany do Palermo pilnym listem doręczonym przez gońca. Tegoż wieczoru don Tommasino powrócił i wziął Michaela na stronę. Powiedział, że przyszła wiadomość z Ameryki. Wiadomość, którą powtarza z bólem. Santino Corleone został zabity.

Rozdział 24

Sycylijskie słońce, wczesnoporanne, cytrynowej barwy, wypełniło sypialnię Michaela. Przebudził się i czując atłasowe ciało Apollonii przytulone do jego rozgrzanego od snu ciała, obudził ją pieszczotami. Kiedy skończyli, pomyślał, że te wszystkie miesiące całkowitego posiadania nie ostudziły w nim zachwyty nad jej urodą i namiętnością.

Wyszła z sypialni, żeby się umyć i ubrać w łazience. Michael wciąż nagi, czując, jak poranne słońce odświeża mu ciało, zapalił papierosa i wyciągnął się na łóżku. Był to ostatni poranek, jaki mieli spędzić w tym domu. Don Tommasino załatwił mu przeniesienie do innego miasta na południowym wybrzeżu Sycylii. Apollonia, w pierwszym miesiącu ciąży, chciała posiedzieć parę tygodni u swojej rodziny i po tych odwiedzinach miała przyjechać do niego, do nowej kryjówki.

Poprzedniego wieczoru don Tommasino zasiadł z Michaeliem w ogrodzie, kiedy Apollonia poszła się położyć. Don był zatroskany i znużony i przyznał, że niepokoi się o bezpieczeństwo Michaela.

– Przez twoje małżeństwo jesteś teraz na widoku. Dziwię się, że twój ojciec nie poczynił kroków, aby cię przenieść gdzie indziej. W każdym razie ja mam własne kłopoty z tymi młodoturkami w Palermo. Zaproponowałem im uczciwy układ, żeby mogli sobie umoczyć dzioby bardziej, niż na to zasługują, ale te szumowiny chcą mieć wszystko. Nie mogę pojąć ich stanowiska. Próbowali już paru drobnych sztuczek, ale mnie nie tak łatwo zaciukać. Muszą wiedzieć, że jestem za mocny, żeby mnie tak lekko traktować. Ale to właśnie jest kłopot z młodymi ludźmi, choćby najzdolniejszymi. Nie potrafią rozumować i chcą całej wody ze studni.

Następnie don Tommasino powiedział Michaelowi, że obaj pasterze, Fabrizio i Calo, pojedą z nim samochodem jako ochrona. Don Tommasino

miał się pożegnać wieczorem, bo nazajutrz o świcie wybierał się do Palermo, ażeby dopilnować swoich spraw. Poza tym Michael miał nie mówić o przeprowadzce doktorowi Taza, ten bowiem zamierzał spędzić wieczór w Palermo i mógłby to wypłacić.

Michael wiedział, że don Tommasino jest w niebezpieczeństwie. Nocą uzbrojeni strażnicy patrolowali wzdłuż mury otaczające willę, a w domu zawsze było kilku wiernych pasterzy z *luparami*. Sam don Tommasino chodził solidnie uzbrojony, a osobisty goryl towarzyszył mu o każdej porze.

Poranne słońce zaczęło grzać za mocno. Michael rozgniół papierosa i włożył robocze spodnie, roboczą koszulę i spiczastą czapkę, w rodzaju tych, jakie nosiła większość Sycylijczyków. Jeszcze bosy, wychylił się z okna sypialni i zobaczył Fabrizzia siedzącego na jednym z ogrodowych foteli. Fabrizzio leniwie czesał swe gęste, ciemne włosy, a jego *lupara* leżała niedbale porzucona na ogrodowym stoliku. Michael zagwizdał i Fabrizzio podniósł wzrok na okno.

– Przyrowadź samochód! – zawołał do niego Michael. – Wyjeżdżam za pięć minut. Gdzie Calò?

Fabrizzio wstał. Jego rozpięta koszula odsłaniała granatowe i czerwone linie tatuażu na piersi.

– Calò pije kawę w kuchni – wyjaśnił Fabrizzio. – Czy wasza żona jedzie razem z wami?

Michael zerknął na niego. Przyszło mu na myśl, że w ostatnich tygodniach Fabrizzio zanadto wodził oczami za Apollonią. Oczywiście nigdy by się nie ośmielił zbliżyć do żony przyjaciela dona. Na Sycylii nie było pewniejszej drogi do śmierci. Michael powiedział zimno:

– Nie, najpierw wybiera się do swojej rodziny, do nas przyjedzie za parę dni.

Patrzył, jak Fabrizzio pospieszył do kamiennej szopy, która służyła jako garaż dla alfy romeo.

Michael poszedł korytarzem do łazienki, żeby się umyć. Apollonii nie było. Najprawdopodobniej poszła do kuchni i własnoręcznie przygotowywała mu śniadanie, aby zmasać swoje poczucie winy, że chciała raz jeszcze zobaczyć się z rodziną, zanim odjedzie tak daleko, na drugi koniec Sycylii. Don Tommasino miał jej załatwić przejazd do miejsca, gdzie się udawał Michael.

Stara Filomena podała mu w kuchni kawę i pożegnała się nieśmiało.

– Przypomnę was mojemu ojcu – przyrzekł Michael, a ona kiwnęła głową.

Do kuchni wszedł Calo i powiedział Michaelowi:

– Wóz czeka. Czy mam wynieść waszą walizkę?

– Nie, sam ją wezmę – odrzekł Michael. – Gdzie Apollonia?

Twarz Cala rozjaśnił rozbawiony uśmiech.

– Siedzi za kierownicą samochodu i marzy, żeby nacisnąć gaz. Będzie prawdziwą Amerykanką, jeszcze zanim dojedzie do Ameryki.

Było rzeczą niesłychaną, by któraś z sycylijskich wieśniaczek próbowała prowadzić samochód. Jednakże Michael czasami pozwalał Apollonii prowadzić alfę romeo wewnątrz posiadłości, lecz zawsze siedział obok niej, ponieważ czasem naciskała gaz, kiedy zamierzała nacisnąć hamulec. Michael powiedział do Cala:

– Zawołaj Fabrizzia i czekajcie na mnie w samochodzie.

Wyszedł z kuchni i wbiegł po schodach do sypialni. Jego walizka była już spakowana. Zanim ją zabrał, wyrzał przez okno i zobaczył, że wóz stoi przed schodkami portyku, a nie przed wejściem do kuchni. Apollonia siedziała w samochodzie z dłońmi na kierownicy, jak bawiące się dziecko. Calo wstał na tylne siedzenie koszyk ze śniadaniem. I wtedy Michael spostrzegł z niezadowoleniem, że Fabrizzio znika za bramą willi, jak gdyby miał coś do załatwienia na zewnątrz. Cóż on, u diabła, robi? Zauważył, że Fabrizzio rzuca przez ramię jakby ukradkowe spojrzenia. Będzie musiał przywołać do porządku tego cholernego pastucha. Michael zszedł po schodach i postanowił wyjść przez kuchnię, żeby jeszcze zobaczyć się z Filomeną i pożegnać się z nią ostatecznie. Zapytał starą:

– Czy doktor Taza jeszcze śpi?

Pomarszczona twarz Filomeny przybrała chytry wyraz.

– Stare koguty nie mogą witać słońca. Doktor był wczoraj wieczorem w Palermo.

Michael roześmiał się. Wyszedł z kuchni na dwór i zapach cytrynowego kwiecia przeniknął nawet do jego zatkanego nosa.

Spostrzegł, że Apollonia macha do niego ręką z samochodu stojącego zaledwie o dziesięć kroków dalej, na podjeździe przed willą, i uświadomił sobie, że daje mu znaki, by został tam, gdzie jest, ponieważ chce do niego podjechać. Calo stał uśmiechnięty przy wozie, w ręce trzymał *luparę*. Ale nadal nie było nigdzie śladu Fabrizzia. W tym momencie, bez żadnego świadomego rozumowania, wszystko złożyło się razem w umyśle Michaela i krzyknął do Apollonii:

– Nie! Nie!

Ale krzyk jego utonął w huku straszliwej eksplozji, gdy Apollonia przekreśliła kluczyk zapłonu. Drzwi kuchni rozleciały się na kawałki, a Michael został odrzucony o dobre dziesięć stóp wzdłuż muru willi. Kamienie spadające z dachu waliły go po ramionach, a jeden otarł mu się o czaszkę, gdy leżał na ziemi. Był jeszcze przytomny dość długo, by dojrzeć, że z alfy romeo nie pozostało nic prócz czterech kół oraz stalowej ramy, która je łączyła.

Odzyskał przytomność w pokoju, który wydawał się bardzo ciemny, i usłyszał głosy tak przyciszone, że były samym dźwiękiem, a nie słowami. Wiedziony zwierzęcym instynktem próbował udawać, że jeszcze jest nieprzytomny, ale głosy umilkły, ktoś nachylił się z krzesła stojącego przy jego łóżku i teraz głos stał się wyraźny, mówił:

– No, nareszcie przyszedł do siebie.

Zapaliła się lampa, jej światło poraziło jak biały ogień jego gałki oczne, Michael obrócił głowę. Była ogromnie ciężka, odrętwiała. I wtedy zobaczył, że owa twarz nad łóżkiem jest twarzą doktora Tazy.

– Przypatrzę ci się chwilę i zgaszę światło – odezwał się łagodnie doktor Taza. Świecił mu w oczy małą ołówkową latarką. – Będiesz zdrow – powiedział i zwrócił się do kogoś innego w pokoju. – Możesz z nim mówić.

Był to don Tommasino, który siedział na krześle przy łóżku; Michael widział go teraz wyraźnie. Don Tommasino spytał:

– Michael, Michael, czy mogę z tobą mówić? A może chcesz odpocząć?

Łatwiej było podnieść rękę, aby wykonać gest, więc Michael tak uczynił, a don Tommasino zapytał:

– Czy to Fabrizzio przyprowadził wóz z garażu?

Michael, nie wiedząc o tym, uśmiechnął się. Był to jakiś dziwny, lodowaty uśmiech potwierdzenia. Don Tommasino wyjaśnił:

– Fabrizzio zniknął. Posłuchaj mnie, Michaelu. Byłeś nieprzytomny prawie tydzień. Rozumiesz? Wszyscy myślą, że nie żyjesz, więc teraz jesteś bezpieczny, przestali cię szukać. Zawiadomiłem twojego ojca i przysłał mi instrukcje. To już nie potrwa długo, wrócisz do Ameryki. Tymczasem wypoczniysz tutaj spokojnie. Jesteś bezpieczny w tych górach, w specjalnym wiejskim domu, który należy do mnie. Tamci z Palermo teraz zawarli ze mną pokój, bo myślą, że nie żyjesz; więc to na ciebie dybali przez cały czas. Chcieli

cię zabić, ale tak, żeby ludzie myśleli, że chodziło im o mnie. To powinieneś wiedzieć. Jeżeli chodzi o wszystko inne, zostaw to mnie. Wracaj do sił i bądź spokojny. Teraz Michael przypomniał sobie wszystko. Wiedział, że jego żona nie żyje, że Calo nie żyje. Pomyślał o starej kobiecie w kuchni. Nie mógł sobie przypomnieć, czy wyszła na dwór razem z nim. Wyszeptał:

– A Filomena?

– Nic jej się nie stało – odrzekł spokojnie don Tommasino. – Tylko krwotok z nosa po wybuchu. Nie martw się o nią.

– Fabrizzio – powiedział Michael. – Daj znać swoim pasterzom, że ten, kto mi wyda Fabrizzia, dostanie na własność najlepsze pastwiska na Sycylii.

Obaj mężczyźni jakby odetchnęli z ulgą. Don Tommasino wziął ze stojącego obok stolika kieliszek i łyknął bursztynowego płynu, aż mu się głowa poderwała do góry. Doktor Taza usiadł na łóżku i powiedział prawie z roztarżeniem:

– Wiesz, jesteś wdowcem. To rzadka rzecz na Sycylii. – Tak, jakby to wyróżnienie mogło pocieszyć Michaela.

Michael skinął na dona Tommasino, żeby się zbliżył. Don siadł na łóżku i pochylił głowę.

– Daj znać mojemu ojcu, żeby mnie zabrał do domu – rzekł. – Powiedz ojcu, że chcę być jego synem.

Jednakże musiał upłynąć jeszcze miesiąc, zanim Michael przyszedł do siebie po odniesionych obrażeniach, a potem jeszcze dwa miesiące, zanim wszystkie niezbędne papiery i formalności zostały załatwione. Wtedy przewieziono go samolotem z Palermo do Rzymu, a z Rzymu do Nowego Jorku. Przez cały ten czas nie natrafiono na żaden ślad Fabrizzia.

Księga 7

Rozdział 25

Kay Adams, po ukończeniu college'u, objęła posadę nauczycielki w szkole powszechnej w swoim rodzinnym mieście w New Hampshire. Przez pierwszych sześć miesięcy po zniknięciu Michaela telefonowała co tydzień do jego matki, pytając o niego. Pani Corleone zawsze była serdeczna i zawsze mówiła na zakończenie: „Jesteś bardzo miła dziewczyna. Ty zapomnij o Mike'u i znajdź sobie jakiegoś porządnego męża”. Kay nie była urażona jej szczerością i rozumiała, że pani Corleone kieruje się troską o nią – młodą dziewczynę w trudnej sytuacji.

Kiedy skończył się pierwszy semestr, postanowiła pojechać do Nowego Jorku, żeby kupić sobie jakieś porządne sukienki i zobaczyć się z dawnymi koleżankami z college'u. Zastanawiała się także nad znalezieniem tam jakiejś interesującej pracy. Prawie dwa lata żyła jak stara panna, czytała i wykladała, nie chciała się umawiać na randki, nie chciała w ogóle wychodzić, nawet przestała już dzwonić do Long Beach. Wiedziała, że nie będzie mogła tego dalej ciągnąć, była coraz bardziej rozdrażniona i nieszczęśliwa. Ale nadal wierzyła, że Michael do niej napisze albo prześle jej jakąś wiadomość. To, że tego nie robił, że tak nie ufał nawet jej, upokarzało ją i zasmucało.

Wsiadła do odchodzącego wcześniej pociągu i po południu zameldowała się w swoim hotelu. Jej przyjaciółki pracowały i nie chciała ich teraz niepokoić, zamierzała zadzwonić do nich wieczorem. A po męczącej podróży pociągiem nie miała nawet ochoty iść na zakupy. Samotne siedzenie w hotelu, wspomnienie tych wszystkich momentów, kiedy kochali się z Michaeliem w pokojach hotelowych, napełniało ją uczuciem przygnębienia. I właśnie to bardziej niż cokolwiek innego nasunęło jej myśl zadzwonienia do matki Michaela, do Long Beach.

W telefonie odezwał się jakiś szorstki głos męski z typowym akcentem no-

wojorskim. Kay poprosiła panią Corleone. Po paru minutach milczenia usłyszała głos z silnym obcym akcentem, pytający, kto mówi.

Była trochę zakłopotana.

– Tu Kay Adams, proszę pani. Czy pani mnie pamięta?

– Jasne, jasne, że cię pamiętam – odrzekła pani Corleone. – Dlaczego już nie dzwonisz? Wyszłaś za męża?

– O nie – odparła Kay. – Tylko byłam zajęta. – Zaskoczyło ją to, iż matka była wyraźnie niezadowolona, że przestała telefonować. – Czy pani miała jakieś wiadomości od Michaela? Dobrze się czuje?

Na drugim końcu linii zapadło milczenie, po czym odezwał się mocny głos pani Corleone:

– Mike jest w domu. On do ciebie nie dzwonił? On się z tobą nie widział?

Kay poczuła skurcz w żołądku i upokarzającą chęć płaczu. Głos jej się łamał nieco, gdy pytała:

– Od jak dawna jest w domu?

– Od sześciu miesięcy – odrzekła pani Corleone.

– Aha, rozumiem – powiedziała Kay. I zrozumiała. Poczła gorącą falę wstydu, iż matka Michaela wie, że syn potraktował ją tak lekceważąco. A potem ogarnął ją gniew. Gniew na Michaela, na jego matkę, gniew na wszystkich cudzoziemców, na tych Włochów, którzy nie mieli dość zwykłej uprzejmości, aby zachować pozory przyjaźni, nawet jeżeli miłosna przygoda się zakończyła. Czyż Michael nie wiedział, że będzie się martwiła o niego jak o przyjaciela, choćby nie chciał już dzielić z nią łoża, choćby już nie chciał się z nią ożenić? Czy myślał, że jest jedną z tych biednych, ciemnych włoskich dziewczyn, które mogą robić sceny albo popełnić samobójstwo, kiedy oddały swoje dziewictwo i potem zostały porzucone? Jednakże starała się mówić możliwie najchłodniejszym tonem.

– Rozumiem, bardzo pani dziękuję. Cieszę się, że Michael jest w domu i że dobrze się czuje. Po prostu chciałam się dowiedzieć. Nie będę więcej do pani dzwoniła.

Głos pani Corleone w telefonie był zniecierpliwiony, tak jakby nie usłyszała tego, co Kay mówiła.

– Ty chcesz zobaczyć Mikeya, to ty tu zaraz przyjedź. Zrób mu ładną niespodziankę. Weź taksówkę, a ja powiem temu, co stoi przy bramie, żeby za ciebie zapłacił. Ty powiedz taksówkarzowi, że dostanie dwa razy tyle, co na liczniku, bo inaczej nie będzie chciał jechać aż do Long Beach. Ale mu nie

płać. Ten człowiek mojego męża przy bramie zapłaci za taksówkę.

– Tego nie mogę zrobić, proszę pani – powiedziała Kay zimno. – Gdyby Michael chciał się ze mną zobaczyć, zadzwoniłby do mnie już przedtem. Wiedocześnie nie chce odnowić naszej znajomości.

Głos pani Corleone zabrzmiał szorstko w telefonie.

– Ty jesteś bardzo miła dziewczyna, ty masz ładne nogi, ale ty nie masz za dobrze w głowie. – Zachichotała. – Przyjedź ty do mnie, nie do Mikeya. Chcę z tobą pogadać. Ty przyjedź zaraz. I nie płac taksówki. Ja czekam na ciebie.

Telefon szczękął. Pani Corleone odłożyła słuchawkę.

Kay mogła zadzwonić powtórnie i powiedzieć, że nie przyjedzie, ale wiedziała, że musi zobaczyć się z Michaeliem, pomówić z nim, choćby to miała być tylko grzecznościowa rozmowa. Jeżeli przebywał teraz jawnie w domu, to znaczyło, że już nic mu nie grozi, że może żyć normalnie. Wskoczyła z łóżka i zaczęła się przygotowywać na spotkanie z nim. Bardzo starannie zrobiła sobie makijaż i ubrała się. Kiedy już była gotowa do wyjścia, spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Czy wygląda przystojniej niż wówczas, gdy Michael zniknął? Czy też wyda mu się niepociągająca i postarzała? Figurę teraz miała bardziej kobiecą, biodra bardziej zaokrąglone, piersi pełniejsze, Włosi podobno to lubią, choć Michael zawsze mówił, iż zachwyca go, że jest taka szczupła. Zresztą to nie było ważne, Michael najwyraźniej nie chciał już mieć z nią nic wspólnego, bo inaczej byłby z całą pewnością zadzwonił w ciągu tych sześciu miesięcy, które spędził w domu.

Zatrzymany taksówkarz nie chciał jej zawieźć do Long Beach, dopóki nie obdarzyła go miłym uśmiechem i nie powiedziała, że zapłaci dwa razy więcej niż będzie na liczniku. Jazda trwała prawie godzinę, a ośrodek w Long Beach zmienił się, odkąd widziała go ostatnio. Dokoła było żelazne ogrodzenie, a wejście zamykała żelazna brama. Otworzył ją mężczyzna w marynarskich spodniach i białej kurtce na czerwonej koszuli; wetknął głowę do taksówki, żeby odczytać licznik, po czym dał kierowcy kilka banknotów. Kiedy Kay zobaczyła, że ten nie protestuje i jest zadowolony z zapłaty, wysiadła i poszła przez placyk do głównego domu.

Drzwi otworzyła sama pani Corleone i powitała Kay gorącym uściskiem, który ją zaskoczył. Potem przypatrzyła się Kay taksującym wzrokiem.

– Piękna z ciebie dziewczyna – orzekła krótko. – Mam głupich synów.

Pociągnęła Kay do środka i zaprowadziła ją do kuchni, gdzie stał już półmisek z jedzeniem, a na piecu perkotał imbryk kawy.

– Michael wraca do domu już niedługo – powiedziała. – Ty mu zrobisz niespodziankę.

Zasiadły razem i starsza pani zmusiła Kay do jedzenia, jednocześnie zadając jej pytania z wielkim zaciekawieniem. Była zachwycona, że Kay jest nauczycielką, że przyjechała do Nowego Jorku odwiedzić dawne przyjaciółki i że ma dopiero dwadzieścia cztery lata. Kiwała głową, tak jakby wszystkie fakty zgadzały się z jakimiś własnymi szczegółowymi danymi w jej umyśle. Kay była tak zdenerwowana, że tylko odpowiadała na pytania, nie mówiąc nic poza tym.

Zobaczyła go najpierw przez okno kuchenne. Przed dom zajechał samochód, z którego wysiedli jacyś dwaj mężczyźni. A potem Michael. Wyprostował się i zamienił parę słów z jednym z nich. Widziała jego profil, ten lewy. Twarz była poharatana, wgnieciona, jak twarz plastikowej lalki, którą kopnęło niesforne dziecko. Jakimś dziwnym sposobem nie zmniejszyło to w oczach Kay jego urody, a wzruszyło ją do łez. Widziała, że przyłożył śnieżnobiałą chustkę do ust i nosa i przytrzymał ją tak chwilę, kiedy obracał się, by wejść do domu.

Usłyszała otwieranie drzwi i jego kroki w korytarzu zbliżające się do kuchni, po czym ukazał się w progu i zobaczył ją oraz matkę. Zrazu wydawał się tym nieporuszony, ale potem uśmiechnął się lekko, przy czym okaleczona połowa twarzy nie pozwalała rozciągnąć się ustom. A Kay, która zamierzała powiedzieć tylko możliwie najchłodniej: „Halo, jak się masz”, zsunęła się z krzesła, by pobiec w jego objęcia, wtulić mu twarz w ramię. Pocałował ją w wilgotny policzek, przytrzymał, dopóki nie przestała płakać, a potem poprowadził do samochodu, odprawił gestem ręki człowieka z obstawy i odjechał razem z Kay, która poprawiała swój makijaż po prostu ścierając chusteczką to, co z niego zostało.

– Wcale nie chciałam tego zrobić – odezwała się Kay. – Tylko że nikt mi nie powiedział, jak bardzo cię okaleczyli.

Michael roześmiał się i dotknął uszkodzonej strony twarzy.

– Chodzi ci o to? To nic takiego. Tylko mam kłopoty z zatokami. Teraz, kiedy już jestem w domu, pewnie każę to wyreperować. Nie mogłem do ciebie pisać ani nic – powiedział Michael. – To musisz zrozumieć przede wszystkim.

– W porządku – odrzekła.

– Mam w mieście mieszkanie – mówił Michael. – Czy moglibyśmy tam

pojechać, czy też wolisz kolację i drinka w restauracji?

– Nie jestem głodna – powiedziała Kay.

Przez chwilę jechali w milczeniu w stronę Nowego Jorku.

– Skończyłaś studia? – zapytał Michael.

– Tak – odparła Kay. – Teraz uczę w szkole powszechnej w moim rodzinnym mieście. Czy znaleźli tego człowieka, który naprawdę zabił policjanta, i dlatego mogłeś wrócić do domu?

Michael przez chwilę milczał.

– Tak, znaleźli – rzekł. – To było we wszystkich gazetach nowojorskich. Nie czytałaś o tym?

Kay roześmiała się z ulgą, słysząc, iż Michael zaprzecza, że był mordercą.

– W naszym mieście dostajemy tylko „New York Timesa”. Pewnie to było zagrzebane gdzieś na osiemdziesiątej dziewiątej stronie. Gdybym o tym przeczytała, zadzwoniłabym wcześniej do twojej matki. – Przerwała, po czym rzekła: – To dziwne. Po tym, co mówiła twoja matka, byłam prawie pewna, że ty to zrobiłeś. I dopiero przed samym twoim przyjazdem, kiedy piłyśmy kawę, opowiedziała mi o tym zwariowanym człowieku, który się przyznał.

– Może matka z początku w to wierzyła.

– Twoja rodzona matka? – spytała Kay. Michael uśmiechnął się.

– Matki są jak policjanci. Zawsze wierzą w najgorsze.

Michael zaparkował wóz w garażu, którego właściciel najwyraźniej go znał. Poprowadził Kay za róg do dosyć odrapanej kamienicy, która pasowała do obskurnego otoczenia. Michael miał klucz od drzwi frontowych i kiedy weszli do wnętrza, Kay zobaczyła, że jest urządzone równie kosztownie i komfortowo jak miejski dom jakiegoś milionera. Zaprowadził ją do mieszkania na piętrze, które składało się z ogromnego salonu, olbrzymiej kuchni oraz sypialni. W kącie salonu był barek; Michael przygotował im drinki. Usiedli razem na sofie i Michael zaproponował spokojnie:

– Właściwie możemy pójść do sypialni.

Kay pociągnęła długi łyk trunku i uśmiechnęła się do niego.

– Tak – zgodziła się.

Dla Kay ich pieszczoty były prawie takie same jak dawniej, tyle że Michael był gwałtowniejszy, bardziej bezpośredni, nie taki czuły jak przedtem. Tak jakby miał się przed nią na baczności. Ale nie chciała narzekać. To przecież minie. Zabawna rzecz, mężczyźni są w takiej sytuacji bardziej wyczuleni – pomyślała. Miłość z Michałem po dwóch latach nieobecności wydała jej się

najnaturalniejszą rzeczą w świecie. Było tak, jakby w ogóle nie wyjeżdżał.

– Mogłeś do mnie napisać, mogłeś mi zaufać – powiedziała, przytulając się do niego. – Przestrzegałabym nowoangielskiej odmiany *omertà*. Wiesz, Jan-kesi także potrafią milczeć.

Michael zaśmiał się cicho w ciemnościach.

– Nigdy nie przypuszczałem, że będziesz czekała po tym, co zaszło.

– Nigdy nie wierzyłam, że zabiłeś tamtych dwóch – odparła Kay szybko. – Może tylko wtedy, kiedy twoja matka zdawała się tak myśleć. Ale w głębi serca nie wierzyłam. Znam cię za dobrze.

Dosłyszała, że Michael westchnął.

– Nieważne, czy to zrobiłem, czy nie. Musisz to zrozumieć.

Kay trochę zaskoczył chłód w jego głosie. Zapytała:

– Więc teraz mi powiedz: zrobiłeś to czy nie?

Michael podźwignął się na poduszce i w ciemnościach zabłysnął ognik, kiedy zapalał papierosa.

– Czy gdybym cię poprosił, żebyś za mnie wyszła, musiałbym ci najpierw dać odpowiedź na to pytanie, zanim ty odpowiedziałabyś na moje?

– Wszystko mi jedno, kocham cię, wszystko mi jedno – odrzekła Kay. – Gdybyś mnie kochał, nie bałbyś się wyznać mi prawdy. Nie bałbyś się, że mogłabym donieść policji. O to chodzi, czyż nie? Więc rzeczywiście jesteś gangsterem, tak? Ale mnie to naprawdę obojętne. Nieobojętne mi jest to, że mnie najwyraźniej nie kochasz. Nawet do mnie nie zadzwoniłeś, kiedy wróciłeś do domu.

Michael zaciągnął się papierosem i trochę rozżarzonego popiołu spadło na nagie plecy Kay. Drgnęła lekko i powiedziała żartobliwie:

– Przestań mnie torturować, nie będę mówiła.

Michael się nie roześmiał. Jego głos był jakiś roztargniony.

– Wiesz, jak wróciłem, nie byłem taki uradowany, kiedy się zobaczyłem z moją rodziną, z ojcem, matką, moją siostrą Connie i Tomem. To było miłe, ale w gruncie rzeczy nic mnie nie obchodziło. A dzisiaj przyjechałem do domu, zobaczyłem cię w kuchni i uradowałem się. Czy to nazywasz miłością?

– Dla mnie to dosyć jej bliskie – odrzekła Kay.

Znowu kochali się jakiś czas. Tym razem Michael był czulszy. A potem poszedł po drinki. Kiedy wrócił, usiadł w fotelu naprzeciw łóżka.

– Pomówmy poważnie – rzekł. – Co myślisz o wyjściu za mnie? – Kay

uśmiechnęła się do niego i skinęła, by się położył na łóżku. Michael odwzajemnił jej uśmiech. – Bądź poważna – poprosił. – Nie mogę ci nic powiedzieć o tym, co się stało. Teraz pracuję dla mojego ojca. Przygotowują mnie do przejścia naszego rodzinnego handlu oliwą. Ale wiesz, że moja rodzina ma wrogów, mój ojciec ma wrogów. Możesz zostać bardzo młodą wdową, jest taka możliwość, nie za wielka, ale mogłoby się tak zdarzyć. I nie będę ci mówił codziennie, co było w biurze. Nie będę ci nic mówił o moich interesach. Będiesz moją żoną, ale nie będziesz współtowarzyszką mojego życia, jak to zdaje się nazywają. Nie równorzędną współtowarzyszką. Tak nie może być.

Kay siadła na łóżku. Zapaliła wielką lampę stojącą na nocnym stoliku, a potem papierosa. Oparła się o poduszki i powiedziała spokojnie:

– Mówisz mi zatem, że jesteś gangsterem, prawda? Mówisz mi, że jesteś odpowiedzialny za zabijanie ludzi i inne najróżniejsze przestępstwa pokrewne morderstwu. I że mam nigdy nie pytać o tę stronę twojego życia, mam nawet o niej nie myśleć. Zupełnie jak w tych filmach grozy, gdzie potwór oświadcza się pięknej dziewczynie. – Michael uśmiechnął się, obracając ku niej pokiereszowaną stroną twarzy, i Kay powiedziała ze skrucą: – Och, Mike, ja nawet nie dostrzegam tego głupstwa, przysięgam, że nie.

– Wiem – odrzekł śmiejąc się Michael. – Nawet to polubiłem, tyle że cieknie mi z nosa.

– Kazałeś mi być poważną – ciągnęła Kay. – Jeżeli się pobierzemy, jakie życie miałabym prowadzić? Takie jak twoja matka, jak włoska pani domu, która zajmuje się tylko dziećmi i gospodarstwem? A jakby coś się stało? Ktoregoś dnia możesz się znaleźć w więzieniu.

– Nie, to nie jest możliwe – odparł Michael. – Zabity, tak; w więzieniu, nie.

Kay roześmiała się z tej pewności, w jej śmiechu było dziwne połączenie dumy i rozbawienia.

– Ale skąd możesz to wiedzieć? – spytała.

Michael westchnął.

– To wszystko są rzeczy, o których nie mogę z tobą mówić, o których nie chcę z tobą mówić.

Kay milczała przez długą chwilę.

– Dlaczego chcesz się ze mną ożenić, jeżeli nie zadzwoniłeś do mnie przez tyle miesięcy? Czy jestem taka dobra w łóżku?

Michael poważnie kiwnął głową.

– Jasne. Ale dostaję to za darmo, więc dlaczego miałbym się po to z tobą żenić? Słuchaj, ja nie chcę teraz odpowiedzi. Będziemy się widywali. Możesz omówić to z rodzicami. Słyszałem, że twój ojciec to na swój sposób naprawdę twardy gość. Posłuchaj jego rady.

– Nie odpowiedziałeś dlaczego, dlaczego chcesz się ze mną ożenić.

Michael wyjął z szufladki nocnego stolika białą chusteczkę i przytknął ją do nosa. Wydmuchał nos i otarł go.

– To jest wystarczająca przyczyna, żeby za mnie nie wychodzić. Jak by to było mieć przy sobie faceta, który ciągle musi wycierać nos?

– Daj spokój, bądź poważny, zadałam ci pytanie – Kay zniecierpliwiła się.

Michael trzymał chustkę w ręku.

– No dobrze – rzekł. – Ten jeden raz. Jesteś jedyną osobą, dla której mam jakieś uczucie, która jest mi bliska. Nie dzwoniłem do ciebie, bo mi nie przyszło do głowy, że jeszcze będziesz się mną interesowała po tym wszystkim, co się zdarzyło. Jasne, mogłem za tobą gonić, mogłem ci mydlić oczy, ale nie chciałem tego robić. A teraz powiem ci coś w zaufaniu, coś, czego masz nie powtarzać nawet własnemu ojcu. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, Rodzina Corleone będzie całkowicie legalna za jakieś pięć lat. Żeby to umożliwić, trzeba będzie zrobić kilka bardzo delikatnych rzeczy. I właśnie wtedy możesz zostać bogatą wdową. A dlaczego ja ciebie chcę? Ano, bo chcę ciebie i chcę mieć rodzinę. Chcę mieć dzieci. Już pora. I nie chcę, żeby te dzieci były pod moim wpływem, tak jak ja byłem pod wpływem mojego ojca. Nie mówię, że ojciec wpływał na mnie świadomie. Nigdy tego nie robił. Nawet nigdy nie chciał mnie wciągać w rodzinne interesy. Chciał, żebym został profesorem albo doktorem, kimś w tym rodzaju. Ale sprawy przybrały zły obrót i musiałem walczyć za moją rodzinę. Musiałem walczyć, bo kocham i podziwiam mojego ojca. Nigdy nie znałem człowieka bardziej godnego szacunku. Był dobrym mężem, dobrym ojcem i dobrym przyjacielem dla ludzi, którym nie powiodło się w życiu. Ma jeszcze inne oblicze, ale to nie jest dla mnie istotne jako dla jego syna. W każdym razie nie chcę, żeby to się zdarzyło moim dzieciom. Chcę, żeby były pod twoim wpływem. Chcę, żeby wyrosły na całkiem amerykańskie dzieci, naprawdę amerykańskie, do gruntu. Może one albo ich wnuki zajmą się polityką. – Michael uśmiechnął się. – Może któreś z nich zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych. Czemu nie, u licha? Na wykładach historii w Dartmouth zaznajamialiśmy się z pochodzeniem wszystkich prezydentów, i okazało się, że ojcowie i dziadkowie niektórych mieli szczę-

ście, że ich nie powieszono. Ale wystarczy mi, jeżeli moje dzieci będą doktorami, muzykami czy nauczycielami. Nigdy nie będą się zajmowały interesami Rodziny. Zresztą, kiedy dojdą do tego wieku, ja już się wycofam. I ty, i ja będziemy sobie należeli do jakiegoś *country-clubu*, będziemy prowadzili dobre, zwykłe życie zamożnych Amerykanów. Jak ci odpowiada taka perspektywa?

– Cudowna – odrzekła Kay. – Ale jakoś przeskoczyłeś tę sprawę wdowieństwa.

– To jest niewielka możliwość. Wspomniałem o tym tylko dla uczciwego przedstawienia sprawy. – Michael dotknął nosa chustką.

– Nie mogę w to uwierzyć, nie mogę uwierzyć, że jesteś takim człowiekiem, bo po prostu nie jesteś – zawołała Kay. Na jej twarzy był wyraz oszłomienia. – Po prostu nie pojmuję tego wszystkiego, jak to jest w ogóle możliwe.

– Ano, nie daję więcej żadnych wyjaśnień – powiedział Michael łagodnie. – Wiesz, wcale nie musisz myśleć o tych rzeczach, to w gruncie rzeczy nie ma nic wspólnego z tobą ani z naszym życiem, jeżeli się pobierzemy.

Kay potrząsnęła głową.

– Jak możesz chcieć się ze mną żenić, jak możesz dawać do zrozumienia, że mnie kochasz. Nigdy nie wymawiasz tego słowa, a przed chwilą powiedziałeś, że kochasz swojego ojca. Nie mówiłeś nigdy, że mnie kochasz, i jakżebyś mógł, jeżeli tak mi nie ufasz, że nie możesz mi opowiedzieć o najważniejszych rzeczach w twoim życiu? Jak możesz chcieć żony, której nie mógłbyś ufać? Twój ojciec ufa twojej matce. Ja to wiem.

– Pewnie – odrzekł Michael. – Ale to nie znaczy, że mówi jej wszystko. A wiesz, on ma powody jej ufać. Nie dlatego, że się pobrali i jest jego żoną. Ale urodziła mu czworo dzieci w czasach, kiedy nie było bezpiecznie rodzić dzieci. Pielęgnowała go i strzegła, kiedy go postrzelono. Wierzyła w niego. Przez czterdzieści lat był dla niej zawsze na pierwszym miejscu, jeżeli chodzi o lojalność. Kiedy z tobą też tak będzie, może powiem ci parę rzeczy, których właściwie nie masz ochoty usłyszeć.

– Czy będziemy musieli mieszkać w ośrodku? – spytała Kay. Michael kiwnął głową.

– Będziemy mieli własny dom, nie będzie tak źle. Moi rodzice się nie wtrącają. Będziemy żyć własnym życiem. Ale dopóki wszystko się nie ułoży, muszę mieszkać w ośrodku.

– Bo jest dla ciebie niebezpiecznie mieszkać poza nim – stwierdziła Kay.

Po raz pierwszy, odkąd go znała, Michael się rozgniewał. Był to zimny, mrozący gniew, który nie uzewnętrznił się żadnym gestem czy zmianą głosu. Był chłodem emanującym z Michaela jak śmierć i Kay zrozumiała, że ten chłód każe jej zdecydować się nie wychodzić za niego, gdyby musiała decydować.

– Najgorsze są te cholerne brednie w filmach i gazetach – powiedział Mike. – Masz błędne pojęcie o moim ojcu i o Rodzinie Corleone. Podam ci ostateczne wyjaśnienie i będzie ono naprawdę ostateczne. Mój ojciec jest biznesmenem starającym się zabezpieczyć byt żony i dzieci, i tych przyjaciół, których może kiedyś potrzebować w trudnym momencie. Nie akceptuje nakazów społeczeństwa, w którym żyjemy, bo te nakazy zmusiły go do życia nieodpowiedniego dla takiego człowieka jak on, człowieka o niezwykłej sile i charakterze. Musisz zrozumieć, że uważa siebie za równego wszystkim tym wielkim ludziom, takim jak prezydenci i premierzy, sędziowie Sądu Najwyższego i gubernatorzy stanów.

Nie zgadza się, żeby mu narzucali swoją wolę. Odmawia stosowania się do reguł stworzonych przez innych, reguł, które skazują go na życiową porażkę. Ale jego ostatecznym celem jest wejście w to społeczeństwo z pewną władzą, ponieważ społeczeństwo w gruncie rzeczy nie chroni tych swoich członków, którzy nie mają własnej, osobistej władzy. Tymczasem zaś kieruje się kodeksem etycznym, który uważa za znacznie wyższy od legalnej struktury społeczeństwa.

Kay patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Ależ to śmieszne – powiedziała. – Co by było, gdyby każdy tak uważał? Jakże społeczeństwo mogłoby w ogóle funkcjonować, wróciłibyśmy do czasów jaskiniowców. Mike, ty nie wierzysz w to, co mówisz, prawda?

Michael uśmiechnął się do niej.

– Mówię ci tylko, w co wierzy mój ojciec. Chcę jedynie, żebyś zrozumiała, że kimkolwiek jest, nie jest nieodpowiedzialny, przynajmniej w tej społeczności, którą stworzył. Nie jest zwariowanym strzelającym gangsterem, tak jak wydajesz się myśleć. Jest człowiekiem odpowiedzialnym na swój sposób.

– A ty w co wierzysz? – zapytała Kay spokojnie. Michael wzruszył ramionami.

– Wierzę w moją rodzinę. Wierzę w ciebie i w tę rodzinę, którą możemy mieć. Nie ufam społeczeństwu, że nas ochroni, nie mam zamiaru składać mo-

jego losu w ręce tych, których jedyną kwalifikacją jest to, że zdołali wykołować grupę ludzi, żeby na nich głosowali. Tak było dotąd. Okres mojego ojca się skończył. Tych rzeczy, które robił, nie można dłużej robić inaczej jak z ogromnym ryzykiem. Czy nam się to podoba, czy nie, Rodzina Corleone musi się włączyć w to społeczeństwo. Ale kiedy do tego dojdzie, chciałbym, żebyśmy się w nie włączyli z dużym zasobem własnej siły, to znaczy mając pieniądze i inne walory. Chciałbym możliwie najlepiej zabezpieczyć moje dzieci, zanim się włączą w to ogólne przeznaczenie.

– Ale przecież zgłosiłeś się na ochotnika, żeby walczyć za swój kraj, byłeś bohaterem wojennym – przypomniała Kay. – Co się stało, że tak się zmieniłeś?

– To nas do niczego nie prowadzi – odrzekł Michael. – Może po prostu jestem jednym z tych prawdziwych staroświeckich konserwatystów, których hodują w twoim rodzinnym mieście. Sam jeden daję sobie radę. Rządy właściwie niewiele robią dla ludzi, do tego się to sprowadza, ale w gruncie rzeczy nie o to chodzi. Mogę tylko powiedzieć, że muszę pomagać ojcu, muszę być po jego stronie. A ty musisz powziąć decyzję, czy będziesz po mojej stronie. – Uśmiechnął się do niej. – Zdaje się, że małżeństwo było niedobrym pomysłem.

Kay poklepała dłonią łóżko.

– Nie mam zdania co do małżeństwa, ale dwa lata byłam bez mężczyzny i teraz nie wypuszczę cię tak łatwo. Chodź tutaj.

Kiedy leżeli w łóżku, a światło było zgaszone, szepnęła do niego:

– Wierzysz mi, że nie miałam mężczyzny, odkąd odjechałeś?

– Wierzę ci – odpowiedział Michael.

– A ty miałaś kogoś? – szepnęła cichszym głosem.

– Tak – odrzekł Michael. Poczuł, że trochę zeszywniała. – Ale nie w ostatnich sześciu miesiącach.

Była to prawda. Kay była pierwszą kobietą, jaką miał od śmierci Apollonii.

Rozdział 26

Krzykliwie urządzone apartament wychodził na sztuczną krainę z baśni na tyłach hotelu – poprzecinane palmy, oświetlone girlandami pomarańczowych lampek, dwa ogromne baseny kąpielowe lśniły granatowo w poświacie pustynnych gwiazd. Na horyzoncie były piaskowo-kamienne góry, otaczające Las Vegas, które usadowiło się w swojej neonowej dolinie. Johnny Fontane pozwolił opaść ciężkiej, bogato haftowanej, szarej kotarze i obrócił się w stronę pokoju.

Specjalny czteroosobowy zespół – krupier z kasyna, rozdający karty, pomocnik oraz kelnerka z nocnego lokalu w swym skąnym stroju – czynił przygotowania do prywatnej gry. Nino Valenti leżał na sofie w salonie apartamentu, ze szklanką whisky w ręku. Obserwował ludzi z kasyna rozstawiających stolik do gry w dwadzieścia jeden, z sześcioma wyściełanymi fotelikami przy zewnętrznej półkolistej krawędzi.

– To fajne, to fajne – powiedział bełkotliwym głosem, który nie był jeszcze całkiem przepity. – Johnny, chodź zagrać ze mną przeciwko tym łobuzom. Ja mam fart. Damy im łupnia.

Johnny siedział naprzeciw kanapy, na podnóżku.

– Wiesz, że nie gram – odrzekł. – Jak się czujesz, Nino?

Nino Valenti wyszczerzył do niego zęby.

– Świetnie. O północy przyjdzie parę dziwek, potem jakaś kolacyjka i z powrotem do kart. Wiesz, że obłupiłem ten lokal prawie na pięćdziesiąt kawałków i teraz piłują mnie od tygodnia?

– Aha – odrzekł Johnny Fontane. – Komu ty chcesz to zostawić, jak trząśniesz?

Nino wychylił szklankę do dna.

– Johnny, skąd wzięłeś, u licha, swoją opinię playboya? Jesteś mantyka.

Chryste Panie, nawet turyści w tym mieście bawią się lepiej od ciebie.

– Aha. Chcesz, żeby cię zanieść do tego stolika?

Nino podźwignął się na sofie i mocno wparł stopy w dywan.

– Dam radę – odrzekł.

Opuścił szklankę na podłogę, wstał i podszedł całkiem pewnie do karcianego stolika. Rozdający był już gotowy. Krupier stał za nim, obserwując. Pomocnik siedział na krześle z dala od stolika. Kelnerka siedziała na innym krześle, w miejscu, skąd mogła widzieć wszystkie ruchy Nina Valenti.

Nino postukał knykциями w zielone sukno.

– Sztony – zażądał.

Krupier wyjął z kieszeni blok, wypełnił kwit i położył go przed Ninem wraz z małym wiecznym piórem.

– Proszę, panie Valenti. Na początek, jak zwykle pięć tysięcy.

Nino nabazgrał u dołu kartki swój podpis, a tamten schował ją do kieszeni. Skinął głową do rozdającego.

Rozdający wyjął niewiarygodnie zręcznymi palcami stosiki czarno-złotych sztonów studolarowych ze znajdującej się przed nim wpuszczonej w stół skrzyneczki. Nie więcej niż w pięć sekund Nino miał przed sobą pięć równych rulonów studolarowych sztonów, każdy po dziesięć sztuk.

Na zielonym suknie było sześć białych obrzeżonych prostokątów, nieco większych od karty do gry, każdy odpowiadający miejscu, na którym miał zasiąść gracz. Nino położył pojedyncze sztony na trzy z tych prostokątów, w ten sposób obstawiając trzy karty, każda po sto dolarów.

Wygrał, zgarnął sztony i obrócił się do Johnny'ego Fontane.

– Tak trzeba zaczynać wieczór, co, Johnny?

Johnny uśmiechnął się. Było rzeczą niezwykłą, żeby taki gracz jak Nino musiał podpisywać kwit podczas gry. Zazwyczaj wystarczyło słowo wysoko grającego. Może się obawiali, że Nino nie będzie pamiętał, ile postawił, bo jest pijany. Nie wiedzieli, że Nino pamięta wszystko.

Nino wygrywał raz po raz i po trzeciej rozgrywce kiwnął palcem na kelnerkę. Podeszła do barku w głębi pokoju i przyniosła mu jak zwykle whisky w szklance do wody. Nino wziął szklankę i przełożył ją do drugiej ręki, żeby móc objąć kelnerkę.

– Siądź przy mnie, laluniu, rozegraj parę kart, przynieś mi szczęście.

Kelnerka była bardzo piękną dziewczyną, ale Johnny wiedział, że jest zimną cwaniaczką bez żadnej indywidualności, choć bardzo się starała. Uśmie-

chała się szeroko do Nina, ale aż się śliniła do któregoś z tych czarno-złoty sztonów. Do licha – pomyślał Johnny – czemu nie miałyby sobie z tego urwać? Żałował tylko, że Nino nie dostaje czegoś lepszego za swoje pieniądze.

Nino pozwolił parę razy zagrać za siebie kelnerce, po czym dał jej jeden ze sztonów i klepnął w pośladki, odprowadzając ją od stolika. Johnny skinął na nią, żeby mu przyniosła drinka. Zrobiła to, ale w taki sposób, jak gdyby odgrywała najbardziej dramatyczny moment w najbardziej dramatycznym filmie, jaki kiedykolwiek nakręcono. Roztoczyła cały swój czar przed wielkim Johnnym Fontane. Błysnęła zachęcająco oczami, jej chód był najbardziej seksownym chodem na świecie, usta lekko rozchylone, tak jakby była gotowa ugryźć najbliższy obiekt swej jawnej namiętności. Przypominała zupełnie grzejącą się samicę, ale było to świadomie zagrane. Johnny Fontane pomyślał: „O Boże, jeszcze jedna”. Takie było najpospolitsze podejście kobiet, które chciały go wziąć do łóżka. Działo tylko wtedy, gdy był bardzo pijany, a teraz nie był pijany. Obdarzył dziewczynę jednym ze swoich słynnych uśmiechów i powiedział: „Dziękuję ci, kochanie”. Dziewczyna spojrzała na niego i rozchyliła wargi w uśmiechu podziękowania, oczy jej się zamglily, ciało napięło i odchyliła się nieco do tyłu na długich, smukłych nogach w siatkowych pończochach. W jej ciele zdawało się narastać olbrzymie napięcie, piersi były jakby pełniejsze, silnie obrzmiały pod cienką, wydekoltowaną bluzką. A potem po jej ciele przebiegło lekkie drzenie. Sprawiała wrażenie kobiety doznającej orgazmu tylko dlatego, że Johnny Fontane uśmiechnął się do niej i powiedział: „Dziękuję ci, kochanie”. Było to bardzo dobrze zrobione. Było zrobione lepiej niż wszystko, co Johnny dotąd oglądał. Ale teraz wiedział już, że to fałsz. I zawsze można było z powodzeniem zakładać, że dziewczyny, które to robią, są do niczego w łóżku.

Patrzył za nią, jak wracała na swoje krzesło, i powoli popijał trunek. Nie miał ochoty więcej oglądać tej sztuczki. Dziś nie był w nastroju.

Minęła godzina, zanim Nino zaczął wysiadać. Najpierw się kiwał, odchylił do tyłu, wreszcie o mało nie zwałił się z fotela prosto na podłogę. Ale krupiera i rozdającego zaalarmowało już pierwsze kiwnięcie i złapali go, zanim upadł. Dźwignęli Nina i wynieśli przez rozsunięte portiery, prowadzące do sypialni apartamentu.

Johnny przypatrywał się, jak kelnerka pomagała obu mężczyznom rozebrać Nina i wsunąć go pod kołdrę. Krupier liczył jego sztony i notował na

swoim bloczku, a potem pilnował stolika ze sztonami rozdającego. Johnny zapytał go:

– Od jak dawna to trwa?

Krupier wzruszył ramionami.

– Dziś wczesnie wysiadł. Za pierwszym razem wezwaliśmy hotelowego lekarza, który dał coś panu Valenti i wygłosił mu jakieś kazanie. Potem pan Nino powiedział nam, że nie powinniśmy wzywać doktora, kiedy to się zdarza, tylko położyć go do łóżka, a rano będzie okay. Więc tak robimy. Ma duże szczęście, dziś znowu wygrał, prawie trzy kawałki.

Johnny Fontane poprosił:

– No, więc dzisiaj wezwijmy hotelowego lekarza, dobrze? Wywołajcie go z kasyna, jeżeli trzeba.

Minęło prawie piętnaście minut, zanim Jules Segal wszedł do apartamentu. Johnny zauważył z irytacją, że ten facet nigdy nie wygląda na doktora. Miał na sobie niebieską, grubo tkaną sportową koszulkę z białą wypustką, białe zamshowe pantofle i był bez skarpetek. Wyglądał cholernie śmiesznie z tradycyjną czarną torbą lekarską. Johnny zauważył:

– Powinien pan obmyślić sobie sposób noszenia swoich przyborów w przyciętym worku golfowym.

Jules uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Tak, ta medyczna torba do wszystkiego to prawdziwa zaraza. Diabelnie straszy ludzi. W każdym razie powinno się zmienić kolor.

Podszedł do łóżka, na którym leżał Nino. Otwierając torbę, powiedział do Johnny'ego:

– Dziękuję za ten czek, który pan mi przysłał, jako konsultantowi. Przesadził pan. Nie zrobiłem aż tyle.

– Gdzie tam, psiakrew – odparł Johnny. – W każdym razie zapomnij pan o tym, to było już dawno temu. Co z Ninem?

Jules pośpiesznie badał bicie serca, tętno i ciśnienie krwi. Wyjął z torby strzykawkę, ze swobodą wbił igłę w przedramię Nina i nacisnął tłok. Uspiona twarz Nina straciła woskową bladość, rumieńce wystąpiły mu na policzki, tak jakby krew zaczęła krążyć szybciej.

– Bardzo prosta diagnoza – powiedział rażno Jules. – Miałem sposobność zbadać go i zrobić kilka testów, kiedy tu był pierwszy raz i zemdłał. Kazałem go przewieźć do szpitala, zanim odzyskał przytomność. Ma łagodną postać ustaloną cukrzycy, częstą u dorosłych, co nie jest żadnym problemem, jeżeli

się to leczy, przestrzega diety i tak dalej. On upiera się, żeby to ignorować. Poza tym jest stanowczo zdecydowany zapisać się na śmierć. Wątroba mu wysiada, a mózg też wysiadzie. W tej chwili ma napad łagodnej śpiączki cukrzycowej. Moja rada to oddać go do zakładu.

Johnny doznał uczucia ulgi. Nie mogło to być zbyt poważne, Nino powinien być tylko dbać o siebie.

– To znaczy do któregoś z tych odwykowych? – zapytał.

Jules podszedł do barku w przeciwnym kącie pokoju i zrobił sobie drinka.

– Nie – odpowiedział. – Mam na myśli, żeby go zamknąć. Wie pan, w domu wariatów.

– Nie bądź pan śmieszny – rzekł Johnny.

– Ja nie żartuję – odparł Jules. – Nie jestem oblatany w tych wszystkich psychiatrycznych hecach, ale coś niecoś o tym wiem, to należy do mojego zawodu. Pana przyjaciela, Nina, można z powrotem doprowadzić do wcale niezłej formy, jeśli uszkodzenie wątroby nie posunęło się za daleko, czego w gruncie rzeczy nie można wiedzieć aż do autopsji. Ale prawdziwa choroba tkwi w jego głowie. W zasadzie jest mu obojętne, czy umrze, może nawet sam zechce się zabić. Dopóki się tego nie wyleczy, nie ma dla niego nadziei. Dlatego mówię: zamknijcie go, a wtedy będzie mógł przejść niezbędne leczenie psychiatryczne.

Zapukano do drzwi i Johnny poszedł otworzyć. Była to Lucy Mancini. Rzuciła się w objęcia Johnny'ego i ucałowała go.

– Och, Johnny, tak miło cię zobaczyć – zawołała.

– Dawno się nie widzieliśmy – rzekł Johnny Fontane. Zauważył, że Lucy się zmieniła. Zeszczuplała znacznie, miała o wiele lepszą suknię i lepiej ją nosiła. Uczesanie pasowało do jej twarzy; włosy były przycięte jakoś po chłopięcemu. Wyglądała młodziej i lepiej niż kiedykolwiek, i przyszło mu na myśl, że mogłaby dotrzymać mu towarzystwa tu, w Vegas. Przyjemnie byłoby pokazywać się z naprawdę fajną babką. Ale zanim zdążył roztoczyć swój czar, przypomniał sobie, że jest dziewczyną tego doktora. Więc to odpadało. Nadał swojemu uśmiechowi po prostu przyjacielski wyraz i zapytał:

– Co ty robisz po nocy w mieszkaniu Nina, hę?

Dała mu kuksańca w ramię.

– Dowiedziałam się, że Nino zachorował i że przyszedł tu Jules. Po prostu chciałam zobaczyć, czy nie mogłabym pomóc. Ale z Ninem wszystko w po-

rządku, prawda?

– Jasne – odrzekł Johnny. – Będzie zdrów.

Jules Segal rozparł się na kanapie.

– Jak cholera – powiedział. – Proponuję, żebyśmy tu wszyscy posiedzieli i zaczekali, aż Nino się ocknie. A wtedy będziemy mogli go namówić, żeby poszedł do zakładu. Lucy, on ciebie lubi, może zdołasz nam pomóc. Johnny, jeżeli pan jest naprawdę jego przyjacielem, to też się pan przyłączy. Inaczej wątroba naszego Nina będzie niedługo eksponatem numer jeden w jakimś uniwersyteckim laboratorium medycznym.

Johnny był urażony bezceremonialnością doktora. Za kogo on siebie ma, psiakrew? Już chciał to powiedzieć, gdy z łóżka odezwał się głos Nina:

– Hej, stary, może by się czegoś napić?

Nino podniósł się na łóżku. Wyszczrzył zęby do Lucy i zawołał:

– Cześć, dziecinko, chodź do starego Nina.

Rozłożył szeroko ramiona. Lucy przysiadła na krawędzi łóżka i uściskała go. Rzecz dziwna. Nino wyglądał teraz wcale nieźle, prawie normalnie. Strzelił palcami.

– No, Johnny, dawaj drinka. Noc jest jeszcze młoda. Gdzie się, u diabła, podział mój stolik do kart?

Jules pociągnął długi łyk ze swojej szklanki i zwrócił się do Nina:

– Nie wolno panu pić. Pański lekarz zabrania.

Nino spojrział na niego spode łba.

– Pieprzę mojego lekarza. – A potem na twarzy pojawił mu się aktorski wyraz skruchy. – A, Julie, to pan! To pan jest ten mój lekarz, tak? Nie mówiłem tego na pana, stary. Johnny, daj mi drinka, bo jak nie, to wstanę z łóżka i sam sobie wezmę.

Johnny wzruszył ramionami i poszedł do barku. Jules powtórzył obojętnie:

– Mówię, że ma nie pić.

Johnny już wiedział, dlaczego Jules go irytuje. Ton doktora był zawsze chłodny, słowa nigdy nie były wymawiane z naciskiem, nawet te najostrejsze, głos zawsze przyciszony i opanowany. Jeżeli udzielał ostrzeżenia, było ono zawarte jedynie w słowach, sam głos był neutralny, jak gdyby obojętny. To właśnie rozeźliło Johnny'ego tak dalece, że przyniósł Ninowi szklankę od wody pełną whisky. Zanim mu ją podał, zapytał Julesa:

– To chyba go nie zabije, co?

– Nie, nie zabije – odrzekł spokojnie Jules. Lucy zerknęła nań z niepoko-

jem, zaczęła coś mówić, potem zamilkła. Tymczasem Nino wziął whisky i wlał ją sobie do gardła.

Johnny uśmiechał się do Nina. Pokazali temu pętackiemu doktorowi. Nagle Nino sapnął, twarz mu posiniała, nie mógł złapać tchu, dusił się, chwytając ustami powietrze. Jego ciało wyskoczyło w górę jak ryba, krew nabiegła do twarzy, oczy wylazły mu z orbit. Jules zjawił się po drugiej stronie łóżka, naprzeciw Johnny'ego i Lucy. Chwycił Nina za kark, przytrzymał i wbił mu igłę w ramię, niedaleko miejsca, gdzie stykało się z szyją. Nino zwiotczał mu w rękach, skurcze ciała ustały i po chwili opadł na poduszkę. Oczy zamknęły mu się i zasnął.

Johnny, Lucy i Jules wrócili do salonu i zasiedli dokoła wielkiego, masywnego stołu. Lucy podniosła słuchawkę jednego z akwamarynowych telefonów i kazała przysłać na górę kawę i coś do jedzenia. Johnny podszedł do baru i zmieszał sobie drinka.

– Czy pan wiedział, że tak zareaguje na whisky? – zapytał.

Jules wzruszył ramionami.

– Byłem właściwie pewny, że tak.

– To dlaczego pan mnie nie ostrzegł? – zapytał ostro Johnny.

– Ostrzegałem pana – odparł Jules.

– Ale nie tak jak należy – powiedział Johnny z zimną złością. – Z pana jest naprawdę cholerny doktor. Gównno to pana obchodzi. Mówi mi pan, żeby wsadzić Nina do domu wariatów, a nawet nie zadaje pan sobie trudu, żeby użyć takiego łagodnego słowa jak sanatorium. Pan naprawdę lubi dopiec człowiekowi, co?

Lucy wpatrywała się w swoje kolana. Jules nadal uśmiechał się do Fontane'a.

– Nic nie mogło pana powstrzymać od dania Ninowi tego drinka. Chciał pan pokazać, że pan nie musi stosować się do moich ostrzeżeń, moich nakazów. Pamięta pan, jak pan mi zaproponował posadę swojego osobistego lekarza po tej historii z gardłem? Odmówiłem, bo wiedziałem, że nigdy nie zgodzilibyśmy się ze sobą. Doktor uważa siebie za boga, jest wielkim kapłanem w dzisiejszym społeczeństwie, to jedna z jego satysfakcji. Ale pan nigdy by mnie tak nie traktował. Dla pana byłbym bogiem posługaczem. Takim jak ci lekarze, których macie w Hollywood. Skąd wy w ogóle bierzecie takich ludzi? Rany boskie, czy oni nic nie umieją, czy po prostu o nic nie dbają? Musieli wiedzieć, co dzieje się z Ninem, ale dawali mu najróżniejsze środki,

żeby tylko był na chodzie. Noszą te jedwabne ubrania i całują pana w tyłek, bo pan jest potęgą w filmie, i dlatego pan ich uważa za wspaniałych lekarzy. Doktorzy z przemysłu rozrywkowego. Muszą mieć serce, nie? Ale guzik ich obchodzi, czy ktoś wyżyje, czy umrze. Otóż moim małym hobby, może niewybaczalnym, jest utrzymywanie ludzi przy życiu. Pozwoliłem panu dać tego drinka Ninowi, żeby panu pokazać, co może mu się stać. – Jules pochylił się ku Johnny’emu Fontane, mówił głosem nadal spokojnym, niepodnieconym: – Pański przyjaciel jest prawie w końcowym stadium. Rozumie pan? Nie ma żadnych szans bez terapii i ścisłej opieki lekarskiej. Jego ciśnienie, cukrzyca i złe nawyki mogą w każdej chwili spowodować wylew krwi do mózgu. Mózg się rozleci. Czy to jest dostatecznie barwne określenie dla pana? Jasne, powiedziałem: dom wariatów. Chciałem, żeby pan zrozumiał, czego potrzeba. Inaczej nie kiwnie pan palcem. Powiem panu jasno. Może pan uratować życie swojemu kumplowi, umieszczając go w zakładzie. W przeciwnym razie niech pan go ucałuje na pożegnanie.

Lucy szepnęła:

– Jules, kochany, nie bądź taki szorstki. Po prostu mu wytłumacz.

Jules wstał. Johnny Fontane zauważył z satysfakcją, że jego zwykły chłód zniknął. Głos także stracił swoją spokojną, nieakcentowaną monotonię.

– Myśli pan, że pierwszy raz musiałem rozmawiać z kimś takim jak pan w takiej sytuacji? – zapytał Jules. – Robię to co dzień. Lucy powiada: nie bądź taki szorstki, ale nie wie, co mówi. Rozumie pan, mówiłem ludziom: nie jedz tyle, bo umrzesz, nie pal tyle, bo umrzesz, nie pracuj tyle, bo umrzesz, nie pij tyle, bo umrzesz. Nikt tego nie słucha. A wie pan dlaczego? Bo nie mówię: umrzesz jutro. No więc mogę panu powiedzieć, że Nino bardzo łatwo może umrzeć jutro.

Jules podszedł do barku i zmieszał sobie następnego drinka.

– No więc jak? Odda pan Nina do zakładu?

– Nie wiem – odrzekł Johnny.

Jules szybko wypił przy barku i napełnił sobie szklanekę ponownie.

– Wie pan, to zabawna rzecz. Można się zapić na śmierć, zapracować na śmierć, zapalić na śmierć, a nawet zajeść na śmierć. Ale to wszystko jest do przyjęcia. Jediną rzeczą medycznie niemożliwą jest zachędożyć się na śmierć, a jednak właśnie tu stawia się wszelkie przeszkody. – Przerwał, aby dokończyć drinka. – Ale nawet i z tym są kłopoty, w każdym razie dla kobiet. Widziałem kobiety, które nie powinny były mieć więcej dzieci. Mówiłem im:

„To niebezpieczne. Może pani umrzeć”. A miesiąc później przylatywały, całe zaróżowione, i mówiły: „Doktorze, zdaje się, że jestem w ciąży”, i ma się rozumieć były uradowane. „Ale to niebezpieczne”, mówiłem im. Mój głos miał ekspresję w tych czasach. A one uśmiechały się do mnie i mówiły: „Ale mój mąż i ja jesteśmy gorliwymi katolikami”.

Zapukano do drzwi i dwaj kelnerzy wtoczyli wózek zastawiony jedzeniem i srebrnym serwisem do kawy. Wyjęli przenośny stolik i rozstawili go. Potem Johnny ich odprawił.

Usiedli przy stoliku, jedli zamówione przez Lucy gorące sandwicze i pili kawę. Johnny odchylił się do tyłu i zapalił papierosa.

– Więc pan ratuje ludzkie życie. To dlaczego wziął się pan do skrobanek?

Lucy odezwała się po raz pierwszy:

– Chciał dopomóc dziewczynom w kłopotach, takim, które mogły popełnić samobójstwo albo zrobić coś niebezpiecznego, żeby się pozbyć dziecka.

Jules uśmiechnął się do niej i westchnął.

– To nie takie proste. W końcu zostałem chirurgiem. Mam dobrą rękę, jak mówią gracze w baseball. Ale byłem taki bystry, że sam się wystraszyłem. Otwierałem brzuch jakiegoś nieszczęsnego typu i wiedziałem, że umrze. Operowałem, wiedząc, że ten rak czy guz się odnowi, ale odsyłałem ludzi do domu z uśmiechem i kupą bzdurzenia. Przychodzi jakaś biedna babka i odcinam jej cycek. Rok później wraca i odcinam jej drugi. Rok potem wygarniam z niej wnętrzności tak, jak się wygarnia pestki z melona. A potem ona i tak umiera. Tymczasem mąż ciągle dzwoni i pyta: „Co wykazują badania? Co wykazują badania?”.

Więc wynająłem dodatkową sekretarkę, żeby załatwiała wszystkie te telefony. Oglądałem pacjentkę tylko wtedy, gdy była całkowicie przygotowana do badania, testów czy operacji. Spędzałem z nią możliwie jak najmniej czasu, bo jednak byłem bardzo zajęty. W końcu rozmawiałem z mężem nie dłużej niż dwie minuty. Mówiłem mu: „Stan jest krytyczny”. A oni nigdy nie mogli dosłyszeć tego słowa. Rozumieli, co oznacza, ale go nie słyszeli. Z początku myślałem, że podświadomie wymawiam to słowo ciszej, więc umyślnie wymawiałem je głośniej. Ale oni wciąż nie słyszeli. Jeden gość nawet zapytał: „Co to, u licha, znaczy: wytyczny?” – Jules się roześmiał. – Wytyczny, krytyczny, co im tam. Zacząłem robić skrobanki. Łatwo, gładko, wszyscy zadowoleni, całkiem jak po zmyciu naczyń i zostawieniu czystego zlewu. To była moja klasa. Przepadałem za tym, przepadałem robić skrobanki. Nie uwa-

zam, żeby dwumiesięczny płód był ludzką istotą, więc tutaj żadnych problemów. Pomagałem młodym dziewczynom i mężatkom, które były w kłopotcie, zarabiałem dobrze. Wyszedłem z pierwszej linii. Kiedy mnie przyłapali, poczułem się jak dezertier, którego przyskrzyniono. Ale miałem szczęście, ktoś z przyjaciół pociągnął za odpowiednie sznurki i wy dostał mnie z tego, ale duże szpitale już mi nie pozwalały operować. Więc jestem tutaj. I znowu udzielam dobrych rad, które się ignoruje, tak samo jak za dawnych czasów.

– Ja ich nie ignoruję – powiedział Johnny Fontane. – Zastanawiam się nad nimi.

Lucy w końcu zmieniła temat.

– A co ty robisz w Las Vegas, Johnny? Odpoczywasz po swoich obowiązkach wielkiej szyszki hollywoodzkiej czy pracujesz?

Johnny potrząsnął głową.

– Mike Corleone chce się ze mną widzieć i pogadać. Przylatuje tu dzisiaj z Tomem Hagenem. Tom mówił, że zobaczą się z tobą, Lucy. Wiesz, o co to chodzi?

Lucy pokręciła przecząco głową.

– Mamy wszyscy być jutro razem na kolacji. Freddie też. Myślę, że to może mieć coś wspólnego z hotelem. Kasyno ostatnio przynosi straty, czego nie powinno być. Może don chce, żeby Mike to skontrolował.

– Słyszałem, że Mike nareszcie wyreperował sobie twarz – rzekł Johnny. Lucy się roześmiała.

– Pewno Kay go namówiła. Nie chciał tego zrobić, kiedy się pobierali. Ciekawa jestem dlaczego? Wyglądał okropnie i ciekło mu z nosa. Powinien był to zrobić wcześniej. – Przerwała na chwilę. – Jules został wezwany przez Rodzinę Corleone na tę operację. Zaproсили go jako konsultanta i obserwatora.

Johnny kiwnął głową i wyjaśnił sucho:

– Ja go poleciłem.

– O – rzekła Lucy. – W każdym razie Mike mówił, że chce coś zrobić dla Julesa. Dlatego zaprasza nas jutro na kolację.

Jules powiedział w zamyśleniu:

– On nikomu nie ufał. Kazał mi obserwować wszystko, co mu robili. Był to dosyć prosty, zwyczajny zabieg. Każdy wykwalifikowany lekarz mógł go wykonać.

Z sypialni doszedł jakiś odgłos i wszyscy spojrzeli w stronę kotar. Nino znowu odzyskał przytomność. Johnny wszedł do sypialni i usiadł na łóżku.

Jules i Lucy stanęli w nogach łóżka. Nino uśmiechnął się do nich blado.

– Okay, przestanę się wygłupiać. Czuję się naprawdę parszywie. Johnny, pamiętasz, co się zdarzyło prawie rok temu, kiedy byliśmy z tymi dwiema babkami w Palm Springs? Przysięgam ci, że nie byłem o to zazdrosny. Cieszyłem się. Wierzysz mi, Johnny?

– Jasne, że ci wierzę – odparł Johnny uspokajająco.

Lucy i Jules popatrzyli po sobie. Z tego, co słyszeli i wiedzieli o Johnnym Fontane, wydawało się niemożliwe, żeby zabrał dziewczynę takiemu bliskiemu przyjacielowi jak Nino. Więc czemu Nino mówił po roku, że nie był wtedy zazdrosny? Ta sama myśl przeleciała im obojgu przez głowę – że Nino zapija się romantycznie na śmierć, ponieważ dziewczyna rzuciła go dla Johnny'ego Fontane.

Jules zbadał ponownie Nina.

– Każę pielęgniarkę siedzieć dzisiaj przy panu. Naprawdę musi pan pozostać w łóżku parę dni. Bez żartów.

Nino uśmiechnął się.

– Dobra, doktorku, tylko żeby nie była za ładna.

Jules zatelefonował po pielęgniarkę, po czym wyszedł wraz z Lucy. Johnny usiadł na krześle przy łóżku, aby poczekać na pielęgniarkę. Nino znowu zapadał w sen, z wyrazem wyczerpania na twarzy. Johnny rozmyślał o tym, co powiedział – że nie był zazdrosny o to, co się stało z górą rok temu z tamtymi dwiema babkami w Palm Springs. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Nino mógłby być zazdrosny.

Przed rokiem Johnny Fontane siedział w luksusowym gabinecie, w biurze wytwórni filmowej, którą kierował, i czuł się tak parszywie, jak jeszcze nigdy w życiu. Było to zaskakujące, ponieważ pierwszy film, jaki wyprodukował, z samym sobą jako gwiazdorem, a Ninem w jednej z ról głównych, przyniósł ogromne zyski. Wszystko poszło świetnie. Każdy wykonał swoje zadanie. Film nie przekroczył kosztorysu. Wszyscy mieli zarobić na nim fortunę, a Jack Woltz miał stracić dziesięć lat życia. Teraz Johnny miał dwa dalsze filmy w produkcji, w jednym grał rolę główną on sam, a w drugim Nino. Nino był świetny na ekranie, jako jeden z tych prostodusznych chłopców-kochanków, których kobiety uwielbiają wciągać sobie między cycuszki. Taki zagubiony chłopaczek. Wszystko, czego Johnny się tknął, dawało pieniądze, pie-

niądze napływały. Ojciec chrzestny dostawał swój procent przez bank i to dało Johnny'emu naprawdę dobre samopoczucie. Nie zawiódł zaufania swojego ojca chrzestnego. Ale owego dnia to mu niewiele pomagało.

Teraz, kiedy był niezależnym, wybitnym producentem filmowym, miał tyleż wpływów, czy może nawet więcej, niż kiedy był śpiewakiem. Piękne babki leciały na niego samego jak przedtem, tylko z bardziej komercyjnych powodów. Miał własny samolot, żył jeszcze wystawniej, korzystając ze specjalnych ulg podatkowych, które przysługiwały biznesmenowi, a nie przysługiwały artystom. Więc czymże się trapił, u licha?

Wiedział, co to było. Bolał go przód głowy, bolały przewody nosowe, piekło go w gardle. Mógł uśmierzyć i złagodzić to pieczenie tylko jednym sposobem: śpiewając, a bał się nawet próbować. Zadzwoił do Julesa Segala z zapytaniem, kiedy mógłby bezpiecznie zaśpiewać, a Jules powiedział, że w każdej chwili, kiedy tylko zechce. Spróbował więc, i jego głos zabrzmiał tak chrapliwie i okropnie, że dał z tym spokój. A następnego dnia bolało go piekielnie gardło, bolało inaczej niż przed usunięciem brodawek. Bolało bardziej, paliło. Bał się śpiewać dalej, bał się, że straci głos na zawsze albo go sobie zrujnuje.

Jeżeli zaś nie mógł śpiewać, to na co, u diabła, wszystko inne? Wszystko inne było po prostu bzdurą. Śpiew to jedyna rzecz, na jakiej naprawdę się znał. Wiedział więcej o śpiewie i o swoim rodzaju muzyki niż ktokolwiek na świecie. Zdawał sobie teraz sprawę, jaki był świetny. Wszystkie te lata uczyniły go prawdziwym zawodowcem. Nikt nie mógłby go pouczać, co złe, a co dobre, nie musiał nikogo pytać. Wiedział. Co za szkoda, co za cholerna szkoda!

Był piątek i postanowił spędzić weekend z Virginią i dziećmi. Zadzwoił do niej, że przyjeżdża, tak jak to zawsze robił. W gruncie rzeczy po to, by dać jej szansę powiedzenia: nie. Nie mówiła nigdy: nie. Przez wszystkie te lata, kiedy byli rozwiedzeni. Bo nigdy nie sprzeciwiłaby się spotkaniu córek z ojcem. Co to za babka! – myślał Johnny. Szczęśliwy był z Virginią. I chociaż czuł, że jest mu bliższa niż którakolwiek z kobiet, które znał, wiedział, że jest niepodobieństwem, by jeszcze spali ze sobą. Może jakby mieli sześćdziesiąt pięć lat, wycofali się razem z czynnego życia, wycofali się ze wszystkiego.

Jednakże rzeczywistość zburzyła te rozmyślania, gdy tam przyjechał i stwierdził, że Virginia jest trochę skwaszona, a córki nie szaleją z radości na

jego widok, ponieważ miały obiecany weekend u przyjaciółek na kalifornijskim ranczu, gdzie mogły pojeździć konno.

Powiedział Virginii, żeby wyprawiła dziewczęta na ranczo i z rozbawionym uśmiechem ucałował je na pożegnanie. Rozumiał je doskonale. Któreż dziecko nie wolałoby pojeździć konno na ranczu, niż tkwić przy markotnym ojcu, który odgrywał rolę ojca wtedy, kiedy mu wygodnie. Powiedział do Virginii:

– Wypiję sobie drinka i też będę uciekał.

– Dobrze – odrzekła. Miała swój zły dzień, co było rzadkie, ale widoczne. Nie było jej zbyt łatwo prowadzić takie życie.

Zauważyła, że nalał sobie specjalnie dużo.

– Dlaczego chcesz się podkreślić? – spytała. – Wszystko układa ci się tak pięknie. Nie śniło mi się, że masz zadatki na takiego dobrego biznesmena.

Johnny uśmiechnął się do niej.

– To nie takie trudne – powiedział. Jednocześnie pomyślał: a więc w tym sęk. Rozumiał kobiety i teraz zrozumiał, że Virginia jest osowiała, ponieważ myśli, że wszystko mu idzie tak, jak chciał. Kobiety naprawdę nie znoszą, jak mężczyznom za dobrze się wiedzie. To je irytuje. Sprawia, że są mniej pewne swojego wpływu, wywieranego na mężczyzn poprzez uczucie, nawyki seksualne czy więzy małżeńskie. Więc bardziej po to, by ją pocieszyć, niż żeby się skarżyć, Johnny dodał:

– Co to ma za znaczenie, u licha, jeżeli nie mogę śpiewać?

Virginia odparła rozdrażnionym tonem:

– Och, Johnny, już nie jesteś dzieckiem. Masz przeszło trzydzieści pięć lat. Dlaczego wciąż się martwisz tym niemądrym śpiewaniem? Przecież zarabiasz więcej pieniędzy jako producent.

Johnny spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– Jestem śpiewakiem. Uwielbiam śpiewać. Co ma z tym wspólnego mój wiek?

Virginia się zniecierpliwiła.

– Ja w ogóle nigdy nie lubiłam twojego śpiewu. Teraz, kiedy pokazałeś, że potrafisz robić filmy, cieszę się, że nie możesz już śpiewać.

Oboje się zdumiali, gdy Johnny odparł z furją:

– Mówisz parszywe świństwo!

Był wstrząśnięty. Jak Virginia mogła tak myśleć, jak mogła tak go nie lubić?

Virginia uśmiechnęła się, że tak go to dotknęło, a ponieważ było czymś niesłychanym, żeby się na nią złościć, powiedziała:

– Jak ci się zdaje, co czułam, kiedy te wszystkie dziewczyny latały za tobą, ponieważ tak śpiewałeś? Jak byś się czuł, gdybym wyszła z gołą pupą na ulicę, żeby mężczyźni za mną ganiali? A właśnie tym był twój śpiew, i chciałam, żebyś stracił głos i nie mógł więcej śpiewać. Ale to było, zanim się rozeszliśmy.

Johnny dokończył drinka.

– Ty nic nie rozumiesz. Nic a nic.

Poszedł do kuchni i wykręcił numer Nina. Szybko umówił się z nim, że razem pojedą na weekend do Palm Springs, i podał mu numer pewnej dziewczyny, prawdziwej, świeżej, młodej piękności, do której zamierzał się dobrać.

– Zabierze dla ciebie swoją przyjaciółkę – obiecał Johnny. – Będę u ciebie za godzinę.

Virginia pożegnała go chłodno, kiedy wychodził. Guzik go to obchodziło, tym razem był na nią zły, co zdarzało się rzadko. Cholera z tym, wyrwie się na ten weekend i pozbędzie całego jadu.

W Palm Springs wszystko oczywiście poszło doskonale. Johnny skorzystał z domu, który tam miał i który o tej porze roku był zawsze otwarty i dobrze zaopatrzone. Obydwie dziewczyny były dostatecznie młode, aby się z nimi świetnie zabawić, a nie zanadto zachłanne na jakieś korzyści. Parę osób zjawiało się, by im dotrzymać towarzystwa przy basenie kąpielowym aż do kolacji. Nino zaprowadził jedną z dziewczyn do swego pokoju, żeby się przygotować do kolacji i posunąć ją na chybicka, póki była jeszcze rozgrzana od słońca. Johnny nie był w nastroju, więc posłał na górę swoją dziewczynę, drobną, wypielegnowaną blondynkę imieniem Tina, by wzięła prysznic. Nigdy nie potrafił iść do łóżka z inną kobietą po kłótni z Virginią.

Poszedł do oszklonego patia-salonu, gdzie był fortepian. Śpiewając z orkiestrami, brzdąkał dla zabawy na fortepianie, więc potrafił zagrać ze słuchu piosenkę w sztucznie romantycznym stylu balladowym. Siadł i przez chwilę nucił cicho przy fortepianie, mrużąc parę słów, ale nie śpiewając naprawdę. Zanim się zdążył połapać, Tina już była w salonie, przygotowała mu drinka i usiadła obok niego przy fortepianie. Zagrał parę melodii, a ona nuciła wraz z nim. Zostawił ją przy fortepianie i poszedł na górę wziąć prysznic. Nadal nucił. Ubrał się i zszedł na dół. Tina była nadal sama; Nino naprawdę obraził swoją dziewczynę albo się upijał.

Johnny znów zasiadł do fortepianu, a Tina wyszła na dwór popatrzeć na basen. Zaczął śpiewać jedną ze swoich starych piosenek. Nie czuł pieczenia w gardle. Tępy były przytłumione, lecz należycie dźwięczne. Rozejrzył się po patio. Tina jeszcze była na dworze, szklane drzwi były zamknięte, nie mogła go słyszeć. Z jakiejś przyczyny nie chciał, aby ktokolwiek go usłyszał. Zaczął na nowo starą balladę, swoją ulubioną. Śpiewał pełnym głosem, tak jakby występował publicznie, pofolgował sobie i czekał na znajome, piekące chrypienie w gardle, ale nie przychodziło. Wsłuchiwał się we własny głos; był teraz jakiś inny, ale podobał mu się. Jakby niższy, męski, a nie chłopięcy; soczysty – pomyślał – niski i soczysty. Skończył piosenkę, nieco folgując i siedział przy fortepianie rozmyślając o tym.

Za plecami usłyszał głos Nina:

– Nieźle, stary, wcale nieźle.

Johnny obrócił się. W progu stał Nino, sam jeden. Jego dziewczyny nie było przy nim. Johnny poczuł ulgę. Nie miał nic przeciwko temu, że Nino go słyszał.

– Uhm – powiedział Johnny. – Spławmy te dwie babki. Odeślij je do domu.

– Tyje odeślij – odrzekł Nino. – To miłe laleczki, nie chcę ich urazić. Poza tym, posunąłem tę moją dwa razy. Jak by to wyglądało, gdybym ją teraz odeśłał bez kolacji?

Cholera z tym – pomyślał Johnny. Niech sobie słuchają, nawet jeżeli zaśpiewa fatalnie. Zadzwoił do szefa orkiestry, którego znał w Palm Springs, i poprosił go, żeby przysłał mandolinę dla Nina. Ten zaprotestował:

– Przecież w Kalifornii nikt nie gra na mandolinie!

Johnny odkrzyknął:

– To ją znajdź!

W domu było pełno sprzętu do nagrywania i Johnny posadził obie dziewczyny do regulacji siły głosu. Kiedy zjedli kolację, Johnny wziął się do dzieła. Kazał Ninowi akompaniować sobie na mandolinie i odśpiewał wszystkie swoje stare piosenki. Śpiewał je na całego, wcale nie oszczędzając głosu. Gardło było w porządku, miał wrażenie, że mógłby śpiewać bez końca. W ciągu tych miesięcy, gdy nie mógł śpiewać, często rozmyślał o śpiewaniu, planował sobie inne frazowanie tekstu, niż kiedy był młodziakiem. Śpiewał wtedy w myśli owe piosenki z bardziej wyszukаныmi wariantami akcentów. Teraz to robił naprawdę. Chwilami coś wypadło nie tak, frazy, które brzmia-

ły dobrze, kiedy je słyszał jedynie w głowie, nie wychodziły, gdy je próbował naprawdę zaśpiewać głośno. GŁOŚNO – rozmyślał. Nie słuchał już siebie, skupił uwagę na wykonaniu. Trochę pomylił tempo, ale to nie szkodziło, po prostu zardzewiał. Miał w głowie metronom, który nigdy go nie zawodził. Potrzeba mu było tylko trochę praktyki.

Wreszcie przestał śpiewać. Tina podeszła do niego z błyszczącymi oczami i całowała go długo.

– Teraz wiem, dlaczego mama chodzi na wszystkie twoje filmy – oświadczyła. Byłoby to niezręcznym powiedzeniem w każdym innym momencie. Johnny i Nino się roześmieli.

Puścili nagranie i teraz Johnny mógł naprawdę siebie posłuchać. Jego głos się zmienił, zmienił się ogromnie, ale nadal był bezspornie głosem Johnny'ego Fontane. Stał się o wiele bujniejszy i pełniejszy, jak to już przedtem zauważył, ale było w nim coś, co znamionowało, że śpiewa mężczyzna, nie chłopiec. Miał więcej prawdziwego uczucia, więcej charakteru. A strona techniczna śpiewu była o wiele lepsza niż wszystko, co Johnny robił dotychczas. Było to po prostu mistrzowskie. A skoro był taki dobry teraz, kiedy piekielnie zardzewiał, to jakież dobry mógł być, kiedy by wrócił do formy? Johnny uśmiechnął się do Nina.

– Czy to jest takie dobre, jak mi się wydaje?

Nino w zamyśleniu popatrzył na jego rozradowaną twarz.

– Cholernie dobre. Ale zobaczymy, jak będziesz śpiewał jutro.

Johnny był urażony, że z Nina taki ponurak.

– Ty draniu, wiesz, że nie potrafisz tak śpiewać. Nie martw się o jutro. Czuję się wspaniale.

Jednak nie śpiewał więcej tego wieczoru. Zabrali dziewczyny na przyjęcie, a Tina spędziła noc w jego łóżku, ale nie wykazał się tam za dobrze. Tina była trochę zawiedziona. Ale co, u licha, nie można wszystkiego zrobić jednego dnia – myślał Johnny.

Rano obudził się z uczuciem niepokoju, z niejasnym lękiem, iż tylko mu się śniło, że odzyskał głos. A potem, kiedy nabrał pewności, że to nie był sen, zląkł się, że głos go znowu zawiedzie. Podszedł do okna i zanucił trochę, a potem, jeszcze w piżamie, poszedł do salonu. Wystukał melodię na fortepianie i po chwili spróbował ją zaśpiewać. Śpiewał cicho, ale nie było żadnego bólu, żadnego chrypienia w gardle, więc zaczął głośniej. Dźwięki były czyste i głębokie, nie musiał wcale się wysilać. Spokojnie, spokojnie, niech

płyną. Johnny uświadomił sobie, że zły czas przeminął, że odzyskał wszystko. I nie było ważne, czyby nawalił w filmie, nie było ważne, że mu nie wyszło z Tiną tej nocy, nie było ważne, iż Virginia znienawidzi go za to, że może znowu śpiewać. Przez chwilę pożałował tylko jednego. Gdyby odzyskał głos, kiedy próbował śpiewać swoim córkom – jakież to byłoby cudowne. To byłoby takie cudowne.

Pielęgniarka hotelowa wtoczyła do pokoju wózek zastawiony lekarstwami. Johnny wstał i popatrzył na Nina, który spał czy może konał. Wiedział, iż Nino nie był zazdrosny o to, że on odzyskał głos. Rozumiał, że Nino zazdrościł mu tylko tego, że był taki szczęśliwy z odzyskania głosu. Że tak uwielbiał śpiewać. Bo teraz było zupełnie oczywiste, że Nino Valenti nie dba o nic na tyle, aby chcieć pozostać przy życiu.

Rozdział 27

Michael Corleone przyleciał wieczorem i zgodnie z jego życzeniem nikt go nie oczekiwał na lotnisku. Towarzyszyli mu tylko dwaj ludzie: Tom Hagen i nowy goryl nazwiskiem Albert Neri.

Dla Michaela i jego towarzyszy zarezerwowano najbardziej luksusowy apartament w hotelu. Czekali tam już ludzie, z którymi Michael musiał się zobaczyć.

Freddie powitał brata gorącym uściskiem. Przytył, wyglądał pogodniej, weselej i był o wiele bardziej wyelegantowany. Miał na sobie świetnie skrojone ubranie z popielatego jedwabiu, z odpowiednio dobranymi dodatkami. Włosy miał przycięte brzytwą i uczesane tak starannie jak gwiazdor filmowy, twarz idealnie wygoloną i wymanikiurowane ręce. Był zupełnie innym człowiekiem niż wówczas, kiedy go wyprawiono z Nowego Jorku przed czterema laty.

Odchylił się w tył i czule przyjrzał Michaelowi.

– Wyglądasz o całe niebo lepiej teraz, kiedy sobie wyreperowałeś twarz. Żona cię w końcu namówiła, co? Jak się czuje Kay? Kiedy przyjedzie tu do nas w odwiedziny?

Michael uśmiechnął się do brata.

– Ty też nieźle wyglądasz. Kay byłaby przyjechała tym razem, ale znowu jest w ciąży, a musi doglądać pierwszego dziecka. Poza tym jestem tu w interesach, Freddie, muszę lecieć z powrotem jutro wieczorem albo pojutrze rano.

– Najpierw musisz coś zjeść – powiedział Freddie. – Mamy w hotelu wspaniałego kucharza, dostaniesz najlepsze dania, jakie kiedykolwiek jadłeś. Idź więc wziąć prysznic i przebierz się, a tutaj wszystko już będzie przyszykowane. Ściągnąłem ludzi, z którymi chcesz się zobaczyć, zaczekają, aż bę-

dziesz gotowy, wystarczy mi ich zawezwać.

Michael odparł uprzejmie:

– Zostawmy Moe Greene’a na koniec, dobrze? Poproś Johnny’ego Fontane i Nina, żeby zjedli z nami. A także Lucy i tego jej przyjaciela, doktora. Możemy pogadać przy jedzeniu. – Obrócił się do Hagen. – Chcesz jeszcze kogoś poza tym, Tom?

Hagen potrząsnął głową. Freddie przywitał go o wiele mniej serdecznie niż Michaela, ale Hagen to rozumiał. Freddie był na czarnej liście u ojca i naturalnie obwiniął *consigliori*, że tego nie naprawił. Hagen byłby chętnie to zrobił, ale nie wiedział, dlaczego Freddie jest w niełasce u ojca. Don nie wypowiadał żadnych konkretnych pretensji. Po prostu dawał wyczuć swoje niezadowolenie.

Było już po północy, kiedy zebrali się przy specjalnym stole obiadowym, zastawionym w apartamencie Michaela. Lucy ucałowała Michaela, nie komentując faktu, że jego twarz wygląda o wiele lepiej po zabiegu. Jules Segal bezceremonialnie przypatrzył się zoperowanej kości policzkowej i powiedział do Michaela:

– Dobra robota. Ładnie to pocerowali. A zatoki w porządku?

– Świetnie – odrzekł Michael. – Dziękuję za pomoc.

Podczas kolacji uwaga wszystkich skupiała się na Michaelu.

Zauważyli jego podobieństwo do dona w mowie i sposobie bycia. W jakiś dziwny sposób budził ten sam szacunek, ten sam respekt, choć był zupełnie naturalny, starał się, żeby każdy czuł się swobodnie. Hagen, jak zwykle, pozostawał w tle. Nowego człowieka nie znali; Albert Neri był także bardzo cichy i nienarzucający się. Powiedział, że nie jest głodny, i zasiadł w fotelu blisko drzwi, czytając miejscową gazetę.

Kiedy wypili kilka drinków i coś zjedli, odprawiono kelnerów. Michael zwrócił się do Johnny’ego Fontane:

– Podobno twój głos jest znowu równie dobry jak przedtem, wrócili do ciebie wszyscy twoi dawni wielbiciele. Winszuję.

– Dzięki – powiedział Johnny. Był ciekaw, dlaczego właściwie Michael chciał się z nim zobaczyć. O jaką uprzejmość zamierzał go poprosić?

Michael przemówił do nich wszystkich:

– Rodzina Corleone myśli o tym, żeby się przenieść tutaj, do Vegas. Sprzedać wszystkie udziały w handlu oliwą i tu się osiedlić. Don, Hagen i ja omówiliśmy to już i uważamy, że tutaj jest przyszłość dla Rodziny. To nie zna-

czy, że zrobi się to zaraz czy w przyszłym roku. Może będzie potrzeba dwóch, trzech, a nawet czterech lat, żeby wszystko załatwić. Ale taki jest ogólny plan. Niektórzy nasi przyjaciele mają spore udziały w tym hotelu i kasynie, więc to będzie naszą podstawą. Moe Greene sprzeda nam swój udział, tak że całość stanie się własnością przyjaciół Rodziny.

Na okrągłej twarzy Freddiego pojawił się niepokój.

– Mike, jesteś pewny, że Moe Greene sprzeda? Nigdy mi o tym nie wspominał, a uwielbia ten interes. Naprawdę nie sądzę, żeby sprzedał.

Michael wyjaśnił spokojnie:

– Zrobię mu propozycję nie do odrzucenia.

Te słowa zostały wypowiedziane zwyczajnym tonem, a jednak efekt ich był mrozący, może dlatego, że było to ulubione powiedzenie dona. Michael obrócił się do Johnny'ego Fontane.

– Don licz na ciebie, licz że pomożesz nam ruszyć z miejsca. Wyjaśniono nam, że rozrywki będą ważnym czynnikiem przyciągania graczy. Mamy nadzieję, że podpiszesz kontrakt na pięć występów rocznie, może po tygodniu każdy. Spodziewamy się, że twoi przyjaciele z filmu zrobią to samo. Wyświadczyłeś im mnóstwo uprzejmości, teraz możesz się do nich odwołać.

– Jasne – odrzekł Johnny. – Wiesz dobrze, że zrobię wszystko dla mojego ojca chrzestnego.

Jednakże w jego głosie był lekki odcień powątpiewania. Michael uśmiechnął się i rzekł:

– Nie stracisz na tym interesie ani twoi przyjaciele. Dostaniesz udziały w hotelu, a jeżeli masz kogoś, kogo uważasz za dostatecznie ważnego, dostanie je także. Może mi nie wierzysz, więc powiem ci, że powtarzam słowa dona.

– Wierzę ci, Mike – odrzekł pospiesznie Johnny. – Ale tutaj teraz budują dziesięć nowych hoteli i kasyn. Kiedy się włączycie, rynek może być nasycony, możecie się spóźnić przy całej tej konkurencji, która już tu będzie.

Odezwał się Tom Hagen:

– Rodzina Corleone ma przyjaciół, którzy finansują trzy z tych hoteli.

Johnny od razu zrozumiał, iż chce przez to powiedzieć, że Rodzina Corleone jest w posiadaniu tych trzech hoteli razem z ich kasynami. I że byłoby do rozdzielenia wiele udziałów.

– Zacznę nad tym pracować – przyrzekł Johnny. Michael obrócił się do Lucy i Julesa Segala.

– Jestem pańskim dłużnikiem – powiedział do Julesa. – Słyszę, że pan chce wrócić do krajania ludzi i że szpitale nie chcą panu pozwolić korzystać ze swoich urządzeń ze względu na tę starą historię skrobankową. Muszę usłyszeć to od pana: czy tego pan chce?

Jules uśmiechnął się.

– Chyba tak. Ale pan nie zna stosunków w medycynie. Jakakolwiek jest pańska władza, dla nich ona nic nie znaczy. Obawiam się, że pan nie będzie mógł mi w tym pomóc.

Michael pokiwał głową w zamyśleniu.

– Tak, ma pan rację. Ale pewni moi przyjaciele, ludzie dosyć znani, mają zbudować w Las Vegas duży szpital. Miasto będzie go potrzebowało, jeżeli zważyć, jak się rozrasta i jak się ma rozrastać. Może wpuszczą pana na salę operacyjną, jeżeli im się to odpowiednio wytłumaczy. Do licha, iluż takich dobrych chirurgów jak pan mogą namówić, żeby przyjechali na tę pustynię? Albo nawet w połowie tak dobrych? Wyświadczymy temu szpitalowi przysługę. Więc niech pan tu siedzi. Słyszałem, że macie się pobrać z Lucy?

Jules wzruszył ramionami.

– Jak będę widział, że mam jakąś przyszłość.

Lucy zauważyła kwaśno:

– Mike, jeżeli nie zbudujesz tego szpitala, umrę starą panną.

Wszyscy się roześmiali. Wszyscy, z wyjątkiem Julesa.

Powiedział do Michaela:

– Gdybym przyjął taką pracę, nie mogłoby być przy tym żadnych haczyków.

– Żadnych haczyków – odrzekł Michael zimno. – Po prostu jestem pańskim dłużnikiem i chcę to wyrównać.

Lucy poprosiła łagodnie:

– Mike, nie złość się.

Michael uśmiechnął się do niej.

– Ja się nie złościę. – Obrócił się do Julesa. – To było niemądre powiedzenie z pańskiej strony. Rodzina Corleone już przedtem pociągała dla pana za pewne sznurki. Czy pan myśli, że jestem taki głupi, żeby żądać od pana rzeczy, których pan nie chciałby robić? A gdyby nawet, no to co? Któż inny, u licha, kiwnął palcem, żeby panu pomóc, kiedy pan miał kłopoty? Kiedy usłyszałem, że pan chciałby wrócić do prawdziwej chirurgii, poświęciłem sporo czasu, żeby się dowiedzieć, czy mogę panu pomóc. Otóż mogę. O nic

pana nie proszę. Ale przynajmniej może pan uważać nasze stosunki za przyjacielskie, a przypuszczam, że zrobiłby pan dla mnie to, co by pan zrobił dla każdego dobrego przyjaciela. To jest ten mój haczyk. Ale pan może go odrzucić.

Tom Hagen pochylił głowę i uśmiechnął się. Nawet sam don nie mógłby zrobić tego lepiej. Jules zarumienił się.

– Ja wcale tego tak nie rozumiałem. Jestem ogromnie wdzięczny panu i pańskiemu ojcu. Proszę zapomnieć, że to powiedziałem.

Michael kiwnął głową i rzekł:

– Świetnie. Do czasu zbudowania i otwarcia szpitala będzie pan sprawował opiekę lekarską nad tymi czterema hotelami. Proszę dobrać sobie personel. Pańskie uposażenie zostanie podniesione, ale to pan przedyskutuje z Tomem w późniejszym czasie. A jeśli chodzi o ciebie, Lucy, to chciałbym, żebyś robiła coś ważniejszego. Może koordynowała wszystkie sklepy, które zostaną otwarte w holach. Od strony finansowej. Albo żebyś najmowała dziewczyny, które będą nam potrzebne do pracy w kasynach czy coś takiego. Wtedy, jeśli Jules nie ożeni się z tobą, będziesz mogła być bogatą starą panną.

Freddie gniewnie pykał z cygara. Michael obrócił się do niego i powiedział łagodnie:

– Ja jestem tylko chłopcem na posyłki dona. Naturalnie on sam ci powie, czego od ciebie chce, ale jestem pewny, że będzie to coś dostatecznie dużego, żeby cię zadowolić. Wszyscy nam mówią, jaką świetną robotę tutaj robiłeś.

– To dlaczego jest na mnie zły? – spytał Freddie rozżalonym tonem. – Tylko dlatego, że kasyno przynosi straty? To nie jest mój zakres, tylko Moe Greene’a. Czego stary ode mnie chce, u licha?

– Nie martw się tym – odrzekł Michael. Obrócił się do Johnny’ego Fontane. – A gdzie Nino? Cieszyłem się, że go znowu zobaczę.

Johnny wzruszył ramionami.

– Nino nie najlepiej się czuje. Jest w swoim pokoju pod opieką pielęgniarki. Ale doktor powiada, że trzeba oddać go do zakładu, bo sam się zabija. Nino!

Michael, szczerze zaskoczony, stwierdził w zamyśleniu:

– Nino zawsze był naprawdę dobrym chłopcem. Nigdy nie widziałem, żeby zrobił coś paskudnego, powiedział cokolwiek na czyjąś szkodę. Nigdy o nic nie dbał. Poza piciem.

– Właśnie – potaknął Johnny. – Forsa napływa, mógłby mieć masę roboty,

śpiewać albo grać w filmie. Dostaje teraz po pięćdziesiąt kawałków od filmu i wszystko przepuszcza. Nic mu nie zależy na sławie. Przez wszystkie te lata, kiedy byliśmy kumplami, nigdy nie zrobił żadnego świństwa. A teraz drań zapija się na śmierć.

Jules już miał coś powiedzieć, kiedy rozległo się pukanie do drzwi apartamentu. Zdziwił się, widząc, że mężczyzna siedzący w fotelu najbliżej drzwi nie wstał, by je otworzyć, tylko dalej czytał gazetę. Drzwi poszedł otworzyć Hagen. I nieomal został odepchnięty na bok, kiedy do pokoju wkroczył Moe Greene, a za nim dwaj ludzie z jego obstawy.

Moe Greene był przystojnym gangsterem, który zdobył sobie reputację jako najemny zabójca w Brooklynie. Przerzucił się na hazard i wyjechał na zachód szukać fortuny, był pierwszym, który dostrzegł możliwości Las Vegas i zbudował tam jeden z pierwszych hoteli-kasyn. Nadal miewał mordercze napady furii i wszyscy w hotelu bali się go, nie wyłączając Freddiego, Lucy i Julesa Segala. Zawsze usuwali mu się z drogi, ilekroć to było możliwe.

Teraz miał ponury wyraz twarzy. Powiedział do Michaela Corleone:

– Czekałem, żeby z tobą pogadać, Mike. Jutro mam masę roboty, więc pomyślałem, że złapię cię dziś wieczorem. Co ty na to?

Michael Corleone popatrzył na niego z pozornie przyjaznym zdumieniem.

– Jasne. – Skinął w stronę Hagen. – Tom, daj coś do picia panu Greene'owi.

Jules zauważył, że mężczyzna nazwiskiem Albert Neri przypatruje się bacznie Moe Greene'owi, nie zwracając żadnej uwagi na ludzi z jego obstawy, którzy stali oparci o drzwi. Wiedział, że nie ma żadnego prawdopodobieństwa użycia przemocy w samym Vegas. Było to surowo zabronione, jako fatalne dla całego projektu uczynienia z Las Vegas legalnego azylu amerykańskich szulerów.

Moe Greene powiedział do swoich goryli:

– Przynieście trochę sztonów dla tu obecnych, żeby sobie zagrali na koszt lokalu. – Miał najwyraźniej na myśli Julesa, Lucy, Johnny'ego Fontane i goryla Michaela, Alberta Neri.

Michael Corleone kiwnął głową z przyzwoleniem.

– To dobra myśl – przyznał. Dopiero wtedy Neri podniósł się z fotela i przygotował do pójścia za tamtymi.

Kiedy się pożegnano, w pokoju zostali Freddie, Tom Hagen, Moe Greene

i Michael Corleone. Greene postawił swoją szklankę na stole i zapytał z ledwie powściąganą furią:

– Co to ja słyszę, Rodzina Corleone chce mnie wykupić? To ja was wykupię. Mnie się nie wykupuje.

Michael odpowiedział rozsądnie:

– Twoje kasyno wbrew swoim możliwościom przynosi straty. Prowadzisz je w jakiś niewłaściwy sposób. Może my potrafimy lepiej.

Greene roześmiał się szorstko.

– Wy cholerni makaroniarze. Robię wam uprzejmość i biorę Freddiego do siebie, kiedy na was przychodzi zła chwila, a teraz chcecie mnie wygryźć. Tak wam się tylko zdaje. Mnie nikt nie wygryzie, a mam przyjaciół, którzy mnie wesprą.

Michael był nadal spokojnie rozsądny.

– Przyjąłeś Freddiego dlatego, że Rodzina Corleone dała ci ciężką forszę na ostateczne urządzenie hotelu. I na sfinansowanie twojego kasyna. A także dlatego, że Rodzina Molinarich na Wybrzeżu zagwarantowała bezpieczeństwo Freddiego i wyświadczyła ci pewne przysługi za przyjęcie go. Rodzina Corleone i ty jesteście kwita. Nie rozumiem, o co się złościysz. Odkupimy twój udział za każdą rozsądną cenę, jaką wymienisz. Cóż w tym złego? Co w tym nieuczciwego? Zważywszy na to, że twoje kasyno przynosi straty, wyświadczamy ci uprzejmość.

Greene potrząsnął głową.

– Rodzina Corleone nie ma już takiej krzepy. Ojciec Chrzestny jest chory. Inne Rodziny wypędzają was z Nowego Jorku i zdaje wam się, że tu będzie wam łatwiej się nachapać. Ja ci dam pewną radę, Mike. Nie próbujcie.

Michael zapytał cicho:

– Czy dlatego zdawało ci się, że możesz publicznie sponiewierać Freddiego?

Tom Hagen, zaskoczony, popatrzał uważnie na Freddiego. Freddie Corleone zaczerwienił się.

– Ach, Mike, to nie było nic takiego. Moe nie chciał zrobić nic złego. Czasem go ponosi, ale jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Nie, Moe?

Greene był ostrożny.

– No, jasne. Czasami muszę dać komuś kopa w tyłek, żeby tu wszystko szło jak należy. Rozzłościłem się na Freddiego, bo rznął wszystkie kelnerki i pozwalał im bumelować przy pracy. Mieliśmy małą sprzeczkę i jakoś go

wyregulowałem.

Twarz Michaela była nieporuszona, kiedy zapytał brata:

– Jesteś wyregulowany, Freddie?

Freddie popatrzał ponuro na młodszego brata. Nie odpowiedział. Greene roześmiał się i rzekł:

– Drań brał je sobie do łóżka po dwie naraz, wiesz, taki sandwiczowy balecik. Freddie, muszę przyznać, że naprawdę dałeś tym babkom do wiwatu. Po tobie już nikt ich nie zadowolili.

Hagen widział, że to zaskoczyło Michaela. Może to była właśnie przyczyną niezadowolenia dona z Freddiego. Don był surowy w sprawach seksu. Takie igraszki swojego syna, Freddiego, musiał uważać za zwyrodnienie. A to, że Freddie dopuścił, aby taki człowiek jak Moe Greene upokorzył go fizycznie, umniejszało szacunek dla Rodziny Corleone. To także było częściowo przyczyną, że Freddie był źle notowany u ojca.

Michael, wstając z krzesła, powiedział tonem pożegnania:

– Muszę jutro wracać do Nowego Jorku, więc zastanów się nad swoją ceną.

Greene odparł zajadle:

– Ty draniu, myślisz, że możesz mnie tak spławić? Zabiłem więcej ludzi niż ty, zanim się wycofałem. Polecę do Nowego Jorku i pogadam z samym donem. Zrobię mu propozycję.

Freddie zaapelował nerwowo do Toma Hageny:

– Tom, jesteś *consigliori*, możesz porozmawiać z donem i doradzić mu.

Wtedy Michael lodowato wycedził do obu mężczyzn z Las Vegas.

– Don się już na wpół wycofał. Teraz ja prowadzę interesy Rodziny. I zdjąłem Toma ze stanowiska *consigliori*. Będzie wyłącznie moim adwokatem tu, w Vegas. Za parę miesięcy przeniesie się tutaj ze swoją rodziną, żeby ruszyć z miejsca całą robotę prawną. Więc jeżeli masz coś do powiedzenia, powiedz to mnie.

Nikt się nie odezwał. Michael rzekł oficjalnie:

– Freddie, jesteś moim starszym bratem, mam dla ciebie szacunek. Ale nigdy więcej nie stawaj po czyjejkolwiek stronie przeciwko Rodzinie. Nawet nie wspomnę o tym donowi. – Znowu obrócił się do Moe Greene'a. – Nie obrażaj ludzi, którzy usiłują ci pomóc. Lepiej byś zrobił, używając swojej energii do ustalenia, dlaczego kasyno przynosi straty. Rodzina Corleone zainwestowała tu ciężką forszę i nie dostajemy tego, co nam się należy za nasze pie-

niądze, a mimo to nie przyjechałem tu, żeby ci wymyślać. Wyciągam do ciebie pomocną rękę. No cóż, jeżeli wolisz pluć na tę pomocną rękę, to twoja sprawa. Nic więcej powiedzieć nie mogę.

Ani razu nie podniósł głosu, ale jego słowa podziałały zarówno na Greene'a, jak na Freddiego. Michael popatrzał na nich, odsuwając się od stołu, ażeby dać do zrozumienia, iż oczekuje, by odeszli. Hagen podszedł do drzwi i otworzył je. Obaj mężczyźni wyszli, nie mówiąc dobranoc.

Nazajutrz rano Michael Corleone otrzymał wiadomość od Moe Greene'a: nie sprzeda swojego udziału w hotelu za żadną cenę. Wiadomość tę przyniósł Freddie. Michael wzruszył ramionami i powiedział do brata:

– Chcę się zobaczyć z Ninem przed powrotem do Nowego Jorku.

W apartamencie Nina zastali Johnny'ego Fontane, który siedział na kanapie i jadł śniadanie. Jules badał Nina za zaciągniętymi kotarami sypialni. Wreszcie kotary się rozchyliły.

Michaela przeraził wygląd Nina. Ten człowiek najwyraźniej się kończył. Oczy miał zamglone, usta obwisłe, wszystkie mięśnie twarzy zwiotczałe. Michael usiadł przy łóżku:

– Nino, miło jest cię zobaczyć. Don stale pyta o ciebie.

Nino uśmiechnął się, był to ten jego dawny uśmiech.

– Powiedz mu, że jestem umierający. Powiedz mu, że przemysł rozrywkowy jest niebezpieczniejszy od handlu oliwą.

– Nic ci nie będzie – odrzekł Michael. – Gdybyś miał jakieś kłopoty, w których Rodzina mogłaby ci dopomóc, to tylko daj mi znać.

Nino potrząsnął głową.

– Nic takiego nie ma. Nic.

Michael pogadał z nim jeszcze chwilę i wyszedł. Freddie odwiózł go i jego towarzyszy na lotnisko, ale na życzenie Michaela nie czekał do momentu odlotu. Kiedy Michael wsiadał do samolotu z Tomem Hagenem i Alem Neri, obrócił się do Neriego i spytał:

– Zapamiętałeś go sobie dobrze?

Neri poklepał się po czole.

– Moe Greene jest tu sfotografowany i zanotowany.

Rozdział 28

Podczas powrotnego lotu do Nowego Jorku Michael Corleone odprężył się i próbował zasnąć. Na próżno. Zbliżał się najstraszniejszy okres jego życia, być może nawet zgubny. Nie można było dłużej tego odkładać. Wszystko było przygotowane, przedsięwzięto wszelkie środki ostrożności, a trwało to dwa lata. Nie mogło być dalszej zwłoki. Kiedy w ubiegłym tygodniu don oficjalnie oznajmił *caporegime* i innym członkom Rodziny Corleone, że się wycofuje, Michael wiedział, że ojciec w ten sposób daje mu do zrozumienia, iż nadszedł już czas.

Minęły prawie trzy lata, odkąd powrócił do domu, a przeszło dwa od jego ślubu z Kay. Te trzy lata spędził na zapoznawaniu się z rodzinnymi interesami. Trawił długie godziny z Tomem Hagenem, długie godziny z donem. Był zdumiony tym, jaka naprawdę bogata i potężna jest Rodzina Corleone. Posiadała niezmiernie wartościowe nieruchomości w centrum Nowego Jorku – całe gmachy biurowe. Przez podstawione osoby była współniczką dwóch domów maklerskich na Wall Street, banków na Long Island, kilku firm odzieżowych, a wszystko to poza swoimi nielegalnymi operacjami w dziedzinie gier hazardowych.

Najbardziej interesującą rzeczą, jakiej dowiedział się Michael, dokonując przeglądu dotychczasowych transakcji Rodziny Corleone, było to, że Rodzina otrzymywała wkrótce po wojnie opłaty za ochronę od grupy fałszerzy płyt patefonowych. Fałszerze ci sporządzali i sprzedawali duplikaty nagrań słynnych artystów i załatwiali to tak zręcznie, że nigdy ich nie przyłapano. Naturalnie od płyt, które sprzedawali do sklepów, artyści oraz wytwórnie nie otrzymywali ani centa. Michael Corleone zauważył, że Johnny Fontane stracił na tych fałszerstwach masę pieniędzy, ponieważ w owym czasie, na krótko przed utratą głosu, jego płyty były najpopularniejsze w kraju.

Zapytał o to Toma Hagena. Dlaczego don pozwalał fałszerzom oszukiwać swojego chrzestnego syna? Hagen wzruszył ramionami. Biznes to biznes. Johnny był w niełasce u dona, bo rozwiódł się ze swoją ukochaną z dzieciństwa, aby poślubić Margot Ashton. To się ogromnie nie podobało donowi.

– Jak to się stało, że ci goście przerwali swoją działalność? – zapytał Michael. – Gliny się do nich dobrały?

Hagen potrząsnął głową.

– Don cofnął im swoją ochronę. To było zaraz po ślubie Connie.

Był to układ rzeczy, z którym miał spotykać się często: don pomagał w nieszczęściu tym, których nieszczęście sam częściowo spowodował. Może nie przez przebiegłość ani rozmyślnie, ale ze względu na różnorodność swych interesów czy ze względu na naturę świata – splatanie się dobra i zła, naturalne samo w sobie.

Michael wziął ślub z Kay w Nowej Anglii, cichy ślub, na którym obecna była tylko jej rodzina i paru przyjaciół. Potem wprowadzili się do jednego z domów w ośrodku w Long Beach. Michael zdumiewał się, widząc, jak dobrze Kay ułożyła sobie stosunki z jego rodzicami oraz innymi ludźmi mieszkającymi w ośrodku. I oczywiście od razu zaszła w ciążę, tak jak przystało na dobrą włoską żonę w starym stylu, co także pomogło. Drugie dziecko w drodze w ciągu dwóch lat to była po prostu bomba.

Kay miała go oczekiwać na lotnisku, zawsze przyjeżdżała go powitać i zawsze tak się cieszyła, kiedy wracał z podróży. A i on także. Ale nie tym razem. Albowiem zakończenie tej podróży oznaczało, że wreszcie musi podjąć działanie, do którego przysposabiano go przez ostatnie cztery lata. Don czekał na niego. Czekali na niego *caporegime*. A on, Michael Corleone, miał teraz wydać rozkazy, powziąć decyzje, przesądzające o losie jego samego i jego Rodziny.

Co rano, kiedy Kay Adams Corleone wstawiała, aby zająć się pierwszym karmieniem dziecka, widziała mamę Corleone, żonę dona, wyjeżdżającą z ośrodka wraz z jednym z goryli i wracającą godzinę później. Kay wkrótce dowiedziała się, że jej teściowa co rano udaje się do kościoła. Często po powrocie starsza pani zachodziła do niej na poranną kawę i żeby odwiedzić swego nowego wnuka.

Mama Corleone zawsze zaczynała od wypytywania Kay, dlaczego nie po-

myślała o tym, by zostać katoliczką, nie bacząc na fakt, że dziecko Kay już otrzymało chrzest protestancki. Toteż Kay uznała za właściwe zapytać starszej pani, dlaczego jeździ co rano do kościoła, czy to jest nieodzowne, kiedy się jest katolikiem.

Starsza pani, jak gdyby myśląc, że może to powstrzymywało Kay od nawrócenia, zaprzeczyła:

– O nie, nie, niektórzy katolicy chodzą do kościoła tylko na Wielkanoc i w Boże Narodzenie. Idzie się, kiedy ma się ochotę.

Kay roześmiała się.

– To dlaczego mama chodzi co rano?

W najnaturalniejszy sposób mama Corleone wyjaśniła:

– Chodzę dla mojego męża – wskazała w stronę podłogi – żeby się nie dostał tam. – Przerwała. – Modlę się co dzień za jego duszę, żeby poszedł tam – wskazała ku niebu. Mówiła to z chytrym uśmiechem, tak jakby ta sprawa była przegrana. Było to powiedziane niemal żartobliwie, właściwym jej tonem surowej starej Włoszki. I tak jak zawsze pod nieobecność męża, była w tym nuta nieposzanowania dla wielkiego dona.

– Jak się czuje don? – spytała uprzejmie Kay. Mama Corleone wzruszyła ramionami.

– Nie jest już ten sam, odkąd go postrzelili. Pozwala Michaelowi robić całą robotę, a sam tylko się cacka z tym swoim ogrodem, papryką i pomidorami. Tak jakby wciąż jeszcze był chłopakiem ze wsi. Ale mężczyźni zawsze są tacy.

Później przed południem Connie Corleone przychodziła z dwojgiem swoich dzieci odwiedzić Kay i pogadać. Kay lubiła Connie, podobała jej się jej żywość, wyraźne przywiązanie do brata, Michaela. Connie nauczyła Kay gotować niektóre włoskie potrawy, ale czasami przynosiła swoje własne, umiejętnie przyrządzone, by Michael ich pokosztował.

Tego rana, jak zwykle, zapytała Kay, co Michael myśli o jej mężu, Carlu. Czy go naprawdę lubi, tak jak się wydawało? Carlo dawniej miał ciągle drobne zatargi z rodziną, ale w ostatnich latach się ustatkował. Radził sobie naprawdę dobrze w związku zawodowym, tylko że musiał pracować tak ciężko, tyle godzin.

Connie zawsze mówiła, że Carlo naprawdę lubi Michaela. Tylko że każdy lubi Michaela, tak samo jak każdy lubi jej ojca. Michael to wykapany don. Bardzo dobrze, że będzie prowadził rodzinny interes handlu oliwą.

Kay zauważyła już przedtem, że kiedy Connie mówiła o swoim mężu w powiązaniu z rodziną, zawsze nerwowo, skwapliwie wyczekiwała jakiegoś słowa pochwały dla Carla. Kay byłaby niemądra, gdyby nie dostrzegła pełnej obawy troski Connie o to, czy Michael lubi Carla, czy nie. Któregoś wieczoru powiedziała o tym Michaelowi i napomknęła o fakcie, że nikt nigdy nie mówi o Sonnym Corleone, nikt nawet go nie wspomina, przynajmniej w jej obecności. Kay raz popróbowwała wyrazić współczucie donowi i jego żonie, którzy wysłuchali tego w niemal niegrzecznym milczeniu, a potem całkowicie zignorowali. Usiłowała skłonić Connie do rozmowy o starszym bracie, ale bez powodzenia.

Żona Sonny'ego, Sandra, zabrała dzieci i przeniosła się na Florydę, gdzie mieszkali jej rodzice. Poczyniono pewne kroki finansowe, tak że mogła ostatnio żyć z dziećmi, chociaż Sonny nie pozostawił żadnego majątku.

Michael niechętnie wyjaśnił, co zaszło owego wieczoru, kiedy zamordowano Sonny'ego. Że Carlo pobił wtedy żonę i Connie zadzwoniła do ośrodka, a Sonny przyjął telefon i wybiegł ogarnięty wściekłością. Więc naturalnie Connie i Carlo stale się denerwowali, że reszta rodziny obwinia ją o pośrednie spowodowanie śmierci Sonny'ego. Albo obwinia jej męża, Carla. Tak jednak nie było. Dowodził tego fakt, że Connie i Carlo dostali dom w ośrodku, a Carlo awansował na ważne stanowisko w związkach zawodowych. I Carlo się ustatkował, przestał pić, przestał latać za dziwkami, przestał się mądrzyć. Rodzina była zadowolona z jego pracy i postawy w ostatnich dwóch latach. Nikt nie przypisywał mu winy za to, co się stało.

– To czemu ich nie zaprosisz któregoś wieczoru, żeby uspokoić siostrę? – spytała Kay. – Biedactwo, wciąż tak się denerwuje, co myślisz o jej mężu. Powiedz jej. I niech wybije sobie z głowy te niemądre zmartwienia.

– Tego nie mogę zrobić – odrzekł Michael. – Nie rozmawiamy o tych rzeczach w naszej rodzinie.

– Chcesz, żebym jej powtórzyła twoje słowa? – spytała Kay.

Była zaskoczona, bo bardzo długo zastanawiał się nad tą propozycją, która wydawała się zupełnie oczywista. Wreszcie powiedział:

– Myślę, że nie powinnaś, Kay. Nie sądzę, żeby to coś dało. Będzie się i tak martwiła. To jest coś, na co nikt nie może poradzić.

Kay się zdumiała. Zdawała sobie sprawę, że Michael był zawsze trochę chłodniejszy dla swej siostry, Connie, niż dla innych, pomimo jej przywiązania.

– Chyba nie obwiniasz Connie za to, że zabili Sonny’ego? – spytała. Michael westchnął.

– Oczywiście, że nie. Jest moją małą siostrzyczką i bardzo ją lubię. Żal mi jej. Carlo się ustatkował, ale w gruncie rzeczy nie nadaje się na męża. Po prostu tak bywa. Zapomnijmy o tym.

Naprzykrzanie się nie leżało w naturze Kay; dała z tym spokój. Prócz tego przekonała się, że Michael nie jest człowiekiem, którego można naciskać, że potrafi wtedy być zimny i nieprzyjemny. Widziała, że ona sama jest jedyną osobą na świecie mogącą nagiąć jego wolę, ale wiedziała również, że czynienie tego za często zniweczyłoby tę jej władzę. A współzycie z nim przez te ostatnie dwa lata sprawiło, że pokochała go jeszcze bardziej.

Kochała go, ponieważ zawsze postępował przyzwoicie. Szczególna rzecz: zawsze odnosił się przyzwoicie do wszystkich, którzy go otaczali, nie był nigdy arbitralny, nawet w drobiazgach. Zaobserwowała, że teraz jest człowiekiem bardzo wpływowym; ludzie przychodzili do ich domu zasięgać jego rady i prosić o różne uprzejmości, traktowali go z szacunkiem i uległością, ale jedna rzecz nade wszystko uczyniła go jej drogim.

Odkąd Michael powrócił z Sycylii z pokiereszowaną twarzą, wszyscy w rodzinie usiłowali go nakłonić, by poddał się zabiegowi korekcyjnemu. Matka nagabywała go ustawicznie; którejś niedzieli, podczas kolacji, kiedy zebrali się wszyscy Corleone, krzyknęła na Michaela:

– Wyglądasz jak gangster z filmu, każ wyreperować sobie twarz w imię Chrystusa i twojej biednej żony! Wtedy przestanie ci cieknąć z nosa jak pijanemu Irlandczykowi.

Don, siedzący u góry stołu i obserwujący wszystko, zapytał Kay:

– Czy tobie to przeszkadza?

Kay potrząsnęła głową. Don powiedział do żony:

– On nie jest już w twoich rękach, to nie twoja rzecz.

Starsza pani natychmiast się uspokoiła. Nie dlatego, żeby się bała męża, ale ponieważ spieranie się z nim przy innych w takiej sprawie byłoby brakiem szacunku.

Natomiast Connie, ulubienica dona, przyszła z kuchni, gdzie gotowała niedzielną kolację, z twarzą zarumienioną od ognia, i zawołała:

– Uważam, że powinien zoperować sobie twarz. Był najprzystojniejszy w rodzinie, zanim go okaleczyli. No, Mike, powiedz, że to zrobisz.

Michael popatrzał na nią w roztargnieniu. Zdawało się, że naprawdę nie

usłyszał nic z tego, co mówiono. Nie odpowiedział. Connie podeszła i stanęła obok ojca.

– Namów go, żeby to zrobił – zaapelowała do dona. Położyła czule obie dłonie na jego ramionach i pogładziła po szyi. Była jedyną osobą tak spoufaloną z donem. Jej uczucie dla ojca było wzruszające, pełne ufności, jak u małej dziewczynki. Don poklepał ją po dłoni i rzekł:

– Wszyscy konamy z głodu. Postaw spaghetti na stole, a potem pogadamy. Connie obróciła się do męża i rzekła:

– Carlo, powiedz Mike’owi, żeby sobie wyreperował twarz. Może ciebie posłucha. – Jej ton dawał do zrozumienia, że Michaela łączą z Carlem Rizzi jakieś przyjacielskie stosunki, bliższe niż z kimkolwiek innym.

Carlo, pięknie opalony, ze starannie ostrzyżonymi i uczesany blond włosami, pociągnął domowego wina ze szklanki i odparł:

– Nikt nie może mówić Mike’owi, co ma robić.

Carlo stał się innym człowiekiem, odkąd się przeprowadził do ośrodka. Znał swoje miejsce w rodzinie i trzymał się go.

W tym wszystkim tkwiło coś, czego Kay nie rozumiała, coś, co nie było całkiem jasne. Jako kobieta widziała, że Connie świadomie czaruje ojca, choć było to pięknie robione, a nawet szczere. Jednakże nie było spontaniczne. Odpowiedź Carla była męskim zajęciem stanowiska. Michael całkowicie zignorował to wszystko.

Kay nie przejmowała się oszpeceniem męża, ale martwiły ją wynikające stąd kłopoty z zatokami. Zoperowanie twarzy wyleczyłoby także zatoki. Z tej przyczyny chciała, żeby Michael poszedł do szpitala i poddał się niezbędnemu zabiegowi. Jednakże rozumiała, że z jakichś szczególnych względów pragnie zachować swoje oszpecenie. Była pewna, że don to też rozumie.

Jednakże kiedy Kay urodziła pierwsze dziecko, zaskoczyło ją pytanie Michaela.

– Chcesz, żebym zoperował sobie twarz?

Kiwnęła głową.

– Wiesz, jakie są dzieci, twojemu synowi będzie przykro z powodu twojej twarzy, kiedy na tyle dorośnie, aby zrozumieć, że nie jest normalna. Po prostu nie chcę, żeby nasze dziecko ją widziało. Mnie to nic nie przeszkadza, naprawdę.

– Okay – uśmiechnął się do niej. – Zrobię to.

Zaczął, aż wróciła do domu z kliniki, i wtedy poczynił odpowiednie kro-

ki. Operacja się powiodła. Wgniecenie policzka było teraz ledwie widoczne.

Wszyscy w rodzinie byli uradowani, ale Connie bardziej niż kiedykolwiek. Codziennie odwiedzała Michaela w szpitalu, ściągając też Carla. Kiedy Michael wrócił do domu, uściskała go czule, ucałowała, przypatrzyła mu się z zachwytem i zawołała:

– Teraz jesteś znowu moim przystojnym bratem.

Tylko na donie nie zrobiło to wrażenia; wzruszył ramionami i powiedział:

– A co za różnica?

Ale Kay była wdzięczna. Wiedziała, że Michael zrobił to wbrew własnemu przekonaniu. Zrobił to, ponieważ go poprosiła; była jedyną osobą na świecie, która mogła go skłonić do postąpienia wbrew własnej naturze.

Po południu tego dnia, kiedy Michael miał wrócić z Vegas, Rocco Lampone zajął limuzyną do ośrodka, by zabrać Kay na lotnisko, na spotkanie męża. Zawsze wyjeżdżała po Michaela, gdy wracał z podróży, głównie dlatego, że czuła się bez niego samotna, mieszkając w ufortyfikowanym ośrodku.

Zobaczyła go wysiadającego z samolotu razem z Tomem Hagenem i tym nowym człowiekiem, który dla niego pracował, Albertem Neri. Kay nie bardzo lubiła Neriego; swoją spokojną drapieżnością przypominał jej Lucę Brasi. Zauważyła, że Neri idzie za Michaeliem nieco z boku, widziała jego bystre, przenikliwe spojrzenie, gdy wodził oczami po wszystkich w pobliżu. To Neri pierwszy dostrzegł Kay i dotknął ramienia Michaela, aby ten spojrzał we właściwym kierunku.

Kay pobiegła prosto w ramiona męża, on zaś pocałował ją szybko i puścił. Michael, Tom Hagen i Kay wsiedli do limuzyny, a Albert Neri zniknął. Kay nie zauważyła, że wszedł do innego samochodu, w którym czekali dwaj mężczyźni, i że ten wóz jechał za limuzyną, dopóki nie dotarła do Long Beach.

Kay nie spytała Michaela, jak mu się powiodło. Nawet takie grzecznościowe pytania były uznawane za niezręczne, nie dlatego, że nie udzieliliby jej równie grzecznej odpowiedzi, ale ponieważ przypominałyby im o zakazanym terenie, którego ich małżeństwo nie mogło nigdy objąć. Kay nie miała już tego za złe. Ale kiedy Michael powiedział jej, że będzie musiał spędzić wieczór z ojcem, aby mu zdać sprawę z wyjazdu do Vegas, zmarszczyła brwi i nie kryła rozczarowania.

– Bardzo mi przykro – przeprosił Michael. – Jutro wieczorem wybierzemy

się do Nowego Jorku, pójdziemy do teatru i na kolację, dobrze? – Poklepał ją po brzuchu, była już w siódmym miesiącu ciąży. – Jak dziecko się urodzi, będziesz znowu związana. Do licha, jesteś bardziej włoska niż jankeska. Dwoje dzieci w dwa lata.

– A ty jesteś bardziej jankeski niż włoski – odparła Kay cierpko. – Twój pierwszy wieczór w domu i spędzasz go na interesach. – Jednakże mówiąc to, uśmiechnęła się do męża. – Nie wrócisz późno?

– Przed północą – odrzekł Michael. – Nie czekaj na mnie, jeżeli będziesz zmęczona.

– Poczekam – przyrzekła Kay.

Tego wieczoru na zebraniu w narożnej bibliotece domu dona Corleone był obecny sam don, Michael, Tom Hagen, Carlo Rizzi oraz obaj *caporegime*, Clemenza i Tessio.

Atmosfera zebrania nie była tak swobodna jak dawniej. Odkąd don oznajmił, że się częściowo wycofuje, a Michael przejmuje interesy Rodziny, panowało pewne napięcie. Sukcesja w zarządzaniu takim przedsięwzięciem nie była bynajmniej dziedziczna. W każdej innej Rodzinie potężni *caporegime*, tacy jak Clemenza i Tessio, mogli objąć stanowisko po donie. Albo przy najmniej móc się oddzielić i utworzyć własną Rodzinę.

Poza tym odkąd don Corleone zawarł pokój z Pięcioma Rodzinami, siła Rodziny Corleone zmalała. Rodzina Barzinich była teraz bezspornie najpotężniejsza na obszarze Nowego Jorku; sprzymierzeni z Tattagliami, osiągnęli tę samą pozycję, co niegdyś Rodzina Corleone. Prócz tego przebiegle okradali władzę Corleone, wciskając się na ich tereny gier hazardowych, wypróbowywali ich reakcję i jeśli była słaba, osadzali tam własnych bukmacherów.

Barziniowie i Tattagliowie byli uradowani wycofaniem się dona. Michael, choćby nawet okazał się groźny, nie mógł mieć nadziei dorównania donowi w przebiegłości i wpływach co najmniej przez następne dziesięciolecie. Rodzina Corleone zdecydowanie podupadała.

Ma się rozumieć, spotkały ją też poważne niepowodzenia. Freddie okazał się jedynie hotelarzem i bawidamkiem, przy czym gwarowe, nieprzetłumaczalne określenie bawidamka kojarzyło się z łapczywym niemowlęciem, stale uczepionym matczynej piersi – krótko mówiąc, z kimś niemęskim. Śmierć Sonny'ego też była katastrofą. Sonny był człowiekiem, którego należało się

bać, którego nie można było lekceważyć. Oczywiście, popełnił błąd posyłając młodszego brata, Michaela, by zabił Turka i kapitana policji. Choć było to potrzebne w sensie taktycznym, okazało się, jako długofalowa strategia, poważnym błędem. Zmusiło w końcu dona do powstania z łoża boleści. Pozbawiło Michaela dwóch lat cennego doświadczenia i zaprawy pod opieką ojca. A oczywiście Irlandczyk jako *consigliori* był jedynym głupstwem, jakie don popełnił. Żaden Irlandczyk nie mógł mieć nigdy nadziei, że dorówna Sycylijczykowi w przebiegłości. Taka była opinia wszystkich Rodzin, toteż naturalnie miały większy respekt dla sojuszu Barzini-Tattaglia niż dla Rodziny Corleone. Ich zdaniem Michael nie dorównywał Sonny'emu siłą, chociaż był na pewno inteligentniejszy, jednakże nie tak inteligentny jak ojciec. Mierny następca i człowiek, którego nie należało zbyt się obawiać.

Poza tym, aczkolwiek dona powszechnie podziwiano za rozum polityczny wykazany przez zawarcie pokoju, fakt, że nie pomścił zamordowania Sonny'ego, w dużej mierze umniejszył szacunek dla Rodziny. Uważano, że taki rozum polityczny wynikał ze słabości.

Wszystko to było wiadome mężczyznom zebranych w pokoju, a paru z nich może nawet w to wierzyło. Carlo Rizzi lubił Michaela, ale nie bał się go tak jak Sonny'ego. Clemenza zaś, chociaż miał dla Michaela uznanie za brawurowy wyczyn z Turkiem i kapitanem policji, nie mógł oprzeć się myśli, że jest za miękki, aby być donem. Clemenza miał nadzieję uzyskać zgodę na utworzenie własnej Rodziny, na oderwanie swojego imperium od Corleone. Jednakże don dał do zrozumienia, że nie może tak być, a Clemenza zanadto szanował dona, aby go nie usłuchać. Chyba żeby cała sytuacja stała się nie do zniesienia.

Tessio miał lepszą opinię o Michaelu. Wyczuwał w tym młodym mężczyźnie coś innego: przebiegle utajoną siłę, człowieka zazdrośnie strzegącego przed wzrokiem ogółu swej rzeczywistej mocy, w myśl zasady dona, że przyjaciel nigdy nie powinien zbyt wysoko oceniać naszych zalet, a wróg powinien przeceniać nasze wady.

Sam don i Tom Hagen nie mieli oczywiście wątpliwości co do Michaela. Don nigdy by się nie wycofał, gdyby nie miał absolutnej wiary w to, że syn potrafi przywrócić utraconą pozycję Rodziny. Hagen był przez ostatnie dwa lata nauczycielem Michaela i zdumiewał się, jak szybko Michael chwycił wszelkie zawilości rodzinnych interesów. Nieodrodny syn swojego ojca.

Clemenza i Tessio byli źli na Michaela, ponieważ umniejszył siłę ich *regi-*

me, a nigdy nie odtworzył *regime* Sonny'ego. W istocie Rodzina Corleone miała obecnie tylko dwa oddziały bojowe, mniej liczne niż poprzednio. Clemenza i Tessio uważali to za samobójcze, zwłaszcza wobec wdzierania się Barzinich-Tattagliów w ich imperia. Toteż mieli teraz nadzieję, że owe błędy zostaną naprawione na tym nadzwyczajnym zebraniu, zwołanym przez dona.

Michael zaczął od poinformowania ich o swojej podróży do Vegas oraz o odrzuceniu przez Moe Greene'a oferty wykupienia jego udziałów.

– Ale zrobimy mu propozycję nie do odrzucenia – powiedział Michael. – Wiadomo wam, że Rodzina Corleone planuje przeniesienie swoich operacji na zachód. Będziemy mieli cztery hotele-kasyna w Vegas. Ale to nie może być zaraz. Potrzebujemy czasu, żeby wszystko załatwić. – Zwrócił się bezpośrednio do Clemency: – Pete, ty i Tessio macie ze mną współdziałać przez rok, bez żadnych pytań i żadnych zastrzeżeń. Po upływie tego roku obaj możecie oderwać się od Rodziny Corleone, stać się niezależni, stworzyć własne Rodziny. Oczywiście, nie trzeba dodawać, że podtrzymamy naszą przyjaźń, nigdy bym nie uchybił wam ani waszemu szacunkowi dla mojego ojca, myśląc choćby przez chwilę, że mogłoby być inaczej. Ale do tego czasu macie się tylko podporządkować mnie i o nic nie martwić. Prowadzone są negocjacje, które rozwiążą problemy uważane przez was za nierozwiązywalne. Więc miejcie po prostu trochę cierpliwości.

Zabrał głos Tessio:

– Jeżeli Moe Greene chce pomówić z twoim ojcem, to dlaczego mu nie pozwolić? Don zawsze potrafił każdego przekonać, nie było nikogo, kto by się oparł jego rozsądkowi.

Don odpowiedział na to bezpośrednio:

– Ja się wycofałem. Michael utraciłby szacunek, gdybym się wtrącił. A poza tym, Greene jest człowiekiem, z którym wolałbym nie rozmawiać.

Tessio przypomniał sobie zasłyszane opowieści o tym, jak Moe Greene uderzył Freddiego Corleone któregoś wieczoru w hotelu w Las Vegas. Teraz coś zwąchał. Odchylił się do tyłu. Moe Greene to już trup – pomyślał. Rodzina Corleone nie pragnie go nakłaniać.

– Czy Rodzina Corleone w ogóle przestanie operować w Nowym Jorku? – odezwał się Carlo Rizzi.

Michael kiwnął głową.

– Sprzedajemy firmę handlu oliwą. Wszystko, co się da, przekazemy Tessiowi i Clemencie. Ale ty, Carlo, nie martw się o swoją posiadłość. Dorastałeś

w Nevadzie, znasz ten stan, znasz ludzi. Liczę na to, że będziesz moją prawą ręką, kiedy się tam przeniesiemy.

Carlo rozparł się w fotelu, twarz miał zarumienioną z zadowolenia. Nadchodził jego czas, miał awansować w konstelacji władzy. Michael mówił dalej:

– Tom Hagen nie jest już *consigliori*. Będzie naszym adwokatem w Vegas. Za jakieś dwa miesiące przeprowadzi się tam na stałe z rodziną. Będzie wyłącznie adwokatem. Od tego momentu nikt nie ma się zwracać do niego w żadnej innej sprawie. Jest adwokatem i na tym koniec. To nie jest żadna ujma dla Toma. Chcę, żeby było właśnie tak. Poza tym, jeżeli będę kiedyś potrzebował jakiejś rady, kto może być lepszym doradcą niż mój ojciec?

Wszyscy się roześmieli. Ale pomimo tego żartu zrozumieli, o co chodzi. Tom Hagen był wyłączony; nie miał już żadnej władzy. Wszyscy zerknęli nań, by sprawdzić jego reakcję, ale twarz Hagena była nieprzenikniona.

Clemenza odezwał się, posapując jak to tłuścioch:

– To znaczy, że za rok będziemy samodzielni, tak?

– Może wcześniej – odrzekł uprzejmie Michael.

– Oczywiście zawsze możecie pozostać w Rodzinie, to zależy od was. Ale nasze wpływy będą wkrótce znacznie silniejsze na zachodzie, więc może będzie dla was lepiej zorganizować się na własną rękę.

– W takim razie uważam, że powinniście dać nam pozwolenie zwerbowania nowych ludzi do naszych *regime* – powiedział Tessio spokojnie. – Ci dranie, Barziniowie, ciągle wdzierają się na mój teren. Myślę, że może byłoby mądrze dać im małą lekcję dobrych obyczajów.

Michael potrząsnął głową.

– Nie. To na nic. Siedź spokojnie. Wszystko będzie przedyskutowane i uregulowane, zanim się wyniesiemy.

Tessia nie było tak łatwo zadowolić. Zwrócił się wprost do dona, ryzykując, że się narazi Michaelowi:

– Wybacz mi, Ojczy Chrzesny, niech mnie usprawiedliwią lata naszej przyjaźni. Myślę, że obaj z synem mylicie się zupełnie co do tych interesów w Nevadzie. Jakże możecie mieć nadzieję, że wam się tam powiedzie, jeżeli nie oprzecie się na waszej tutejszej sile? Jedno pociąga za sobą drugie. A kiedy się stąd wyniesiecie, Barziniowie i Tattagliowie będą dla nas za mocni. Ja i Pete będziemy mieli kłopoty, prędzej czy później dostaniemy się pod ich władanie. A Barzini to człowiek nie w moim guście. Powiadam, że Rodzina

Corleone musi zrobić to posunięcie z pozycji siły, nie słabości. Powinniśmy rozbudować nasze *regime* i odzyskać utracone tereny, przynajmniej na Staten Island.

Don potrząsnął głową.

– Pamiętaj, że zawarłem pokój, nie mogę złamać mojego słowa.

Tessio nie dał się uciszyć.

– Wszyscy wiedzą, że od tej pory Barzini cię prowokował. A poza tym Michael jest nową głową Rodziny Corleone, więc co go może powstrzymać od podjęcia takiej akcji, jaką uzna za stosowną? Twoje słowo właściwie go nie obowiązuje.

Michael wtrącił się ostro. Zwrócił się do Tessia, teraz już w całej pełni jak przywódca:

– Prowadzi się negocjacje w sprawach, które będą odpowiedzią na twoje pytania i rozwiążą twoje wątpliwości. Jeżeli moje słowo ci nie wystarcza, zapytaj swojego dona.

Tessio zrozumiał wreszcie, że posunął się za daleko. Gdyby ośmielił się zapytać dona, uczyniłby z Michaela swojego wroga.

Wzruszył więc ramionami i rzekł:

– Mówiłem dla dobra Rodziny, nie dla siebie. Ja potrafię dać sobie radę.

Michael uśmiechnął się do niego przyjaźnie.

– Tessio, nigdy w ciebie nie wątpiłem. Nigdy. Ale zaufaj mi. Oczywiście nie dorównuję tobie i Pete'owi w tych rzeczach, ale bądź co bądź mam ojca, który mną pokieruje. Nie będę taki nieudolny, wszyscy wyjdziemy na tym dobrze.

Zebranie było skończone. Wielką nowiną stanowiło to, że Clemenza i Tessio otrzymają zgodę na utworzenie własnych Rodzin ze swoich *regime*. Tessio miałby gry hazardowe i doki w Brooklynie, Clemenza hazard na Manhattanie i kontakty z torami wyścigowymi na Long Island.

Obaj *caporegime* wyszli nie całkiem zadowoleni, wciąż jeszcze trochę niepokojni. Carlo Rizzi pozostał w nadziei, że przyszedł czas, kiedy będzie nareszcie traktowany jak członek rodziny, ale zaraz przekonał się, że Michael wcale nie jest do tego skłonny. Pozostawił więc dona, Toma Hagenę i Michaela w narożnej bibliotece. Albert Neri wyprowadził go z domu i Carlo zauważył, że stał w progu, obserwując go, kiedy przechodził przez oświetlony plac.

Trzej mężczyźni w bibliotece odprężyli się, tak jak to potrafią jedynie lu-

dzie, którzy przeżyli razem całe lata w tym samym domu, w tej samej rodzinie. Michael nalał donowi anyżówki, a Tomowi Hagenowi whisky. Sobie też przygotował drinka, co czynił rzadko. Pierwszy odezwał się Tom Hagen:

– Mike, dlaczego wyłączasz mnie z akcji?

Michael wydawał się zaskoczony.

– Przecież będziesz moim numerem jeden w Vegas. Będziemy całkowicie legalni, a ty jesteś prawnikiem. Co może być ważniejsze od tego?

Hagen uśmiechnął się trochę smutno.

– Nie o tym mówię. Chodzi mi o to, że Rocco Lampone tworzy potajemny *regime* bez mojej wiedzy. Chodzi mi o to, że załatwiasz sprawy bezpośrednio z Nerim, zamiast przeze mnie czy przez *caporegime*. Oczywiście, chyba że nie wiesz, co robi Lampone.

– Jak się dowiedziałeś o *regimie* Lampone’a? – zapytał Michael cicho.

Hagen wzruszył ramionami.

– Bądź spokojny, nie ma przecieku, nikt inny o tym nie wie. Ale w mojej sytuacji widzę, co się dzieje. Dałeś Lampone’owi utrzymanie, dałeś mu masę swobody. Dlatego potrzebuje ludzi, żeby mu pomogli w jego małym imperium. Musi mnie informować o każdym, kogo werbuje. Ale ja widzę, że każdy, kogo umieszcza na swej liście płac, jest trochę za dobry do danej roboty, dostaje trochę więcej pieniędzy niż ta robota jest warta. Nawiasem mówiąc, wybrałeś właściwego człowieka, biorąc Lampone’a. Działa doskonale.

Michael skrzywił się.

– Nie tak znowu doskonale, o ile zauważyłeś. Zresztą to don go wybrał.

– Okay – powiedział Tom. – Więc dlaczego jestem wyłączony z akcji?

Michael obrócił się do niego bez wahania i wyjaśnił mu prosto z mostu:

– Tom, ty nie jesteś *consigliori* na czas wojny. Po tym posunięciu, które zamierzamy zrobić, sytuacja może się zaostrzyć i może będziemy musieli walczyć. A chcę usunąć cię z linii ognia, na wszelki wypadek.

Hagen poczerwieniał. Gdyby mu to samo powiedział don, przyjąłby to pokornie. Ale skąd, u diabła, Mike wyrwał się z taką kategoryczną oceną?

– W porządku – odparł. – Ale tak się składa, że zgadzam się z Tessiem. Uważam, że podchodzicie do tego całkiem błędnie. Robicie to posunięcie przez słabość, nie siłę. To zawsze jest złe. Barzini jest jak wilk i jeśli zacznie rozrywać was na sztuki, inne Rodziny nie przyłączą na pomoc Corleone.

Wreszcie odezwał się don:

– Tom, to nie jest tylko decyzja Michaela. Ja mu doradzałem w tych spr-

wach. Są pewne rzeczy, które może będzie trzeba zrobić, a za które nie chcę być w żadnej mierze odpowiedzialny. To jest moje życzenie, nie Michaela. Nigdy cię nie uważałem za złego *consigliori*, uważałem Santina za złego dona, oby spoczywał w spokoju. Miał dobre serce, ale nie był człowiekiem odpowiednim do pokierowania Rodziną, kiedy spotkało mnie tamto drobne nieszczęście. A któż by pomyślał, że Fredo stanie się lokajem kobiet? Więc nie miej mi tego za złe. Michael ma moje całkowite zaufanie, tak samo jak ty. Z przyczyn, których nie możesz znać, nie wolno ci wziąć udziału w tym, co się może zdarzyć. Nawiasem mówiąc, powiedziałem Michaelowi, że potajemny *regime* Lampona nie ujdzie twojej uwagi. A to dowodzi, że w ciebie wierzę.

Michael roześmiał się.

– Naprawdę nie myślałem, że to wychwycisz, Tom.

Hagen widział, że usiłują go zmiękczyć.

– Może będę mógł w czymś pomóc – rzekł.

Michael zdecydowanie potrząsnął głową.

– Jesteś wyłączony, Tom.

Tom dokończył trunku i zanim wyszedł, uczynił Michaelowi łagodną wymówkę.

– Jesteś prawie równie dobry jak twój ojciec – stwierdził. – Ale jednej rzeczy musisz się jeszcze nauczyć.

– Czego? – zapytał uprzejmie Michael.

– Jak mówić „nie” – odrzekł Hagen.

Michael poważnie kiwnął głową.

– Masz rację – przyznał. – Będę o tym pamiętał.

Kiedy Hagen wyszedł, Michael powiedział żartobliwie do ojca:

– Więc nauczyłeś mnie wszystkiego poza tym. Powiedz mi, jak się mówi ludziom „nie” w sposób, który by im się podobał.

Don przesiadł się za wielkie biurko.

– Nie można mówić „nie” ludziom, których się kocha, nie za często. To cały sekret. A poza tym, kiedy to mówisz, musi brzmieć jak „tak”. Albo trzeba ich samych skłonić do powiedzenia „nie”. Trzeba poświęcić na to sporo czasu i trudu. Ale ja jestem staroświecki, ty jesteś z nowego, dzisiejszego pokolenia, nie słuchaj mnie.

Michael roześmiał się.

– Słusznie. Ale zgadzasz się na wyłączenie Toma, prawda?

Don kiwnął głową.

– Nie może być w to wmieszany.

Michael rzekł spokojnie:

– Myślę, że pora, abym ci powiedział, że to, co mam zamiar zrobić, nie wynika jedynie z zemsty za Apollonię i Sonny’ego. Jest postępkim słusznym. Tessio i Tom mają rację co do Barzinich.

Don Corleone kiwnął głową.

– Zemsta to potrawa, która smakuje najlepiej, kiedy jest zimna. Nie zawarłbym tego pokoju, gdybym nie wiedział, że inaczej nigdy nie wrócisz żywy do domu. Ale jestem zaskoczony, że Barzini jednak nie spróbował jeszcze raz dobrać się do ciebie.

Może to było przygotowane przed rozmowami pokojowymi i nie mógł już tego wstrzymać. Jesteś pewny, że nie chodziło o dona Tommasino?

– Tak to miało wyglądać – odrzekł Michael. – I byłoby bezbłędne, nawet ty nic byś nie podejrzewał. Tylko że wyszedłem z tego żywy. Widziałem, jak Fabrizzio uciekał za bramę. I ma się rozumieć do czasu powrotu sprawdziłem wszystko.

– Odnalazłeś tego pasterza? – zapytał don.

– Odnalazłem – odrzekł Michael. – Znalazłem go rok temu. Ma własną małą pizzerię w Buffalo. Nowe nazwisko, lipny paszport i tożsamość. Bardzo dobrze się powodzi temu pasterzowi, Fabrizziovi.

Don kiwnął głową.

– Więc nie ma sensu dłużej zwlekać. Kiedy zaczynasz?

– Chcę poczekać, aż Kay urodzi dziecko – odrzekł Michael. – Na wypadek, gdyby coś źle poszło. I chcę, żeby Tom osiedlił się w Vegas, aby nie został w to wciągnięty. Myślę, że za jakiś rok.

– Przygotowałeś się na wszystko? – zapytał don. Mówiąc to, nie patrzył na Michaela.

– Ty nie masz nic do tego – odrzekł Michael. – Nie jesteś odpowiedzialny. Całą odpowiedzialność biorę na siebie. Odmówiłbym ci nawet prawa weta. Gdybyś tego spróbował, opuściłbym Rodzinę i poszedł własną drogą. Ty nie jesteś za to odpowiedzialny.

Don milczał długo, po czym westchnął.

– Niech tak będzie. Może dlatego się wycofałem, może dlatego przekazałem ci wszystko. Zrobiłem w życiu swoje, teraz nie mam już do tego serca. A są pewne obowiązki, których nie mogą się podjąć nawet najlepsi. Więc

niech tak będzie.

W ciągu owego roku Kay Adams Corleone urodziła drugie dziecko, też syna. Urodziła je łatwo, bez żadnych kłopotów i została powitana w ośrodku jak udzielna księżna. Connie Corleone obdarowała noworodka jedwabną wyprawką, wykonaną ręcznie we Włoszech, niezmiernie kosztowną i piękną. Powiedziała do Kay: „Znalazł ją Carlo. Chodził po całym Nowym Jorku, żeby wyszukać coś ekstraszpecjalnego, kiedy nie mogłam znaleźć niczego, co by mi się naprawdę podobało”. Kay podziękowała jej z uśmiechem i natychmiast zrozumiała, że ma powtórzyć Michaelowi tę ładną opowieść. Była na dobrej drodze, aby stać się Sycylijką.

Również w tym roku Nino Valenti umarł na wylew krwi do mózgu. Wiadomość o jego śmierci zamieszczono na pierwszych stronicach dzienników, ponieważ przed kilkoma tygodniami odbyła się premiera filmu, w którym obsadził go Johnny Fontane i który stał się szlagierem, czyniąc z Nina gwiazdora. Gazety wspominały, że Johnny Fontane zajmuje się przygotowaniem do pogrzebu, który będzie cichy, tylko z udziałem rodziny i bliskich przyjaciół. Jedna sensacyjna relacja utrzymywała nawet, iż Johnny Fontane powiedział w wywiadzie, że wyrzuci sobie śmierć przyjaciela, bo powinien był go zmusić do oddania się pod opiekę lekarską – ale reporter przedstawił to jako zwykłe wyrzuty sumienia wrażliwego, choć niewinnego świadka tragedii. Johnny Fontane uczynił gwiazdorem filmowym przyjaciela z dzieciństwa, Nina Valenti, a cóż więc jej mógł zrobić przyjaciel?

Poza Freddiem żaden członek Rodziny Corleone nie był obecny na pogrzebie w Kalifornii. Lucy i Jules Segal wzięli w nim udział. Sam don chciał pojechać, ale dostał lekkiego ataku serca, który go przykuł na miesiąc do łóżka. Zamiast tego posłał olbrzymi wieniec. Alberta Neri też wyprawiono na zachód jako oficjalnego przedstawiciela Rodziny.

Dwa dni po pogrzebie Nina Moe Greene został zastrzelony w hollywoodzkim domu swojej kochanki, gwiazdy filmowej; Albert Neri zjawił się ponownie w Nowym Jorku dopiero prawie miesiąc później. Spędził urlop nad Morzem Karaibskim i powrócił do pracy opalony niemal na czarno. Michael Corleone powitał go uśmiechem i kilkoma słowami pochwały, które zawierały wiadomość, że Neri będzie odtąd dostawał dodatkowe utrzymanie, dochody Rodziny z kantoru bukmacherskiego na East Side, uważanego za szczególnie zyskowny. Neri był zadowolony, rad, że żyje w świecie, który wynagradza człowiekowi należycie wypełniającego swe obowiązki.

Rozdział 29

Michael Corleone przedsięwziął środki ostrożności na każdą ewentualność. Jego planowanie było bezbłędne, zabezpieczenie nienaganne. Był cierpliwy, miał nadzieję, że wykorzysta cały rok na przygotowania. Jednakże nie miał uzyskać potrzebnego mu roku, ponieważ los obrócił się przeciwko niemu i to w sposób najbardziej niespodziewany. Ojciec Chrzestny, sam wielki don, zawiódł Michaela Corleone.

Pewnego słonecznego niedzielnego poranka, kiedy kobiety były w kościele, don Vito Corleone przywdział swój ubiór ogrodniczy: workowate szare spodnie, spłowiałą niebieską koszulę, wytarty, brudnobrazowy kapelusz, ozdobiony poplamioną, szarą jedwabną wstążką. Don znacznie przybrał na wadze w ostatnich latach i mówił, że pracuje przy swoich pomidorach dla zdrowia. Ale to nie zwodziło nikogo.

Prawda wyglądała tak, że uwielbiał pielęgnować swój ogród, uwielbiał jego widok wczesnym rankiem. Przypominał mu dzieciństwo na Sycylii przed sześćdziesięciu laty, przypominał je bez tamtej grozy i bólu po śmierci własnego ojca. Teraz fasola na grządkach wypuściła małe, białe kwiatki, a tęgie, zielone łodygi porów obrosły wszystko dokoła. W głębi ogrodu stała na straży beczka ze spustem. Była napełniona płynnym krowim nawozem, najlepszym do użyźniania ziemi. W tej niższej części ogrodu były kwadratowe drewniane ramy, które sporządził własnoręcznie, powiązane na krzyż grubym białym sznurkiem. Po tych ramach pięły się pędy pomidorów.

Don spieszył się z podlaniem ogrodu. Trzeba było to zrobić, zanim słońce stanie się zbyt gorące i przemieni wodę w ogniste pryzmaty, które mogłyby spalić liście sałaty. Słońce było ważniejsze niż woda, woda też była ważna,

ale jedno niebaczenie połączone z drugim mogło spowodować ogromne szkody.

Don chodził po swoim ogrodzie, wypatrując mrówek. Jeżeli były mrówki, to oznaczało, że na warzywach są mszyce, a mrówki je wyszukują – i wtedy musiałyby spryskać rośliny.

Polał ogród w samą porę. Słońce było coraz gorętsze i don powiedział do siebie: „Ostrożnie. Ostrożnie”. Ale należało podeprzeć palikami jeszcze kilka roślin, więc pochylił się znowu. Wróci do domu, gdy skończy z tą ostatnią grządką.

Nagle stało się tak, jak gdyby słońce opuściło się tuż nad jego głowę. Powietrze wypełniły roztańczone złote plamki. Starszy synek Michaela biegł przez ogród ku miejscu, gdzie klęczał don, i wtem przesłoniła chłopca żółta ściana oślepiającego światła. Ale dona nie można było zwieść, był na to za starym wygą. Za tą płomienną, żółtą ścianą kryła się śmierć gotowa rzucić się nań, i don ruchem ręki ostrzegł chłopca o jej obecności. W samą porę. Uderzenie niczym ciężki młot zaparło mu dech w piersiach. Don zwałił się do przodu na ziemię.

Chłopiec pognał po ojca. Michael Corleone z paroma ludźmi przybiegł do ogrodu i zastał dona rozciągniętego twarzą do dołu, ściskającego w dłoniach garście ziemi. Dźwignęli go i ponieśli w cień wyłożonego kamiennymi płytami patia. Michael ukląkł przy ojcu, trzymając go za rękę, podczas gdy pozostali wzywali karetkę pogotowia i lekarza.

Z ogromnym wysiłkiem don otworzył oczy, aby raz jeszcze popatrzeć na syna. Ciężki atak serca sprawił, że jego rumiana twarz posiniała. Konał. Poczł zapach ogrodu, żółta ściana światła poraziła go w oczy i szepnęła:

– Życie jest takie piękne.

Oszczędzony został mu widok jego kobiet we łzach, bo skonał przed ich powrotem z kościoła, przed przybyciem karetki i lekarza. Umarł otoczony mężczyznami, trzymając za rękę syna, którego kochał najbardziej.

Pogrzeb był królewski. Pięć Rodzin przysłało swych donów i *caporegime*, tak samo Rodziny Clemency i Tessia. Johnny Fontane figurował na pierwszych stronach gazet, ponieważ wziął udział w pogrzebie na przekór radom Michaela, by się nie pokazywał. Fontane złożył oświadczenie do prasy, że Vito Corleone był jego ojcem chrzestnym i najwspanialszym człowiekiem,

jakiego znał, że czuje się zaszczycony, mogąc złożyć ostatni hołd takiemu człowiekowi, i że nic go nie obchodzi, kto o tym się dowie.

Zwłoki, starym obyczajem, wystawiono w domu. Amerigo Bonasera nigdy nie wykonał świetniejszej roboty i wywiązał się ze wszystkich zobowiązań, przygotowując swojego starego przyjaciela i Ojca Chrzestnego równie miłośnie jak matka przygotowuje oblubienicę do ślubu. Wszyscy podkreślali, że nawet śmierć nie zdołała zatrzeć szlachetności i dostojęstwa oblicza wielkiego dona, i takie wypowiedzi napełniły Amerigo Bonasere świadomą dumą, osobliwym poczuciem siły. Tylko on jeden wiedział, jak straszne spuszczenia na twarzy dona poczyniła śmierć.

Zjawili się wszyscy starzy przyjaciele i służący: Nazorine, jego żona, córka z mężem i dziećmi; Lucy Mancini przyjechała z Freddie z Las Vegas; Tom Hagen, jego żona i dzieci, donowie z San Francisco i Los Angeles, z Bostonu i Clevelandu. Trumnę nieśli Rocco Lampone i Albert Neri z Clemenzą i Tessiem, i oczywiście z synami dona. Ośrodek i wszystkie domy zapełniły się wieńcami.

Za bramą stali dziennikarze i fotografowie oraz niewielka ciężarówka, w której, jak wiadano, znajdowali się ludzie z FBI z kamerami filmowymi, kręcący tę epopeję. Dziennikarze, usiłujący wepchnąć się do ośrodka, stwierdzili, że brama i ogrodzenie są obsadzone przez strażników, którzy żądali wylegitymowania się i okazania zaproszenia. I chociaż traktowano wszystkich z największą kurtuazją i nawet przysłano im napoje chłodzące, nie mogli się dostać do środka. Próbowali nawiązać rozmowy z wychodzącymi osobami, ale napotykali jedynie kamienne spojrzenia i nie usłyszeli ani słowa.

Michael Corleone spędził większą część tego dnia w narożnej bibliotece z Kay, Tomem Hagenem i Freddie. Wprowadzono tam ludzi, którzy pragnęli zobaczyć się z nim i złożyć mu kondolencje. Michael przyjmował ich z całą uprzejmością nawet wtedy, gdy niektórzy zwracali się do niego per Ojciec Chrzestny czy don Michaelu, i tylko Kay zauważyła, że zaciskał usta z niezadowolenia.

Clemenza i Tessio przyłączyli się do tego wewnętrznego kręgu i Michael osobiście podał im drinki. Pogadano trochę o interesach. Michael zakomunikował, że ośrodek i wszystkie domy mają być sprzedane firmie budowlanej. Z olbrzymim zyskiem, co było jeszcze jednym dowodem geniuszu dona.

Wszyscy zrozumieli, że odtąd całe imperium będzie na zachodzie. Że Rodzina Corleone zlikwiduje swoje interesy w Nowym Jorku. Z poczynieniem

takich kroków czekali na wycofanie się albo na śmierć dona.

Jak ktoś zauważył, minęło prawie dziesięć lat od podobnego zgromadzenia w tym domu, prawie dziesięć lat od ślubu Connie Corleone z Carlem Rizzim. Michael podszedł do okna wychodzącego na ogród. Wtedy, dawno temu, siedział w ogrodzie z Kay, i nie śniło mu się, że przypadnie mu w udziale taki przedziwny los. A ojciec umierając, powiedział: „Życie jest takie piękne”. Michael nie przypominał sobie, aby don kiedykolwiek wyrzekł bodaj słowo o śmierci, tak jakby nazbyt ją szanował, aby filozofować na jej temat.

Czas było udać się na cmentarz. Czas było pochować wielkiego dona. Michael ujął Kay pod rękę i wyszedł do ogrodu, aby przyłączyć się do rzeszy żałobników. Za nim ruszyli *caporegime* ze swymi żołnierzami, a dalej wszyscy ci skromni ludzie, którym Ojciec Chrzestny świadczył dobrodziejstwa w ciągu swego życia. Piekarz Naborine, wdowa Colombo z synami i nieprzeliczeni inni należący do jego świata, którym rządził tak twardo, lecz tak sprawiedliwie. Znaleźli się nawet tacy, co byli jego wrogami, a przyszli, żeby go uczcić.

Michael obserwował wszystko z napiętym, uprzejmym uśmiechem. Nie robiło to na nim wrażenia. A jednak – myślał – jeżeli będę mógł umrzeć, mówiąc: „Życie jest takie piękne”, to nic poza tym nie jest istotne. Jeżeli potrafię na tyle w siebie wierzyć, to nic innego nie ma znaczenia.

Pójdzie w ślady swojego ojca. Będzie się opiekował swoimi dziećmi, swoją rodziną, swoim światem. Ale jego dzieci będą dorastały w innym świecie. Mogą być doktorami, artystami, naukowcami. Gubernatorami. Prezydentami. Kimkolwiek zechcą. Dopilnuje, by się włączyły w ogólną ludzką rodzinę, ale on sam, jako potężny i roztropny rodzic, z całą pewnością nie będzie spuszczał ich z oczu.

Nazajutrz po pogrzebie wszyscy najważniejsi przedstawiciele Rodziny Corleone zebrali się w ośrodku. Na krótko przed południem zaproszono ich do pustego domu dona. Przyjął ich Michael Corleone.

Prawie zapełnili narożną bibliotekę. Byli tam obaj *caporegime*, Clemenza i Tessio, był Rocco Lampone, jak zawsze rozsądny i sprawny, Carlo Rizzi, bardzo spokojny, dobrze znający swoje miejsce, Tom Hagen, który odstąpił od swojej ściśle prawniczej roli, aby służyć pomocą w tym momencie kryzysu, podawał ognia swojemu nowemu donowi, przygotowywał mu drinki – a wszystko po to, aby okazać swą niezachwianą wierność pomimo katastrofy, jaka spotkała Rodzinę Corleone.

Śmierć dona była wielkim nieszczęściem dla Rodziny. Zdawało się, że bez niego utracili połowę swojej siły i wszelkie możliwości targowania się z sojuszem Barzini-Tattaglia. Wszyscy obecni wiedzieli o tym i czekali, co powie Michael. W ich oczach nie był jeszcze nowym donem. Nie zasłużył sobie ani na tę pozycję, ani na ten tytuł. Gdyby żył Ojciec Chrzestny, może zapewniłby synowi sukcesję; w tej chwili nie była ona całkowicie pewna.

Michael czekał, aż Neri podał drinki. Potem zaczął mówić spokojnie:

– Chcę wam wszystkim powiedzieć, że rozumiem, co czujecie. Wiem, że szanowaliście mojego ojca, ale teraz musicie troszczyć się o siebie i swoje rodziny. Niektórzy z nas zastanawiają się, w jakim stopniu to, co się stało, wpłynie na nasze plany i na poczynione przeze mnie obietnice. Otóż odpowiedź na to brzmi: w żadnym. Wszystko ma być jak przedtem.

Clemenza potrząsnął głową. Włosy miał stalowoszare, a wyraz twarzy tonącej w nagromadzonych pokładach tłuszczu był nieprzyjemny.

– Barziniowie i Tattagliowie wezmą się za nas naprawdę ostro, Mike. Będziesz musiał się z nimi bić albo będziesz musiał się z nimi dogadać.

Wszyscy obecni zauważyli, że Clemenza nie zwrócił się do Michaela w oficjalnej formie, a tym bardziej nie użył tytułu „dona”.

– Poczekamy i zobaczymy, co będzie – odrzekł Michael. – Niech oni pierwsi zerwą pokój.

Tessio odezwał się swoim cichym głosem:

– Już to zrobili, Mike. Otworzyli dwie bukmacherki w Brooklynie dziś rano. Dostałem tę wiadomość od kapitana policji, który prowadzi listę chrońionych na posterunku. Za miesiąc w całym Brooklynie nie znajdzie się miejsce, gdzie mógłbym powiesić swój kapelusz.

Michael popatrzył na niego w zamyśleniu.

– Zrobiłeś coś w tej sprawie?

Tessio potrząsnął swą małą, łasiczą głową.

– Nie. Nie chciałem stwarzać ci problemów.

– Dobrze – odrzekł Michael. – Więc siedź spokojnie. I chyba to właśnie chcę przykazać wam wszystkim. Siedźcie spokojnie. Nie reagujcie na żadną prowokację. Dajcie mi parę tygodni na zorientowanie się w sytuacji, żebym wiedział, w którą stronę wiatr wieje. Wtedy załatwię to możliwie najkorzystniej dla wszystkich tu obecnych. Urządzimy ostateczne zebranie i poweźmiemy ostateczne decyzje.

Zignorował ich zaskoczenie. Albert Neri zaczął wyprowadzać obecnych

z pokoju. Michael powiedział ostro:

– Tom, zostań jeszcze chwilę.

Hagen podszedł do okna wychodzącego na placyk. Czekał, dopóki nie zobaczył, że Neri wyprowadza za strzeżoną bramę *caporegime* oraz Carla Rizzi i Rocca Lampona. Wtedy obrócił się do Michaela i zapytał:

– Jesteś już wciągnięty we wszystkie polityczne powiązania?

Michael z ubolewaniem potrząsnął głową.

– Nie wszystkie. Potrzeba mi było jeszcze ze czterech miesięcy. Don i ja pracowaliśmy nad tym. Ale mam wszystkich sędziów, od tego zaczęliśmy, i niektórych ważniejszych ludzi w Kongresie. A grube ryby partyjne tutaj, w Nowym Jorku, nie były oczywiście żadnym problemem. Rodzina Corleone jest o wiele silniejsza, niż ludzie sądzą, ale chciałem, żeby to było bez pudła.

– Uśmiechnął się do Hagen. – Myślę, że teraz już wszystko rozumiałeś.

Hagen kiwnął głową.

– To nie było trudne. Z wyjątkiem tego, czemu chciałeś wyłączyć mnie z akcji. Ale nałożyłem na głowę mój sycylijski kapelusz i w końcu to także rozumiałem.

Michael roześmiał się.

– Stary mówił, że tak będzie. Ale to jest luksus, na który już nie mogę sobie pozwolić. Potrzebuję cię tutaj. Przynajmniej przez parę najbliższych tygodni. Może zadzwoń do Vegas i porozmawiaj z żoną. Powiedz jej, że to tylko parę tygodni.

Hagen zapytał w zamyśleniu:

– Jak, twoim zdaniem, dobiorą się do ciebie?

Michael westchnął.

– Don mi wyjaśnił. Przez kogoś bliskiego. Barzini wystawi mnie przez kogoś bliskiego, kogo prawdopodobnie nie będę podejrzewał.

Hagen uśmiechnął się do niego.

– Kogoś takiego jak ja.

Michael odwzajemnił mu uśmiech.

– Ty jesteś Irlandczyk, tobie nie będą ufali.

– Jestem pochodzenia niemiecko-amerykańskiego – odrzekł Hagen.

– Dla nich to znaczy Irlandczyk. Nie zwrócą się do ciebie i nie zwrócą się do Neriego, bo Neri był kiedyś policjantem. Poza tym obaj jesteście za blisko mnie. Tego nie mogą ryzykować. A znowu Rocco Lampona nie jest dostatecznie blisko. Nie, to będzie Clemenza, Tessio albo Carlo Rizzi.

- Założę się, że Carlo – powiedział cicho Hagen.
- Zobaczymy – odrzekł Michael. – To nie potrwa długo.

Było to następnego ranka, kiedy Hagen i Michael jedli razem śniadanie. Michael odebrał telefon w bibliotece i wróciwszy do kuchni, oznajmił Hagenowi:

– Wszystko załatwione. Mam się spotkać z Barzinim za tydzień. Żeby po-
nownie zawrzeć pokój teraz, kiedy don nie żyje. – Roześmiał się.

Hagen spytał:

– Kto do ciebie dzwonił? Kto nawiązał kontakt?

Obaj wiedzieli, że ten z Rodziny Corleone, który nawiązał ów kontakt, jest zdrajcą.

Michael ze smutkiem uśmiechnął się do Hagena.

– Tessio.

Dokończyli śniadanie w milczeniu. Przy kawie Hagen pokiwał głową.

– Mógłbym przysiąc, że to będzie Carlo albo może Clemenza. Do głowy mi nie przyszło, że Tessio. On jest najlepszy z nich wszystkich.

– Najinteligentniejszy – powiedział Michael. – A zrobił to, co mu się wy-
dawało najsprytniejsze. Wystawi mnie na cios Barziniego, to odziedziczy Ro-
dzinę Corleone. Będzie tkwił przy mnie, to zostanie zniszczony. Uważa, że
nie mogę wygrać.

Hagen milczał chwilę, wreszcie spytał niechętnie:

– Czy słusznie tak uważa?

Michael wzruszył ramionami.

– Sprawa wygląda niedobrze. Ale ojciec był jedynym, który rozumiał, że
powiązania polityczne i wpływy są warte dziesięciu *regime*. Myślę, że mam
teraz większość wpływów politycznych ojca, ale jestem jedynym, który to
naprawdę wie. – Uśmiechnął się do Hagena uspokajająco. – Zmuszę ich do
nazywania mnie donem. Ale jest mi parszywie z powodu Tessia.

– Zgodziłeś się na spotkanie z Barzinim? – zapytał Hagen.

– Tak – odrzekł Michael. – Od dziś za tydzień. W Brooklynie, na terenie
Tessia, gdzie będę bezpieczny. – Roześmiał się znowu.

– Bądź przedtem ostrożny – powiedział Hagen.

Po raz pierwszy Michael odniósł się zimno do Hagena.

– Do udzielania takich rad niepotrzebny mi *consigliori*.

Podczas tygodnia poprzedzającego pokojowe spotkanie między Rodzinami Corleone i Barzinich Michael pokazał Hagenowi, jak dalece będzie ostrożny. Nie stąpił ani razu poza ogródek i nie przyjmował nikogo, nie mając przy sobie Neriego. Była to kolejna kłopotliwa komplikacja. Najstarszy syn Connie i Carla miał przystąpić do bierzmowania w kościele katolickim i Kay poprosiła Michaela, żeby był jego ojcem chrzestnym. Michael odmówił.

– Nieczęsto cię o coś proszę – powiedziała Kay. – Zrób to dla mnie. Connie tak tego pragnie. Proszę cię, Michael.

Widziała, iż jest na nią zły, że tak nalega, i spodziewała się odmowy. Toteż zdziwiła się, kiedy kiwnął głową i powiedział:

– Dobrze. Ale nie mogę opuścić ośrodka. Powiedz im, żeby to załatwili tak, aby ksiądz tutaj bierzmował małego. Pokryję wszystkie koszty. Gdyby mieli jakieś kłopoty z duchownymi, Hagen to załatwi.

I tak w przeddzień spotkania z Rodziną Barzinich Michael został ojcem chrzestnym syna Carla i Connie Rizzich. Obdarował chłopca ogromnie kosztownym zegarkiem, ze złotą bransoletką. W domu Carla odbyło się małe przyjęcie, na które zaproszono *caporegime*, Hagen, Lampona i wszystkich mieszkających w ośrodku nie pomijając, ma się rozumieć, wdowy po donie. Connie była taka rozradowana, że przez cały wieczór obejmowała i całowała brata i Kay. A nawet Carlo Rizzi stał się sentymentalny, ścisnął Michaelowi dłoń i nazywał go Ojcem Chrzestnym przy każdej sposobności – na modłę starego kraju. Sam Michael nigdy nie był taki miły, taki wylewny. Connie szepnęła do Kay:

– Wydaje mi się, że Carlo i Mike będą teraz prawdziwymi przyjaciółmi.

Kay uścisnęła rękę swojej szwagierki.

– Tak się cieszę – powiedziała.

Księga 8

Rozdział 30

Albert Neri siedział u siebie w mieszkaniu w Bronksie i starannie szczotkował granatowe sukno swojego starego munduru policyjnego. Odpiął odznakę i położył ją na stole, aby ją wypolerować. Przepisowa kabura, z rewolwerem, była przewieszona przez krzesło. Te drobne czynności z dawnych czasów dawały mu jakąś dziwną radość, a radości zaznał tylko parę razy, odkąd żona go porzuciła prawie przed dwoma laty.

Ożenił się z Ritą, kiedy jeszcze była pensjonarką, a on początkującym policjantem. Była nieśmiała, ciemnowłosa, z surowej włoskiej rodziny, która nie pozwalała jej nigdy pozostawać poza domem dłużej niż do dziesiątej wieczorem. Neri był po uszy zakochany w Ricie, w jej niewinności, cnotliwości i smagłej urodzie.

Z początku Rita była zafascynowana mężem. Był niezmiernie silny i widziała, że ludzie się go boją ze względu na tę siłę oraz niezłomną postawę w sprawie tego, co dobre, a co złe. Rzadko bywał taktowny. Jeżeli nie zgadzał się ze stanowiskiem jakiejś grupy ludzi czy opinią jednostki, nie odzywał się albo brutalnie wypowiadał swój sprzeciw. Nigdy nie przytakiwał przez grzeczność. Miał także prawdziwie sycylijski temperament i jego napady wściekłości bywały straszne. Ale nigdy nie złościł się na żonę.

Neri w ciągu pięciu lat stał się jednym z budzących największy postrach policjantów nowojorskich. A także jednym z najuczciwszych. Ale miał własne sposoby egzekwowania prawa. Nie cierpiał łobuzów i kiedy widział grupę młodych chuliganów robiących zamieszanie nocą na rogu ulicy i zaczepiających przechodniów, podejmował szybką i zdecydowaną akcję. Używał siły fizycznej, która była naprawdę niezwykła i której sam nie doceniał.

Pewnego wieczoru w Central Parku wyskoczył z wozu policyjnego i zgarznął sześciu chłystków w czarnych jedwabnych kurtkach. Jego kolega pozo-

stał za kierownicą, nie chcąc się w to mieszać, ponieważ znał Neriego. Chłopcy, wszyscy kilkunastoletni, zatrzymywali ludzi, żądając groźnym tonem papierosów, ale nie robili nikomu żadnej krzywdy. Zaczepiali też przechodzące dziewczyny seksualnym gestem, bardziej francuskim niż amerykańskim.

Neri ustawił ich pod kamiennym murem, który oddzielał Central Park od Ósmej Alei. Był zmierzch, ale Neri miał przy sobie swą ulubioną broń, ogromną latarkę. Nigdy nie zadawał sobie trudu dobywania pistoletu; nigdy nie było to potrzebne. Jego twarz w gniewie była tak brutalna i groźna w połączeniu z mundurem, że napędzała strachu zwykłym chuliganom. I ci też nie byli wyjątkiem.

Neri zapytał pierwszego chłopaka w czarnej jedwabnej kurtce:

– Jak się nazywasz? – Chłopak podał irlandzkie nazwisko. Neri przykazał mu:

– Zjeżdżaj z ulicy. Jeżeli cię jeszcze dzisiaj zobaczę, to cię ukrzyżuję.

Skinął ręką i młodzieniec szybko się oddalił. Neri powtórzył to samo z następnymi dwoma. Pozwolił im odejść. Ale czwarty podał nazwisko włoskie i uśmiechnął się do Neriego, jakby sugerując jakieś powinowactwo. Po Nerim widać było od razu, że jest pochodzenia włoskiego. Popatrzał przez chwilę na chłopaka i spytał zbytecznie:

– Włoch jesteś?

Chłopiec ufnie wyszczerzył zęby. Wtedy Neri zadał mu ogłuszający cios latarką w czoło. Chłopak osunął się na kolana. Skóra na czole pękła i krew zalała mu twarz. Ale była to tylko powierzchowna rana. Neri powiedział mu szorstko:

– Ty draniu, przynosisz wstyd Włochom. Przez ciebie tracimy dobre imię. Wstawaj. – Wymierzył chłopcu kopniaka w bok, ani za mocno, ani za słabo. – Pyskaj do domu i nie łaź po ulicy. I żebym cię więcej nie widział w tej kurtce, bo pójdziesz do szpitala. A teraz wracaj do domu. Masz szczęście, że nie jestem twoim ojcem.

Neri nie zawracał sobie głowy pozostałymi dwoma smarkaczami. Kopniakami popędził ich do Alei mówiąc, że nie chce ich widzieć na ulicy tego wieczoru.

Przy takich starciach wszystko odbywało się tak prędko, że nie było czasu, aby zebrał się tłum, czy aby ktoś zaprotestował przeciwko jego poczynaniom. Neri wsiadał do wozu, a jego kolega szybko ruszał z miejsca. Ma się rozu-

mieć, od czasu do czasu zdarzał się ktoś rzeczywiście oporny, kto chciał się bić, a nawet mógł wyciągnąć nóż. Byli to ludzie naprawdę pechowi. Neri ze straszną, błyskawiczną drapieżnością bił ich i wrzucał do wozu policyjnego. Osadzano ich w areszcie i oskarżano o napaść na funkcjonariusza policji. Ale zazwyczaj ich rozprawa się odwlekąca, dopóki nie wyszli ze szpitala.

W końcu Neri został przeniesiony do obwodu, w którym znajdowały się tereny gmachu Narodów Zjednoczonych, głównie dlatego, że nie okazywał swojemu sierżantowi na posterunku należytego szacunku. Delegaci z Organizacji Narodów Zjednoczonych, korzystający z immunitetu dyplomatycznego, parkowali swoje limuzyny wszędzie na ulicach, nie oglądając się na przepisy. Neri poskarżył się na to przełożonym, ale kazano mu nie robić szumu, miał po prostu nie zwracać na to uwagi. Jednakże którejś nocy jedna z bocznych ulic została całkowicie zablokowana przez niedbale zaparkowane samochody. Było już po północy, więc Neri wyjął z wozu patrolowego swoją olbrzymią latarkę i ruszył ulicą, rozbijając przednie szyby aut na drobne kawałki. Nawet wysoko postawionym dyplomatom nie było łatwo otrzymać nowe szyby prędzej niż w ciągu paru dni. Na posterunek zaczęły napływać protesty domagające się ochrony przed tym wandalizmem. Po tygodniu rozbijania szyb stopniowo objawiła się komuś prawda o tym, co się faktycznie dzieje, i Alberta Neriego przeniesiono do Harlemu.

Pewnej niedzieli, wkrótce potem, Neri zabrał żonę i pojechali z wizytą do jego owdowiałej siostry w Brooklynie. Albert Neri miał gorące, opiekuńcze uczucie dla siostry, właściwe wszystkim Sycylijczykom, i zawsze odwiedzał ją przynajmniej raz na parę miesięcy, by się upewnić, czy u niej wszystko w porządku. Była dużo starsza od niego i miała dwudziestoletniego syna. Ten syn, Thomas, nie czując nad sobą ojcowskiej ręki, sprawiał pewne kłopoty. Wdał się w kilka pomniejszych awantur, był trochę rozwydrzony. Raz Neri musiał użyć swoich kontaktów w policji, żeby nie dopuścić do oskarżenia chłopaka o kradzież. Wówczas powściągnął swój gniew, ale ostrzegł siostrzeńca:

– Tommy, jak moja siostra będzie przez ciebie płakała, to ja cię sam wyreguluję. – Było to zamierzone jako przyjacielska, koleżeńsko-wujowska przestroga, właściwie nie jako groźba. Ale chociaż Tommy był najtwardszym chłopakiem w tej twardej części Brooklynu, bał się wuja Ala.

Podczas owych odwiedzin Tommy, który wrócił późno w sobotę, jeszcze spał w swoim pokoju. Matka poszła go zbudzić, żeby się ubrał i zjadł nie-

dzielny obiad z wujem i ciotką. Przez uchylone drzwi doleciał szorstki głos chłopaka:

– Gównu mnie to obchodzi, daj mi spać. – I matka wróciła do kuchni, uśmiechając się z zażenowaniem.

Musieli więc zjeść obiad bez niego. Neri zapytał siostrę, czy ma z Tomem jakieś poważne kłopoty, na co potrząsnęła głową.

Neri z żoną mieli już wyjść, kiedy Tommy nareszcie wstał. Ledwo mruknął coś na powitanie i poszedł do kuchni. W końcu krzyknął do matki:

– Hej, mamó, może byś mi zrobiła coś do jedzenia?

Nie była to jednak prośba. Było to kapryśne zrzęczenie zepsutego dziecka. Matka odparła piskliwie:

– Wstawaj, kiedy jest pora obiadu, to będziesz mógł jeść. Nie będę od dzielnie gotowała dla ciebie.

Była to jedna z tych przykrych, dość pospolitych scen, ale Tommy, jeszcze trochę rozdrażniony po śnie, popełnił błąd.

– A, pieprzę ciebie i twoje zrzęczenie, pójdę zjeść na mieście.

I w momencie, gdy to powiedział, pożałował tego. Wuj Al dopadł go jak kot myszy. Nie tyle z powodu znieważenia siostry akurat tego dnia, ale ponieważ było oczywiste, że chłopak często tak się odzywa do matki, kiedy są sami. Tommy nigdy nie ośmielał się powiedzieć czegoś podobnego przy jej bracie. Tej niedzieli był po prostu nieostrożny. Na swoje nieszczęście.

W obecności obu przerażonych kobiet Al Neri spuścił siostrzeńcowi bezlitosne, staranne lanie. Ten z początku usiłował się bronić, ale szybko dał za wygraną i jął błagać o litość. Neri bił go po twarzy, aż wargi spuchły mu i zaczęły krwawić. Targał głową chłopaka w przód i w tył, i walił nim o ścianę. Uderzył go w brzuch, a potem rozciągnął na podłodze i łomotał twarzą o dywan. Kazał obu kobietom zaczekać, wyciągnął Tommy'ego na ulicę i wsadził go do swojego samochodu. Tam dopiero napełnił go bojaźnią bożą.

– Jeżeli siostra powie mi kiedykolwiek, że znowu się tak do niej odezwałeś, to dzisiejsze bicie będzie ci się wydawało całuskami dziwki – uprzedził Tommy'ego. – Chcę widzieć, żeś się poprawił. A teraz wracaj do domu i powiedz mojej żonie, że na nią czekam.

Dwa miesiące potem Neri wrócił z późnego obchodu i przekonał się, że żona go opuściła. Spakowała wszystkie swoje rzeczy i wróciła do rodziców. Jej ojciec powiedział mu, że Rita go się boi, że lęka się z nim mieszkać ze względu na jego porywczosć. Al był jak ogłuszony, nie wierzył. Nigdy nie

uderzył żony, nigdy jej nie groził, miał dla niej jedynie czułość. Ale jej postępek tak go oszołomił, iż postanowił przeczekać parę dni, zanim pojedzie do domu jej rodziców, by z nią pomówić.

Na nieszczęście popadł w tarapaty następnej nocy podczas służby. Jego wóz otrzymał telefoniczne wezwanie z Harlemu, meldunek o morderczej napaści. Jak zwykle Neri wyskoczył z samochodu, jeszcze nim ten się zatrzymał. Było już po północy i Neri miał w ręku swoją ogromną latarkę. Łatwo było rozpoznać miejsce wypadku. Przed bramą czynszowej kamienicy zgromadził się tłum. Jakaś Murzynka powiedziała Neriemu:

– Tam jest człowiek, który zarzyna małą dziewczynkę.

Neri wszedł do sieni. Na jej końcu były otwarte drzwi, z których padało światło i skąd dosłyszał jęki. Z latarką w ręku ruszył naprzód i wszedł tymi drzwiami do środka.

O mało się nie przewrócił o dwie postacie rozciągnięte na podłodze. Jedna była Murzynką mniej więcej dwudziestopięcioletnią, drugą zaś dziewczynka mająca nie więcej niż dwanaście lat. Obie krwawiły z ran zadanych brzytwą. W bawialni Neri zobaczył człowieka, który to uczynił. Znał go dobrze.

To był Wax Baines, notoryczny sutener, handlarz narkotykami i artysta od silnej ręki. W tej chwili oczy wyłaziły mu z orbit od narkotyków, okrwawiona brzytwa drżała w ręce. Neri zaarrestował go przed dwoma tygodniami za ciężkie pobicie na ulicy jednej z własnych dziwek. Baines powiedział mu wtedy:

– Człowieku, to nie twoja sprawa. – A kolega Neriego też bąknął, żeby dać czarnuchom krajać się wzajemnie, jeżeli mają ochotę, ale Neri zabrał Bainesa na posterunek. Nazajutrz został on wypuszczony za kaucją.

Neri nigdy nie lubił zbytnio Murzynów, a praca w Harlemie sprawiła, że lubił ich jeszcze mniej. Wszyscy byli na narkotykach lub alkoholu, a swoim kobietom pozwalali pracować albo kupczyć tyłkiem. Nie cierpiał tych drani. Dlatego rozwścieczyło go bezczelne łamanie prawa przez Bainesa. A widok pochlastanej brzytwą dziewczynki napełnił go zgrozą. Całkiem na zimno postanowił w duchu nie zabierać ze sobą Bainesa.

Ale za nim już się cisnęli do wnętrza świadkowie, ludzie, którzy mieszkali w tym domu, oraz jego kolega z wozu patrolowego. Neri rozkazał Bainesowi:

– Rzuć brzytwę, jesteś aresztowany.

Baines roześmiał się.

– Człowieku, będziesz musiał użyć swojej spluwy, żeby mnie aresztować.

– Podniósł brzytwę. – A może masz ochotę na to?

Neri ruszył naprzód błyskawicznie, żeby jego kolega nie zdążył dobyć rewolweru. Murzyn zadał cios brzytwą, ale niebywały refleks Neriego pozwolił mu odeprzeć uderzenie lewą dłonią. Prawą ręką zadał krótki, zaciekły cios latarką. Trafił Bainsa w bok głowy; kolana ugięły się pod nim komicznie, jakby był pijany. Brzytwa wypadła mu z ręki. Był całkiem bezwładny. Toteż drugi cios Neriego był niczym nieuzasadniony, jak później wykazało dochodzenie policji oraz rozprawa karna na podstawie zeznań świadków i kolegi policjanta. Neri spuścił latarkę na czubek czaszki Bainsa uderzeniem tak niewiarygodnie potężnym, że szkło latarki trzasnęło, a emaliowana osłona i sama żarówka rozleciały się po pokoju. Gruba aluminiowa rura latarki wygięła się i tylko tkwiące w środku baterie zapobiegły jej pęknięciu na dwoje. Jeden z przerażonych widzów, mieszkający w tej kamienicy Murzyn, który później zeznawał przeciwko Neriemu, zawołał:

– O rany, ale ten czarnuch miał twardą głowę!

Ale głowa Bainsa nie była dostatecznie twarda. Cios wgniółł mu czaszkę. Zmarł dwie godziny później w harlemskim szpitalu.

Albert Neri był jedynym człowiekiem, który się zdumiał, kiedy komenda policji oskarżyła go o nadużycie siły. Został zawieszony i wniesiono przeciwko niemu sprawę karną. Oskarżono go o zabójstwo, za co groziła kara od roku do dziesięciu lat więzienia. W owym momencie wypełniło go uczucie takiego zawodu, wściekłości i nienawiści do całego społeczeństwa, że było mu wszystko jedno. Ośmielili się sądzić go jak zbrodniarza! Żeby ośmielili się wsadzać go do więzienia za zabicie takiego bydlaka jak ten murzyński alfons! Żeby nic ich nie obchodziła ta kobieta i mała dziewczynka, które były pociachane, zeszpecone na całe życie i jeszcze leżały w szpitalu!

Nie lękał się więzienia. Uważał, że ponieważ był policjantem, a zwłaszcza z uwagi na naturę jego postępuku, będzie dobrze traktowany. Kilku jego kumpi z policji już go zapewniło, że porozmawiają z przyjaciółmi. Tylko ojciec jego żony, przebiegły Włoch starej daty, który miał w Bronksie sklep z rybami, zdawał sobie sprawę, że taki człowiek jak Albert Neri ma małe szanse przeżycia roku w więzieniu. Któryś ze współwięźniów mógł go zabić, a jeśli nie, było niemal pewne, że on sam któregoś zabije. Wiedziony poczuciem winy, że jego córka porzuciła dobrego męża przez jakieś babskie fochy, teść Neriego wykorzystał swoje kontakty z Rodziną Corleone (płacił za ochronę jednemu z jej przedstawicieli i dostarczał w prezencie najlepsze ryby) i zwró-

cił się z prośbą o wstawiennictwo.

Rodzina Corleone wiedziała o Albercie Nerim. Był po trosze legendą jako sprawiedliwie twardy policjant; zyskał sobie pewną reputację człowieka, którego nie należy lekceważyć, człowieka, który potrafi budzić strach własną osobą, niezależnie od noszonego munduru i usankcjonowanej broni. Rodzina Corleone zawsze interesowała się takimi ludźmi. Fakt, że był policjantem, nie miał większego znaczenia. Wielu młodych wyruszało niewłaściwą drogą ku swemu prawdziwemu przeznaczeniu. Czas i losy zazwyczaj prostowały ich ścieżki.

To Pete Clemenza, mający nosa do dobrego personelu, skierował uwagę Toma Hagen na sprawę Neriego. Hagen przestudiował odpisy oficjalnych akt policyjnych i wysłuchał Clemency.

– Może mamy tu drugiego Lucę Brasi – powiedział.

Clemenza energicznie kiwnął głową. Chociaż był bardzo opasły, nie miał w twarzy ani śladu zwykłej dobroćliwości tłuściocha.

– Myślę dokładnie tak samo. Mike powinien zapoznać się z tą sprawą osobiście.

I tak się zdarzyło, że zanim przeniesiono Alberta Neri z aresztu tymczasowego na północ stanu, tam, gdzie miało być jego stałe miejsce pobytu, zawiadomiono go, że sędzia rozpatrzył ponownie jego sprawę w oparciu o nowe informacje i zaprzysiężone oświadczenia, przedłożone przez wysokich urzędników policji. Wyrok mu zawieszono i został wypuszczony na wolność.

Albert Neri nie był głupcem, a jego teść mimozą. Neri dowiedział się, co się stało, i spłacił dług wobec teścia, wyrażając zgodę na rozwód z Ritą. Następnie wybrał się do Long Beach, ażeby podziękować swojemu dobroczyńcy. Ma się rozumieć, przedtem poczyniono odpowiednie kroki. Michael przyjął go w swojej bibliotece.

Neri wyraził podziękowanie oficjalnym tonem i był zaskoczony i uradowany serdecznością, z jaką Michael to przyjął.

– Do diabła, nie mogłem pozwolić, żeby zrobili coś podobnego rodakowi z Sycylii – stwierdził Michael. – Powinni byli dać panu jakiś cholerny medal. Ale tych przeklętych polityków nic nie obchodzi, poza grupami nacisku. Słuchaj pan, nigdy bym w to nie wkroczył, gdybym wszystkiego nie sprawdził i nie przekonał się, jak paskudnie pana potraktowali. Jeden z moich ludzi rozmawiał z pańską siostrą, i powiedziała nam, jak pan się zawsze troszczył o nią i jej chłopaka, jak pan go podciągnął, nie dopuścił, żeby zszedł na złą

drogę. Pański teść mówi, że pan jest najfajniejszy gość na świecie. A to jest rzadkie. – Michael taktownie nie wspomniał nic o porzuceniu Neriego przez żonę.

Rozmawiali jakiś czas. Neri był zawsze człowiekiem małomównym, ale stwierdził, że zwierza się Michaelowi Corleone. Michael był od niego starszy zaledwie o jakieś pięć lat, ale Neri rozmawiał z nim tak, jakby był dużo starszy, o tyle starszy, że mógłby być jego ojcem. Wreszcie Michael powiedział:

– Nie ma sensu wyciągać pana z więzienia, a potem zostawiać na lodzie. Mogę panu załatwić jakąś pracę. Mam interesy w Las Vegas, z pańskim doświadczeniem mógłby pan zająć się bezpieczeństwem w hotelu. Albo gdyby pan miał ochotę założyć jakiś mały interes, mógłbym szepnąć słówko w banku, żeby dali panu kredyt.

Neriego ogarnęło pełne wdzięczności zakłopotanie. Odmówił z godnością, po czym dodał:

– Zresztą mając zawieszenie wyroku, muszę pozostawać pod jurysdykcją sądu.

Michael odparł żywo:

– To wszystko są bzdurne drobiazgi, ja mogę to załatwić. Niech pan zapomni o tym nadzorze, a żeby banki nie grymasiły, każę wyciągnąć pańską złotą kartę.

Żółta karta była policyjnym rejestrem przestępstw kryminalnych popełnionych przez danego człowieka. Zazwyczaj przedkładano ją sędziemu, kiedy zastanawiał się, jaki wyrok wymierzyć oskarżonemu przestępcy. Neri dostatecznie długo pracował w policji, by wiedzieć, że wielu opryszków oczekujących wyroku zostało potraktowanych łagodnie przez sędziego, ponieważ przekupiony policyjny wydział rejestrów przedłożył mu czystą złotą kartę. Nie był zdziwiony, że Michael Corleone może to zrobić, natomiast zdziwił się, że chce sobie zadać dla niego tyle trudu.

– Jeżeli będę potrzebował pomocy, skontaktuję się z panem.

– Doskonale, doskonale – odrzekł Michael. Spojrzał na zegarek i Neri uznał to za odprawę. Wstał, szykując się do odejścia. I znowu czekała go niespodzianka.

– Pora na obiad – powiedział Michael. – Niech pan zje coś ze mną i moją rodziną. Ojciec mówił, że chciałby pana poznać. Przejdziemy do jego domu. Matka powinna mieć trochę przysmażanej papryki, jajka i kielbaski. W prawdziwym sycylijskim stylu.

Było to najprzyjemniejsze popołudnie, jakie Albert Neri spędził, odkąd był małym chłopcem, od czasów poprzedzających śmierć rodziców, kiedy miał zaledwie piętnaście lat. Don Corleone był niezwykle miły i ucieszył się usłyszawszy, że rodzice Neriego pochodzili z wioski położonej o kilka minut drogi od jego własnej. Rozmowa była przyjemna, jedzenie wyborne, wino oczywiście czerwone. Neriego uderzyła myśl, że wreszcie jest naprawdę wśród swoich. Rozumiał, że jest tylko przypadkowym gościem, ale czuł, że mógłby znaleźć sobie stałe miejsce i być szczęśliwym w takim świecie.

Michael i don odprowadzili go do samochodu. Don uściśnął mu dłoń.

– Świetny z pana chłopak. Mojego tu obecnego syna, Michaela, uczyłem handlu oliwą. Ja się starzeję, chcę się wycofać. A on przychodzi do mnie i powiada, że chce interweniować w tej pana drobnej sprawie. Mówię mu, żeby dalej się uczył o oliwie. Ale nie chce mi dać spokoju. Powiada: jest jeden fajny chłop, Sycylijczyk, i robią mu takie świństwo. I nie ustępował, nie dawał mi spokoju, dopóki sam się tym nie zainteresowałem. Mówię to panu dlatego, żeby potwierdzić, że miał słuszość. Teraz, kiedy pana poznałem, cieszę się, że zadaliśmy sobie ten trud. Więc jeżeli możemy jeszcze coś dla pana zrobić, niech pan tylko poprosi. Rozumie pan? Jesteśmy do pańskich usług.

(Wspominając uprzejmość dona, Neri żałował, że ten wspaniały człowiek nie żyje i nie zobaczy, jaka usługa zostanie wyświadczona tego dnia).

Neriemu potrzeba była niespełna trzech dni, aby powziąć decyzję. Rozumiał, że się o niego ubiegano, ale zrozumiał też coś więcej. Że Rodzina Corleone pochwałała ten jego czyn, za który społeczeństwo go potępiło i ukarało. Że Rodzina Corleone go ceni, a społeczeństwo nie. Zrozumiał, że będzie mu lepiej w świecie stworzonym przez Corleone niż w świecie zewnętrznym. I zrozumiał, że Rodzina Corleone jest w swoim węższym zakresie potężniejsza.

Odwiedził ponownie Michaela i wyłożył karty na stół. Nie chce pracować w Vegas, ale przyjąłby pracę dla Rodziny w Nowym Jorku. Jasno przedstawił swoją lojalność. Michael był wzruszony, to Neri widział. Doszli do porozumienia. Ale Michael nalegał, żeby Neri najpierw zrobił sobie wakacje w Miami, w tamtejszym hotelu Rodziny, z pokryciem wszystkich kosztów i miesięczną pensją wypłaconą z góry, ażeby mógł mieć gotówkę niezbędną do zabawienia się jak należy.

Wakacje te były dla Neriego pierwszym posmakiem luksusu. Personel ho-

telu opiekował się nim specjalnie, powtarzając: „A, pan jest przyjacielem Michaela Corleone”. Wiadomość ta się rozeszła. Dostał jeden ze zbytkownych apartamentów, a nie skromny mały pokój, którym można by zbyć ubogiego krewnego. Kierownik nocnego klubu w hotelu dostarczał mu pięknych dziewczyn. Kiedy Neri wrócił do Nowego Jorku, miał zupełnie odmienny pogląd na życie.

Został wcielony do *regime* Clemenzy i starannie wypróbowany przez tego mistrzowskiego znawcę kadr. Trzeba było przedsięwziąć pewne środki ostrożności. Bądź co bądź był niegdyś policjantem. Ale wrodzona drapieżność Neriego przewyciężyła wszelkie skrupuły, jakie mógł mieć co do faktu, że znalazł się po drugiej stronie barykady. W niecały rok wykazał się. Nie było już dla niego odwrotu.

Clemenza piał z zachwytu na jego temat. Neri to był fenomen, nowy Luca Brasi. Będzie lepszy niż Luca, chełpił się Clemenza. Wszak Neri to było jego odkrycie. Fizycznie ten człowiek był cudem. Miał taki refleks i koordynację, że mógłby być drugim Joem di Maggio. Clemenza wiedział też, że Neri nie jest człowiekiem nadającym się do pokierowania przez kogoś takiego jak on. Neri miał więc być odpowiedzialny bezpośrednio przed Michaelem Corleone, z Tomem Hagenem jako niezbędnym buforem. Był „specjalny” i jako taki otrzymywał wysoką pensję, ale nie miał własnego źródła utrzymania – bukmacherki czy silnorękich operacji. Widać było wyraźnie, że żywi ogromny szacunek dla Michaela Corleone, i któregoś dnia Hagen powiedział żartem do Michaela:

– No, teraz masz swojego Lucę.

Michael kiwnął głową. To on tego dokonał. Albert Neri był mu oddany na śmierć i życie. A oczywiście tej sztuki nauczył Michaela sam don. Ucząc się interesów, spędzając długie dni pod kuratelą ojca, Michael zapytał go kiedyś:

– Jak to się stało, że używałeś takiego typu, jak Luca Brasi? Takiego zwierzęcia?

Don przystąpił wtedy do pouczenia syna.

– Są na tym świecie ludzie – mówił – którzy chodzą, dopraszając się śmierci. Musiałeś ich zauważyć. Awanturują się przy grze, wyskakują rozwścieczeni z samochodów, jeżeli ktoś choćby obtarł im błotnik, upokarzają i maltretują ludzi, których możliwości nie znają. Widziałem kiedyś takiego głupca, który umyślnie rozjuszył grupę niebezpiecznych typów, będąc same-

mu bez żadnych środków ochrony. To są faceci, którzy wędrują po świecie, wołając: „Zabijcie mnie!”. Zawsze znajdzie się ktoś gotowy spełnić ich prośbę. Co dzień czytamy o tym w gazetach. Ma się rozumieć, tacy ludzie wyrządzają też innym wiele złego.

Luca Brasi był takim człowiekiem. Ale był tak nadzwyczajny, że przez długi czas nikt nie mógł go zabić. Większość tych ludzi nas nie interesuje, ale taki Brasi jest potężną bronią. Sęk w tym, że ponieważ nie boi się śmierci, a nawet jej szuka, trzeba się stać jedyną osobą na świecie, z której ręki naprawdę nie chce zginąć. Czuje tylko ten jeden lęk: nie przed śmiercią, ale że właśnie ty możesz być tym, który go zabije. Wtedy jest twój.

Była to jedna z najcenniejszych nauk, jakich don udzielił mu przed śmiercią, i Michael wykorzystał ją, aby Neriego uczynić swoim Lucą Brasim.

I wreszcie teraz Albert Neri, samotny w swoim mieszkaniu w Bronksie, miał znowu włożyć mundur policyjny. Wyszczotkował go starannie. Z kolei miał wyglansować kaburę. No i jego policyjna czapka: trzeba było wyczyścić daszek. Wypastować grube czarne buty. Neri pracował z ochotą. Znalazł swoje miejsce w świecie, Michael Corleone miał do niego bezwzględne zaufanie i dzisiaj miał tego zaufania nie zawieść.

Rozdział 31

Tego samego dnia dwie limuzyny stanęły na placyku w Long Beach. Jeden z tych dużych samochodów czekał, ażeby zawieźć na lotnisko Connie Corleone, jej matkę i dwoje dzieci. Rodzina Carla Rizzi miała wyjechać na wakacje do Las Vegas przed przeprowadzką na stałe do tego miasta. Michael wydał Carlowi taki rozkaz, nie bacząc na protesty Connie. Nie zamierzał wyjaśniać, że chce wyprawić wszystkich z ośrodka przed spotkaniem Rodzin Corleone i Barzinich. W istocie to spotkanie było ściśle tajne. Wiedzieli o nim jedynie szefowie Rodziny.

Druga limuzyna miała zawieźć Kay i dzieci do New Hampshire, w odwiedziny do jej rodziców. Michael musiał pozostać w ośrodku; miał sprawy zbyt pilne, aby wyjechać.

Poprzedniego wieczoru dał także znać Carlowi Rizzi, że życzy sobie, aby pozostał w ośrodku przez kilka dni, że będzie mógł pojechać do żony i dzieci pod koniec tygodnia. Connie była wściekła. Usiłowała porozumieć się z Michaeliem telefonicznie, ale wyjechał wtedy do miasta. Teraz jej oczy szukały go wszędzie, ale zamknął się z Tomem Hagenem i nie wolno było mu przeszkadzać. Connie ucałowała Carla na pożegnanie, kiedy ją odprowadził do limuzyny.

– Jeżeli nie przyjedziesz za dwa dni, wrócę po ciebie – zagroziła mu.

Obdarzył ją uprzejmym mężowskim uśmiechem seksualnego porozumienia.

– Przyjadę.

Wychyliła się przez okno samochodu.

– Jak myślisz, po co Michael cię potrzebuje? – spytała. Stroskane zmarszczenie brwi sprawiło, że wyglądała staro i niepociągająco. Carlo wzruszył ramionami.

– Obiecywał mi dobry interes. Może to o tym chce pomówić. Tak przynajmniej dawał do zrozumienia. – Carlo nie wiedział o spotkaniu z Rodziną Barzinich, naznaczonym na ten wieczór.

– Naprawdę, Carlo? – spytała skwapliwie Connie.

Carlo kiwnął głową uspokajająco. Limuzyna ruszyła przez bramę ośrodka.

Dopiero kiedy pierwszy samochód odjechał, zjawił się Michael, aby pożegnać Kay i dwoje swych dzieci. Carlo też podszedł, życząc Kay szczęśliwej podróży i przyjemnych wakacji. Wreszcie i druga limuzyna ruszyła i wyjechała za bramę. Michael powiedział:

– Przykro mi, że musiałem cię tu zatrzymać, Carlo. To nie potrwa dłużej niż parę dni.

– Nic nie szkodzi – odrzekł pospiesznie Carlo.

– To dobrze. Bądź pod telefonem, zadzwonię do ciebie, kiedy będę gotowy. Muszę przedtem zebrać parę informacji. Okay?

– Jasne, Mike, jasne – odrzekł Carlo. Poszedł do swego domu, zatelefonował do kochanki, którą trzymał dyskretnie w Westbury, i obiecał, że postara się przyjechać do niej późnym wieczorem. Następnie zasiadł z butelką whisky i czekał. Czekał długo. Wkrótce po dwunastej w południe zaczęły nadjeżdżać przez bramę samochody. Widział, że z jednego wysiadł Clemenza, a z innego, nieco później, Tessio. Obydwóch wprowadził do domu Michaela jeden z członków obstawy. Clemenza odjechał po paru godzinach, ale Tessio się nie pokazał.

Carlo wyszedł pospacerować po placu, ażeby łyknąć trochę powietrza, ale nie dłużej niż na dziesięć minut. Znał dobrze wszystkich strażników pełniących służbę w ośrodku, z niektórymi nawet się przyjaźnił. Jednakże, ku jego zdumieniu, żaden z dzisiejszych strażników nie był mu znany. Co jeszcze bardziej zaskakujące, człowiekiem pilnującym bramy był Rocco Lampone, a Carlo wiedział, że Rocco ma zbyt wysoką rangę w Rodzinie, aby pełnić tak poślednie obowiązki, chyba że zanosilo się na coś niezwykłego.

Rocco uśmiechnął się do niego przyjaźnie i powiedział:

– Halo! – Carlo miał się na baczności. Rocco rzekł:

– O, myślałem, że jedziesz na wakacje z donem?

Carlo wzruszył ramionami.

– Mike chce, żebym tu posiedział parę dni. Ma dla mnie coś do roboty.

– Aha – rzekł Rocco Lampone. – Dla mnie też. I kazał mi pilnować bramy. No cóż, psiakrew, on jest szefem.

Jego ton dawał do zrozumienia, że Michael nie jest taki jak jego ojciec; był odrobinę lekceważący. Carlo to zignorował.

– Mike wie, co robi – stwierdził. Rocco przyjął tę wymówkę w milczeniu. Carlo pożegnał go i wrócił do domu. Coś się szykowało, ale Rocco nie wiedział, co.

Michael stał w oknie salonu i obserwował Carla spacerującego dokoła placu. Hagen przyniósł mu kieliszek mocnego koniaku. Michael popijał go z wdzięcznością. Stojąc za nim, Hagen powiedział łagodnie:

– Mike, musisz ruszać. Już czas.

Michael westchnął.

– Chciałbym, żeby nie stało się to tak prędko. I żeby ojciec pożył trochę dłużej.

– Wszystko dobrze pójdzie – rzekł Hagen. – Jeżeli ja się nie potknąłem, to nikt tego nie zrobił. Przygotowałeś to naprawdę świetnie.

Michael odwrócił się od okna.

– Stary w dużej mierze to zaplanował. Nie zdawałem sobie sprawy, jaki był mądry. Ale ty pewnie wiesz.

– Nie ma takiego jak on – powiedział Hagen. – Ale to jest piękne. Pierwszorzędne. Więc widocznie też nie jesteś taki zły.

– Zobaczymy, co będzie – rzekł Michael. – Czy Tessio i Clemenza są w ośrodku?

Hagen kiwnął głową. Michael dopił koniak.

– Przyślij do mnie Clemenzę. Wydam mu instrukcje osobiście. Tessia w ogóle nie chcę widzieć. Powiedz mu, że za jakieś pół godziny będę gotów jechać z nim na spotkanie z Barzinim. Ludzie Clemenzy zajmą się nim potem.

Hagen zapytał oględnie:

– Nie ma sposobu zdjąć Tessia z haka?

– Żadnego – odparł Michael.

Na północy stanu, w mieście Buffalo, niewielka pizzeria na bocznej ulicy była przepełniona. Kiedy minęły godziny obiadowe, ruch wreszcie zelżał; człowiek stojący za kontuarem zdjął z okna okrągłą blaszaną tacę z paroma

pozostałymi kawałkami pizzy i postawił ją na półce ogromnego ceglanego pieca. Zajrzał do środka, sprawdzając piekące się tam ciasto. Ser jeszcze nie zaczął pokrywać się pęcherzykami. Kiedy obrócił się do lady, która pozwalała mu obsługiwać ludzi na ulicy, zobaczył stojącego tam młodego, energicznie wyglądającego człowieka. Człowiek ten poprosił:

– Daj mi pan porcję.

Właściciel pizzerii wziął drewnianą szufłę i wsunął jeden z zimnych kawałków pizzy do pieca, żeby go podgrzać. Klient, zamiast poczekać na zewnątrz, postanowił wejść do środka, by go tam obsłużono. Lokal był teraz pusty. Właściciel otworzył piec, wyjął gorącą pizzę i podał ją na papierowym talerzu. Jednakże klient, zamiast za nią zapłacić, wpatrywał się w niego bacznie.

– Słyszałem, że pan ma fajny tatuaż na piersiach – powiedział. – Widzę nad koszulą tylko część, może byś pan pokazał resztę? Właściciel zamarł. Był jak sparaliżowany.

– Rozepnij pan koszulę – poprosił klient.

Właściciel potrząsnął głową.

– Nie mam żadnego tatuazu – zaprzeczył po angielsku z silnym akcentem.
– Ma go ten, co tu pracuje wieczorem.

Klient zaśmiał się. Był to śmiech nieprzyjemny, chrapliwy, wymuszony.

– No, jazda, rozepnij pan koszulę, niech to zobaczę. Właściciel zaczął się cofać w głąb sklepu, chcąc się skryć za ogromnym piecem. Ale klient podniósł rękę nad kontuar. Miał w niej rewolwer. Wystrzelił. Kula trafiła właściciela w pierś i rzuciła nim o piec. Klient strzelił powtórnie i właściciel osunął się na podłogę. Klient obszedł kontuar, wyciągnął rękę i szarpnął guziki koszuli. Pierś była zalana krwią, ale tatuaż widoczny – spleceni w uścisku kochankowie, przebici nożem. Właściciel z trudem podniósł rękę, jakby chcąc się zasłonić. Rewolwerowiec powiedział:

– Fabrizio, Michael Corleone przesyła ci pozdrowienia. Wyciągnął rewolwer, tak że wylot lufy był ledwie o parę cali od czaszki właściciela, i nacisnął spust. Potem wyszedł ze sklepu. Przy krawężniku czekał samochód z otwartymi drzwiami. Wskoczył do niego i wóz szybko odjechał.

Rocco Lampone zdjął słuchawkę telefonu zamontowanego na jednym z żelaznych słupów bramy. Usłyszał czyjś głos mówiący: – Twoja paczka gotowa – i szcęknięcie, kiedy rozmówca się rozłączył. Rocco wsiadł do samochodu i wyjechał z ośrodka. Przeciął szosę Jones Beach, tę samą, na której zabito

Sonny'ego Corleone, i dojechał do stacji kolejowej Wantagh. Tam zaparkował wóz. Czekał na niego inny samochód z dwoma ludźmi w środku. Ruszyli do motelu położonego dziesięć minut drogi dalej przy autostradzie Sunrise i skręcili na jego dziedziniec. Rocco Lampono, pozostawiwszy w wozie swoich dwóch ludzi, poszedł do jednego z małych bungalowów. Jednym kopniakiem wysadził jego drzwi z zawiasów i skoczył do środka.

Phillip Tattaglia, siedemdziesięcioletni i goły jak niemowlę, stał nad łóżkiem, na którym leżała młoda dziewczyna. Gęsta czupryna Phillipa Tattaglii była kruczoczarna, lecz owłosienie jego krocza stalowoszare. Jego ciało miało miękką pulchność ptaka. Rocco wpakował mu cztery kule, wszystkie w brzuch. Potem zawrócił i pobiegł do samochodu. Dwaj mężczyźni wysadzili go na stacji Wantagh. Wsiadł do swojego wozu i wrócił do ośrodka. Wszedł zobaczyć się na chwilę z Michaeliem Corleone, po czym ukazał się znowu i zajął swoje stanowisko przy bramie.

Albert Neri, sam w swoim mieszkaniu, skończył przygotowywać mundur. Powoli go włożył – spodnie, koszulę, krawat, kurtkę i pas z rewolwerem. Nie zdał rewolweru, kiedy go zawieszono, a przez jakieś administracyjne przeoczenie nie kazano mu oddać odznaki. Clemenza dostarczył mu nowy specjalny policyjny rewolwer kaliber .38, którego nie można było wytropić. Neri rozłożył go, naoliwił, sprawdził kurek, złożył na powrót, nacisnął spust. Załadował bębenek i był gotowy do wyjścia.

Włożył czapkę policyjną do grubej papierowej torby, po czym narzucił na siebie cywilny płaszcz, by zakryć mundur. Sprawdził zegarek. Jeszcze piętnaście minut do chwili, gdy samochód będzie na niego czekał na dole. Ten kwadrans spędził przed lustrem. Nie było żadnej wątpliwości. Wyglądał na prawdziwego policjanta.

Wóz czekał z dwoma ludźmi Lampono'a na przednim siedzeniu. Neri usiadł z tyłu. Kiedy auto ruszyło do centrum, opuściwszy dzielnicę, w której mieszkał, zrzucił płaszcz i pozostawił go na podłodze samochodu. Rozerwał papierową torbę i nałożył na głowę policyjną czapkę.

U zbiegu Pięćdziesiątej Piątej Ulicy i Piątej Alei wóz dojechał do krawężnika i Neri wysiadł. Ruszył przed siebie. Dziwnie się czuł, będąc znowu w mundurze, patrolując ulice tak, jak to robił tyle razy. Ludzi były tłumy. Szedł w stronę centrum, aż znalazł się przed Rockefeller Center, naprzeciwko

katedry św. Patryka. Po swojej stronie Piątej Alei spostrzegł limuzynę, której wypatrywał. Stała samotnie między całym szeregiem czerwonych znaków zakazujących parkowania i postoju. Neri zwolnił kroku. Było jeszcze za wcześnie. Przystanął, żeby napisać coś w swojej książeczce mandatowej, po czym ruszył dalej. Znalazł się obok limuzyny. Postukał w błotnik pałką. Kierowca podniósł wzrok ze zdziwieniem. Neri wskazał pałką znak zabraniający postoju i skinął na kierowcę, żeby odjechał. Kierowca odwrócił głowę.

Neri zszedł na jezdnię i stanął przy otwartym oknie kierowcy. Był to groźnie wyglądający zbir, akurat taki, jakich uwielbiał łamać. Neri powiedział rozmyślnie obraźliwie:

– Okay, panie mądry, chcesz, żebym ci wetknął mandat w dupę, czy też stąd spłyniesz?

Kierowca odrzekł obojętnie:

– Lepiej pan sprawdź na swoim posterunku. Daj mi pan mandat, jeżeli to panu sprawi przyjemność.

– Zjeżdżaj stąd, do cholery – zagroził Neri – albo cię wywlokę z tego wozu i stłukę ci tyłek.

Kierowca wydobył jak za zaklęciem banknot dziesięciodolarowy, złożył go jedną ręką w mały kwadracik i spróbował wetknąć Neriemu za kurtkę. Neri wrócił na chodnik i kiwnął na kierowcę. Kierowca wysiadł z samochodu.

– Pokaż mi pan prawo jazdy i dowód rejestracyjny – powiedział Neri. Miał nadzieję, że zmusi kierowcę do odjechania za róg, ale teraz nie było już na to szans. Kątem oka dojrzał trzech niskich, przysadzistych mężczyzn schodzących po schodach budynku Plazy w stronę ulicy. Był to sam Barzini z dwoma gorylami, udający się na spotkanie z Michaeliem Corleone. W chwili gdy Neri ich zobaczył, jeden z goryli odłączył się i podszedł pierwszy, by sprawdzić, co jest nie w porządku z samochodem Barziniego. Zapytał kierowcę:

– Co się dzieje?

Kierowca odrzekł krótko:

– Dostaję mandat, nie ma zmartwienia. Ten gość musi być tutaj nowy.

W tej chwili podszedł Barzini z drugim gorylem.

– Co znowu jest nie w porządku, do cholery?

Neri skończył wypisywać mandat i zwrócił kierowcy prawo jazdy i dowód rejestracyjny. Potem włożył bloczek do tylnej kieszeni spodni i tym samym ruchem ręki wydobył swój special.³⁸

Wsadził trzy kule w masywną pierś Barziniego, zanim pozostali trzej ochłonęli na tyle, by rzucić się za jakąś osłonę. Tymczasem Neri pognął w tłum i za róg, gdzie czekał na niego samochód. Wóz popędził do Dziewiątej Alei i skręcił ku centrum. Koło Chelsea Park Neri, który zdjął czapkę, włożył płaszcz i zmienił ubranie, przesiadł się do innego, czekającego nań samochodu. Rewolwer i mundur policyjny zostawił w tamtym wozie. Miano się ich pozbyć. Godzinę później siedział bezpiecznie w ośrodku w Long Beach i rozmawiał z Michaeliem Corleone.

Tessio siedział w kuchni dawnego domu dona i popijał kawę, kiedy przyszedł po niego Tom Hagen.

– Mike jest gotów. Może zadzwoń do Barziniego i przekaz mu, żeby już wyjeżdżał.

Tessio wstał i podszedł do wiszącego na ścianie telefonu. Wykręcił numer biura Barziniego w Nowym Jorku i powiedział krótko:

– Wyjeżdżamy do Brooklynu. – Odwiesił słuchawkę i uśmiechnął się do Hagen. – Mam nadzieję, że Michael zawrze dzisiaj dla nas jakiś dobry układ.

– Jestem pewien, że tak – odrzekł poważnie Hagen. Odprowadził Tessia z kuchni na plac. Ruszyli ku domowi Michaela. Przy drzwiach zatrzymał ich jeden z członków obstawy.

– Szef mówi, że pojedzie osobnym wozem. I że macie jechać pierwsi.

Tessio zmarszczył brwi i obrócił się do Hagen.

– Psiakrew, przecież nie może tego robić. To spieprzy wszystkie moje przygotowania.

W tym momencie zjawili się koło nich trzej inni goryle. Hagen przemówił łagodnie:

– Ja też nie mogę z tobą jechać, Tessio.

Caporegime o twarzy łasicy zrozumiał w jednej sekundzie wszystko. I przyjął to. Miał chwilę fizycznej słabości, ale się opanował. Rzekł do Hagen:

– Powiedz Mike'owi, że to był tylko biznes, że jego samego zawsze lubiłem.

Hagen kiwnął głową.

– On to rozumie.

Tessio milczał przez chwilę, po czym zapytał cicho:

– Tom, nie możesz mnie zdjąć z haka? Przez wzgląd na dawne czasy?

Hagen potrząsnął głową.

– Nie mogę.

Patrzył, jak Tessia otoczyli goryle i poprowadzili go do czekającego samochodu. Zrobiło mu się trochę niedobrze. Tessio był niegdyś najlepszym żołnierzem Rodziny Corleone; stary don polegał na nim bardziej niż na kimkolwiek innym, z wyjątkiem Luki Brasi. Wielka szkoda, że człowiek tak inteligentny popełnił taki fatalny błąd w ocenie tak późno w życiu.

Carlo Rizzi, wciąż czekając na rozmowę z Michaeliem, zaczął się denerwować wszystkimi tymi przyjazdami i odjazdami. Najwyraźniej działo się coś niezwykłego i wyglądało na to, że będzie pominięty. Zniecierpliwiony, zadzwonił do Michaela. Telefon odebrał ktoś z obstawy domu, poszedł po Michaela i wrócił z wiadomością, że Michael kazał Carlowi siedzieć spokojnie i że niedługo da mu znać.

Carlo zadzwonił ponownie do swojej kochanki i powiedział jej, że na pewno będzie mógł zabrać ją na późną kolację i spędzić z nią noc. Michael powiedział, że go niedługo wezwie, a to, co planował, nie mogło zająć więcej niż godzinę lub dwie. Potem jazda do Westbury zabrałaby jakieś czterdzieści minut. To było do zrobienia. Obiecał, że to zrobi, i udobruchał ją przymilnymi słówkami. Rozłączywszy się, postanowił od razu ubrać się odpowiednio, aby później nie tracić czasu. Właśnie naciągnął świeżą koszulę, kiedy zapukano do drzwi. Szybko wyrozumował sobie, że Mike próbował do niego zadzwonić, ale telefon był zajęty, więc po prostu kogoś przysłał. Podeszedł do drzwi i otworzył je. Poczł, że całe ciało drętwieje mu od okropnego, porażającego strachu. W progu stał Michael Corleone z twarzą tej śmierci, którą Carlo Rizzi często widywał w snach.

Za Michaeliem Corleone stali Hagen i Rocco Lampone. Miny mieli poważne, jak ludzie, którzy przybyli z najwyższą niechęcią, aby przekazać przyjacielowi złą wiadomość. Wszyscy trzej weszli do domu i Carlo Rizzi zaprowadził ich do salonu. Przyszedszy do siebie po pierwszym szoku, pomyślał, że miał atak nerwowy. Słowa Michaela sprawiły, iż zrobiło mu się naprawdę słabo, chwyciły go mdłości.

– Musisz odpowiedzieć za Santina – rzekł Michael.

Carlo milczał, udał, że nie rozumie. Hagen i Lampone rozeszli się pod przeciwległe ściany pokoju. Carlo i Michael stali naprzeciw siebie.

– Nadałeś Santina ludziom Barziniego – przypomniał Michael bezbarwnym głosem. – Ta mała farsa, którą odegrałeś z moją siostrą. Czy Barzini cię łudził, że to zwiedzie Corleone?

Carlo Rizzi przemówił w straszliwym lęku, bez godności, bez żadnej dumy:

– Przysięgam, że jestem niewinny. Przysięgam na głowy moich dzieci, że jestem niewinny. Mike, nie rób mi tego, proszę cię, nie rób mi tego.

Michael wyjaśnił spokojnie:

– Barzini nie żyje. Phillip Tattaglia tak samo. Chcę dzisiaj wyrównać wszystkie rachunki rodzinne. Więc nie mów mi, że jesteś niewinny. Byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś przyznał się, co zrobiłeś.

Hagen i Lampone popatrzyli na Michaela ze zdumieniem. Pomyśleli, że nie jest jeszcze człowiekiem na miarę swojego ojca. Po co namawiać tego zdrajcę, żeby się przyznał do winy? Ta wina była już tak udowodniona, jak tylko podobną rzecz można udowodnić. Odpowiedź była oczywista. Widocznie Michael wciąż jeszcze nie był pewien swojej racji, wciąż się obawiał, że będzie niesprawiedliwy, wciąż nękała go ta odrobina niepewności, którą tylko wyznanie Carla Rizzi mogło rozproszyć.

Nadal nie było odpowiedzi. Michael rzekł prawie łagodnie:

– Nie bądź taki wystraszony. Myślisz, że zrobiłbym wdowę z mojej siostry? Myślisz, że moich siostrzeńców pozbawiłbym ojca? Bądź co bądź, jestem ojcem chrzestnym jednego z twoich chłopców. Nie, twoją karą będzie to, że nie dostaniesz pozwolenia na jakąkolwiek pracę dla Rodziny. Wsadzam cię do samolotu, którym polecisz do Vegas, do swojej żony i dzieci, a potem masz tam pozostać. Będę przysyłał Connie uposażenie. To wszystko. Ale nie mów dalej, że jesteś niewinny, nie obrażaj mojej inteligencji i nie złość mnie. Kto się do ciebie zwrócił: Tattaglia czy Barzini?

Carlo Rizzi, w swej rozpaczliwej nadziei przeżycia, oblany słodką falą ulgi, że nie zostanie zabity, wyszeptał:

– Barzini.

– W porządku – powiedział Michael. Skinął prawą ręką. – Teraz masz jechać. Czeka na ciebie samochód, który zawiezie cię na lotnisko.

Carlo wyszedł pierwszy, pozostali trzej mężczyźni tuż za nim. Była już noc, ale placyk, jak zwykle, jaśniał od reflektorów. Zajechał jakiś samochód.

Carlo zobaczył, że to jego własny. Kierowcy nie poznał. Ktoś siedział na tylnym siedzeniu, ale od drugiej strony. Lampone otworzył przednie drzwi i dał znak Carlovi, by wsiadł. Michael obiecał:

– Zadzwoń do twojej żony, że już jesteś w drodze.

Carlo wsiadł do samochodu. Jego jedwabna koszula była mokra od potu.

Wóz ruszył, zmierzając szybko ku bramie. Carlo zaczął obracać głowę, aby zobaczyć, czy zna siedzącego za nim człowieka. W tej chwili Clemenza, tak zmyślnie i zgrabnie jak mała dziewczynka opasująca wstążką głowę kotka, zarzucił Carlovi Rizzi linkę na szyję. Gładka linka, szarpnięta i ściągnięta potężnie przez Clemenzę, werżnęła się w skórę, ciało Carla Rizzi poderwało się jak ryba na wędce, ale Clemenza przytrzymał go mocno, zaciskając linkę, dopóki nie zwiotczało. Nagle w samochodzie rozszedł się wstrętny odór. Puściły zwieracze Carla. Clemenza dla pewności trzymał linkę zaciśniętą jeszcze parę minut, po czym ją zdjął i schował do kieszeni. Oparł się wygodnie o poduszki samochodu, gdyż zwłoki Carla osunęły się na drzwi. Po chwili Clemenza odkręcił okno, aby wywietrzyć.

Zwycięstwo Rodziny Corleone było całkowite. W ciągu tych dwudziestu czterech godzin Clemenza i Lampone puścili w ruch swoje *regime* i pokarali tych, którzy wtargnęli w domenę Corleone. Neriego wysłano, by objął dowodzenie nad *regime* Tessia. Bukmacherów Barziniego przepędzono, dwóch z najwyższych rangą silnorękich Barziniego zastrzelono, kiedy nikomu nie wadząc, dłubali sobie w zębach po obiedzie we włoskiej restauracji na Mulberry Street. Notoryczny kanciarz, fałszujący wyniki wyścigów kłusaków, też został zabity, gdy wracał do domu zgarnawszy wieczorne wygrane na torze. Dwaj najwięksi lichwiarze z dzielnicy portowej zniknęli i znaleziono ich po paru miesiącach w bagnach New Jersey.

Tym jednym zaciekłym atakiem Michael Corleone wyrobił sobie reputację i przywrócił Rodzinie Corleone czołowe miejsce wśród Rodzin nowojorskich. Szanowano go nie tylko za mistrzostwo taktyczne, ale i dlatego, że niektórzy z głównych *caporegime* Rodzin Tattagliów i Barzinich od razu przeszli na jego stronę.

Byłby to dla Michaela Corleone triumf absolutny, gdyby nie atak hysterii jego siostry, Connie.

Connie przyleciała samolotem z matką, pozostawiając dzieci w Vegas.

Powściągała swą wdowią boleść, dopóki auto nie zajęchało do ośrodka. Wtedy, nim matka zdołała ją powstrzymać, pobiegła naprzeciwko, do domu Michaela Corleone. Wtargnęła do wnętrza i zastała w salonie Michaela z Kay. Kay chciała do niej podejść, pocieszyć ją i objąć w siostrzanym uścisku, lecz zatrzymała się, gdy Connie poczęła krzyczeć na brata, miotając przekleństwa i wyrzuty.

– Ty parszywy draniu! – wrzeszczała. – Zabiłeś mi męża! Czekales, aż ojciec umrze i nikt nie będzie mógł cię powstrzymać, i zabiłeś go! Zabiłeś go! Obwinałeś go o Sonny’ego, zawsze to robiłeś, wszyscy to robili. Ale o mnie nie pomyślałeś. Nigdy cię nie obchodziłam. I co ja teraz zrobię, co teraz zrobię? – zawodziła. Dwaj ludzie z obstawy Michaela podeszli do niej z tyłu i czekali na jego rozkazy. Ale Michael stał nieporuszony i czekał, aż siostra skończy. Kay powiedziała wzburzonym głosem:

– Connie, jesteś zdenerwowana, nie mów takich rzeczy.

Connie przyszła do siebie po napadzie hysterii. W jej głosie był zabójczy jad.

– Jak myślisz, dlaczego on był dla mnie taki zimny? Dlaczego trzymał Carla tutaj, w ośrodku? Przez cały czas wiedział, że zabije mojego męża. Ale nie śmiał tego zrobić, póki żył ojciec. Ojciec by mu nie pozwolił. On o tym wiedział. Po prostu czekał. A potem został ojcem chrzestnym naszego dziecka tylko po to, żeby nam zamydlić oczy. Łajdak bez serca. Myślisz, że znasz swojego męża? A wiesz, ilu ludzi pozabijał oprócz mojego Carla? Przeczytaj gazety. Barziniego, Tattaglię i innych. To mój brat kazał ich zabić.

Znowu wpadła w histerię. Usiłowała plunąć Michaelowi w twarz, ale zabrakło jej śliny.

– Zabierzcie ją do domu i wezwijcie doktora – polecił Michael. Dwaj goryle natychmiast chwycili Connie za ręce i wyciągnęli na dwór.

Kay była wstrząśnięta i przerażona. Zapytała męża:

– Dlaczego ona to wszystko powiedziała, Michael, co jej każe tak myśleć? Michael wzruszył ramionami.

– To histeria.

Kay spojrzała mu w oczy.

– Michael, ale to nieprawda, proszę cię, powiedz, że to nieprawda.

Michael ze znużeniem potrząsnął głową.

– Jasne, że nieprawda. Po prostu mi uwierz, ten jeden raz pozwalam ci pytać o moje sprawy i daję ci odpowiedź. To nieprawda.

Nigdy nie był bardziej przekonujący. Patrzył jej prosto w oczy. Całe wzajemne zaufanie, jakie sobie wyrobili w ciągu małżeńskiego pożycia, wykorzystywał teraz, aby mu uwierzyła.

I nie mogła wątpić dłużej. Uśmiechnęła się do niego ze skrucą i padła mu w objęcia, aby go ucałować.

– Obojgu nam się przyda coś wypić – stwierdziła. Poszła do kuchni po lód i tam usłyszała, że drzwi frontowe się otwierają. Wyszła z kuchni i zobaczyła Clemenzę, Neriego i Rocca Lampone, którzy wchodzili z ludźmi z obstawy. Michael był do niej obrócony tyłem, ale przesunęła się tak, że mogła go widzieć z profilu. W tej chwili Clemenza zwrócił się do jej męża, pozdrawiając go oficjalnie.

– Don Michaelu – odezwał się Clemenza.

Kay widziała, jak Michael stał, przyjmując ich hołd. Przypominał jej rzymskie posągi, posągi tych starożytnych cesarzy rzymskich, którzy na mocy boskiego prawa mieli władzę życia i śmierci nad swoimi bliźnimi. Jedną rękę oparł na biodrze, w profilu jego twarzy była zimna, dumna władczość, postawę miał niedbałą, zuchwale rozluźnioną, ciężar jego ciała wspierał się na jednej stopie, przed którą była lekko wysunięta druga. Przed nim stali *caporegime*. W tym momencie Kay zrozumiała, że wszystko to, o co Connie oskarżała Michaela, było prawdą. Wróciła do kuchni i rozplakała się.

Księga 9

Rozdział 32

Krwawe zwycięstwo Rodziny Corleone nie było pełne, dopóki rok delikatnych manewrów politycznych nie ugruntował pozycji Michaela Corleone jako najpotężniejszego szefa Rodziny w Stanach Zjednoczonych. Przez dwanaście miesięcy Michael dzielił równo swój czas pomiędzy kwaterę główną w ośrodku w Long Beach a swój nowy dom w Las Vegas. Jednakże z końcem tego roku postanowił zlikwidować działalność w Nowym Jorku i sprzedać domy oraz tereny ośrodka. W tym celu przywiózł całą rodzinę na wschód, w ostatnie odwiedziny. Mieli tam zostać miesiąc, zwinąć interesy. Kay miała się zająć spakowaniem osobistych rzeczy i wysłaniem sprzętów domowych. Był też jeszcze milion innych pomniejszych spraw.

Rodzina Corleone była teraz nie do zaatakowania; Clemenza miał swoją własną Rodzinę. Rocco Lampone został *caporegime* Corleone. W Nevadzie Albert Neri był szefem bezpieczeństwa prowadzonych przez Rodzinę hoteli. Hagen również należał do zachodniej Rodziny Michaela.

Czas przyczyniał się do zagojenia dawnych ran. Connie Corleone pogodziła się ze swoim bratem Michaeliem. W istocie nie więcej niż tydzień po swoich straszliwych oskarżeniach przeprosiła go za to, co powiedziała, i zapewniła Kay, że w jej słowach nie było prawdy, że była to jedynie histeria młodej wdowy.

Connie Corleone z łatwością znalazła sobie nowego męża; nie odczekała nawet roku żałoby przed ponownym obsadzeniem swojego łóżka przez przystojnego młodego człowieka, który pracował dla Rodziny Corleone jako sekretarz. Był to chłopak z solidnej włoskiej rodziny, który ukończył czołowy college handlowy w Ameryce. Naturalnie małżeństwo z siostrą dona zapewniło mu przyszłość.

Kay Adams Corleone uradowała krewnych męża, pobierając nauki religii

katolickiej i przechodząc na to wyznanie. Jej obaj synowie byli naturalnie również wychowywani w tym Kościele, tak jak tego wymagano. Sam Michael nie był z tego zbytnio zadowolony. Wolałby, żeby jego dzieci zostały protestantami, to było bardziej amerykańskie.

Ku swemu zdziwieniu Kay polubiła życie z Nevadzie. Uwielbiała krajobraz, wzgórze i kaniony w jaskrawoczerwonych skałach, spieczona pustynia, niespodziewane i cudownie odświeżające jeziora, nawet upały. Jej dwaj chłopcy jeździli na własnych kucykach. Miała prawdziwą służbę, nie goryli. A Michael prowadził bardziej normalne życie. Miał przedsiębiorstwo budowlane, zapisał się do klubu przemysłowców i udzielał się w obywatelskich komitetach, okazywał zdrowe zainteresowanie lokalną polityką, nie mieszając się do niej publicznie. Było to dobre życie. Kay cieszyła się, że likwidowali swój nowojorski dom i że Las Vegas będzie naprawdę ich stałą siedzibą. Nie cierpiała wracać do Nowego Jorku. Dlatego też podczas tej ostatniej podróży załatwiła spakowanie i przesyłkę rzeczy ogromnie szybko i sprawnie, i teraz, ostatniego dnia, było jej pilno odjechać – tak jak pacjentom, kiedy po długim czasie przychodzi pora zwolnienia ze szpitala.

Tego ostatniego dnia Kay Adams Corleone zbudziła się o świcie. Słyszała na placu warkot motorów ciężarówek. Miały wywieźć meble ze wszystkich domów. Rodzina Corleone po południu wraz z mamą Corleone odlatywała do Las Vegas.

Kiedy Kay wyszła z łazienki, Michael leżał oparty na poduszce i palił papierosa.

– Czemu, u licha, musisz chodzić do kościoła każdego rana? – zapytał. – Nie mówię, w niedzielę, ale dlaczego w ciągu tygodnia? Nie jesteś wcale lepsza od mojej matki. – Wyciągnął rękę w ciemnościach i zapalił lampkę na stoliku.

Kay siadła na krawędzi łóżka, aby włożyć pończochy.

– Wiesz, jacy są świeżo nawróceni katolicy. Biorą to bardziej poważnie.

Michael wyciągnął rękę, by dotknąć jej uda, ciepłego ciała nad górnym brzeżkiem nylonowej pończochy.

– Daj spokój – poprosiła Kay. – Przystępuję dziś rano do komunii.

Nie próbował jej zatrzymać, gdy wstała z łóżka. Powiedział z lekkim uśmiechem:

– Jeżeli jesteś taką gorliwą katoliczką, to dlaczego pozwalasz, żeby chłopcy tak często się wykręcali od chodzenia do kościoła?

Poczuła się nieswojo i miała się na baczności. Przypatrywał jej się w sposób, który w duchu nazywała „okiem dona”.

– Mają jeszcze dużo czasu – tłumaczyła. – Kiedy wrócimy do domu, dopilnuję, żeby chodzili częściej.

Nim wyszła, pocałowała go na pożegnanie. Na dworze powietrze już zaczynało się nagrzewać. Wschodzące letnie słońce było czerwone. Kay podeszła do swego samochodu, zaparkowanego przy bramie ośrodka. Mama Corleone, we wdowiej czerni, już w nim siedziała, czekając na nią. Stało się to niezmiennym zwyczajem: wczesna msza każdego rana.

Kay ucałowała pomarszczony policzek starszej pani i siadła za kierownicą. Mama Corleone spytała podejrzliwie:

– Jadłś śniadanie?

– Nie – odrzekła Kay.

Starsza pani kiwnęła aprobująco głową. Kay raz zapomniała, że nie wolno jeść od północy przed przystąpieniem do komunii świętej. Było to dawno temu, ale mama Corleone odtąd jej nie ufała i zawsze to sprawdzała.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

– Tak – odrzekła Kay.

Kościół był mały i wydawał się jakiś opuszczony we wczesnoporannym słońcu. Witraże osłaniały wnętrze od upału, musiało tam być chłodno, i dobrze można było odpocząć. Kay pomogła teściowej wejść na białe kamienne schody i przepuściła ją przed sobą. Starsza pani upodobała sobie ławkę na przedzie, blisko ołtarza. Kay zaczekała jeszcze minutę na schodach. Zawsze miała opory w tej ostatniej chwili, zawsze się trochę bała.

Wreszcie wstąpiła w chłodny mrok. Zanurzyła palce w święconej wodzie i przeżegnała się, przelotnie dotykając spoconych warg zwilżonymi czubkami palców. Przed wizerunkami świętych, przed Chrystusem na krzyżu migotały czerwono świece. Kay przyklękła, nim weszła w swój rząd, a potem uklękła na twardym drewnianym występie ławki, czekając na komunię. Pochyliła głowę, jakby się modląc, ale nie była jeszcze całkiem do tego gotowa.

Jedynie tam, w tych mrocznych, sklepionych kościołach, pozwalała sobie myśleć o drugim życiu swojego męża. O tamtym straszliwym wieczorze sprzed roku, kiedy świadomie wykorzystał ich wzajemną miłość i zaufanie, aby ją skłonić do uwierzenia w jego kłamstwo, że nie zabił męża siostry.

Odeszła od niego wtedy z powodu tego kłamstwa, nie z powodu czynu. Następnego rana zabrała dzieci do domu swoich rodziców w New Hampshi-

re. Nie powiedziawszy nikomu ani słowa, w gruncie rzeczy nie wiedząc, jak zamierza postąpić. Michael zrozumiał od razu. Zadzwoił do niej pierwszego dnia, a potem zostawił ją w spokoju. Minął tydzień, nim przed jej dom zajęła nowojorska limuzyna z Tomem Hagenem w środku.

Spędziła z Tomem długie, straszne popołudnie, najstraszniejsze popołudnie swego życia. Poszli na spacer do lasu za miasteczkiem i Hagen nie był delikatny.

Kay popełniła ten błąd, że próbowała być okrutna i impertynencka, do której to roli wcale się nie nadawała.

– Czy Mike przysłał cię tutaj, żebyś mi zagroził? – spytała. – Spodziewałam się, że zobaczę paru chłopców wysiadających z karabinami maszynowymi, żeby mnie zmusić do powrotu.

Po raz pierwszy, odkąd go znała, ujrzała Hagena rozgniewanego. Powiedział szorstko:

– To najgorszy rodzaj głupiej smarkaterii, jaki słyszałem. Nigdy się tego nie spodziewałem po takiej kobiecie jak ty. Chodź, Kay.

– Dobrze – odrzekła.

Poszli wśród zieleni wiejską drogą. Hagen zapytał spokojnie:

– Dlaczego uciekłaś?

– Bo Michael mnie okłamał – odparła Kay. – Bo mnie wywiódł w pole, kiedy został ojcem chrzestnym chłopca Connie. Oszukał mnie. Nie mogę kochać takiego człowieka. Nie mogę z nim żyć. Nie mogę pozwolić, żeby był ojcem moich dzieci.

– Nie wiem, o czym mówisz – rzekł Hagen.

Obróciła się do niego z uzasadnioną teraz wściekłością.

– Chodzi mi o to, że zabił męża swojej siostry. Rozumiesz? – Przerwała na chwilę. – I okłamał mnie.

Szli długo w milczeniu. W końcu Hagen powiedział:

– Nie masz sposobu dowiedzenia się, czy to jest rzeczywiście prawda. Ale po prostu dla dyskusji załóżmy, że to prawda. Nie mówię, że jest, pamiętaj. Ale gdybym ci powiedział coś, co mogłoby być jakimś usprawiedliwieniem tego, co zrobił? Czy raczej jakimiś ewentualnymi usprawiedliwieniami?

Kay popatrzyła na niego drwiąco.

– Po raz pierwszy widzę cię od strony prawniczej, Tom. I to nie jest twoja najlepsza strona.

Hagen uśmiechnął się.

– Dobrze. Ale mnie wysłuchaj. A jeżeli Carlo wystawił Sonny’ego, wskazał go palcem? A jeżeli pobicie Connie przez Carla było rozmyślnym podstępem, żeby wyciągnąć Sonny’ego z ośrodka, bo wiedzieli, że pojedzie autostradą Jones Beach? A jeżeli Carlo został opłacony za pomoc w zabiciu Sonny’ego? Co wtedy?

Kay milczała. Hagen mówił dalej:

– A jeżeli don, wspaniały człowiek, nie mógł się zdecydować, by zrobić to, co powinien był zrobić... pomścić śmierć syna, zabijając męża córki? A wreszcie, jeżeli to było dla niego za trudne i dlatego uczynił Michaela swoim następcą, wiedząc, że Michael zdejmie to brzemię z jego ramion, weźmie na siebie tę winę?

– Wszystko już było zakończone – powiedziała Kay ze łzami w oczach. – Wszyscy byli szczęśliwi. Dlaczego nie można było przebaczyć Carlowi? Dlaczego nie mogło zostać tak, jak było, żeby każdy zapomniał?

Poprowadziła go przez łąkę do ocienionego drzewami strumyka. Hagen usiadł na trawie i westchnął. Rozejrzał się dokoła, westchnął znowu i rzekł:

– W takim świecie można by tak postąpić.

Kay powiedziała:

– On nie jest już tym człowiekiem, za którego wyszłam.

Hagen zaśmiał się krótko.

– Gdyby nim był, już by nie żył. Byłabyś teraz wdową. Nie miałabyś problemu.

– Co to znaczy, u licha? – wybuchnęła Kay. – Daj spokój, Tom, powiedz coś jasno raz w życiu. Wiem, że Michael nie może, ale ty nie jesteś Sycylijczykiem, ty możesz powiedzieć prawdę kobiecie, możesz traktować ją jak kogoś równego, jak taką samą ludzką istotę.

Znów nastąpiło długie milczenie. Hagen pokiwał głową.

– Zupełnie nie rozumiesz Mike’a. Jesteś wściekła, bo ci skłamał. No cóż, przestrzegał cię, żebyś go nigdy nie pytała o interesy. Jesteś wściekła, że został ojcem chrzestnym syna Carla. Ale sama go do tego zmusiłaś. Zresztą to było z jego strony właściwe posunięcie, jeżeli miał zamiar podjąć działanie przeciwko Carlowi. Klasyczne zagranie taktyczne dla zdobycia zaufania ofiary. – Hagen uśmiechnął się do niej pośepnie. – Czy to dla ciebie dostatecznie jasna mowa?

Ale Kay pochyliła głowę.

Hagen ciągnął:

– Powiem ci jasno coś jeszcze. Po śmierci dona wystawiono Mike’a do zabicia. A wiesz, kto go wystawił? Tessio. Więc Tessio musiał zginąć. Carlo musiał zginąć. Bo zdrady nie można przebaczyć. Michael mógłby przebaczyć, ale ludzie nigdy sobie nie przebaczą, więc zawsze byliby niebezpieczni. Michael naprawdę lubił Tessia. Kocha swoją siostrę. Ale nie dopełniłby swego obowiązku wobec ciebie i własnych dzieci, wobec całej Rodziny, wobec mnie i mojej rodziny, gdyby puścił wolno Tessia i Carla. Byliby dla nas wszystkich zagrożeniem przez całe życie.

Kay słuchała tego ze łzami spływającymi po twarzy.

– Czy Michael przysłał cię po to, żebyś mi to powiedział?

Hagen popatrzał na nią ze szczerym zdumieniem.

– Nie – odrzekł. – Kazał przekazać ci, że możesz mieć wszystko, co chcesz, i robić, co ci się podoba, jeżeli tylko będziesz się dobrze opiekowała dziećmi. – Hagen uśmiechnął się. – Kazał powiedzieć ci, że jesteś jego domem. To taki żart.

Kay położyła dłoń na rękę Hagen.

– Nie kazał powiedzieć mi tamtego wszystkiego?

Hagen zawahał się chwilę, jakby zastanawiając się, czy wyznać jej ostateczną prawdę.

– Wciąż nie rozumiesz – odrzekł. – Gdybyś powtórzyła Michaelowi to, co ci dziś wyjawilem, byłbym nieboszczykiem. – Przerwał znowu. – Ty i dzieci jesteście jedynymi istotami na tym świecie, których nie potrafiliby skrzywdzić.

Minęło pięć długich minut, zanim Kay podniosła się z trawy i ruszyli z powrotem do domu. Kiedy już byli prawie na miejscu, Kay spytała Hagen:

– Czy po kolacji mógłbyś zawieźć mnie i dzieci do Nowego Jorku swoim samochodem?

– Po to tu przyjechałem – odrzekł Hagen.

Tydzień po powrocie do Michaela Kay poszła do księdza po naukę, ażeby zostać katoliczką.

Gdzieś w głębi kościoła zadźwięczał dzwonek wzywający do skruchy. Tak jak ją nauczono, Kay uderzyła się lekko w pierś zaciśniętą dłonią. Dzwonek ozwał się znowu i rozległo się szuranie stóp, kiedy przystępujący do komunii zaczęli wstawać z miejsc, by podejść do barierek ołtarza. Kay wstała, by się do nich przyłączyć. Uklękła przed ołtarzem, z głębi kościoła dzwonek odezwał się znowu. Zaciśniętą dłonią uderzyła się w serce raz jeszcze. Ksiądz

stanął przed nią. Odchyliła w tył głowę i otworzyła usta, by przyjąć opłatek cienki jak papier. To była najstraszniejsza chwila. Dopóki się nie rozpuścił i nie zdołała go przełknąć i uczynić tego, po co tu przyszła.

Obmyta z grzechu, obdarzona łaską suplikantka pochyliła głowę i splótła dłonie na barierce ołtarza. Przesunęła się nieco, by ciężar ciała mniej ugniatał kolana.

Wyzbyła się wszelkiej myśli o sobie, o swoich dzieciach, wszelkiego gniewu, wszelkiego buntu, wszelkich wątpliwości. A potem z głębokim, niezłomnym pragnieniem wiary i tego, by została wysłuchana, odmówiła, tak jak co dzień od czasu zamordowania Carla Rizzi, modlitwy za duszę Michaela Corleone.

1 dzielnica w zachodniej części Manhattanu, słynąca ze złodziei i bandytów.